



Barbara Polak

ROZMOWY KOŚWOM

Poznań 1956 r. — manifestanci obserwują rozwój wydarzeń



NR 6
lipiec
2001

BIULETYN
INSTYTUTU PAMIĘCI

NR 4
MAJ
2001

BIULETYN
INSTYTUTU PAMIĘCI



Barbara Polak

ROZMOWY BOŻNOMY



WARSZAWA 2007

Seria „Biblioteka Biuletynu IPN”, tom 1
Redakcja serii: Jan M. Ruman, Jacek Żurek

Projekt okładki i strony tytułowej
Piotr Życieński

Zdjęcia na okładce
Piotr Życieński

Redakcja techniczna
Andrzej Broniak

Skład, łamanie i korekta
Piotr R. Nowak

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Wydawca IPN-KŚZpNP
ul. Towarowa 28
00-839 Warszawa

ISBN 978-83-8459-078-2

Zapraszamy
ipn.gov.pl
ksiegarniaipn.pl

OD WYDAWCY

„Rozmowy” Barbary Polak inaugurują nową serię wydawniczą Instytutu Pamięci Narodowej „Bibliotekę Biuletynu IPN”. Potrzebę stworzenia takiej serii wypowiedziało nam samo życie. Czytelnicy „Biuletynu IPN” bardzo często zwracali się do redakcji z pytaniami o dostępność numerów archiwalnych. Zachęcaliśmy ich do lektury wcześniejszych tekstów za pośrednictwem strony internetowej IPN (www.ipn.gov.pl), ale to zadowalało zwykle tylko młodszych, którzy na co dzień korzystają z Internetu. Cóż mieliśmy więc zrobić, jak odpowiedzieć na czytelnicze zapotrzebowanie?

Biuletyn ukazuje się od 2001 r. Z początków wydawania pisma w archiwum redakcyjnym pozostały pojedyncze egzemplarze. W ostatnich latach, mimo kilkukrotnego wzrostu nakładu, nasze pismo rozchodzi się niemal całkowicie. Cieszymy się, bo to świadczy jak wielki jest głód odkłamywanej najnowszej historii Polski. Seria „Biblioteka Biuletynu IPN” adresowana jest do tych wszystkich, którzy chcą zapoznać się z naszymi wcześniejszymi publikacjami, a dotychczas nie mieli takiej okazji. Będziemy w niej publikować tematyczne wybory tekstów z „Biuletynów IPN”.

Tom pierwszy naszej nowej serii jest wyjątkiem, nie znajdują w nim Państwo wyboru tematycznego, a wręcz przeciwnie, raczej przegląd tematów podejmowanych przez „Biuletyn IPN” w pierwszych dwóch latach. Barbara Polak, która uczestniczyła w tworzeniu naszego pisma, od początku prowadzi w nim dział „Rozmowy Biuletynu”. Rozmowy te zazwyczaj wyznaczały tematy kolejnych numerów miesięcznika. Autorka przyjmowała w nich rolę rzecznika Czytelników, dopytywała czasem o sprawy, które w gronie historyków wydają się oczywiste. Dzięki temu jej rozmowy mają walor wprowadzenia do lektury poważnych naukowych artykułów.

Barbara Polak, którą poznałem w 2004 r., kiedy dołączyłem do redakcji „Biuletynu IPN”, jest osobą ciekawą świata, ciekawą Polski, naszych wspólnych korzeni. Nosi w sobie pragnienie, które – jak sądzę – powinno charakteryzować każdego dziennikarza i historyka, pragnienie poszukiwania i zgłębiania prawdy. Ma też niepospolitą umiejętność słuchania drugiego człowieka, wsłuchania się w to, co ma do przekazania rozmówca. Podkreślam to, bo jestem przekonany, że pasja poszukiwania prawdy i umiejętność słuchania sprawiły, że te rozmowy warto przypomnieć w niniejszej publikacji. Poruszane są w nich wybrane zagad-

nienia z historii Polski w latach 1939–1989, a niekiedy także problemy, z jakimi borykał się Instytut Pamięci Narodowej. Instytut pojawia się w tej książce także w innej roli – wszyscy rozmówcy Barbary Polak byli ówczesnie lub są do dziś pracownikami IPN.

Rozmowy – z niewielkimi tylko zmianami redakcyjnymi – zostały przedrukowane z roczników 2001–2002 „Biuletynu IPN” w takiej kolejności, w jakiej ukazywały się w tym periodyku. Nie jest to więc publikacja do czytania „od deski do deski”. Można dowolnie wybierać poszczególne tematy, bez obaw towarzyszących oglądaniu seriali, że nieznajomość poprzedniego odcinka utrudni zrozumienie następnych.

Jan M. Ruman

OD AUTORA

Rozmowa może nie jest typową formą publicystyki historycznej, ma jednak ten walor, że ujawnia także emocje. Można czynić z tego zarzut, ale warto dostrzec także zalety.

Do wielu rozmów musiałam się dość dokładnie, na ile to możliwe w czasie wyznaczonym przez rytm wydawania kolejnych numerów „Biuletynu IPN”, przygotowywać. Niektóre tematy były mi dość dobrze znane, choćby tylko z racji uczestnictwa w wydarzeniach towarzyszących przełomom społecznym.

Urodziłam się kilka lat po wojnie i doświadczenie peerelu mam niejako „wypisane na własnych plecach”, a do Instytutu Pamięci Narodowej trafiłam po wielu zawodowych przygodach. Tylko dlatego odważyłam się podjąć wyzwanie, jakim były rozmowy z badaczami najnowszej historii Polski. Niektórzy z moich rozmówców są ode mnie młodszy. Czasy, którymi się zajmują, nie są dla nich doświadczeniem osobistym. To pozwala obiektywniej spojrzeć na wydarzenia.

W czasach mojej szkolnej edukacji historii nie uczono rzetelnie i nie był to też mój ulubiony przedmiot. Miałam świadomość, bo wynikało to z wiedzy moich Rodziców, którzy odebrali solidne przedwojenne wykształcenie, że peerelowscy historycy kłamią. Dzięki pracy w redakcji „Biuletynu IPN” nadrabiam braki w wiedzy o dwudziestowiecznej historii Polski. W kilku rozmowach towarzyszyli mi koledzy, bez wątpienia bardziej ode mnie kompetentni, dzięki czemu spotkania nabierały charakteru prawdziwej dysputy.

Mam nadzieję, że niektórzy z Państwa odnajdą w tej książce opowieści także o swoim życiu, a inni dzięki niej dowiedzą się czegoś ciekawego...

Barbara Polak

O SPRAWIEDLIWEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Z prof. Witoldem Kuleszą

B.P. — *Jednym z pojęć związanych z działalnością Głównej Komisji jest zbrodnia sądowa. Przyjęcie do wiadomości, że prawnicy mogli być zbrodniarzami, jest trudne nie tylko dla zwykłego człowieka, ale chyba także dla środowiska prawniczego?*

W.K. — Niedawno sąd w Poznaniu uniewinnił prokuratora, który zażądał kary śmierci dla siedemnastoletniej dziewczyny, sanitariuszki z oddziału „Łupaszk”. Sąd z dobrą wiarą przyjął tłumaczenie, że prokurator wszedł na salę sądową tylko na kilkadziesiąt sekund na końcu procesu, zażądał surowej kary i wyszedł. Nie wiedział, w czym uczestniczy, wobec tego nie może podlegać odpowiedzialności karnej za wykonany wyrok śmierci. Proszę skonfrontować jego tłumaczenie, któremu sąd dał wiarę, z relacją świadka egzekucji.

Pluton egzekucyjny — jak relacjonował nam świadek — składał się z dziesięciu młodych żołnierzy, strzelających z pepesz. Każdy miał w magazynku dziesięć nabo. Żołnierze czuli, że uczestniczą w czymś haniebnym, dlatego też strzelali odwracając wzrok od celu.

Prokurator, który mówi: mnie nie interesuje, za co żądam kary, przedstawia cyniczną argumentację. Sąd jednak przyjął ją i wydał wyrok uniewinniający. W tej sprawie wniesiono apelację, ale sąd apelacyjny jeszcze się do niej nie odniósł. Jednak sam wyrok pokazuje pewien typ myślenia, zaprezentowany przez jednego z profesorów filozofii prawa w Polsce — sędzieja, po zmianie systemu politycznego nie może ponosić odpowiedzialności karnej za czyn, którego się dopuścił w ramach wykonywania swoich sędziowskich obowiązków. Można by, rozumując w ten sposób, powiedzieć, że prokurator także nie, skoro wnosi on tylko o wymierzenie kary, a o jej orzeczeniu decyduje sąd.

Moim zadaniem jest pokazanie, że w demokratycznym państwie prawa nie tylko prokurator, ale i sędzia mogą i powinni ponieść odpowiedzialność karną za udział w zbrodni sądowej. I temu służyła pierwsza publikacja Instytutu *Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce lat 1944–1956*. Opisano w niej m.in. sześć sytuacji mieszczących się w pojęciu zbrodni sądowej. Do tej pory nie zdołałem wprowadzić pojęcia morderstwa sądowego do polskiej kultury prawnej i orzecznictwa sądowego.

Tak długo, jak będzie mi dane kierować Komisją, będę próbował wprowadzić to pojęcie do polskiej jurysprudencji.

W innej z kolei sprawie z ostatnich tygodni tymczasowo aresztowano prokuratora, który wnosił o orzeczenie kary śmierci, wykonywanej w kilkanaście minut po ogłoszeniu wyroku. Zarzuty stawiane oskarżonym i same procesy, jeśli w ogóle można nazwać procesami postępowania w tych sprawach, wskazują, że mamy do czynienia ze zbrodniami sądowymi. Sąd uchylił tymczasowe aresztowanie, po tym jak aresztowany prokurator odwołał się do sądu drugiej instancji. Sąd zwolnienie z tymczasowego aresztowania uzasadniał tym, że odpowiedzialność za zbrodnię sądową nie jest co do zasady oczywista.

B.P. — *Czy przy podejmowaniu prób osądzania winnych zbrodni sądowych zapadły wyroki skazujące?*

W.K. — Nie, i dodać trzeba, że do tej pory nie został sporządzony akt oskarżenia w sprawie żadnego z żyjących sędziów, sprawców zbrodni sądowych. Prowadzimy natomiast postępowania, które — o czym jestem przekonany — zakończą się takimi aktami oskarżenia zarówno przeciw sędziom, jak i prokuratorom. Według mojego rozeznania, a staram się czytać całą dokumentację wyroków sądowych ocenianych w kategoriach morderstw sądowych, popełnionych w latach 1944–1956, kilkudziesięciu żyjącym prokuratorom i sędziom można postawić zarzut popełnienia zbrodni.

Nie przełamaliśmy jak do tej pory fałszywego wyobrażenia, że toga sędziego, toga prokuratora jest atrybutem wyłącznie człowieka sprawiedliwego. Bywało, że toga stanowiła przebranie zbrodniarza. Jeżeli prokurator lub sędzia zabija człowieka, bo taka jest konsekwencja wyroku skazującego na karę śmierci wydanego z naruszeniem elementarnych reguł sprawiedliwości, to jest zbrodniarzem.

B.P. — *Jak poradziły sobie z tymi problemami inne państwa?*

W.K. — W sprawie tej wypowiedziały się autorytety współczesnego międzynarodowego prawa karnego. Uczeni z Instytutu Maksa Plancka we Freiburgu opublikowali raport, który ukazał się w grudniu 2000 r., zawierający analizę ścigania w poszczególnych państwach zbrodni przeciw ludzkości, popełnionych w okresie panowania totalitarnych reżimów komunistycznych w tych państwach. Polska, ku mojemu głębokiemu żalowi, została zakwalifikowana do kategorii państw, które sprawcom zbrodni komunistycznych zagwarantowały względną nieodpowiedzialność karną. Do kategorii krajów, które zapewniają bezwzględną gwarancję nieodpowiedzialności, zaliczono Federację Rosyjską.

Dodajmy, że w owym raporcie znalazło się stwierdzenie, że Republika Federalna Niemiec jest jednym z nielicznych krajów, które wprowadziły zasadę bezwzględnej odpowiedzialności karnej za zbrodnie reżimu totalitarnego. Odnosi się to do śledztw prowadzonych przez prokuratury RFN w sprawach zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy byłej NRD, w tym sędziów.

B.P. — *Dlaczego Polskę zaliczono do kategorii krajów, które realizują model względnej nieodpowiedzialności karnej?*

W.K. — Aby zrozumieć ten problem, należałoby przeprowadzić analizę porównawczą. Otóż w Niemczech od 1990 r. przeprowadzono prawie dwanaście tysięcy śledztw, które miały za przedmiot zbrodnie popełnione przez funkcjonariuszy energetycznego państwa, prawomocnymi wyrokami skazano 28 funkcjonariuszy NRD. Na palcach jednej ręki można by policzyć skazanych, którzy faktycznie odbywali kary pozbawienia wolności.

W Polsce prowadzono śledztw dziesięć razy mniej, mianowicie 1104. Śledztwa te prowadziła od połowy 1991 r. Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Polski ustawodawca wprowadził wtedy do porządku prawnego pojęcie zbrodni stalinowskiej. W wyniku owych 1104 śledztw zapadły wyroki skazujące w stosunku do 30 sprawców, najczęściej byłych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, którzy stosowali w śledztwie bestialskie metody przesłuchania i przeprowadzali aresztowania osób pod zarzutem działania na szkodę ludowego państwa.

Pomimo że w Niemczech przeprowadzono dziesięć razy więcej śledztw, w Polsce skazano o dwie osoby więcej niż w Republice Federalnej Niemiec. Dodajmy jednak, że sądy polskie wymierzały często karę pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania. Kiedy ukazał się raport Instytutu Maksa Plancka, w grudniu ubiegłego roku zaprosiłem prof. Albina Esera, dyrektora tego Instytutu, do Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, żeby przedstawić nasz punkt widzenia. Przekonywałem go, że raport, w którym Polska została zakwalifikowana do kategorii krajów realizujących model względnej nieodpowiedzialności, jest dla nas krzywdzący. W odpowiedzi usłyszałem, że opracowano go na podstawie międzynarodowych opinii pochodzących z Polski. Z pokorą musiałem więc przyjąć do wiadomości, że między moją determinacją w wykonywaniu ustawy a społecznym odbiorem rezultatów działalności śledczej w postaci skazań sprawców zbrodni stalinowskich zachodzi daleko idąca rozbieżność. I muszę powiedzieć, że taka konstatacja jest dla mnie bolesna.

B.P. — *...taki społeczny odbiór działań Komisji może zmienić zapewne tylko bezwzględne ściganie zbrodni popełnianych w majestacie prawa...*

W.K. — Zauważmy jednak i to, że sprawy, którym postawiono zarzut popełnienia zbrodni komunistycznych, wykorzystują w celu uniknięcia odpowiedzialności za nie wszelkie środki, jakie państwo prawne gwarantuje każdemu oskarżonemu, niezależnie od tego, o co jest oskarżony. Polskę i Niemcy różni to, że w Polsce do tej pory nie doszło do żadnego wyroku skazującego stalinowskiego prokuratora ani też stalinowskiego sędziego za zbrodnie sądowe. Pod tym względem, muszę powiedzieć, niemieckie prokuratury zrobiły znacznie więcej niż dawniej Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, a dziś Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Od chwili rozpoczęcia ścigania zbrodni stalinowskich, a więc

od połowy 1991 r., w ogóle nie zajmowano się problemami odpowiedzialności prawnej za zbrodnie sądowe.

Kiedy w marcu 1998 r. zostałem powołany do kierowania Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, przedstawiłem powołującemu mnie ministrowi sprawiedliwości, pani Hannie Suchockiej, program, który chciałem realizować. Jego częścią było prowadzenie śledztw w sprawie zbrodni sądowych i przedstawienie żyjącym sprawcom tych zbrodni, prokuratorom i sędziom, zarzutów ich popełnienia.

Taki też jest jeden z celów działania Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

B.P. — *Jak zdefiniować pojęcie zbrodni komunistycznych?*

W.K. — Artykuł 2 Ustawy o IPN zawiera definicję zbrodni komunistycznych. Jej istotą jest stosowanie przez funkcjonariuszy komunistycznego państwa represji lub innych naruszeń praw człowieka, stanowiących przestępstwa w momencie popełnienia owych czynów. Czyn sędziego–zabójcy stanowił zbrodnię zabójstwa w momencie jego popełnienia w rozumieniu kodeksu karnego z 1932 r., który obowiązywał do końca 1969 r.

B.P. — *Jak wygląda statystyka śledztw prowadzonych przez Główną Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu? Ile jest własnych śledztw, ile przejętych z Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, ile jest zakończonych, ile umorzonych?*

W.K. — Śledztw w sprawach zbrodni hitlerowskich (obecnie mówimy o zbrodniach nazistowskich), które przejął pion śledczy IPN, a które prowadziła wcześniej Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, było około 90. Śledztw mających za przedmiot zbrodnie stalinowskie, przejętych do dalszego prowadzenia, jest około 200. Wszystkie śledztwa zawieszono z dniem 19 stycznia 1999 r., tj. w dniu wejścia w życie Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Stało się tak dlatego, że ustawa zaczęła obowiązywać, lecz Instytut jeszcze nie powstał. Śledztwa te można było podjąć dopiero po utworzeniu Instytutu Pamięci Narodowej, z jego pionem śledczym, prof. Leona Kieresa. To na jego wniosek, wspólny z wnioskiem ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, premier powierzył mi kierowanie Komisją z dniem 7 sierpnia 2000 r.

Niektóre z zawieszonych śledztw w sprawach zbrodni nazistowskich znajdują obecnie swój finał w treści odpowiedzi, jakie otrzymujemy od prokuratur niemieckich. Przykładem jest śledztwo, które ukończyliśmy i przekazaliśmy władzom niemieckim 6 grudnia 1990 r. Śledztwo dotyczyło zbrodni popełnionej w Radomiu i w dystrykcie radomskim przez funkcjonariuszy policji i służby bezpieczeństwa. Zawiesiliśmy śledztwo, czekając na odpowiedź władz niemieckich, bo według naszych ustaleń sprawcy tej zbrodni przebywali na terytorium Republiki Federalnej Niemiec. Odpowiedź otrzymaliśmy 7 grudnia 2000 r., dziesięć lat później. Prokuratura niemiecka umorzyła śledztwo, ponieważ – jak napisano na 49 stronach uzasadnienia

– nie było dowodowo możliwe, aby konkretnym żyjącym sprawcom postawić zarzut popełnienia opisywanych przez polskich świadków zbrodni.

Gdy chodzi o zbrodnie stalinowskie, popełnione od 1956 r. do końca 1989 r., obecnie nazywane zbrodniami komunistycznymi, to prokuratorzy Głównej Komisji zapoznają się ze śledztwami prowadzonymi przez prokuratury powszechne. I mogą wydawać postanowienia o przejęciu śledztw prowadzonych już wcześniej do dalszego prowadzenia przez IPN.

Wszczynamy także nowe śledztwa. Znajdujemy bowiem nieznane wcześniej dokumenty zbrodni sądowych oraz przyjmujemy zawiadomienia o przestępstwach, składane przez obywateli, którzy piszą, że czekali na powstanie Instytutu, żeby móc podzielić się swymi przeżyciami i doświadczeniem zła, które ich dotknęło.

B.P. – *Czy zgłaszają się tylko pojedyncze osoby, czy całe poszkodowane środowiska? Jak dochodzi do odnajdywania śladów popełnionych kilkadziesiąt lat temu, nieznanymi zbrodniami?*

W.K. – Wykorzystujemy wszystkie źródła. Oto przykład – w prasie ukazał się wstrząsający reportaż o zbrodniach popełnionych po wojnie w Aleksandrowie Kujawskim na jeńcach niemieckich. Sprawcy, samozwańczy strażnicy obozu, w nocy wywoływali jeńców, mówiąc: skazujemy cię na śmierć za to, że jesteś Niemcem, i mordowali ich. Ta publikacja, oczywiście, obowiązała prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej do wszczęcia śledztwa w tej sprawie.

Niektóre śledztwa są wszczynane w wyniku publikacji, które pokazują, że wcześniejsze śledztwa, zakończone wyrokami skazującymi, nie odtworzyły całego obrazu wydarzeń. Takim przykładem jest Jedwabne. Za udział w zamordowaniu żydowskich mieszkańców Jedwabnego prawomocnie skazano w latach 1949–1952 kilkunastu mieszkańców tej miejscowości. Jednego z nich na karę śmierci, zamienioną przez prezydenta Bieruta na karę piętnastu lat pozbawienia wolności. Książka Jana T. Grossa dała asumpt do ponownego wszczęcia śledztwa dla udzielenia odpowiedzi na pytanie, jaki był zakres współdziałania polskich mieszkańców Jedwabnego w zamordowaniu tamtejszych Żydów.

B.P. – *Czy po 1956 r. popełniano zbrodnie sądowe?*

W.K. – Po 1956 r. liczba procesów, które można zakwalifikować jako zbrodnie sądowe, znacznie się zmniejsza, z wielu przyczyn. Nie było już zbrodni sądowych, które miałyby charakter skrytobójstw. Wcześniej odbywały się tak zwane procesy kiblowe, w których sędzia orzekał wyłącznie na podstawie akt spreparowanych przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, na terenie więzienia, w którym odbywał się „proces”, i tam komunikował wyrok skazanemu. Mamy taką relację świadka: kiedy skazanego wywołano z celi na „proces”, roznoszono właśnie zupę, wrócił z wyrokiem, a zupa jeszcze była ciepła. Były to skrytobójstwa sądowe, które po 1956 r. już się nie zdarzają. Przełamana została bariera strachu, który nakazywał milczenie. Informacje o metodach działania reżimu komunistycznego przedostawały się na zewnątrz. Zaczęła

działać rozgłośnia Radia Wolna Europa, ludzie przestali się bać rozmawiać, mechanizm odmóżdzenia, którego kołem napędowym jest strach – bać się własnych myśli, by nie zostały głośno wypowiedziane – przestał działać po 1956 roku...

B.P. – ...a przynajmniej przestał dobrze funkcjonować...

W.K. – Dlatego po 1956 r. takich procesów, odbywających się wyłącznie na podstawie akt bezpieki, przeprowadzanych w samym więzieniu, już nie odnotowujemy. Wiadomo było bowiem, że już się nie da ich ukryć. Druga kategoria zbrodni sądowych okresu stalinizmu to procesy pokazowe. Procesów pokazowych po 1956 r. także już nie ma.

Panuje takie przekonanie, że po 1953 r., po śmierci Stalina, polski aparat bezpieczeństwa sam się zreflektował i opresyjność tego, co składało się na ówczesny „system wymiaru sprawiedliwości”, uległa zmniejszeniu. Czytałem jednak niedawno akta pewnej kobiety – Felicji G., aresztowanej w 1955 r., skazanej w 1956 r. Jak głosił akt oskarżenia, sprawczyni między 4 września 1953 r. a 22 listopada 1954 r. w swym mieszkaniu w Opolu w celu rozpowszechnienia sporządziła cztery anonimowe pisma, zawierające fałszywe wiadomości dotyczące m.in. zbrodni katyńskiej, rzekomego wyzysku klasy robotniczej i pracującego chłopstwa w Polsce Ludowej, złych warunków bytowych kolchoźników w Związku Radzieckim oraz szkalujące rządy tychże państw. Następnie za pośrednictwem poczty przesała swe listy przewodniczącemu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu i we Wrocławiu oraz sekretarzowi podstawowej organizacji partyjnej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w swym zakładzie pracy, czym – jak konkludowało oskarżenie – mogła wyrządzić istotną szkodę interesom państwa polskiego. Skazano ją na początku 1956 r. na cztery lata więzienia. Czy jest to przykład przestępstwa sądowego? Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Takie procesy odbywały się i później, przy czym, podkreślam, zasadnicza zmiana polegała na tym, że nie zapadały wyroki skazujące na karę śmierci, tak jak w wypadku sanitariuszki oddziału „Łupaszki”, Siedzikówny, o której już mówiliśmy. System represyjny posługiwał się najczęściej karą pozbawienia wolności. Ale jeśli pyta pani, czy po 1956 r. popełniano zbrodnie sądowe, odpowiem – oczywiście, tak. Powiem więcej – w orzecznictwie, także Sądu Najwyższego, z czasu stanu wojennego znajdziemy z całą powagą sformułowane identyczne tezy z tymi, które legły u podstaw skazania mieszkanki Opola Felicji G. Sąd Najwyższy skonstatował mianowicie, że przestępstwem jest głośne odczytanie we własnym mieszkaniu listu, jaki oskarżony właściciel mieszkania otrzymał w 1982 r. od osoby internowanej. List został odczytany w obecności gości oskarżonego. W liście znalazły się fałszywe informacje, mogące – zdaniem sądu – wyrządzić istotną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, dlatego też odczytanie go we własnym mieszkaniu jeszcze w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych było przestępstwem. Nic się tutaj w myśleniu sędziów nie zmieniło.

B.P. – Chciałam zapytać o śledztwo najświeższej daty, najbliższe 1989 r., które prowadzi Główna Komisja. Czego ono dotyczy?

W.K. — Jest to sprawa funkcjonariuszki służby bezpieczeństwa, która w stanie wojennym z niesłychanym okrucieństwem traktowała aresztowanych członków NSZZ „Solidarność”.

B.P. — ***Jak wygląda współpraca z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości Rosji? Jest wiele spraw, które powinny być wspólnie wyjaśnione. Czy istnieje jakaś szansa, żeby impas w tych sprawach został przełamany?***

W.K. — Myślę, że na to pytanie odpowiada wspomniany już raport Instytutu Maksa Plancka. Otóż, jak już mówiłem, Federacja Rosyjska została zaliczona do krajów, które realizują model oparty na gwarancji pełnej nieodpowiedzialności sprawców za zbrodnie popełnione przez totalitarny system komunistyczny. Jeśli chodzi o moje doświadczenia, to odwołam się do przykładu. Zwróciliśmy się, prowadząc jedno ze śledztw, o udostępnienie nam materiałów dotyczących funkcjonariuszy NKWD, którzy po wojnie pełnili w Polsce funkcję organizatorską systemu politycznych represji. Chodziło o Wozniesińskiego i Skulbaszewskiego. Poznanie dokumentacji dotyczącej obu enkawudzistów było konieczne dla zrozumienia mechanizmów ujawnionych w śledztwie, których jednak nie byliśmy w stanie do końca odtworzyć, szukając relacji między wydającymi polecenie a wykonawcami. Federacja Rosyjska odmówiła nam udostępnienia dokumentów obu funkcjonariuszy, powołując się na zasadę niewydawania dokumentów dotyczących obywateli ZSRR w żadnym celu, także gdy chodzi o działalność Głównej Komisji. Prokuratura Federacji Rosyjskiej poinformowała nas jednocześnie, że Komisja nie dostarczyła przekonujących dowodów popełnienia przez Skulbaszewskiego czy Wozniesińskiego zbrodni przeciwko narodowi polskiemu, nie ma zatem żadnych podstaw, by udostępnić nam dokumenty. Nasz argument, że właśnie dostęp do tych dokumentów pozwoliłby nam przedstawić dowody na organizatorską rolę obu w systemie bezprawia w Polsce w okresie stalinowskim, pozostał bez odpowiedzi.

B.P. — ***Czy jest to jedyny wypadek odmowy współpracy?***

W.K. — Jeszcze gorsze doświadczenia mieliśmy z prokuraturą Ukrainy. Chodziło o sprawę zbrodni w Złoczowie. W pierwszych godzinach wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. NKWD zamordowało 1600 więźniów — Polaków, ukraińskich nacjonalistów i Żydów. Mordowanie więźniów w Złoczowie i innych więzieniach NKWD od pierwszych chwil, gdy bomby niemieckie zaczęły spadać na sowieckie terytorium, musiało być oparte na wcześniej wydanych rozkazach. Jeżeli jednak instrukcje takie zostały opracowane przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, to nie jest prawdą, że Związek Sowiecki nie spodziewał się napaści ze strony swego sojusznika.

Prokuratura Ukrainy przed dwoma laty odpowiedziała nam, że nie kwestionuje naszych ustaleń, według których NKWD wymordowało 1600 więźniów w Złoczowie (w sumie przekazaliśmy materiały sześciu śledztw dotyczących różnych więzień na terenie Związku Sowieckiego). Stwierdzono jednocześnie, że nastąpiło to na rozkaz najwyższych władz ZSRR, co sprawia, że nie jest to zbrodnia wojenna ani zbrodnia

przeciwko ludzkości i dlatego nie może być przedmiotem śledztwa, gdyż uległa przedawnieniu. Prokuratura Ukrainy nie udzieli nam pomocy prawnej, nie wskaże sprawców i nie dostarczy nam innych dokumentów, o które wnioskowaliśmy. Tu urywa się jakikolwiek dialog prawniczy.

Jeszcze gorzej wyglądają kontakty z Białorusią, bo Białoruś odmawia nawet potwierdzenia, że otrzymuje naszą dokumentację.

B.P. — *Czy były jakieś próby nacisku z zewnątrz na pion prokuratorski?*

W.K. — Ja się z tym nie spotkałem. Oczywiście, otrzymuję listy, które dają mi wsparcie, i takie, które są wyrazem najdalej idącej dezaprobaty dla działalności pionu śledczego IPN. Czasami podpisane, czasami nie. Wśród tych, które zawierają zarzuty, więcej jest listów niepodpisanych. Czytam wszystkie bardzo uważnie, ponieważ pokazują, jak jest oceniana działalność pionu śledczego.

B.P. — *Jaką satysfakcję zawodową daje Panu praca w Instytucie Pamięci Narodowej?*

W.K. — Daje mi wielką satysfakcję. Między innymi dlatego, że uwiarygodnia mnie jako nauczyciela akademickiego. Dla moich słuchaczy na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego ważne jest to, czy nauczyciel prowadzący wykład i seminaria jest wyłącznie teoretykiem, czy także praktykiem, czy ma odwagę i doświadczenie, by swoje przekonania przenieść na grunt stosowania prawa, a nie tylko teoretycznej nad nim refleksji. Ze swoich doświadczeń z okresu studiów wiem, jak łatwo studenci rozpoznają każdy fałsz w wypowiedzi nauczyciela akademickiego.

Dzisiaj też widzę zagrożenia dla wiarygodności uniwersyteckiego wykładu. Ponieważ nie osądziliśmy zbrodni komunistycznego systemu, ilekroć mówię o roli sprawiedliwości w demokratycznym państwie, mam poczucie, że ciąży na nas owo zło, które nigdy nie zostało ukarane. Nie mogę przyjąć, że sprawiedliwa Rzeczpospolita zaczęła się na przełomie lat 1989 i 1990, i lepiej zapomnieć o przeszłości. Nie można budować sprawiedliwej Rzeczypospolitej na fundamencie niepamięci. Co ja sam mogę w tej sprawie zrobić? Przynajmniej próbować.

USTALAM WSZYSTKIE OKOLICZNOŚCI

Z prok. Radosławem Ignatiewem
rozmawiają Barbara Polak i Tomasz Danilecki

B.P. — *Prowadzi pan śledztwo w sprawie wydarzeń w Jedwabnem, jaka jest pana opinia na temat procesu z 1949 r. w sprawie mordu popełnionego na ludności żydowskiej?*

R.I. — Już kiedyś wyraziłem swoją opinię na temat tego procesu. Został on naprawdę niechlujnie przeprowadzony (to określenie najlepiej oddaje moją ocenę). Sam sposób prowadzenia śledztwa — przesłuchiwanie świadków, procedowania w sądzie — wskazuje, że nie zbadano wszystkich okoliczności, które należało uwzględnić. Wiadomo, że w trakcie przesłuchań pojawiły się dane dotyczące innych osób, poza oskarżonymi, które miałyby w tej zbrodni czynnie uczestniczyć. Ani organ postępowania przygotowawczego (wówczas prowadził tę sprawę Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Łomży), ani potem sąd nie odniosły się do tego. Mówiono o panu Iksińskim czy Igrakowskim, że zrobili to czy tamto, ale nie podjęto żadnej próby sprawdzenia tego typu zeznań i wyjaśnienia związku tych osób ze sprawą. W procesie oskarżonym postawiono zarzut pomocnictwa (w szerokim rozumieniu) Niemcom w popełnieniu zbrodni w Jedwabnem. Zawarte w aktach sprawy dane wskazywały na czynne uczestnictwo pojedynczych Polaków w zbrodni. I tym się nikt nie zajął, nie ma żadnych danych w aktach, które by wskazywały, że cokolwiek w tej sprawie zrobiono. Świadek coś powiedział, ale śledztwo szło swoim tokiem. Skazano pana A, B, C, chociaż wcześniej mówiono jeszcze o panu D, G, H.

B.P. — *Czy według pana ci, którzy zostali skazani, zostali skazani słusznie, czy ma pan jakieś wątpliwości?*

R.I. — Należy postawić pytanie, czy postępowanie było tylko nieporządnie prowadzone, czy też łamano prawo. W aktach procesu jest pewien ślad, chodzi o wyjaśnienia głównych oskarżonych, że stosowano niedozwolone metody. Dotarłem do osób, które uczestniczyły w tym procesie jako oskarżeni i świadkowie. Twierdzą one, że stosowano niedozwolone metody oraz że nie zapisywano relacji tak, jak świadkowie je podawali. To wszystko należy sprawdzić, bo wiadomo, świadek może się mylić, kłamać, zapomnieć, może naczytał się jakichś publikacji. To się często zdarza, że świadkowie mówią językiem mediów.

B.P. – *Z pewnością będzie miał pan z tym duży kłopot, bo media bywają bardzo agresywne w tej sprawie.*

R.I. – Specyfika sprawy polega na tym, że panuje wokół niej niesłychany rozgłos. Media podają różne fakty dotyczące okoliczności zbrodni, niektóre z nich są prawdziwe, inne przeinaczone. I ludzie konfrontują swoją pamięć o niej z tym, co czytają w opracowaniach i gazetach. Czasami ich relacje to zlepek tego, co pamiętają, i tego, co przeczytali. Zdarza się, że świadek, który działa i zeznaje w dobrej wierze, luki w pamięci uzupełnia konfabulacją. Chce pomóc przesłuchującemu lub ma poczucie wagi sprawy, więc nie chce zawieść oczekiwań prokuratora, który do niego dotarł. To wszystko można jednak sprawdzić, ponieważ prawidłowe postępowanie polega na dotarciu do jak największej liczby źródeł, które są później weryfikowane.

B.P. – *A jak wygląda prowadzona przez pana sprawa? Czy znalazł pan jakieś nowe fakty, nieznane z poprzednich procesów?*

R.I. – Dobłą stroną rozgłosu wokół Jedwabnego jest to, że zgłaszają się nowi świadkowie. Już wcześniej kilkakrotnie zwracałem się do mieszkańców Jedwabnego z apelem o pomoc, ale nie mógł on trafić do wszystkich, którzy mieliby coś do powiedzenia. Teraz, kiedy cała Polska na ten temat pisze i mówi, dotarło to do wielu osób, które mają informacje na temat zbrodni. Zaczęły się zgłaszać osoby mieszkające w różnych miejscach. Są też świadkowie spoza granic kraju, którzy zostaną przesłuchani możliwie najszybciej.

B.P. – *Jeszcze chciałam uściślić, tak dla porządku, że rozmawiamy o pierwszym procesie w sprawie Jedwabnego, który się zakończył w 1949 r.*

R.I. – Były trzy postępowania – w 1949 r., w którym zarzuty postawiono 22 osobom, w 1953 r. – dotyczyło jednej osoby, a jeszcze później, w 1967 r., Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Białymstoku prowadziła postępowanie przeciw funkcjonariuszom niemieckim, które zakończyło się przekazaniem ścigania prokuraturze niemieckiej. Zostało ono umorzone, ponieważ nie ustalono miejsca pobytu wskazanych sprawców bądź nie zebrano dowodów ich winy.

T.D. – *Wróćmy do procesu z 1949 r. Czy pana zdaniem te osoby zostały słusznie skazane? Czy to były właściwe osoby?*

R.I. – Na pewno nie wszyscy sprawcy zostali objęci tym procesem. Można to powiedzieć z całą pewnością, ponieważ w aktach sprawy pojawiły się jeszcze inne nazwiska. Już o tym mówiłem. Wracając do pana pytania, należy pamiętać, że tuż po wojnie sądzono szybko (może to była reguła postępowania sądowego w tamtych czasach). Jeśli jednak stwierdzi się, że proces nie jest prowadzony optymalnie, to również powstaje wątpliwość co do słuszności wyroku. Silne sformalizowanie procedury karnej ma doprowadzić do tego, że winni zostaną skazani, a niewinni nie poniosą kary. Jeśli stwierdzi się, że są uchybienia w tej procedurze, to rodzi się podejrzenie co do wyników sprawy.

B.P. – *A czy nie mogło się tak zdarzyć, uwzględniając czasy, w których się to odbywało, że proces miał podtekst ideologiczny czy polityczny?*

R.I. – Chociaż w tamtym czasie odbywały się procesy polityczne, w tej sprawie dotąd nie ma przesłanek, które wskazywałyby, że był jakiś nakaz udowodnienia winy. W tamtym procesie chodziło o to, żeby przeprowadzić go szybko i jakoś zakończyć. Było zawiadomienie o przestępstwie, złożone przez osobę narodowości żydowskiej, była relacja Wassersztajna, przeprowadzono postępowanie, aresztowano podejrzanych. Odbył się proces, mimo że części wskazywanych sprawców nie odnaleziono – na przykład burmistrza Karolaka. W czasie postępowania nie zajmowano się ewentualnym sprawstwem innych osób. Sprawę prowadzono zgodnie z zarzutem postawionym tym 22 osobom. Co do niektórych z nich, istniały dane, że mają bezpośredni udział w zbrodni, podobnie jak inne osoby nie objęte zarzutami. Wobec podejrzanych sformułowano zarzut, że udzielili pomocy, to znaczy, iż doprowadzili ludzi na rynek, pilnowali ich tam, a potem konwojowali do stodoły. Oskarżenie opierało się na zarzucie z artykułu 1 Dekretu z 31 sierpnia 1944 r. Przepis ten mówi m.in. o udzielaniu niemieckim siłom okupacyjnym pomocy w popełnianiu zabójstw. W rozumieniu tego artykułu pomocą taką był udział cywilów w konwojowaniu ludzi na miejsce zbrodni czy ich obecność przy egzekucji. Bardzo różne czyny penalizowano z tego artykułu. Przy czym groził za ten czyn tylko jeden rodzaj kary – kara śmierci. I wykonywano takie wyroki. Nie znam dokładnej statystyki, ale w latach czterdziestych i pięćdziesiątych orzeczono około 3 tys. wyroków śmierci. Wracając do wydarzeń w Jedwabnem – było w sumie 12 skazanych i tylko jeden wyrok śmierci. Prezydent Bierut w drodze łaski zamienił go na 15 lat więzienia. Pozostałe kary to więzienie – 12 lat, 8 lat, mniej. A więc sąd znalazł okoliczności wskazujące, że nie można było zastosować najsurowszej kary.

B.P. – *Czy pan to potrafi wyjaśnić?*

R.I. – Potrafię zrozumieć logikę sądu, bo po analizie tych materiałów nie mógł zapaść inny wyrok. Nie postawiono zarzutu współudziału w zabójstwie poprzez zamknięcie ludzi w stodole i jej podpalenie.

B.P. – *A czy może pan powiedzieć, kto ją podpalił?*

R.I. – Z akt tamtego procesu wynikałoby, że Niemcy.

T.D. – *Czy na podstawie dzisiejszych ustaleń może pan powiedzieć, że Polacy brali czynny udział w tej zbrodni?*

R.I. – Mogę powiedzieć, że mam bardzo ciekawe materiały dowodowe, ale bronię się przed ich przedczesnym ujawnieniem. Wokół tej sprawy panuje nadmierne rozgłos. Głos zabierają ludzie, którzy dysponują niepewnymi danymi, ale za to z wielką stanowczością formułują sądy. Informacje o danych uzyskanych w obecnym śledztwie, np. z zeznań kolejnych świadków, mogłyby podsyć tę niezdrową atmosferę sensacji. Prokurator winien kierować się zasadą, że zabiera głos, gdy jest czegoś pewien. Jeśli świadek mi mówi, bardzo stanowczo, że był na miejscu zbrodni, że wi-

dział, kto oblewał stodołę, widział, kto podpalał, jest to źródło dowodowe. Jednak poszukuję jeszcze innych dowodów, które potwierdzą zeznania świadka albo je zaniegują. Muszę być ostrożny i cały czas analizować, czy zeznająca osoba nie myli się, nie zmyśla. Przecież upłynęło blisko 60 lat.

B.P. — *Czy można twierdzić, że wiemy coś z całą pewnością o przebiegu wydarzeń w Jedwabnem?*

R.I. — Pewne jest, że 10 lipca 1941 r. do stodoły w Jedwabnem zapędzono ludzi i okrutnie tam zamordowano. Najprawdopodobniej nie wiedzieli, jaki czeka ich los. Ten motyw pojawia się w relacjach. To by tłumaczyło, dlaczego szli bez żadnego oporu. Ktoś, kto by się spodziewał, co go czeka, próbowałby uciekać. Wiem także, że w eskorcie uczestniczyli Polacy. Na pewno Polacy wcześniej wyprowadzali z domów, pilnowali zgromadzonych na rynku. Byli również pod stodołą. Pojawiają się informacje, że było ich kilkudziesięciu. Wszystkie inne okoliczności są sprawdzane. Można się zastanawiać, czy takie sprawdzenie jest możliwe po kilkudziesięciu latach. Myślę, że tak. Im więcej będę miał materiałów, źródeł, tym pewniej będę mógł odtworzyć przebieg wydarzeń. Nawet jeśli świadkowie będą niezgodnie zeznawali, to z kilkudziesięciu relacji opisujących tę zbrodnię będę mógł odtworzyć jej okoliczności w miarę pewnie. Świadcówkę są przesłuchiwać tak, by móc ich zeznania zweryfikować. Zasada jest prosta, świadka przesłuchuję bardzo dokładnie, zadaję mu pytania kontrolne i sprawdzające. W ten sposób można ustalić, czy jego oświadczenie jest rzetelne i prawdziwe. Odpowiednio długie przesłuchanie świadka, dotyczące najróżniejszych, najdrobniejszych szczegółów, nie tylko związanych z samą zbrodnią, pozwala później dokonać weryfikacji. Jeśli świadek nie myli się w tych szczegółach, mówi wiarygodnie, można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że również jego opis zbrodni jest ścisły. Jest jeszcze i ta trudność, że świadkowie często zgłaszają się z pewnymi tezami. Rzadziej zdarzają się osoby zupełnie bezstronne. Świadcówkę bardzo emocjonalnie podchodzą do tej sprawy, i to też w pewien sposób ich określa. To również trzeba brać pod uwagę.

B.P. — *Ilu pan świadków przesłuchał?*

R.I. — Około 20 osób, przy czym niektóre kilkakrotnie. Planuję przesłuchanie kolejnych kilkunastu. Ponadto są świadkowie poza granicami kraju, a wśród nich osoby pokrzywdzone. Ich przesłuchanie wymaga przygotowania. Trzeba zgromadzić odpowiedni materiał i oczywiście uzyskać zgodę władz sądowych państw ich pobytu na wykonanie niezbędnych czynności. Takie postępowanie wynika z bilateralnych umów o pomocy prawnej.

T.D. — *Czy 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem byli Niemcy?*

R.I. — Tak.

T.D. — *Ilu? Czy tylko tych kilkunastu żandarmów?*

R.I. — Na tym etapie śledztwa nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Są świadkowie, którzy twierdzą, że udział Niemców w zbrodni był dość znaczny. Nikt raczej nie ma wąt-

pliwości, że zbrodnia była przez Niemców fotografowana i prawdopodobnie filmowana. Ten niemiecki ślad należy sprawdzić także w zagranicznych archiwach. Jeśli to była zorganizowana akcja niemiecka, być może są tam jakieś dokumenty na ten temat.

T.D. — *Jeśli to była zorganizowana akcja niemiecka, na filmie zapewne będą sami Polacy*

R.I. — Zapewne tak.

T.D. — *Wspomniał pan o Wassersztajnie. Czy mógł być naocznym świadkiem tych wszystkich wydarzeń?*

R.I. — Moim zdaniem Szmul Wassersztajn nie widział tego wszystkiego, o czym pisał w swojej relacji. Trzeba pamiętać, że Wassersztajn, razem z sześcioma innymi osobami, ukrywał się przez dwadzieścia kilka miesięcy u małżonków Wyrzykowskich. To rozumiałe, że ukrywający się opowiadali swoje przeżycia. Przekaz Wassersztajna jest zatem typową relacją zbiorową. Dlatego jest taki bogaty w szczegóły. Z drugiej strony nie wszystkie okoliczności z tego dokumentu zostały, jak dotąd, poparte dowodami. Co do relacji innych pokrzywdzonych, to sprawa jest dość skomplikowana. Nie możemy zakładać, że są absolutnie wiernym odtworzeniem faktów. Są np. relacje Ryfki Fogel i Icchaka Neumarka, którzy się wówczas uratowali. Ryfka Fogel twierdzi przykładowo, że dwie żydowskie kobiety, które się utopiły razem z dziećmi, popełniły samobójstwo, że Polacy nawet je początkowo wyciągali ze stawu. Neumark potwierdza fakt tego samobójstwa, jednak podkreśla, że towarzyszyły mu szyderstwa i drwiny gapiów. I tu widać, że również w relacjach ocalonych występują sprzeczności. Poza tym trzeba pamiętać, że część tych dokumentów wtedy, w 1945 r., była dość swobodnie tłumaczona. Dopiero teraz Żydowski Instytut Historyczny przygotowuje wierne tłumaczenia części relacji z hebrajskiego i jidysz na język polski. Jest też prawdopodobne, że zachowały się jeszcze inne takie dokumenty. Szukamy ich, np. z ŻIH dostaliśmy relację Aleksandra Wyrzykowskiego, na którego posesji przez pewien czas ukrywał się Szmul Wassersztajn i inni Żydzi.

T.D. — *Chciałem jeszcze zapytać o drastyczne sceny z 25 czerwca 1941 r., które opisuje Gross. Czy z relacji świadków wynika, że miały one miejsce?*

R.I. — Tego dnia miano rabować domy żydowskie i zabić kilka osób. Dlatego wypytuję wszystkich świadków na ten temat. Przesłuchiwani twierdzą, że nic na temat takich zbrodni nie wiedzą.

T.D. — *Niemal identyczne relacje pojawiają się również w związku z wcześniejszymi wydarzeniami, np. w Radziłowie.*

R.I. — Trudno mi robić jakiegokolwiek uogólnienia. 30 marca tego roku wszcząłem śledztwo w sprawie zbrodni w Radziłowie, dokonanej na trzy dni przed pogromem w Jedwabnem. Podstawą do rozpoczęcia postępowania były dane uzyskane w toku śledztwa w sprawie zbrodni w Jedwabnem. Należy nadmienić, że w ŻIH w Warszawie przechowywane są relacje osób, które uniknęły śmierci i obserwowały zagładę żydowskiej społeczności w Radziłowie. W miejscowości tej zabito około 800 osób,

częściowo przez spalenie w stodole. Dziś wiadomo, że przeciw jednemu ze sprawców tej zbrodni prowadzono postępowanie karne.

B.P. — *Czy można powiedzieć, że w obu miejscowościach realizowano jakiś jeden scenariusz?*

R.I. — Mimo pewnych podobieństw w obu sprawach, nie można teraz twierdzić z pewnością, że realizowano tu jakiś wspólny scenariusz. Na przykład 27 czerwca 1941 r. spalono dzielnicę żydowską w Białymstoku, zrobili to bez wątpienia Niemcy. Spalono wtedy także wielką synagogę, do której zagoniono miejscowych Żydów. Ale na tym kończą się podobieństwa. W Białymstoku w ogóle nie pojawia się problem ewentualnego udziału Polaków.

B.P. — *Chodziło mi o zbieżność co do domniemanych motywów Polaków, którzy mieliby uczestniczyć w zajściach w Radziłowie, Jedwabnem i innych miejscach. Wśród motywów wymienia się chęć wzbogacenia i zemstę za współpracę z okupantem sowieckim.*

R.I. — To wszystko trzeba zweryfikować. Z materiałów, które posiadamy, wyłaniają się przesłanki do poznania motywów ewentualnego działania: jeden, że to była zemsta za prawdziwe bądź domniemane kontakty osób narodowości żydowskiej z okupantem sowieckim i współpracę z nim, przy czym ta zemsta miałaby dotknąć wszystkich, a więc i kobiety, i dzieci, oraz tych, którzy nie mieli żadnego kontaktu z Sowietami. Drugi przypuszczalny motyw byłby taki, że chodziło o rabunek, ponieważ wśród uczestników zajęć były osoby, które dostrzegły możliwość policzenia się z kimś i obrabowania go.

T.D. — *Czy jest pan w stanie powiedzieć, w ilu miejscowościach w powiecie łomżyńskim doszło w tym czasie do takich pogromów? I ile osób w nich zginęło? Ile osób zginęło w Jedwabnem?*

R.I. — Tę sprawę mogą rozstrzygnąć przede wszystkim historycy i to oni wypowiadali się na ten temat już jakiś czas temu. Odwołam się chociaż do relacji pana Szymona Datnera, opublikowanej w latach sześćdziesiątych w biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Andrzej Żbikowski artykuł o pogromach na terenach wschodnich opublikował w „Biuletynie ŻIH” w 1992 r. Przede wszystkim jednak należy ustalić, jak definiujemy pojęcie pogromu: czy chodzi o współdziałanie z okupantem niemieckim, czy o samorzutne wystąpienia ludności, czy wreszcie o wszelkie wystąpienia przeciw Żydom. Wiadomo, że jednym z głównych zadań hitlerowców była eksterminacja ludności żydowskiej. Zajmowały się tym Einsatzkommando, Wehrmacht, a później jeszcze mniejsze jednostki policyjne. W ten zbrodniczy plan wpisane było także przyzwolenie na antyżydowskie wystąpienia wśród ludności podbitych terenów. Ponieważ jest to bolesny fragment naszej historii, trzeba być bardzo ostrożnym w ferowaniu pochopnych wyroków. Na pewno nie będę najpierw stawiać tezy, a potem zastanawiać się, czy pasują do niej dowody. W aktach są materiały wskazujące, że w Jedwabnem zginęło od kilkuset do 1642 osób. Ilu ludzi zginęło naprawdę? Staram

się to ustalić. Niższe szacunki wynikają z relacji naocznych świadków, liczba 1642 osób pochodzi z ankiety, w której pytano o masowe groby i masowe mordy. Taka ankieta została rozesłana w 1945 r. za pośrednictwem sądów grodzkich do różnych miejsc na zlecenie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Z tych, którzy byli na rynku w Jedwabnem, zdołało uciec m.in. siedem osób, które przechowywali małżonkowie Wyrzykowscy. Wiemy jednak również, że wydarzenia 10 lipca przeżyło więcej osób, te, które potem znalazły się m.in. w getcie w Łomży, czy osoby, które później złożyły relacje.

B.P. – *Czy jest jakiś ślad, że na przebiegu kolejnych śledztw ciążyła działalność Wassersztajna? Prof. Strzembosz podaje, że Wassersztajn po wojnie pracował w łomżyńskim UB.*

R.I. – Wassersztajn, poza tą relacją, którą złożył, w sprawie w ogóle się nie pojawia. Nie jest przesłuchiwany jako świadek. Jest tylko jego relacja, którą włączono do pierwszego śledztwa. Gdyby jako funkcjonariusz UB działał przy powojennych procesach, powinny one inaczej wyglądać. Relacje o jego pracy w UB należy zweryfikować. Najlepszym materiałem byłaby jegoteczka osobowa. Każdy współpracownik Urzędu Bezpieczeństwa miał taką teczkę. Sprawdzamy i to.

B.P. – *Kiedy pan spodziewa się zakończenia śledztwa?*

R.I. – Pan prof. Kieres powiedział niedawno, że śledztwo nie zostanie ukończone w lipcu. Pojawiają się nowi świadkowie, trwają kwerendy w zagranicznych archiwach i zakończenie śledztwa nie jest możliwe w tym terminie.

T.D. – *Jak ocenia pan wagę dokumentów w sprawie Jedwabnego, odkrytych ostatnio w Archiwum Państwowym w Łomży? Mówią one wyraźnie o Niemcach jako sprawcach pogromu.*

R.I. – Dokumenty te należy przejrzyć i ustalić, w jaki sposób będą użyteczne w prowadzonym śledztwie. Już dziś można stwierdzić, że wydatnie pomogą przy ustalaniu kolejnych osób pokrzywdzonych.

B.P. – *Czy w kręgu osób, które pan przesłuchuje, mogą być sprawcy?*

R.I. – Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Mogę oznajmić, że przesłuchiwałem osoby, które były oskarżone w procesie z 1949 r. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Jeśli zbiorę dane pozwalające na postawienie komuś jakiegoś zarzutu, to oczywiście to zrobię. Na razie ustalę wszystkie okoliczności.

T.D. – *Czy na podstawie materiałów ze śledztwa może pan powiedzieć, dlaczego doszło do pogromu w Jedwabnem?*

R.I. – Mam wyrobiony pogląd, ale nie wiem, czy moja odpowiedź pana zadowoli. Z mojego doświadczenia prokuratorskiego wynika, że czasami bardzo niewiele trzeba, aby normalny człowiek stał się okrutnym zbrodniarzem. Właściwie nigdy nie można przewidzieć, co w kim drzemie.

B.P. – *I jak sądzę, nie ma to nic wspólnego z przynależnością narodową – nie ma narodów morderców i narodów ofiar.*

R.I. – Dla mnie jest to oczywiste, że nie ma narodów morderców czy narodów świętych. Są ludzie, którzy popełniają zbrodnie. Podkreślam mocno, że dla mnie Jedwabne to jest kwestia ofiar i zbrodniarzy, a nie ich narodowości. Takie podejście pozwala spokojnie przeprowadzić śledztwo, choć z drugiej strony nie można całkowicie pominąć kwestii narodowości zgładzonych i sprawców. To, co się stało w Jedwabnem, mogło się wydarzyć absolutnie wszędzie. I wydarzało się. Fala takich wystąpień przetoczyła się przez całą Europę. Były wszędzie tam, gdzie pojawiły się przyczółki zbrodniczego ustroju hitlerowskiego, który miał w założeniu likwidację Żydów. Jego twórcy i realizatorzy zrobili wszystko, żeby ten cel osiągnąć. A jeśli ich zamierzenia, ten sprzyjający klimat i przyzwolenie popchnęły kogoś do zbrodni – to były decyzje i postęпки poszczególnych osób.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 3, kwiecień 2001

WRÓG NUMER JEDEN

O stosunkach państwo-Kościół w okresie PRL
z Antonim Dudkiem

B.P. — *Prowadzi pan badania dotyczące m.in. stosunków państwo-Kościół w czasach władzy ludowej. Zaczniemy od roku 1944. Trwa wojna. Nie ma państwa polskiego. Są dwa rządy i dwie armie. Jest jeden Kościół. Co on ma wtedy do zrobienia i co robi?*

A.D. — Ma bardzo wiele do zrobienia. Mówimy o tych obszarach, na których ustępuje panowanie niemieckie, przychodzi Armia Czerwona, oddziały armii berlingowskiej, zaczynają tworzyć się organy władzy komunistycznej i pojawia się zasadniczy problem relacji między władzą komunistyczną a Kościołem. Kościół oczywiście od początku podchodzi do niej z ogromną nieufnością, wiedząc o tym, co działo się z Kościołem katolickim, z religią w Rosji Radzieckiej, na polskich terenach okupowanych przez Związek Radziecki w latach 1939–1941. Spodziewano się surowych represji. I tu okazuje się, że one nie następują. (Poza przypadkami ewidentnego zaangażowania się duchownych we wsparcie dla podziemia politycznego czy działania jednoznacznie opozycyjne wobec nowej władzy). W latach 1944–1947 komuniści bardzo dobrze traktują Kościół katolicki. Z czego to wynika? Mianowicie ze strategii różnicowania przeciwników. Komuniści postrzegali Kościół jako przeciwnika, ale znajdował się on na końcu listy przeciwników, bo nie ścierał się z nimi na forum politycznym czy gospodarczym, ale na forum ideologicznym i światopoglądowym. Uważano, że najpierw trzeba zlikwidować opór zbrojny, podziemny i legalny, czyli NSZ, WiN, poakowskie organizacje podziemne, później opozycję jawną, czyli od 1945 r. — PSL i Mikołajczyka. Dopiero potem przyjdzie pora na Kościół katolicki. Pierwsze gesty władzy, ku zaskoczeniu hierarchii kościelnej, były przyjazne. Na przykład reaktywano Katolicki Uniwersytet Lubelski w 1944 r., w tzw. Polsce Lubelskiej, rozciągającej się do Wisły, zgodzono się na przywrócenie nauki religii w szkołach. Dalej, Kościół uzyskał kontrolę nad ponemieckim majątkiem kościelnym. Władze nie przeszkadzały administratorom apostolskim, wyznaczonym przez prymasa Hłonda na podstawie pełnomocnictw ze Stolicy Apostolskiej, w tworzeniu polskich struktur kościelnych na ziemiach zachodnich, traktując to oczywiście jako element międzynarodowego uznania prawa Polski do tych ziem.

Sytuacja zaczyna się zmieniać mniej więcej w 1947 r. Oczywiście, już wcześniej UB oraz Informacja Wojskowa podejmowały próby infiltracji struktur kościelnych oraz pozyskiwania agentury. Niemniej zasadnicza ofensywa przeciw Kościołowi zaczyna się w październiku 1947 r.

B.P. — Co się wtedy stało?

A.D. — Po sfałszowanych przez komunistów wyborach Mikołajczyk w październiku 1947 r. ucieka z Polski — jest to symbol końca PSL. Podziemie zbrojne istnieje wprawdzie, ale jest już bardzo słabe. Pozwala to ministrowi bezpieczeństwa Stanisławowi Radkiewiczowi w październiku 1947 r. na odprawie aktywu kierowniczego (zebrano dyrektorów departamentów, szefów wszystkich wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa) w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na powiedzenie, że teraz głównym przeciwnikiem jest Kościół. Wszystkie inne siły zostały przez te dwa i pół roku rozbite.

B.P. — *Ta sytuacja ma swoją analogię w historii sowieckiej. Na początku, podczas wojny, Cerkiew była jednak sojusznikiem, dawała legitymację do prowadzenia wojny ojczyźnianej, podrywała lud do walki, błogosławiła armię. W sytuacji już niewojennej, w okresie umacniania państwa polityczno-policyjnego, duchowieństwo i Cerkiew stały się wrogiem najgroźniejszym.*

A.D. — Całkowicie się z tym zgadzam, z tym że tutaj jeszcze trzeba brać pod uwagę sprawę ziem zachodnich. Tuż po wojnie komunistom bardzo zależało na uzyskaniu legitymacji na forum międzynarodowym. Później, po 1947 r., stało się to jednym z powodów ataku na Kościół, w tym pierwszym okresie presja miała charakter nieoficjalny, wywierano ją metodami agenturalnymi, operacyjnymi. Od przełomu lat 1948–1949 — po odsunięciu Gomułki, objęciu władzy nad PPR, a wkrótce potem nad PZPR przez najbardziej dogmatyczne, wierne Moskwie skrzydło, kiedy zaogniła się sytuacja międzynarodowa — presja na Kościół staje się coraz bardziej oficjalna. Bardzo ważny jest 1949 r., wtedy bowiem papież Pius XII wydaje dekret zakazujący katolikom współpracy z komunistami, za współpracę z partią komunistyczną grożący ekskomuniką. PZPR traktuje to jako pretekst do gwałtownego ataku na Kościół i rozpoczyna już otwarcie antykościelną kampanię, taką, jaką stosowano dotychczas wobec PSL czy podziemia. Zwołuje się masówki w zakładach pracy, potępia się hierarchię kościelną za jej antypolską postawę i brak patriotyzmu, za powiązania z Watykanem, który jest agenturą amerykańską, bo tak to jest przedstawiane w propagandzie 1949 r.

Od przełomu lat 1948–1949 zaczyna się programowa ateizacja i atak na Kościół we wszelkich możliwych sferach. Sowietyzowane są programy nauczania w szkołach, a jednym z elementów tej sowietyzacji jest antyklerykalizm. Dochodzi do tego, że żołnierzom w wojsku oraz młodzieży każe się śpiewać piosenki o jednoznacznie antykościelnej wymowie, na przykład była taka piosenka, której fragment brzmiał: „Nie papież nam Wybrzeże dał, nie Śląsk biskupów był”. To były działania obliczone na budowanie nastrojów wrogości do Kościoła.

Z tym wszystkim musiał się zmagać prymas Wyszyński, który w tym właśnie momencie, po śmierci prymasa Hłonda, został głową polskiego Kościoła.

B.P. — *Wróćmy jeszcze do momentu przełomowego, czyli do zerwania konkordatu.*

A.D. — Zerwanie konkordatu było pierwszym niezycliwym posunięciem wobec Kościoła, na które komuniści, wbrew temu, o czym do tej pory mówiłem, zdecydowali się jeszcze we wrześniu 1945 r. Paradoksalnie jednak, miało ono dla polskiej hierarchii kościelnej dobrą stronę. Konkordat dawał Kościołowi pewne umocowanie w prawie międzynarodowym, ale zapewniał też władzom państwowym (chodzi o władze II Rzeczypospolitej) wpływ na obsadzanie stanowisk kościelnych. Skoro władze uznały konkordat za nieobowiązujący, hierarchia kościelna stwierdziła, że nie musi z nimi konsultować decyzji personalnych.

B.P. — *I dlatego można było stawiać na Stefana Wyszyńskiego.*

A.D. — Tak, dlatego właśnie można było ustanowić biskupem lubelskim, a następnie arcybiskupem warszawskim i gnieźnieńskim księdza Stefana Wyszyńskiego. Można było podjąć wiele innych ważnych decyzji personalnych w Kościele, na które komuniści chcieliby mieć wpływ. Władze komunistyczne chciały ingerować w obsadzanie stanowisk kościelnych bez konieczności przestrzegania praw Kościoła, bez zawierania konkordatu. Komuniści zamierzali działać na podstawie prawa wewnętrznego, przez siebie samych ustanowionego.

Otóż strategia Wyszyńskiego była taka: nie można iść drogą węgierską, drogą Mindszentyego, który traktował komunistów jako zło integralne, jakiemu trzeba się przeciwstawić w sposób absolutny, jednoznaczny i natychmiastowy. Strategia Mindszentyego doprowadziła do tego, że w 1948 r. został aresztowany, poddany torturom, działaniu środków psychotropowych i na procesie przyznał się do szpiegostwa. A od 1949 r. rozpoczął się proces niszczenia Kościoła węgierskiego, bo jego pasterz został wyeliminowany.

Wyszyński uważał, że trzeba grać na czas. Zakładał, że ten reżim nie będzie prawdopodobnie stale tak opresywny. Należy wyznaczyć pewną granicę ustępstw: są sprawy, w których Kościół może ustąpić, i są takie, w których ustąpić nie może. Nie może zrezygnować z pełnego prawa samodzielności w zakresie polityki personalnej, ale może ustąpić w sferze propagandowej, może złożyć pewne deklaracje, których oczekują komuniści. Od 1949 r. PZPR domaga się porozumienia między państwem i Kościołem. Tak zwana komisja mieszana rządu i Episkopatu prowadzi negocjacje, przy czym nie są to negocjacje równorzędnych partnerów, nie ustają bowiem ataki na Kościół. W styczniu 1950 r. zostają wykryte nadużycia — fikcyjne — w Caritasie, czyli stworzonej przez Kościół centrali charytatywnej. Wykorzystano to jako pretekst do usunięcia zarządu kościelnego Caritasu i ustanowienia nowego, składającego się z dwóch grup, mianowicie z działaczy „Dziś i Jutro” — późniejszego PAX — i z tzw. księży-patriotów. We wrześniu 1949 r. wyłania się dziwny twór, czyli komisja księży przy ZBoWiD. To

jest oczywiście dzieło aparatu bezpieczeństwa. Pierwszą grupę księży, założycieli tego ruchu, stanowią agenci zwerbowani przez Urząd Bezpieczeństwa, drugą – księży skłóceni ze swymi biskupami, trzecią ci, których udało się w jakiś sposób przekonać do tzw. postępowości, bo zawsze w tak wielkiej masie – ponad dziesięć tysięcy księży – znajdzie się kilku uważających się za ideowych ludzi lewicy, socjalistów, komunistów wręcz. I z tego towarzystwa zostaje sformowana grupa założycielska, która stopniowo, głównie dzięki pomocy UB, rośnie w siłę. W szczytowym momencie, czyli po 1953 r., po aresztowaniu prymasa, grupa ta liczy około tysiąca księży.

W marcu 1950 r. wychodzi dekret o przejęciu dóbr martwej ręki. W 1944 r. jednym z aktów przyjaznych w stosunku do Kościoła było wyjęcie dóbr kościelnych spod przepisów dekretu o reformie rolnej. Majątki należące do Kościoła nie zostały poddane parcelacji. Dekret z marca 1950 r. oznacza rozciągnięcie przepisów o reformie rolnej na dobra kościelne: ograbiono Kościół z kilkudziesięciu tysięcy hektarów ziemi. Często dochodzi do nadużyć, zabierane jest więcej ziemi, niżby wynikało z przepisów dekretu. Te działania mają zmusić hierarchię do podpisania porozumienia. Ostatecznie prymas Wyszyński nabiera przekonania, że należy to uczynić. Nie wszyscy biskupi podzielają punkt widzenia prymasa, m.in. kardynał Sapieha uważał, że to zbyt duże ustępstwo. Żeby oddać ówczesną atmosferę, przypomnę, iż na początku 1950 r. kardynał Sapieha napisał krótką deklarację, w której stwierdzał, że jeśli zostanie aresztowany, to z góry oświadcza, iż wszystko, co zezna w czasie ewentualnego procesu, jest nieprawdą i będzie najprawdopodobniej wymuszone.

Wyszyński podejmuje decyzję, którą naraża się i Sapiesze, i Stolicy Apostolskiej. 14 kwietnia 1950 r. przedstawiciele Episkopatu i władze PRL podpisują tzw. porozumienie kwietniowe. Daje ono Kościołowi pewne uprawnienia – jest mowa o tym, że nauka religii zostanie utrzymana w szkołach na tym poziomie, na którym znajduje się w momencie podpisania porozumienia. Porozumienie pozwala też formalnie zachować prawo do posługi duszpasterskiej w szpitalach i więzieniach; ma być zagwarantowane zwolnienie kleryków ze służby wojskowej i wiele innych przywilejów dla Kościoła.

B.P. – *A co w zamian?*

A.D. – W zamian, co wzburzyło Stolicę Apostolską i wzbudziło ogromne kontrowersje, Kościół złożył kilka bardzo poważnych deklaracji. Po pierwsze, iż nie będzie się sprzeciwiał kolektywizacji rolnictwa, pod warunkiem że będzie ona miała charakter dobrowolny. Po drugie, strona kościelna zadeklarowała, że zakaze księżom angażowania się w działalność, jak to określano, „band podziemnych” i będzie karała karami kościelnymi tych, którzy zakaz złamią. Poza tym, na czym władzom bardzo zależało, strona kościelna oświadczyła, że będzie zabiegała w Stolicy Apostolskiej o ustanowienie stałej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych. Ta ostatnia sprawa stała się wkrótce głównym przedmiotem sporów. Porozumienie było bardzo kontrowersyjne, co widać z dzisiejszej perspektywy – szczególnie zobowiązania strony kościelnej, zapisane językiem propagandowym, partyjnym, wyraźnie pod dyktando władz.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że Wyszyński grał na czas. Później okazało się, że miał rację. Gdyby nie podpisał tego porozumienia, najprawdopodobniej zostałby uwięziony już w 1950 r., co oznacza, że te bardzo niekorzystne dla Kościoła zmiany, które zaczęły się po jego uwięzieniu jesienią 1953 r., nastąpiłyby w 1950 r. Kościół straciłby ponad trzy lata, niezwykle ważne dla umocnienia wewnętrznej autonomii. Po podpisaniu porozumienia natychmiast okazuje się, że władze nie dotrzymują zobowiązań: religia dalej zostaje usuwana ze szkół, duchowni wciąż są rugowani ze szpitali i innych miejsc publicznych, oczywiście prasa katolicka jest coraz bardziej ograniczana, coraz silniej cenzurowana.

W lipcu 1950 r. podpisano tzw. układ zgorzelecki między Polską a NRD, potwierdzający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Od tego momentu władze uważają, że nie istnieje już problem tymczasowości polskich granic zachodnich, nic więc nie stoi na przeszkodzie, by została ustanowiona stała administracja kościelna na ziemiach zachodnich i północnych. Watykan z kolei stoi na stanowisku, że musi być podpisany układ z drugim państwem niemieckim, czyli z Republiką Federalną Niemiec, którą Watykan z wzajemnością uznaje, a nie uznaje NRD. Dlatego układ zgorzelecki z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej nie ma znaczenia.

Komuniści uzyskują świetny pretekst do ataku – pokazują społeczeństwu, jak pozbawiony patriotyzmu jest polski Kościół i jego watykańscy mocodawcy – mamy układ z państwem niemieckim, mamy granicę zachodnią, a oni nie chcą ustanowić stałej administracji kościelnej, to znaczy, że nie wierzą w polskość tych ziem. Staje się to powodem nieustannych ataków i żądań przedstawicieli strony rządowej pod adresem Kościoła. Mówi się wręcz, że Kościół musi odciąć się w tej sprawie od Rzymu, zachęcając tym samym do schizmy. Hierarchia nie zgadza się na to, przedstawia racje strony kościelnej, ale argumenty te mają ograniczoną skuteczność.

W styczniu 1951 r. po raz pierwszy aresztowano biskupa. Wprawdzie pierwsze zatrzymanie biskupa miało miejsce jeszcze w 1950 r., ale był to tylko krótki areszt domowy. W styczniu 1951 r., kiedy w więzieniach siedzi już wielu księży (ich liczbę szacuje się na czterystu), dołącza do nich ordynariusz kielecki, biskup Czesław Kaczmarek. Ten areszt jest próbą zastraszenia całego Episkopatu.

B.P. – *Jaki zarzut postawiono biskupowi Kaczmarkowi?*

A.D. – Szpiegostwo na rzecz Watykanu i USA. Aresztowano wówczas grupę ludzi, jako tę siatkę agenturalną, którą biskup rzekomo miał tworzyć i kierować nią. Również w styczniu 1951 r. władze, niezadowolone z faktu, że przez kilka miesięcy nic się nie wydarzyło w sprawie układu zgorzeleckiego, usuwają administratorów apostołskich, p.o. biskupów, z ziem zachodnich. W większości, pod presją władz, na ich miejsce zostają wyznaczeni jako wikariusze kapitulni księży-patrioci. Proces rozciągania kontroli nad strukturami kościelnymi zaczyna się właśnie od ziem zachodnich i północnych. Wyszyński stoi wobec dylematu: albo uznać tych wikariuszy, co byłoby równoznaczne ze schizmą, albo ich nie uznać. Prymas podejmuje decyzję, która jest

kolejnym ustępstwem – uznaje ich wybór. Ale władze dalej są niezadowolone, bo dla niej wikariusze to za mało, to podkreśla stan tymczasowy, żądają więc wyznaczenia biskupów tytularnych. Wyszyński się na to nie zgadza, poza tym taka decyzja należy już do Rzymu.

Jesienią 1952 r. biskupi śląscy inicjują podpisywanie petycji do władz przeciw usunięciu nauki religii ze szkół. Natychmiast zostają wysiedleni z diecezji i osadzeni w aresztach domowych. Diecezja śląska zostaje obsadzona przez księży-patriotów. Na początku 1953 r. odkryto „siatkę szpiegowską” w diecezji krakowskiej. Ordynariusz krakowski zostaje usunięty z diecezji. Pętla zaczyna się zaciskać. Krytyczny moment przychodzi w lutym 1953 r. 9 lutego Rada Państwa wydaje dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, który w istocie daje władzom prawo decydowania o obsadzaniu i usuwaniu ze wszystkich stanowisk kościelnych, od proboszczów do biskupów ordynariuszy. Dla prymasa Wyszyńskiego ten dekret oznacza granicę. Nie może już dłużej grać na czas, to oznaczałoby kapitulację. Pod wpływem prymasa Wyszyńskiego Episkopat formułuje słynny, obszerny, ponad trzydziestostronicowy memoriał skierowany do władz PRL, w którym wymienia wszystkie krzywdy i represje. Na końcu pada słynne *non possumus*. Prymas jest nieprzejednany.

We wrześniu 1953 r. rozpoczyna się proces biskupa Kaczmarka. Po dwóch latach od momentu aresztowania biskup przyznał się do szpiegostwa. Poddano go ciężkiemu śledztwu, nie pozwalano spać, nie dawano leków. Zaczyna się pokazywać proces, w którym zapada wyrok dwunastu lat więzienia. Wyszyńskiemu i całemu Episkopatowi władze każą potępić biskupa Kaczmarka. Prymas odmawia, i to staje się bezpośrednim powodem decyzji podjętej przez Sekretariat Biura Politycznego na wniosek Bieruta. Oficjalnie nazywa się to decyzją o pozbawieniu funkcji kościelnych prymasa Wyszyńskiego, a w praktyce oznacza jego internowanie. Formalnie nie jest uwięziony, nie jest aresztowany, nie przedstawia mu się żadnych zarzutów, nie jest organizowany proces.

Od tego internowania zaczyna się najbardziej krytyczny moment w dziejach Kościoła. Pojawia się problem, kto będzie przewodniczył Konferencji Episkopatu. Biskupi dostają ultimatum – albo wybiorą na przewodniczącego Konferencji Episkopatu biskupa łódzkiego Michała Klepacza, który w oczach władz uchodził za najbardziej ugodowego, albo każdy inny podzieli los Wyszyńskiego. Episkopat ma do wyboru: albo dać się w całości zamknąć, albo wybrać Klepacza. Wybiera Klepacza.

B.P. – Czy sądzi pan, że ta pogróżka zostałaaby zrealizowana?

A.D. – Tego nie można dziś stwierdzić. Jest prawdopodobne, że komuniści nie zdecydowaliby się na internowanie Episkopatu *in gremio*, bo mogłoby to doprowadzić do poważnych zaburzeń społecznych.

B.P. – Czy był jakiś protest Watykanu?

A.D. – Oczywiście, Stolica Apostolska zaprotestowała, protestowała już w sprawie biskupa Kaczmarka.

Wyszyński miał później pretensje do biskupów, którzy pozostali na wolności. Trzeba powiedzieć, że w momencie internowania Wyszyńskiego kilku biskupów już było w aresztach domowych czy, jak Kaczmarek, w więzieniu. Wyszyński miał żal do biskupów, którzy pozostali na wolności, że nie wykazali hartu ducha. Miał pretensję, że ulegli presji władz – nie tylko wybrali Klepacza, ale złożyli ślubowanie na wierność Polsce Ludowej, co było konsekwencją uznania dekretu lutowego. Kolejnym krokiem biskupów było wydanie oświadczenia potępiającego tzw. bolesne fakty, które wyszły na jaw podczas procesu biskupa Kaczmarka. Takie oświadczenie Episkopat wydał; stanowiło to akt kapitulacji z jego strony, choć nie była to kapitulacja całkowita. Przez następne kilka lat trwa wojna, obrona na wpół zdobytej twierdzy. Władze mają w niej swoje przyczółki i zaczyna się walka na czas, polegająca na tym, że komuniści wciąż chcą zmian kadrowych w Kościele, w kolejnych kuriach, dekanatach, probostwach, chcą obsadzać te stanowiska księżmi-patriotami. Biskupi najpierw odwołują decyzję, w końcu odwołują tę niewygodną osobę i znowu zwlekają z powołaniem sugerowanego przez władze następcy. To nie mogło oczywiście trwać w nieskończoność. Od jesieni 1953 r. do wiosny 1956 r., kiedy procesy odwilżowe sprawiły, że biskupi stopniowo zaczęli odzyskiwać kontrolę, komunistom udało się poobsadzać swoimi ludźmi, czyli księżmi-patriotami, trochę stanowisk kościelnych. Nie było jednak ich aż tak wielu, a ponadto reprezentowali dość niski poziom, więc nie mogli sprawować funkcji kierowniczych w Kościele. Stosowano wiele tego typu działań opóźniających i to się jakoś sprawdziło. Bo na przykład w Czechosłowacji czy na Węgrzech w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych całe kierownictwo Kościoła przejęli księża lojalni w różnym stopniu wobec władz. W Polsce to się nie powiodło. Kiedy jesienią 1956 r., po październiku, Prymas wrócił z internowania, Kościół był wciąż jeszcze, może nie w całości, ale w dużej części suwerenny. Można było, usuwając niewielką liczbę duchownych, na przykład tych wikariuszy kapitulnych na ziemiach zachodnich, przywrócić personalną niezależność od władz. Nie udało się złamać Kościoła. Po 1956 r. sytuacja była zupełnie inna. Władze już nie ośmielały się tak dalece ingerować w tę bardzo ważną dla Kościoła sferę.

B.P. – *Czy prymas Wyszyński, o którym mówi się, że był człowiekiem na miarę swoich czasów i człowiekiem niezłomnym, wyzwał jakąś agresję osobistą u ludzi ówczesnego aparatu władzy? Czy był ktoś, kto go szczególnie zwalczał?*

A.D. – Myślę, że tak, to właśnie objawia się w czternastolecu rządów Gomułki. Po pierwszym okresie pewnego porozumienia między Gomułką a Wyszyńskim, mniej więcej od 1958 r., stosunki między nimi zaczęły się gwałtownie psuć. Na początku lat sześćdziesiątych, po kilku wielogodzinnych rozmowach, które Gomułka odbył z Wyszyńskim, przerodziły się one w moim przekonaniu w personalny konflikt. Gomułka nigdy nie posunął się do pozbawienia wolności Prymasa, ale stosował takie drobne szykany, jak na przykład pozbawienie paszportu czy zniszczenie całego nakładu książek Wyszyńskiego, co było jego osobistą decyzją. Te książki z kazaniami, wydruko-

wane w Paryżu, wprost z wagonu kolejowego pojechały do Konstancina na przemiał. Tego typu ruchy wykonywał Gomułka szczególnie w okresie obchodów milenijnych i orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich. Gomułka w tym okresie wręcz obrażał Prymasa w swoich przemówieniach, opowiadając o tym, jak ograniczony i ciasny musi być umysł pasterza polskiego Kościoła, skoro mówi o Polsce jako o przedmurzu chrześcijaństwa. Niewątpliwie Gomułka i jego prawa ręka, Kliszko, mieli obsesję na punkcie Wyszyńskiego. Kliszko na przykład mówił wprost, na posiedzeniu specjalnej komisji partyjno-rządowej, że trwa walka o rząd dusz w Polsce i Wyszyński pozostaje w niej głównym przeciwnikiem.

B.P. — *Śluszenie, skądinąd.*

A.D. — Kliszko miał rację, ale świadczy to o pewnego rodzaju obsesji, w ich przekonaniu bowiem gdyby udało się Wyszyńskiego odwołać, stosunki państwo-Kościół natychmiast uległyby wówczas poprawie. To złudzenie, bo w Episkopacie Wyszyński nie był jedynym przeciwnikiem PRL. Podobnie myślała większość biskupów. Tu trzeba powiedzieć, że po uwolnieniu Wyszyński stał się w Episkopacie niekwestionowanym przywódcą, o bardzo silnych, wręcz autorytarnych skłonnościach. Na konferencjach Episkopatu potrafił rugać biskupów, którzy szli na jakieś ustępstwa wobec władz. (Trzeba pamiętać, że wszyscy biskupi ordynariusze są tak naprawdę sobie równi, a prymas jest tylko *primus inter pares*). Władze to oczywiście wiedziały i starały się wykorzystać, ale nigdy im się nie udało sprowokować otwartego konfliktu między hierarchami. Wyszyński miał poczucie moralnej wyższości nad większością biskupów, bo po pierwsze, w większości nie byli oni w więzieniu, kiedy on był internowany, a po drugie, wielu zostało biskupami później, więc on z pozycji człowieka starszego, bardziej doświadczonego, kardynała, odgrywał rolę przywódcą. Stworzył pewien model kierowania polskim Kościołem, który zaczął się chwiać dopiero po 1989 r.

B.P. — *Gdyby ktoś naprawdę miał pomysł, żeby ostatecznie rozprawić się z Kościołem, można to było zrobić, włączając znacznie bardziej represyjne metody wobec instytucji i ludzi. Dlaczego nie sięgnięto po rzeczywiste argumenty siły? Czy to wynikało ze świadomości, że nie da się usunąć Kościoła z życia narodu? Byłoby to dowodem pewnej samodzielności prowadzenia polskiej polityki wewnętrznej dotyczącej spraw religii. Istniały wszak dobre sowieckie wzory skutecznego działania w tej dziedzinie.*

A.D. — Szansa na zniszczenie Kościoła była tylko między 1953 a 1956 r. Można było bardziej przykręcić śrubę, trochę więcej biskupów pozbawić diecezji itd. Ale przede wszystkim brakowało kadr. Poza tym jednak Kościoła nie można było w ogóle zlikwidować, bo wtedy zszedłby on do podziemia i władzom byłoby jeszcze trudniej go kontrolować. Dla władz było oczywiste, że ludzie nie przestaną z dnia na dzień wierzyć w Boga. Jeśli chodzi o rolę Moskwy, to jak wynika z zapisków Bieruta, konsultował z nią każde swoje posunięcie. Znane są takie jego zapiski z połowy 1949 r.,

z rozmowy ze Stalinem, kiedy Bierut mówi o mającym się ukazać dekrete o wolności sumienia i wyznania (na podstawie tego dekretu później skazywano księży za nadużywanie swobód religijnych do wrogiej działalności) i o planie powołania ruchu księży-patriotów. Stalin mu odpowiada, że ten dekret jest oczywiście ważny, ale najważniejsze jest wywołanie rozłamu w łonie Kościoła. Księża-patrioci są znacznie istotniejsi niż jakieś tam dekrety. To jest ślad takiego instruktażu. Można przyjąć, że kolejne posunięcia, łącznie z internowaniem Prymasa, były konsultowane najprawdopodobniej z następcą Stalina, z Chruszczowem.

Niewątpliwie brakło czasu, by roztoczyć pełną kuratelę nad Kościołem. Nadszedł październik 1956 r. – wielki ruch społeczny, w którym hasła kościelne odgrywały wielką rolę. Często się o tym zapomina. Mamy pewien obraz 1956 r. oglądanego przez pryzmat Politechniki Warszawskiej, FSO, ruchu Rad Robotniczych, odnowy w partii, ale trzeba pamiętać, że na tych ogromnych wiecach, demonstracjach, masówkach, które się wtedy w całej Polsce odbywały, najczęściej występującym hasłem było żądanie zwolnienia Prymasa, przywrócenia religii do szkół, przywrócenia wolności Kościołowi.

Po śmierci Stalina zależność od Kremla Warszawy i innych państw satelickich wyraźnie osłabła. Gomułka swoją politykę wobec Kościoła prowadził całkowicie samodzielnie. Te wszystkie późniejsze awantury z Kościołem były jego dziełem. Gomułka walczył z Kościołem, niemniej podczas kolejnych wizyt towarzyszy radzieckich wyrażano zdziwienie – „że tak walczycie, towarzyszu, z tym Kościołem, walczycie o kolektywizację, a ani na jednym, ani na drugim odcinku nie widać żadnych postępów”.

B.P. – *Czy polityka Gierka wobec Kościoła różniła się w istotny sposób od tej, którą prowadził Gomułka?*

A.D. – Po grudniu 1970 r. polityka wobec Kościoła ulega częściowej zmianie. Ekipa Gierka jest znacznie bardziej pragmatyczna i wie, że konflikty z Kościołem na taką skalę się nie opłacają. Kościół jest oczywiście nadal poddawany infiltracji ze strony Służby Bezpieczeństwa, dalej jest limitowane budownictwo kościelne, nie ma religii w szkołach, działa za to ścisła cenzura i następuje limitowanie prasy katolickiej, ale Gierek i Kania, który prowadzi politykę wobec Kościoła, uważają, że nie ma sensu doprowadzanie do tak ostrych sytuacji konfliktowych, jak ta z 1966 r., że to nie służy interesom partii, stabilności sytuacji społecznej. Ekipa Gierka decyduje się na pewne poluzowanie, na przykład znacznie częściej wydawane są pozwolenia na budowę kościołów. Za Gomułki, w latach sześćdziesiątych, takich zgód praktycznie nie wydawano, Gierek wydaje ich kilkadziesiąt rocznie. Po układzie z grudnia 1970 r. w 1972 r. parlamenty PRL i RFN ratyfikują układ graniczny z 1970 r. i papież Paweł VI zyskuje możliwość ustanowienia stałej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych, co okazuje się bardzo ważne dla atmosfery w stosunkach państwo-Kościół. Gierek uważa wręcz, że Watykan może być bardziej pragmatyczny niż Wyszyński, więc można dążyć do ustanowienia stosunków dyplomatycznych. Zaczynają się ne-

gocjacje, które doprowadzają w 1974 r. do podpisania porozumienia ustanawiającego *de facto* stałe kontakty robocze. Był w tym oczywiście element pewnej presji na Prymasa, sugerowania, że „jak się nie będziemy mogli z księdzem prymasem dogadać, to będziemy się dogadywać z Watykanem”. Wyszyński się tego obawiał, do końca życia był bardzo sceptyczny wobec wszystkich przedstawicieli Watykanu, uważał bowiem, że nie rozumieją specyfiki polityki władz PRL wobec Kościoła i łatwo dadzą się oszukać komunistom.

Stosunek ekipy Gierka do Wyszyńskiego ulega pewnej zmianie mniej więcej około 1975 r. O ile jeszcze w 1973 r. ówczesny minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski w czasie negocjacji z arcybiskupem Agostino Casarolim, przedstawicielem Stolicy Apostolskiej do rozmów z Polską, mówił, że głównym utrudnieniem w osiągnięciu porozumienia pozostają Wyszyński i Tokarczuk, o tyle gdy Prymas w 1976 r. obchodzi 75 urodziny, dostaje 75 róż od premiera Jaroszewicza.

B.P. — *Jak się domyślam, czerwonych.*

A.D. — Oczywiście, czerwonych. Dostaje je razem z listem, w którym władze PRL życzą mu zdrowia, pomyślności, wyrażają uznanie za dotychczasową pracę oraz, co jest kluczowe, nadzieję, że będzie dalej pełnił swoją funkcję. Wedle prawa kanonicznego 75 lat stanowi wiek emerytalny dla biskupa. Gdyby władze PRL dalej się tego kategorię domagały, Stolica Apostolska mogłaby rozważyć wysłanie Prymasa na emeryturę. Okazuje się, że władze PRL już tego nie chcą. To jest zagadka, dlaczego? Jak się wydaje, dlatego, że w KC zaczęto rozważać problem, kto będzie następcą Wyszyńskiego. Jako najważniejszy kandydat pojawił się kardynał Karol Wojtyła. Władze zdecydowanie wolą Wyszyńskiego niż Wojtyłę, gdyż dał się on poznać w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych jako człowiek bardzo zdecydowany wobec władz, ostrzej przemawiający w swych kazaniach niż Wyszyński. Prymas był dla władz bardziej przewidywalny. I chociaż zasadnicza polityka wobec Kościoła nie zmienia się, bo nadal zwalcza się religię itd., do Prymasa władza podchodzi z atencją. I tak już będzie do jego śmierci w roku 1981.

Po drodze następuje wybór kardynała Wojtyły na papieża i to jest wydarzenie o ogromnym znaczeniu. Z ogromu tego wydarzenia początkowo władze PRL nie zdają sobie sprawy. Pierwsze reakcje są następujące (zwłaszcza Kania celował w takich wypowiedziach): „lepiej jest dla nas Wojtyła w Watykanie niż jako prymas Polski”. To była formuła absurda, bo Wojtyła jako papież mógł zrobić dla Kościoła w Polsce znacznie więcej, niż gdyby został w Polsce. Początkowo postanowiono niczego nie zmieniać w stosunkach państwo–Kościół, chociaż było oczywiste, że wraz z wyborem Wojtyły na papieża Kościół zyskał potężnego protektora w Stolicy Apostolskiej i nie da się już jej rozgrywać przeciwko polskiej hierarchii kościelnej, zaś religijność Polaków znacznie wzrosła, czego dowodem była pierwsza papieska pielgrzymka do ojczyzny. Po tym władze dokonują znaczącej reorientacji w stosunku do Kościoła, przestaje on być przeciwnikiem numer jeden. Wraz z powstaniem „Solidarności” Kościół staje się

w istocie rzeczy trzecią siłą, którą władze starają się pozyskać, albo przynajmniej za pewnić jej neutralność.

Lata osiemdziesiąte to historia zabiegów o Kościół, o to, żeby pozostał neutralny, żeby nie angażował się we wsparcie dla opozycji. Te zabiegi o pozyskanie Kościoła doprowadzają do pewnych różnic w łonie hierarchii. Jest linia uosabiana przez następcę Wyszyńskiego, prymasa Józefa Glempa, który z jednej strony uważa, że po wprowadzeniu stanu wojennego „Solidarność” stanowi rozdział zamknięty w polskiej historii i że trzeba szukać jakiegoś porozumienia z władzami na gruncie interesów Kościoła. Prymas idzie w pewnych sytuacjach na większe ustępstwa wobec władz niż inni hierarchowie. Rodzi to wyraźny konflikt w obrębie Episkopatu. Są tacy ludzie, jak arcybiskup Ignacy Tokarczuk czy arcybiskup Henryk Gulbinowicz, którzy bardzo stanowczo upominają się o prawa człowieka, o „Solidarność”. Ten podział jest wyraźny przez całe lata osiemdziesiąte i waży dość istotnie na sytuacji Kościoła. Władze nie mają dobrej koncepcji, jak tę, niewątpliwie dla siebie wygodną sytuację, wykorzystać. Wewnątrz obozu władzy również dochodzi do podziału w tej kwestii. Niektórzy, jak na przykład współprzewodniczący komisji wspólnej rządu i Episkopatu Kazimierz Barcikowski, rzeczywiście dążą do jakiegoś kompromisu historycznego między państwem komunistycznym a Kościołem w Polsce, ale równocześnie są w aparacie władzy ludzie, którzy ewidentnie nie chcą takiego porozumienia, bo uważają, że jest to sprzeniewierzenie się pryncypiom ideologicznym, i zamierzają walkę z Kościołem kontynuować. Raz jedna strona bierze górę, raz druga.

B.P. — *Wydaje mi się, że nastąpił wtedy szczególny moment. Padła koncepcja przeprowadzenia konsekwentnego programu ateizacji społeczeństwa. Te kilkadziesiąt lat pouczyło, że można poczynić szkody, ale nie osiągnie się zamierzonego celu. Lata osiemdziesiąte obnażają desperackie zachowania władz, dochodzi mianowicie do kilku skrytobójstw dokonanych na księżach. Czy posługiwanie się metodą bezpośredniej eliminacji fizycznej niewygodnych duchownych było już wcześniej praktykowane?*

A.D. — Oczywiście zdarzały się takie wypadki, choćby zabójstwo księdza Romana Kotlarza z Radomia, którego władze nienawidziły za jego postawę w związku z wydarzeniami z czerwca 1976 r. i wcześniejsze, jak to określano, podburzanie ludzi. Był on zapewne ofiarą Służby Bezpieczeństwa. Wypadki z końca lat osiemdziesiątych — zabójstwa księdza Zycha, Niedzielaka i Suchowolca — pozostają niejasne. Nie da się z całą pewnością powiedzieć, że to zrobiła Służba Bezpieczeństwa, i nie można tego wykluczyć. Mogło być kilka powodów. Jeżeli założymy, że to rzeczywiście były ofiary komunistycznych służb specjalnych, to najbardziej prawdopodobne są dwie interpretacje — że, tak jak w przypadku księdza Popiełuszki, chodziło o sprowokowanie pewnych niepokojów społecznych i zaszkodzenie ówczesnej ekipie rządzącej, albo, co też jest możliwe, było to odzwierciedlenie frustracji działaczy i funkcjonariuszy Departamentu IV MSW, od których stale domagano się wyników. Wyników zaś nie

było, bo oni nie byli w stanie zmusić tych księży do milczenia i ich frustracja przeżyła się w agresję, i doprowadziła do zabójstw. Zbrodnie te jednak nie zmieniają generalnie nowego obrazu stosunków państwo–Kościół w latach osiemdziesiątych w porównaniu z okresem wcześniejszym.

B.P. — *Ten nowy stosunek był bez wątpienia bardziej pragmatyczny, im w końcu paliła się ziemia pod stopami.*

A.D. — Ale i tak nie zmienia to faktu, że w partyjnych dokumentach wciąż deklarowano konieczność upowszechniania postaw ateistycznych oraz krzewienia naukowego światopoglądu. Dla kierownictwa partii szokujące były wyniki badań na temat religijności członków PZPR. Wynikało z nich, że zdecydowana większość nie tylko członków partii, ale również funkcjonariuszy aparatu partyjnego, jest wierząca. Nie jest też tak, że w latach osiemdziesiątych zakończono gnębienie funkcjonariuszy partyjnych czy państwowych za praktyki religijne. W latach osiemdziesiątych były wypadki, że odwoływano ze stanowisk albo udzielano nagan za to, że jakiś sekretarz czy generał brał udział w kościelnym ślubie córki, pozwolił w ogóle na ten ślub czy uczestniczył w pogrzebie katolickim. Więc to nie jest tak, że władze całkowicie skapitulowały, jednak efektywność tych działań była dużo mniejsza niż wcześniej.

B.P. — *Jak ocenia pan straty poniesione przez Kościół polski w okresie Polski Ludowej? Myślę, że w porównaniu z możliwościami, przede wszystkim siłowymi, represyjnymi i organizacyjnymi, jakie miał do dyspozycji cały system komunistyczny, czego zresztą używał wobec na przykład kościołów w ZSRR, te straty nie były maksymalne.*

A.D. — Straty polskiego Kościoła były też z pewnością dużo mniejsze niż choćby na Węgrzech, ale okazały się jednak ogromne. Były to straty również ściśle materialne, które nawet można próbować oszacować — ile majątku kościelnego, nieruchomości, ruchomości — zostało zajętych na poczet zaległości podatkowych. Nie mówiłem dotychczas o całej presji podatkowej, którą wywierano na Kościół. Zajmowano księżom samochody, maszyny do pisania, dywany, a nawet monstrancje. Przede wszystkim były to jednak ogromne straty ludzkie: ileż złamanych życiorysów seminarzystów, którzy mogliby być dobrymi duchownymi, a ich skompromitowano, księży, których złamano i nakłoniono do współpracy, osób świeckich, które nie zrobiły kariery życiowej, bo nie potrafiły zrezygnować z wiary. Mówiono im na przykład tak: „proszę przestać posyłać dzieci na naukę religii, to zrobimy was kierownikiem” albo „wy coś za bardzo do tego kościoła chodzicie i nie będziecie awansować”. To wszystko jest przecież niemierzalne.

Oceniam prymasa Wyszyńskiego i jego strategię bardzo wysoko, co nie znaczy, że nie dopuszczał się żadnych błędów i nie wszystkie jego decyzje uznaję za jednoznacznie pozytywne. Bilans jego prymasostwa uważam za pozytywny nie tylko dla Kościoła, ale i dla Polski. On, broniąc interesów Kościoła, a był w końcu Księciem

Kościół, dobrze bronił interesów narodu polskiego, przeciwstawiając się temu wszystkiemu, co komuniści usiłowali wprowadzić w świadomość społeczną. To nie była tylko kwestia naukowego światopoglądu, to była też kwestia wszystkich tych pseudoprawd, półprawd, fałszerstw, czy kłamstw, które komuniści lansowali. To był spór wielopłaszczyznowy, który nie dotyczył tylko sfery religii, ale również kultury, obyczaju, historii, bardzo szeroko rozumianej sfery świadomości społecznej.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 4, maj 2001

PRZODUJĄCA KLASA

O robotnikach w PRL

z Łukaszem Kamińskim i Stanisławem Jankowiakiem

B.P. — *Wychowałam się w PRL. I w zasadzie niewiele potrafiłabym powiedzieć o klasie robotniczej. Mogłabym próbować ją opisać, ale byłby to opis fragmentaryczny i niezbyt głęboki. Pomówmy więc o peerelowskiej klasie robotniczej, jej rodowodach, zróżnicowaniu, losach. Przede wszystkim chciałabym, żeby nasza rozmowa pokazała wzajemne relacje między władzą a robotnikami; wszakże to robotnicy byli ideowymi bohaterami nowego systemu społecznego.*

Ł.K. — W pierwszym okresie państwa ludowego robotnicy stanowią mniejszość zarówno w elitach partyjnych, jak i w elitach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ówczesnych najważniejszych organów w państwie. Według klasyfikacji marksistowskiej, znacznie więcej w tych miejscach jest osób pochodzenia drobnomieszczańskiego, burżuazyjnego. Taka struktura była jeszcze w KPP, robotnicy w elitach tej partii stanowili mniejszość. Liczba ta się waha od kilkunastu procent w latach czterdziestych do maksymalnie dwudziestu kilku procent. W 1945 r. jest w Polsce niewiele ponad milion robotników, zdecydowanie mniej niż przed wojną. Są skoncentrowani w dawnych regionach przemysłowych, najważniejsze ośrodki to Górny Śląsk, województwo krakowskie, kieleckie i przede wszystkim Łódź, która w latach czterdziestych będzie odgrywać szczególną rolę.

S.J. — Należy pamiętać, że w latach 1945 i 1946 klasa robotnicza jest w miarę jednorodna. Jest to przedwojenna klasa robotnicza, grupa z tradycjami. Widać to na przykładzie „Cegielskiego” w Poznaniu. „Cegielski” przed wojną stanowił arystokrację robotniczą. Te środowiska są jeszcze zamknięte, nie ma napływu nowych ludzi. Jeśli kiedykolwiek w PRL ta grupa była jednolita, to właśnie w tym pierwszym okresie. Później, na skutek ideologicznie motywowanej (jeśli klasa robotnicza jest przewodnią siłą narodu, to musi być najliczniejsza) przebudowy struktury społecznej, nastąpiła zmiana — droga awansów i przemieszczeń na inne stanowiska. Tak było m.in. w okresie planu sześcioletniego.

Ł.K. — W latach 1945–1948 widać wyraźnie, że tam, gdzie są stare ośrodki, gdzie nie nastąpiły migracje, czyli stabilizacja struktur społecznych wśród robotników jest

znaczna, tam więcej jest strajków. Najwięcej strajków występowało w Łodzi, bo tam był statystycznie najwyższy, ponaddziesięcioletni, staż pracy w jednym zakładzie. Strajki wybuchają pod koniec marca 1945 r.

B.P. – *Z jakiej przyczyny?*

Ł.K. – 75 proc. strajków w tym okresie miało tło ekonomiczne – złe zaopatrzenie, opóźnianie wypłat, niskie wypłaty, niskie podwyżki płac, ale pojawiają się hasła polityczne. Do 1947 r. strajki mają bardzo burzliwy przebieg: towarzyszą im wiece, na które przyjeżdżają przedstawiciele partii, czasami wojska i administracji państwowej. Padają hasła: jak nie umiecie rządzić, to oddajcie władzę Mikołajczykowi. Podtekst polityczny staje się dość wyraźny. Było kilka fal strajkowych: pierwsza – jesień 1945 r., kolejna – cała wiosna 1946 r., z kulminacją w maju 1946 r., kiedy wybuchło ponad sto strajków w całym kraju. Są długotrwałe i kończą się lokautami.

B.P. – *Jak władze reagują na strajki?*

Ł.K. – Tutaj pojawia się zjawisko zmiany struktury klasy robotniczej. Władza dość szybko dochodzi do wniosku, że najskuteczniejszą metodą – oprócz typowych represji, czyli aresztowań, niekiedy procesów (rzadko, bo to jednak burzyłoby oficjalny obraz klasy robotniczej jako popierającej władzę) – jest zniszczenie struktury społecznej w fabrykach. Zastosowano lokauty i masowe zwolnienia z pracy. Fabryka Poznańskiego w ciągu trzech lat strajkowała kilkanaście razy, potem przestała strajkować. Głównie dlatego, że za każdym razem zwalniano odpowiednią grupę osób, pojawiali się całkiem nowi ludzie, którzy nie znali się nawzajem. W tych warunkach skrzyknąć się na strajk było znacznie trudniej.

S.J. – O ile w 1945 r. wiele rzeczy można było usprawiedliwiać niedawną wojną, o tyle w 1946 r. powoli zaczyna odradzać się życie gospodarcze. I ujawnia się indolencja władzy. Już nie można powiedzieć: brakuje wszystkiego, bo jesteśmy po wojnie. Starzy robotnicy dostrzegają brak organizacji i to ich denerwuje. Nasilają się strajki.

W Polsce trwa walka polityczna, nie możemy o tym zapominać. Walka o władzę i walka o eliminację opozycji. Gomułka powiedział: władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy, a Osóbka-Morawski dorzucił: nie jesteśmy głupszy od sanacji, więc wyborów też nie przegramy. Ludzie wiązali nadzieje z Mikołajczykiem, nie tylko wieś. Popierała go duża część zakładów, stara kadra klasy robotniczej również. Stłumienie dążeń do ewentualnych zmian politycznych nie jest proste. Władza postrzegala te świadome grupy robotników jako przeciwnika, a przynajmniej niepewnego sojusznika. W 1945 r. komuniści byli zdumieni. Tłumaczyli robotnikom: teraz fabryki są wasze, więc strajkujecie sami przeciw sobie, a Hilary Minc przypominał powiedzonko o synu, który postanowił odmrozić uszy na złość tacie.

W 1946 r. władza zaczyna się uczyć, jak radzić sobie ze strajkami. Już wie, że w grę wchodzi tylko realna siła. We wrześniu 1947 r. wybuchła ostatni wielki strajk w Łodzi, strajk powszechny, bardzo dziwny. Zaczęło się od podniesienia norm, od podniesienia liczby maszyn, które ma obsługiwać jedna robotnica. W fabryce Poznańskiego

z tego powodu doszło do bójki z aktywistą PPR. Natychmiast wybuch strajk, do którego przyłącza się całe miasto. Władza jest bardzo zaskoczona, jej przedstawiciele idą do innych zakładów i pytają: jakie są postulaty? Nie ma żadnych postulatów, panuje głuche milczenie. To już nie są te głośne strajki. Jedyne, co mają do powiedzenia to, że „jak ruszy Poznański, my też wrócimy do pracy”.

B.P. — *Klasyczny przykład strajku solidarnościowego.*

Ł.K. — Tak, zresztą 25 proc. strajków miało tło solidarnościowe: w obronie osób aresztowanych, zwalnianych z pracy, czasem w obronie dyrekcji. Tu znowu przykład łódzki — strajk w obronie byłych właścicieli fabryk, z żądaniem zwolnienia ich z więzienia lub przydzielenia im kierowniczych stanowisk w tych zakładach.

S.J. — W pierwszym okresie władza nakręcała strajki przeciw powrotowi dawnych właścicieli, żeby ułatwić sobie proces nacjonalizacji. Jakiejś części załóg mogło się to podobać, ale jak potem się okazało, że ta fabryka nie funkcjonuje tak jak przed wojną, zaczynają się strajki w obronie poprzedniego właściciela. To ważne przewartościowanie. Cięgle mówimy o tej starej klasie robotniczej, świadomej swoich celów.

Lata 1947–1948 są przełomem, bo zaczyna się napływ ludzi z awansu, których wyciąża się ze wsi, przemieszcza do fabryk i robi się z nich robotników. Starzy robotnicy odnoszą się do nich z wielką rezerwą, chociażby tylko ze względu na niski poziom ich kultury technicznej. Nie są partnerami, ale niewykwalifikowaną masą. W takich mieszanych załogach porozumienie jest bardzo trudne, oni przecież wchodzą w obce środowisko, gdzie na razie stanowią mniejszość. Dodatkowo mają świadomość, że to środowisko nie jest przyjazne, że będzie ich postrzegało jako swego rodzaju intruzów, gorzej przygotowanych do pracy. Zjawisko to będzie się pogłębiało w miarę antagonizowania tych grup przez władzę.

B.P. — *A gdzie sojusz robotniczo-chłopski?*

Ł.K. — Skoro mówimy o sojuszu robotniczo-chłopskim we władzy, to była fikcja, bo jeśli w ogóle ktoś, to tylko robotnicy mieli pewien udział we władzy. Gdy porównamy skład władz partyjnych (niekoniecznie najwyższego szczebla), elit rządzących, okaże się, że nawet w komitetach gminnych robotnicy stanowią 80 proc., a chłopci zaledwie 15 proc. Robotnicy na pewno nie mieli takiego poczucia — które było silne na wsi — odsunięcia od władzy. Jeśli można mówić o jakimś awansie, to dotyczyło to tylko miast. Chłopi praktycznie nie awansowali, nawet na najniższych szczeblach władzy.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ze wsi do miast trafiają nastolatki, dwudziestolatki. Trafiają do domu młodego robotnika, gdzie panują straszliwie prymitywne warunki bytowe, barłogi, fatalne wyżywienie, brak jakiejkolwiek higieny. To skutkuje masowym alkoholizmem, rozpasaniem seksualnym. Tak wyglądały tzw. hotele robotnicze. Upadek moralny, alkoholizm i zjawisko chuligaństwa. Ludzie nie mają absolutnie nic do roboty poza pracą fizyczną. To jest pustynia. Z czasem próbuje się organizować jakieś życie kulturalne, ale nie na dużą skalę.

Drugi etap następuje wtedy, kiedy ci ludzie dojrzewają i zakładają rodziny. Pod koniec 1955 r. podnosi się standard życia. Inwestuje się w budownictwo mieszkalne. Pojawia się etap stabilizacji życiowej i wtedy w ludziach odżywiają wartości, które wynieśli ze wsi. Mamy do czynienia z rekatolizacją klasy robotniczej. Polska klasa robotnicza w okresie międzywojennym i tuż powojennym była zlaicyzowana, dotyczy to zwłaszcza działaczy PPS, związków zawodowych. Młodzi chłopcy i młode dziewczyny, którzy w latach pięćdziesiątych w Nowej Hucie oddawali się chuligaństwu, alkoholizmowi itd., już w 1960 r. walczą o krzyż i o budowę kościoła.

S.J. — Dorzuciłbym tu jeszcze to, co z namysłem, czy przez przypadek, władzy wyszło — rozbijanie więzi środowiskowych i pokoleniowych — bunt przeciwko starym, bo starzy nie mają racji. To naturalny proces wśród młodzieży. Tak rozumują ludzie rzuceni w zupełnie obce środowisko — my mamy rację, my rozwalimy ten stary świat i zbudujemy nowy. Na początku to mogło działać. Nie mieli życia kulturalnego, ale na początku chyba nie mieli też i takich potrzeb. Z czasem obydwie pokolenia zbliżają się do siebie.

B.P. — *Jak wygląda proces rzeczywistego uwiedzenia przez komunizm, mierzony np. procentem upartyjnienia środowiska robotniczego?*

Ł.K. — Od zjednoczenia do 1956 r. nie następuje jakiś gwałtowny wzrost liczby robotników w partii. Jest to okres stabilizacji. Wróćmy jednak do elit. Elity centralne nadal są hermetycznie zamknięte. Dopisuje się do nich przodowników pracy, ale to jest zabieg propagandowy. Elity lokalne (to jest ciekawy problem) zamykają się na robotników. Systematycznie zmniejsza się liczba robotników we władzach. Niektórzy robotnicy są przenoszani na stanowiska urzędnicze. Statystycznie obniża się liczba robotników czynnych we władzach. Władza to dostrzega i w latach pięćdziesiątych kilkakrotnie dochodzi do przymusowego awansowania robotników — przychodzi polecenie do Komitetu Wojewódzkiego, że należy awansować konkretną liczbę, rzędu tysięcy na województwo, robotników na stanowiska kierownicze. W ten sposób slogan o awansie stał się rzeczywistością, a z drugiej strony postarano się o przywrócenie takiej struktury władzy, w której robotnicy mają zauważalny udział. W wymiarze jednostkowym dochodzi wręcz do tragedii ludzkich. Z województwa do każdego powiatu, do każdego większego zakładu trafia dyrektywa — pięć, sześć osób trzeba awansować na stanowiska kierownicze, ale bez jakiegokolwiek związku z kompetencjami. Przeszeregowanie jest wykonywane mechanicznie i bardzo często kończy się tym, że po pół roku trzeba te osoby odwoływać, bo się nie sprawdzają. Ich tragedia polega na tym, że w tym czasie zostały znienawidzone przez swoich kolegów z pracy. I nie tylko z tego powodu, ale i z powodów formalnych nie mogą wrócić do środowiska robotniczego. Potem przesuwają się te osoby na niższe stanowiska urzędnicze, byle tylko się ich pozbyć.

B.P. — *Robotnicy przedwojenni wiedzieli, co to bezrobocie, i wyobrażam sobie, że mogli odczuwać pewien lęk w chwili np. podejmowania decyzji*

o strajku. Czy wizja bezrobocia, która dzisiaj jest przekleństwem, mogła stanąć biczem na niepokornych?

Ł.K. — Trzeba pamiętać, że mitem jest, iż w Polsce Ludowej nie było bezrobocia. W latach czterdziestych panowało ogromne bezrobocie, w niektórych miejscowościach nawet kilkudziesięcioprocentowe, znacznie wyższe niż dziś. To jest taki paradoks — w latach pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych, w drugim etapie industrializacji, cały czas powtarzano, że na wielkich budowach brakuje rąk do pracy — ale to nie znaczy, iż nie było bezrobocia. W niektórych regionach występowało ono nieustannie. Z drugiej strony, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, istniała ogromna fluktuacja zatrudnienia. To jest kolejny element procesu zrywania więzi. Były zakłady, w których fluktuacja w skali zakładu przekraczała sto procent. W ciągu roku wymieniała się prawie cała załoga. Robotnik zdawał sobie sprawę, zwłaszcza gdy miał jakiegokolwiek kwalifikacje, że wyjedzie w inne miejsce i znajdzie pracę. Paradoks polegał na tym, że jednocześnie istniało bezrobocie i zapotrzebowanie na siłę roboczą.

S.J. — Dodałbym tutaj, że jeśli ten bicz rzeczywiście działał, to wśród tzw. młodych robotników. Oni mogli się czuć zagrożeni. Starzy robotnicy mieli inną świadomość, inne horyzonty. Ale najgorszy był strach nie przed bezrobociem, ale strach wynikający z przekonania, że ta władza jest wszędzie, wie wszystko. To był strach przed czymś nieokreślonym. Przełomem będzie dopiero początek 1954 r., kiedy powoli zaczyna padać mit, że „oni” mogą wszystko.

Ł.K. — Trzeba pamiętać, że od 1947 r. urzędy bezpieczeństwa tworzą tzw. referaty ochrony, czyli swoje ekspozytury w zakładach pracy. Właśnie w zakładach pracy była najbardziej rozbudowana sieć agenturalna, poza tym jeszcze w środowiskach PSL, byłego podziemia. Środowisko robotnicze było bardzo intensywnie inwigilowane przez władze, nawet nie po to, żeby je kontrolować, tylko żeby zastraszać. W zakładach pracy wiedzano, kto jest z urzędu bezpieczeństwa. Mimo to istniały pewne formy oporu — ktoś coś powiedział, jakiś dowcip polityczny, napisał w toalecie hasło przeciwko Stalinowi. Bardzo dużo tych haseł spotykano w zakładach pracy. Referat ochrony szukał sprawcy. I taka osoba zniknęła.

B.P. — *Zniknęła i co?*

Ł.K. — Zniknęła z pola widzenia. Była aresztowana, stała przed wojskowym sądem rejonowym i dostawała dwa, trzy lata więzienia. W opinii powszechnej ten ktoś po prostu zniknął. Był człowiek, nie ma człowieka. Czasami ogłaszano procesy pokazowe, zwłaszcza sabotażystów. Trzeba pamiętać, że kolejnym elementem tego strachu była psychoza sabotażu i szpiegomania. Coś się psuje, jakaś śrubka w maszynie — trzeba znaleźć sabotażystę. Zapadały bardzo okrutne wyroki, wykonywano kary śmierci. Organizowano procesy pokazowe, które skutecznie zastraszały ludzi.

B.P. — *Tym skuteczniej, że w środowiskach przemysłowych pojawiła się nowa grupa — chłoporobotnicy.*

S.J. – Ta zupełnie nowa kategoria w tzw. klasie robotniczej – chłoporobotnicy – pojawia się, i to na dużą skalę, pod koniec lat czterdziestych. To są ludzie trochę związani z danym zakładem, ale nie do końca. Kończą pracę, potem szybko wracają do domu i pracują na tym swoim kawałku ziemi. Stanowią zupełnie inną kategorię robotników. Są ludźmi bardziej zależnymi.

Ł.K. – Wykorzystywano ich np. w procesie kolektywizacji wsi, można było ich szantażować, że tracą pracę, a z ziemi nie byli w stanie wyżyć. Byli zaczynem dla spółdzielni – chłoporobotnik, milicjant, jakiś urzędnik – mieli niewiele ziemi i łatwo ich było do tej spółdzielni przymusić.

B.P. – *Umiera Stalin, pierwszym sekretarzem PZPR zostaje Władysław Gomułka. Nadchodzi rok 1956.*

Ł.K. – Jeśli mówić o genezie 1956 r., to przede wszystkim należy prześledzić skutki planu sześcioletniego. W ciągu sześciu lat liczebność klasy robotniczej wzrasta dwukrotnie. To są zupełnie inni, nowi ludzie. Z kolei obniża się realny dochód, który był i tak nędzny. W 1948 r. przeciętny dochód robotnika ledwo przekroczył 50 proc. dochodów z 1938 r. w wartościach realnych, a w okresie planu sześcioletniego obniżył się jeszcze o kilka procent. Oczywiście, funkcjonuje przekonanie, że przed wojną było lepiej, ale nie to jest ważne. Istnieje pełna niezgodność między propagandowymi deklaracjami władzy, która dba o robotników, żyjących nieomalże w raju, a brutalną rzeczywistością. Wczesne lata pięćdziesiąte to okres, kiedy ludzie po prostu cierpieli głód. W 1951 r. pojawia się ogromna fala strajków wynikających stąd, że w niektórych miastach przez trzy miesiące nie było dostaw mięsa. Rzecz jasna, można było kupić mięso pokątnie od chłopca, ale byli ludzie, którzy przez kilka miesięcy nie jedli mięsa. W 1953 r. wystąpiły kłopoty z chlebem, bo skumulują się błędy wobec wsi, związane między innymi z kolektywizacją i niszczeniem kułaków, czyli niszczeniem gospodarstw towarowych, które dawały produkcję na rynek. Rok 1953 jest pod tym względem rokiem kryzysowym, nie 1956 r. Wtedy rzeczywiście było najgorzej.

B.P. – *Czy władza próbowała kontrolować, kogo, jak i w co zaopatrywać? Czy były takie strategiczne miejsca, Górny Śląsk, Poznań?*

Ł.K. – Nie.

B.P. – *Czyli władza niczego nie uprzedzała swoimi działaniami dystrybucyjnymi.*

Ł.K. – Władza dbała tylko o swoich ludzi, o kadry, które miały być wierne.

B.P. – *Jednym słowem, władza nie bała się robotników.*

Ł.K. – Myślę, że jej zabrakło wyobraźni. Chociaż zawsze była reakcja na brak dostaw żywności, zawsze towarzyszyła temu fala strajków. Brakowało mięsa – pojawia się fala strajków. Niektóre były bardzo duże, jak w Żyrardowie. Władza wtedy wprowadza kartki na mięso, żeby jakoś opanować sytuację i ulepszyć system dystrybucji. Później, w mniejszych miejscowościach, np. w Pabianicach, są kłopoty z chlebem. Dochodzi do tego, że ludzie z kolejek napadają na samochody, na furgonetki, które

przewozić chleb. Sytuacja w jakimś sensie wymyka się spod kontroli, bo dochodzi do „zamieszek ulicznych”. Wszystko to działo się na zasadzie reakcji. Jeśli ważny zakład strajkował, to sytuacja okresowo się poprawiała, ale to nie znaczy, że jakieś ośrodki przemysłowe były uprzywilejowane, stałe miały lepiej. Działano doraźnie tylko po to, żeby był spokój.

S.J. — Przyjrzyjmy się propagandowej wizji planu sześcioletniego i rzeczywistości. Na przykładzie Poznania widać, że w latach czterdziestych przyjmowano tłumaczenie, iż kłopoty wynikają ze zniszczeń wojennych itd. Później mamy do czynienia ze świadomą, planową polityką inwestycyjną, która ma w ciągu sześciu lat zbudować podstawy socjalizmu, dać wysoki, przynajmniej propagandowo, poziom życia i start do jeszcze lepszego jutra. Efekt tej polityki jest taki, że wykonywanie planów produkcyjnych rwie się notorycznie, już od mniej więcej 1953 r., na skutek błędów popełnianych w organizacji pracy. Nie sposób prowadzić normalnej produkcji. „Cegielski” jest dobrym przykładem, bo zmuszono go do kooperowania z masą zakładów, przy czym pełna zależność od ministerstwa przemysłu maszynowego czy hutnictwa powodowała, że zakład nie miał swobody w doborze kooperantów. Wszystko szwankuje, rozłazi się transport. Nie sposób wykonać planu, a jak się nie wykona planu, to nie ma premii za wykonanie i zostaje licha pensja, która nie starcza na przeżycie miesiąca.

A do tego znika strach. Dopóki jeszcze panował mit, że władza wie i może wszystko, a jej eksponentem jest UB, można było mieć nad ludźmi kontrolę. Od 1954 r. rodzi się problem. Zaczyna się szeptanie w zakładach pracy: zauważanie błędów, braków. To jest szeptanie, nie krzyk. Coraz śmieiej jednak zaczyna się mówić o bolączkach i absurdach fatalnej organizacji produkcji, niekompetencji ludzi rządzących zakładem. W końcu oni mówią: no nie, tak dalej być nie może, bo nie do tego zmierzaliśmy.

L.K. — Warto dodać, że dochodzi do tego zwykle zmęczenie, bo jeśli plan się rwał, to pracowano po dwanaście godzin, nierzadko – dwadzieścia cztery godziny. Przez całą dobę ludzie nie odchodzili od maszyn, a jeśli pracowali osiem, dziesięć czy dwanaście godzin, to później było szkolenie polityczne.

S.J. — Zaczyna się swego rodzaju polityczne dojrzewanie tych grup zawodowych. To jest powolny proces, który wcale nie przyniesie efektów w 1956 r., bo nie byłoby tego flirtu z Gomułką, nie byłoby wiecu poparcia na chyba największą w PRL skalę. Zaczyna kielkować świadomość, że system nie jest dobry, skoro tak wielu rzeczy nie potrafi załatwić. Robotnicy „Cegielskiego” mówią – kapitałiści dawali sobie radę z kooperacją, a my w swoim państwie nie możemy sobie z tym poradzić.

L.K. — Dojrzewanie do całkowitej negacji systemu jest bardzo długie. Można powiedzieć jeszcze o innym dojrzewaniu, które jest związane z wymianą pokoleń. W latach sześćdziesiątych do zakładów wchodzi ludzie już całkowicie ukształtowani w tym nowym systemie. Widać to bardzo wyraźnie w 1970 r., czego na taką skalę jeszcze nie ma w 1956 r. – ludzie mówią: my jesteśmy klasą robotniczą. Jesteśmy najważniejsi. Strzały w grudniu na Wybrzeżu wywołały w całym kraju olbrzymie oburze-

nie. Dlaczego władza morduje klasę robotniczą? Władza niechcący zbudowała w tych ludziach ogromne poczucie własnej wartości, przekonała, że klasa robotnicza jest najważniejszym elementem w życiu społecznym i politycznym kraju. To zaprocentuje w sierpniu 1980 r.

B.P. — *Czy Poznań 1956 r. był największym zrywem robotniczym?*

S.J. — Tak, to był zryw na masową skalę. Do tej pory spekulujemy, ile osób znalazło się w tym czasie na ulicy, ale to nie jest dobre kryterium. Nawet jeśli ustalimy, że manifestowało na ulicach miasta 150 tys. ludzi (nie wydaje mi się to zresztą możliwe, ale niech to będzie 100 tys.), to nie jest żadną miarą. Poznań był pierwszym na taką skalę świadomym działaniem robotników, i to prawie ze wszystkich zakładów miasta. Poznań pokazał efekt dojrzewania do przekonania, że tylko w grupie, że tylko razem jesteśmy w stanie coś na władzę wymusić.

B.P. — *Przypomnijmy najważniejsze hasła Czerwca.*

Ł.K. — Można zaobserwować bardzo wyraźną ewolucję haseł i postaw — w ciągu dwóch dni — od robotniczego protestu po powstanie narodowe. Na początku: chcemy chleba, podwyżki płac itd., za chwilę: wolności i chleba. Pod koniec już nikt nie mówi o problemach ekonomicznych, tylko śpiewa się Rotę, pieśni patriotyczne, krzyczy się: precz z ruskimi kacapami, chcemy niepodległej Polski, precz z komuną itd.

S.J. — Na początku bunt ma podłoże ekonomiczne, wśród postulatów, jakie zgłosiły załogi zakładów pracy, początkowo nie było haseł politycznych. Obserwujemy jednak błyskawiczną ewolucję postaw. Od klasycznych postulatów — chcemy chleba, chcemy podwyżki pensji o 30 proc., chcemy obniżki cen, chcemy racjonalizacji norm — do walki zbrojnej. Ciekawa rzecz, kiedy ten bunt i robotniczy protest przeradza się w działania zbrojne, część tzw. starych robotników wycofuje się do zakładów pracy. Oni nie chcą mieć z tym wiele wspólnego. Jeślibyśmy prześledzili liczbę i strukturę wieku aresztowanych, to dominują wśród nich ludzie młodzi. Niesamowitą sprawą jest masowy udział dzieci w Poznańskim Czerwcu. Na niedawno odnalezionych zdjęciach to bardzo dobrze widać. One są wszędzie.

Narasta determinacja, ludzie mają świadomość, że wyjście na ulicę, bunt, ma swoje konsekwencje i że jeśli do końca nie załatwią swoich postulatów, nie wrócą bezpiecznie do domu. Potem, kiedy rodzi się faza zbrojna, zachodzi bardzo prosta reakcja. Jak się widzi padającą kobietę, dziecko, rodzi się potrzeba odwetu na władzy, na tych, którzy to zrobili. Determinacja narasta. Nienawiść do władzy wtedy się najpełniej uzewnętrzniła. To nie była świadoma walka z władzą w celu obalenia systemu. Już na terenie budynku Komitetu Wojewódzkiego jacyś ludzie odwracają popiersie Lenina, które stało na parterze, żeby wódz nie patrzył na te straszne rzeczy, jakie się tutaj dzieją, nie pozwolono zniszczyć zresztą tego popiersia. Przy gmachu UB, tak przecież znienawidzonym, pojawiają się demonstranci, ale na początku nie obserwujemy odruchów agresji. Wszystko zmienia się w momencie, kiedy padają strzały, wtedy pojawia się nienawiść. Do niedawna sądziłem, że nienawiść do służby

bezpieczeństwa na Węgrzech była taka, że nie sposób było nad tym zapanować. János Tischler, obecny dyrektor ośrodka kultury węgierskiej w Warszawie, a kiedyś szef instytutu powstania węgierskiego 1956 r., powiedział, że gdyby władza wtedy wykazała się odrobiną wyobraźni, podwyższyła płace i poprawiła zaopatrzenie, nie doszłoby do tych tragicznych wydarzeń na Węgrzech. Nie wiem, czy sytuację strajkową w Poznaniu można było załatwić podwyżką płac i poprawą zaopatrzenia. Być może, gdyby władza trafiła w odpowiednim momencie do „Cegielskiego”... W Poznaniu patrzy się na „Ceglorza”. Kiedy w 1970 r. „Ceglorz” był spokojny, Poznań był spokojny. Czy gdyby do „Cegielskiego” trafił rozsądny przedstawiciel władzy i powiedział – „dobra, panowie, załatwiamy wasze postulaty, dostajecie zwrot podatku, poprawimy zaopatrzenie, dostajecie odzież roboczą itd., podwyższamy wam pensję o sto złotych”, czy „Cegielski” zdecydowałby się na wyjście na ulicę? To są spekulacje, dzisiaj uczestnicy protestu twierdzą, że chcieli wywołać rewolucję systemową.

B.P. — *Co na to pozostali robotnicy?*

Ł.K. — Zanim odpowiem, warto się zastanowić, czy tym wydarzeniom można było przeciwdziałać. Trzeba zwrócić uwagę na to, co się później działo w październiku, kiedy władza „poluzowała”. Z jednej strony notuje się sukcesy, Gomułka cieszy się poparciem, ale to było poparcie tylko i wyłącznie dla Gomułki, nie dla całej partii. Z drugiej strony w Szczecinie, Bydgoszczy, Legnicy doszło nawet do ataków na koszary radzieckie, zamieszek ulicznych z bardzo radykalnymi hasłami antykomunistycznymi. Samo poprawienie sytuacji nie do końca wystarczy. Należy zapytać, czy my jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, jak silna niechęć do systemu panowała w całym społeczeństwie, nie tylko wśród robotników, i czy to by wystarczyło?

S.J. — Pojawiają się hasła: jak nie załatwicie naszych potrzeb, to zrobimy wam drugi Poznań.

Ł.K. — Od lipca robotnicy w całym kraju wręcz szantażują władzę Poznaniem. To czasami bywa śmieszne, bo takie hasła pojawiają się nawet w dwu-, trzytysięcznych miejscowościach, gdzie oni żadnego Poznania nie są w stanie zrobić. Ale w całej Polsce było bardzo wiele przejawów solidarności: ulotki, napisy na murach. O tym się zapomina, że wiele osób zostało skazanych za wyrazy solidarności z Poznaniem.

B.P. — *Chciałam zapytać przy tej okazji, jak wyglądał stosunek Kościoła do robotników w ogóle, nie tylko w 1956 r. Czy istnieją jakieś formy duszpasterstwa, sprawowania opieki duchowej?*

Ł.K. — Kościół ma w tym okresie tyle problemów z obroną własnego statusu, że nie obserwujemy szczególnego zaangażowania w protesty. Dopiero od połowy lat pięćdziesiątych w Kraśniku Fabrycznym czy w Nowej Hucie, w nowo powstałych ośrodkach, pojawiają się próby dotarcia do tej społeczności, która z założenia była pozbawiona opieki duszpasterskiej. Zresztą trzeba pamiętać, że we wzajemnych stosunkach istniała ambiwalencja. Kościół miał świadomość radykalnego nawet antyklerykalizmu w dużych skupiskach robotniczych, np. w Łodzi. Wyjątkiem był Górny Śląsk. Powojenni

robotnicy byli mało religijni. Zbliżenie między Kościołem a robotnikami zaczyna się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, dojrzewa w latach siedemdziesiątych, a tak naprawdę o sojuszu można mówić dopiero po 1980 r. I jest to oczywiście związane z tym procesem, o którym już mówiliśmy, rekatolizacji miast przez nowych robotników ze wsi, którzy wnoszą elementy tradycyjnego katolicyzmu.

B.P. — *Skończył się 1956 r. Na jak długo udało się ułożyć stosunki między władzą a robotnikami?*

L.K. — Na bardzo krótko. Latem 1957 r. występuje ogromna fala strajków. W Bydgoszczy, w Łodzi i wielu innych miastach stają największe przedsiębiorstwa. W Łodzi mamy słynny strajk tramwajarzy, spacyfikowany przez władzę. W odejściu robotników od Gomułki dużą rolę odegrały czynniki ekonomiczne. Po krótkiej poprawie zaopatrzenia w drugiej połowie lat pięćdziesiątych następuje regres w latach sześćdziesiątych. W 1967 r., po podwyżce ceny mięsa, Gomułka mówi robotnikom na Żeraniu, to ich nie dotyczy, przecież oni i tak nie kupują szynki.

S.J. — Ale po 1957 r. nie obserwujemy już masowych protestów w skali ogólnopolskiej. Władza, świadomie lub nieświadomie, związała ze sobą społeczeństwo (bo trudno tu mówić tylko o klasie robotniczej) tak zwaną małą stabilizacją. Nie jest już tak źle, żeby nie dało się żyć. Teraz pojawia się pokusa, żeby zaakceptować tę rzeczywistość, nie odnosić się do niej w żaden sposób. To na jakiś czas wystarcza. Władza już wie, że nie może zabraknąć chleba. Gomułka może powiedzieć robotnikom Żerania, że podwyżka cen szynki ich nie dotyczy, ale podwyżka ceny zwyczajnej już tak. Władza budując ten układ, czyli stabilizując płace i stabilizując ceny na niezmiennym w zasadzie poziomie (w latach sześćdziesiątych ceny w skali roku rosły o 1–2 proc., czyli w granicach błędu statystycznego), nieświadomie związała się ze społeczeństwem.

L.K. — Gomułka osobiście interesował się wielkością produkcji zboża, mięsa. On z pamięci rzucał dane o produkcji rolnej na poziomie powiatu, jakie jest pogłowie bydła, ile zebrano ton zboża. Bardzo tego pilnował. Zdawał sobie sprawę, jak kruchy jest ten układ i jak łatwo można go naruszyć. Lata sześćdziesiąte, ta stabilizacja, to też pokłosie lat stalinowskich, wychowania ludzi w strachu. Nie ma już takiego strachu, ale jednak w jakimś stopniu ludzie nauczyli się pokory i posłuszeństwa. Możemy tu wrócić do problemu strajków. W latach 1963–1964 mamy dwadzieścia strajków rocznie, chociaż nie ma już terroru. Do 1956 r., w okresie największego stalinizmu, nie było roku bez osiemdziesięciu, stu strajków. Ludzie nie protestują, być może nie widzą już sensu protestu, uznając, że to niczego nie zmieni. A poza tym nie są postawieni pod ścianą, to przyniesie dopiero rok 1970.

S.J. — Myślę, że pojawia się element mentalności ciułaacza. Do 1956 r. pensja nie starczała na przeżycie, a więc nie było marzeń o niczym. W latach sześćdziesiątych pensja starcza na przeżycie i nawet troszeczkę można odłożyć, zaczyna się ciułanie na coś, może na wymarzoną pralkę „Franię”. Jakiegokolwiek drgnienie układu rozwiewa te marzenia. Społeczeństwo ciułaaczy nie jest społeczeństwem radykalnym.

B.P. — *Wygląda na to, że zapowiada się ład i porządek.*

L.K. — W latach sześćdziesiątych obserwujemy w zakładach proces stopniowego narastania konfliktu między robotnikami a inteligencją techniczną, której rola się zwiększa. Robotnicy mają olbrzymie poczucie uposzczenia. To są bardzo różne rzeczy — kwestia długości urlopów, innego systemu premiowania, przede wszystkim wysokości zarobków. Poczucie niesprawiedliwości wpływa w bardzo dziwnych momentach, np. w marcu 1968 r., kiedy w zakładach organizuje się zebrania, a robotnicy porzucają ten temat, zostawiają marzec, Żydów i mówią, wykorzystując sytuację, że inteligencja i tak nic nie robi, ma urlopy, ma dobrze, wywyższa się itd. Dopiero z tej perspektywy widać niesamowitość sierpnia 1980 r. — sojuszu mimo niechęci, chyba zresztą wzajemnej, bo inteligencja techniczna często z pogardę traktowała robotników.

S.J. — Mam wrażenie, że ten konflikt był świadomie przez władzę podsycany. Gdy już ktoś został tzw. inteligentem (to było pierwsze pokolenie inteligencji z awansu), mówił „co tam z robotem będę rozmawiał”. Oni stają się kimś i zaczynają gardzić grupą, z której wyszli. Jeszcze im się wydaje, że władza o nich dba, że są uprzywilejowani. Zanim dojdą do wniosku, że robot to człowiek i warto z nim porozmawiać, zanim druga strona zechce zmienić także swoją ocenę owego inteligenta, którego nazywa inżynierkiem, dyrektorkiem itd., zanim zacznie się proces schodzenia się tych dwóch grup, obie strony muszą przezwyciężyć wzajemną niechęć i pogardę.

B.P. — *W 1976 r. jest kolejny krach ekonomiczny, władze chcą wprowadzić podwyżkę cen żywności. Rok 1976 pokazał wielkie osamotnienie środowisk robotniczych. Czerwiec 1956 r. miał nie tylko kibiców, skończył się wszakże ogólnonarodowym październikiem.*

L.K. — W latach siedemdziesiątych w środowiskach robotniczych dominuje już nowe, wychowane po wojnie, pokolenie, które znacznie różniło się od przedwojennej klasy robotniczej. Władza wie, że bardzo łatwo da się tę grupę zantagonizować. Ponadto inteligencja, w tym okresie hołubiona przez władzę, miała zupełnie inne perspektywy. Widziała już, że można funkcjonować inaczej, chociaż jeszcze nie rozumiała, że do tego potrzebna jest jedność środowiska.

S.J. — W porównaniu z początkiem dekady, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych klasa robotnicza była bardziej hołubiona przez władzę niż w tym pierwszym okresie. Co więcej, władza kupiła spokój społeczny tym, co robił Gomułka, tylko na większą skalę. O ile Gomułka kupił sobie spokój społeczny zbudowaniem stabilnego układu cena-płaca (mówimy o cenach podstawowych produktów, dla Gomułki to co podstawowe było bardzo wąskim pojęciem), o tyle Gierek, zachowując stabilne ceny, gwałtownie rozbudził apetyty wzrostem płac. Rozbudzono aspiracje. Ludzie zobaczyli, że można żyć inaczej, Gierek pokazał im perspektywę. Zaczęto wyjeżdżać na Zachód. W okresie gomułkowskim wyjeżdżała tylko elita. Wyjazd na Zachód to szansa na błyskawiczne dorobienie się. Jeśli ktoś nie miał zastrzeżeń natury politycznej, dostawał paszport, a gdy udało mu się załatwić jakieś stypendium — np. dwa tysiące

marek wystarczało mu na kupno mieszkania (pamiętając o ówczesnych relacjach cen w Polsce i na Zachodzie). Taka perspektywa neutralizuje nastroje inteligencji, a dla robotników następuje okres flirtu z władzą dzięki gwałtownemu wzrostowi stopy życiowej.

B.P. — *Młodzi robotnicy w 1976 r. mają jeden cel – żyć wygodnie i bez problemów. Polityka ich nie obchodzi. W trakcie zajęć w Radomiu w ciągu kilkudziesięciu godzin stają się dojrzałymi mężczyznami, którzy będą ponosić polityczne konsekwencje swoich czynów przez ładnych parę lat, także w życiu prywatnym.*

L.K. — Trzeba powiedzieć, że w Polsce Ludowej każde pokolenie (w węższym niż socjologicznym znaczeniu) miało moment swojego dojrzewania. Wróciłbym jeszcze do kwestii kontaktów między robotnikami a inteligencją. To jest okres działalności KOR i nie tylko. Radom 1976 r. był doświadczeniem ważnym zwłaszcza dla inteligencji. Gdy dzisiaj czytamy wspomnienia czy relacje działaczy KOR, ludzi, którzy jeździli bezpośrednio do Radomia i Ursusa, jeszcze dziś widać, jaki oni przeżyli szok. Oni sobie nie zdawali sprawy, w jakich warunkach można mieszkać. Robotnicy to był dla nich całkiem obcy świat, nie bywali w domach robotniczych, nie wiedzieli, jak to wygląda. Zwłaszcza że władza (myślę, że świadomie) dotknęła represjami ludzi najniższego szczebla, na granicy marginesu społecznego. Szok był tym większy. Uświadomiono sobie realia.

S.J. — Dlatego uważam, że 1976 r. jest w sensie mentalnym większym przełomem niż rok 1980.

L.K. — Nie zgadzam się, ale zwrócę uwagę na drugi moment, w którym inteligencja styka się z robotnikami, albo raczej robotnicy z inteligencją. W latach siedemdziesiątych następuje odwrócenie procesu, o którym mówiliśmy przy okazji lat sześćdziesiątych. Na większości stanowisk robotniczych, zwłaszcza tych wykwalifikowanych, zarabia się znacznie lepiej niż na dowolnym stanowisku urzędniczym, nauczycielskim itd. Obserwujemy takie niezwykle zjawisko: pod koniec lat siedemdziesiątych wiele osób z wyższym wykształceniem ukrywa swoje wykształcenie, po to, żeby pracować na budowie i zarobić na mieszkanie, bo nie ma innej możliwości. W skali mikro zawiera się taki sojusz robotniczo-inteligencki. Z drugiej strony ci ludzie też coś wnoszą do tego środowiska – swoją wiedzę, wykształcenie, nawet jakieś ideały. Robotnicy są uświadamiani na różne sposoby. Trzeba pamiętać, że kiedy później powstają wolne związki zawodowe, wychodzi się do nich z pewną ofertą: jak się bronić, jak wykorzystywać struktury zakładowe, nawet te istniejące związki zawodowe. „Robotnik”, drugoobiegowe pismo wydawane przez KOR, osiąga kilkadziesiąt tysięcy nakładu. W latach siedemdziesiątych znowu wzrasta liczba strajków, nawet pomijając czerwiec 1976 r. Ta fala jest porównywalna z falą z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

S.J. — Dlatego powiedziałem, że 1976 r. jest większym przełomem niż rok 1980, że dotychczas taki sojusz byłby po prostu niemożliwy, że trzeba było przełamać nie-

samowite uprzedzenia w stosunku do drugiej strony, żeby zacząć coś wspólnie robić. Nie byłoby sierpnia 1980 r., gdyby nie było tego wzajemnego zbliżenia w 1976 r.

Ł.K. — Ale była to skala mikro, skala jednostkowa. Od 1980 r. można mówić o doświadczeniu ogólnospołecznym.

B.P. — *Paradoksalnie, bo przecież nikt wprost nie przyjmował do wiadomości hasel PRL, struktura państwa, może nie od strony ideologicznej, ale funkcjonalnej, zależała od robotników. Robotnicy byli sprawcami tożsamości historii PRL, tej niekontrolowanej.*

Ł.K. — Tylko dlatego, że tak reagowała władza. Ale to nie tylko robotnicy, nie można ich oddzielić od reszty społeczeństwa. Wiele ważnych ustępstw władzy, np. odstąpienie od kolektywizacji wsi i planu likwidacji czy upolitycznienia Kościoła, odbyło się albo pod naciskiem konkretnej grupy, jak chłopci, albo pod naciskiem całego społeczeństwa, jak w przypadku Kościoła.

B.P. — *Bunt robotnicze były jednak kamieniami milowymi.*

Ł.K. — Bez wątpienia, to wedle nich zresztą przyjmujemy teraz periodyzację, mówiąc o pokoleniu 56., 70., 76., itd.

B.P. — *A więc kolejny paradoks, PRL jednak poddawała się presji wewnętrznej, a siłą rzeczy największą presję mogli wywierać robotnicy.*

S.J. — Należałoby uwzględnić jeszcze jedną okoliczność: władza nie miała wizji. Komunistom tylko się wydawało, że mają wizję celu. To byli administratorzy, którzy reagowali na bieżąco. Gdyby konsekwentnie realizowali jakąś wizję, wiele wydarzeń mogłoby wyglądać inaczej.

Ł.K. — Bo to jest grzech pierworodny tamtego systemu, który ciągnie się od rewolucji październikowej — oni nie potrafili działać inaczej niż w akcji. Nawet w okresie normalnym, w latach sześćdziesiątych, musiała być akcja siewna, akcja skupu, coś, co mobilizowało ich do walki. Paradoksalnie — oni najlepiej się czuli w momentach kryzysu, kiedy musieli walczyć. To była natura tej władzy: akcyjność, mobilizacja...

Sierpień 1980 r. też był paradoksem — można powiedzieć, że to władza sobie wychodowała tych robotników. Władza im nieustannie wpajała, że są przodującą siłą, że są wyjątkowi, że są powołani do rzeczy wielkich, i oni w końcu to wzięli poważnie, naprawdę wierzyli, że są przodująca klasa. Dlatego właśnie w grudniu 1970 r. czy w sierpniu 1980 r. robotnicy bardzo się oburzali, gdy się mówiło o chuliganach. W 1976 r. było to samo — nie jesteśmy chuliganami, jesteśmy klasą robotniczą. Nawet nie wyjaśniali, co to znaczy, myśleli, że władza wie, co to jest klasa robotnicza.

S.J. — Istniało przekonanie, że na ich barkach odbywa się wszystko, co się w tym kraju dzieje. Przekonanie przeciętnego człowieka, jeszcze w latach osiemdziesiątych, jest takie, że za moje ciężko wypracowane pieniądze drugi człowiek się uczy. Często słyszeli to strajkujący studenci.

Ł.K. — Władza często wygrywała takie przekonanie, nie tylko w 1968 r.

B.P. — *Skupiska wielkich zakładów to były ogromne rzesze ludzi, trudno było nie mieć poczucia siły, widząc, w jakich wielotysięcznych tłumach przemieszczają się chociażby tylko do pracy i z pracy.*

Ł.K. — Paradoksalnie sierpień 1980 r. przyniósł największy chyba proces odsunięcia robotników od władzy. Część aparatu wtedy się zdemokratyzowała i wybory na konferencje sprawozdawczo-wyborcze w 1981 r. były demokratyczne. Znam przykład województwa wrocławskiego, ale myślę, że nie jest on odosobniony: 75 proc. wybranych delegatów wywodziło się z inteligencji. Okazało się, że kiedy władza zrezygnowała ze sztucznego podwyższania limitu robotników we władzy, oni sami nie byli tym zainteresowani. W latach osiemdziesiątych, mimo że do Biura Politycznego trafili towarzyszka Zofia Grzyb czy towarzysz Albin Siwak, *de facto* władzę sprawował aparat partyjny, inteligencja. Robotnicy, gdy odnieśli największe zwycięstwo, paradoksalnie, najbardziej na tym stracili. Widać to dopiero z perspektywy lat dziewięćdziesiątych.

B.P. — *Jeśli spojrzymy na to z perspektywy dzisiejszej, to powiedziałabym, że robotnicy jako klasa społeczna nie istnieją. Są zakłady przemysłowe i ich pracownicy, natomiast nie istnieje już klasa robotnicza.*

Ł.K. — W latach dziewięćdziesiątych zanika świadomość wspólnoty. Trudno byłoby zrobić akcję ogólnopolską. Można mówić jedynie o społeczności pracowników.

B.P. — *Mamy kolejny paradoks, że PRL jednak była państwem robotników, w każdym razie wyznaczającym w historii tej grupy społecznej bardzo istotny okres.*

Ł.K. — To się odbyło wbrew władzy, wbrew jej intencjom. Klasa robotnicza coś własną siłą zdobyła, to było zgodne z ideologiczną deklaracją władzy, ale wbrew jej rzeczywistym intencjom.

B.P. — *Zdobyła bardzo wysoką pozycję, po której w ciągu dziesięciu lat niewiele pozostało.*

Ł.K. — Trzeba pamiętać, że system komunistyczny był systemem chyba najbardziej konserwatywnym. W porównaniu z okresem przedwojennym, na początku lat pięćdziesiątych zmienił strukturę społeczną kraju, ale później ją zakonserwował.

S.J. — Dlatego w Polsce i w innych krajach socjalistycznych ta struktura społeczna przetrwała znacznie dłużej niż w krajach demokracji rynkowej. Nie podlegała przemianom z różnych względów, m.in. z powodu zapóźnienia technologicznego, które z kolei było efektem idei pełnego zatrudnienia. Nie będziemy unowocześniać procesu produkcji, bo to by skreśliło nam pewną liczbę stanowisk, a my musimy dać zatrudnienie kolejnemu wyżowi, który wchodzi w życie. Tak działał Gomułka.

Ł.K. — Ja raczej jestem zwolennikiem tezy, że to było wynikiem ogólnej indolencji władzy.

ŻOŁNIERZE, OFICEROWIE, GENERALOWIE

O (Ludowym) Wojsku Polskim
z Pawłem Piotrowskim

B.P. — *Wojsko cieszyło się w Polsce dużą sympatią społeczeństwa. Jednym z powodów sympatii i zaufania było to, że prawie każda polska rodzina wysyłała do niej swoich synów, braci, ojców i mężów. Jak rodziła się nowa polska armia w peerelu?*

P.P. — Powojenne dzieje Wojska Polskiego są nieodłącznie związane z historią Polski Ludowej. Wszystkie wydarzenia polityczne rzutowały bezpośrednio na sytuację w armii. Można zacząć tę historię od 1943 r., od utworzenia załazków tego nowego wojska, czyli 1. Dywizji Piechoty „Kościuszkowskiej” w Sielcach nad Oką. Tam powstawała całkiem nowa armia, podobnie jak w polityce pojawiła się zupełnie nowa siła. Komunistyczna władza, która przyszła do Polski, właściwie nie miała żadnego zaplecza społecznego. Liczba komunistów była śladowa. Próbowano potem tworzyć jakieś mity o walce zbrojnej czy działalności konspiracyjnej lewicy — lewicy rewolucyjnej, jak ją wówczas nazywano. Rzeczywistość była całkiem odmienna.

W Związku Radzieckim powstała najpierw 1. Dywizja, później 1. Korpus i w końcu, na wiosnę 1944 r., 1. Armia. W korpusie oficerów polityczno-wychowawczych i częściowo kadry dowódczej byli polscy komuniści, którzy w czasie wojny znaleźli się w ZSRR. Gros kadry dowódczej stanowili oficerowie Armii Czerwonej, często mający polskie korzenie, ale ukształtowani w systemie komunistycznym, związani z całkiem inną kulturą i cywilizacją. Było również kilku przedwojennych oficerów zawodowych, w tym dowódca dywizji, a potem armii, płk Zygmunt Berling. Jego funkcja oraz przeszłość bojowa (był legionistą) miała choć częściowo uwiarygodnić tę armię w oczach żołnierzy. Trzon 1. Armii stanowili żołnierze wrześnieiowi, którzy nie zdążyli ewakuować się z armią Andersa, nie dotarli na miejsce, nie dostali na to pozwolenia, lub młodzież, która osiągnęła wiek poborowy już w latach 1943–1944. Część kadry podoficerskiej, bardzo nieliczną, stanowili podoficerowie przedwojennego wojska, którzy byli jeńcami lub zostali wywiezieni na teren ZSRR. Dla wielu ludzi 1. Dywizja, później 1. Armia, była wręcz ratunkiem, bo mogli się wyrwać ze Związku Radzieckiego. Niemniej powstające nad Oką wojsko z polską tradycją wojskową miało mało wspólnego.

B.P. — *Myszę, że miało bardzo niewiele wspólnego z Polską w ogóle. Tworzy się armia państwa, które nie istnieje, nie za własne pieniądze, na obcym terytorium i nie do obrony własnego kraju.*

P.P. — Komuniści zdawali sobie sprawę, że nie jest to sytuacja normalna. Odwoływano się więc w sposób dość powierzchowny do tradycji polskiego wojska, np. wzorów ceremoniału czy elementów umundurowania. Jedną ze znaczących różnic stanowił natomiast orzełek kościuszkowski, wzorowany na pseudopiastowskim. Niemniej do 1947 r. wielu żołnierzy (w niektórych opracowaniach mówi się, że ich liczba stanowiła nawet 60 proc. stanu wojska) używało orzelka z koroną. Można było je kupić, ale producenci „nielegalnych emblematów” często byli represjonowani, stawali przed sądem. Należy również podkreślić, że ci, którzy w tym wojsku służyli, nie byli wielbicielami Związku Radzieckiego. Już w tym pierwszym okresie kilkuset żołnierzy 1. Armii skazano za czyny polityczne, wrogą propagandę, śpiewanie nieprawomyślnych piosenek, złe wyrażanie się o Związku Radzieckim.

Armia wchodzi na tereny polskie. Dowództwo armii jest w większości radzieckie, a cała administracja lokalna — związana z tzw. rządem lubelskim. Zostaje ogłoszony powszechny pobór do wojska, powstaje 2. Armia Wojska Polskiego. Stosunkowo niewielka grupa założycielska, powstała na terenie ZSRR, którą można określić jako armię kadrową, roztopia się w tej wielkiej masie. Do wojska przychodzą ludzie, którzy całą okupację spędzili na terenach polskich, często mieli zupełnie inne poglądy niż politycy komunistyczni.

B.P. — *I co się wtedy dzieje?*

P.P. — Z jednej strony bardzo wielu oficerów, podoficerów, ludzi związanych z ugrupowaniami podziemnymi, z Armią Krajową, bojkotuje nowe wojsko. Mobilizacja nie odniosła spodziewanego skutku, uchylano się od poboru. Powszechnie uważano, że jest to armia obca, mimo że w latach 1944–1945 powołano do niej ponad 9000 oficerów i 26 000 przedwojennych podoficerów zawodowych i rezerwy.

B.P. — *Czy w tym czasie są kapelani wojskowi?*

P.P. — Tak, już w Sielcach pojawia się korpus kapelanów. Każda uroczystość wojskowa, zaprzysiężenie czy święto państwowe jest powieleniem ceremoniału i tradycji przedwojennej. Żołnierze uczestniczą w świątach kościelnych, trzymają straż podczas Mszy, każda uroczystość wojskowa zawiera również elementy religijne. Komuniści idą na ustępstwa, by choć trochę zjednać sobie społeczeństwo, które generalnie przyjęło ich wrogo. Armia ma być apolityczna, a PPR oficjalnie nie działa w wojsku.

B.P. — *Czy rzeczywiście jest apolityczna?*

P.P. — To jest pytanie o świadomość ludzi, którzy odgrywali rolę decyzyjną w Wojsku Polskim, tzw. ludowym czy odrodzonym, jak się wtedy mawiało. W latach 1943–1944 w 1. Korpusie ukształtował się ośrodek koncepcyjny, w którym prym wiodli między innymi Berling czy szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego Włodzimierz Sokorski. Wydawało się im, że będą „pierwszą brygadą”, która przy-

dzie do Polski i będzie rządzić. Bardzo szybko jednak przywołano ich do porządku. Musieli przyjąć do wiadomości, że partia komunistyczna jest siłą najważniejszą, sprawczą, a armia jest tylko organem wykonawczym i nie ma do odegrania żadnej roli politycznej. Ta zasada praktycznie obowiązywała przez cały okres PRL.

B.P. – *A jednak na zakończenie historii PRL generał staje się pierwszą postacią polityczną.*

P.P. – Później wyjaśnię, jak do tego doszło. Tymczasem oficerowie radzieccy obsadzają najważniejsze stanowiska dowódcze i techniczne. W nowo powstałej armii rzeczywiście brakowało kadr oficerskich i technicznych. Przez trzy, cztery miesiące można było wyszkolić oficera artylerii lub piechoty, potem doszkalał się na froncie, ale już w wojskach pancernych czy lotnictwie było to niemożliwe. Niemal całe lotnictwo nowej armii zostało utworzone na bazie radzieckiej 6. Armii Lotniczej. Do końca wojny 90 proc. kadry oficerskiej i personelu technicznego to Rosjanie. Podobnie w 1. Korpusie Pancernym, z kolei w 2. Armii WP oficerowie sowieccy stanowili około 60 proc. kadry dowódczej i technicznej. Najmniej było ich natomiast w 1. Armii WP, „tylko” 40 proc. Również w instytucjach centralnych WP, Sztabie Głównym i szkolnictwie, odsetek oficerów sowieckich wynosił od 70 do 85 proc. kadry.

To sprawa interesująca pod względem psychologicznym i socjologicznym. Bardzo duża część społeczeństwa uważała, że jest to armia przebrana, że to Rosjanie w polskich mundurach. Oficer ubrany w polski mundur przedwrześniowy mówiący tylko po rosyjsku, to nie była rzadkość. Ale bardzo wielu tych oficerów radzieckich powoli nasiąkało polską tradycję. Przychodzili z Armii Czerwonej, ogromnej, masowej, do Wojska Polskiego i bardzo wielu z nich zaczynało doceniać zalety elitarności tej armii. Dotyczyło to np. szacunku dla munduru.

B.P. – *No tak, bo tam były albo wysokie szarże, albo mięso armatnie.*

P.P. – Tu było inaczej. Ogromny wpływ na żołnierzy zyskali podoficerowie, którzy w dużej części mieli za sobą służbę w armii przedwrześniowej, jej etos przenieśli do nowego wojska. Wychowanie żołnierskie, dryl, musztra – to nie były wzory radzieckie, lecz przedwojenne. Regulaminy służby garnizonowej, dyscyplinarne były kopią regulaminów przedwrześniowych, regulaminy bojowe – odzwierciedleniem regulaminów Armii Czerwonej. Ta armia jednak walczyła na froncie wschodnim, a postęp w dziedzinie sztuki wojennej był ogromny w stosunku do września 1939 r. Dotyczyło to również taktyki oraz instrukcji obsługi broni, oczywiście radzieckiej. Mimo to żołnierze, którzy w tym wojsku służyli, naprawdę nie czuli się żołnierzami armii cudzoziemskiej, przebranymi tylko w polskie mundury. Ważna była również rola generała, później marszałka, Michała Roli-Żymierskiego, Naczelnego Dowódcy WP.

B.P. – *Proszę o nim opowiedzieć, bo jego postać budzi do dziś liczne kontrowersje.*

P.P. – Rola-Żymierski był legionistą, przedwojennym generałem. W wyniku afery finansowej w 1927 r. musiał odejść z wojska. Na początku lat trzydziestych został

zwerbowany przez wywiad sowiecki. Mianowanie go naczelnym dowódcą było gestem komunistów, próbą przekonania społeczeństwa, że to polska armia, bo na jej czele stoi Polak, przedwojenny oficer. Berling był zbyt samodzielny, nie poddawał się łatwo naciskom politycznym. Żymierski był bardziej ustepliwy, łatwiej go było zaakceptować, chociaż też prowadził swoją politykę, co się okazało już po wojnie. W maju 1945 r. polskie wojsko bierze udział w ofensywie berlińskiej, 1. Dywizja Piechoty uczestniczy w zdobywaniu Berlina. To ma duże znaczenie psychologiczne i propagandowe, wykorzystywane przez komunistów: oto polska armia bije się z Niemcami, armia zwycięska, ponieważ walczy u boku Armii Czerwonej.

Ten ukształtowany przez lata obraz armii pokolenia Polaków urodzonych po wojnie znają z filmów; w rzeczywistości nie było tak wspaniałe. Sytuacja w pierwszych latach po wojnie była bardziej skomplikowana. Najważniejsze, że z Wojska Polskiego odeszła znaczna część kadry radzieckiej. Żołnierzy oddelegowanych do Wojska Polskiego teraz odwoływano decyzją Departamentu Kadr do Związku Radzieckiego.

B.P. — *Kiedy powstała Informacja Wojskowa?*

P.P. — Praktycznie już w Sielcach. Działała w ramach sił zbrojnych, ale rządziła się całkiem innym zasadami. Do końca wojny służyli w niej tylko oficerowie radziecy. Ich podstawowym zadaniem było nadzorowanie żołnierzy i oficerów, do których Rosjanie nie mieli zaufania, bo byli Polakami. Oni nie wierzyli nikomu. Nawet marszałek Rokossowski, jako minister obrony narodowej, obawiał się „szarych eminencji” Informacji, pułkowników Wozniesieńskiego i Skulbaszewskiego. Nigdy nie sprzeciwił się aresztowaniom, procesom wojskowym.

B.P. — *Myśli pan, że Rokossowski wierzył w ewidentnie fabrykowane wobec polskich wojskowych zarzuty o zdradę?*

P.P. — Rokossowski miał za sobą czystkę w Armii Czerwonej z końca lat trzydziestych, trzy lata spędził w więzieniach i łagrach. Myślę, że nie wierzył, zdawał sobie sprawę, że to jest polityka, że nie jest w stanie przeciwstawić się temu, chociaż był naprawdę mocnym człowiekiem. Wiedział, że może grać z Biurem Politycznym, z Bierutem, ale nie z Informacją, podporządkowaną radzieckim służbom specjalnym. Rokossowski był elementem tego systemu. Wraz z nim przychodzą do armii oficerowie radziecy, którzy zajmują wszystkie najważniejsze funkcje dowódcze i sztabowe. Następuje stalinizacja wojska, zarówno w formach zewnętrznych, np. całkowita zmiana umundurowania na nawiązujące do wzorów sowieckich (wówczas m.in. wycofano rogatywki), jak i wewnętrznych — kult bohaterów czy kopiowanie regulaminów Armii Czerwonej.

B.P. — *Jak długo działała Informacja?*

P.P. — Rozwiązano ją na początku 1957 r., powstała wtedy Wojskowa Służba Wewnętrzna. Oficerowie radziecy, którzy kierowali Informacją, wrócili do Związku Radzieckiego w latach 1954–1955, ale już pod koniec lat czterdziestych nastąpiła pewna polonizacja kadr. W Wesołej pod Warszawą powstała szkoła oficerska Informacji

Wojskowej. Oczywiście trafiali tam wyselekcjonowani ludzie, a wykładowcami byli specjaliści z NKWD-owskim doświadczeniem.

B.P. — *Jakim językiem posługiwali się w Polsce, np. w takiej szkole albo w swojej pracy operacyjnej?*

P.P. — W czasie wojny Żymierski kilkakrotnie wydawał rozkazy, żeby wszystkie dokumenty normatywne powstawały w języku polskim. Nie przestrzegano tego. Od 1945 r. wszystkie dokumenty spisywano po polsku. W 1950 r. znów pojawiają się dokumenty w języku rosyjskim, wtedy właśnie odbyły się ćwiczenia sztabowe, pierwsza gra wojenna symulująca działania frontu polskiego w pasie: Meklemburgia, Dania, Holandia. W tym czasie najwyższe stanowiska dowódcze i sztabowe objęli oficerowie radzieccy, którzy przyszli z Rokossowskim i nie znali jeszcze polskiego. Tłumaczenia robiła kancelaria.

B.P. — *Ile ofiar ma na swoim sumieniu Informacja?*

P.P. — Na pewno mniej niż Urząd Bezpieczeństwa. To są ofiary procesów politycznych: Tatała-Utnika-Nowickiego, procesów odpryskowych, lotników czy procesu komandora Przybyszewskiego, obrońcy Helu. Ogółem w procesach wojskowych wydano kilkadziesiąt wyroków śmierci. Generalnie ludzi, do których nie miano zaufania, którzy nie spełniali kryteriów klasowych, po prostu wyrzucano z wojska. I nie tylko oficerów z armii przedwrześniowej, ale też np. oficerów wywodzących się z Armii Ludowej.

Po śmierci Stalina w wojsku niewiele się zmieniło, poza tym że powoli Rosjan zastępują Polacy, przychodzą wychowankowie LWP, oficerowie, którzy ukończyli szkoły oficerskie w Polsce, akademie dowódcze w Związku Radzieckim. To była grupa poddawana intensywniej indoktrynacji. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ci ludzie objęli stery dowódcze w wojsku polskim.

B.P. — *Czy po październiku 1956 r. zmienia się sytuacja w polskim wojsku?*

P.P. — Tak, następuje gwałtowny przełom. Ale jeszcze w czerwcu 1956 r. wojsko bierze aktywny udział w wydarzeniach poznańskich. Rokossowski proponuje Biuru Politycznemu wysłanie wojska do Poznania. Wojsko szybko tłumi rozruchy, jest bardzo sprawne. Podejrzewam, że w 1947 r. czy w 1948 r. nie poszłoby to tak łatwo. W 1956 r. armia pokazała, że jest w pełni dyspozycyjna, nie ma żadnych zahamowań. Dywizjami, które pacyfikowały Poznań, dowodzili młodzi polscy oficerowie, choć całą operacją kierowali generałowie sowieccy: Stanisław Popławski, Wsiewołod Strażewski. Po październiku 1956 r. stanowisko Rokossowskiego było niejasne. Wydaje się, że był gotów użyć wojska przeciw grupie reformatorskiej w partii i mimo że Gomułka bardzo go bronił, Komitet Centralny odwołał go ze stanowiska członka Biura Politycznego. Na jego miejsce przyszedł Marian Spychalski. Wraz z Rokossowskim odeszła zdecydowana większość radzieckiej kadry dowódczej i doradczej, a ich miejsce zajęli oficerowie polscy, często wracający „spod kapelusza” czy z więzień, jak np. gen. Józef Kuropieska. Na tych stanowiskach, które wymagały specjalistycznej

wiedzy technicznej, zostało kilku radzieckich oficerów, generałów czy podpułkowników, np. komendantem Wojskowej Akademii Technicznej był gen. Owczannikow. Zostało też kilku wyższych oficerów, którzy po 1956 r. przyjęli obywatelstwo polskie. Oni właściwie nie odgrywali już potem żadnej roli politycznej.

Ciekawą postacią był gen. Jerzy Bordziłowski, oficer, który jeszcze w 1944 r. trafił do Wojska Polskiego, z polskimi korzeniami, saper z wykształcenia, od 1954 do 1965 r. szef Sztabu Generalnego. W tym okresie Bordziłowski dawał gwarancję, że polska armia po objęciu stanowiska ministra obrony narodowej przez zaufanego człowieka Gomułki, Spychalskiego, nie wymknie się spod kontroli. Był to ostatni oficer Armii Czerwonej w WP, opuścił Polskę w 1968 r.

B.P. — *Dlaczego powołano Układ Warszawski?*

P.P. — Powodem propagandowym było przyjęcie RFN do NATO. Myślę, że bez tego pretekstu Układ też by powstał, bo trzeba było sformalizować stosunki wojskowe, dotychczas nie unormowane prawnie. Teraz wszystko zostaje zapisane, są tajne załączniki, jest statut, który określa pozycje sił zbrojnych, podległość Związkowi Radzieckiemu oraz to, że naczelny dowódca sił zbrojnych Związku Radzieckiego jest jednocześnie naczelnym dowódcą i zwierzchnikiem sił Układu.

B.P. — *Jak ten fakt zmienia polską armię?*

P.P. — W latach sześćdziesiątych partia sprawowała pełną kontrolę nad wojskiem. Wojsko wykonywało jej zalecenia, i tak właściwie pozostanie do końca. W sierpniu 1968 r. inwazja na Czechosłowację przebiegła bardzo sprawnie. Część wojskowych była dumna, że tę pierwszą wielką operację militarną wojska polskiego po wojnie przeprowadzono tak perfekcyjnie.

Nie dziwi również zachowanie wojska w grudniu 1970 r. Kiedy płk Edward Weiner, dowódca pułku desantowego stacjonującego w Gdańsku Wrzeszczu, podejmuje decyzje uznane za nie dość stanowcze, jednostka zostaje wycofana, ale on sam nie jest szykanowany, zostaje później generałem. W Gdańsku użyto innych jednostek, 16. Dywizji Pancernej z Elbląga, 8. Dywizji Zmechanizowanej z Koszalina, które wykonują swoje zadanie bez rozterek moralnych. Padają strzały. Nie ma żadnych informacji o niesubordynacji, o odmowie wykonywania rozkazu. Praca z lat pięćdziesiątych nad formowaniem postawy wojska przyniosła owoce.

Po 1956 r. grupa oficerów próbowała wprowadzać jakieś polskie rozwiązania, a nie tylko kopiować wzory radzieckie. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych zostali odstawieni na boczny tor, musieli pożegnać się z wojskiem. Chodzi o generałów Pióro, Drzewieckiego, Kuropieskę czy Freya-Bieleckiego, dowódcę wojsk lotniczych. Ten ostatni włożył duży wkład w modernizację i w zwiększenie ich siły bojowej. Jego reformatorskie działania nie przystawały do schematów zalecanych przez radzieckich towarzyszy, dlatego musiał odejść. Tym ludziom zależało przede wszystkim na modernizacji i usprawnieniu armii, ale niektóre ich decyzje nie podobały się Kremlowi. Byli uważani za zbyt niezależnych i dlatego ich usunięto.

B.P. — *Wróćmy jeszcze do roli PZPR w wojsku.*

P.P. — Lata siedemdziesiąte to czas ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego — armia całkowicie wtedy podlegała partii. W jednostkach wojskowych ogromną rolę odgrywała organizacja partyjna. Jeżeli ktoś nie celebrował partyjnego rytuału, nie brał udziału w posiedzeniach komórki partyjnej, nie miał odpowiednich wystąpień — nie miał szans na karierę w wojsku. Bardzo szybko łądował na bocznym torze. Inną metodą łamania ludzi było tępienie religijności. Od lat sześćdziesiątych aż po drugą połowę lat osiemdziesiątych szykanowano oficerów, którzy chrzcili dzieci, zawierali (lub ich dzieci) ślub kościelny. Niewłaściwy światopogląd przekreślał szansę na karierę wojskową, za to zwalniano z wojska. Cały czas trwała selekcja, czystki, eliminacja tych, którzy mogli mieć własne zdanie, niewłaściwy światopogląd czy inwencje. Tak kształtowano armię od połowy lat sześćdziesiątych aż do lat osiemdziesiątych. Ale z drugiej strony, po 1956 r. następuje pewien powrót do niektórych zewnętrznych form tradycji wojskowej. Znowu następuje zmiana umundurowania, w pewnym stopniu nawiązuje ono teraz do polskich tradycji, chociaż nie wracają rogatywki. Ponownie przyjęto część oficerów, których wyrzucono lub nawet więziono w 1949 r. czy 1950 r. Wracają, chociaż nie na dowódzce stanowiska, ale do MON czy szkolnictwa. Mimo że jest ich niewielu, starają się zaszcześcić etos dawnego wojska. Czystka lat pięćdziesiątych trwała zbyt krótko, żeby wykorzystać pamięć o przeszłości. Jednym z takich „żywych depozytariuszy tradycji” był gen. Franciszek Skibiński.

Gen. Jaruzelski był wychowankiem Ludowego Wojska Polskiego, a co ciekawe, tradycje ludowego wojska nie były szczególnie eksponowane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Wiele jednostek pozbawiano tradycyjnych nazw, tych wojennych. Za Jaruzelskiego następuje stopniowy powrót do tych tradycji. Jednostki wojskowe wracają do nazw z okresu wojny, oczywiście chodzi tu o formacje LWP. Pojawiają się również patroni związani walkami na froncie wschodnim.

B.P. — *Co powodowało, że przedwrześniowi oficerowie, np. gen. Stefan Mossor, gen. Gustaw Paszkiewicz, brali aktywny udział w zwalczaniu zbrojnego podziemia w końcu lat czterdziestych?*

P.P. — Być może doświadczenia osobiste sprawiły, że oni przedwojennej Polski nie darzyli zbyt dużym sentymentem. A zbrojne podziemie kojarzono z przedwojenną Polską. Oficerowie ci argumentowali, że ludzie z podziemia mieli szansę, była przecież dwukrotna amnestia, ujawnianie. Mogli wyjść z lasu, nie walczyć. Z kim oni chcieli walczyć? Z Polakami? Jest druga strona tej sprawy, taka mianowicie, że działania armii wobec zbrojnego podziemia okazały się rażąco nieefektywne, o czym świadczą sprawozdania z tamtego okresu. Jest np. oblawa na jakiś oddział partyzancki, w oblawę są zaangażowane duże siły wojska, a oddział się wymyka, nie jest rozbity. Można powiedzieć, że ciężar walki ze zbrojnym podziemiem w latach 1945–1947 spada na siły NKWD, UB i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. KBW podlegał ministrowi Radkiewiczowi, podlegał MBP. Tam oczywiście również byli oficerowie, ale stanowi-

ska dowódcze zajmowali albo komuniści, albo żołnierze Armii Ludowej, którzy byli bardziej oddani partii. To było dokładne powielenie radzieckiego systemu bezpieczeństwa, składającego się z Armii Czerwonej i NKWD.

I o jeszcze jednej rzeczy chcę przy okazji przypomnieć, że nasza armia zawsze miała nazwę Wojsko Polskie, dodatek „Ludowe” to jest sprawa publicystyki i propagandy. Oficjalna nazwa siły zbrojnej PRL zawsze brzmiała: Wojsko Polskie.

B.P. — *Powróćmy do relacji między zbrojnym podziemiem i nowym, by nie powiedzieć ludowym, wojskiem.*

P.P. — Działania wojska w walkach z podziemiem były nieefektywne. Czasami na terenach działania jednostek zbrojnych podziemia i jednostek Wojska Polskiego obowiązywała taka nieformalna umowa, że nie wchodzimy sobie w drogę, nie zaczepiamy się nawzajem. Bywało, że maszerujące oddziały wojska spotykały się z oddziałami partyzanckimi i mijały się bez żadnej zaczepki. Oddziały leśne też nie chciały walczyć z polskim wojskiem. Uważano, że oni działają pod przymusem, przecież do wojska szli zwyczajni ludzie. Chłopcy z jednej szkoły, z jednej wioski, jeden jest w wojsku, a drugi — w lesie. Wojsko unikało tych konfliktów, unikało walki z partyzantami. Jeżeli dochodziło do jakiegoś starcia, to często pozwalało się rozbrajać. Całkiem inne było podejście zbrojnego podziemia do UB. Jeżeli w ręce partyzantów dostawali się funkcjonariusze UB, z reguły byli rozstrzeliwani. Jeżeli trafiali oficerowie Wojska Polskiego, byli tylko rozbrajani. O tym wszystkim można przeczytać w materiałach Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP i w materiałach służby bezpieczeństwa. Nagminnie natomiast dochodziło do konfliktów między wojskowymi a Urzędem Bezpieczeństwa czy milicją.

B.P. — *Czy ten konflikt miał charakter lokalny, czy też był to konflikt oficjalny?*

P.P. — Formalnie wszystko było w porządku, ale gdy spotykali się na ulicy, w knajpie, dochodziło wręcz do rękoczynów, strzelali do siebie. To wojskowi atakowali i wyzywali, np. działacze partii. W Kłodzku miał miejsce taki incydent. Oficerowie wyzywali partyjnych: sługusy Stalina, sowieckie psy, bolszewicy. W Jeleniej Górze doszło do strzelaniny między UB a oficerami, którzy gdzieś spotkali się po pijanemu. A przełożeni bronili żołnierzy. To nie było tak, że dowódca okręgu dostał informację z UB i karał sprawcę. Tak starał się przedstawić sprawę, że wychodziło na to, iż to UB było winne. Przykładowo, 3 maja 1946 r. na Górnym Śląsku — w Gliwicach, w Bytomiu — trwają demonstracje, bo nie można było czcić tej rocznicy. Dochodzi do zamieszek. Miejscowy komendant milicji zwraca się do miejscowego komendanta garnizonu Wojska Polskiego o pomoc w rozpędzaniu tłumów. Ten stanowczo odmawia. Komendant milicji drogą służbową przesyła skargę do dowódcy okręgu we Wrocławiu, gen. Strażewskiego (oficer Armii Czerwonej) — jak to jest, są zamieszki, oni się zwracają do wojska o pomoc, a ono im tej pomocy nie udziela. A gen. Strażewski odpisuje, że wojsko to jest siła przeznaczona do obrony kraju, a nie do tłumienia wewnętrznych zamieszek, że to jest rola UB i milicji.

B.P. — *A jak wygląda koegzystencja tych dwóch armii?*

P.P. — Jeśli chodzi o stosunki z Armią Czerwoną na terenie Polski, dochodziło do konfliktów. Przede wszystkim wtedy, kiedy żołnierze polscy stawali w obronie polskiej ludności, przeciwstawiali się gwałtom, zaborom, przestępstwom. Nie było czegoś takiego, jak wspólne manewry, ćwiczenia, wspólnie obchodzone święta. Tak na pewno było do 1950 r.

B.P. — *Co to tak naprawdę znaczy, że protestowali czy przeciwstawiali się tym postępkom Armii Czerwonej? W jaki sposób mogli to robić?*

P.P. — Dochodziło nawet do strzelaniny, do walk. Taki przykład ze Stargardu Szczecińskiego. Otóż przyjeżdża transport z polskimi przesiedleńcami ze Wschodu. Na dworcu stoi transport polskiego wojska. Wjeżdża na ten dworzec transport z żołnierzami radzieckimi wracającymi z Niemiec. Gdy oni zobaczyli przesiedleńców, kobiety, rowery, rzucili się na nich. To była gratka dla tej dziczy. Polacy zaczęli do nich po prostu strzelać. Doszło do regularnej walki. Spotkałem się ze sprawą funkcjonariusza UB, który zastrzelił oficera radzieckiego w Żorach i był sądzony tutaj we Wrocławiu, ale zmieniono kwalifikację czynu z morderstwa na jakąś mniejszą, później sprawa trafiła z sądu rejonowego do drugiej instancji, do Warszawy. Jeszcze raz zmieniono mu kwalifikację czynu. Szybko wyszedł, chyba po pół roku. A zabił go dlatego, że tamten się dobijał do jego mieszkania. Przedtem trzy razy go okradano, więc za czwartym razem nie wytrzymał i przez drzwi zaczął strzelać z pistoletu. Podobne sprawy starano się rozstrzygać na korzyść Polaków, chociaż prowadziły je sądy wojskowe. I jednej, i drugiej stronie wygodniej było sprawy wyciszać. Rosjanie wiedzieli, że z dyscypliną jest u nich fatalnie, Polacy zaś zdawali sobie sprawę, że wyciąganie tego typu incydentów będzie źle przyjęte przez społeczeństwo, bo uzna ono, że sądzi się tych, którzy bronią rodaków przed bandytami. Wzajemne obraźliwe zachowania były na porządku dziennym. Rosjanie nie szanowali Polaków. Gdy Polacy wysiedlali Niemców, Rosjanie tych Niemców bronili, rozbrajali polskie oddziały. Znam przykład z rejonu Jeleniej Góry — polska kompania, która miała wysiedlić niemiecką wieś, została otoczona przez rosyjskich żołnierzy stacjonujących w tamtejszym folwarku. Rozbrojono ich i prowadzono przez tę wieś. Polscy żołnierze szli przez tłum urągających Niemców, którzy na nich pluli, wyzywali ich. To było upokarzające. A Polacy mieli rozkaz, żeby wysiedlić tę wieś. W końcu wysiedlono, żołnierzy puszczono i oddano im broń, Rosjanie zamknęli się w koszarach, ale to był akt hańby.

B.P. — *Moje kolejne pytanie dotyczy powojennej historii armii narodowych naszych sąsiadów.*

P.P. — Jeśli chodzi o NRD, to nie ma co porównywać, bo nie było tam siły zbrojnej, tylko uzbrojona policja. Dopiero po 1956 r. przekształcono ją w NVA (*Nationale Volksarmee*), ukształtowaną na modłę radziecką. Kadre oficerską stanowili komuniści niemieccy, często urodzeni na terenie Związku Radzieckiego, na ogół Niemcy nadwołańscy. NVA nie odwoływała się do żadnej tradycji, bo do jakiej tradycji mogła się odwoływać?

Armia czechosłowacka powstaje w trzech miejscach – podległe emigracyjnemu rządowi Beneša w Londynie siły zbrojne są formowane na terenie Związku Radzieckiego, niewielka armia tworzy się na terenie Zachodniej Europy i tuż po wyzwoleniu w Czechosłowacji powstaje ministerstwo obrony narodowej i sztab generalny, który na miejscu tworzy siły zbrojne. W Czechosłowacji nie było żadnych problemów, gdyż zachowano ciągłość państwa. Rząd Czechosłowacji cieszył się poparciem Związku Radzieckiego i zachodnich aliantów. Z Zachodu jednostki czeskie przysły z całym uzbrojeniem, sprzętem, z rozwiniętymi sztandarami, z defiladą na Letnanskich Błoniach w Pradze. Z rozwiniętymi sztandarami przeszedł utworzony na terenie Związku Radzieckiego 1. Korpus. Powstaje armia czechosłowacka, która jest kontynuacją armii przedwojennej. Wszystkie stanowiska dowódcze armii czechosłowackiej obejmują przedwojenni oficerowie. Nie ma żadnych naleciałości z Armii Czerwonej, nie ma doradców, nie ma dowódców radzieckich. W 1948 r. następuje wielka czystka, która kończy się nawet wyrokami śmierci na oficerach oskarżonych o szpiegostwo, o zdradę. Wielu generałów ginie na szafocie. W latach 1948–1950 armia jest reformowana, reorganizowana. Siły zbrojne praktycznie tworzy się na nowo, a główną rolę grają w niej komuniści (od 1945 r. było w tej armii kilka wytyczek radzieckich, a wywiad został opanowany przez komunistów). Odrzucono terminologię przedwojenną, narzucono przetłumaczoną jedynie na czeski wojskową terminologię radziecką.

Na Węgrzech powstała całkiem nowa armia. Jak wiadomo, Węgry były sojusznikiem Niemiec hitlerowskich. W 1945 r. utworzono dwie dywizje złożone z jeńców wojennych, które były forpocztą komunistów na terenie Węgier, ale te dywizje nie wzięły udziału w walkach, zostały przekształcone w jednostki budowlane zaangażowane w odbudowę linii kolejowych. Po wojnie zostały częściowo zdemobilizowane. Po 1947 r. rozpoczął się powolny rozwój kontrolowanych przez komunistów sił zbrojnych. Do 1951 r. zbudowano armię nowego typu, armię komunistyczną.

B.P. – Powróćmy do polskiego wojska.

P.P. – W 1950 r. ekipa Rokossowskiego obsadziła wszystkie główne stanowiska w wojsku polskim, zastąpiła wszystkich polskich generałów, dowódców okręgów czy dywizji. W styczniu 1949 r. armia liczyła 160 tys., 1 stycznia 1953 r. już ponad 450 tys. osób. Wszystkie stanowiska dowódców w jednostkach technicznych, czyli dywizje pancerne, zmechanizowane, artylerii, lotnicze, obsadzają dowódcy radzieccy. Do Polski przyjeżdżają Rosjanie, Ukraińcy, Czuwasze, Kazachowie, nie znający języka polskiego. To są wykonawcy woli Stalina, bez propolskich sentymentów. Nie chcą mieć z Polską nic wspólnego, często nie chcą chodzić w polskich mundurach, mają za nic polski ceremoniał i polskie tradycje wojskowe. Nie ma już polskiego tradycyjnego munduru, wtedy właśnie mundur stracił rogatywkę. Wzory mundurów nawiązują do mundurów Armii Czerwonej. Następuje drastyczna zmiana etosu wojska. Powstaje ogromna liczba szkół oficerskich, setki, tysiące nowych stanowisk oficerskich. Obejmują je ludzie z naboru stachanowskiego, rewolucyjnego, którzy nie muszą mieć matury, ich szkolenie

jest bardzo szybkie, tylko pod kątem technicznym. Myślę, że w latach pięćdziesiątych nastąpiło zerwanie tradycji łączącej przeszłość z teraźniejszością.

B.P. — *Chciałam zapytać o opór społeczny w wojsku, o dezercję.*

P.P. — Problem dezercji dotknął nowe Wojsko Polskie już na samym początku. Wstydliwym aspektem bitwy pod Lenino była sprawa zaginięcia kilkuset, około sześciuset, żołnierzy. Część z nich przeszła na stronę niemiecką, razem z wojskami niemieckimi uciekli na teren Europy Zachodniej, później zostali wykorzystani w różnych niemieckich działaniach propagandowych na terenach ziem okupowanych.

Kolejna fala miała miejsce już na terenach Polski, gdy rozpoczął się pobór do armii. To było zjawisko na masową skalę i jeden z podstawowych powodów nieformowania 3. Armii Wojska Polskiego — zabrakło żołnierzy. Różne były motywy dezercji, często polityczne. Ci ludzie nie chcieli służyć pod dowództwem oficerów Armii Czerwonej, którzy często nie znali nawet języka polskiego. Duży wpływ miała propaganda polskiego podziemia, a także presja najbliższego otoczenia, rodziny. Myślę, że bardzo dużą rolę odegrały fatalne, szczególnie w 1944 r., warunki bytowe. Brakowało mundurów, butów, żywności. W słoce i błocie, boso, głodne — tak żyło wtedy wojsko. Znanym przykładem jest dezercja ponad połowy stanu 31. Pułku Piechoty. Poszli do lasu. Wydano parę wyroków śmierci na oficerach, w tym na oficerach Armii Czerwonej, którzy dowodzili jednostką. Wyroki nie zostały jednak wykonane, Rola-Żymierski zamienił je na służbę w kompanii karnej. Nazwa 31. Pułku Piechoty została wykreślona z listy jednostek Wojska Polskiego. Fala dezercji zaczęła opadać w 1946 r.

Wśród poborowych zawsze istniał pewien margines niepokornych. W 1968 r. sądy wojskowe skazały kilkudziesięciu żołnierzy za solidaryzowanie się ze studentami, za wrogie wypowiedzi.

B.P. — *Jak by pan scharakteryzował wychowawczą i edukacyjną rolę ówczesnego wojska?*

P.P. — Jednym z głównych zadań wojska było dostosowanie męskiej części społeczeństwa do życia w tym systemie, nauczanie posłuszeństwa. No i trzeba pamiętać, że wielu wiejskim chłopakom wojsko dawało możliwość awansu społecznego, chcieli nawet w nim zostać jako żołnierze zawodowi. Zaraz po wojnie i w latach pięćdziesiątych szkoła oficerska była otwarta dla każdego.

B.P. — *«Nie matura, lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera»?*

P.P. — To wymyślił Sokorski w 1944 r., chociaż w 1945 r., podczas pierwszego powojennego naboru, do szkoły piechoty i kawalerii w Krakowie nie przyjmowano bez matury. Dla tych, którzy w latach pięćdziesiątych poszli do wojska, otwierano specjalne ogólnokształcące szkoły wojskowe, szczególnie po 1956 r., żeby uzupełnili swoje wykształcenie ogólne. W latach sześćdziesiątych wielu wojskowych, funkcjonariuszy milicji i służby bezpieczeństwa zaczęło studiować, zwłaszcza na studiach zaocznych. To byli właśnie ci ludzie z naboru lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Oficerowie mieli dużą wiedzę fachową. Jeżeli ktoś chciał zrobić karierę, musiał cały czas się dokształcać. Na kursach, potem w Akademii Sztabu Generalnego, w końcu w Akademii Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej, słynnej „Woroszyłowce”. Do tego dochodziły sprawdziany praktyczne, od wyników osiąganych na ćwiczeniach, manewrach, grach dowódczo-sztabowych zależał awans. Gorzej było z wiedzą ogólną. W latach pięćdziesiątych na zajęciach ideologicznych uczono, że przedwojenne Polsko była państwem faszystowskim, wobec tego słuchacze nie byli zainteresowani pielęgnowaniem przedwojennych wzorów, symbolizujących burżuazyjne, feudalne czasy. Tak ukształtowani oficerowie byli generałami w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

I jeszcze jedno, wojsko zatraciło elitarność. Przed wojną oficerowie stanowili kilkanaście procent ogólnego stanu sił zbrojnych, w latach siedemdziesiątych było ich ponad 30 proc.

B.P. — *A jednak wojsko w PRL cieszyło się nie małym autorytetem.*

P.P. — Tak, i wykorzystywała to propaganda komunistyczna. W KC mówiono wprost: wojsko ma autorytet, użyjmy go więc do konkretów. Tak było do lat siedemdziesiątych. Co lato na wieś ruszały grupy propagandowe, zwłaszcza w momentach kryzysowych, w 1968 r., 1971 r. Przyjeżdżają żołnierze i wyjaśniają sytuację, często przyjeżdża z nimi lekarz, jakaś pomoc. Jakby przyjechał propagandzista z KW, to by do nich nie trafiło. Wojsko starało się utrzymać ten autorytet. Udział wojska w „wielkich budowach socjalizmu” był zauważany i ceniony — gdy trzeba było coś zbudować, w WKU powoływano jednostkę budowlaną, wystarczyło do tego miesięczne szkolenie. Często do dowódcy jednostki dzwonił naczelnik gminy: trzeba postawić most. I wojsko bezpłatnie stawiało ten most. Można zaryzykować tezę, że etos wojska przetrwał bardziej w społeczeństwie niż w samym wojsku. Ludzie chcieli wierzyć, że na wojsko można liczyć, choć często niestety było inaczej.

B.P. — *Przy okazji chcę zapytać o karne bataliony pracy.*

P.P. — Powstały w 1950 r. i dotrwały do 1959 r. — bataliony górnicze, pracy, budowlane; przewinęło się przez nie kilkaset tysięcy młodych ludzi. Stosowano kryteria klasowe: dzieci kułaków, młodzi ludzie z konspiracji, osoby relegowane ze studiów, synowie rzemieślników, ludzie niepewni, w latach pięćdziesiątych także autochtoni. W ustawie o służbie wojskowej był rozdział o służbie zastępczej. Z pozoru więc nie stanowiło to represji, chociaż już rozkaz ministra obrony narodowej, określający kryteria, był tajny. Tak więc bataliony pracy były legalne, co nie zmienia faktu, że ludzie pracowali na zmiany po kilkanaście godzin, była wysoka śmiertelność, zwłaszcza w kopalniach, wypadki, to przecież nie byli fachowcy. Pracowali jak więźniowie. Później powstały jednostki budowlane, a w latach sześćdziesiątych OTK — Obrona Terytorialna Kraju — pierwotnie miała ona bronić regionu, w którym jednostki te stacjonowały. W przeciwieństwie do wojsk operacyjnych OTK nigdy nie podlegała dowództwu Układu Warszawskiego. Pod koniec lat sześćdziesiątych idea OTK została zaprzeczona, były to jednostki typowo budowlane, robocze, które się wykorzy-

stywało do wszelkich prac. Brano do nich ludzi z przeszłością kryminalną, bez wykształcenia, często stosowano kryteria polityczne.

B.P. — *Słyszałam o jednostkach kleryckich.*

P.P. — Powołano je w 1965 r., na wniosek ówczesnego Szefa Głównego Zarządu Politycznego, gen. Jaruzelskiego. Początkowo powstały kompanie, a rok później trzy szkolne bataliony ratownictwa terenowego w Bartoszycach, Brzegu i Szczecinie Podjuchach. Gromadzono w nich kleryków, aby nie wpływali ideologicznie na pozostałych żołnierzy. Kierowano tam najinteligentniejszych oficerów z aparatu politycznego. Kleryków nakłaniano, żeby po skończeniu służby wojskowej nie wracali do seminarium. Jednostki te zlikwidowano w końcu lat siedemdziesiątych, ostatnią w Bartoszycach, rozformowano w 1980 r.

B.P. — *Słyszałam też o nieoczekiwanych powołaniach do armii w czasie stanu wojennego.*

P.P. — Nie tylko wtedy wojsko odgrywało rolę prewencyjną. Np. w 1968 r. studentów, których relegowano z uczelni, powoływano do tzw. kompanii polowych na poligonach, żeby odizolować ich od innych żołnierzy. Po 1970 r. i po 1976 r. do takich jednostek powoływano także robotników i przez miesiąc czy dwa, trzy trzymano ich na poligonach, pod namiotami, gdzie mieli intensywne szkolenie ideologiczne i taktyczne, żeby tylko nie pojawiła się w nich chęć knowania. W stanie wojennym również powstały kompanie polowe. Wiadomo, że stan wojenny był operacją naruszającą normy prawne i społeczne, więc zabezpieczono się w ten sposób również przed wzrostem przestępczości, bo do kompanii polowych powołano także kryminalistów, recydywistów. I tak co jakiś czas, gdy pojawiało się jakieś zagrożenie społeczne w kraju, wojsko spełniało funkcję gromadzenia tych potencjalnie nieprawomyślnych.

B.P. — *Skończył się jakiś etap w historii polskiego wojska. Mam jednak wrażenie, że w każdym pokoleniu jest duża grupa młodych chłopaków, którzy są zafascynowani polskim wojskiem. W społeczeństwie istnieje nadal pewien wizerunek polskiego oficera, to jest nawet pewien mit, podobnie jak mit ułanów, legionistów, rycerzy.*

P.P. — Ale to jest bardzo szybko weryfikowane. Jeszcze jedna rzecz jest szalenie ważna — status materialny. Przed wojną zawód oficera w hierarchii finansowej stał bardzo wysoko, cieszył się też wielkim prestiżem. To się całkowicie zmieniło. Obecnie wojskowi zarabiają mało, żony nie pracują, ciężko im powiązać koniec z końcem, muszą dorabiać „na boku”, oni uważają, że to nie licuje z godnością zawodu, który wykonują. Nie powinni mieć takich problemów bytowych. Gdyby ich status materialny był lepszy, gdyby mieli pensje na poziomie prokuratorów czy sędziów, może inaczej by to wyglądało.

W UŚCISKU WIELKIEGO BRATA

O stosunkach polsko-sowieckich w latach 1944–1956
z Krzysztofem Persakiem

B.P. — *Odbudowa państwa po katastrofie wojennej odbywała się pod politycznym i gospodarczym patronatem kolejnej odmiany rosyjskiego imperializmu — Związku Radzieckiego. Tak rozpoczął się szczególny fragment historii stosunków polsko-rosyjskich...*

K.P. — Wydaje mi się, że tę rozmowę powinniśmy zacząć od kwestii całkowitej zależności nowo ustanowionych władz Polski Lubelskiej od Związku Sowieckiego. Mówi się często, że władza komunistyczna została przywieziona do Polski na radzieckich czołgach. Rzeczywiście, to obrazowe określenie oddaje istotę rzeczy. Protokoły z posiedzeń Biura Politycznego KC Polskiej Partii Robotniczej z jesieni 1944 r. pokazują skalę zjawiska: nowa władza w Polsce była we wszystko wyposażona przez Związek Radziecki, od maszyn do pisania, samochodów, paliwa, żywności, po zaopatrzenie, umundurowanie i uzbrojenie polskiego wojska. To tylko jeden z aspektów tej zależności, ale oznaczało to także całkowitą zależność polityczną, gospodarczą, militarną, trwającą od momentu wkroczenia wojsk sowieckich na ziemie polskie aż do 1956 r.

B.P. — *Czy polscy przedwojenni komuniści wyobrażali sobie, że mogą zdobyć w Polsce realną władzę, czy byli do tego przygotowywani przez swoich moskiewskich patronów?*

K.P. — Nie sądzę, żeby istniały jakieś realne projekty, w latach trzydziestych nic raczej nie wskazywało na to, że rewolucja światowa może się ziścić. To był pewien projekt, idea komunistów, przecież KPP była partią opozycyjną, więcej nawet — nielegalną. Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek planował przejęcie władzy w przewidywalnej przyszłości.

Nowej władzy trzeba było dać instrumenty. Nie tylko broń, mundury. Organy bezpieczeństwa w Polsce Ludowej zaczęły się kształtować jesienią 1944 r. W pierwszym okresie ten kadrowy trzon organów bezpieczeństwa w dużej mierze składał się z oficerów radzieckich oraz polskich komunistów, którzy przeszli specjalny kurs NKWD w Kujbyszewie. Ta ponad dwuosobowa grupa miała budować organy bezpieczeństwa w Polsce, jeden z najważniejszych instrumentów nowej władzy.

Pierwszy okres władzy ludowej, zwany okresem lubelskim, od jesieni 1944 r. do czerwca 1945 r., czyli do powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej – można uznać za okres podboju Polski przez komunistów. To są lata największego terroru, największej liczby wyroków śmierci i mordów skrytobójczych, a także walki zbrojnej z bardzo silnym podziemiem antykomunistycznym czy niepodległościowym. Od lata 1944 r. do ofensywy w styczniu 1945 r. na nowo zajętych czy wyzwolonych terenach Polski Lubelskiej stacjonowały masy wojsk sowieckich. Front jednak bardzo szybko przesunął się na zachód, a wtedy podziemie akowskie i narodowe, bezradne jesienią 1944 r., zaczęło się odradzać i stało się wielkim problemem dla nowej władzy. W niektórych rejonach, poza miasteczkami, panowanie komunistyczne było fikcją, opanowało je podziemie. Tu dochodzimy do kolejnego wymiaru podległości Moskwie. Zbiorcza Dywizja NKWD, która wraz z aparatem bezpieczeństwa i wojskami KBW walczyła z podziemiem, stacjonowała na ziemiach polskich do końca 1946 r., a właściwie ostatnie jednostki NKWD wycofano wiosną 1947 r. Na terenie Polski operował również radziecki kontyngent wojskowy „Smiersz”.

B.P. – *Osadzanie, a następnie umacnianie władzy komunistycznej w Polsce łączyło się z pewnymi nakładami ekonomicznymi.*

K.P. – Kwestie polityczne i gospodarcze są tutaj bardzo ściśle splecione. Były to transfery wielostronne i wielowątkowe. Z jednej strony szły dostawy zboża, a z drugiej w pierwszej połowie 1945 r. na Ziemiach Odzyskanych trwała intensywna akcja remontowywania setek mniejszych i większych zakładów przemysłowych, wywożenia maszyn, torów kolejowych do Związku Sowieckiego, rabunków popełnianych przez Armię Czerwoną. Równocześnie udzielano pomocy władzom komunistycznym i eksploatowano gospodarczo kraj w takim stopniu, że można mówić o rabunku. Około kilkunastu tysięcy górników ze Śląska, różnych narodowości, deportowano do niewolniczej pracy w kopalniach na terenie ZSRR.

B.P. – *Jaka jest po 1944 r. prawna podbudowa ówczesnej władzy? Czy takie akty jak Manifest Lipcowy mają rangę dokumentów zgodnych z prawem międzynarodowym?*

K.P. – Oczywiście, zachowywano pozory normalnych stosunków międzypaństwowych. Przy PKWN, potem przy Rządzie Tymczasowym, rezydował radziecki przedstawiciel, gen. Bułganin, ale ta warstwa fikcji była bardzo cienka i łatwo odtworzyć realia. Nietrudno było zauważyć, że realną władzę sprawuje UB, że w wojewódzkich, a nawet powiatowych urzędach bezpieczeństwa jest wielu radzieckich oficerów i doradców. Manifest Lipcowy nie jest aktem prawnym, to deklaracja polityczna. Dziś doskonale wiemy, że Manifest Lipcowy wydano nie w Chełmie, tylko w Moskwie. Pierwsi przedstawiciele PKWN znaleźli się na ziemiach polskich dobre parę dni po jego powołaniu. To kłamstwo, które leży u samych podstaw naszych powojennych stosunków, jest pewnym symbolem – Manifest Lipcowy zmitologizowano, przedstawiono jako akt fundacyjny nowej władzy, nowego suwerennego państwa. Stworzono

zasłone dymną skrywającą realia polityczne. Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów podległości, a także brutalnej ingerencji Stalina, był tak zwany zwrot październikowy w 1944 r. Przyjęto wówczas politykę ostrych represji wobec ujawniających się żołnierzy Armii Krajowej i struktur Polski Podziemnej, oznaczającą początek powszechnego terroru. Ogłoszono wówczas dekret o ochronie państwa, drakański akt prawny, którego bardzo wiele artykułów przewidywało tylko jedną karę, karę śmierci. Uchwalono go po bezpośredniej ingerencji Stalina, który podczas jednego ze spotkań w Moskwie wręcz zrugął Bieruta: „cóż to z was za komuniści, coś to za rewolucja, kiedy nie spadają głowy, musicie to zmienić i nie ustępować”. Stalin skrytykował polskich komunistów za „podchodzenie w rękawiczkach do wroga”. Istotnym wyznacznikiem tej zależności są ich niezliczone podróże do Moskwy i omawianie ze Stalinem spraw nawet bardzo szczegółowych.

W pamiętnikach Gomułki można przeczytać, że te podróże odbywały się nawet dwa razy w miesiącu. Omawiano wszelkie kwestie bieżącej polityki, poczynając od spraw zasadniczych, jak ustalanie taktyki przed referendum i wyborami w styczniu 1947 r., czy coś w rodzaju mediacji Stalina w sporze między PPR a PPS w 1946 r.

B.P. — *Czy rzeczywiście chodziło o mediację?*

K.P. — Nie, Stalin oczywiście sterował działaniami PPR, ale występował w tym sporze jako mediator. Myślę, że jego ulubioną pozą w różnych rozmowach była poza dobrego wujka...

B.P. — *a nawet ojca...*

K.P. — ...który udziela świątłych rad i okazuje swoją dobrą wolę i życzliwość. Osóbka-Morawski po jednej z tych rozmów w Soczi w 1946 r. z takim wzruszeniem opisuje, jaki Stalin był miły i dobry, a na zakończenie poczęstował wszystkich pomarańczami. To była poza, którą Stalin przyjmował. Wtedy rzecz dotyczyła sporu o zasady utworzenia bloku wyborczego przed wyborami w 1947 r. i ordynacji wyborczej. Stalin rozstrzygał w sprawach istotnych i zasadniczych, ale także drobnych, co jasno wynika z zapisków Bieruta. Pamiętam notatkę, w której Bierut pyta Stalina, czy kartki na żywność znieść, czy utrzymać. Nie są to sprawy, którymi normalnie zajmowałaby się głowa mocarstwa.

B.P. — *Decyzje personalne naturalnie też były z nim uzgadniane.*

K.P. — Niewątpliwie, Stalin bardzo wiele miał do powiedzenia zwłaszcza w sprawach wojskowych. To Stalin narzucił Rokossowskiego na stanowisko ministra obrony narodowej w 1949 r., choć tę decyzję poprzedził dość szczegółowymi konsultacjami. Oczywiście, w ścisłym porozumieniu ze Stalinem nastąpiło usunięcie Gomułki z funkcji sekretarza generalnego KC PPR w 1948 r.

B.P. — *Mówi pan, że jako ślad tych rozmów i konsultacji zostały tylko osobiste notatki. Co się stało z protokołami?*

K.P. — Strona polska najprawdopodobniej nie sporządzała stenogramów, znamy natomiast zapisy niektórych rozmów, pochodzące ze źródeł radzieckich, oraz skróto-

we notatki sporządzane przez Bieruta. Braki w dokumentacji z lat 1944–1956 utrudniają odtwarzanie mechanizmu wzajemnych stosunków.

Wróćmy do kwestii podległości politycznej. Przykładem, który ma duże znaczenie symboliczne, choć niewielkie praktyczne, ze względu na specyfikę ustroju, w którym konstytucja była tylko zbiorem pobożnych życzeń, a nie aktem prawnym mającym istotne znaczenie, były poprawki Stalina do konstytucji polskiej z 1952 r. Kolejne wersje projektu konstytucji kilkakrotnie konsultowano ze Stalinem. Na ostatecznym projekcie z 1951 r. (przetłumaczonym na rosyjski) naniósł on odręcznie kilkadziesiąt poprawek. Były to poprawki redakcyjne, mało istotne, ale mimo to bardzo charakterystyczne. Przede wszystkim widać dążenie Stalina do „unarodowienia” tej konstytucji, dopisywał określenia: polski, w Polsce, narodowy. Tam, gdzie była mowa o dzieścioleciach niewoli, i gdzie widocznie obawiano się nazwać rzecz po imieniu, Stalin dodał, że niewolę narodową narzucili pruscy, austriaccy i rosyjscy kolonizatorzy.

B.P. — *Laskawie ujawnił więc, kim konkretnie byli zaborcy.*

K.P. — Stalin był też hojny w przyznawaniu wolności politycznych i praw socjalnych. Dopisał m.in. postanowienia o wolności prasy, prawie dostępu do radia, bezpłatnej opiece lekarskiej.

Wszystkie te poprawki zostały osobiście przepisane przez Bieruta, który przedstawił je jako własne. Tylko jedna z nich miała istotne znaczenie prawne. Otóż w art. 11 konstytucji była mowa o ochronie własności prywatnej ziemi, budynków i środków produkcji należących do chłopów oraz rzemieślników. W następnym zaś artykule chodziło o ochronę własności osobistej, a zatem zgodnie z marksistowską ekonomią polityczną — własności przedmiotów codziennego użytku, a nie środków produkcji. Stalin zmienił w art. 11 słowa „własność prywatna” (*czastnaja*) na „osobista” (*licznaja*). Bierut, tłumacząc poprawki Stalina, użył synonimu i przetłumaczył to jako „indywidualną”. I w ten sposób pojawił się w konstytucji trzeci rodzaj własności, którego nauka prawa dotychczas nie знаła. Miało to poważne konsekwencje, ponieważ jeżeli konstytucja używa innego sformułowania, to znaczy, że chodzi o inny byt prawny. Nie można powiedzieć, że dwa różne słowa są w akcie prawnym synonimami i że trzeba je uznać za to samo, chociaż brzmią inaczej. Prawnicy musieli się z tym bardzo nagimnastykować, żeby uzasadnić istnienie nowego typu własności — stworzono całą teorię, czym własność indywidualna różni się od własności prywatnej i własności osobistej. Pojęcie własności indywidualnej dopiero w 1989 r. zniknęło z konstytucji i z podręczników prawa cywilnego. Była to poprawka najbardziej brzemienna w skutki, choć wynikająca ze zwykłej pomyłki translatorskiej.

Jeden z wcześniejszych projektów konstytucji, z 1950 r., deklarował kierowniczą rolę partii oraz przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Jak można wnioskować z notatek Bieruta, w wyniku interwencji Stalina te postanowienia zostały skreślone, powróciły dopiero w 1976 r., co wywołało protesty, które stały się jednym z czynników inicjujących powstanie opozycji politycznej w Polsce. Jest to pewien paradoks i żart historii.

B.P. — *Stalin był nie tylko znanym językoznawcą, ale i równie wybitnym ekonomistą. Jak oficjalnie wyglądały nasze stosunki gospodarcze z ZSRR?*

K.P. — Sprawa polsko-radzieckich stosunków gospodarczych jest praktycznie w Polsce niezbadana, poza bardzo niewieloma aspektami. Nie sądzę więc, żeby ktokolwiek potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy ich bilans był dodatni czy ujemny, bo z jednej strony była to eksploatacja, z drugiej — poważna pomoc gospodarcza. Trudność tę potęguje fakt, że mamy do czynienia z gospodarką socjalistyczną, która niespecjalnie się poddaje opisowi klasycznej ekonomii. Dotyczy to np. tych całkowicie umownych cen, jak w anegdocie, że kiedy rewolucja już zwyciężyła na świecie, trzeba będzie zostawić jedno państwo kapitalistyczne, żeby było wiadomo, co ile kosztuje. Na przykład w 1950 r., kiedy przeprowadzono reformę walutową (wymiana pieniędzy) w Polsce, konieczne stało się ustalenie nowego kursu złotego do rubla. Przyjęto stosunek 1 do 1, regulowało to odpowiednie porozumienie międzynarodowe. Reforma została wprowadzona jesienią 1950 r. W styczniu następnego roku Stalin wystosował do Bieruta telegram, mniej więcej tej treści: „towarzyszu Bierut, w części dotyczącej ustalenia kursu złotego w stosunku do rubla reforma walutowa w Polsce nie powiedziała się, został popełniony błąd, naszym zdaniem należałoby ustalić kurs nie jeden do jednego, ale jeden do trzech”. Na co Bierut odpowiada: „ależ tak, towarzyszu Stalin, popełniliśmy błąd, zaraz go naprawimy”. Wola Stalina była rozkazem. Zmarszczenie brwi Stalina powodowało natychmiastową zmianę ustaleń międzynarodowych. Co więcej, wprowadzenie tego kursu 1 do 3 ukryto, formalnie nie zmieniono umowy, a we wzajemnych rozliczeniach dokonywano odpowiednich dopłat. To trwało do marca 1953 r., wtedy kurs zmieniono trochę na korzyść Polski (1 do 1,8). Mamy tu przykład osobistej, indywidualnej decyzji Stalina...

B.P. — ...bardzo brzemiennej w skutki.

K.P. — Inna decyzja Stalina doprowadziła do załamania planu sześcioletniego (uzgodnionego zresztą szczegółowo z Moskwą) już w rok po jego uchwaleniu. W styczniu 1951 r. w Moskwie odbyło się zebranie, na które zostali wezwani pierwsi sekretarze partii i ministrowie obrony krajów satelickich. Przedstawiono na nim plan rozbudowy armii i przemysłu zbrojeniowego, urządzeń i instalacji obronnych w całym bloku sowieckim, narzucono tym krajom kwoty rozbudowy narodowych sił zbrojnych, liczebności wojska.

B.P. — *Były to przygotowania wojenne.*

K.P. — Tak, do trzeciej wojny światowej; trzeba pamiętać, że już od pół roku trwała wojna w Korei. Nie wiemy na pewno, czy Stalin szykował kolejną wojnę, czy były to tylko działania na wszelki wypadek. Wiadomo tylko, że wojenna doktryna radziecka była zawsze doktryną ofensywną.

Stalin zmusił kraje satelickie do ogromnego wysiłku zbrojeniowego. Zwiększenie stanu sił zbrojnych trzykrotnie w stosunku do planów, jakie zakładano na okres pokojowy, rozbudowa inwestycji strategicznych, jak linie kolejowe o dużej przepustowości,

wości czy osiem rejonów przeładunkowych na granicy z ZSRR, rozbudowa mostów, budowa ponad 20 lotnisk wojskowych, rozbudowa linii łączności, dróg – to wszystko przygotowywano na wypadek wojny. Inwestycje te narzucił Związek Radziecki, ale wykonano je za polskie pieniądze. Te olbrzymie przedsięwzięcia zrealizowano w ciągu zaledwie sześciu lat.

Wydatki na nie bardzo często ukrywano, to nie były wydatki ministerstwa obrony narodowej, ale przemysłu chemicznego, budowlanego, maszynowego, górniczego itd. W okresie tuż przed wojną Polska zdobyła się na duży wysiłek militarny – mieliśmy dwa zakłady przemysłu artyleryjskiego, dwa zakłady broni strzeleckiej, jeden zakład amunicyjny, pięć zakładów materiałów wybuchowych, jedenaście zakładów przemysłu lotniczego, co daje razem 23 zakłady związane z przemysłem zbrojeniowym. W 1955 r. natomiast na potrzeby wojska pracowały 54 zakłady przemysłu zbrojeniowego, 22 wydziały produkcji zbrojeniowej w zakładach niezbrojeniowych i 91 zakładów cywilnych, razem 166 zakładów. Skutki tych działań odczuwamy do dziś, bo duża część bezrobocia w Polsce wynika także z tego, co odziedziczyliśmy po okresie stalinowskim.

Była to niewyobrażalna rozbudowa. W ramach planu sześcioletniego nie przewidywano rozbudowy przemysłu zbrojeniowego. Na potrzeby tego przemysłu miało pracować kilka zakładów. Oznaczało to dziesięciokrotny wzrost nakładów zbrojeniowych. Taka sytuacja doprowadziła oczywiście do załamania planu sześcioletniego i do olbrzymiego spadku poziomu życia w latach pięćdziesiątych. Produkcja zakładów zbrojeniowych była tak olbrzymia, że w skali roku przekraczała potrzeby kilkusetysięcznej armii. Rozbudowa przemysłu zbrojeniowego w latach 1950–1955 pochłonięła około 4 mld dolarów, a inwestycje strategiczne około 1 mld dolarów.

B.P. – *Jednak, o ile wiem, nie tylko zbrojenia obciążały naszą gospodarkę.*

K.P. – Kolejna sprawa to eksport węgla do ZSRR. Było to powiązane z reparacjami wojennymi z Niemiec, których 15 proc. miało przypaść Polsce. Polska miała otrzymać reparacje wojenne z części przyznanej Związkowi Sowieckiemu, ale ich w zasadzie nie otrzymała. Związek Radziecki pobierał reparacje wojenne z terenu swojej strefy okupacyjnej w Niemczech, a po powstaniu NRD w ramach przyjaznego gestu w stosunku do nowo powstałego państwa zrezygnował ze swej części reparacji wojennych, a Polska w ślad za nim. Kwota reparacji, którą Polska otrzymała, była bardzo niewielka. W latach 1946 i 1947 zawarto umowy ze Związkiem Sowieckim, w świetle których, jako pewnego rodzaju rekompensatę za to, że otrzymując Ziemie Odzyskane, Polska uszczupliła pulę, z jakiej ZSRR pobrałby swoje reparacje, Polska zobowiązała się dostarczać węgiel kamienny po cenach specjalnych. Węgiel sprzedawano poniżej kosztów transportu. Bilans sporządzony w 1956 r. wskazuje, że sprzedano go za jedną dziesiątą ceny światowej, a w owym okresie węgiel był podstawą energetyki. Oczywiście, Związek Sowiecki kwestionował ten bilans.

B.P. – *Wspomniał pan wcześniej, że Związek Radziecki udzielał Polsce pomocy gospodarczej. W czym konkretnie przejawiała się owa pomoc?*

K.P. – Przede wszystkim były to licencje i to, co się współcześnie nazywa *know-how*. Z zachowanej korespondencji Bieruta ze Stalinem wiemy, że dziękuje on za przysłanie ekspertów, którzy dokonywali jakichś kompleksowych ekspertyz różnych gałęzi przemysłu hutniczego, chemicznego, zbrojeniowego, koksowniczego, nawet rolnictwa.

Z jednej strony oznaczało to pomoc, ale z drugiej uzależnienie gospodarcze od technologii, części zamiennych itd. Znaną rzeczą jest eksploatacja węgla, to jakoś funkcjonuje w świadomości społecznej, ale interesująca okazuje się kwestia wydobywania uranu w Sudetach. Ze zdziwieniem znalazłem w dokumencie z 1957 r. informację podpisaną przez zastępcę przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego Piotra Jaroszewicza wskazującą na to, że sprzedaż polskiego uranu do Związku Radzieckiego była, wbrew powszechnym mniemaniom, dla Polski bardzo opłacalna. Umowa została zawarta na dwadzieścia lat w 1947 r., a po dziesięciu latach, na fali wszystkich przemian, Związek Radziecki chciał się z tej umowy wycofać lub w każdym razie doprowadzić do jej zmiany, jako niewygodnej ekonomicznie. Z tej notatki wynika, że cena uranu płaconą przez Rosję była dziesięciokrotnie wyższa od ceny światowej. W latach 1948–1956 wydobyto i sprzedano 150 tys. ton rudy uranowej, co zawierało 300 ton metalicznego uranu. Polsce zależało na przedłużeniu tej umowy.

Innym wątkiem, który miał istotne znaczenie dla stosunków polsko-sowieckich, a także dla postrzegania tych stosunków przez zwykłych ludzi, było stacjonowanie w Polsce jednostek Armii Czerwonej. Tuż po wojnie garnizonów radzieckich było bardzo dużo, często wybuchały konflikty, dochodziło do rabunków i gwałtów. Armia sowiecka była całkowicie bezkarna, nie dotrzymywała żadnych zobowiązań.

B.P. – *Czy w sprawach noszących znamiona przestępstw kryminalnych popełnianych przez tę armię podejmowano jakiekolwiek próby przeprowadzenia spraw sądowych?*

K.P. – Żołnierze radzieccy nie podlegali polskiej jurysdykcji. Możliwości delegata rządu przy dowództwie Armii Czerwonej były prawie żadne. Wszelkiego rodzaju postępowania ze strony polskiej, postępowanie prokuratorskie w wypadku przestępstw kryminalnych czy próby egzekwowania należności, ostatecznie trafiały do delegata rządu, który sprawę przedstawiał dowództwu radzieckiemu i na tym sprawa się kończyła. Najczęściej roszczenia były ignorowane. Według bardzo szczegółowego studium dotyczącego garnizonu sowieckiego w Toruniu, w 1945 r. długi Armii Czerwonej za elektryczność, za pół roku, były równe miesięcznemu budżetowi całego Torunia. Różne sprawy gospodarcze związane z dostawami, z kosztami transportu, tranzytu przez Polskę wojsk radzieckich, zarówno do garnizonów znajdujących się w Polsce, jak i w NRD, pozostawały nie uregulowane do 1956 r.

B.P. – *Czy powołanie Układu Warszawskiego, przynajmniej w tym wymiarze, sformalizowania statusu przebywającej tu armii, dowództwa itd., cokolwiek zmieniło?*

K.P. — To nie miało nic wspólnego z pobytem wojsk w Polsce. Powołanie Układu Warszawskiego zbiegło się w czasie z odwilżą po śmierci Stalina, zelżały mrozy zimnej wojny, nastąpiła pewna normalizacja, usankcjonowanie istniejącej sytuacji. Zależność militarna była realnie znacznie silniejsza przed powołaniem Układu Warszawskiego. Znacznie większy wpływ na sytuację polityczną miały przemiany w Polsce, dojście do władzy Gomułki. Jednym z istotnych punktów jego programu było unormowanie stosunków ze Związkiem Sowieckim, to brzmiało bardzo wyraźnie w jego przemówieniu na VIII Plenum w październiku 1956 r.

B.P. — *Czy sądzi pan, że mu się to udało, uwzględniając warunki, jakie zastał, i jego możliwości?*

K.P. — W dużej mierze mu się to udało. Myślę też, że jako polityk, niezależnie od oceny tej polityki, był człowiekiem silnego charakteru, potrafiącym obstawać przy pewnych sprawach w rozmowach z Rosjanami.

Na kilka dni przed plenum październikowym, na posiedzeniu Biura Politycznego, którego nie był jeszcze członkiem, zarzucił wielu członkom biura nadmierną uległość Związkowi Radzieckiemu, mówił wprost o nieuczciwych umowach węglowych, reparacjach, demontażu fabryk, doradcach sowieckich.

Trzeba powiedzieć o dramatycznym wydarzeniu, jakim była próba militarnej interwencji w Polsce w czasie VIII plenum. 19 października o świcie, a może jeszcze 18 w nocy, wojska radzieckie z garnizonów w Bornem-Sulinowie na Pomorzu i Świętoszowie na Śląsku rozpoczęły marsz na Warszawę, czołgi radzieckie szły na Warszawę. Rano 19 października na lotnisku niespodziewanie zjawiała się delegacja radziecka, z Chruszczowem na czele, a oprócz niego Mikojan, Kaganowicz, Mołotow i marszałek Koniew. Słowo „niespodziewanie” może jest trochę przesadne, oni zapowiedzieli swój przyjazd dzień wcześniej, ale strona polska odmówiła i zaprosiła ich dopiero po zakończeniu plenum. Z tego, co Gomułka potem relacjonował, wynika, że powitanie było bardzo chłodne, właściwie wrogie. Chruszczow wygrażał pięścią na powitanie, Gomułkę zignorował, przywitał się z Rokossowskim i generałami.

B.P. — *Jak można skomentować ten fakt?*

K.P. — Dla Moskwy był to moment ogromnej niepewności. Pozycja Chruszczowa w Związku Radzieckim w gruncie rzeczy nie była silna, a sytuacja w Polsce wydawała się ogromnie niepewna po stłumieniu przez wojsko rewolty w Poznaniu. W społeczeństwie panowały nastroje antysowieckie. Rosjanie obawiali się, że sytuacja łada chwila wymknie się spod kontroli, że Polska może wystąpić z Układu Warszawskiego, a to już było poważne zagrożenie, strategiczne i geopolityczne, bo chodziło o linię łączności z garnizonami radzieckimi w NRD. Gomułka był człowiekiem absolutnie niepewnym, nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać, i te rozmowy w Belwederze okazały się niezmiernie dramatyczne. Nie wiemy o nich wiele, trochę z notatek Aleksandra Zawadzkiego, trochę z relacji Gomułki. Toczyły się niemal z pistoletem na stole. Trwały rozmowy, a wojska radzieckie szły na Warszawę.

B.P. — *Przylot delegacji tego marszu nie przerwał?*

K.P. — Nie. Dochodziły na bieżąco meldunki z posterunków milicji czy od wojsk KBW, że wojska idą. Doszły na przedmieścia Łodzi. Trasę ich przemarszu można ustalić na podstawie późniejszych raportów o zniszczeniach dróg.

Gomułce udało się przekonać Chruszczowa, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli, że nie dojdzie do wybuchu kontrrewolucji w Polsce oraz że Polska nie wystąpi z Układu Warszawskiego. Wojska się zatrzymały, ale jeszcze przez kilka dni stały w miejscu. Pretensje Chruszczowa dotyczyły także odsunięcia z kierownictwa PZPR ludzi, których uważał za wiernych Związkowi Radzieckiemu. Chodziło przede wszystkim o Rokossowskiego, którego usunięto ze ścisłego kierownictwa i z funkcji ministra obrony narodowej, a także o Zenona Nowaka, Franciszka Mazura i Franciszka Józwiaka. To był najdramatyczniejszy kryzys aż do 1980 r., kiedy znów interwencja była o włos, też w ostatniej chwili została odwołana. Wedle naszej obecnej wiedzy, w 1981 r. interwencja raczej nam nie groziła.

B.P. — *Jak udało się obłaskawić Wielkiego Brata?*

K.P. — Powiedzieliśmy już w skrócie o kryzysie z 1956 r., ale jest jeszcze kwestia jego unormowania. Delegacja polska z Gomułką na czele wyjechała do Moskwy już w listopadzie 1956 r. Po pierwsze, została podpisana umowa o statusie armii radzieckiej. Władze polskie miały być odtąd informowane m.in. o przemarszach wojsk radzieckich, miały wyrażać na nie zgodę. Po drugie, w ramach rekompensaty za węgiel Rosjanie umorzyli 100 mln dolarów długu, zaciągniętego zresztą na dostawy uzbrojenia z ZSRR. Wielu spraw nie udało się jednak załatwić, przede wszystkim rekompensaty za wysiłek zbrojeniowy, który był przecież na potrzeby imperium, a nie Polski. Oczywiście, stosunki polsko-radzieckie nie stały się równoprawne, ale nie była to już tak jaskrawa podległość. Myślę, że pewne znaczenie miała osoba Gomułki, do którego Chruszczow żywił pewien szacunek. W okresie gomułkowskim władze w Polsce uzyskały pewną swobodę w polityce wewnętrznej. W sprawach gospodarczych nie można już mówić o eksploatacji, każda strona dbała o swój własny interes, ale nie było już tak wyraźnej dominacji. Warto zaznaczyć, że o ile do 1956 r. nie dysponujemy zapisami rozmów na najwyższym szczeblu, o tyle dla późniejszego okresu są już takie zapisy.

B.P. — *Czy były to cywilizowane rozmowy sojuszników?*

K.P. — Rozmawiali sojusznicy, towarzysze partyjni, przedstawiciele ruchu komunistycznego. Gomułka autentycznie wierzył, że kraje socjalistyczne mają wspólne interesy na arenie międzynarodowej, dobro obozu socjalistycznego nie było dla niego pustym frazesem.

B.P. — *Jak wygląda porównanie Bieruta i Gomułki w stosunkach z Chruszczowem?*

K.P. — Nie można ich widzieć w czarno-białym kontraście. Po pierwsze, po śmierci Stalina, po 1956 r., sposób traktowania przez kierownictwo sowieckie swoich

sojuszników, satelitów i partnerów stał się nieco bardziej partnerski. W archiwach mamy np. zapisy rozmów z dyplomatami zachodnimi, które przysyłano do wiadomości sojusznikom, przynajmniej informowano o posunięciach w polityce zagranicznej.

Na pewno inaczej wyglądały stosunki Bieruta ze Stalinem, inaczej z Chruszczowem. Stały się one bardziej partnerskie, chociaż gesty wielkomocarstwowe i narzucanie różnych rzeczy były nadal obecne. Jeśli zaś chodzi o Gomułkę, to Chruszczow początkowo mu nie ufał, z czasem dopiero przekonał się, że Gomułka jest wiarygodnym partnerem.

Najważniejszym czynnikiem determinującym system zależności w bloku komunistycznym były jednak nie osobiste relacje między przywódcami państw, choć i one miały swoje znaczenie, lecz przemiany w ZSRR zapoczątkowane na XX Zjeździe KPZR. W powojennych stosunkach polsko-sowieckich rok 1956 wydaje się najważniejszą cezurą.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 7, sierpień 2001

PRZESZŁOŚĆ NALEŻY DO HISTORYKÓW

O stosunkach polsko-ukraińskich w PRL
z Igorem Hałagidą

B.P. — *Jak liczna była społeczność ukraińska w Polsce w roku 1944?*

I.H. — Szacuje się, że przed 1939 r. Ukraińcy w Polsce stanowili około 13 proc. społeczeństwa, tzn. około 5,5 mln obywateli. W wyniku powojennych przesunięć granic państwa polskiego na zachód ich liczba uległa gwałtownemu zmniejszeniu. Przyjmuje się, że w południowo-wschodnich powiatach województw lubelskiego, rzeszowskiego, krakowskiego i na Podlasiu pozostało około 700 tys. Ukraińców.

B.P. — *Co można powiedzieć o ruchach ludności ukraińskiej na tych terenach między 1939 a 1944 rokiem?*

I.H. — Właściwie możemy mówić o czterech przyczynach migracji. Pierwsze większe przemieszczenia nastąpiły już na przełomie lat 1939–1940, kiedy to na mocy umowy o wymianie ludności pomiędzy Niemcami i Związkiem Sowieckim kilkudziesięciotysięczna grupa Ukraińców w obawie przed represjami wyjechała z ZSRR do Generalnego Gubernatorstwa, z drugiej strony — kilkanaście tysięcy Ukraińców wyjechało spod okupacji niemieckiej do strefy sowieckiej. Kolejne przyczyny ruchu ludności to: deportacje sowieckie — „wrogów ludu” usuwano z terenów położonych w pobliżu nowej granicy — i wywózki na roboty do Niemiec. Pewna grupa Ukraińców, najmniej chyba liczna (przede wszystkim działacze polityczni, inteligencja, duchowieństwo), uciekała przed nadciągającym frontem, Armią Czerwoną i NKWD na zachód.

B.P. — *Proszę o scharakteryzowanie pozostałej na terenie Polski społeczności ukraińskiej.*

I.H. — Ludność ukraińska była zróżnicowana, i to pod kilkoma względami. Przede wszystkim pod względem wyznaniowym (uogólniając nieco tę kwestię, można przyjąć, że podział wyznaniowy pokrywał się z granicami zaborów). Na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego (Chełmszczyzna, południowe Podlasie) Ukraińcy wyznawali prawosławie, na terenach należących dawniej do Austro-Węgier większość ludności ukraińskiej to grekokatolicy; około 60 proc. Ukraińców było unitami, 30 proc. wiernymi Cerkwi prawosławnej. Różny był też stopień świadomości narodowej. Należy pamiętać, że pojęcie „naród” — w dzisiejszym jego znaczeniu — ma stosunkowo krótką historię, pochodzi z XIX w. Jeśli chodzi o ludność ukraińską, to część mieszkańców

Podlasia uważała się po prostu za „tutejszych”, a znaczny odsetek Łemków podkreślał swoją odrębność od narodu ukraińskiego.

B.P. — *Mówiąc o Podlasiu, ma pan na myśli tę część jego mieszkańców, których na ogół uznawano za Białorusinów?*

I.H. — Nie. Chodzi mi o południowe Podlasie, to znaczy teren na północy ograniczony rzeką Narwią i sięgający aż do Włodawy. Język, którym posługuje się większość tamtejszej ludności, zaliczany jest do północnozachodnich gwar języka ukraińskiego. Po wojnie mieszkańców tych terenów uznano za Białorusinów, dzięki czemu nie zostali wywiezieni do USRR ani przesiedleni w ramach akcji Wisła. Dziś południowe Podlasie jest więc jedynym regionem Polski, gdzie Ukraińcy od wieków mieszkają w zwartej masie.

B.P. — *Jakie były orientacje polityczne pozostałych w Polsce Ukraińców?*

I.H. — Wbrew temu, co pisano i mówiono w czasach PRL, nie wszyscy Ukraińcy byli zwolennikami ugrupowań prawicowych i antykomunistycznego podziemia. Przecież przed 1939 r. największe wpływy wśród ludności ukraińskiej miało centrowe Ukraińskie Narodowo-Demokratyczne Zjednoczenie, którego przewodniczącym Wasyl Mudryj był w 1939 r. wicemarszałkiem Sejmu. Na Lubelszczyźnie z kolei na ukraińskich chłopów silnie oddziaływały ugrupowania o programach lewicowych czy nawet komunistycznych. Podobnie było w wypadku Łemków; tu duże wpływy miała Komunistyczna Partia Polski, a potem PPR.

B.P. — *Jakie było podejście polskich komunistów do kwestii narodowościowej?*

I.H. — W pierwszych deklaracjach programowych komuniści raczej unikali określania swojej polityki w tym zakresie. Mówiono wprawdzie o równości, prawie do samostanowienia itp., ale już w 1943 r. w niektórych enuncjacjach prasowych (wystarczy przypomnieć tu wypowiedzi Alfreda Lampe) można znaleźć informacje, że przyszła Polska, którą zbudują komuniści, będzie państwem jednolitym narodowościowo, państwem bez mniejszości.

B.P. — *Czy ma to związek z polityką Sowietów, którzy zwalczali dążenia Ukraińców do własnej państwowości, którzy chcieli, żeby uznać kwestię ukraińską za zamkniętą, nie mówić o Ukraińcach?*

I.H. — Prawdopodobnie tak, ale przede wszystkim polscy komuniści zdawali sobie sprawę, że nie mają poparcia społeczeństwa, wiedzieli przy tym, jak mocno zakorzeniona była opinia, iż II Rzeczpospolita osłabiały liczne mniejszości narodowe, które często zresztą występowały przeciw państwu. Wydarzenia drugiej wojny światowej ugruntowały ten pogląd. Fakt, że ludzie ginęli tylko za przynależność do danej narodowości, doprowadził do wyostrenia identyfikacji narodowościowej. Hasła o państwie jednolitym narodowościowo znajdowały spory oddźwięk i komuniści liczyli na zdobycie dzięki nim popularności. Jak wiadomo, PKWN powstał w lipcu 1944 r., a już kilka miesięcy później, 9 września 1944 r., podpisał porozumienie z USRR (choć

faktycznie z Moskwą, a nie Kijowem) o wymianie ludności. Identyczne dokumenty podpisano później z republikami białoruską i litewską.

B.P. — *Ukraińcy chętnie opuszczali Polskę?*

I.H. — Raczej nie, wyjeżdżała głównie biedota albo mieszkańcy wsi spalonych i zniszczonych w czasie walk polsko-ukraińskich. Na ogół dobrze wiadano, jak wygląda życie w ZSRR, pamiętano, co robiło NKWD w latach 1939–1941, pamiętano o głodzie w 1933 r. Największe znaczenie miało jednak to, że większość Ukraińców była przywiązana do ziemi, którą zamieszkiwali od wieków. Nie chcieli rozstawać się z ojcowizną. Nawet komuniści starali się raczej organizować sobie życie w Polsce, niż jechać do sowieckiego „raju”. Z tych wszystkich przyczyn akcja przesiedleńcza załamała się, choć planowano, że przesiedlenie będzie trwało kilkanaście miesięcy. Prawdopodobnie strona sowiecka też naciskała, żeby załatwić to w krótkim czasie. Stalin chciał rozwiązać problemy ludnościowe przed konferencją w Jaltie.

B.P. — *Ile osób wyjechało?*

I.H. — Według oficjalnych danych do końca lutego 1945 r. wyjechało raptem nieco ponad 80 tys. osób. W tej sytuacji, choć umowa z 9 września 1944 r. zakładała dobrovolność wyjazdów, władze wywierały presję ekonomiczną: Ukraińców wyłączono z reformy rolnej i drakońsko podnoszono wysokość przymusowych kontyngentów, a zwalniano z nich, gdy gospodarz zgadzał się na wyjazd.

B.P. — *Oczywiście jeszcze trwały walki.*

I.H. — Tak, wiosną 1945 r. oddziały podziemia polskiego przeprowadziły kilka akcji we wsiach ukraińskich. Rzecz jasna, podziemie ukraińskie nie pozostało bierne. W sumie wiosną i latem wyjechało z Polski ponad 95 tys. Ukraińców. Dla komunistów było to jednak wciąż mało, toteż podjęli dosyć nietypową inicjatywę. W lipcu 1945 r. w Warszawie zorganizowano konferencję, na którą zaproszono lewicowych działaczy ukraińskich. Przywieziono ich samolotami i do końca izolowano, żeby nie mieli możliwości uzgodnienia wspólnego stanowiska. Na konferencji starano się przeforsować ideę, że Ukraińcy powinni wyjechać do USRR. Ku zaskoczeniu władz ukraińscy delegaci oświadczyli, że Ukraińcy, którzy chcieli opuścić Polskę, już to uczynili, pozostali zaś chcą sobie ułożyć życie jako obywatele polscy. To był ten moment, w którym polskie władze mogły wybrać, czy chcą, żeby ponad 500 tys. Ukraińców zostało w Polsce, czy zdecydować o przymusowym ich wysiedleniu.

B.P. — *Wybrano drugi wariant?*

I.H. — Tak. Powołano specjalną grupę operacyjną „Rzeszów”, która we wrześniu 1945 r. rozpoczęła przymusowe wysiedlenia Ukraińców. Ci, rzecz jasna, bronili się przed zdecydowaniem. Ludzie chowali się po lasach, zgłaszali do proboszczów rzymskokatolickich, którzy wystawiali zaświadczenia, że dana osoba jest wyznania rzymskokatolickiego (co było niemal identyczne z identyfikacją narodowościową), starali się w urzędach powiatowych o różne dokumenty, mające świadczyć o lojalności. Podczas wysiedleń żołnierze wojska polskiego popełniali zbrodnie. Najczęściej przy-

pominane są miejscowości Zawadka Morochowska, która była w 1946 r. spacyfikowana trzykrotnie, i Terka.

B.P. — *Ile osób wtedy wywieziono?*

I.H. — W przybliżeniu około 300 tys. Niejako przy okazji w czerwcu 1946 r. władze zdecydowały o likwidacji Cerkwi greckokatolickiej. Aresztowano ordynariusza diecezji przemyskiej biskupa Józefa Kocyłowskiego i jego sufragana Hryhorię Łakotę. Zostali deportowani do USRR i przekazani NKWD. Biskup Kocyłowski zmarł w więzieniu w 1947 r., a Łakota w 1950 r. w łagrze. W odróżnieniu od innych krajów komunistycznych w Polsce działaniom tym nie towarzyszyły żadne akty prawne. Oficjalnie więc nie zakazano działalności Cerkwi greckokatolickiej, ale nieoficjalnie przestała w Polsce istnieć.

B.P. — *W jakie warunki trafiali przesiedleńcy? Jak byli przyjmowani?*

I.H. — To jest ciekawa sprawa. Jak się okazało, obawy przed wyjazdem nie były wcale bezpodstawne. Na Ukrainie przeprowadzono w latach czterdziestych ankietę (organizował ją lwowski „Memoriał”) wśród byłych wysiedleńców lub ich potomków, z której wynika, że jedna trzecia respondowanych doświadczyła głodu, a prawie 60 proc. w takiej czy innej formie było represjonowanych, bardzo często wywożono ich na Sybir.

B.P. — *Ile osób narodowości ukraińskiej pozostało w Polsce?*

I.H. — Jak wynika ze sprawozdań, od października 1944 r. do lipca 1946 r. wysiedlono z Polski ponad 480 tys. Ukraińców. Według oficjalnych ówczesnych statystyk w Polsce pozostało jedynie niecałe 15 tys. Jak się miało wkrótce okazać, była to liczba dziesięciokrotnie zaniżona. Ponieważ akcję przesiedleńczą zakończono w lipcu 1946 r., jesienią tego samego roku zaczęła dojrzewać, głównie w kręgach wojskowych, koncepcja wysiedlenia Ukraińców w głąb Polski. Już w grudniu i w styczniu 1947 r. czyniono przygotowania do tej akcji. Tak zrodził się pomysł osławionej akcji Wisła.

B.P. — *Skąd kryptonim tej akcji, przekroczenie linii Wisły?*

I.H. — Nie. Ta operacja początkowo nosiła kryptonim Wschód. I właśnie tu pojawia się problem pomysłodawcy całego przedsięwzięcia. Jak już wspominałem, przygotowania rozpoczęto w grudniu 1946 i na początku 1947 r. O tym, że mogła to być inspiracja sowiecka, świadczy fakt, że gdy w Polsce przygotowywano akcję Wschód, na Ukrainie Zachodniej przeprowadzono wielką akcję deportacji Ukraińców pod kryptonimem Zachód. Mogłoby to świadczyć, że pomysł obu akcji narodził się w jednym sztabie. Jest to hipoteza, nie znaleziono bowiem jeszcze żadnego dokumentu, który by ją potwierdzał. Bez dostępu do archiwów sowieckich nic więcej nie możemy powiedzieć.

Ta nazwa najprawdopodobniej została zaproponowana przez gen. Stefana Mossora, dowódcę Grupy Operacyjnej „Wisła” złożonej z jednostek wojskowych, które przesiedlały Ukraińców. Być może nie chciano, by się kojarzyła się z sowieckimi wysiedleniami. W PRL powszechnie pisano, że akcja Wisła stanowiła bezpośrednią konsekwencję zastrzelenia 28 marca 1947 r. przez UPA wiceministra obrony gen.

Karola Świerczewskiego. Znane są jednak dokumenty świadczące o tym, że akcję tę przygotowywano już od końca roku 1946. Obecność Świerczewskiego pod Jabłonkami mogła być związana z lustracją oddziałów, które miały wziąć udział w przyszłej operacji wysiedleńczej. Tę, chyba przypadkową, śmierć władze postanowiły wykorzystać propagandowo. Świerczewski zginął 28 marca 1947 r., miesiąc później, 28 kwietnia, ruszyła machina wojskowa (prawie 20 tys. żołnierzy). Miała dwa cele. Po pierwsze, zniszczyć oddziały ukraińskiego podziemia i ich zaplecze. Po drugie zaś, rozproszyć Ukraińców na terenach zachodnich i północnych, i w ten sposób zlikwidować problem ukraiński w Polsce.

B.P. — *Czy ten zamysł się powiódł?*

I.H. — W pierwszym wypadku powiedziałbym, że skutek był połowiczny. UPA po wysiedleniu ludności cywilnej rzeczywiście utraciła oparcie, ale tylko część oddziałów została rozbita. Pozostałe przedostały się do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec (na przykład „Hromenko” doprowadził tam kilkudziesięciu ludzi) lub kontynuowały walkę na Ukrainie. „Chrin”, który zorganizował zasadzkę na Świerczewskiego, zginął w 1949 r. w Czechosłowacji, idąc z pocztą kurierską na Zachód.

B.P. — *Jaki klucz obowiązywał w czasie wysiedlenia?*

I.H. — Listy z nazwiskami osób przeznaczonych do wysiedlenia sporządzono kilka tygodni wcześniej. Zachowane instrukcje wysiedleńcze mówią, że wszystkich Ukraińców podzielono na trzy kategorie; do pierwszej kategorii zaliczono osoby w ogóle podejrzane o współpracę z podziemiem; do drugiej osoby podejrzane, do trzeciej rodziny, które nie budziły zastrzeżeń. Bardzo często jednak kategorie te nie odpowiadały prawdzie, a o wysiedleniu czy pozostaniu decydował na przykład dowódca oddziału wysiedlającego.

B.P. — *Jak wyglądało wysiedlenie od strony technicznej?*

I.H. — Jak już powiedziałem, akcja Wisła rozpoczęła się 28 kwietnia o godz. 4. rano i trwała, przynajmniej oficjalnie, trzy miesiące. Większość Ukraińców została przeniesiona na ziemie północne i zachodnie. Kilka tysięcy osób przewinęło się przez Centralny Obóz Pracy w Jaworznie. Według założeń w obozie mieli być przetrzymywani albo upowcy, albo osoby sprzyjające podziemi. Praktyka była inna. Większość ukraińskich partyzantów była sądzona przez Sąd Grupy Operacyjnej „Wisła” albo przez wojskowe sądy rejonowe. Do Jaworzna trafiali zaś duchowni, inteligencja i chłopci, którym w czasie przesłuchań starano się udowodnić współpracę z podziemiem ukraińskim. Z głodu, wycieńczenia i tortur zmarło wtedy 161 osób. Jaworzno ma dla Ukraińców szczególne znaczenie, choć jest też ważnym punktem na mapie miejsc, gdzie represjonowano członków polskich organizacji niepodległościowych. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych przetrzymywano tam młodocianych więźniów politycznych.

B.P. — *Jaka była bytowa sytuacja Ukraińców po wysiedleniu?*

I.H. — Przede wszystkim znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Proces osiedlający na ziemiach zachodnich i północnych trwał od 1945 r., najpierw samoistny, a potem

zorganizowany. Dlatego większość gospodarstw w lepszym stanie była już zajęta. Te, które przejmowali Ukraińcy, były znacznie gorsze. Istniał poza tym na tych terenach szaber. Ukraińcy mieli więc trudniejsze początki niż inni przesiedleńcy. Poza tym brakowało wszystkiego. Teoretycznie, wysiedleni Ukraińcy mieli pięć–sześć godzin na spakowanie się, ale zdarzało się, że dowódca dawał na to dwie godziny. Władze wprawdzie udzielały kredytów, rozdawały żywność, lecz była to kropla w morzu potrzeb. Ukraińców starano się maksymalnie rozproszyć. W założeniach przesiedleńcy ukraińscy mieli być osiedlani nie bliżej niż 30 km od granicy i 10 km od miast wojewódzkich oraz tak, żeby w jednej miejscowości czy gromadzie stanowili nie więcej niż 10 proc. społeczeństwa lokalnego. Władze pomyliły się jednak, szacując liczbę Ukraińców w Polsce. Przystępując do akcji Wisła, obliczano, że jest ich 14 tys. W rzeczywistości liczba ta wyniosła około 150 tys., to jest dziesięciokrotnie więcej. To spowodowało, że na zachodnich i północnych ziemiach Polski po prostu zaczęło dla nich brakować miejsca. Dlatego też nie wszystkie zarządzenia dotyczące osiedlenia w nowym miejscu zostały wykonane i na zachodnich i północnych ziemiach Polski (na przykład na Mazurach czy w Koszalińskim) pojawiły się miejscowości, gdzie ponad połowę mieszkańców stanowili Ukraińcy z akcji Wisła.

B.P. — *Jak Ukraińcy byli przyjmowani przez społeczność lokalną?*

I.H. — To też nie jest taka prosta sprawa. Trzeba wspomnieć o propagandzie, na przykład w prasie latem 1947 r. pisano sporo o bandytach, o przyjeździe transportów z mordercami Świerczewskiego. Niekiedy wręcz straszono ludność polską. Z tego powodu znaczna część mieszkańców wsi, w których osiedlano Ukraińców, była do nich ustosunkowana zdecydowanie źle. Ponadto przesiedleńcy z Wołynia czy z Galicji Wschodniej pamiętali, jak mordowano ich rodziny i bliskich. Lepiej się układały stosunki z Polakami przesiedlonymi z innych rejonów, którzy nie mieli podobnych obciążeń. Jak wynika ze wspomnień i informacji zawartych w archiwaliach, najlepiej układały się relacje między Ukraińcami a ludnością autochtoniczną lub z Niemcami, którzy pozostali.

Zdarzały się też rozboje, straszenie. Dopiero po kilku latach, kiedy sytuacja się poprawiła, okazało się, że Ukraińcy nieraz nie spali nocami, bo nie wiedzieli, co się z nimi stanie, a Polacy z kolei trzymali w domu warty pod bronią i też nie spali, bo bali się, że przyjdą Ukraińcy i ich wymordują.

B.P. — *Czy były małżeństwa mieszane?*

I.H. — Pojawiały się, i to nawet nierzadko, ale na ogół nie sprzyjało im. Regułą było zawieranie małżeństw w ramach własnej grupy narodowościowej.

B.P. — *Ci, którzy zostali, wiedzieli, co to jest Związek Sowiecki i nie chcieli tam jechać. Czy to znaczy, że byli antykomunistami?*

I.H. — Do połowy lat pięćdziesiątych Ukraińcy w zasadzie nie wstępowali do partii, bo nie mieli po co. Ukraińcy w ogóle nie udzielali się w życiu publicznym. Jeżeli już, to działali w jakichś spółdzielniach lub ZSL, i to było wszystko.

B.P. — *Kiedy sytuacja «polskich» Ukraińców zmieniła się na lepsze?*

I.H. — Pierwszą ważną cezurą w życiu tej społeczności był rok 1952. Sytuacja, w jakiej Ukraińcy się znajdowali, powodowała, że część z nich zwracała się do ambasady sowieckiej w Polsce z prośbą o zezwolenie na wyjazd. Nie wiadomo, ile tych pism było — udało się zorganizować jeden czy dwa transporty na Ukrainę — ale w pewnym momencie sprawą zainteresowała się Moskwa, która zwróciła się do warszawskich komunistów z pytaniem, czy nie ma możliwości przesiedlenia pozostałych w Polsce Ukraińców do USRR (przypominam, że był to przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych). Jak wiadomo, nie doszło do tego, ale całe zamieszanie zwróciło uwagę władz polskich na ten problem. W 1951 r. powołano komisję pod przewodnictwem Aleksandra Zawadzkiego, która miała zbadać sprawę. Komisja stwierdziła, że rzeczywiście Ukraińcy separują się od reszty społeczeństwa, nie zagospodarowują się, większość nie ma nadanych aktów własności, część domaga się nabożeństw grekokatolickich i myśli o powrocie na dawne ziemie. Efektem prac komisji Zawadzkiego była uchwała podjęta przez Biuro Polityczne KC PZPR w kwietniu 1952 r. *O poprawie sytuacji materialnej i rozpoczęciu pracy wśród ludności ukraińskiej*. Stwierdzono w niej, że dotychczas popełniono wiele błędów, że nie są rozwiązane kwestie własnościowe, że znaczna część Ukraińców znajduje się w złej sytuacji materialnej. Rozważano możliwość utworzenia szkolnictwa ukraińskiego albo klas z ukraińskim językiem nauczania. Stwierdzano, że należy bardziej aktywnych Ukraińców, członków partii, wciągać do pracy społecznej, wybierać do rad narodowych. Uchwała nie odegrała jednak większej roli, choć dzięki niej rozpoczęto naukę języka ukraińskiego w niektórych miejscowościach, zaczęło się odradzać ukraińskie życie kulturalne; powstawały zespoły folklorystyczne, kółka dramatyczne, chóry. Po pierwsze, był to dokument tajny i nie dotarł do wszystkich szczebli aparatu państwowego, do których był adresowany. Po drugie, nie wszyscy lokalni urzędnicy byli zainteresowani wprowadzaniem tych postulatów w życie.

W 1955 r. w Warszawie podjęto kolejną inicjatywę. Sekretariat KC PZPR wystosował do władz lokalnych list, w którym powtarzano postulaty z uchwały z 1952 r. Sytuacja w Polsce była już jednak trochę inna. Polityka polskich komunistów wobec Ukraińców uległa pewnemu przewartościowaniu i pojawiła się koncepcja zorganizowania ukraińskiego życia kulturalnego (częściowo po to, żeby sprawować nad nim kontrolę). Tak powstało Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, którego pierwszy zjazd odbył się w dniach 16–18 czerwca 1956 r. w Warszawie. Utworzono pierwsze po wojnie czasopismo ukraińskie — tygodnik społeczno-kulturalny „Nasze Słowo” (do 1989 r. jedyne oficjalne czasopismo w języku ukraińskim, istnieje zresztą do dziś).

B.P. — *Czy prowadzono zorganizowane działania polonizacyjne?*

I.H. — Myślę, że można do takich działań zaliczyć utrudnianie powrotów Ukraińców do województw południowo-wschodnich (pod koniec rządów ekipy Gierka podjęto zresztą próbę zmiany nazw kilkudziesięciu miejscowości w Bieszczadach, z czego się wycofano pod wpływem protestów, między innymi środowisk naukowych) czy ograniczenia wprowadzone w szkolnictwie — w latach siedemdziesiątych i osiemdziesią-

tych istniały właściwie tylko dwie szkoły średnie z ukraińskim językiem nauczania. Należy też pamiętać o naturalnych procesach asymilacyjnych, znacznie przyspieszonych w wyniku dużego rozproszenia.

B.P. — *W którym więc momencie mógł się rozpocząć proces powrotów Ukraińców na dawne ziemie?*

I.H. — W latach czterdziestych ludzie wracali do swych wiosek już po kilku miesiącach. Owe nielegalne powroty wymagały z reguły niemałej determinacji. Znane są przypadki przejechania całej drogi z województwa olsztyńskiego do rzeszowskiego wozem! Epitofan Drowniak, czyli słynny Nikifor, był kilkakrotnie wysiedlany i ciągle wracał na piechotę do swej Krynicy, nim go w końcu zostawiono w spokoju. Legalne powroty rozpoczęły się po roku 1956 r., ale utrudniały je zarówno władze centralne, jak i lokalne. Mimo wszystko do końca lat osiemdziesiątych kilkanaście tysięcy Ukraińców powróciło na ziemie, z których ich wysiedlono.

B.P. — *Jaki był stosunek Ukraińców do społecznych zrywów antykomunistycznych w Polsce? Czy Ukraińcy włączali się w nie z powodów obywatelskich?*

I.H. — Marzec, Czerwiec, Grudzień — to były wydarzenia, które chyba „omineły” większość Ukraińców. Z prostej przyczyny — rozgrywały się w miastach, a 95 proc. osób przesiedlonych w ramach akcji Wisła stanowili chłopci. Dopiero powstanie „Solidarności” trochę zmieniło ten obraz. Wyrosło już bowiem nowe pokolenie Ukraińców, które po skończeniu nauki osiedliło się w miastach. Ożywiły się środowiska studenckie, które podjęły próbę stworzenia niezależnego od Zrzeszenia Studentów Polskich Związku Studentów Ukraińskich. Stan wojenny przerwał jednak te przygotowania. O tym, że Ukraińcy byli zaangażowani w „Solidarność”, świadczy fakt, że w grudniu 1981 r. kilkudziesięciu Ukraińców zostało internowanych.

B.P. — *Czy aktualnie istnieje jeszcze problem obcości Ukraińców mieszkających w Polsce? Czy istnieje poczucie obywatelstwa w tej społeczności, obywatelstwa polskiego?*

I.H. — Ludzie starszego, odchodzącego już pokolenia, którzy zostali przesiedleni na ziemie zachodnie i północne, chyba nigdy nie czuli się u siebie. Utracili swą małą ojczyznę, a w nowym środowisku się nie odnaleźli. Podobnie zapewne jest z Ukraińcami średniego pokolenia, „zawieszonymi” niejako między miejscem, w którym się urodzili i żyją, a regionami, które znają z opowiadań rodziców czy dziadków. Wydaje się, że jedynie najmłodsze pokolenia w większości są pozbawione tych obciążeń, tym bardziej że mimo ciągłych napięć polsko-ukraińskich w niektórych regionach (na przykład w Przemysłu) relacje między Polakami a Ukraińcami stają się normalne. Od ponad dziesięciu lat, wprawdzie bardzo skromna, ale jednak jest reprezentacja ukraińska w Sejmie, Ukraińcy działają też w samorządach, funkcjonuje szkolnictwo. Przeszłość zaś należy do historyków.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 8, wrzesień 2001

TO JEST SPRAWA CZŁOWIECZEŃSTWA

O stosunkach polsko-niemieckich w PRL z Piotrem Semkowem

B.P. — *Ilu Niemców mieszkało na terenie Polski w 1939 r., w momencie wybuchu wojny?*

P.S. — Okupowane przez Trzecią Rzeszę ziemie polskie w 1939 r. zamieszkiwało 22 mln 241 tys. osób, z tego prawie połowa na ziemiach wcielonych do Rzeszy, w tym 8 mln deklarujących etniczną i kulturalną przynależność do Polski. Na tereny Generalnego Gubernatorstwa przypadało 12 mln 102 tys. osób — w tym 111 tys. Niemców. Jednocześnie około 700 tys. osób na terenach zajętych przez Trzecią Rzeszę było uznawanych za Niemców.

B.P. — *I sami uznawali się za Niemców?*

P.S. — Tak. Przed stworzeniem projektów niemieckiej listy narodowościowej władze niemieckie były zainteresowane zwiększeniem liczby Niemców na tym terenie. Jednym ze sposobów miało być przesiedlenie Niemców — tak zwanych Baltendeutschów — na tereny atrakcyjne pod względem gospodarczym (między innymi polska część Pomorza, Wolne Miasto Gdańsk, wcielone do Rzeszy 1 września 1939 r.). Przybywali tu Niemcy z Litwy, Łotwy i Estonii. Powstał też projekt przesiedlenia z terenów Związku Radzieckiego Niemców besarabskich. Zgodnie z obliczeniami dr. Karla Stumpfa ich liczba sięgała w 1938 r. 87 641 osób. To ciekawa sprawa — gdy rozpoczęła się akcja przesiedleńcza Besarabów, okazało się, że nie bardzo pasują oni do ideału niemieckości i aryjskości. Byli przyzwyczajeni do odrębnych warunków bytowania, do innej kultury. Owszem, posługiwali się językiem niemieckim, pielęgowali swoje tradycje, obyczaje, ale w przeciwieństwie do Baltendeutschów, przypadło im żyć w zupełnie innym ustroju. Gauleiter okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie Albert Forster miał wątpliwości co do „wartości” osadników ze wschodu, sugerując przy tym wstępny staż germanizacyjny w środowisku prawdziwie niemieckim. Niemcy besarabscy skarżyli się nawet swym władzom, że są traktowani przez urzędników jako Niemcy gorszej kategorii. Łatwiej im było porozumieć się z ludnością podbitą, z Polakami, niż ze swymi pobratymcami.

B.P. — *Według jakich kryteriów oceniano atrakcyjność proponowanych Niemcom terenów w okupowanej Polsce?*

P.S. — Posłużę się przykładem Wolnego Miasta Gdańska i Gdyni, miasta bardzo nowoczesnego (pierwsza akcja wysiedleń z Gdyni zaczęła się już jesienią 1939 r.).

Zakładano tak zwane kwestionariusze mieszkaniowe, w których oceniano, czy mieszkanie jest suche, jasne, jaka jest odległość od środków komunikacji, jakie ma ogrzewanie. Ocena mieszkania była jednym z kryteriów wysiedleń Polaków. Niemieckie władze bezpieczeństwa wcześniej bardzo dokładnie rozpracowały gdańską Polonię. Zakładano kwestionariusze osobowe, opisujące nie tylko przebieg kariery zawodowej, życiowej, ale i informujące o odnaczeniach, aktywności społecznej i publicznej. Opatrywano te informacje dopiskami w rodzaju: fanatyczny Polak, podżegacz. I tych właśnie ludzi usuwano z terenów, które miały być rdzennie niemieckie. We wrześniu 1940 r. pojawił się pierwszy projekt zwiększenia liczby ludności niemieckiej w podbitej Polsce w postaci wstępnej volkslisty podzielonej na cztery grupy. Ostatecznie wprowadzono ją w marcu następnego roku.

B.P. — *Czy stworzenie listy narodowościowej okazało się skutecznym zabiegiem?*

P.S. — 1 stycznia 1944 r. na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy w Kraju Warty Polacy stanowili około 78 proc.; w okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie — 36 proc.; na Górnym Śląsku — 42 proc., w Prusach Wschodnich — 92 proc. Biorąc pod uwagę tych, którzy zostali uznani według niemieckiej listy narodowościowej za przydatnych dla Rzeszy oraz rodowitych Niemców, proporcje ustaliły się tak, że ponad 60 proc. mieszkańców na terenach wcielonych do Rzeszy uznano za Polaków. Można więc powiedzieć, że akcja rozszerzenia wpływów niemieckich częściowo spaliła na panewce. Uznawanych za „narodowości” (Kaszubi, Ślązacy, Górale, Mazurzy) w rozumieniu rozporządzenia przyjmowano przede wszystkim do grupy III. Ludzie ci otrzymywali tak zwany zielony Ausweis z pieczętką, że uznaje się ich za przynależnych do państwa niemieckiego. Za „przynależnych”, nie za obywateli. Dokument ten opatrzony był klauzulą „do odwołania”, więc władze niemieckie mogły ten przydział cofnąć, gdyby się okazało, że w okresie próbnym dziesięciu lat „przynależni” się nie sprawdzili.

B.P. — *Czy byli ludzie, którym zależało na przyjęciu III grupy?*

P.S. — Było wiele powodów, dla których przyjmowano volkslistę — przymus administracyjny, wybór własny, chęć zrobienia kariery. „Przynależni” zyskali mniej praw niż obywatele Rzeszy niemieckiej, mieli natomiast pewne obowiązki, między innymi służbę w wojsku. Należy pamiętać, że osoby należące do grupy III i pełniące służbę wojskową dotyczyły rozmaite obostrzenia, wynikające z nieufności władz — na przykład do oddziałów przydzielano ich pojedynczo lub najwyżej po kilka. Jednak w porównaniu z ludnością, która otrzymała grupę IV, stali w hierarchii obywateli szczebel wyżej. Na ówczesnym Pomorzu w IV grupie znalazło się 77 proc. mieszkańców. Podczas naboru kierowano się różnymi kryteriami, jednym z nich mogło być nazwisko. To o tyle ciekawe, że zastosowanie kryterium nazwiska przy wyszukiwaniu Niemców wśród ludności byłego Wolnego Miasta Gdańska doprowadziłoby do niezwyklego chaosu.

Najskuteczniejszym sposobem, mającym poprawić strukturę zamieszkania Niemców nie tylko na terenach wcielonych do Rzeszy, ale również w Generalnym

Gubernatorstwie miała być akcja przesiedleń niemieckich osadników. Według różnych obliczeń osiedlono ich około pół miliona.

B.P. – *Jak zmieniała się sytuacja ludności niemieckiej w obliczu nadchodzącego frontu?*

P.S. – W 1944 r. Armia Czerwona wkroczyła zarówno w przedwojenne granice państwa polskiego, jak i na tereny znajdujące się wcześniej w granicach Niemiec. Ludność niemiecka na tych obszarach stanęła przed dylematem – zostawać czy uciekać. Niemieckie władze administracyjne w zasadzie do końca, do momentu wkroczenia Rosjan, zwlekały z podjęciem decyzji o ewakuacji. Nie wiadomo, na co liczyły – na cud? Według niemieckich szacunków przed zakończeniem działań wojennych w maju 1945 r. z terenów zajmowanych stopniowo przez Rosjan uciekło około 5 mln osób.

B.P. – *To była ucieczka czy zorganizowana ewakuacja?*

P.S. – Jak już powiedziałem – z organizowaniem ewakuacji zwlekano do końca. Tak więc, spodziewając się najgorszego, ludzie masowo i beładnie uciekali przed nadciągającymi Rosjanami, za linię Odry i Nysy Łużyckiej.

B.P. – *Część Niemców jednak pozostała. Nie obawiali się szykan, zemsty?*

P.S. – Ludzie zostawali z różnych powodów, dla wielu była to ziemia rodzinna, inni uważali, że gdzieś się rozplyną w migracyjnej masie. Zostawali, chociaż wiedzieli, że czeka ich niepewna przyszłość. Wielu obawiało się zemsty, rewanzu za lata wojny, chociaż zdarzało się na przykład podczas oblężenia Gdańska w marcu 1945 r., że w jednym schronie siedzieli ci, których do niedawna tępiono za polskość, i ci, którzy do tej pory byli panami, zwycięzcami. Udzielali sobie nawet pomocy, bo strach przed bombardowaniami okazywał się silniejszy niż inne względy.

Sprawa rewanzu na Niemcach to złożony problem, ale można go sprowadzić do jednego mianownika. Kto był człowiekiem, ten również wobec pokonanego wroga zachowywał człowieczeństwo. Wielu jednak próbowało szukać zemsty: często ludzie, którzy w czasie wojny przeszli przez niemieckie więzienia, katownie, szli do więzienia tylko po to, żeby się zemścić na Niemcach. Potrzebę rewanzu widać nawet w tym, że Niemcy jako państwo i jako naród pisano małą literą.

B.P. – *Ilu Niemców zdecydowało się mimo wszystko pozostać w Polsce?*

P.S. – Po zakończeniu akcji przesiedleńczych kilka razy próbowano ustalić, ilu Niemców pozostało. Zawsze jednak pojawiał się problem, kogo w ogóle zaliczyć do tej narodowości. I tu dochodzimy do bolesnej sprawy, jaką była weryfikacja autochtonów, którzy z własnej woli lub pod przymusem przyjęli którąś z grup niemieckiej listy narodowościowej. Pierwszy spis powszechny z 14 lutego 1946 r. wykazywał, że terytorium Polski zamieszkiwało prawie 2 mln 300 tys. Niemców. Wynik akcji wysiedleńczej mniej więcej do 1950 r. oraz kolejne spisy (powszechny spis ludności był w 1950 r.) wskazywały, że te dane zostały zaniżone o 25–30 proc. Władzom oczywiście było to na rękę. Niemców zatrudniano w gospodarce i przy odbudowie kraju, ale nie traktowano ich jako mniejszość narodową, lecz jako bezpaństwowców.

B.P. — *Obecność Niemców w powojennej Polsce była także problemem dla władz. Jak próbowały ten problem rozwiązać?*

P.S. — Zgodnie z układami międzynarodowymi ziemie polskie mieli opuścić wszyscy, którzy zostali uznani za Niemców, czyli około 3,5 mln osób. Już wiosną 1945 r. zaczęto zakładać obozy dla ludności niemieckiej lub dla tych, których uznano za Niemców i próbowano się im zrewanżować za lata okupacji. W obozach internowano między innymi maruderów z niemieckiej armii, aktywistów partyjnych i cywilów, tych ostatnich dlatego tylko, że byli Niemcami; niejednokrotnie trafiała tam również ludność rodzima, którą uważano za politycznie podejrzaną. Internowani pracowali od 10 do 12 godzin dziennie, dostawali bardzo skąpe racje żywności, nierzadko strażnicy znęcali się nad nimi.

B.P. — *Czy jeńcy byli traktowani lepiej? Formalnie chroniła ich konwencja genewska.*

P.S. — Konwencja genewska określała wprawdzie zasady traktowania jeńców wojennych, ale w kraju zniszczonym wojną nie było możliwości zagwarantowania im wyżywienia, minimalnej płacy, warunków bytowych, sanitarnych — tak jak by to wynikało z odpowiednich przepisów. W obozach dla jeńców również zdarzały się przypadki zabójstw i prześladowań, ale generalnie byli oni traktowani może nie lepiej, ale inaczej niż internowani.

B.P. — *Jak wyglądała akcja wysiedleń?*

P.S. — Zasady wysiedleń oficjalnie sprecyzowała Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec, czyli zwycięskie mocarstwa, realizujące uchwały poczdamskie. 20 listopada 1945 r. ustalono, że z terenów Polski ma być wysiedlonych 3,5 mln Niemców: do radzieckiej strefy okupacyjnej około 2 mln, a reszta do strefy angielskiej. Ustalono też harmonogram wysiedleń i drogi transportowe. Przewidywano możliwość modyfikacji akcji wysiedleńczej ze względu na ograniczone możliwości techniczne powojennej Polski. Wysiedleńcy mogli zabrać około 20 kg bagażu na osobę i żywność na 10 dni. Zdarzały się oczywiście przypadki celowego szykanowania wysiedleńców, którym odbierano resztki wywożonego dobytku, miały miejsce napady na pociągi, na transporty. Dokonywały tego najrozmaitsze grupy przestępcze, w tym również związane z władzą na danym terenie: uzbrojeni ludzie pod szyldem organów bezpieczeństwa zatrzymywali transport pod jakimś pretekstem i rabowali.

B.P. — *Wcześniej Niemcy w panice uciekali przed Armią Czerwoną. Jak po wojnie wyglądały ich wzajemne relacje?*

P.S. — Najpierw obawiano się frontu; gwałty i rabunki to sprawa jednostek tyłowych Armii Czerwonej. Po zakończeniu działań wojennych i w okresie budowy polskiej administracji na terenie Śląska Niemcy niejednokrotnie uważali Rosjan za obrońców, a Rosjanie wielokrotnie demonstrowali w stosunku do nich przychyłość. Przyczyny tego stanu rzeczy można doszukiwać się w sytuacji społecznej, w jakiej znalazły się obie strony. Były przedstawicielami najpierw paktujących, a następnie

walczących ze sobą potęg militarnych (to nic, że jedna z nich została pokonana). Odczuwały wrogość i niechęć Polaków, dla których byli to przede wszystkim niedawni okupanci. Ich wzajemne relacje wynikały, jak sądzę, z syndromu mieszkańców „obłożonej twierdzy”.

B.P. — *Jak w tym zaraz powojennym okresie wyglądały relacje Niemców z Polakami?*

P.S. — Już wspominałem wcześniej, że był to problem humanizmu. W owych czasach we wzajemnych kontaktach rodziły się takie dylematy — czy pokonanemu wrogowi podać kawałek chleba, czy kazać mu się wynosić z mieszkania. Przed takimi wyborami stawali Niemcy w 1939 i 1940 r., a Polacy w 1945 r.

W stosunku do pozostałych w Polsce Niemców przeprowadzano akcje typowo represyjne, wzorowane na takich samych zabiegach, jakie Niemcy stosowali wobec Polaków podczas wojny. Na przykład nakazywano Niemcom noszenie białych opasek na przedramieniu czy oznaczeń w postaci litery N. W poszczególnych gminach ustalano, jak ma to oznaczenie wyglądać, czy to ma być naszywka na marynarce, czy z tyłu, czy tak jak we Wrocławiu — swastyka. We Wrocławiu także próbowano utworzyć getto dla ludności niemieckiej (z takim projektem wystąpił Bolesław Drobner), ale pomysł ten nie uzyskał akceptacji.

Z drugiej strony próbowano — z różnym skutkiem — chronić Niemców przed nadmiernymi represjami. Z tą myślą powstawały obozy internowania, ale wiele z nich cieszyło się złą sławą (obozy w Łambinowicach, w Potulicach koło Bydgoszczy czy w Sikawie koło Łodzi), w niektórych dochodziło do zabójstw.

W stosunku do Niemców władza była nastawiona represyjnie, widać to choćby w dekrete z 6 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i poniemieckich, sankcjonującym zabór mienia. Do jego przepisów dodano jeszcze stosowne rozporządzenia ministrów obrony narodowej, administracji, bezpieczeństwa publicznego, skarbu, oświaty.

B.P. — *Kogo powojenne władze polskie uznawały za Niemców?*

P.S. — Rodowitych Niemców, tak zwanych Niemców uznanych — to była pierwsza grupa. Władze stanęły przed trudnym problemem, bo z jednej strony chciano ich jak najprędzej wysiedlić, z drugiej zaś sądzono, że mogą być w Polsce przydatni, więc próbowano ich pozostawić jako fachowców w przemyśle węglowym, metalurgicznym, energetycznym, zatem tam, gdzie istniał deficyt rąk do pracy. Ci uznani Niemcy nie mieli obywatelstwa polskiego, ale nawet gdyby im je zaproponowano, nie chcieliby go przyjąć. Bardziej zależało im na tym, żeby tereny polskie jak najszybciej opuścić. Do tej grupy zaliczano również działaczy Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), którzy przeżyli czystkę hitlerowską i radziecką. Polskie władze uważały, że ich miejsce jest w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Druga grupa to folksdojczy, których trzeba było zweryfikować. Nie była to tylko mechaniczna weryfikacja list, lecz przede weryfikacja wszystkim postaw w czasie wojny. Dekretem z 13 września 1946 r. pozbawiono obywatelstwa polskiego tych,

k którzy w czasie wojny deklarowali narodowość niemiecką; ludzie ci podlegali przymusowemu wysiedleniu, a ich majątek konfiskacie. Podczas weryfikacji osób, które przyjęły volkslistę, niejednokrotnie krzywdzono ludność autochtoniczną, utożsamiając ją z Niemcami. Ktoś stawał się podejrzanym ze względu na nazwisko, wyznanie (szczególnie na Warmii i Mazurach, gdzie przeważali protestanci) czy język. Na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska ci, którzy przed wojną deklarowali przynależność do Polonii gdańskiej, posługiwali się swobodnie obydwojma językami, podobnie było na Śląsku, ale twarda wymowa i inny akcent powodowały, że władze traktowały ich jako podejrzanych. Dla wielu negatywna decyzja weryfikacyjna oznaczała degradację społeczną i obywatelską. Nie wiedzieli, jak postąpić, czy zadeklarować wyjazd do Niemiec, czy pozostać i narażać się na cały ciąg dalszych szykan i represji.

Trzecią grupę tworzyli autochtoni. W stosunku do tej grupy ludności postawa władz była niezdecydowana. Z jednej strony mówiło się o odwiecznym ucisku germańskim na odwiecznych ziemiach polskich, a z drugiej prowadzono na siłę akcję repolonizacji.

B.P. — *Jakie to były metody — likwidacja języka niemieckiego w szkolnictwie, odbieranie protestantom świątyni?*

P.S. — W latach czterdziestych na dużą skalę prowadzono proces niszczenia wszystkiego, co niemieckie, począwszy od książek, cmentarzy, napisów. *Mein Kampf* i wiersze Goethego były traktowane tak samo. Nawet w latach sześćdziesiątych cenzura dbała, by nie pojawiały się żadne informacje o niszczeniu poniemieckich cmentarzy.

B.P. — *Czy Niemcy byli członkami PZPR i aparatu urzędniczego — na przykład w zakładach pracy?*

P.S. — W pierwszych latach po wojnie wśród Niemców panował nastrój wyczekiwania. Istniało państwo polskie, oni zaś nie byli jego obywatelami. W jakimś sensie byli traktowani tak, jakby ich nie było — taki był przecież status bezpaństwowców.

Do partii zaczęto przyjmować Niemców dopiero od 1952 r. Wcześniej postawa władz była ambiwalentna: z jednej strony członków KPD chętnie by się pozbyto, z drugiej — prawdziwych komunistów charakteryzował wszak internacjonalizm. W tym roku zmieniła się też polityka wobec tych, którzy pozostali: zaczęto im przydzielać mieszkania, miejsca w przedszkolach i żłobkach, powierzać stanowiska nadzorcze w pracy, co prawda niższego szczebla. Do tej pory obowiązywał zakaz zajmowania przez Niemców kierowniczych stanowisk, Niemcy nie mogli uczestniczyć i kandydować w wyborach do rad zakładowych, ich praca miała przeważnie charakter akordowy, z poborów potrącano im czwartą część na odbudowę kraju, mieli również ograniczone prawa socjalne, emerytalne itd.

B.P. — *Jakie istotne zmiany w stosunku władz PRL do Niemców przyniósł rok 1952?*

P.S. — Sprawa stosunku do Niemców nie da się oddzielić od powojennej polityki międzynarodowej, od podziału Niemiec na strefy okupacyjne. W polskiej prasie, która w tamtym okresie była odzwierciedleniem linii politycznej państwa, widać pewne

wyraźne tendencje. Na przykład każdą próbę odbudowy przemysłu w zachodnich strefach okupacyjnych przedstawiano jako usiłowanie odtworzenia „wielogłowej hydry niemieckiej”, „militaryzmu pruskiego” itd. Utworzenie Niemieckiej Republiki Federalnej zostało natychmiast okrzyknięte jako próba odtworzenia junkierstwa, odbudowa Rzeszy i jej armii. Kolejną kwestią był podział Niemiec na dwa państwa. Nie można było lansować tej samej linii politycznej w stosunku do Niemiec, z których jedne miały być wrogiem, a drugie zaś – sojusznikiem. Układ zgorzelecki rozpoczął normalizację stosunków między Niemcami („lepszymi”) i Polską. Negocjacje dotyczące akcji łączenia rodzin między NRD a Polską, które rozpoczęły się 21 stycznia 1950 r., nie mogły pomijać problemu ludności niemieckiej.

Do Niemiec Wschodnich mieli wyjechać przede wszystkim ci, którzy zadeklarowali swoją niemieckość, mieli tam rodziny, rozbite na skutek działań wojennych. W rezultacie tej pierwszej akcji łączenia rodzin, czyli mniej więcej do 1955 r., do NRD skierowano w sumie 41 transportów, którymi wyjechało około 100 tys. Niemców. Według oficjalnych danych z 1955 r. w PRL mieszało około 160 tys. Niemców, którzy posiadali obywatelstwo polskie, i około 11 tys. tych, którzy posiadali obywatelstwo niemieckie.

B.P. – *Nie było już bezpaństwowców?*

P.S. – Ta kwestia przestała istnieć po przyjęciu konstytucji PRL w 1952 r. Trzeba pamiętać, że pierwsze lata powojenne to akcja wysiedleń ludności niemieckiej, akcja weryfikacji folksdojców. Prowadzona na siłę działalność polonizacyjna (próbowano na przykład przestawiać dzieci na mówienie literackim językiem polskim, a nie gwara) skutkowała pożądanymi przez władzę reakcjami ludności, ale zadecydowała również o niejednoznaczności postaw na tak zwanych gorących terenach – Warmii, Mazurach, Śląsku Opolskim.

B.P. – *Czy Niemcy będący obywatelami polskimi podlegali obowiązkom służby w wojsku?*

P.S. – Tak. Znamy takie enuncjacje prasowe, że Niemców powołuje się do wojska polskiego. Konsekwencją utworzenia dwóch państw niemieckich było utworzenie dwóch armii. Informacje o jej powołaniu w Niemczech Zachodnich nazywano remilitaryzacją, odbudową Wehrmachtu, a przecież bardzo starano się usunąć wszystkie symbole i pozostałości związane z Trzecią Rzeszą. Odmienne umundurowanie to tylko przykład. W NRD natomiast cała symbolika przedwojennej armii niemieckiej, odpowiednio tylko spreparowana, pozostała. Prasa jednak przedstawiała to tak, jakby było odwrotnie.

B.P. – *Czy w tym czasie wychodziła jakaś niemieckojęzyczna gazeta, czy były niemieckie szkoły?*

P.S. – Były gazety codzienne, potem utworzono tygodnik „Die Woche in Polen”, zaczęto też tworzyć szkoły, w których uczono po niemiecku. Pierwsze podręczniki szkolne były starymi podręcznikami z okresu Trzeciej Rzeszy, odpowiednio ocenzu-

rowanymi. Później wykorzystywano podręczniki enerdowskie. A polski stanowił dla tych dzieci nadal język obcy, zresztą te lekcje były bardzo upolitycznione.

B.P. — *Znam relacje moich rówieśników ze Śląska, którzy tak jak i ich rodzice marzyli o wyjeździe do Niemiec. Propaganda tego okresu była tak agresywna i głupia, że oni po prostu nie wierzyli w to, czego uczono ich w szkole o drugiej wojnie światowej, o Hitlerze. Byli absolutnie przekonani, że to są takie same kłamstwa jak wszystkie inne, które wciąż ty słyszeł.*

P.S. — Dzieci uczyły się w szkole o wojnie, bandytyzmie, morderstwach, obozach koncentracyjnych, a potem wracały do domu i widziały, że ich rodzice są szykanowani, dostają niższą płacę. Oprócz prób oznakowania Niemców pojawiały się też takie pomysły, żeby golić im głowy, często padały pod ich adresem wyzwiska: ty świnió, ty Szwabie, ty Hitlerze. Jednym z kolejnych pomysłów szykanowania Niemców i tych, którzy mieli w Niemczech Zachodnich rodziny, było podniesienie taryf celnych za otrzymywane z Niemiec paczki. To wszystko przenosiło się na dzieci.

B.P. — *Pamiętam nagłaśnianie przez prasę faktów odprawiania w niektórych świątyniach Mszy w języku niemieckim.*

P.S. — Dla władz była to dość drażliwa sprawa. Duchowieństwo szykanowano za to, że odprawia Msze w języku niemieckim. Tam, gdzie był spory odsetek ludności niemieckiej, część duchowieństwa odprawiała Msze w języku niemieckim, ale na fali narastającej walki z Kościołem w ogóle bardzo utrudniano praktyki religijne. A tu dodatkowo kryterium narodowościowe przenoszono na wyznanie: kto nie był katolikiem, ten automatycznie nie był Polakiem. Zdarzało się, że w trybie alarmującym donoszono władzom, że odprawia się nabożeństwo w języku niemieckim, a władza traktowała to jako dowód regermanizacji lub podtrzymywania ducha niemieckiego.

B.P. — *Czy koniec stalinizmu spowodował jakieś zmiany w oficjalnej polityce wobec Niemców i czy obserwowano się przełom w stosunkach między ludźmi w lokalnych społecznościach?*

P.S. — Odwilż w stosunkach politycznych w kraju rzeczywiście przyniosła pewne zmiany. Od 1954 r. obowiązywało zalecenie dla władz lokalnych, żeby namawiać do wyjazdu do NRD, gdyby ktoś deklarował wyjazd do Niemiec. Polityka narodowościowa w stosunku do niemieckojęzycznych obywateli istotnie zmieniła się po 1956 r. W kwietniu 1957 r. sekretariat Komitetu Centralnego PZPR wystosował list do podległych sobie partyjnych placówek terenowych o prawie do zachowania i pielęgnowania tożsamości. W dalszym ciągu jednak obowiązywały stare hasła i obowiązek usuwania przejawów nacjonalizmu — „macie więc prawo do pielęgnowania tradycji i tożsamości, ale uważajcie, bo to może być kojarzone z nacjonalizmem”. Z jednej strony pojawiły się hasła o równouprawnieniu i walce z nietolerancją, a z drugiej, jeśli ktoś oficjalnie używał swego języka rodzimego, budził podejrzenia. Charakterystycznym przykładem głęboko zakorzenionych stereotypów narodowościowych jest grób Michała Kajki (polskiego patriotę związanego z ziemią mazurską). W 1959 r. został

zbezczeszczone napisami „Szwab”, a w 1970 r. na pomniku namalowano swastyki. A które dziecko chciało być Niemcem w czasie podwórkowych zabaw w wojnę?

B.P. – *«Solidarność» upomniała się o prawa dla mniejszości narodowych. Nastąpił pewien renesans stowarzyszeń narodowościowych, potem partii narodowościowych, związków wyznaniowych itd. Przedstawiciele mniejszości zaczęli wtedy aktywniej działać, może nie do końca motywowani antykomunizmem, ale dlatego, że mieli możliwość załatwienia różnych spraw dla swoich rodaków.*

P.S. – To się zaczęło jeszcze przed „Solidarnością”. Od dłuższego czasu działało Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców. Starania o jego powołanie rozpoczęły się w 1956 r., po październiku statut Towarzystwa opracował Komitet Miejski PZPR w Wałbrzychu (gdzie Niemców było stosunkowo bardzo dużo). Wychodziły gazety: „Aufbau” i „Arbeiterstimme”. Towarzystwo od początku zajmowało się sprawą wyjazdów do Niemiec, do rodziny czy do pracy. Za pośrednictwem Towarzystwa zaczęły masowo spływać wnioski o umożliwienie wyjazdu. Władze lokalne nie umiały nad tym zapanować i dlatego dokładnie kontrolowały działalność Towarzystwa. Władzom zależało na budowaniu pozytywnego wizerunku NRD. Należało mówić o współpracy, dobrych Niemcach, partnerstwie od dawien dawna itd. Towarzystwo prowadziło działalność kulturalną, powstawały zespoły amatorskie, ale nie miało ono na przykład prawa do użytkowania lokalu, szykanowano jego członków, zdarzały się pobicia i aresztowania. Mimo prowadzonej przez władze kontroli, politycznej kurateli i prób ograniczenia wyjazdów ani władze, ani Towarzystwo nie były w stanie nad tym zapanować. Z biegiem czasu działalność organizacji ograniczyła się wyłącznie do roli biura turystycznego z biletem w jedną stronę.

W latach osiemdziesiątych powoływano do życia – jeszcze bez rejestracji sądowej – Niemieckie Koła Przyjaźni, a w ślad za nimi zaczęły powstawać nowe organizacje, które powołały 12 września 1990 r. Radę Naczelną Stowarzyszeń Niemieckich w Rzeczypospolitej Polskiej.

B.P. – *Dlaczego tak utrudniano Niemcom wyjazdy? Czy chodziło tylko o propagandowy wizerunek PRL, z której nikt nie chce wyjeżdżać, bo jest w niej tak dobrze? Czy może Niemcy byli Polsce jakoś potrzebni?*

P.S. – Chodziło o ochronę wizerunku PRL-owskiego rajy. Dla propagandy było niedopuszczalne, żeby ktoś chciał wyjeżdżać z Polski, która wygrała wojnę, do Niemiec, które ją przegrały, dlatego starano się skłaniać Niemców do wyjazdów z Polski do NRD, a nie do RFN.

B.P. – *Czy mieszkających w Polsce Niemców angażował niemiecki wywiad, na przykład Stasi?*

P.S. – Na pewno takie działania istniały. W prasie polskiej w latach sześćdziesiątych często pojawiały się enuncjacje o aktywności zachodnioniemieckiego wywiadu w Polsce, o ziomkostwach, o próbach odrywania ziem zachodnich, Śląska, poróżnienia

ludności. I to nie była tylko propaganda, bo jednak Niemcy Zachodnie i Polska należały do dwóch różnych bloków militarnych. I jedna, i druga strona prowadziła działania wywiadowcze, w dodatku ślady wojny były wciąż bardzo świeże. Podgrzewanie atmosfery w społeczeństwie, lansowanie tezy o zagrożeniu niemieckim wynikały z konieczności odwrócenia uwagi ludzi od innych problemów, choćby ekonomicznych.

B.P. — *I właśnie w tym czasie z okazji rozpoczęcia obchodów Milenium biskupi polscy apelują do biskupów niemieckich z prośbą o wzajemne wybaczenie.*

P.S. — Rocznicą obchodzonego uroczystości tysiąclecia państwa polskiego zbiegła się z kolejnym zaostreniem się stosunków państwo–Kościół, o czym nie należy zapominać. I w tym czasie biskupi polscy czynią pojednawczy gest wobec pasterzy Kościoła katolickiego w Niemczech. Posłużę się cytatem: „W tym, jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce, którymi udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Zbiegły się dwa wydarzenia: Drugi Sobór Watykański i przygotowania do obchodów tysiąclecia państwa polskiego. To nie przypadek, że wybrano ten właśnie moment. Mimo licznych prób nie udało się odciąć chrześcijańskich korzeni w historii państwa polskiego. Opublikowanie tego listu wywołało prawdziwy atak wściekłości władz partyjno–państwowych. Rozpętała się nagonka o charakterze antykościelnym i partyjno–narodowym: w czym imieniu biskupi ośmielają się wyciągać ręce i przepraszać? I kogo przepraszają — wroga? I o co proszą — o wybaczenie?

B.P. — *Myślę, że komuniści po prostu nigdy nie rozumieli słowa: przepraszam czy wybaczam.*

P.S. — Autorzy tego listu mieli pełną pamięć i wojny, i powojennych akcji wysiedleńczych. List jest datowany 18 listopada 1965 r., a już 10 grudnia 1965 r. opublikowany został artykuł, którego autorstwo przypisuje się Zenonowi Kliszce, zatytułowany *W czym imieniu?* Autor zaatakował Episkopat za sam pomysł wyrażania skruchy, zarzucił bezprawie w posługiwaniu się przeprosinami w imieniu narodu polskiego: „w naszej ludowej ojczyźnie sobiepaństwa nie ma i nie będzie”. Zgodnie z tezą artykułu polityka partii i polityka Kościoła wobec Niemiec miały być takie same. Oprócz oficjalnych nagonek zastosowano wobec Kościoła szereg najrozmaitszych szykan, mniej lub bardziej jawnych.

Rozpoczynają się obchody Milenium, które obydwie strony, władze państwowe i Kościół, świętują oddzielnie. 14 kwietnia 1966 r. w Gnieźnie odbywa się wielka uroczystość o charakterze religijnym, zorganizowana przez Episkopat, w rocznicę przyjęcia przez Polskę chrztu. W tym samym czasie, 16 kwietnia 1966 r., odbywa się, z udziałem Mariana Spychalskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, dosyć ciekawie uzasadniana impreza obchodów 21. rocznicy sforsowania Odry i Nysy Łużyckiej.

Przełomem w stosunkach między tymi „złymi” Niemcami a Polską był rok 1970. Wizyta Willy’ego Brandta w Warszawie i zawarcie układu o normalizacji stosunków

między Polską a RFN były jednym z największych sukcesów Władysława Gomułki, chociaż spadkobiercą tego układu stał się jego następca, Edward Gierek. W zamian za kredyty Gierek pozwolił na kontynuowanie akcji łączenia rodzin.

B.P. — *Kto jej podlegał?*

P.S. — Wyjeżdżali nie tylko ci, którzy się czuli Niemcami, lecz również ci, którzy podczas wojny byli prześladowani za to, że byli Polakami. Jeszcze w latach pięćdziesiątych do Niemiec wyjechała rodzina jednego z obrońców Poczty Gdańskiej, który został rozstrzelany 5 października 1939 r. na Zaspie. Wdowa po nim i dzieci wyjechały, przyjęły niemieckie obywatelstwo. To jest charakterystyczny los ludzi z „gorących terenów”. Przed wojną byli prześladowani za polskość, w czasie wojny tępieni za polskość, po wojnie podejrzeni, ponieważ mówili nieco inaczej, odmiennie niż przybysze z różnych stron Polski. Wyjeżdżali też ludzie, którzy wojnę przesiedzieli w niemieckich obozach koncentracyjnych. Motywy wyjazdów były różne, nie tylko ekonomiczne.

B.P. — *Pan jest śląd, z Gdańska, czy był pan świadkiem takiej sytuacji, że o kimś mówi się z pogardą, nienawiścią, niedowierzaniem, że jest Niemcem?*

P.S. — Nie są mi znane takie przypadki, nie zetknąłem się z nimi. W moim pokoleniu nawet jeżeli o kimś wiedziało się, że jest Niemcem, a raczej Niemcem z pochodzenia, to nie budziło żadnych emocji i kompleksów. Wiadomo, że po boomie gospodarczym Gierka, po otwarciu na świat, po odreagowywaniu siermiężnego Gomułki, akcji wyjazdów ekonomicznych, końcówka lat siedemdziesiątych przyniosła postępujący kryzys gospodarczy. Kto mógł, wykorzystywał wszystkie możliwości kontaktów zagranicznych. Nadchodzące z Niemiec Zachodnich paczki pogłębiały nie po raz pierwszy powszechną świadomość, że u tych, którzy przegrali wojnę, jest lepiej.

B.P. — *Czy tu, na Pomorzu, istnieją obawy przed powrotem Niemców do mieszkań i gospodarstw, czy to w ogóle jest jakiś problem?*

P.S. — Owszem, pojawiają się obawy przed wykupywaniem. To jest pewien problem ekonomiczny. Jeśli chodzi o Niemców starszego pokolenia, z pewnością z powodów sentymentalnych niektórzy z nich chcieliby powrócić. Natomiast młodszy żyją innymi sprawami, choć oczywiście również przyjeżdżają obejrzeć Heimat. Myślą innymi kategoriami, bardziej praktycznie. Taka tendencja charakteryzuje w ogóle dzisiejsze czasy — pielęgnowanie korzeni i racje sentymentalne to jedno, a życie w dobrze funkcjonującym i dobrze zorganizowanym świecie to drugie.

PEERELOWSKIE MŁODZIEŻY CHOWANIE

Z Ryszardem Terleckim

B.P. — *Po objęciu po wojnie władzy komuniści, oprócz oczywistego wysiłku na rzecz podniesienia państwa z wojennej ruiny gospodarczej, musieli załatwić bardzo wiele porachunków z przedwojenną Polską, politycznych i ideowych. Jednym z wielu problemów było stworzenie nowego systemu wychowawczego podporządkowanego rewolucyjnemu myśleniu o «wykuwaniu nowego człowieka».*

R.T. — Zanim się tym zajmę, muszę powiedzieć o pewnym fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego. Otóż najbardziej rozbudowanym elementem wojennej konspiracji było podziemne szkolnictwo, popularnie określane jako tajne nauczanie, działające na poziomie średnim i wyższym, a czasem nawet także powszechnym. Pod koniec wojny dziesiątki tysięcy młodych ludzi i tysiące nauczycieli uczestniczyło w tej niebezpiecznej pracy oświatowej. Do tego dochodziła podziemna infrastruktura: władze oświatowe, komisje egzaminacyjne, produkcja podręczników, konspiracyjne biblioteczki itd. Oczywiście, przeplatało się to z innymi formami konspiracyjnej aktywności. Na kompletach uczyli się żołnierze AK, kolporterzy podziemnej prasy, członkowie konspiracyjnego harcerstwa. Pod koniec wojny nie było wiadomo, czy nowe, zdominowane przez komunistów władze uznają ten gigantyczny wysiłek.

B.P. — *Oświatowy, ale i wychowawczy, bo przy okazji tajnego nauczania odbywały się również zajęcia pozaedukacyjne, koncerty, dyskusje, spotkania towarzyskie.*

R.T. — Trzeba sobie zdawać sprawę z wyższości tej formy nauczania i wychowania nad tradycyjnymi metodami szkolnymi. Uczniowie zbierali się w małych, kilkusobowych grupach, mieli bezpośredni i bliski kontakt ze swoimi nauczycielami i wychowawcami. W tych warunkach nauka była tak efektywna — przypominała przecież dzisiejsze korepetycje — że rok szkolny mógł trwać nieco krócej. Przestrzegano jednak zasady: jeden rok — jedna klasa.

B.P. — *Tajne nauczanie organizowano tylko w miastach czy również na prowincji?*

R.T. — To był kolejny sukces podziemia, mianowicie komplety szkół średnich powstawały w miejscowościach, gdzie przed wojną nie było gimnazjum i liceum.

Działały w wielu małych miasteczkach, ale także po wsiach, co było wielką zasługą konspiracyjnego ruchu ludowego, który bardzo wspierał to szkolnictwo. Na czele Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj, czyli konspiracyjnego ministerstwa oświaty, stał ludowiec Czesław Wycech.

Jesienią 1944 r. na Lubelszczyźnie, a wcześniej wiosną na pozostałym obszarze pojałtańskiej Polski, odbywało się przechodzenie tajnego szkolnictwa w szkolnictwo jawne, oficjalne. Okazało się, że kilkuletni wysiłek nie został zmarnowany: zostały zaliczone ukończone klasy i zdane egzaminy maturalne, uznane konspiracyjne studia. To był właściwie jedyny fragment dorobku Państwa Podziemnego, który został uznany przez nową władzę. Powstały komisje weryfikacyjne, które bardzo szybko uporały się ze sprawdzaniem, czy rzeczywiście odbyły się podziemne matury albo podziemne egzaminy magisterskie. Uczniowie nie musieli niczego uzupełniać, zdawać, nostryfikować. Powojenna oświata, odbudowująca się w pierwszych miesiącach po przejściu linii frontu, powstawała na fundamencie wysiłku Państwa Podziemnego, co nie miało precedensu nigdzie w Europie.

B.P. — *Czy nauczyciele nie byli represjonowani za swoją działalność?*

R.T. — Na ogół nie. Były przypadki represjonowania działaczy politycznych, którzy jednocześnie kierowali komórkami Delegatury Rządu, zajmującymi się oświatą na danym terenie, ale nauczycieli raczej nie szykanowano. Inna rzecz, że w PRL-u nie zamierzano jakoś specjalnie wynagradzać nauczycielom ich trudu w podziemnej oświacie. Jednak władze podziemne, zarówno Rada Jedności Narodu, jak i Delegatura, wezwały nauczycieli do ujawniania podziemnych szkół bez żadnych warunków: po to, aby w sprawie kształcenia młodzieży nie stawiać politycznych barier.

Rzeczywistość polityczna pierwszych lat powojennych stosunkowo łagodnie obeszła się z oświatą, ponieważ podczas moskiewskich ustaleń w sprawie tak zwanego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej resort szkolnictwa oddano Stanisławowi Mikołajczykowi i jego ludowcom. Ministrem został Wycech, dyrektor podziemnego departamentu.

B.P. — *Jak szybko nastąpiła weryfikacja programów i podręczników?*

R.T. — Dopiero w latach 1948–1949. Trzeba pamiętać, że do 1947 r. PSL, które stało się ogólnonarodową partią oporu przeciwko sowietyzacji Polski, miało duże wpływy w środowisku nauczycielskim. Związek Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) był praktycznie kontrolowany przez PSL. Sytuacja zmieniła się po wyborach w 1947 r. i ucieczce Mikołajczyka. Ministrem oświaty został Stanisław Skrzeszewski, PPRowiec, który kierował tym resortem w komunistycznym Rządzie Tymczasowym od stycznia do czerwca 1945 r.

W 1949 r. komuniści wprowadzili reformę szkolnictwa, zasadniczo zmieniając formułę kształcenia na każdym poziomie. Przedwojenny system 6–4–2 zastąpili systemem 7–4 (siedem klas szkoły podstawowej, cztery lata szkoły średniej). Właśnie wtedy zaczęły się zmiany programów i podręczników, wprowadzono obowiązkowy

język rosyjski, zaczęto dodawać nowe przedmioty, a niektóre z dotychczasowych usuwać. Zmiany następowały jednak z oporami, zdarzało się, że nauczyciele wciąż uczyli według przedwojennych programów, wciąż – szczególnie na prowincji – używano starych podręczników.

B.P. – *Czy znane są jakieś formy oporu środowisk uczniowskich przeciw reformie, programom, systemowi w ogóle?*

R.T. – W dziejach polskich powstań i konspiracji jest to, moim zdaniem, historia najbardziej tragiczna. Mam na myśli tak zwane drugie podziemie, działające w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Kiedy zostało złamane powojenne podziemie zbrojne, kiedy rozbito PSL, po 1948 r. przyszła druga fala oporu. Zrodziła ją legenda Armii Krajowej i powojennej partyzantki. Młodzi ludzie, którzy nie zdążyli na wojnę, którzy mieli za mało lat, by znaleźć się w konspiracji podczas okupacji lub w pierwszych latach po wojnie, teraz zaczęli próbować swej dorosłości. Powstało wiele grup i organizacji podziemnych, tworzonych przez kolegów z jednej klasy, jednej szkoły, jednej rozwiązanej drużyny harcerskiej. Czasem były to organizacje lokalne, kilkuosobowe, czasem rozrastały się i obejmowały nawet kilka powiatów. Tę tragiczną konspirację tworzyli młodzi ludzie bez doświadczeń, bez niezbędnej wiedzy. Drukowali i rozrzucali ulotki, malowali antykomunistyczne hasła, zrywali czerwone flagi, a czasem zdobywali broń i jej używali. Setki takich grup likwidowała bezpieka i traktowała je tak samo brutalnie jak dorosłe podziemie. Ci chłopcy i dziewczęta byli torturowani, a następnie dostawali ciężkie wyroki, z wyrokami śmierci włącznie.

B.P. – *Zdarzało się, że młodzi ludzie, którzy koniecznie chcieli walczyć, byli wciągani w środowiska bandyckie.*

R.T. – To zdarzało się raczej rzadko, bo były to grupy bardzo ideowe. Także dorosła konspiracja tych lat różni się od poprzedniej z bardzo prozaicznego powodu. Po wojnie można było liczyć na poparcie społeczeństwa, wielu ludzi nie bało się pomagać partyzantom czy ukrywającym się konspiratorom. Wzmagający się terror UB sprawił, że w miarę upływu lat już nie można było liczyć na pomoc, na żywność i nocleg, na opiekę nad rannymi, na informacje. To wszystko trzeba było teraz wymuszać z bronią w rękę. Trzeba było też zdobywać pieniądze, a napady, nawet na instytucje państwowe, komunistycznej propagandzie łatwo było przedstawiać jako napady bandyckie.

Wciąż jeszcze nie znamy skali tego zjawiska, nie wiemy, ile było podziemnych organizacji młodzieżowych, uczniowskich, studenckich. Zdarzało się także, że tajną organizację zakładała bezpieka, żeby ściągnąć do niej tych najodważniejszych, najbardziej zdeterminowanych, najbardziej wrogo nastawionych do reżimu.

B.P. – *Posługując się ich rówieśnikami?*

R.T. – Tak. Wciągała młodych w różne nielegalne przedsięwzięcia, obserwowała ich, uzbrajała, a gdy dochodziło do pierwszych akcji – uderzała. Tortury w śledztwie powodowały szerokie wyspy, łamanie charakterów, wydawanie kolegów.

B.P. — *Jednak byli wśród nich niezłomni, tacy, którzy zapłacili za działalność życiem.*

R.T. — Tak, oczywiście. Wśród wielu przykładów można wymienić krakowski proces Marka Kublińskiego i jego kolegów na początku lat pięćdziesiątych. Kilku licealistów założyło tajną organizację i po jakimś czasie mało efektywnej działalności postanowiło przystąpić do akcji zbrojnych. Wczesnym rankiem na Plantach dwóch z nich podjęło próbę rozbrojenia milicjanta. W czasie szamotaniny milicjant został postrzelony, a chłopcy ratowali się ucieczką. Jeden z nich zginął w czasie podjętego natychmiast przez UB pościgu, drugi, Kubliński, zdołał się ukryć, ale po krótkim czasie wpadł w łapy bezpieki. Postawiono go przed sądem, gdzie usiłowano przedstawić jako pospolitego bandytę. Kubliński zachował się bardzo mężnie, nie krył swojej wrogości do reżimu. Został skazany na śmierć, wyrok wykonano. Sędzia, który wydał wyrok, robił później karierę na Uniwersytecie Jagiellońskim, zresztą nie tylko w okresie stalinowskim, ale i później, co z pewnością należy zapisać do najczarniejszych kart w historii tej uczelni.

A tymczasem od końca lat czterdziestych w szkołach postępowała sowietyzacja, ujawniająca się zarówno w zmianach, wprowadzanych w programach nauczania i podręcznikach, jak i w narzucaniu szkołom obecności organizacji politycznych. Nauczyciele zostali objęci polityczną obróbką, stanowiska kierownicze w szkołach stały się funkcjami nomenklaturowymi, co oznacza, że nie można było zostać dyrektorem lub wicedyrektorem bez zgody PZPR.

B.P. — *Może na zasadzie wyjątku, ale w skali województwa zostawiano — powiedzmy — dwóch dyrektorów bezpartyjnych, w skali większego miasta jednego. Mój ojciec, przedwojenny nauczyciel, był dyrektorem dużego zespołu szkół pedagogicznych, mimo przeszłości żołnierza BCH, konspiracji PSL-owskiej, a nigdy nie był partyjny.*

R.T. — Tak, ale takie przypadki to rzadkość. Komuniści byli w trudnym położeniu, bo nie mieli odpowiednio wykształconej i przygotowanej kadry. Kandydatów na kierownicze stanowiska trzeba było szkolić na rozmaitych przyspieszonych kursach, co wówczas i później chętnie nazywano awansem społecznym. Często jednak tolerowano starych, doświadczonych nauczycieli, zadowolając się wymuszonymi deklaracjami lojalności.

B.P. — *W ten sposób tworzone szkolnictwo na Ziemiach Zachodnich, w Olsztyńskim. Tam do pracy jechali przedwojenni ideowi nauczyciele.*

R.T. — Podobna sytuacja była na uczelniach, gdzie z roku na rok nie dało się wymienić starej kadry profesorskiej. Wprawdzie młodzi hunwejbini z PPR, a później PZPR, próbowali opanować uczelnie (dlatego mieliśmy tak wielu magistrów mianowanych profesorami), jednak trzeba było zostawić chociaż trochę prawdziwych fachowców. Wielu z nich jakoś dotrwało do 1956 r., inni dopiero wtedy z powrotem uzyskali prawo prowadzenia wykładów i seminariów.

Oprócz organizacji politycznych, takich jak PZPR – nauczycieli zmuszano, by do nich wstępowali – pojawiły się w szkołach komunistyczne organizacje młodzieżowe: Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), także bardziej „specjalistyczne”, jak Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR), od 1951 r. zwane Kołami Przyjaciół ZSRR. Od tej pory dobra ocena w szkole składa się z dwóch elementów: wyników w nauce i osiągnięć w tak zwanej pracy społecznej czy aktywności politycznej. W latach 1952–1954 te organizacje zaczynają rządzić szkołami. Młodzi aktywiści próbują dyktować nauczycielom i dyrektorom, jak zorganizować pracę szkoły, czym powinna zajmować się młodzież na lekcjach, kto powinien zostać wyróżniony najlepszą oceną. Podobnie działo się na uczelniach. W materiałach bezpieki znalazłem bardzo interesujące materiały dotyczące prof. Konstantego Grzybowskiego z UJ, którego zresztą do przeciwników reżimu zaliczyć nie można i który starał się o przyjęcie do PZPR, ale tam go nie chciano, bo wypominano mu sanacyjną przeszłość. Grzybowski jako dziekan toczył wojnę z akademickim ZMP, które usiłowało zarządzać uczelnią. Działacze przychodzili oburzeni, że profesorowie oblewają ich na egzaminach – ich, którzy mają ważniejsze sprawy na głowie niż wkuwanie prawa. Grzybowski upierał się, że uniwersytet jest po to, by uczyć, i groził, że nieuków będzie traktował źle, bez względu na ich organizacyjne zasługi.

W latach 1955–1957 przychodzi odwilż, którą najwcześniej widać na uczelniach oraz w szkołach w dużych miastach, w środowiskach młodzieży. Tygodnik „Po prostu”, stalinowska gadzinówka, w ciągu kilku miesięcy 1955 r. przekształcił się w taran odwilżowych zmian, w czym naśladowały go inne gazety. Pojawiły się kluby dyskusyjne, w których po raz pierwszy od siedmiu czy ośmiu lat można było otwarcie wypowiedzieć swoje zdanie, zadać pytanie nie uzgodnione wcześniej z prelegentem, skrytykować coś lub kogoś bez obawy wyroku za „szeptaną propagandę”. Jesienią 1956 r. na uczelniach zajmowano się przede wszystkim wiecowaniem.

B.P. – *Nieoczekiwanie jedną z przyczyn owej odwilży wśród młodzieży stało się spotkanie powszechnie nazywane Światowym Festiwalem Młodzieży.*

R.T. – W 1955 r. odbywa się w Warszawie Światowy Kongres Młodzieży, na który przyjeżdżają aparatczyki organizacji komunistycznych z całego świata. Uczestnicząca w nim młodzież jest różnobarwna, przyjeżdżają Murzyni, Amerykanie, ludzie z Ameryki Południowej, śpiewają, tańczą na ulicach – to w dotychczasowej szarej rzeczywistości było niewyobrażalne. Następuje kolejne rozluźnienie reżimowego sztywnego gorsetu. Ale komuniści nie zamierzali pozwolić, by odwilż zatrąła kolejne roczniki. W październiku 1957 r. zlikwidowali „Po prostu”, szkołom i uczelniom znów nałożono ideologiczny kaganiec.

Warto powiedzieć w tym miejscu o katechizacji, która, o dziwo, przetrwała okres stalinowski. W latach pięćdziesiątych, kiedy najbardziej atakowano Kościół, komuniści nie zdecydowali się jednak na ustawowy zakaz nauczania religii w szkołach.

Likwidowali szkoły kościelne, klasztorne, w ogóle szkolnictwo prywatne, także samorządowe, ale religia została w około 30 proc. szkół.

B.P. — *Według jakiego klucza w jednych szkołach religia pozostaje, a w innych jej nie ma?*

R.T. — Czasem dyrekcji stosunkowo łatwo udawało się zastraszyć rodziców, którzy sami występowali z wnioskiem o usunięcie religii, czasem ksiądz poddawał się presji UB.

B.P. — *Od szkół rozpoczyna się proces ateizacji społeczeństwa. W Związku Radzieckim Cerkiew prawosławna i inne kościoły za najgorszy pod tym względem okres w czasach władzy komunistycznej uważają panowanie Chruszczowa, nie Stalina.*

R.T. — W 1956 r. katechizacja wróciła także do tych szkół, z których ją usunięto. Opowiadał mi ksiądz prałat Julian Pudło, proboszcz z Brzozowa, jak jesienią 1956 r. przybiegł do niego na plebanie powiatowy sekretarz PZPR i błagał, aby natychmiast wysłać księży do szkół, bo w przeciwnym razie mieszkańcy spalą komitet partii. Księża wrócili, ale na krótko, bo już w 1958 r. znów rozpoczęła się urzędowa ateizacja.

Latem 1961 r. komuniści przeprowadzili reformę szkolnictwa, jednym z elementów stała się „laicyzacja” szkół. Już we wrześniu religię wycyfano z planów lekcji, co postawiło Kościół w niesłuchanie trudnej sytuacji, bo trzeba było zapewnić dzieciom i młodzieży katechizację poza placówkami oświatowymi. Należało więc przystąpić do budowy całej ogromnej infrastruktury, dostosowanej do potrzeb kształcenia setek tysięcy uczniów.

Ponadto reforma oświatowa wydłużyła naukę w szkole podstawowej z siedmiu do ośmiu lat. W środowiskach wiejskich czy małomiasteczkowych często nauka ograniczała się do szkoły podstawowej: przymus szkolny do 16 roku życia sprawiał, że uczniowie radzący sobie gorzej repetowali tak długo, aż osiągnęli odpowiedni wiek.

B.P. — *A jak wyglądała oświata dla dorosłych?*

R.T. — Komuniści, aż do końca swoich dni, lubili się chwalić rzekomymi dokonaniami w dziedzinie oświaty, w tym likwidacją analfabetyzmu. Twierdzili, że ich rządy doprowadziły w tej dziedzinie do jakiegoś przełomu. Oczywiście, to jest bzdura. Likwidacja analfabetyzmu czy upowszechnienie wykształcenia stanowiły proces cywilizacyjny, który przebiegał podobnie niemal na całym świecie. Komuniści przez swoją nieudolność i klasową manię prześladowczą raczej ten proces opóźniali, niż przyspieszali. Zresztą, gdy objęli już pełnię władzy, zlikwidowali dziesiątki szkół, wiele uniwersytetów ludowych, setki rozmaitych kursów. Autentyczna oświata dla dorosłych została zastąpiona przymusowymi szkoleniami, w tym oczywiście politycznymi, ale nie tylko, także fachowymi. Szkoły społeczne, samorządowe, rolnicze, budowlane, rzemieślnicze, handlowe itd., których wiele powstało po wojnie, zostały zlikwidowane, odebrane stowarzyszeniom, które je prowadziły, i fundacjom, które je finansowały. Przy okazji zlikwidowano te stowarzyszenia i fundacje. W oświacie nastąpił więc oczy-

wisty regres, a jego skutkiem były smutne statystyki, stawiające Polskę na szarym końcu Europy na przykład pod względem liczby obywateli z wyższym wykształceniem.

W latach sześćdziesiątych wdrażano reformę, ale już wkrótce po tym, jak ekipę Gomułki zastąpiła ekipa Gierka, zaczęto ją krytykować jako zachowawczą i nie dość naśladowującą sowieckie wzory. Kolejne zespoły ekspertów przygotowywały raporty o stanie oświaty i zgłaszały propozycje zmian. Władze wciąż pamiętały studencką rewoltę z 1968 r. i obawiały się, że młodzież jest niewystarczająco przychylnie nastawiona do reżimu.

Wreszcie w 1978 r. przyjęto model dziesięciolatki, od dawna obowiązujący w Związku Radzieckim. Nasza reforma napotkała opór nauczycieli, ponadto istniały już namiastki opinii publicznej, działał drugi obieg, wypowiadała się opozycja. Na okres wprowadzania reformy nałożył się kryzys gospodarczy i polityczny, więc ostatecznie w 1981 r. zrezygnowano z forsowania krytykowanego projektu.

B.P. — *W historii powojennej oświaty znane są, często udane, próby podejmowane przez starych nauczycieli szkolnych i uniwersyteckich tworzenia pewnych wysepek niezależności w procesie dydaktycznym i wychowawczym.*

R.T. — Dość długo, dopóki żyli starzy nauczyciele i starzy profesorowie, ich działalność stanowiła naturalną zaporę dla komunizmu, wokół nich tworzyły się enklawy względnej swobody, w granicach seminarium, ćwiczeń, wykładu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych takie autorytety wywierały znaczny wpływ na młodzież. Potem próbowali oni wprowadzać swoich uczniów do zawodu, do instytucji, w których działali. Przedmiotem nieustannego niepokoju rozmaitych organizacji komunistycznych, a także nadzorującej je bezpieki, był problem niedostatecznych mechanizmów kontroli nad procesem przyjmowania młodych ludzi do pracy w szkołach i na uczelniach. Komuniści usiłowali wszędzie wprowadzać swoich ludzi, ale wciąż zdarzały się jakieś przeoczenia i pomyłki.

To bardzo trudna historia, właściwie w ogóle nietknięta. Z wielką przykrością przeczytałem historię Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydaną w tym roku. Składa się ona z trzech rozdziałów; jeden z nich mówi o dziejach Uniwersytetu po wojnie. Proszę sobie wyobrazić, że w tym rozdziale nie pada ani razu słowo komunizm. To tak, jakby napisać historię drugiej wojny światowej i nie wspomnieć o Hitlerze. Pisz się enigmatycznie o ideologizacji i opisuje rozwój Uniwersytetu, śledząc postępy fizyki, biologii czy językoznawstwa, osiągnięcia drobnej garstki ludzi, które w okresie Bieruta czy Gomułki tonęły w powodzi miernoty, marazmu, nieuctwa, arogancji, głupoty i politycznej manipulacji.

B.P. — *Czy pojawiła się jakaś alternatywa dla oficjalnego systemu wychowawczo-oświatowego?*

R.T. — W latach siedemdziesiątych rozwijał się ruch wychowawczy i oświatowy wokół Kościoła, bardzo prężny, bardzo skuteczny. Wśród rozmaitych inicjatyw zrodził się Ruch Światło-Życie, dzieło księdza Franciszka Blachnickiego, a jego animatorzy, ze-

brani w marcu 1980 r. na Jasnej Górze, ogłosili deklarację, która otwarcie domagała się odrzucenia systemu kłamstwa i zniewolenia. Także polityczna opozycja rozumiała, że również w dziedzinie wychowania młodzieży należy zmierzyć się z reżimem. Powstały wówczas przedsięwzięcia oświatowe i samokształceniowe, z których najbardziej znane to Latający Uniwersytet i Towarzystwo Kursów Naukowych.

B.P. — *Były to jednak bardzo elitarne inicjatywy i obejmowały bardzo niewielkie środowiska.*

R.T. — Tak, ale szybko powstała moda na samokształcenie, na zbieranie się i dyskutowanie w małych grupach, na wspólne omawianie zakazanej literatury. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nastąpiła prawdziwa eksplozja działalności odczytowej, organizowanej przez Kościół i środowiska katolickie, a po Sierpniu także przez „Solidarność” i Niezależny Związek Studentów (NZS).

B.P. — *Presja, którą na młodzież wywierała socjalistyczna szkoła i cały oficjalny model wychowania, realizowany przez organizacje młodzieżowe z jednej strony, a z drugiej — ciasnota socjalistycznych mieszkań, szarość życia, bieda większości polskich rodzin — to, między innymi, powody pojawienia się polskiej mutacji kontrkultury młodzieżowej. Proszę powiedzieć coś o jej przejawach.*

R.T. — Kontrkultura miała w Polsce dwa oblicza. Jedno wynikało z pragnienia wolności, wyrwania się z sztywnych ram komunistycznej obyczajowości, z potrzeby przezwyciężenia klaustrofobii, spowodowanej zamknięciem granic. W latach pięćdziesiątych reprezentowali ją bikiniarze, później hippisi, a w latach osiemdziesiątych — punki. Moda na niekonwencjonalną postawę wobec życia przychodziła z Zachodu, a jej nośnikiem była muzyka, najpierw jazz, następnie rock. Komuniści wciąż marzyli o obozach pracy, które pozwoliłyby rozwiązać problem niesfornej młodzieży. Aż do końca reżimu po rozmaitych zebraniach „plenów” i „egzekutyw” plątały się pomysły przymusowych robót na Żuławach.

Była i druga, ciemniejsza strona frustracji części młodzieży, szczególnie tej wodzącej się z rodzin biedoty i marginesu społecznego. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w części tych środowisk zaczęła funkcjonować obyczajowość przeniesiona z więzień. Grypsersa, czyli język i system zachowań obowiązujący „pod celą”, zaaklimatyzowała się „na wolności”. PRL-owscy chuligani sami nazywali siebie garownikami („garować”, czyli odbywać wyrok), nawet wówczas, gdy nie przeszli przez poprawczaki i zakłady karne. Później to zjawisko rozpląnęło się w szarej strefie komunistycznej gospodarki (cinkciarze, handlarze kradzionego mienia państwowego, rozmaici kombinatorzy, często równocześnie na etatach konfidentów bezpieki), a otwarte przez Gierka granice pozwoliły na eksport młodocianych przestępców, przede wszystkim do Niemiec.

B.P. — *Istnieją tu i ówdzie opinie, że mimo ideologizacji komunistycznego szkolnictwa można o nim powiedzieć, że dawało ono dość wysoki*

poziom wiedzy. Czy to była ułuda, którą się karmiono, czy tak było rzeczywiście?

R.T. — Bardzo trudno odpowiedzieć na tak generalne pytanie bez badań na temat systemu oświaty w PRL i bez porównania go z dokonaniem innych państw. Wiadomości, jakimi na razie dysponujemy, stanowią zaledwie drobny ułamek. Niedoskonałość naszej wiedzy dotyczy całej historii najnowszej, ale w zakresie historii oświaty, nauki, wychowania itp. braki są szczególnie dotkliwe.

B.P. — ***Myszę, że bez specjalnych badań można jednak ocenić na przykład poziom nauczania języków obcych. Wykształciliśmy całkiem niezłą armię analfabetów w tej dziedzinie.***

R.T. — To prawdziwa katastrofa edukacyjna, z którą mieliśmy do czynienia jeszcze dziesięć lat temu. Ale przecież komuniści fałszowali liczne dziedziny wiedzy: historię, socjologię, ekonomię. Ponadto przez pół wieku Polacy uczyli się niechęci do państwa, w którym żyli, ponieważ większość uważała, że jest to państwo im narzucone. Młodzież podpatrywała dorosłych i podobnie odnosiła się do szkół i uczelni, gdyż były to przecież również oficjalne, państwowe instytucje. Taką niechęć do instytucji bardzo trudno jest wykorzenić i zamienić na sympatię.

B.P. — ***Czy to była wrogość do instytucji, czy do samego poszerzania wiedzy?***

R.T. — W PRL-u było przyjęte, że okradanie państwa nie jest niczym nagannym. W PRL-owskiej szkole ściąganie, odpisywanie zadań, korzystanie podczas klasówki z ukrytych „pomocy naukowych”, a więc tym samym oszukiwanie nauczycieli, uważane było za postępowanie jak najbardziej właściwe. Jeszcze długo będziemy odczuwać wychowawcze skutki komunizmu.

„SOCJALIZMU BĘDZIEMY BRONIĆ JAK NIEPODLEGŁOŚCI”

O propagandzie PRL z Jerzym Eislerem

B.P. — *W samym pojęciu propagandy nie jest zawarte odkształcanie rzeczywistości. A jednak propaganda PRL zrobiła z tego zasadę.*

J.E. — Tak. Propaganda — wbrew temu, co myśli wielu ludzi — nie jest związana wyłącznie z reżimami dyktatorskimi, gdyż w każdym nowoczesnym państwie mamy do czynienia z propagandą, na przykład gdy rząd chce przekonać do swojej decyzji własne społeczeństwo. Cel, charakter i środki, jakimi posługuje się propaganda, stanowią o różnicy między systemem demokratycznym a dyktatorskim. Jedną z fundamentalnych cech wszelkich systemów dyktatorskich jest rozbudowany i scentralizowany system informacji. Nie inaczej było w Polsce Ludowej. Przy tym chodzi tu nie tyle o system informacji, ile o system agitacji, polegającej na powtarzaniu w nieskończoność pewnych haseł czy sloganów. Manipulowanie informacją służyło między innymi celom propagandowym. Zadaniem PRL-owskiej propagandy było więc również kreowanie rzeczywistości, która wcale nie musiała być (i zwykle nie była) odbiciem stanu faktycznego.

B.P. — *Jakich narzędzi używano do tego celu?*

J.E. — Największym mistrzem propagandy w nowożytnych dziejach świata był niewątpliwie minister Joseph Goebbels. Byli też, może nie aż tak sławni, twórcy propagandy komunistycznej w stalinowskim Związku Radzieckim, między innymi odpowiedzialny za „front kulturalny” Andriej Żdanow. W działalność propagandową angażowali się też wielcy radzieccy reżyserzy: Siergiej Eisenstein, Wsiewołod Pudowkin, Ołeksandr Dowżenko. Ich filmy, a wiele ich powstało na zamówienie władz, miały do spełnienia ważną politycznie rolę, co nie znaczy, że były pozbawione walorów artystycznych. Na marginesie warto przypomnieć, że kadry ze szturmu na Pałac Zimowy nakręcone przez Eisensteina dziesięć lat po wydarzeniach przeszły do historii jako dokument, choć — naturalnie — dokumentem nie były. Pokazywano je potem przez wiele lat w telewizji, przy każdej rocznicy rewolucji październikowej.

B.P. — *Powiedzmy tu na marginesie, że Eisenstein jest przedstawicielem rzesz twórców, którzy sami nie będąc przekonanymi komunistami, ulegli komunistycznej propagandzie i pracowali na jej rzecz. A w końcu stali się jej ofiarami, ich twórczość poddawana była bezwzględnej cenzurze.*

J.E. – Do tego typu socjotechnicznych zabiegów odwoływano się też w powojennej Polsce, choć może nie aż tak otwarcie. Wraz z powstaniem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powołano do życia resort informacji i propagandy. Mediami, które w pierwszych powojennych latach odgrywały ogromną rolę, były film i radio. Wystarczy przypomnieć, że lubelska rozgłośnia radiowa, działająca w wagonie kolejowym sławna „Pszczółka”, rozpoczęła pracę już w sierpniu 1944 r. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że radzieckie władze wojenne wydały, na czas wyzwolenia Polski spod okupacji niemieckiej, zakaz posiadania radioodbiorników. Faktycznie właściwie go tylko przedłużyły, bo Polacy pod okupacją niemiecką też nie mogli mieć odbiorników. Ten zakaz przedłużono do czerwca 1945 r.; został anulowany dopiero kilka tygodni po zakończeniu wojny w Europie.

B.P. — *Wobec tego dla kogo było to lubelskie radio?*

J.E. – Paradoksalnie, dla wszystkich bez wyjątku. Nadajniki były połączone z istniejącym w centralnych punktach miast systemem głośników, które w czasie okupacji hitlerowskiej nazywano szczekaczkami. Informowano przez nie o sukcesach, a później także o niepowodzeniach armii niemieckiej, to znaczy „o wycofywaniu się jej oddziałów na z góry upatrzone pozycje” – jak ujmowano to zwykle w propagandowych komunikatach wojennych. Podobnie w latach 1944–1945 przez radiowęzeł przekazywano komunikaty o sukcesach Armii Czerwonej, z tą jednak różnicą, że do komunikatów, czy potem audycji, dodawano hymn narodowy, *Warszawiankę*, pieśni narodowe, patriotyczne, religijne, na przykład *Kiedy ranne wstają zorze*, którą w pierwszych latach istnienia Polskiego Ludowego każdego dnia Polskie Radio inaugurowało swój program...

B.P. — *...wtedy, gdy pierwsza zmiana szła do pracy.*

J.E. – Przywoływano także naszych wielkich twórców – Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, nadawano muzykę Fryderyka Chopina, to, czego nie było pod okupacją niemiecką. Na ulicach pojawiły się białe–czerwone flagi. W prasie nadspodziewanie często używano patriotycznego słownictwa. Przywoływano pamięć bohaterów historycznych, a utworzone w Związku Radzieckim jednostki Wojska Polskiego nieprzypadkowo miały za patronów Tadeusza Kościuszkę, Romualda Traugutta, Józefa Bema itd., a nie byli to przecież działacze rewolucyjnego ruchu robotniczego. Chodziło o przekonanie społeczeństwa, że jest polskie wojsko i polska władza, kraj jest wolny, a poczucie jego ograniczonej suwerenności miała złagodzić silna afirmacja pierwiastka narodowego – flagi, hymnu i zmienionego tylko nieznacznie godła.

B.P. — *To rzeczywiście musiało robić wrażenie.*

J.E. – Po pięciu latach wojny, władza przywracała ludziom polski język poprzez gazety, szkoły, muzykę. Powstało Polskie Radio, Polska Kronika Filmowa, pojawiły się polskie gazety, a z czasem polskie filmy. Organ PKWN nie bez przyczyny nazywał się „Rzeczpospolita”. Tego typu czysto językowe zabiegi nie były przypadkowe. Podstawowym zadaniem propagandy było wszak zjednywanie społeczeństwa dla nowej władzy.

Integralnym elementem systemu propagandy jest cenzura prewencyjna. Polega ona na tym, że każda informacja, zanim ujrzy światło dzienne, jest zawczasu kontrolowana. Przez cały okres 1944–1989 w Polsce nie ukazała się ani jedna książka, artykuł, film, sztuka, spektakl, których treść przed udostępnieniem odbiorcom nie zostałaby skontrolowana. Do lat siedemdziesiątych wstępnej cenzurze poddawano druk bile-
tów tramwajowych, sklepowych paragonów, druków urzędowych, recept itp. Nawet nekrologi i klepsydry podlegały kontroli.

Cenzura i propaganda miały nie tylko chronić obywateli przed szkodliwymi czy niebezpiecznymi (w ocenie rządzących) wiadomościami. Ich zadaniem było też kształtowanie pozytywnego obrazu rzeczywistości. Jeżeli nie można było pisać o tym, że to Sowietzi byli sprawcami zbrodni katyńskiej, mogło to zrozumieć, choć naturalnie trudno się z tym zgodzić. Na tym jednak nie koniec. W latach sześćdziesiątych ukazała się w Polsce, w sporym nakładzie, książka (przekład z duńskiego), której autor opisywał ze szczegółami, jak esesmani zabijali polskich oficerów w Katyniu. Jest to już bardzo daleko posunięte fałszerstwo i mistyfikacja; to coś znacznie więcej niż „tylko” propaganda, polegająca na eliminowaniu informacji z jakichś powodów niewygodnych dla władzy. Przez cały okres PRL mieliśmy do czynienia z takimi zabiegami: z jednej strony blokowanie pewnych wiadomości, a z drugiej dopisywanie informacji nieprawdziwych.

B.P. — *Dzieci szkolne, które jeździły pociągami przyjaźni na Białoruś, wożono do miejscowości Chatyń. Pokazywano im tam groby białoruskich chłopów zamordowanych przez esesmanów i wmawiano, że poznają prawdę o Katyniu.*

J.E. — Kolejną cechą komunistycznego systemu propagandowego było wymuszanie działań zbiorowych popierających decyzje i stanowiska władzy. W ówczesnym żargonie partyjnym nazywano to „kampanijnością”. Organizowano kampanie przeciw lub za. Przykładem niech będzie propagandowy sukces akceptacji społecznej dla apelu sztokholmskiego. Jako pierwszy podpisał go Bolesław Bierut, a za nim — jak oficjalnie głoszono — osiemnaście milionów Polaków. Proszę sobie to wyobrazić, choćby tylko od strony czysto technicznej. Ten przykład pokazuje, jak propaganda kompletnie odrywała się od tego, co nazywamy zdrowym rozsądkiem. Rzeczy w praktyce niemożliwe i nieprawdopodobne podawano jako fakty, nie zastanawiając się nad tym, że takie informacje po prostu ośmieszają władzę. W PRL-u uparcie podawano praktycznie nierealną oficjalną frekwencję wyborczą, która przez dłuższy czas miała wynosić około 99 proc.

B.P. — *Druga sprawa, że gdy podawano po 1989 r. prawdziwą frekwencję wyborczą, te 36 czy 41 proc., dla wielu ludzi było to zdumiewające i szokujące.*

J.E. — Wydaje się, że stanowiło to konsekwencję specyficznego „przyzwyczajenia się” społeczeństwa do tych nieszczęsnych 99 proc.

Warunkiem proklamowania jakiegś kolejnej kampanii była konieczność wskazania określonego wroga: wewnętrznego lub zewnętrznego. Tym wrogiem wewnętrznym – w ocenie partyjnych propagandystów – mogli być „reakcyjny kler”, „kułacy”, „syjoniści”, „ekstrema” czy inni (rzeczywiści lub urojeni) przeciwnicy polityczni. Wrogiem zewnętrznym pozostawali niezmiennie „zachodnioniemieccy rewizjoniści” i „amerykańscy imperialiści”, a przejściowo „zdradziecki titoizm”. Wskazaniu wroga zewnętrznego towarzyszyło zwykle hasło „walki o pokój”, w której uczestniczył cały „obóz socjalistyczny”.

B.P. – *Co nie przeszkadzało przedstawicielom tego obozu w inspirowaniu, aktywnym uczestnictwie i wspieraniu najrozmaitszych rebelii, krwawych rewolucji czy zamachów na wszystkich kontynentach.*

J.E. – To prawda. Dzisiaj wielu ludzi w Polsce już zapomniało lub udaje, że nie pamięta, iż przyjaciółmi i sojusznikami PRL jeszcze nawet w latach osiemdziesiątych byli różni „postępowi przywódcy” w Trzecim Świecie, których obecnie zupełnie otwarcie oskarża się o bliskie związki z międzynarodowym terroryzmem. Warto też pamiętać, że nachalna i prymitywna propaganda ujawniania wrogów wewnętrznych i zewnętrznych nie była specyfiką tylko lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W latach osiemdziesiątych, w stanie wojennym, pojawiły się plakaty jakby żywcem przeniesione z okresu stalinowskiego – oto nasi wrogowie: Ronald Reagan w stroju kowboja czy Konrad Adenauer w krzyżackim płaszczu.

Kolejną, nader ważną, cechą komunistycznego systemu propagandy było budowanie kultu wodza...

B.P. – *...ale to akurat nie wydaje mi się charakterystyczne tylko dla komunizmu.*

J.E. – Oczywiście! Autor znakomitej książki o kulcie Stalina w Polsce w latach 1944–1956, Robert Kupiecki, zadał sobie pytanie, czy ten parareligijny kult został importowany ze Związku Radzieckiego, czy też były w tym elementy rodzimego kultu, na przykład marszałka Józefa Piłsudskiego. Mimo że może nam się to nie podobać – tak jednak w znacznym stopniu właśnie było. W latach trzydziestych można było usłyszeć w Polskim Radiu takie zawołanie sławnego lektora i spikera Tadeusza Bocheńskiego: „Bądź pozdrowiony Zułowie (miejsce urodzin Marszałka – J.E.), polski Betlejemie”. To się co najmniej ocierało o świętokradztwo. Kult Stalina, który – w oczach komunistycznych propagandystów – miał być najgenialniejszym i najwspanialszym człowiekiem pod słońcem, w znacznym stopniu wywodził się z tego właśnie rodzimego pnia, przy czym fakt, że system był ateistyczny, laicki, świecki, antyreligijny i antyklerykalny – nie miał tutaj nic do rzeczy. Reżim ateistyczny może wszak uprawiać propagandę skrajnie fideistyczną. Sądzę, że jest to integralną cechą kultu każdego dyktatora. Na przykład w marcu 1968 r. w czasie pamiętnego wiecu w Sali Kongresowej pojawiło się hasło: „Wierzymy w ciebie, Wiesławie”...

B.P. – *...wiecznie żywy towarzysz Lenin musiał się ze zgrozy przewracać na drugi bok w swoim mauzoleum.*

J.E. — Co jednak ciekawe, stosunkowo wielu ludzi w tym ateistycznym i skrajnie zlaicyzowanym reżimie poddawało się zachowaniom parareligijnym. Gdy zmarł Stalin, także i w Polsce wiele osób było pogrążonych w rozpacz, bólu, żalu. To można jeszcze ewentualnie zrozumieć, lecz mamy liczne świadectwa, że wielu — jak się wydawało — rozumnych ludzi dziwiło się wówczas, że nieśmiertelny Stalin umarł. Propaganda próbowała odpowiadać na to zdumienie, tłumacząc, że nieśmiertelne jest stalinowskie dzieło. Widać na tym przykładzie, jakie efekty może przynieść (w przypadkach skrajnych) umiejętnie prowadzona, konsekwentna propaganda. Wielu ludzi nie było w stanie zdobyć się na refleksję najprostsza z możliwych: umarł, bo nie ma ludzi nieśmiertelnych. Propaganda spowodowała, że takie myślenie stało się możliwe.

B.P. — *Z perspektywy wydaje się to anegdotyczne i nieprawdopodobne, ale taka postawa nie jest wyłącznie заслуłą propagandy. Nie można zapominać, że za nią krył się terror. To strach odbierał ludziom rozum.*

J.E. — Zgadzam się z tą oceną. W państwach dyktatorskich propaganda nie działa w oderwaniu; jest zawsze ściśle związana z aparatem represji. Dopiero wsparta terrorem staje się naprawdę skuteczna.

Kolejnym chwytym propagandowym, którym chętnie posługiwali się komuniści, było formułowanie, powielanie i lansowanie hasel upowszechniających przedsięwzięcia władzy. Ludzie starszego i średniego pokolenia pamiętają hasła: „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, czy „Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Te hasła tak często były powtarzane, że wręcz musiały się „wdrukować” w społeczną świadomość. Kolejne hasło z IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR: „Socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości”. Te slogany w oficjalnym PRL-owskim dyskursie nigdy nie były poddawane analizie. I to jest kolejna charakterystyczna cecha propagandy — odwoływanie się do sloganów, które przyjmowane są bez jakiegokolwiek refleksji. Miały one charakter twierdzeń kanonicznych: prezentowane były tylko w jednej postaci; nie dopuszczano praktycznie żadnych interpretacji, analiz czy choćby tylko omówień. Niektóre z nich brzmiały zresztą naprawdę pięknie, ale skutecznie je ludziom obrzydono. Kto z nas nie chciałby, żeby Polska była coraz silniejsza, a jej mieszkańcy byli coraz bogatsi?

B.P. — *Tyle że szkoły — «pomniki Tysiąclecia» — budowano w takiej technologii, że po kilkunastu latach zaczęły się rozpadać, a za hasłem o sile i bogactwie Polaków stała zgubna strategia zaciągania długów, przez które polska gospodarka poniosła totalną klęskę, a Polacy już wkrótce żyli w biedzie i stali w kolejkach.*

J.E. — Na marginesie tego, co pani powiedziała, zastanawiam się, czy przypadkiem tak nachalna propaganda nie może być skuteczna (o ile w ogóle jest to możliwe) tylko na krótką metę? Czy nie jest bowiem tak, że po jakimś czasie ludzie nabierają do sloganów pewnego dystansu, a potem mogą się już z nich tylko śmiać?

Zupełnie nowe możliwości stworzyła dla propagandy telewizja. Rządząca Polską w latach 1956–1970 ekipa Władysława Gomułki nie doceniała jeszcze roli tego środ-

ka masowego przekazu. W latach sześćdziesiątych telewizja miała przede wszystkim charakter edukacyjny i kulturotwórczy. Były to początki Teatru Telewizyjnego, sukcesy Kabaretu Starszych Panów, okres dość starannie tworzonego programu, w którym znajdowało się na przykład miejsce na ciekawe audycje Uniwersytetu Telewizyjnego. Znalazłem kiedyś na Woronicza pochodzące z 1965 r. archiwalne nagranie telewizyjnego, godzinnego wykładu z filozofii prof. Leszka Kołakowskiego. Dziś jest praktycznie nie do pomyślenia, aby przeznaczyć w telewizji godzinę bezcennego czasu antenowego na akademicki wykład wybitnego uczonego. Należy też dopowiedzieć, że nie było wtedy jeszcze takiej natrętnej indoktrynacji, jak w następnej dekadzie, chociaż, oczywiście, pojawiały się też programy ideologiczne. Gomułka nie był postacią telewizyjną i stosunkowo rzadko się w niej pojawiał. W praktyce jedynie wygłaszał przed kamerami nudne, monotonne, wielogodzinne przemówienia, w trakcie których ze stojącej na mównicy szklanki popijał herbatę. Jego sławne przemówienie wygłoszone 19 marca 1968 r. w Sali Kongresowej na spotkaniu z aktywnym partyjnym trwało dwie i pół godziny.

B.P. — *Dzisiaj konkurencja zbijałaby kokosy, gdyby jakiś polityk tak długo zajmował telewizorów.*

J.E. — Tak, ale do 1970 r. mieliśmy w Polsce tylko jeden program telewizyjny. Zresztą potem pod tym względem nie było wcale lepiej. Gdy po protestach w Radomiu i Ursusie, 2 lipca 1976 r., Edward Gierek przemawiał do aktywu partyjnego w katowickim „Spodku”, było to transmitowane w obu programach Telewizji Polskiej i we wszystkich czterech programach Polskiego Radia. W miastach po prostu nie można było wtedy skryć się przed wydobywającym się przez otwarte okna na ulice głosem „Wodza”.

B.P. — *Pamiętam powiedzenie z tych czasów: Gierek w telewizji, Gierek w radio, Gierek w gazecie, aż strach otworzyć puszkę.*

J.E. — Ekipa Gierka w pełni doceniła walory telewizji. Od 1972 r., kiedy prezesem Radiokomiteu został Maciej Szczepański, znakomicie wykorzystywano ją do celów propagandowych. W pochodzie pierwszomajowym w 1971 r. pracownicy TVP nieśli hasło: „Jeśli rząd nam pomoże, zobaczymy się w kolorze”. Szóstego grudnia tego samego roku otwarcie VI Zjazdu PZPR transmitowano już w kolorach, chociaż tych kolorowych odbiorników w kraju było może kilkadziesiąt, a w najlepszym razie kilkakaset. Kolorową telewizję przed nami wśród krajów Interwizji miały tylko Związek Radziecki i Niemiecka Republika Demokratyczna. Kiedy uruchamiano ją w Polsce, nie miały jej jeszcze między innymi Włochy, Finlandia, Hiszpania, Jugosławia, kraje niewątpliwie zamożniejsze. Kolorowa telewizja miała do odegrania ogromną rolę w propagandzie sukcesu realizowanej w Polsce w latach siedemdziesiątych.

B.P. — *Pamiętam swoje osłupienie, gdy usłyszałam, że pod względem gospodarczym jesteśmy dziesiątym krajem świata, tym większe że właśnie wtedy pojawiły się możliwości podróży za granice bloku i bezpośredniej konfrontacji poziomów życia «ich» i «naszych».*

J.E. — W końcu lat sześćdziesiątych było w Polsce ponad cztery miliony odbiorników telewizyjnych, pod koniec lat siedemdziesiątych dwukrotnie więcej. Edward Gierek i jego specjaliści od propagandy zadbali o to, aby przywódca stał się telewizyjną gwiazdą pierwszej wielkości. Główne wydanie Dziennika Telewizyjnego punktualnie o godzinie 19,30 sześć razy w tygodniu rozpoczynało się od słów: „Pierwszy sekretarz KC PZPR towarzysz Edward Gierek...” zrobił to, był tam, spotkał się z tym lub owym itd. Tylko we wtorki formuła była inna: „Dziś odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR”. I tak było przez całą gierkowską dekadę.

B.P. — *Mam pytanie: co okazało się największym sukcesem propagandy w PRL, a co było jej największą klęską?*

J.E. — Wydaje się, że paradoksalnie było to jedno i to samo przedsięwzięcie: zarazem największy sukces i największa porażka. Myślę tutaj o locie w kosmos pierwszego polskiego kosmonauty Mirosława Hermaszewskiego 27 czerwca 1978 r. Nim lot się zakończył, ulice polskich miast pokryły miliony plakatów, wydano kilka broszur i książeczek, tysiące ulotek i innych „błyskawic”. A wszystko to odbywało się w kraju, w którym „normalnie” książkę drukowano 3–4 lata, papieru brakowało dosłownie na wszystko, a wydrukowanie dużego kolorowego plakatu było poważnym problemem technologicznym. Chyba nigdy przedtem ani nigdy potem w PRL nie przeprowadzono aż tak zmasowanej kampanii propagandowej, jak ta pod hasłem: „Polak w kosmosie”. I oto okazało się, że cała ta wielka akcja kompletnie trafiła w próżnię i nie wywołała większego odzewu. Polacy w żadnym razie nie byli w stanie fascynować się lotem majora Hermaszewskiego; nie chcieli uznać tego za wielki sukces polskiej nauki i techniki, a co gorsza — wielu dostrzegało w tym locie kolejny krok na drodze uzależniania Polski od Związku Radzieckiego.

B.P. — *Porozmawiajmy o ludziach i strukturach aparatu propagandy w PRL.*

J.E. — Twórcami i nadzorcami systemu propagandowego były kolejno różne instytucje o rozmaitych, zmieniających się nazwach: najpierw istniejące do 1947 r. Ministerstwo Informacji i Propagandy, następnie między innymi Biuro Prasy KC PZPR, którym w epoce Gomułki kierowali kolejno Artur Starewicz i Stefan Olszowski. Współpracowały z nimi w tym zakresie i patronowały im zawsze Wydziały Kultury oraz Nauki i Oświaty KC PZPR. Nazwy zmieniały się, wciąż jednak istniała odpowiednia komórka Komitetu Centralnego i zawsze był też sekretarz KC odpowiedzialny za propagandę. Funkcję tę pełnili przeważnie osoby lepiej wykształcone i cieszące się na ogół opinią partyjnych „liberałów” i „reformatorów”, na przykład Jerzy Morawski, Artur Starewicz czy Wincenty Kraśko. Decydowali o tym, czy dana informacja, względnie dyskusyjny, kontrowersyjny tekst może się ukazać, czy też nie. Działo się to niezależnie od cenzury, której pracownicy doskonale przecież wiedzieli, co mogli „puszczać”, a co mieli „zdejmować”. We wszystkich sytuacjach wątpliwych arbitrem był sekretarz KC, który nadzorował „front ideologiczny”. On też zazwyczaj bardzo precyzyjnie określał

wszelkie przedsięwzięcia propagandowe. Znowu odwołam się do śmierci Stalina. Gdy umarł, bardzo szczegółowo opisano, jak mają wyglądać pierwsze strony gazet.

B.P. — *W najgorszej sytuacji znalazł się tygodnik «Po prostu».*

J.E. — Tak, bo nie można było bezpośrednio pod tytułem tygodnika napisać: „Umarł Stalin” i jedyny raz napis „Po prostu” umieszczono na dole strony.

B.P. — *Też niepięknie.*

J.E. — Odgórnie określono wielkość zdjęcia, jego centralne położenie, czarne obwódki. Największe zdjęcia pojawiły się w „Trybunie Ludu” i w „Żołnierzu Wolności”, co zresztą wcale nie dziwi. Ciekawe, że komentarze na ten temat nie były podpisane nazwiskami autorów. Podobnie precyzyjnie z góry określano charakter obchodów święta 1 Maja czy 22 Lipca. To nie było tak, że na ulicach czy w pochodach można było umieszczać dowolne hasła. Nie tylko ich treść była z góry określana, również dobór portretów działaczy ruchu robotniczego podlegał ścisłej kontroli. Nie można było na przykład wspominać w jakiegokolwiek formie tych, którzy reprezentowali nurt niepodległościowy PPS.

Takich manipulacji dokonywano bardzo często. Komuniści chętnie odwoływali się do ogólnonarodowych, polskich tradycji historycznych i kulturalnych. Bardzo lubili, uważali wręcz za prekomunistycznych twórców Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego. Ale pewnych tekstów tych autorów nie wydawano. Najbardziej klasycznym przykładem jest opowiadanie *Na probostwie w Wyszku* Stefana Żeromskiego, w latach siedemdziesiątych przypomniane przez Niezależną Oficynę Wydawniczą. To dotyczyło właściwie wszystkich wielkich twórców, bo każdy z nich zostawił w swej spuściźnie coś niewygodnego dla komunistów. Na przykład w latach 1950–1955 nie grano w żadnym polskim teatrze *Dziadów* Mickiewicza. Niemniej odwoływano się do twórczości klasyków, by ukazać, że już przed wiekami najwięksi polscy twórcy stawali w obronie chłopów pańszczyźnianego, a później dostrzegali wady ustroju I i II Rzeczypospolitej.

B.P. — *Zawłaszczanie na użytek komunistycznej propagandy twórczego dorobku pisarzy i malarzy było szczególnie dramatyczne w przypadkach, gdy dotyczyło ludzi żyjących.*

J.E. — Długo można wymieniać nazwiska przedstawicieli naszej kultury, których działacze komunistyczni hołubili, zapraszali do Belwederu. Nawet Władysław Gomułka chętnie się z nimi pokazywał. W 1964 r. był gościem na Zjeździe Związku Literatów Polskich w Lublinie i chociaż tam trochę grzmiał na pisarzy, to jednak lubił, jak ci wielcy ludzie pióra kręcili się wokół dworu. To samo (może nawet w większym stopniu) dotyczyło filmowców. Dam taki przykład: *Człowiek z marmuru* (trudno o film, który bardziej uderzał w system) był w latach siedemdziesiątych pokazywany jako symbol daleko idącej swobody. Zobaczcie — zdawali się mówić dysponenti władzy — film jest taki krytyczny, a my nie tylko pozwoliliśmy go zrealizować, ale wręcz popieramy powstawanie takich filmów. Warto podkreślić, że ulubionym tematem ko-

munistycznych mecenasów sztuki przez cały okres PRL były nasze wielkie historyczne zwycięstwa (pod jednym wszakże warunkiem, że nie odnosiliśmy ich nad Rosją) oraz udział Polski w zwycięstwie i „rozgromieniu hitleryzmu”.

B.P. — *Propaganda wykorzystywała dla swoich celów nie tylko dorobek twórców kultury.*

J.E. — Wykorzystywała również te wydarzenia, które ze swej natury były neutralne. Myślę tutaj o autentycznych sukcesach polskich sportowców. Ich osiągnięcia były wypadkową pracowitości, talentu, wysiłku samych zawodników i ich trenerów, a czasem także szczęścia. Trudno osiągnięcia te przypisywać patriotyzmowi i jakimś cechom narodowym, a przecież w PRL postępowało tak nagminnie. Sportowców przyjmowali przedstawiciele najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego. W latach siedemdziesiątych sukcesy polskich piłkarzy na mistrzostwach świata, olimpijski triumf siatkarzy w Montrealu, zwycięstwa Ryszarda Szurkowskiego czy Stanisława Szozdy były prezentowane jako osiągnięcia sportu w socjalistycznym państwie, a zarazem sukcesy narodowe. Uczynienie z dorobku sportowców sprawy narodowej przyczyniło się do tego, że w latach osiemdziesiątych sport stał się swoistym społecznym wentylem, a stadiony miejscem bezkarnych manifestacji. Zdarzały się mecze piłkarskie, na których kilkanaście tysięcy ludzi, zamiast zajmować się nieciekawą grą, skandowało: „Solidarność! Lech Wałęsa!”, co nie miało nic wspólnego z rozgrywanymi się na murawie wydarzeniami. Pamiętam także bezpośrednią transmisję z mistrzostw świata w Hiszpanii w 1982 r., gdzie w czasie meczu Polska-ZSRR kamerzyści hiszpańscy pokazywali polskich kibiców z wielkimi transparentami „Solidarność”.

B.P. — *Gdyby kamery były obsługiwane przez Polaków, to, jak widzieliśmy podczas transmisji papieskich pielgrzymek do Polski, można było tak manipulować kamerą, żeby ominąć transparenty, pomniejszać zgromadzone tłumy i przekazywać nijakie, statyczne sceny.*

J.E. — Oczywiście można się było ratować w takich sytuacjach planszą „przepraszamy za usterki”, ale nie dało się takiej zabawy ciągnąć w nieskończoność.

Warto też pamiętać, że w PZPR ścierały się interesy konkretnych ludzi. W nazwie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza najsłabszym członem był zawsze przymiotnik zjednoczona. Ta partia stale była targana wewnętrznymi podziałami: istniały grupy, frakcje, skrzydła, orientacje. To wszystko oczywiście pozostawało niejawne i praktycznie niedostrzegalne dla postronnych obserwatorów. A przecież elita partyjno-państwowa była skłócona, podzielona, skonfliktowana. Jedni ludzie pewne rzeczy gotowi byli przepuścić po to, żeby zaszkodzić innym.

I jeszcze jedna sprawa: do 1956 r. propaganda posługiwała się socrealistycznymi rzeźbami i malowidłami, mnóstwem czerwonych sztandarów, napuszonym językiem. Jej bohaterami byli potężni, umięśnieni, młodzi ludzie z płowymi włosami prowadzący traktory na obowiązkowo skolektywizowanych polach albo pracujący

na wielkich budowach socjalizmu, trzymający w dłoniach cegły lub narzędzia niezbędne przy wykonywaniu pracy fizycznej. Później jednak propaganda uległa zmianie i stała się subtelniejsza.

B.P. – *Ale to wcale nie znaczy, że mniej groźna.*

J.E. – To właśnie chcę powiedzieć, bo propaganda wulgarna, prymitywna rzadko odnosi sukcesy.

B.P. – *Chociaż też nie przesadzałabym w drugą stronę, to nie znaczy, że ona nie odnosiła sukcesów. Miała ciężar betonu i to przygniatało.*

J.E. – Zgadzam się. Natomiast ta finezyjna propaganda powodowała pewne dwójmyślenie, które jest opisane u Orwella. Podam przykład: w latach sześćdziesiątych największym sukcesem teatralnym w Polsce był spektakl *Dziś do ciebie przyjść nie mogę* wystawiany w stołecznym Teatrze Klasycznym w Pałacu Kultury i Nauki. Grano go, co dzisiaj wydaje się po prostu nieprawdopodobnie, grubo ponad tysiąc razy, pokazując go również za granicą, między innymi w środowiskach polonijnych w Stanach Zjednoczonych. Przyjeżdżali do Polski z Zachodu (czasem też i ze Wschodu) wojenni czy powojenni emigranci i „zabijali się”, żeby przez znajomych zdobyć bilety na spektakl. Szli do teatru i płakali ze wzruszenia. Był to sprawnie zrealizowany montaż pieśni żołnierskich, wojennych, okupacyjnych. Obok *Oki, Marszu Gwardii Ludowej* czy *Marszu I Korpusu* był śpiewany *Marsz Mokołowa*, *Czerwone maki na Monte Cassino*, *Deszcz*, *jesienny deszcz* czy piosenka tytułowa. Niezależnie od tego, że było to udane przedsięwzięcie teatralne, stanowiło też narzędzie propagandy tak zwanej grupy partyzanckiej Mieczysława Moczonego. Sam generał był spektaklem wzruszony i stawiał go wielokrotnie na różnych naradach za przykład – tak powinniśmy, towarzysze, te sprawy pokazywać. Przedstawieniu patronowało hasło: polska krew przełana na wszystkich frontach ma taką samą wartość.

B.P. – *Trudno się z tym nie zgodzić.*

J.E. – Tak, ale wtedy chodziło o coś całkiem innego. Kiedy mówiono o rehabilitacji Armii Krajowej, nikt nie zająknął się nawet nad losem jej dowódców. Nie było w szkolnych podręcznikach generała Stefana Roweckiego „Grota” ani generała Tadeusza Komorowskiego „Bora”, nie mówiąc już o generale Leopoldzie Okulickim. To, że częściowo rehabilitowano tylko akowskie podziemie, że ciepło mówiono o pewnych dowódcach czy żołnierzach Września 1939 r., nie przeszkadzało faktowi, że nadal obywatelstwa polskiego pozbawieni byli dowódcy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – generałowie Władysław Anders, Stanisław Kopański czy Stanisław Maczek. Te postaci dalej nie pojawiały się w krajowych mediach i podręcznikach szkolnych, chyba że w negatywnym kontekście.

O jeszcze jednej rzeczy trzeba w tym miejscu przypomnieć. Wstyd powiedzieć, ale często w tych propagandowych przedsięwzięciach i manipulacjach brali udział zawodowi historycy, i to niejednokrotnie z poważnym dorobkiem naukowym. W latach 1978–1979 w telewizji w porze największej oglądalności nadawano pro-

gram, którego gospodarzem był nieżyjący już prof. Włodzimierz T. Kowalski. Gościł on czołówkę polskich historyków, specjalistów historii XX wieku. Niezależnie od tego, gdzie ludzie ci dzisiaj pracują, z jakimi ugrupowaniami politycznymi są związani, byli to najwybitniejsi specjaliści historii najnowszej Polski. A niejednokrotnie mówili rzeczy, które – użyję najdelikatniejszego określenia – już wtedy były za-wstydzające.

B.P. – *Może nazwijmy to najkrócej kłamstwami historycznymi.*

J.E. – Na przykład mówiono (naprawdę nie pamiętam, kto) w tym programie, że wkroczenie wojsk radzieckich do „Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy” dało Związkowi Radzieckiemu czas niezbędny do przygotowania się na odparcie niemieckiego ataku w czerwcu 1941 r. Oczywiście jest to święta prawda z moskiewskiej perspektywy, ale z optyki Warszawy nie można czegoś takiego przyjąć.

B.P. – *W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy dostęp do rzetelnej informacji stał się łatwiejszy niż w latach poprzednich, kłamstwa władzy można było weryfikować w sferze faktów. W dalszym ciągu jednak zadaniem propagandy było tworzenie określonej atmosfery społecznej, przy czym wykorzystywała ona znajomość psychologii i socjologii.*

J.E. – Tak. Odwołam się do własnej pamięci. W połowie grudnia 1981 r. oglądając telewizję, miałem poczucie, że praktycznie całe społeczeństwo z radością przywitało wprowadzenie stanu wojennego, że moi najbliżsi i ja mamy uczucia zupełnie nieadekwatne do tego, co czuje reszta społeczeństwa. Wszak – jak przekonywano w telewizji – różne grupy społeczne, kobiety, mężczyźni, młodzież, mieszkańcy miast i wsi, praktycznie wszyscy popierali ekipę generała Wojciecha Jaruzelskiego. Sądzę, że nie byłem jedynym człowiekiem, który doświadczył czegoś takiego. Naturalnie, po kilku, może kilkunastu dniach, gdy odnowione zostały międzyludzkie kontakty, uczucie osamotnienia i pustki minęło.

W okresie stalinowskim – kiedy kraj był zamknięty i naprawdę izolowany od świata zewnętrznego, a społeczeństwo zatimizowane – jeszcze trudniej było przełamywać izolację społeczną tego typu. Trzeba pamiętać, że wtedy wszyscy ci, którzy myśleli i starali się postępować inaczej niż przytłaczająca większość społeczeństwa, czy może raczej inaczej, niż życzyli sobie tego rządzący, mieli zapewnione miejsce na cmentarzu albo w najlepszym razie w więzieniu. Po 1948 r. emigracja okazała się już niemożliwa, a tak zwana emigracja wewnętrzna też była sprawą trudną, gdyż w systemie totalitarnym trzeba być aktywnym i afirmującym. Do połowy lat pięćdziesiątych nie wystarczyło pozostawać biernym i nie sprzeciwiać się. Żeby mieć święty spokój, należało iść na pochód 1 Maja, podpisać apel sztokholmski, choćby pozornie angażować się społecznie. Tych, którzy temu skutecznie i trwale się opierali, było wówczas naprawdę niewiele.

B.P. – *Powróćmy do odporności na propagandę i roli, jaką odgrywały na przykład niezależne radiowe rozgłośnie radiowe.*

J.E. — Dzisiaj wszyscy mówią, że wychowali się na Radiu Wolna Europa i „Kulturze”, z czołówką Sojuszu Lewicy Demokratycznej włącznie. W PRL, szczególnie w pierwszych dwóch jej dekadach, jednak nikt publicznie nie przyznawał się do słuchania Radia Wolna Europa czy BBC. Przynajmniej do 1956 r. trzeba było być bardzo ostrożnym, gdyż słuchanie polskojęzycznych — jak je nazywano — rozgłośni było zabronione. Istniały też zresztą ograniczenia czysto technicznej natury. Przez długi czas tylko w niektórych odbiornikach można było „złapać” te stacje. Pomijam już trzaski i zagłuszanie. Naprawdę więc było wtedy niewielu ludzi, którzy niezależnie od wszystkiego, codziennie wieczorem włączali radio i z najwyższym trudem słuchali wiadomości płynących z Zachodu. Najczęściej poszukiwano niezależnych informacji wtedy, gdy w Polsce coś się działo.

B.P. — *Czy do odrzucenia brutalnej, agresywnej propagandy lepiej są przygotowani ludzie wykształceni, czy też ludzie prości?*

J.E. — Wcale nie jestem przekonany, że im społeczeństwo jest bardziej wykształcone, tym bardziej jest odporne na działania propagandowe. To jest taka dość wygodna socjologiczna teza. Tymczasem wcale nie jest wykluczone, że większą odporność na propagandę mają ludzie o silnym poczuciu tożsamości religijnej, narodowej, ludzie ze wsi, małych miasteczek, nie uwikłani w robienie kariery zawodowej. Można zadać i takie pytanie: czy propagandzie łatwiej ulegają ludzie związani z reżimem, z ideologią, partią, władzą, czy ludzie z aparatem władzy nie związani. I tutaj znowu nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Nie ulega wątpliwości jedno, że prymitywna propaganda była charakterystyczna dla pierwszego okresu, do połowy lat pięćdziesiątych, chociaż jej niektóre chwytły i metody powróciły w okresie stanu wojennego.

B.P. — *Mam wrażenie, że propaganda posługiwała się subtelniejszymi metodami, gdy adresowano ją do konkretnych grup społecznych.*

J.E. — Z całą pewnością. W PRL propagandowemu oddziaływaniu poddawano zarówno różne środowiska katolickie, jak i Kościół jako instytucję, przy czym w obu przypadkach nie przebiegano w środkach. Zabiegów tego typu było wiele. W latach sześćdziesiątych starano się przeciwstawiać dobrych, postępowych papieży: Jana XXIII i Pawła VI konserwatywnemu episkopatowi, w którym najbardziej „reakcyjną” postacią — w ocenie komunistów — był prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński. W latach siedemdziesiątych zaczęło się to zmieniać. Okazało się nagle, że kardynał Wyszyński i jego ludowy, tradycyjny, maryjny katolicyzm — jest dobry, a zły i „reakcyjny” krakowski arcybiskup Karol Wojtyła, który spotyka się ze studentami, intelektualistami i przenosi posoborowe „nowinki” na grunt polski.

Jeszcze jedna uwaga: słowo „kler” miało pierwotnie wydźwięk zupełnie neutralny. W materiałach partyjnych jednak wyłącznie w ten sposób określano „ludzi Kościoła”, z rzadka używając innych wyrażań, na przykład „księży i zakonnic”, niemal nigdy zaś „duchowieństwo”. W efekcie komunistycznym propagandystom udało się wokół określenia „kler” wytworzyć taki klimat, że ludzie związani z Kościołem w praktyce przestali posługiwać się tym słowem.

B.P. — *Podobnie jak ośmieszone zostało słowo «kruchta».*

J.E. — To kolejna specyficzna cecha propagandy: nadawanie słowom zupełnie nowego znaczenia. To samo można odnieść do pojęcia „patriotyzm”, które zostało przez propagandę zawłaszczone, a następnie skutecznie ośmieszone, przede wszystkim przez jego nadużywanie — Związek Patriotów Polskich, Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego itd. Nazywając w PRL kogoś patriotą, można mu było wyświadczyć niedźwiedzią przysługę.

B.P. — *W ZSRR dezinformacja miała dwa kierunki: w dół do społeczeństwa i w górę, do władzy. W tym twardym okresie komunizmu pierwsi sekretarze partii byli — według marksistowskich pojęć — dosłownie oderwani od mas, brakowało im wiedzy o własnym społeczeństwie. Jak było w Polsce?*

J.E. — Bardzo podobnie. Myślę, że moglibyśmy to próbować nazwać „propagandą dla rządzących” albo — w jakimś przynajmniej stopniu — „propagandą dla siebie samych”. Do tej pory rozmawialiśmy o propagandzie nakierowanej na społeczeństwo. Miała ona za zadanie zachęcać, straszyć, mobilizować, przekonywać, a także w końcu w jakimś zakresie informować lub dezinformować. Adresowana była jak gdyby do ludzi z zewnątrz — niby swoich, ale jednak opornych, nieufnych, niepokornych, krytycznych itp. Tymczasem ta druga, o której chciałbym teraz powiedzieć kilka słów, była przeznaczona dla kierownictwa i „Wodza”. Celem tych zabiegów było przede wszystkim przekonywanie aktualnego „Pierwszego” o tym, że jest wielki, genialny, wspaniały, ale że jest także kochany, podziwiany, wielbiony przez naród. Historycy znają dość liczne przypadki tego typu kampanii propagandowych i sporo wypowiedzi działaczy partyjnych w rodzaju: „Towarzysze, otrzymaliśmy setki tysięcy (miliony?) listów z poparciem dla polityki kierownictwa skupionego wokół Towarzysza...” Działacze ci nie dodawali już jednak, że wcześniej w komitetach wojewódzkich przeprowadzano szczegółowo przygotowaną akcję propagandową polegającą na wysyłaniu listów z poparciem do KC. Aktywny partyjny został do tego zobligowany i trudno się dziwić, że później włókniki, nauczyciele, żołnierze, górnicy, studenci, rolnicy, metalowcy itd. musieli w tym uczestniczyć. I rzeczywiście napływały listy udzielających poparcia. I chociaż wszyscy zainteresowani wiedzieli przecież, jak organizowano takie „spontaniczne poparcie społeczne”, nie przeszkadzało im to przekonywać „Wodza” (a może i samych siebie?), że „linia polityczna partii” cieszy się „wielkim społecznym poparciem”. Jako dowód tego poparcia przywoływali napływające do KC listy, których wysyłanie sami aranżowali. To jest absurd! Czy ci ludzie rzeczywiście wierzyli, że cieszą się ogromnym poparciem, czy też byli tak głęboko zakłamani wobec samych siebie? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie!

B.P. — *Przekonanie władzy, że społeczeństwo ją popiera, i jednocześnie przekonanie ludzi, że władza kłamie i oszukuje, było jedną z przyczyn konfliktów wewnętrznych.*

J.E. — Być może tkwił w tym zresztą jeszcze jeden element: rodzaj takiej nagiej, chamskiej, brutalnej siły i bezczelności. Niejeden partyjny dygnitarz mógł wszak my-

śleć: „Oczywiście, że kłamię, że sam organizowałem poparcie społeczne, że nadsyłane listy tak naprawdę o niczym nie świadczą, że nie ma żadnego ogromnego poparcia, ale to ja mam władzę i mogę robić wszystko, co mi się spodoba, nawet kazać wam pisać te hołdownicze adresy. Mogę w ściśle kontrolowanych środkach masowego przekazu mówić to wszystko, co uznaję za słuszne i prawdziwe, a wy macie mnie słuchać i wierzyć w to wszystko, a przynajmniej udawać, iż wierzycie”.

Z punktu widzenia rządzących wykluczony był przecież jakikolwiek jawny sprzeciw wobec władzy. Dla otwartych buntowników i przeciwników nie było ani litości, ani nawet odrobiny zrozumienia i szacunku. Nigdy nie nazywano ich neutralnie manifestantami czy demonstrantami, to byli zawsze – w propagandowym ujęciu – bandyci, chuligani, elementy antysocjalistyczne, męty, szumowiny. W przypadku społecznych buntów w 1956, 1968, 1970 czy 1976 r. sięgano po bardziej wyrafinowane słownictwo. W takich przypadkach mowa była o „wichrzycielach”, „bankrutach politycznych” czy „warchołach” (nie tylko w 1976 r., ale także dwadzieścia lat wcześniej). Władza z natury rzeczy miała być dobra i powszechnie popierana. Jej przeciwnicy wobec tego musieli być mało liczni, słabi i „otumanieni” przez wrogów. W celu pomniejszenia skali społecznych protestów, a nie z troski o precyzję języka, stale też posługiwano się określeniami minimalizującymi w rodzaju: „część zakładów pracy”, „niektórzy robotnicy”, „odłam społeczeństwa”, „grupy młodzieży akademickiej” itd. Chodziło o to, żeby wykazać, iż wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby protestujący nie dali się oszukać, omamić, otumanić „wrogom Polski Ludowej” i jakimś tajemniczym „dywersyjnym i kontrrewolucyjnym ośrodkiem” czy choćby tylko „siłom reakcyjnym”. Dziś wręcz trudno w to uwierzyć, ale taki język propagandowego dyskursu obowiązywał w Polsce od 1944 do 1988 r.

B.P. – *Tak naprawdę słownictwo propagandy nie było wcale bogate.*

J.E. – Ale jednak powstał specyficzny język propagandy, który – czy nam się to podoba, czy nie – przynajmniej do pewnego stopnia był przyjmowany przez społeczeństwo. Czym bowiem wytłumaczyć fakt, że na przykład wszyscy bez wyjątku kupowaliśmy coś, co w praktyce nie istnieje: masło roślinne. Wiadomo przecież, że masło jest zawsze produktem pochodzenia zwierzęcego, natomiast tłuszcz pochodzenia roślinnego to po prostu margaryna. Wypada zatem zapytać, czy powstało i wyodrębniło się coś takiego jak język PRL-owski. Myślę, że można się tutaj posłużyć analogią do języka radzieckiego (tak, tak, radzieckiego, a nie rosyjskiego) czy języka ernerdowskiego, nawet na poziomie podręczników i skryptów zaznaczającego swoją odmienność od języka niemieckiego. Ten język PRL-owski pełen był rusycyzmów i wyrażeń po prostu nie istniejących w języku polskim (na przykład „stawiać na Biurze”, co miało oznaczać poruszenie jakiejś kwestii na posiedzeniu Biura Politycznego). Oczywiście społeczeństwo w swej masie nie przyjmowało tej swoistej nowomowy, ale jednak w wielu przypadkach weszła ona do codziennego użytku. W języku tym mieściły się bowiem również takie potoczne wyrażenia jak „zdobyć mięso”, „skombinować coś” czy „wy-

stać w sklepie”. Ponieważ język jest zawsze jednym z głównych czynników narodotwórczych, nieodparcie nasuwa się pytanie, czy zatem powstał też naród PRL-owski. Czy przypadkiem nie przestawialiśmy z wolna być rodakami Jana Kochanowskiego, Marii Skłodowskiej-Curie czy Jana Matejki, skoro oni najpewniej nie wiedzieliby, o co chodzi, czytając o „froncie robót” czy „kampanii buraczanej”? Czy należy więc rozumieć, iż język polski uosabiali na przykład Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz czy Stefan Żeromski, język PRL-owski zaś, dajmy na to, Władysław Machejek, Stanisław Ryszard Dobrowolski czy Józef Ozga-Michalski? Pokusa odpowiedzi twierdzącej jest niemała, ale nie jestem pewien, czy byłaby to odpowiedź prawdziwa. Na pewno w powojennej Polsce zaszła dość daleko (choć jednak nie tak daleko jak w ZSRR czy w NRD) posunięta transformacja społeczeństwa, na co wpływ wywarły i migracje ludności, i awans cywilizacyjny milionów głównie młodych ludzi, i umasowienie kultury, w tym szerszy dostęp do słowa drukowanego, efekt likwidacji analfabetyzmu i wiele innych czynników, lecz — mimo wszystko — nie sądzę, by można było z całą odpowiedzialnością za słowo drukowane mówić o narodzie PRL-owskim.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 11, grudzień 2001

CENA WYGRANEJ

O problemach wsi w PRL

z Tomaszem Berezą, Leszkiem Próchniakiem
i Ryszardem Śmietanką-Kruszelnickim

B.P. — *Z jakimi tradycjami społeczno-politycznymi polska wieś wkroczyła w powojenną, peerelowską rzeczywistość państwową?*

T.B. — Stronnictwo Ludowe w 1938 r. liczyło 150 tys. członków statutowych i było jedną z największych sił politycznych w Polsce; jego program opierał się na idei agraryzmu. W 1938 r. mieszkańcy wsi stanowili około 70 proc. społeczeństwa. Potem zmieniły się proporcje ludności miasta i wsi, ponieważ podczas wojny społeczność miejska poniosła większe straty.

Od wybuchu wojny prowadzono działalność w podziemiu. Na początku 1940 r. powstało Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego, które koordynowało działalność ludowców w skali kraju. SL „Roch” utworzyło własne oddziały zbrojne, najpierw była to Chłopska Straż. W latach 1942–1943 wydźrębniono z nich Bataliony Chłopskie, które zostały włączone do AK, w rękach SL pozostała natomiast Ludowa Straż Bezpieczeństwa (LSB).

B.P. — *Czy w ruchu ludowym przed wojną były jakieś ugrupowania lewicujące?*

T.B. — Tak, Niezależna Partia Chłopska i Zjednoczenie Lewicy Polskiej Samopomoc, które były przybudówkami Komunistycznej Partii Polski i związały się później z tak zwanym rządem lubelskim. Pod koniec 1943 r. niektórzy działacze SL, związani z komunistami przed wojną, między innymi Antoni Korzycki, Władysław Kowalski, zaangażowali się w tworzenie Krajowej Rady Narodowej, uczestniczyli nawet w zebraniu założycielskim KRN w noc sylwestrową 1943 r. Niemniej do 1944 r. wydawało się, że ruch ludowy jest jednolity. W lutym 1944 r. powstało Stronnictwo Ludowe Wola Ludu, współpracujące z PPR. Jego organ prasowy „Wola Ludu” drukowano w drukarni PPR. Zjazd założycielski odbył się w mieszkaniu Kazimierza Mijała, działacza KPP, co podkreśla pełną zależność organizacyjną i techniczną od komunistów. Korzycki i Kowalski nie byli autorytetami w ruchu ludowym, ale ich akces do KRN mógł pomóc w przyciągnięciu części zdezorientowanych członków SL do grupy popierającej komunistów.

R.Ś.-K. — Był to prawdopodobnie początek stosowanej przez komunistów tak zwanej taktyki salami, czyli stopniowego rozbijania poszczególnych członów Polskiego Państwa Podziemnego i struktur społecznych.

B.P. — *Próby zjednania wsi komuniści rozpoczęli od wprowadzenia reformy rolnej.*

R.Ś.-K. — Dekret o reformie rolnej PKWN z września 1944 r., na którego podstawie parcelowano majątki ziemskie oraz nacjonalizowano majątki poniemieckie, teoretycznie miał na celu wzmocnienie warstwy chłopskiej. Tak naprawdę jednak chodziło o spacyfikowanie polskiej wsi. Założono, że małorolni chłopci, którzy dostaną kilkuhektarowe gospodarstwa, łatwiej wyrażą później zgodę na łączenie gospodarstw i tworzenie spółdzielni.

T.B. — Był też cel doraźny — zwiększenie poparcia społecznego dla nowej władzy. PKWN dysponował strukturami — urzędami i ludźmi, ale nie miał żadnego zaplecza społecznego. A przecież Polska Lubelska to były tereny wiejskie, należało jakoś tych chłopów do nowej władzy przekonać. Dlatego też przypomniano założenia reformy rolnej, które zawierały hasła głoszone przez ludowców i socjalistów w okresie drugiej wojny światowej, czyli parcelację majątków ziemskich o powierzchni powyżej 50 hektarów.

B.P. — *Reforma nie zjednała władzy chłopów. Dowodzi tego kontynuacja walki zbrojnego podziemia, tym razem skierowanego przeciw komunistom. Czy decyzja dowództwa AK, dotycząca ujawniania się, obowiązywała również żołnierzy Batalionów Chłopskich?*

T.B. — Oddziały taktyczne BCH organizacyjnie były podporządkowane dowództwu AK. Nadzór nad szkoleniem, działalnością polityczną, wychowawczą sprawowało natomiast SL „Roch”. Najlepiej przeszkolone i wyposażone oddziały, czyli Ludowa Straż Bezpieczeństwa, nadal podlegały SL „Roch”, przy czym część członków LSB weszła do struktur organów bezpieczeństwa Polskiego Państwa Podziemnego. W styczniu 1945 r. rozwiązano Armię Krajową, ale oddziały BCH i LSB ujawniły się dopiero po amnestii sierpniowej 1945 r.

Po opanowaniu przez Armię Czerwoną Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny latem 1944 r. rozpoczęły się masowe aresztowania działaczy ludowych. Oczywiście, wieść o tym rozniosła się w całym kraju. Na Rzeszowszczyźnie podjęto decyzję o nieujawnianiu struktur politycznych i oddziałów zbrojnych.

R.Ś.-K. — Po drugiej stronie Wisły utworzono przyczółki: sandomierski i magnuszewski. Na przyczółku sandomierskim aresztowano również działaczy ludowych i żołnierzy Batalionów Chłopskich i ta informacja docierała dalej. W tym okresie w formacjach Polskiego Państwa Podziemnego zapanował chaos. Lokalni komendanci zwracali się do Londynu z prośbami o instrukcje — jak się zachować w związku z wejściem Armii Czerwonej: czy rozmawiać, czy się bronić, czy też się ujawniać. Do grudnia 1944 r. nie było jasnej koncepcji w tej sprawie. Lokalni dowódcy i działacze

często musieli podejmować decyzje na gorąco, w momencie zetknięcia się z Armią Czerwoną czy przedstawicielami administracji organizowanej przez komunistów.

T.B. – Świadectwem tego stanu może być zjazd Stronnictwa Ludowego we wrześniu 1944 r. w Lublinie. Uczestniczyli w nim nie tylko krypto komuniści, działacze związani z SL Wola Ludu, ale również część działaczy lokalnych – autentycznych ludowców.

B.P. – *Jaką taktykę wobec społeczności chłopskiej przyjęła nowa władza?*

R.Ś.–K. – Na początku 1945 r. przyspieszeniu uległ proces rozpracowywania struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Zakładano kotły, analizowano wcześniejsze meldunki wywiadowcze Armii Ludowej i wywiadu sowieckiego. Uderzenie w Polskie Państwo Podziemne, w tym w ruch ludowy i Bataliony Chłopskie, nastąpiło na przełomie marca i kwietnia 1945 r. Taki stan rzeczy zmusił młodych ludzi do ucieczki do lasu. To nie był przypadek, to była metoda. Sowieci prawdopodobnie uznali, że lepiej jest zwalczać osoby i grupy, które działają w lasach i nie są powiązane organizacyjnie. To było łatwiejsze niż rozpracowywanie i rozbijanie elitarnej poakowskiej organizacji Nie (Niepodległość), tym bardziej że nie zakładała ona przecież masowego wystąpienia zbrojnego. System totalitarny w wydaniu komunistycznym tworzył się w ciągłej walce ze społeczeństwem. I teraz komuniści ogłosili, że jest to początek walki państwa z bandytyzmem, z reakcją. Wiosną 1945 r. nastąpiło mocne uderzenie sił NKWD wspomagane przez słabe jeszcze siły UBP i Milicji Obywatelskiej. Bez pomocy NKWD władze komunistyczne miałyby poważne problemy. W tym czasie bowiem w wielu miejscach w Polsce tak zwany teren, kompleksy leśne, wsie czy nawet małe miasteczka, był kontrolowany przez podziemie. Lokalni dowódcy z BCh, często nie czekając na polecenia, w odpowiedzi na represje wobec swoich żołnierzy z okresu okupacji niemieckiej, przeprowadzali większe akcje, zajmowali wsie, miasteczka, uczestniczyli w rozbijaniu więzień, uwalniali z aresztów swoich żołnierzy.

B.P. – *Tworzą się rodzime struktury bezpieczeństwa. Kto się w nich znalazł?*

R.Ś.–K. – W latach 1944–1945 w lokalnych strukturach MO znaczną grupę wśród funkcjonariuszy stanowili ludzie z niekomunistycznego podziemia z okresu okupacji niemieckiej. W latach 1945–1947 przeprowadzono czystki, których celem było pozbycie się byłych AK-owców i BCh-owców, niewygodnych dla władzy, opierających się ideologicznej indoktrynacji.

Trzeba pamiętać, że idea Polski ludowej była zakorzeniona w środowiskach wiejskich i część działaczy czy młodzieży chłopskiej uwierzyła, że nadszedł czas, kiedy można się zaangażować w działanie na rzecz autentycznej Polski ludowej. Tam, gdzie lokalne posterunki MO nie miały „pewnych układów” z podziemiem, czyli swoisteo paktu o nieagresji, nie było mowy o ich normalnym funkcjonowaniu. Na przełomie lat 1944–1945 można mówić wręcz o nieformalnej współpracy, szczególnie na Białostocczyźnie, Rzeszowszczyźnie i w Lubelskiem. Niemniej, kiedy się okazało, że działalność funkcjonariuszy MO ma polegać na aresztowaniu kolegów, wielu z nich

zdezercerowało. To nie wszystko – zachowanie się żołnierzy sowieckich oraz terror sił represji spowodowały, że spontanicznie zaczęły powstawać oddziały samoobrony złożone również z byłych milicjantów.

T.B. – W UB natomiast ludzi wywodzących się ze zbrojnego podziemia niepodległościowego było niewielu. Tam musieli być ludzie pewni, komuniści, kontrolowani cały czas przez NKWD. Spotkałem się z kilkoma przypadkami, że żołnierze BCh byli pracownikami UB, wprawdzie krótko, szybko bowiem zostali zlikwidowani przez oddziały zbrojnego podziemia. Byli to młodzi, osiemnasto- i dwudziestoletni zdeorientowani, niedoświadczeni ludzie. Ich przydatność dla władzy nie była duża.

R.Ś.-K. – Na Kielecczyźnie rozpoznanie struktur Polskiego Państwa Podziemnego, szczególnie oddziałów konspiracji zbrojnej AK, nastąpiło w 1944 r. w momencie realizacji akcji Burza. Wtedy w walce z Niemcami współdziałały oddziały sowieckie, AK i AL. Jednocześnie za linię Wisły szły raporty o rozpracowywanych oddziałach. Jest jeszcze jedna sprawa, o której warto pamiętać. W oddziałach AK, szczególnie w BCh, znalazło się wielu byłych jeńców sowieckich. Na Kielecczyźnie było ich przynajmniej kilkuset. Wielu z nich wychwycono potem NKWD. Wożono ich samochodami po terenie, gdzie mieli rozpoznawać swoich byłych towarzyszy z oddziałów leśnych. Nie wiemy, ilu ich było i czy współpracowali z NKWD dobrowolnie, ale przyczynili się oni do rozpoznania polskiego podziemia antykomunistycznego.

B.P. – *Jakie było społeczne zaplecze antykomunistycznej partyzantki?*

R.Ś.-K. – Przede wszystkim była to polska wieś, która zaopatrywała w żywność, leki i odzież. Zabudowania wiejskie służyły za partyzanckie kwatery, tutaj umieszczano rannych i chorych. Przetrwanie zimy bez pomocy mieszkańców wsi byłoby niemożliwe. W pierwszym okresie ważną rolę odgrywały też polskie dwory. Znaczna część żołnierzy będących członkami leśnych grup i oddziałów wywodziła się ze środowisk wiejskich i małomiasteczkowych. Ich działalność miała przede wszystkim charakter samoobrony przed komunistyczną samowolą. Dramatycznym doświadczeniem wsi polskiej były liczne gwałty na kobietach, których dopuszczali się sowieccy żołnierze. Nie tylko więc ucieczka przed represjami, ale właśnie odwet za te czyny był jednym z istotnych motywów powstawania niektórych zbrojnych grup. Poza tym wiejska młodzież często organizowała się, żeby odbierać bydło pędzone na wschód przez sowieckich żołnierzy.

B.P. – *W takiej atmosferze, w sierpniu 1945 r., odradza się legalny przebieg ruch ludowy.*

T.B. – Władze nie ufały nawet koncesjonowanemu Stronnictwu Ludowemu. Owszem, działacze centralni byli gotowi do współpracy, dyspozycyjni, wypełniali wszelkie polecenia, ale działacze terenowi nie chcieli się podporządkować. Na przykład na terenie województwa rzeszowskiego zimą 1944/1945 odtworzono struktury Stronnictwa Ludowego, tworzyli je autentyczni przedwojenni ludowcy, a nie działacze związani przed wojną z ruchem komunistycznym. W ówczesnych protokołach, na

przykład z sesji rad narodowych, znajdujemy informacje, że ci działacze, wprawiając w konsternację działaczy PPR, pytali: co się stało z ich aresztowanymi kolegami, którzy zostali wywiezieni! Przedstawiano rezolucje domagające się umożliwienia Stanisławowi Mikołajczykowi powrotu do kraju, uwolnienia uwięzionych działaczy ludowych. Była to machina, która wymykała się władzom spod kontroli. Powstał swoisty klinch. Oficjalnie dążono do normalizacji życia, angażowania społeczeństwa w budowę nowego państwa, nie można więc było zbyt wielu działaczy aresztować. Zdawano sobie jednak sprawę z tego, że należałoby ich wyeliminować, bo ich aktywność wpływała na spadek popularności komunistów w społeczeństwie.

B.P. — *Raczej osłabiali siłę i skuteczność ich propagandy.*

T.B. — Przełomem była umowa moskiewska i powrót Mikołajczyka 27 czerwca 1945 r. Na ulicach miast, w których pojawiał się Mikołajczyk, gromadziły się tłumy. To była radość spontaniczna, nie przymusowe spędzanie ludzi na jakąś uroczystość. Z powrotem Mikołajczyka wiązano nadzieje, że jako przedstawiciel Państwa Polskiego na obczyźnie będzie jego kontynuatorem i powstrzyma proces komunizowania społeczeństwa.

L.P. — Dla porządku trzeba powiedzieć, że wyjazd Mikołajczyka do Moskwy i utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej były efektem postanowień konferencji szefów mocarstw w Jaltie w lutym 1945 r. Mikołajczyk zaakceptował je i jako „element demokratyczny” mógł wziąć udział w rozmowach.

B.P. — *A co myślał Mikołajczyk?*

T.B. — No właśnie. Jedni uważali go za kolaboranta, inni za pragmatyka, realiste. Mikołajczyk był w trudnej sytuacji, ponieważ przyszło mu firmować poczynania rządu, który tak naprawdę był rządem powstałym na podstawie umowy moskiewskiej, spychającym ludowców na drugi plan. W Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej było kilku ministrów o ludowym rodowodzie, ale w podrzędnych ministerstwach. Ważne stanowiska objęli jedynie Władysław Kiernik, który został ministrem administracji publicznej (Mikołajczyk chyba miał nadzieję, że będzie on mógł powstrzymać działania PPR, między innymi wpływając na obsadę stanowisk administracyjnych), Mikołajczyk jako wicepremier i minister rolnictwa oraz Czesław Wycech jako minister oświaty.

L.P. — Pozycja Mikołajczyka jako wicepremiera i ministra rolnictwa i reform rolnych oraz pozostałych ministrów – ludowców od początku była ograniczana przez PPR. Sekretarz generalny PPR Władysław Gomułka został drugim wicepremierem i ministrem Ziem Odzyskanych. Wyraźnie więc przeciwstawiano Mikołajczykowi Gomułkę. Ministrowi Kiernikowi nie podporządkowano urzędu cenzury, stopniowo ograniczając jego pozostałe kompetencje. W ministerstwie oświaty dużą rolę odgrywał wiceminister Władysław Bieńkowski z PPR. Pretekstem do ograniczenia kompetencji Czesława Wycecha stały się między innymi wystąpienia studentów w maju 1946 r. Rada Ministrów uchwaliła wówczas dekret o powołaniu Rady Szkół Wyższych, ograniczający nie tylko autonomię wyższych uczelni, ale również rolę ministra oświaty.

R.Ś.-K. — Mikołajczyk już w 1944 r. miał świadomość, że sytuacja Polski zależy od gry sił w Europie, że stajemy się nie podmiotem, lecz przedmiotem gry politycznej. Uważał, że należy wykorzystać wszelkie okoliczności i szanse, choćby te, które wynikały z układów jałtańskich. Postanowił wykorzystać gwarancje przeprowadzenia wolnych wyborów i odsunąć komunistów od władzy za pomocą kartki wyborczej. Dalsze wydarzenia rozwiąły te iluzje.

T.B. — Mikołajczyk godził się na pewien zakres podporządkowania Związkowi Radzieckiemu, na przykład w polityce zagranicznej. Wychodził jednak z założenia, że Stalin będzie się liczył z tym, iż komuniści nie mają poparcia w społeczeństwie i że jego stronnictwo, jego osoba mogą być ważnym partnerem w dyskusjach między Polską a ZSRR. I że to on zagwarantuje przyjazne stosunki z ZSRR. Można powiedzieć, używając pewnego anachronizmu, że godził się na „finlandyzację” Polski.

R.Ś.-K. — Powołanie Polskiego Stronnictwa Ludowego wynikało z tego, że władze komunistyczne w Polsce i ZSRR miały świadomość, że nie da się tak od razu opanować społeczeństwa polskiego, że musi to następować pewnymi etapami. To był, jak mi się wydaje, kolejny przykład taktyki salami: owszem, pozwala się na autentyczny ruch ludowy, który będzie reprezentacją społeczeństwa polskiego, ale jednocześnie nie daje się możliwości działania ugrupowaniom narodowym. Taka gra ułatwiała również rozbijanie emigracyjnych środowisk w Londynie.

L.P. — Jeżeli chodzi o rozbijanie, sianie niepokojów i fermentu w polskich środowiskach emigracyjnych, to niewątpliwie cel ten komuniści i Stalin osiągnęli. Ci, którzy uznali postanowienia jałtańskie, wracali do Polski i podejmowali współpracę z komunistami, byli traktowani jako kolaboranci. Gdy Mikołajczyk wybierał się do Polski, w gazecie II Korpusu pisano, że udział w tworzeniu „prowizorycznego rządu polskiego” oznacza przeciwstawianie się własnemu rządowi w czasie wojny i to w chwili, gdy położenie kraju jest bardzo trudne. Nie wahano się nazwać takiego działania zdradą, zarówno pod względem prawnym, jak i moralnym.

B.P. — *Jak komuniści przygotowywali się do wyborów 1947 r.?*

R.Ś.-K. — Przedwyborcza mobilizacja PSL zmusiła władze do zdecydowanych działań. Władze komunistyczne uznały, że należy zniszczyć strukturę organizacyjną PSL, podważyć jego wiarygodność i uderzyć w tych działaczy szczebla lokalnego, którzy tworzyli podstawową siłę PSL. Jesienią 1946 r. nasilił się terror wobec członków PSL. Około 80 tys. PSL-owców poddano represjom. Aresztowano ich pod różnymi zarzutami, podrzucano im broń, ulotki. Wśród aresztowanych byli kandydaci do parlamentu, działacze szczebla wojewódzkiego, powiatowego i gminnego. Zawieszano też poszczególne zarządy PSL w powiatach. Działaczy ludowych nie dopuszczano do komisji obwodowych. Bojówki związane z UB mają na sumieniu ponad 100 zamordowanych PSL-owców. Myślę, że Mikołajczyk tego się nie spodziewał. Atak był wielokierunkowy, totalny i, trzeba to powiedzieć, skuteczny. Jesienią 1946 r. przeprowadzono czystkę również w administracji państwowej i samorządowej na szczeblu powiatowym i wojewódzkim.

L.P. – Metody sowieckie w walce z PSL i polską wsią to oczywiście krwawy terror, prowokacje, brutalna propaganda w stylu: „Precz z mordercami spod znaku Narodowych Sił Zbrojnych i ich peeselowskimi poplecznikami”. Obok kija stosowano też i marchewkę. Przed referendum w czerwcu 1946 r. zniesiono chociażby ciążyący na chłopach obowiązek dostarczania świadczeń rzeczowych.

B.P. – *Do wyborów w 1947 r. PSL wchodzi już mocno osłabione. Jakie były wyniki tych wyborów?*

T.B. – Tego nie dowiemy się chyba nigdy. Dane zachowały się tylko tam, gdzie w komisjach wyborczych swoje wtyczki miał WiN. Część urn wyborczych była niszczone jeszcze przed przewiezieniem do powiatu. Często nawet nie próbowano oszacować rzeczywistych wyników głosowań. Robiłem kwerendę w skali tylko jednego powiatu – jarosławskiego, gdzie około 90 proc. głosów oddano na listę PSL, chociaż lista wyborcza tej partii w okręgu wyborczym została unieważniona.

R.Ś.-K. – Sądzę, że przynajmniej na niektórych terenach Kielecczyny uda się udowodnić sfalszowanie wyborów, chociaż ponad 80 proc. mieszkańców tego regionu pozbawiono możliwości głosowania na działaczy PSL. Z czterech okręgów wyborczych w woj. kieleckim w trzech unieważnione zostały listy wyborcze PSL. W okręgu częstochowskim (tam lista niezależnego ruchu ludowego została zarejestrowana) zachowały się dokumenty, które poświadczają sfalszowanie wyborów w 1947 r.

L.P. – Również mieszkańcom Łodzi uniemożliwiono głosowanie na PSL-owską listę wyborczą. Została ona skreślona decyzją Okręgowej Komisji Wyborczej. Z powodu terroru UB osoby, które złożyły podpisy pod listą, zostały zmuszone do ich wycofania. W efekcie zabrakło wymaganych przez ordynację stu podpisów. Nie pomogło ani zebranie zeznań pobitych i zastraszanych przez UB osób, ani protest skierowany do Generalnego Komisarza Wyborczego.

B.P. – *Pozostawało tylko postawienie kropki nad i. Mikołajczyka zmuszono do ucieczki z kraju. Rozbito PSL. Walka o władzę praktycznie została zakończona. Co władza ludowa miała do zaproponowania społeczności wiejskiej?*

R.Ś.-K. – Opanowano państwo, ale nie opanowano społeczeństwa. Rozpoczął się okres masowego terroru. Najbardziej dramatycznym doświadczeniem dla środowisk wiejskich w latach 1948–1955 była próba kolektywizacji, której apogeum przypada na lata 1952–1953. Była to próba zniszczenia całej warstwy chłopskiej...

B.P. – *...z jej atrybutem, czyli własnością.*

R.Ś.-K. – Gdyby to się udało, niczym nie odróżnialibyśmy się od społeczeństwa Związku Radzieckiego i dokończyłoby to proces sowietyzacji Polski.

B.P. – *Lansując kolektywizację, nawiązano do przedwojennej idei spółdzielczości, bo o ile wiem, nie mówiło się o kolchozach, mówiło się o spółdzielniach.*

T.B. – Unikano określenia „kołchoz”, chociaż funkcjonariusze partyjni między sobą często się tym słowem posługiwali. Chodziło o zamaskowanie istoty przemian struktury gospodarczej wsi pod hasłami spółdzielczości. W nowej wersji idei spółdzielczości chodziło o ekonomiczne i administracyjne podporządkowanie wsi i roztoczenie kontroli, która do tej pory się nie udawała. Decyzję o kolektywizacji podjęto na posiedzeniu Kominformu w Bukareszcie w czerwcu 1948 r., a jej realizację oparto na wzorcach radzieckich. Władze partyjne państw podporządkowanych ZSRR zaczęły lansować tak zwaną trójjedyną formułę Lenina. Zakładała ona walkę o sprawiedliwość społeczną na bazie biedoty, w sojuszu ze średniakiem i nieustępliwe tępienie kułaków, czyli bogatych chłopów. Chciano w ten sposób rozbić tradycyjne więzi społeczne i chłopską solidarność. Próbowano zastosować metodę „dziel i rządź”. W praktyce, w polskim przypadku konieczne było przyjęcie siłowego wariantu kolektywizacji.

L.P. – Ukrywanie kolektywizacji pod szyldem spółdzielczości było konieczne, gdyż komuniści mieli świadomość, że chłopci bali się kołchozów. Potwierdzają to późniejsze zachowania chłopów, którzy nawet wycinali lasy, by nie dostały się w państwowe ręce. Chłopów bardziej przerażała perspektywa kołchozów niż trzeciej wojny światowej, niektórzy liczyli, że wybawi ona wieś od kolektywizacji.

R.Ś.-K. – A tworzone spółdzielnie stawały się przedsiębiorstwami państwowymi, podlegały centralnemu planowaniu i nie miały nic wspólnego z tradycyjną spółdzielczością.

B.P. – Czy na wsi były jakieś grupy zainteresowane kolektywizacją?

L.P. – Dla zdobycia poparcia najbardziejniejszych mieszkańców wsi komuniści podjęli wiele propagandowych działań. Spróbowano pozyskać wiejską młodzież. Komunistom, nie bez kłopotów, udało się podporządkować Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”, potem włączony do ZMP. Wykorzystując szkołę, roztaczając miraż awansu społecznego, starano się pozyskać poparcie setek tysięcy młodych mieszkańców wsi. Jednak na wsi zawsze najwięcej było młodzieży niezorganizowanej. Z drugiej strony wielu młodych mieszkańców wsi uległo propagandzie, starając się przekonać swoich rodziców do wstępowania do spółdzielni produkcyjnych.

T.B. – Kryterium klasowości nie od razu było sprecyzowane – kto jest biedniakiem, kto średniakiem, a kto kułakiem. To zależało od regionu i od rozdrobnienia gospodarstw, ale również od widzimisię sekretarzy z danego terenu. Na przełomie sierpnia i września 1948 r. odbyło się plenum KC PPR, na którym wystąpił Hilary Minc. Dokonał wtedy podziału klasowego polskiej wsi. Biedniakiem był ten chłop, który nie mógł dożyć do przednówka i wiośnią zapożyczał się u kułaka, po czym jak niewolnik odpracowywał pożyczkę. Średniakiem był ten, który dążył do wzbogacenia się, lecz w dłuższej perspektywie, w wyniku działań kułaków, był zagrożony pauperyzacją. Kułakiem był chłop, który miał duże gospodarstwo i zatrudniał pracowników najemnych.

Tak opisana struktura społeczna wsi pozwalała na bardzo swobodną interpretację i kwalifikację gospodarstw. Działacze partyjni woleli dysponować bardziej konkretnymi kryteriami, więc jesienią 1949 r. ustalono, że kułakiem jest ten, kto posiada 15 hektarów. Przy okazji pojawił się problem rozdrobnienia, szczególnie w Małopolsce czy na Lubelszczyźnie, gdzie praktycznie nie było gospodarstw piętnastohektarowych. Z obliczeń wykonanych pod koniec lat czterdziestych wynikało, że takie gospodarstwa w Polsce stanowiły około 10 proc. ogółu gospodarstw. Nie zawsze jednak przestrzegano zasady wielkości arealu, za kułaka uznawano chłopą, który miał dachówkę, a nie strzechę, każdego, kto potrafił dobrze gospodarować. Znam przypadek potraktowania jako kułaka człowieka, który miał czterohektarowe gospodarstwo. Doprowadzano do ruiny dobre gospodarstwa. Wprowadzono progresywne dostawy obowiązkowe.

B.P. — *Jak szacowano wysokość tego kontyngentu?*

T.B. — Podstawą była klasyfikacja gruntu oparta na danych wzięty z sufitu w 1949 r. Przed wojną, aby sklasyfikować grunt, przeprowadzano badanie gleby, miąższości warstwy próchnicznej itd. Teraz robiono to za pomocą wskaźników, które przysłało Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych po uprzednim uzgodnieniu z wydziałem rolnym w KC. Odgórnie ustalono, jaki procent ziemi pierwszej klasy ma być w konkretnym województwie. Do tych wytycznych dopasowywano wyniki klasyfikacji gruntu. Chłopi sami mieli zgłaszać, jakiej klasy grunty posiadają. Jeśli nie chcieli się przyznać do posiadania dobrej ziemi, to ten grunt pierwszej klasy rozpisywano po równo wszystkim i w ten sposób tworzone zawyżoną podstawę wymiaru podatku gruntowego i wysokości obowiązkowych dostaw. Dostawy miały charakter progresywny: biedniak musiał oddać około 30 kg zboża z hektara, posiadacz dziesięciohektarowego gospodarstwa aż 160 kg z hektara. Również system kredytowy był nastawiony na poparcie biedoty, co było zupełnie nieracjonalne i nie przynosiło żadnych ekonomicznych korzyści. Wszystko to doprowadziło część chłopów do rezygnacji z prowadzenia samodzielnego gospodarstwa i przejścia do spółdzielni.

B.P. — *Co składało się na obowiązkowe dostawy?*

T.B. — W 1950 r. wprowadzono planowy skup zboża, który początkowo miał formę deklaracji, przy czym przyznawano na gminę jakiś limit, który należało zrealizować. Rok później dostawy obowiązkowe zostały usankcjonowane, uchwalono odpowiednie ustawy. Wprowadzono obowiązkowe dostawy zbóż i ziemniaków, a następnie, począwszy od 1952 r., mleka i zwierząt rzeźnych. Taka polityka nie pozwalała na specjalizację gospodarstw rolnych. Nieważne, że ktoś miał 15 krów, musiał również oddać kartofle. Efekt był taki, że nie można było skoncentrować się na jednej uprawie czy hodowli. Chłopi musieli prowadzić gospodarkę pod kątem tych dostaw, co oczywiście podwyższało koszty produkcji.

B.P. — *Celowo użyłam określenia «kontyngent», bo na wsi pamiętano nie tak dawne lata okupacji niemieckiej i w podobny sposób nazywano te obowiązkowe dostawy.*

T.B. – Często spotykałem się nawet z informacjami, że chłopci uważali kontyngent z okresu okupacji za mniej uciążliwy aniżeli obowiązkowe dostawy w latach pięćdziesiątych.

R.Ś. – K. – Porównywano je również z rentą feudalną. Opór wobec kolektywizacji i dostaw wynikał z zagrożenia podstawowych wartości. I w tym okresie zweryfikowały się postawy ludzi, którzy po 1945 r. związali się z władzą komunistyczną, weszli w struktury administracji państwowej, samorządowej. W latach 1949–1955 przeprowadzono czystkę w lokalnych strukturach państwowych i samorządowych według kryterium stosunku do kolektywizacji i dostaw obowiązkowych. Gdy ktoś nie okazywał entuzjazmu dla tej idei, „przeciągał sprawę”, jak to się wówczas mówiło, był usuwany ze stanowiska i często podlegał represjom. Czystka objęła ponad 30 tys. osób. Gdy ktoś zwlekał z dostawą obowiązkową, był karany w systemie karno-administracyjnym, grzywną albo aresztem. Tak ukarano ponad pół miliona chłopów.

L.P. – Przytoczę tylko jedną historię ukazującą los mieszkańców wsi w tym czasie. Bez nakazu aresztowano na trzy miesiące chłopca, który z jakichś powodów nie dostarczył obowiązkowych świadczeń. Osadzono go w obozie na Sikawie, bez żadnego dokumentu. Niektórzy więźniowie trafiali stamtąd do pracy w kopalniach. Gdy ktoś zgłaszał się dobrowolnie, dzień pracy w kopalni liczył się podwójnie czy potrójnie. Ale ponieważ ten chłop nie ma dokumentu na to, że był w obozie, że pracował w kopalni, nie ma prawa do żadnych rekompensat z tego tytułu.

T.B. – W procesie kolektywizacji były dwa etapy: lata 1949–1951, kiedy władze stosowały przymus bezpośredni, czyli na przykład aresztowały bez żadnych formalnych procedur chłopów, którzy nie chcieli wpisać się do kolchozu, i okres 1951–1954, w którym starano się chłopów zmusić do kolektywizacji metodami pośrednimi – przez politykę fiskalną, czyli podatek gruntowy i świadczenia rzeczowe, czyli system obowiązkowych dostaw. Przełomową datą jest wiosna 1951 r., tak zwana sprawa gryficka. Po niej odstąpiono od metod siłowych, zastąpiono je metodami ekonomicznymi.

B.P. – *Co się wydarzyło w Gryficach?*

T.B. – Wydarzenia w Gryficach w województwie szczecińskim są tylko przykładem tego, co działo się w całej Polsce. Zimą 1951 r. przeprowadzono tak zwany planowy skup zboża. Władza uznała, że wyniki skupu są niewystarczające. W poszukiwaniu zboża w teren wyjechały brygady lekkiej kawalerii ZMP (tak to się nazywało w oficjalnej nomenklaturze partyjnej), które przeszukiwały gospodarstwa, niszcząc je i kradnąc, co się dało. Gdy znaleziono zboże, zabierano wszystko. Tak prowadzona akcja kolektywizacyjna spowodowała prawdziwy exodus chłopów z Ziem Odzyskanych i spadek produkcji rolnej. Po uchwale Komitetu Centralnego z 16 maja 1951 r., potępiącej wydarzenia gryfickie, sytuacja uspokoiła się, co nie znaczy, że później nie zastraszano czy bito chłopów, ale na pewno już nie na taką skalę.

L.P. – Wszystko to miało wpływ na postawę tak zwanego aktywu dołowego, który z jednej strony miał nakaz, żeby tworzyć spółdzielnie, a z drugiej strony nie wiedział, jak to robić, bo wytracono mu oręż z ręki. A płynące z góry sygnały wykluczały się wzajemnie.

T.B. – Propagandowo władze kładły nacisk na dobrowolność zrzeszania się chłopów w spółdzielniach. Terenowy aktyw partyjny zwoływał wiejskie zebrania, gdzie wygłaszano wyuczone na pamięć referaty Minca czy Zambrowskiego w takim właśnie duchu. Równocześnie komitety wojewódzkie w nieformalnych rozmowach nakazywały chłopów bić, zamykać. Wtedy kolektywizacja ruszała.

R.Ś.-K. – W latach 1948–1950 istniały jeszcze pozostałości partyzantki antykomunistycznej, kilku- lub kilkunastoosobowe oddziały. Tworzyły się nowe uzbrojone grupy złożone z najbardziej zdesperowanych chłopów, ofiar i przeciwników kolektywizacji. Fakt, że funkcjonowało to podziemie, był często alibi dla lokalnych działaczy, którzy wstrzymywali kolektywizację, twierdząc, że grozi im śmierć z rąk uzbrojonych grup. Czytamy o tym w sprawozdaniach wysyłanych do władz.

L.P. – Działalność zbrojnych grup dawała alibi nie tylko działaczom, ale również samym chłopom. Przykładem jest wieś Łękińsko w powiecie piotrkowskim, której mieszkańcy już w 1948 r. zadeklarowali, że chętnie założyliby spółdzielnię, ale boją się „ludzi z lasu”. Władze lokalne, które początkowo chciały natychmiast uruchomić spółdzielnię, przez jakiś czas zmniejszyły naciski. Próbowaly także skłonić chłopów do wyzbycia się obaw, dając im dodatkowe przydziały maszyn i narzędzi rolniczych. Ostatecznie spółdzielnia produkcyjna w Łękińsku powstała dopiero wiosną 1951 r.

B.P. – ***Jak przebiegała kolektywizacja na terenach nowo zasiedlonych, na ziemiach zachodnich i północnych?***

T.B. – Generalnie osadnicy (nie chodzi tylko o ziemie zachodnie, również o tereny zasiedlane w ramach akcji Wisła) łatwiej godzili się na kolektywizację. Wyjaśnić to można trudnościami w zagospodarowaniu się. Nie mniej istotnym czynnikiem był brak przywiązania do nowej ziemi. Niektóre tereny na zachodzie zostały skolektywizowane w ponad 30 proc. W regionach, gdzie ruchów ludności nie było, gdzie gospodarzono od dziada pradziada, kolektywizacja nie przekroczyła 5 proc.

R.Ś.-K. – Tam, gdzie nie rozbito lokalnych więzi ludzkich, chłopci stawiali silny opór, wyznawali bardzo starą zasadę, że ziemi się nie oddaje. W gromadzie Okół w powiecie ilżeckim w 1950 r. wybuchł bunt chłopski przeciw planom kolektywizacji, a w 1952 r. mieszkańcy kilkunastu wsi sprzeciwili się wysiedlaniu z tak zwanego pasa leśnego w powiatach koneckim i opoczyńskim, traktując całą akcję jako wstęp do kolektywizacji.

B.P. – ***Jakie były ekonomiczne koszty kolektywizacji?***

L.P. – Bardzo trudno to oszacować, ale straty były ogromne, co między innymi wynikało z bardzo niskiego poziomu gospodarowania w spółdzielniach produkcyjnych. Pod koniec 1954 r. straty spółdzielni wynosiły 335 mln zł.

T.B. – Trudno wymagać od chłopów, którzy w spółdzielni znalazł się nie z własnej woli, żeby dobrze gospodarować.

R.Ś.-K. — Okazało się, że nie można tą metodą zaopatrzyć społeczeństwa polskiego w żywność, że nakłady na istniejące spółdzielnie są niewspółmiernie wysokie w stosunku do ich produkcji.

T.B. — Dodać tutaj należy, że okres najbardziej forsownej kolektywizacji przypadł na lata 1952–1953, które były latami nieurodzaju. Nie wiem, czy w ogóle w gospodarce centralnie sterowanej ktoś zastanawiał się nad rachunkiem ekonomicznym.

B.P. — *Decyzję o zakończeniu kolektywizacji tradycyjnie przypisuje się Gomułce.*

T.B. — Po 1956 r. nastąpiło żywiołowe załamanie akcji kolektywizacyjnej. We wrześniu 1956 r. w kraju istniało ponad 10 tys. spółdzielni, uprawiających 13 proc. ogólnego arealu ziemi. 31 grudnia 1956 r. tych spółdzielni pozostało niespełna dwa tysiące. Po VIII Plenum KC PZPR chłopci gremialnie opuszczali spółdzielnie. To uświadomiło Gomułce, że kolektywizacja, przynajmniej jako proces krótkofalowy, jest niemożliwa do zrealizowania.

B.P. — *W latach siedemdziesiątych władze uznały, że społeczeństwo pogodziło się z systemem i jego regułami. Dlatego wydaje mi się, że moment konsolidacji wsi w latach osiemdziesiątych i utworzenie rolniczych związków zawodowych pod hasłami «Solidarności» jest szczególnie ważny. Nastąpiła wtedy odbudowa etosu wsi walczącej o swoją godność.*

R.Ś.-K. — Dwadzieścia lat między 1956 r. a połową lat siedemdziesiątych charakteryzuje się przewagą postaw przystosowawczych i tak zwaną małą stabilizacją. Państwo nie było już takie groźne, odstąpiono od nachalnego programu kolektywizacji, dało się jakoś przeżyć. A jednocześnie najbardziej aktywni ludzie uciekali ze wsi. W wielu środowiskach wiejskich zaczęło brakować osób, grup, które by kontynuowały opór wobec systemu.

B.P. — *A może jest to po prostu naturalny proces cywilizacyjny?*

L.P. — To był okres, kiedy wzrósł kontrast między poziomem życia na wsi i w mieście. Mieszkańca wsi traktowano jako kogoś gorszego. W mojej opinii przyczyniła się do tego komunistyczna propaganda, która przez wiele lat przedstawiała chłopów jako kulaków, chowających towary, które powinni oddawać na potrzeby kraju. Przy ciągłym deficycie żywności zabiegi propagandy potęgowały niechęć do mieszkańców wsi.

R.Ś.-K. — Ale jednocześnie jest to efekt niedoinwestowania wsi, zacofania kulturalnego, oświatowego i gospodarczego.

T.B. — Po wypadkach grudniowych, którym początek dała podwyżka cen żywności, w styczniu 1971 r. Edward Gierek pojechał do Moskwy. Usłyszał wtedy od Leonida Breżniewa: „Gomułka dlatego miał problemy, że nie przeprowadził kolektywizacji rolnictwa”. Władze postanowiły wrócić do tej idei. Oficjalnie nie mówiono o kolektywizacji. W 1972 r. zniesiono obowiązkowe dostawy. Po 1976 r., po załamaniu się gierkowskiej strategii gospodarczej, podjęto pewne kroki dotyczące rozwoju sektora

socjalnego na wsi. Pojawiła się ustawa o emerytalnym zaopatrzeniu rolników, wszyscy chłopcy zostali zmuszeni do płacenia składek emerytalnych, ale emerytury mieli otrzymać tylko ci, którzy w ciągu roku oddawali na rzecz państwa towary wartości około 150 tys. złotych. W ten sposób wypompowywano pieniądze ze wsi, nie gwarantując w późniejszym okresie godziwego życia rolnikom. Należy pamiętać, że w tym okresie następował proces starzenia się społeczeństwa wiejskiego, a nie wszyscy gospodarze mieli spadkobierców. Rolnicy mieli zagwarantowaną rentę, jeżeli oddali ziemię do państwowego funduszu ziemi, który nie mógł jej przekazywać w ręce innych chłopów indywidualnych, a jedynie spółdzielniom, pegeerom albo kółkom rolniczym. Powodowało to niezadowolenie. W 1977 r., częściowo z inicjatywy KOR, powstały Komitety Samoobrony Chłopskiej – Ziemi Grójeckiej, Ziemi Lubelskiej i Ziemi Rzeszowskiej. Działacze tych komitetów stanowili później elitę „Solidarności” Rolników Indywidualnych.

B.P. — *Nastroje opozycyjne wobec poczynań władzy w mieście i w środowiskach wiejskich były podobne.*

T.B. — We wrześniu 1980 r. złożono wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” Wiejska. Władze oczywiście starały się wyhamować aspiracje chłopów, doszło do wielu strajków, w końcu do porozumień rzeszowsko-ustrzyckich, w których władze po raz pierwszy zadeklarowały nienaruszalność chłopskiej ziemi. Nad polską wsią aż do 1980 r. wisiało widmo utraty własności indywidualnej.

L.P. — Od czasu reformy rolnej chłopcy po raz pierwszy dostali coś od władzy, do tej pory tylko im zabierano. Wszelkie zmiany sytuacji politycznej pogarszały ich warunki materialne. Nic dziwnego, że najczęstszą reakcją w okresach niepokoju w kraju było wybieranie stad hodowlanych i mielenie zboża w obawie przed utratą.

Po dwudziestu latach od wprowadzeniu stanu wojennego generał Jaruzelski, cytując za „Gazetą Wyborczą”, powiedział: „Uzasadnione jest dziś mówienie o wielkiej, historycznej «Solidarności». Ale była też «Solidarność» Rolników Indywidualnych [...], która obiecywała bułkę z szynką, lecz trzymała i bułkę, i szynkę na zapiecku”. Tak generał definiuje cel i zasady działania społeczności wiejskiej i powody, dla których powołano związek chłopski. To kwintesencja komunistycznego myślenia – dobra solidarność robotnicza i zła solidarność chłopska.

B.P. — *Władze powojennej Polski, choć teoretycznie zapewniały możliwość społecznego awansu każdemu, prowadziły politykę jednoznacznie skierowaną przeciw polskiej wsi, być może z powodów ideologicznych. Chłopi byli jedyną grupą, która mogła coś posiadać na własność.*

R.Ś. — K. — Naszą rozmowę podsumowałbym tak – wieś i chłopcy konfrontację z komunizmem wygrali, ale cena tego była olbrzymia. Obecny stan polskiej wsi jest tego świadectwem.

MIEDZY MODERNIZACJĄ A MARNOTRAWSTWEM

O gospodarce PRL z Krzysztofem Madejem

B.P. — *Jaką spuściznę materialną po przedwojennej i wojennej Polsce przejął komunistyczny rząd?*

K.M. — Szacuje się, że straty materialne na ziemiach polskich w granicach z 1939 r. wynosiły około 50 mld ówczesnych dolarów. Podczas wojny zniszczeniu uległy przede wszystkim obiekty, w tym budynki i mieszkania. Warszawa straciła 75 proc. budynków. W innych miastach nie było lepiej, na przykład Gdańsk został zniszczony w 55 proc., Grudziądz w 65 proc. Na wsi, głównie na terenach przyfrontowych, ucierpiało około 500 tys. zagród.

Po wojnie granice Polski zostały przesunięte na zachód, co wiązało się ze zmianą profilu gospodarki. W porównaniu z resztą terytorium kraju ziemie zachodnie były regionem dużo bardziej rozwiniętym, zwłaszcza pod względem infrastruktury i przemysłu, choć równie dotkliwie doświadczonym przez wojnę.

B.P. — *Odbudowa gospodarki w znacznym stopniu była uzależniona od bogactw naturalnych. Jaki wpływ na zasobność Polski w surowce miała zmiana granic?*

K.M. — Polska utraciła trzy czwarte złóż ropy naftowej i złoża soli potasowych, które znajdowały się na ziemiach wschodnich zajętych przez ZSRR. Natomiast na ziemiach zachodnich Polska uzyskała nowe złoża węgla kamiennego i brunatnego, jak również złoża rud cynkowo-ołowianych, miedzi i niklu. O lepszym rozwoju tych ziem świadczy następujący fakt: w latach czterdziestych na ziemiach zachodnich przejętych przez Polskę wytwarzano mniej więcej tyle energii elektrycznej, ile na całym obszarze II Rzeczypospolitej. Wraz z przejściem tych terenów zwiększyła się też znacznie długość linii kolei żelaznych i dróg kołowych w Polsce.

Po ucieczce i wysiedleniach ludności niemieckiej w drugiej połowie lat czterdziestych zostało tam ponad milion opuszczonych mieszkań, które w dużej części zostały zasiedlone przez mieszkańców Polski centralnej, później przez tak zwanych repatriantów z utraconych przez Polskę kresów wschodnich. Pewne rezerwy mieszkaniowe, przynajmniej na niektórych obszarach ziem zachodnich, istniały zresztą jeszcze w latach pięćdziesiątych, po 1956 r. kierowano tam więc drugą falą repatriantów z ZSRR. Oczywiście, miasta na ziemiach zachodnich również były zniszczone:

Wrocław w 64 proc., Kołobrzeg w 80 proc., poważnych strat doznały Szczecin i Legnica. Przyjmuje się, że z istniejących w 1939 r. 3,5 mln izb mieszkalnych na terenach poniemieckich zniszczeniu uległo około 2 mln.

Podczas przejmowania majątku na ziemiach zachodnich dochodziło do wielu zniszczeń. Armia Czerwona zabierała cenniejsze urządzenia i wywoziła je do ZSRR. Niezależnie od tego „ziemie odzyskane” były grabione przez rodzimych szabrowników, działających na własną rękę lub w sposób zorganizowany. Często w szabrze uczestniczyli, wykorzystując swoje uprawnienia, funkcjonariusze administracji państwowej. Oczywiście, podejmowano różne próby zabezpieczenia terenu (wysyłano tam cywilne komisje i oddziały MO). Skuteczność ich była jednak niewielka.

B.P. — *Skąd pochodziły fundusze na odbudowę państwa?*

K.M. — W 1946 r. rozpisano Premiowaną Pożyczkę Odbudowy Kraju i wypuszczono obligacje na 4,5 mld złotych. Na czele Komitetu PPOK stanął Karol Popiel, działacz opozycyjnego Stronnictwa Pracy, co miało tę pożyczkę legitymizować przed społeczeństwem. Niektóre grupy ludności (rolnicy, sektor prywatny) zmuszono do kupna obligacji pożyczkowych. Tym sposobem w pierwszych latach powojennych budżet państwa uzyskał około 12 proc. wpływów. Wpływy do budżetu osiągnano również dzięki znacznym obciążeniom fiskalnym.

Polska otrzymywała także pomoc humanitarną z zagranicy. W ramach UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) po 1947 r. Polska otrzymała pomoc o wartości mniej więcej 500 mln dolarów. W przeważającej części była to żywność, ale również urządzenia przemysłowe, leki i odzież.

B.P. — *Jakie były plany odbudowy kraju i jak je wdrażano?*

K.M. — Najważniejszym etapem odbudowy kraju był plan trzyletni. Był to jedyny plan gospodarczy w PRL, który się powiódł. Przygotował go związany z PPS Centralny Urząd Planowania (CUP). Warto poświęcić mu trochę miejsca. Kierownictwo CUP z klucza partyjnego przypadło PPS. Szefem urzędu był Czesław Bobrowski, a inni ekonomiści związani z PPS mieli w nim silną pozycję. W lutym 1948 r. zaczęto ograniczać niezależność CUP. Hilary Minc skrytykował metody planowania gospodarczego stosowane w urzędzie, które były wzorowane na metodach zachodnich ekonomistów, a nie radzieckich. Był to oczywiście pretekst, chodziło o to, aby przejąć kontrolę nad tą instytucją, a w przyszłości nad systemem planowania gospodarczego i kształcenia ekonomicznego. Później zaczęto usuwać z katedr ekonomicznych ludzi związanych z przedwojenną lewicą, krytycznych wobec stosowania w gospodarce metod radzieckich. Katedry uniwersyteckie obejmowali ludzie z PPR, a później z PZPR, nawet jeśli nie mieli wymaganych stopni naukowych.

B.P. — *Proszę zatem przedstawić założenia planu trzyletniego.*

K.M. — Jego założenia były racjonalne, na przykład to, że nie będzie się odbudowywać zakładów zniszczonych w stopniu większym niż 50 proc. Zawierał pewne elementy gospodarki planowej, ale nie forsował uprzemysłowienia konkretnych dzie-

dzin, co było charakterystyczne dla następnego planu, sześcioletniego. Plan trzyletni był mniej obciążony ideologią, a bardziej podporządkowany pragmatyce gospodarczej. Został uchwalony w lipcu 1947 r., ale jego podstawowe założenia zaczęto wdrażać wcześniej. Między innymi przewidywał równoprawne istnienie w gospodarce trzech sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego. Zaraz po 1945 r. w dziedzinach, które nie zostały objęte nacjonalizacją, zezwolono na działalność prywatną. W pierwszych powojennych latach praktycznie cały handel znajdował się w prywatnych rękach.

Ten stan rzeczy utrzymywał się aż do czerwca 1947 r., kiedy to z inicjatywy PPR rozpoczęła się tak zwana bitwa o handel. W tym okresie sztandarowym ideologiem polskiej gospodarki był pepeerowski ekonomista Hilary Minc, przewodniczący Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i minister przemysłu i handlu. Ostatecznie pod koniec lat czterdziestych z handlu wyeliminowano prywatny sektor, czego efektem były ciągłe kłopoty z zaopatrzeniem.

B.P. — *Na czym polegała «bitwa o handel»?*

K.M. — Niszczenie prywatnej inicjatywy odbywało się metodami administracyjnymi i fiskalnymi. Pod hasłem walki z „drożyzną” nakładano na osoby zajmujące się handlem różne kary. Działalność gospodarcza była koncesjonowana. Od 1948 r. przejęto także kontrolę nad spółdzielczością, „upaństwowiając” ją. Nie tylko tworzone specjalne akty normatywne, ale także odsuwano od handlu ludzi autentycznie związanych ze spółdzielczością i tworzone spółdzielnie w pełni kontrolowane przez struktury centralne.

B.P. — *Jak można podsumować wyniki planu trzyletniego?*

K.M. — W znacznym stopniu odbudowano gospodarkę kraju. W planie trzyletnim liczba tak zwanych twardych wskaźników dyrektywnych była o wiele mniejsza niż w następnych. W dużej mierze zawdzięczamy to właśnie autorom planu, ekonomistom związanym z CUP. Już w 1948 r. poziom produkcji przemysłowej przekroczonego o 30 proc. w stosunku do wielkości produkcji sprzed 1939 r. Gorzej przedstawiały się wyniki w rolnictwie — w 1948 r. produkowano około 70 proc. tego, co przed wojną. Przede wszystkim jednak znacząco wzrosła konsumpcja — do 1949 r. płace realne ludności wzrosły o 58 proc. (ale trzeba pamiętać, że płace zaraz po wojnie były bardzo niskie). W 1949 r. zniesiono również reglamentację żywności. Udało się tego dokonać mimo ograniczenia przez PZPR roli CUP i odsunięcia ekonomistów związanych z PPS, który w 1948 r. ostatecznie traci swój relatywnie autonomiczny byt.

B.P. — *Hilary Minc przeprowadził ideologiczną krytykę planu trzyletniego i stworzył podwaliny planu sześcioletniego.*

K.M. — W miejsce CUP powstała Komisja Planowania Gospodarczego, na której czele stanął Minc. Plan sześcioletni zakładał przeznaczenie w dochodzie narodowym większej puli na inwestycje, czyli tworzenie środków produkcji i forsowną industrializację, rozwój przemysłu ciężkiego, metalowego. Był to sposób na rozwój cywiliza-

cyjny kraju. Sam fakt wyboru określonych typów przemysłu świadczył z kolei o pewnych priorytetach – chodziło o stworzenie zaplecza dla przemysłu zbrojeniowego. Zwłaszcza od 1951 r. plan był modyfikowany w tym kierunku. Wiązało się to z wojną koreańską i przygotowaniami ZSRR i jego satelitów do trzeciej wojny światowej. Społecznym skutkiem planu sześcioletniego był liczbowy wzrost klasy robotniczej. Zatrudnienie ludzi w przemyśle stwarzało szansę rozwiązania problemu przeludnienia polskiej wsi.

Sztandarową budową planu sześcioletniego była Nowa Huta – kombinat metalurgiczny i powstające wokół niego miasto. Mimo krytyk jej powstanie nie było tak do końca gospodarczym absurdem. Decyzja o budowie nie miała wyłącznie charakteru politycznego (krytycy projektu podkreślali, że ma to być kara dla Krakowa, który się „źle zachował” podczas referendum). Lokalizacja ta miała na celu zapewnienie miejsc pracy dla młodzieży z małopolskich wsi, a krakowska Akademia Górniczo-Hutnicza miała dać hucie dobrze wykształconych inżynierów. Dodajmy, że okoliczności powstania Nowej Huty stanowią dobrą ilustrację ewolucji sytuacji geopolitycznej Polski. Pierwotnie miała ona powstać na Śląsku. W Chicago zamówiono nawet piec hutniczy. Nie udało się zrealizować tych zamierzeń, bo Polska musiała, ze względów politycznych, odrzucić plan Marshalla. Trzeba było zbudować hutę na bazie technologii sowieckiej i bliżej granicy wschodniej. Z tych między innymi powodów zdecydowano się na Kraków.

B.P. — *Tak to pragmatyka gospodarcza ściera z politycznymi interesami, na dodatek nie naszymi.*

K.M. — Tak, tylko że my wówczas nie mieliśmy innych kooperantów i ze względów politycznych mieć nie mogliśmy... Oczywiście, chodziło też o stworzenie silnego środowiska robotniczego obok inteligenckiego Krakowa.

B.P. — *Co oprócz Nowej Huty znalazło się w planie sześcioletnim?*

K.M. — Pierwsze założenia były takie – trzeba dać dużo na inwestycje i stworzyć podstawy industrializacji. Priorytetem było więc silne państwo, a nie zamożne społeczeństwo. Inwestowano w przemysł maszynowy, metalurgiczny i chemiczny, mniejsze nakłady szły na przemysł budowlany, lekki i spożywczy. W ramach planu sześcioletniego wybudowano między innymi hutę aluminium w Skawinie, hutę żelaza w Częstochowie. Na terenie Warszawy rozwinęto przemysł motoryzacyjny – na Żeraniu powstaje Fabryka Samochodów Osobowych (FSO) – także elektrotechniczny i maszynowy. Rozpoczęto tworzenie bydgoskiego okręgu przemysłowego.

B.P. — *Musiały też powstawać zakłady, które mogły obsługiwać przemysł zbrojeniowy. Przed wojną takie funkcje pełnił Centralny Okręg Przemysłowy (COP), którego budowę rozpoczęto w latach trzydziestych.*

K.M. — W ramach realizacji planu rozbudowywano i modernizowano zakłady już istniejące oraz tworzone nowe. W Starachowicach powstała fabryka samochodów ciężarowych, w Skarżysku-Kamiennej zakłady przemysłu maszynowego, w Kielcach fabryka kotłów.

Silna militaryzacja przemysłu rozpoczęła się w okresie kryzysu wywołanego wojną koreańską. Różne gałęzie przemysłu zaczęły pracować na rzecz zbrojeniówki. Szacuje się, że wydatki na zbrojenia w latach 1950–1955 wyniosły około 4 mld dolarów. Pod koniec realizacji planu sześcioletniego na potrzeby wojska pracowało 166 zakładów. Liczebność armii wzrosła ze 140 tys. w 1948 r. do ponad 400 tys. w 1953 r. Wydatki na infrastrukturę pochłonęły miliard ówczesnych dolarów – wybudowano wtedy między innymi kilka linii kolejowych prowadzących do granicy wschodniej, stacje przeładunkowe, również lotniska wojskowe w Modlinie i na Bemowie. Takie zmiany dotyczyły nie tylko Polski. W Czechosłowacji, która była w bloku głównym producentem broni, wydatki militarne wzrosły w tym czasie siedmiokrotnie.

Forsowna industrializacja miała również inny aspekt, zauważalny nie tylko podczas wprowadzania w życie planu sześcioletniego. W gospodarce komunistycznej znacznie chętniej coś budowano i tworzone od nowa, niż remontowano i modernizowano. Po części było to pochodną rywalizacji różnych grup interesów o kasę państwową. Klęska Nowej Huty w latach późniejszych polegała na tym właśnie, że w porę nie przeprowadzono jej modernizacji.

B.P. – Rozwijając przemysł ciężki, władze musiały zrezygnować z innych inwestycji. Jakie dziedziny ucierpiały w okresie intensywnej industrializacji?

K.M. – W latach pięćdziesiątych bardzo zaniedbano na przykład budownictwo mieszkaniowe. W latach 1950–1955 wybudowano tylko 400 tys. mieszkań; oznacza to w przybliżeniu, że na cztery nowo zawarte małżeństwa przypadało jedno nowe mieszkanie!

Ceną za tę intensywną industrializację był również bardzo niski poziom życia, mimo że więcej wytwarzano i rósł dochód narodowy. Na poziomie konsumpcji było to bardzo mało odczuwalne, zaledwie o kilka procent wzrosły w tym okresie płace realne. W niektórych latach były one wręcz niższe niż w 1949 r. Poza tym płace były obłożone podatkiem na Narodową Pożyczkę Rozwoju Sił Zbrojnych. W 1950 r. zarządzono wymianę pieniędzy. O ile wcześniejsza wymiana w 1945 r. miała charakter porządkujący (chodziło o wyeliminowanie różnych środków płatniczych znajdujących się w obiegu), o tyle zasady wymiany w 1950 r. zostały ustalone tak, że ludzie na niej stracili. Jeśli nie mieli oszczędności w banku, to stare pieniądze wymieniano na nowe w stosunku 100 do 1. Jedynie wynagrodzenia i lokaty w banku do 100 tys. zł wymieniano w relacji 100 do 3. Bardzo ograniczony był również czas wymiany. W ten sposób stworzono możliwość ściągnięcia marży emisyjnej, co z jednej strony było zabiegiem fiskalnym, a z drugiej dawało państwu wpływy, które można było przeznaczyć na finansowanie industrializacji.

Plan sześcioletni załamał się po śmierci Stalina. Historycy gospodarki wyróżniają tak zwane cykle w rozwoju gospodarczym. Cykl zaczyna się od fazy konsumpcyjnej, kiedy gospodarka rozwija się w miarę równomiernie (w tej fazie można umieścić go-

spodarkę planu trzyletniego). Potem następuje faza intensywnej industrializacji (to był właśnie plan sześcioletni). Okres ten kończy się zwykle dużymi problemami społecznymi i gospodarczymi, co przesądza o konieczności zmiany polityki gospodarczej.

Znany ekonomista Stefan Kurowski tłumaczył odchodzenie od polityki intensywnej industrializacji tym, że koszty utrzymywania spokoju społecznego okazywały się zbyt wysokie. Wtedy właśnie decydowano się na zabieg zwany manewrem gospodarczym. Ta faza w planie sześcioletnim wypadła na 1954 r., kiedy przeznaczano większe limity inwestycyjne na produkcję o charakterze konsumpcyjnym. W zakładach pracy uruchamiano tak zwaną produkcję uboczną – oprócz na przykład części do lokomotyw czy czołgów produkowano wiadra. Taka produkcja cieszyła się poparciem załóg, które na tym zarabiały. Na zubożonym rynku wewnętrznym był duży popyt na te towary. Po 1956 r. odblokowano (w ograniczonym zakresie) też prywatną inicjatywę, restytuowano spółdzielczość. Zaczęto udzielać ludziom kredytów, żeby mogli budować mieszkania.

B.P. – *To chyba od tego momentu zaczyna się okres gomułkowskiej «małej stabilizacji». Jak można opisać politykę gospodarczą tego okresu?*

K.M. – W roku 1957 ogłoszono nową politykę mieszkaniową, polegającą na tym, że udzielano ludziom kredytów mieszkaniowych. Siłą rzeczy skierowano też znaczne środki finansowe na przemysł budowlany. Zaczęto również wspierać rzemiosło.

W czasie planu sześcioletniego zarobki realne zwiększyły się zaledwie o kilka procent, w latach 1957–1960 zaś pensje realne wzrosły o dwadzieścia parę procent. Jednak dość szybko skończył się okres względnej liberalizacji w ramach gospodarki nakazowo-rozdzielczej. W 1958 r. powstał plan intensywnego uprzemysłowienia, który miał być wdrażany od 1960 r. W praktyce oznaczało to, że znów ograniczono limity inwestycyjne, w tym na przykład właśnie nakłady przeznaczane na budownictwo. Jeśli więc na początku lat sześćdziesiątych spółdzielniom mieszkaniowym udało się zgromadzić środki, to i tak miały później problemy z realizacją inwestycji, bo nie miały wykonawców i materiałów budowlanych.

Powrót do intensywnego uprzemysławiania miał kilka przesłanek. W ramach RWPG (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej) Polska była zobligowana do rozpoczęcia pewnych inwestycji, na przykład do zwiększenia wydobycia węgla na potrzeby hutnictwa czy rozwoju przemysłu chemicznego w związku z produkcją surowców syntetycznych. Miała również współfinansować inwestycje surowcowe w ZSRR i Rumunii. Były też przesłanki wewnętrzne. W materiałach Wydziału Ekonomicznego KC PZPR z początku lat sześćdziesiątych znalazłem na przykład protokół z narady poświęconej planom inwestycyjnym w budownictwie. Instytut Gospodarki Mieszkaniowej opracował wtedy prognozę dotyczącą zapotrzebowania na nowe mieszkania w latach 1961–1965. Propozycje były takie – 700 tys., 650 tys. lub 600 tys. mieszkań. Przyjęto opcję najniższą, która według danych IGM nie rokowała nadziei na poprawę sytuacji mieszkaniowej.

Władze partyjne motywowały swe decyzje następująco – musimy przede wszystkim rozwijać przemysł ciężki, maszynowy i chemiczny, bo tego wymaga ogólna sytuacja międzynarodowa, czyli zagrożenie konfrontacją militarną. Ponadto w wiek produkcyjny wchodzi pokolenie wyżu demograficznego, trzeba mu dać pracę. Potrzeby szacowano na około półtora miliona miejsc pracy i miejsca te rzeczywiście wtedy stworzono, choć w ślad za wzrostem zatrudnienia nie szło zwiększenie wydajności pracy.

B.P. – *Zatrzymajmy się jeszcze przy sprawach mieszkaniowych. Głód mieszkań był zmorem całego okresu PRL.*

K.M. – W latach czterdziestych i pięćdziesiątych potrzeby mieszkaniowe rozwiązywano metodami administracyjnymi. Wprowadzono akty normatywne ustalające, że nieruchomości mające więcej niż pięć izb będą poddane tak zwanemu przymusowemu zarządowi nieruchomości, co w praktyce oznaczało dokwaterowywanie lokatorów do mieszkań i domów prywatnych. Miało to pewne racjonalne uzasadnienie, ponieważ, jak powiedzieliśmy, zniszczenia budynków w czasie wojny były ogromne. Z upływem czasu zamiast te przepisy łagodzić, czyniono je bardziej restrykcyjnymi. Dekret w tej sprawie z 1951 r. pozwolił przejść administracji państwowej resztki nie poddanego dotąd kontroli państwowej mienia. Ani spółdzielnie mieszkaniowe, ani indywidualni właściciele nie mieli prawa decydowania o swojej własności. W jednym mieszkaniu kwaterowano po kilka rodzin. Standard tych wielorodzinnych mieszkań był niski, domy nie były remontowane, nawet jeśli były po wojnie częściowo zniszczone. Nie było ich za co remontować, bo czynsze mieszkaniowe były bardzo niskie, wręcz symboliczne. Budownictwo mieszkaniowe, poza sztandarowymi budowlami lat pięćdziesiątych, takimi jak MDM czy Nowa Huta, praktycznie nie istniało.

B.P. – *Po Październiku trochę jednak poprawiło się w tej dziedzinie.*

K.M. – W latach sześćdziesiątych mimo ograniczonych środków i limitów inwestycyjnych starano się budować jak najwięcej. *Idée fixe* Gomułki było budownictwo oszczędnościowe, co znalazło akceptację Biura Politycznego. Wiązało się to, rzecz jasna, z obniżeniem standardu. Budownictwo miało być jak najtańsze – małe, ciemne kuchnie, zmniejszanie „zbędnych” powierzchni, niskie stropy, brak tynków. Pojawił się nawet pomysł, żeby budować domy z suchymi ustępami oraz takie, w których jedna łazienka służyła lokatorom kilku mieszkań.

Inwestorzy, zwłaszcza spółdzielcy czy budownictwo zakładowe, nie chcieli tak budować, bo przecież mieszkanie było ważnym elementem przetargowym w grze o pracownika. Wtedy pojawiły się koncepcje nowych technik, chciano wprowadzić strunobeton i azbest. Próbowano również, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, wprowadzać projekty typowe i budować z wielkiej płyty. Była to próba rozwiązania problemu mieszkaniowego. Pod koniec lat sześćdziesiątych milion rodzin czekało na mieszkanie. Budowano wtedy średnio 150 tys. mieszkań rocznie, ale i tak liczba oczekujących wciąż się zwiększała. Niedostatek mieszkań w drugiej połowie lat sie-

demdziesiątych szacowano na półtora miliona, mimo że lata te były rekordowe, jeśli chodzi o budownictwo – budowano około 230 tys. mieszkań rocznie.

B.P. – *Powróćmy do inwestycji przemysłowych.*

K.M. – W latach sześćdziesiątych inwestowano sporo w przemysł chemiczny, między innymi rozpoczęto wydobywanie siarki w Tarnobrzegu, powstały zakłady azotowe w Puławach, a w Płocku zakłady petrochemiczne. Inwestowano również w przemysł wydobywczy – w Koninie powstała kopalnia węgla brunatnego, rozpoczęto eksploatację węgla w Rybnickim Okręgu Węglowym. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych uruchomiono produkcję syrenki, a w końcu lat sześćdziesiątych fiata 125p.

Problemy gospodarcze ujawniły się w drugiej połowie dekady, co jest zgodne z wcześniej omawianymi fazami gospodarki planowej. Znacznie osłabło tempo wzrostu gospodarczego i wzrostu płac realnych. Próbą wyjścia z impasu były tak zwane reformy jaszczukowskie (Bolesław Jaszczuk był członkiem Biura Politycznego KC PZPR odpowiedzialnym za gospodarkę). Była to polityka selektywnego wzrostu, popierano tylko te gałęzie, które mogły dać jakiś wzrost dochodu narodowego, a za taką uznano przemysł chemiczny. Lata sześćdziesiąte Polska zakończyła z długiem w wysokości miliarda dolarów, będącym wynikiem przede wszystkim ujemnego bilansu w wymianie handlowej z zagranicą. Masakra robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. była konsekwencją błędów w polityce gospodarczej i społecznej. Na początku swoich rządów Gomułka cieszył się zaufaniem społeczeństwa, kończył je w atmosferze wrogości. Podwyżka cen żywności wcale nie musiała zostać wprowadzona właśnie wtedy. Polska była i tak zadłużona, więc można było wziąć kolejny kredyt i kupić za granicą brakujące mięso, ale Gomułka był temu przeciwny. Być może niczego by tym nie załatwiono, ludzie mieli już dość siermiężnej „małej stabilizacji”.

B.P. – *Następca Gomułki, Edward Gierek, miał tego świadomość.*

K.M. – Rządy Gierka były przeciwieństwem czternastoletnich rządów Gomułki. Gierek, świadomy niepowodzeń poprzednika, starał się na początku zdobyć przychylność społeczeństwa decyzjami gospodarczymi. W 1971 r. odwołano podwyżki cen. W 1972 r. zniesiono obowiązkowe dostawy produktów rolnych narzucone wsi na początku lat pięćdziesiątych. Podwyższono najniższe płace, renty i emerytury. Świadczeniami społecznymi została objęta również ludność wiejska. W latach 1971–1975 płace realne wzrosły przeciętnie o 40 proc., liczne inwestycje stworzyły około 1,1 mln nowych miejsc pracy. Trzeba jednak pamiętać, że działało to z jednej strony na kredyt i niekorzystne zjawiska pojawiły się już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Z drugiej strony około 30 proc. ludzi żyło wtedy poniżej progu ubóstwa (mniej więcej tyle, co obecnie).

B.P. – *Spółeczeństwo zachowało w pamięci lata prosperity tego pierwszego okresu rządów Gierka, ale również ma świadomość zgubnej strategii zaciągania kredytów.*

K.M. – W latach siedemdziesiątych znacząco zmodernizowano polską gospodarkę. Polska była skazana na zadłużanie, bo założenia gospodarcze przewidywały import inwestycyjny. Inwestowano w infrastrukturę. Powstała wtedy na przykład Centralna Magistrała Kolejowa i tak zwana „gierkówka”, czyli droga szybkiego ruchu między Katowicami a Warszawą. Zbudowano Port Północny i Rafinerię Nafty w Gdańsku.

Lata siedemdziesiąte to również inwestycje w przemysł samochodowy, zakupiono licencję „malucha”, który miał być samochodem dla każdego. Na licencji francuskiego Berlieta rozpoczęto w Jelczu budowę autobusów. Inwestycje te z jednej strony miały znaczenie modernizacyjne i konsumpcyjne, z drugiej strony chodziło o zwiększenie udziału Polski w wymianie międzynarodowej. W porównaniu z 1970 r. import do Polski wzrósł w 1975 r. o 104 proc., a eksport o 66 proc.

Zaciąganie pożyczek wiązało się z koncepcją samospłaty. Kupując na przykład linię produkcyjną fiata 126p, zakładano spłaty eksportem tych samochodów. Niektóre zakupy, w tym nabyta w 1974 r. licencja firmy Massey Ferguson dla Ursusa, nie były trafione. Ostatecznie musiano wprowadzić do licencji wiele przeróbek i rzeczywista produkcja została uruchomiona dopiero w 1984 r. Również Berliet jako autobus miejski okazał się za „delikatny” na polskie realia. Było to do przewidzenia, ale decyzję podjęto z powodów, nazwijmy to, niemerytorycznych – znane było frankofilstwo Gierka, a poza tym udziały w Berlicie miała francuska partia komunistyczna.

Oczywiście nie wszystkie inwestycje oparte na zasadzie samospłaty były niewypałem. Niewątpliwie hotel „Forum” w Warszawie był bardzo potrzebny. Nie można też powiedzieć, że zachodnie kredyty były wyłącznie przejadane, bo do 1976 r. udział konsumpcji wynosił w nich około 17 proc. Marnotrawstwem okazały się niektóre inwestycje. Koszt Huty Katowice oszacowano na 25 mld złotych, a jej koszt rzeczywisty był prawdopodobnie dziesięciokrotnie wyższy! Dla wszystkich tam pracujących – od dyrektorów po robotników – było to bardzo korzystne przedsięwzięcie. Ludzie zarabiali tam jak nigdy wcześniej i jak nigdy później. Rozrzutność przy jej budowie była niewiarygodna, nikt nie dbał o konserwację sprzętu. Moja teoria jest taka: poza oczywistą niegospodarnością i nadużyciami, ówczesna administracja gospodarcza nie była przygotowana do zarządzania taką liczbą inwestycji.

B.P. – *Czy to znaczy, że mieliśmy złych ekonomistów i złe plany?*

K.M. – Ekonomisci, nie tylko w latach siedemdziesiątych, byli odsuwani od gospodarki. Po Październiku powołano Radę Ekonomiczną, w jej skład weszły uznane autorytety ekonomiczne – Czesław Bobrowski, Oskar Lange, Włodzimierz Brus. Na początku lat sześćdziesiątych władze przestały się jednak z ich zdaniem liczyć. Gierek oczywiście miał także swoich doradców, ale nie przyjmował uwag krytycznych. Były na przykład opinie Najwyższej Izby Kontroli (kierowanej przez Mieczysława Moczara), która przestrzegała przed rozpoczynaniem wielu inwestycji. Postanowiono więc kontynuować tylko dobrze rokujące inwestycje, które mogły przynieść korzyści ekspor-

towe, i zacząć spłacać zaciągnięte kredyty. W praktyce zatrzymano część inwestycji... by rozpocząć kolejne.

Plany zwiększenia eksportu były z założenia nierealne, żaden kraj wtedy nie był w stanie tak szybko zdynamizować eksportu. Pogorszyła się koniunktura międzynarodowa. Kraje zachodnie, czyli pożyczkodawcy, nie zwiększały swojego importu z krajów zadłużonych. Pod koniec lat siedemdziesiątych obciążenie spłatami było wyższe niż wpływy PRL z eksportu, tylko 40 proc. przedsiębiorstw działających w ramach samospłaty realizowało zobowiązania płatnicze.

Największym jednak problemem było to, że w niedokończonych inwestycjach pogrzebano około biliona złotych.

B.P. — *Mam w oczach obraz takiej degrengolady przemysłowego krajobrazu polskiego — walające się zardzewiałe maszyny, błoto, zwałiska unieruchomionego sprzętu. To było widać nawet z okien pociągu, gołym okiem.*

K.M. — Tak właśnie wyglądały efekty zamrożenia inwestycyjnego, przerywano inwestycje, bo nie było na nie środków. Wartość nieprzekazanych do użytku inwestycji w 1980 r. szacowano na około 70 proc. ich wartości kosztorysowej.

Znacznie zmniejszyło się tempo wzrostu dochodu narodowego. W latach 1970–1975 rósł on średnio o 10 proc. rocznie, a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych o 1 proc. Pod koniec dekady, w latach 1979–1980, dochód narodowy spadł nawet o kilka procent.

B.P. — *Lata siedemdziesiąte po raz kolejny pokazały, że po pięknym początku następuje smutne zakończenie.*

K.M. — Pamięć o przyczynach klęski Gomułki i opinie z Moskwy, przeciwnej radykalnym podwyżkom burzącym spójność społeczny, spowodowały, że władze długo obawiały się podwyższyć ceny żywności, a po protestach w czerwcu 1976 r. ostatecznie wycofały się z podwyżek. Abstrahując już od metod dialogu społecznego stosowanych przez władze, brak podwyżek cen zaowocował ostatecznie niedoborami na rynku i reglamentacją. W lipcu 1976 r. wprowadzono przecież kartki na cukier.

Negatywne skutki gospodarki na kredyt zaczęły być odczuwalne w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Obniżył się poziom życia ludności, pojawiły się trudności w zaopatrzeniu. Rozpoczynając nowe inwestycje, zapomniano o modernizacji już istniejących. Przykładem może być Nowa Huta, która już wtedy wymagała znacznej modernizacji. Fakt, że w 1978 r. zatrudniała 35 tys. pracowników, świadczy, iż nie mogła być zakładem efektywnym.

Skutki ówczesnej polityki odczuwamy do dziś, choćby spłacając zaciągnięte wtedy długi, i tak częściowo zredukowane na początku lat dziewięćdziesiątych.

B.P. — *W jakim stopniu polskie katastrofy gospodarcze były rodzimego autorstwa, a w jakim wynikały one z zależności obowiązujących w obrębie bloku?*

K.M. — RWPG nigdy nie była sprawnie funkcjonującym organizmem gospodarczym. Kiedy w drugiej połowie swych rządów Gomułka chciał rozwinąć współpracę krajów socjalistycznych, okazało się to niemożliwe, ponieważ w porównaniu z zachodnimi, gospodarka socjalistyczna faktycznie nie była w stanie dobrze kooperować. Trudno powiedzieć, kto tak naprawdę w kogo inwestował. Rozliczenia w ramach RWPG były bardzo niejasne, dlatego też powszechne było przekonanie, że braki na rynku spowodowane są tym, iż towary są wywożone do ZSRR (tam zresztą analogicznie tłumaczono sobie trudności w zaopatrzeniu). Trzeba było kupować trzcinę cukrową na Kubie, żeby jej pomóc. Jest taka informacja, nie wiem, czy do końca prawdziwa, że Kuba otrzymała od krajów bloku większą pomoc niż Europa Zachodnia w ramach planu Marshalla. W ramach pomocy bloku dla krajów socjalistycznych w Trzecim Świecie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Polska współfinansowała pomoc dla komunistów wietnamskich. Na pewno należało dla dobra bloku rozwijać przemysł ciężki, zbrojeniowy. W latach siedemdziesiątych pewne transakcje na Zachodzie były zawierane po to, żeby nowoczesne technologie mogły napływać do Związku Radzieckiego. Transakcje te były skomplikowane, kupowano za dolary, sprzedawano za ruble transferowe. Ale zbudować generalny bilans tych rozliczeń jest trudno.

Największym ograniczeniem dla gospodarki PRL było to, że musiała funkcjonować w ramach modelu gospodarczego narzuconego przez uwarunkowania polityczne. Nie istniała swoboda zawierania umów gospodarczych w wymianie międzynarodowej. Niektóre umowy z ZSRR były jawnie niekorzystne dla Polski, jak ta o sprzedaży węgla z lat pięćdziesiątych. Z kolei ZSRR subwencjonował kraje RWPG, sprzedając im rudy żelaza (słabej co prawda jakości) po niskich cenach.

B.P. — *Pozostała nam ostatnia dekada PRL. Proszę ją scharakteryzować od strony gospodarczej.*

K.M. — Lata osiemdziesiąte, jeśli chodzi o przyrost dochodu narodowego, to najgorszy okres w dziejach PRL. Przyjmuje się, że realnie dochód wzrósł o 3 proc., co nie wyrównało spadku z początku tej dekady. Nastąpiło ogólne obniżenie standardu życia. Reglamentacją objęto praktycznie wszystkie dziedziny życia. Odzyskanie poziomu dochodu narodowego z 1978 r. w niektórych dziedzinach nastąpiło dopiero w latach dziewięćdziesiątych.

B.P. — *Ile kosztował stan wojenny?*

K.M. — Danych na ten temat brakuje, ale z pewnością były to duże koszty, na przykład na paliwo do wojskowych pojazdów. W czasie stanu wojennego wprowadzono reformę gospodarczą, polegającą *de facto* na bardzo radykalnej podwyżce cen, w wyniku której realne dochody ludności spadły o ponad 20 proc. (według niektórych szacunków spadek ten był jeszcze większy).

Próbowano oczywiście jakoś uporządkować gospodarkę, ale już w drugiej połowie dekady okazało się, że jest to praktycznie niemożliwe. Pojawiła się koncepcja drugiego etapu reformy gospodarczej. Władze jednak obawiały się niezadowolienia ludności spo-

wodowanego obniżeniem się poziomu życia, odwołały się więc do referendum, które w 1987 r. przegrały. Reformy rządu Rakowskiego w 1989 r. uruchomiły hiperinflację. Zmiany modelu gospodarczego dokonał dopiero pierwszy rząd solidarnościowy.

Na radykalne reformy w gospodarce władze nie miały zgody społecznej, prawdopodobnie zabrakło im również woli politycznej. Z pewnej liberalizacji gospodarki skorzystała w latach osiemdziesiątych prywatna inicjatywa, powiązana często z aparatem władzy. Zaczęły powstawać jakieś spółki *joint-venture* czy firmy polonijne. Tego typu aktywności sprzyjał powszechny niedobór towarów na rynku i związany z tym duży popyt. Spore znaczenie zaczyna mieć w latach osiemdziesiątych szara strefa, która z jednej strony uelastyczniała niewydolną gospodarkę, z drugiej sprzyjała powstawaniu różnych patologii w życiu gospodarczym, których skutki odczuwamy do dziś (korupcja, kapitalizm polityczny, sprzeniewierzenie publicznego majątku). Pojawiło się zjawisko dolaryzacji gospodarki. Ważną pozycję w budżecie wielu rodzin stanowiły pieniądze zarobione na Zachodzie, na tak zwanych saksach. W latach osiemdziesiątych przeciętna pensja wynosiła około 30 dolarów. Z kolei za kilka miesięcy pracy na czarno w RFN można było w Warszawie kupić mieszkanie.

Niewydolność ekonomiczna realnego socjalizmu znalazła potwierdzenie na arenie międzynarodowej. ZSRR nie był w stanie sprostać wyścigowi zbrojeń z USA, zależnemu w dużej mierze od konkurencyjności i nowoczesności gospodarki. Efektem tego był pokojowy rozpad najpierw bloku, a wkrótce samego Związku Radzieckiego.

Władysław Bieńkowski – przyjaciel Gomułki, dawny członek aparatu PPR i PZPR – napisał w 1969 r., że nie ten system wygra, który ma lepsze rakiety i sprawniejszą policję polityczną, lecz ten, który lepiej potrafi zaspokajać potrzeby życiowe i aspiracje ludzi. Wykazały to lata osiemdziesiąte – rozbudzone aspiracje życiowe poprzedniej dekady zostały skonfrontowane z nędzą i niewydolnością państwa. Z tego między innymi powodu opuściło Polskę w latach osiemdziesiątych około miliona osób. Byli to przeważnie ludzie młodzi, dobrze wykształceni.

Niezależnie od tego, że system gospodarczy był Polsce narzucony, był on po prostu niewydolny. Zbyt długo parametry rozwoju gospodarczego mierzono w sposób, od którego odchodzono w całym cywilizowanym świecie – wydobywaniem węgla, wytopem surówki. W latach pięćdziesiątych były to rzeczywiście wskaźniki uprzemysłowienia czy rozwoju, ale w latach siedemdziesiątych weszły inne technologie, i nawet jeśli je sprowadzano, to nie można ich było w pełni wykorzystać. Realny socjalizm okazał się systemem niereformowalnym.

O EMIGRACJI I POLONII

Ze Sławomirem Cenckiewiczem i Januszem Wróblem

B.P. — *Zjawisko emigracji w przypadku naszego narodu ma długie tradycje. Co charakteryzowało polskie środowiska rozsiane po całym świecie przed II wojną światową?*

S.C. — Przed wrześniem 1939 r. Polacy zamieszkiwali na wszystkich kontynentach. Ówczesnych „zagranicznych” Polaków można podzielić na dwie grupy: na tych tworzących skupiska autochtoniczne (w Niemczech, Związku Sowieckim, Rumunii czy na Litwie) oraz na tak zwane wychodźstwo europejskie (Francja, Belgia czy Szwajcaria) i zamorskie (USA, Brazylia, Południowa Afryka czy Australia). Rozsiani po świecie Polacy byli zróżnicowani pod względem społecznym, materialnym i politycznym. Na przykład Polonię amerykańską tworzyła przede wszystkim tak zwana emigracja zarobkowa, a więc głównie robotnicy. Nieprzypadkowo życie polonijne w Stanach koncentrowało się wokół wielkich centrów przemysłowych — w Filadelfii, Detroit, Nowym Jorku czy Chicago. W sensie kulturowym i politycznym amerykańscy Polacy byli tradycjonalistami — byli katolikami, integrowali się wokół polskich parafii i organizacji o charakterze narodowym. W okresie międzywojennym silne tu były tradycje „hallerowskie”, związane z czynem zbrojnym Polonii amerykańskiej w czasie pierwszej wojny światowej. Nieprzypadkowo więc wielu liderów polonijnych określało swoje poglądy mianem „endeckich”.

B.P. — *Jak wyglądała działalność organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych?*

S.C. — Pamiętajmy, że słabością Polonusów w Stanach był brak inteligencji, a więc także swego rodzaju kadry przywódczej. Dochodziły do tego silne procesy asymilacyjne, którym sprzyjały władze amerykańskie, a nawet hierarchia Kościoła katolickiego. To wszystko dezintegrowało Polonię, choć trzeba przyznać, że dzięki pracy polskich księży, działalności organizacji weteranów i czołowych organizacji polonijnych — Związku Narodowego Polskiego i Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego — kryzys ten udało się do pewnego stopnia przezwyciężyć. Dodać także należy, że po 1926 r. władze w Warszawie z powodzeniem ingerowały w życie wewnętrzne środowisk polonijnych, w tym także organizacji Polaków w Stanach Zjednoczonych. Chęć podporządkowania sobie diaspory przez „kraje macierzyste” była zresztą nie tylko specyfiką polską.

B.P. — *Jak środowiska polonijne zareagowały na wiadomość o hitlerowskiej napaści na Polskę?*

S.C. — Praktycznie ograniczyły się do protestów, tworzenia Komitetów Ratunkowych, organizacji zbierek i składek. Myślano wprawdzie o organizacji armii na wzór tej z okresu pierwszej wojny światowej, ale chociażby z powodu nieprzystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny jesienią 1939 r. było to niemożliwe. Koncepcja budowy armii polskiej w Ameryce odżyła po ataku japońskim na Pearl Harbor. Istnieją nawet relacje świadczące o tym, że na przełomie 1941/1942 r. z inicjatywą taką wychodzili amerykańscy wojskowi. Jeśli byłaby to prawda, to pozostaje pytanie, dlaczego zakończyło się to kompletnym fiaskiem.

J.W. — Faktem jest, że w 1939 r. Polonia amerykańska nie przyszła Polsce z tak wszechstronną pomocą jak w okresie pierwszej wojny światowej, kiedy to w szeregi utworzonej we Francji armii gen. Józefa Hallera wstąpiło 20 tys. ochotników z USA. Ci świetnie wyszkoleni i uzbrojeni żołnierze później znaleźli się w Polsce i dzielnie walczyli z bolszewikami i Ukraińcami. Był to autentyczny zbrojny wkład Polonii amerykańskiej w walkę o niepodległość kraju. Trzeba zapytać, dlaczego nie powtórzyło się to w latach drugiej wojny światowej. Częściowo było to skutkiem zadrażnień na linii kraj-Polonia amerykańska. „Światpol” (Światowy Związek Polaków z Zagranicy), kontrolowany przez władze polskie, starał się sterować poczynaniami całej Polonii na świecie, a Polonia amerykańska nie chciała uznać jego zwierzchności.

Ważna była też kwestia potraktowania przez II Rzeczpospolitą weteranów, którzy wrócili do Stanów Zjednoczonych. Nie załatwiono odpowiednio sprawy odpraw, emerytur, odznaczeń i to wywołało rozczarowanie. Doszły do tego niepowodzenia ekonomiczne polonijnych inwestorów w Polsce. W efekcie, gdy wybuchła druga wojna światowa, Polacy w Ameryce udzielili pomocy „staremu krajowi”, ale miała ona przede wszystkim charakter polityczny i finansowy, nie powiodły się natomiast próby rekrutacji do Polskich Sił Zbrojnych. Pamiętajmy, że do grudnia 1941 r. Stany Zjednoczone były formalnie krajem neutralnym, a rząd amerykański nie zezwalał na udział swoich obywateli w walce z Niemcami pod obcymi sztandarami.

B.P. — *Dlaczego władze przywiązywały taką wagę do działalności «Światpolu»?*

S.C. — „Światpol” powstał w 1929 r., jednak idea powołania jednej organizacji polonijnej dojrzała od początku lat dwudziestych. Chodziło o zintegrowanie środowisk polonijnych wokół tych samych celów, rzecz jasna z zachowaniem specyfiki każdej z grup. W okresie tworzenia „Światpolu” najważniejszą kwestią było powstrzymanie tak zwanej ofensywy mniejszościowej Niemiec. Niemcy doprowadziły do perfekcji relacje między macierzą a diasporą, dając w ten sposób przykład pozostałym państwom. Emigranci niemieccy stali się dla Berlina wygodnym instrumentem w realizacji *Weltpolitik*. Mimo wszystkich różnic z doświadczeń niemieckich korzystano w Europie, czyniły to także władze II Rzeczypospolitej, a po wojnie do pewnego stopnia

także PRL. W polityce zagranicznej jest przynajmniej kilka elementów stałych – interesy polityczne, wywiadowcze, gospodarcze. Skupiska polonijne okazywały się więc niezmiernie pomocne zarówno dla rządów przedwojennych, jak i powojennych.

B.P. – *Czy Polacy na Wschodzie też mieli jakąś rolę do spełnienia?*

J.W. – Tam sytuacja była diametralnie inna. Polonia we Francji czy Stanach Zjednoczonych miała możliwości wyrażania swoich interesów, zakładania stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, instytucji gospodarczych, nawet partii politycznych. Sytuacja na Wschodzie wyglądała inaczej i dlatego rząd polski miał niewielki wpływ na położenie zamieszkałych tam rodaków. Normalne życie polityczne i kulturalne Polaków w Związku Sowieckim było niemożliwe, chociaż formalnie gwarantował im to traktat ryski z 1921 r. Mogli funkcjonować tylko w ramach istniejących struktur, czyli w zasadzie w partii komunistycznej i jej przybudówkach. Z jednej strony Kreml sam inicjował pewne eksperymenty w polityce narodowościowej, czego przykładem były autonomiczne „polskie” rejony narodowościowe na Ukrainie i Białorusi (tak zwana Marchlewszczyzna w okręgu wołyńskim powstała w 1925 r. i Dzierżyńszczyzna na Białorusi utworzona w 1932 r.), a z drugiej prześladował polskich katolików, czego przykładem było aresztowanie i proces arcybiskupa Jana Cieplaka. Mniej więcej od 1934 r. polityka sowiecka wobec Polaków ma już wyłącznie represyjny charakter. Zaczęto likwidować autonomiczne rejony, w 1936 r. rozpoczęto wywózki ludności polskiej na wschód na wielką skalę, głównie do Kazachstanu, co wiązało się z przymusową kolektywizacją.

B.P. – *Jak wyglądała sytuacja Polaków na Litwie i w innych krajach bałtyckich?*

J.W. – Inaczej wyglądała sytuacja Polaków w państwach bałtyckich, zwłaszcza na Łotwie, gdzie mniejszość polska liczyła około 60 tys. osób i stanowiła zwarte skupisko w dawnych Inflantach Polskich (Łatgalii). Na Litwie Polaków było około 200 tys., niewielka mniejszość polska mieszkala również w Estonii. Ponieważ stosunki polsko-łotewskie przez cały okres międzywojenny były dobre, więc i sytuacja mniejszości polskiej na Łotwie była stosunkowo dobra, ciągle trwała też emigracja polska, głównie sezonowa. Dochodziło jednak do tarć w związku z reformą rolną, wprowadzoną w krajach bałtyckich na początku lat dwudziestych, która uderzyła w wielką własność ziemską, także polską. Republiki te były w przeważającej większości chłopskie, zatem reforma rozwiązywała nie tylko problem agrarny, ale i polityczny, stając się środkiem umacniania tożsamości narodowej tych krajów.

S.C. – Poza Związkiem Sowieckim bodaj najtragiczniejsza była sytuacja Polaków na Litwie. Brak stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą przez prawie cały okres międzywojenny sprzyjał represyjnej polityce władz kowieńskich wobec Polaków. Problem dotyczył zagwarantowania praw zupełnie podstawowych – polskiego szkolnictwa, dostępu do polskiej książki, swobód językowych, kulturalnych i religijnych.

B.P. – *Powróćmy do września 1939 r. Klęska wrześniowa doprowadziła do niespotykanych dotychczas migracji Polaków.*

J.W. – Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej rozpoczęły się przemieszczenia ludności na gigantyczną skalę. Nie było to sprawą przypadku czy okoliczności, które stwarza każda wojna. Oba totalitarne mocarstwa, które zaatakowały Rzeczpospolitą – Trzecia Rzesza i Związek Sowiecki – od dawna przygotowywały się do masowych przesiedleń. W Niemczech prowadzono na dużą skalę badania demograficzne, z których wyciągano wnioski, że wyludniającym się prowincjom wschodnim Rzeszy grozi zalew ze strony silnego biologicznie narodu polskiego. Tym naturalnym tendencjom zamierzano zapobiec, dokonując masowych akcji wysiedleńczo-kolonizacyjnych oraz eksterminacji ludności żydowskiej i polskiej. Z kolei w Związku Sowieckim od dawna ludzi traktowano jako jeden z elementów systemu państwowego, którym można dowolnie manipulować. Przymusowe przesiedlenia zarówno z przyczyn politycznych, jak i ekonomicznych były praktykowane od pierwszych dni władzy radzieckiej. Układy sowiecko-niemieckie z sierpnia i września 1939 r. dotyczyły również wymiany ludności. Z sowieckiej strefy interesów miała być ewakuowana ludność niemiecka, z terytoriów opanowanych przez Niemcy – ludność ukraińska i białoruska. Hitler już w 1940 r. mógł rozpocząć wielką akcję wysiedlania ludności polskiej z Wielkopolski, Pomorza i Łódzkiego. Na miejsce deportowanych do Generalnego Gubernatorstwa i wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec przybywali Niemcy z krajów bałtyckich, Wołynia i Besarabii. Stalin zatem ułatwił Hitlerowi realizację jego zbrodniczych koncepcji polityki narodowościowej.

S.C. – Po przegranej wojnie obronnej w niewoli niemieckiej znalazło się około pół miliona Polaków, w tym 19 tys. oficerów. Według źródeł rosyjskich, liczba jeńców polskich wziętych do niewoli przez Sowietów była porównywalna – odpowiednio ponad 450 tys. jeńców, w tym niecałe 19 tys. oficerów WP. Co jakiś czas wyliczenia te podlegają jednak weryfikacjom. W tym samym czasie na terenie Rumunii, Węgier, Litwy, Łotwy i Szwecji wraz z władzami RP internowano ponad 80 tys. żołnierzy, w tym około 10 tys. oficerów. Ich podstawowym celem było przedostać się na Zachód, do Francji, gdzie powstał rząd gen. Władysława Sikorskiego, który niemal od razu przystąpił do odbudowy armii polskiej.

B.P. – *Wojna toczy się dalej. Paradoksalnie, kolejny jej obrót, to znaczący napaść Niemiec na Związek Sowiecki, stworzył perspektywę wyzwolenia tym Polakom, którzy wcześniej stali się ofiarami represji sowieckich.*

J.W. – Aby to zrozumieć, należy wrócić do lat 1939–1941. Od lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. przeprowadzono kilka wielkich akcji deportacyjnych, trwały też wywózki indywidualne. Do dzisiaj nie wiemy, ilu Polaków po 1939 r. wywieziono w głąb ZSRR. Prof. Albin Głowacki, który zbadał sowieckie dokumenty, utrzymuje, że było ich około 325 tys. Emigracyjne szacunki, robione w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, mówią o tym, że deportowano od 800 tys. nawet do półtora miliona.

B.P. — *Od działaczy polskich w Kazachstanie usłyszałam liczbę dwa i pół miliona.*

J.W. — Rozstrzygnięcie sporu będzie możliwe, gdy skonfrontuje się wszystkie źródła — nie tylko sprawozdania urzędowe władz sowieckich, ale również dokumentację polskich delegatur Ambasady RP w Związku Sowieckim, przechowywaną po wojnie w kalifornijskim Instytucie Hoovera. Bliższe prawdy są chyba jednak nowsze wyniki badań, oparte na danych z archiwów postsowieckich.

B.P. — *Jak doszło do uwolnienia zesłańców?*

J.W. — Do czerwca 1941 r. nie było żadnych oficjalnych kontaktów polsko-sowieckich. Nie powiodła się próba utworzenia przez Sikorskiego biura przy ambasadzie brytyjskiej w Moskwie. Sytuacja oczywiście zmieniła się po 22 czerwca 1941 r., kiedy Niemcy napadły na ZSRR. Doszło do rozmów dyplomatycznych i zawarcia 30 lipca układu Sikorski-Majski. Efektem tej umowy była tak zwana amnestia. Jej formuła była dosyć dziwaczna, bo przecież obywatele polscy nie byli przestępcami. Zaczęto formować polskie wojsko pod wodzą gen. Władysława Andersa. Niezależnie od tego pojawił się problem wielotysięcznych rzesz ludności cywilnej, głównie kobiet, starców i dzieci.

B.P. — *To był skomplikowany problem o charakterze dyplomatycznym, politycznym i logistycznym. Jak go rozwiązano?*

J.W. — Była ewakuacja wiosenna, marzec-kwiecień 1942 r. i letnia, sierpień-wrzesień 1942 r. Sprawa ewakuacji pojawiała się w rozmowach między polskim rządem emigracyjnym a Rosjanami już wcześniej. Chodziło między innymi o to, że Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie cierpiały na brak żołnierzy, przede wszystkim szeregowców i podoficerów. Uważano, że Polacy ze Związku Sowieckiego mogą dostarczyć rekrutów. Rosjanie nie chcieli się na to zgodzić. Armia polska pod dowództwem Andersa miała zostać, by walczyć na froncie wschodnim. Najpierw więc chodziło o wyprowadzenie tylko kilku tysięcy ludzi. Rosjanie w końcu zgodzili się na ewakuowanie części żołnierzy, a potem, na skutek pogarszania się stosunków polsko-rosyjskich — całej armii. Przy okazji pojawiła się sprawa wyjazdu ludności cywilnej. Rosjanie godzili się tylko na ewakuację rodzin wojskowych. Strona polska potraktowała to jako pojemną formułę: uwzględniła więc nie tylko osoby najbliższe, ale również krewnych żołnierzy, którzy znajdowali się w obozach jenieckich, i rodziny wszystkich polskich wojskowych, gdziekolwiek się oni znajdowali. Dochodziło też do licznych sporów w kwestii żydowskiej. Rosjanie i część strony polskiej utrzymywała, że Żydzi tej ewakuacji nie powinni podlegać, niemniej kilka tysięcy Żydów mogło wtedy wyjechać.

B.P. — *Jak wyglądała sytuacja ludności cywilnej?*

J.W. — Z ogólnej liczby około 115 tys. ewakuowanych prawie 40 tys. stanowiła ludność cywilna. Ci ludzie zostali wyrwani z piekła. Do tej pory przebywali w sowieckiej Azji Centralnej. W 1942 r. doszło tam do katastrofy humanitarnej — umierano z powodu chorób zakaźnych, tyfusu, malarii, straszliwego głodu. Według danych

Ambasady RP tylko od początku lutego do kwietnia 1942 r. na 27 tys. obywateli polskich znajdujących się w *obłasti* samarkandzkiej zmarło z głodu i chorób ponad 1600 osób. Szybka ewakuacja była jedyną szansą ocalenia tych ludzi. Ludzie zabierali się z transportami wojskowymi i koleją jechali do Krasnowodzka. Tam była baza, gdzie przygotowywano dalszy wyjazd, załatwiano formalności, odbierano sowieckie dokumenty i pieniądze. Ludzie na sowieckich statkach płynęli do portu Pahlewi w Iranie, gdzie otworzono duże obozy przejściowe. Stamtąd w ciągu kilku dni wywożono ich do Teheranu, gdzie były już stałe, duże osiedla pod namiotami, w hangarach i niewykończonych halach fabrycznych. W czasie ewakuacji ludzie często umierali, mimo że starano się zapewnić im jak najlepsze warunki. Na brzegu perskim były zorganizowane szpitale, dostarczano pożywienie, od razu zmieniały się warunki życiowe. Zadbali o to Anglicy, ale i Persowie mieli swój duży wkład.

B.P. — *Kto to finansował?*

J.W. — W głównej mierze Anglicy, którzy stworzyli organizację do spraw pomocy uchodźcom (Middle East Relief and Refugee Administration). Koszty utrzymania uchodźców były pokrywane z kredytów angielskich udzielanych rządowi polskiemu do spłaty po wojnie.

B.P. — *Czy spłata ta została wyegzekwowana?*

J.W. — Polski rząd na uchodźstwie nie mógł oddać tych pieniędzy, gdyż do kraju nie powrócił. Ta sprawa wypłynęła ponownie w rozmowach między Anglikami a Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej. Anglicy chcieli, żeby część złota z Banku Polskiego ewakuowanego w 1939 r. trafiła do nich w ramach tych rozliczeń. Rząd polski argumentował, że Polska jest tak biednym krajem, iż nie jest w stanie spłacić długu. Ostatecznie Brytyjczykom wypłacono tylko 3 mln funtów w zlocie, chociaż ogólna kwota kredytów udzielonych polskiemu rządowi w Londynie na cele cywilne przekroczyła 30 mln funtów. Spłatę reszty umorzono lub rozłożono na 15 lat.

B.P. — *Co później działo się z cywilami?*

J.W. — Rok 1942 to przełomowy okres wojny. Niemcy wchodzą na Kaukaz, idą na Stalingrad, w Afryce atakuje Rommel. Alianci zachodni nie mieli zbyt dużego pola manewru, a jednak — i to trzeba docenić — w tych trudnych warunkach starali się, żeby ta ludność miała w miarę znośne warunki życia. W Iranie było bardzo trudno, między innymi z powodu niesprzyjającego, gorącego klimatu. Trzeba było Polaków ewakuować gdzieś dalej. Ostatecznie około 20 tys. popłynęło do Afryki, głównie do posiadłości brytyjskich — do Tanganiki, Ugandy, Rodezji Południowej i Północnej, Kenii i częściowo do Unii Południowej Afryki. Utworzono kilkanaście obozów dla uchodźców. Zapewniono w nich opiekę lekarską, wyżywienie, nie musieli pracować, chociaż starano się ich jakoś zająć. Administracje obozowe podlegały delegaturom Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Z pieniędzy przekazywanych przez Brytyjczyków opłacono koszty utrzymania obozów. Rozwinięto na dużą skalę szkolnictwo, prowadzono w miarę możliwości działalność kulturalną. Uchodźcy

mogli przeżyć w obozach całą wojnę w zupełnie przyzwoitych warunkach. Część została w Teheranie i innych miejscowościach Iranu. Dzieci znalazły się w Isfahanie, gdzie powstały ośrodki szkolne, część była w Ahwazie, nad Zatoką Perską. Ośrodek irański liczący ogółem kilka tysięcy ludzi przetrwał do 1945 r. Powstało tam kilka bardzo cennych inicjatyw, między innymi utworzono instytucję naukową o nazwie Towarzystwo Studiów Irańskich, w której działali znani profesorowie: Stanisław Kościalkowski, Zygmunt Klemensiewicz i Stanisław Swianiewicz. Prowadzono badania nad kulturą i historią Persji. W Teheranie wydawano periodyk „Studia Irańskie”. W Persji powstały komórki PPS, ugrupowania narodowe, pilsudczykowski, toczono ostre spory polityczne. Rozwinęła się prasa polska. We wszystkich krajach, które przyjęły uchodźców, były polskie czasopisma, a nawet polskojęzyczne programy radiowe. Polacy ewakuowani z ZSRR znaleźli się też między innymi w Indiach Brytyjskich i Nowej Zelandii. Za zgodą gen. Andersa w Palestynie została część polskich oficerów pochodzenia żydowskiego. Około 1500 osób skierowano do osiedla Santa Rosa w środkowym Meksyku. Ważnym ośrodkiem polskim był też Bejrut – stolica Libanu.

B.P. — *Czy ci ludzie zostali tam po wojnie?*

J.W. — Na ogół chcieli wyjeżdżać, bo te kraje były biedne, a oni sami nie bardzo mieli możliwości startu. Przeważali wśród nich niezamożni chłopcy z Kresów, bez kwalifikacji, bez znajomości języka. Nie uczono się angielskiego, ponieważ uważano, że to jest okres przejściowy. Proces emigracji Polaków z obozów uchodźców do bogatych krajów Zachodu, głównie Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii, Francji, a także Argentyny, był trudny i trwał długo, aż do początków lat pięćdziesiątych.

B.P. — *Utrwała się nowy podział Europy i podział Polaków, na tych, którzy są w nowej Polsce, i tych, którzy są na emigracji. To jest podział przestrzenny i polityczny.*

S.C. — Podział ten był dość czytelny dla znacznej części polskiego wychodźstwa już w 1943 r. — w przełomowym momencie wojny. Wystarczy sięgnąć do ówczesnej publicystyki Ignacego Matuszewskiego, Stanisława Mackiewicza czy dzienników Tadeusza Katelbacha, by się przekonać, iż nie mieli oni złudzeń co do tego, że niebawem Polska znajdzie się w objęciach Stalina, który nie dość, że ją podbije, to w dodatku zaanektuje Kresy Wschodnie. Decyzje podjęte przez mocarstwa podczas konferencji w Moskwie, Teheranie czy Jałcie były dla nich tylko przypieczętowaniem klęski, której początek stanowiły zwycięstwa Armii Czerwonej pod Stalingradem i Kurskiem. Charakterystyczne, że dla środowisk pilsudczykowskich w Stanach Zjednoczonych, a po części także w Londynie, przełomem jest nie tyle tragiczna śmierć Sikorskiego, ile właśnie sukcesy Armii Czerwonej i październikowa konferencja moskiewska. Nie chcę przez to powiedzieć, że był to pogląd dominujący, niemniej jednak znaczna część wychodźstwa w ten sposób myślała.

B.P. — *Jak można scharakteryzować poglądy Polaków za granicą na nowy ład w Polsce i Europie?*

S.C. — W pierwszych latach po wojnie dominowały trzy orientacje. Pierwszą — tak zwaną realistyczną — uosabiał Mikołajczyk. Jej zwolennicy twierdzili, iż idea legalizmu i pozostania na wygnaniu zbankrutowała, trzeba aktywnie włączyć się w życie polityczne i społeczne kraju, próbując w ten sposób powstrzymać proces sowietyzacji Polski. Drugą — tak zwaną legalistyczną — tworzyli „niezlomni” wraz ze wszystkimi instytucjami „państwa na wygnaniu” (prezydent, rząd, wojsko). Liczyli oni na globalny konflikt między Wolnym Światem a Związkiem Sowieckim. I wreszcie orientacja „zdroworozsądkowa”, którą praktycznie reprezentowało środowisko „Kultury” paryskiej. Pozostając na wygnaniu, Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski porzucili legalizm. Sądziли, że ciężar walki o niepodległość spoczywać będzie nie na „polskim Londynie”, a wyłącznie na Polakach w kraju. Rolę emigracji postrzegali przede wszystkim przez pryzmat pomocy krajowi. W Stanach Zjednoczonych sytuacja wyglądała inaczej. Od 1944 r. działał tu Kongres Polonii Amerykańskiej, który przynajmniej w pierwszym okresie opowiadał się za współpracą z rządem RP na uchodźstwie, lecz po umowie Rozmarek-Mikołajczyk z 1947 r. ograniczył swe kontakty z Londynem. Prezes KPA Karol Rozmarek w dalszym ciągu nie uznawał jednak władz warszawskich i opowiadał się za wyzwoleniem kraju spod komunizmu. W pełni „londyńską” emigrację na terenie Stanów tworzyły natomiast agendy rządu na uchodźstwie, środowisko nowojorskiego Instytutu Józefa Piłsudskiego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Stały one na gruncie legalizmu, protestując zdecydowanie przeciw wszelkim próbom pozyskania Polonii amerykańskiej przez komunistów.

B.P. — *Nie bardzo wierzę, że władze komunistyczne nie zyskały za oceanem żadnego poparcia.*

S.C. — Tego nie powiedziałem. Już podczas wojny, głównie na Wschodnim Wybrzeżu USA, dali o sobie znać późniejsi „inżynierowie dusz” — Aleksander Hertz, Oskar Lange, Bolesław Gebert, Stefan Arski czy Julian Tuwim. Za oceanem ukrywali się pod szyldem „postępowej części Polonii” i obrońców polityki Sikorskiego. Od końca 1941 r. w ostrych słowach atakowali „sanację” i otwarcie opowiadali się za bliską współpracą ze Związkiem Sowieckim. Jako pierwsi agitowali także za rewizją granicy ryskiej i uznaniem linii Curzona. Po wojnie natomiast zachęcali do powrotu do kraju i „zasiedlania ziem odzyskanych”. Nieprzypadkowo pierwszym ambasadorem Polski Ludowej w USA został właśnie Lange. Komunistom chodziło o pokazanie, że emigracja i Polonia amerykańska to nie tylko „reakcjonści” i „sanatorzy”, ale też „ludzie postępu” przyjaźnie nastawieni do Związku Sowieckiego. Specjalną rolę miały tu odegrać tak znane i cieszące się autorytetem postaci jak poeta Julian Tuwim, legenda powstania w getcie warszawskim Jan Galewicz, aktor i malarz Tadeusz Kantor czy nawet Czesław Miłosz, który pełnił po wojnie funkcję attaché kulturalnego w Waszyngtonie. Wszyscy oni zgodnie agitowali za „nową Polską” i namawiali do powrotu.

W walce o wpływ w środowisku polonijnym w Stanach sięgano nawet po straszak antysemityzmu. Lange i Galewicz w 1946 r. próbowali pozyskać do współpracy przyznających się do polskości, lecz nie działających w KPA Żydów. Straszono ich antysemityzmem kierownictwa Kongresu i przybywających do USA zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, których obwiniano nawet o pogrom kielecki. W lipcu 1946 r. manipulowanie stosunkami polsko-żydowskimi spotkało się ze zdecydowaną reakcją nowojorskiego środowiska polskich intelektualistów pochodzenia żydowskiego (między innymi Jana Lechonia, Henryka Aschkenazego i Kazimierza Wierzyńskiego).

J.W. — Wymienieni działacze komunistyczni wypłynęli na szersze wody polityczne. Był taki projekt Stalina, żeby członkowie Polonii amerykańskiej, między innymi Oskar Lange i ksiądz Stanisław Orlemański (polski ksiądz urodzony w Stanach Zjednoczonych), weszli w skład przygotowywanego rządu polskiego, tego przyszłego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Zostali zaproszeni do Moskwy i przyjęci przez samego Stalina, który prowadził z nimi rozmowy. Było to niezwykle perfidne posunięcie, wymierzone przeciwko rządowi w Londynie. Trwały przetargi o to, ilu przedstawicieli rządu na uchodźstwie ma wejść do nowego rządu tworzonego w kraju. Rosjanie mówili — my jesteśmy gotowi wprowadzić do niego obywateli amerykańskich i nawet księdza katolickiego (Lange i Orlemański mieli obywatelstwo amerykańskie). Użyto ich jako elementu nacisku na polski Londyn.

S.C. — Komuniści nie osiągnęli w Stanach Zjednoczonych zbyt wielkich sukcesów. W 1955 r. do fiaska polityki PRL wobec Polonii przyznał się nawet ambasador Romuald Spasowski.

B.P. — *W 1945 r. Londyn jest nadal siedzibą Rządu Polskiego na uchodźstwie. W lipcu tego roku alianci cofnęli mu uznanie, przekazując je ekipie Bieruta. To jest początek sporu w polskim Londynie. Na czym ten spór polegał?*

S.C. — Dotyczył dwóch kwestii — powrotu do Polski i uznania nowej, komunistycznej rzeczywistości. W „polskim Londynie” powstają dwa nieformalne stronnictwa — stojących na gruncie legalizmu „niezłomnych” i opowiadających się za powrotem do kraju „realistów” (nazywanych czasem „zdrajcami”). Pierwsi skupili się wokół legalnych władz — prezydenta Władysława Raczkiewicza i rządu Tomasza Arciszewskiego, drudzy natomiast razem ze Stanisławem Mikołajczykiem, Stanisławem Kotem, Stanisławem Grabskim i Henrykiem Strasburgerem wyjechali do Warszawy. Co ciekawe, niektórzy z nich wracali później na Zachód, lecz w zupełnie nowej roli. Strasburger i Kot — główne filary ekipy Sikorskiego i Mikołajczyka — zostali dyplomatami komunistycznej Polski.

J.W. — Henryk Strasburger, były członek rządu gen. Sikorskiego, był pierwszym ambasadorem Polski Ludowej w Londynie, z kolei hrabia Jan Drohojowski, były ambasador na Kubie, z ramienia Polski Ludowej został ambasadorem w Meksyku.

Kwestia wyborów politycznych nie była ograniczona tylko do Mikołajczyka i ludowców. Jednak Mikołajczyk, mając ograniczone poparcie Zachodu, próbował wykorzystać możliwości polityczne, które jeszcze pozostały.

B.P. — *Czy postawa Mikołajczyka miała jakieś poparcie?*

S.C. — Pomijając zwykłych żołnierzy i cywilów powracających do kraju, Mikołajczyk nie mógł liczyć na większe poparcie polityczne w Londynie. Najważniejsze stronnictwa polityczne emigracji — PPS, Stronnictwo Narodowe czy Liga Niepodległości Polski — okrzyknęły go „zdracą sztandaru legalizmu” i „księciem jałtańskim”. W pierwszych latach po wojnie do kraju wróciło wprawdzie około 100 tys. żołnierzy PSZ, lecz zarówno elity wojskowe, jak też główne ugrupowania polityczne w Londynie opowiedziały się za kontynuowaniem walki o niepodległość. Sytuacja była dość skomplikowana. Rząd polski był uznawany już tylko przez Watykan oraz rządy Hiszpanii, Portugalii, Irlandii i Chile. Emigracja londyńska i środowiska polonijne w Stanach Zjednoczonych bezskutecznie próbowały odwrócić bieg historii. Jeszcze w kwietniu 1945 r. grono działaczy Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia na czele z Ignacym Matuszewskim weszło w skład delegacji amerykańskiej na konferencję 46 państw w San Francisco. W trakcie jej trwania mjr Henryk Floyer-Rajchman domagał się od Mołotowa wyjaśnień na temat porwania 16 członków rządu podziemnego. Jednak działania te, choć — trzeba przyznać — dość spektakularne, nie mogły osiągnąć spodziewanego efektu. Pozostawały więc nadzieje na konflikt Wschód-Zachód i wybuch trzeciej wojny światowej.

B.P. — *Skąd, po 1945 r. brały się środki na funkcjonowanie władz emigracyjnych?*

J.W. — Większe możliwości finansowe miała w zasadzie tylko Polonia amerykańska, która z racji swojej liczebności i jednak określonego dorobku materialnego mogła wspomóc różnego rodzaju przedsięwzięcia na rzecz sprawy polskiej. Wspomnieć można tu chociażby o utworzeniu Skarbu Narodowego.

S.C. — Regularnych wpłat na konto Skarbu Narodowego dokonywano jednak przede wszystkim w „polskim Londynie”, choć wpływy te były znikome i nie wystarczały nawet na pokrycie kosztów urzędowania prezydenta i rządu. Problemy finansowe pogłębiał w dodatku kryzys polityczny emigracji, który trwał nieprzerwanie od śmierci prezydenta Raczkiewicza w 1947 r. aż do objęcia w 1972 r. prezydentury przez Stanisława Ostrowskiego. Spór dotyczył kwestii sukcesji po Raczkiewiczu, która w 1947 r. przypadła Augustowi Zaleskiemu. Główne stronnictwa emigracyjne zawarły porozumienie, domagając się jednogłośnie ustąpienia Zaleskiego i powierzenia urzędu gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu. Niestety, mimo kilku misji mediacyjnych, kryzysu tego nie zdołano przezwyciężyć, co w jeszcze większym stopniu obniżyło pozycję polskiego uchodźstwa na arenie międzynarodowej. W okresie rozbiegów emigracji istniały faktycznie dwa ośrodki władzy (prezydencki i skupiony wokół Rady Trzech „obóz zjednoczenia”), a więc także dwa Skarby Narodowe. Po scaleniu obozu

niepodległościowego w 1972 r. władze RP na uchodźstwie ponownie powołały wspólny Skarb Narodowy.

J.W. — Podstawy finansowe działalności publicznej emigracji były bardzo wątłe, z wyjątkiem Wolnej Europy, która miała solidne zaplecze, ale to nie były pieniądze polskie. Sporymi środkami finansowymi dysponował w Stanach Zjednoczonych na przykład Związek Narodowy Polski, stanowiący najsilniejszą organizację w ramach Kongresu Polonii Amerykańskiej. Ta wielka instytucja, licząca kilkaset tysięcy członków o majątku kilkuset milionów dolarów, mogła sobie pozwolić na różnego rodzaju akcje charytatywne, wydawnicze, dysponowała własną rozgłośnią radiową, własną prasą.

B.P. — *Powróćmy do relacji między PRL a emigracją i Polonią. Władze w Warszawie nawoływały Polaków do powrotu. Czym się wówczas kierowały?*

J.W. — W chwili zakończenia wojny poza granicami państwa polskiego w nowym kształcie terytorialnym były miliony Polaków. Na roboty przymusowe wywieziono w latach wojny ponad 2,5 mln Polaków, część z nich jeszcze była w Niemczech. Na Wyspach Brytyjskich, we Włoszech i na Bliskim Wschodzie stacjonowały Polskie Siły Zbrojne. Setki tysięcy Polaków znajdowały się w Związku Sowieckim. I jeszcze Polacy w Afryce, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii, w Portugalii itd. Dla nowych władz komunistycznych był to ogromny problem natury politycznej, bo ci uchodźcy mogli stać się zapleczem dla działalności politycznej rządu londyńskiego. Był to również problem o charakterze gospodarczym — jeżeli kilka milionów obywateli przebywa poza granicami kraju, to nie uczestniczą oni w dziele odbudowy. W końcu w grę wchodziły względy społeczne — rozdzielenia setek tysięcy rodzin. Władze komunistyczne były zainteresowane tym, żeby jak najwięcej ludzi powróciło. Rzucono hasło: wszyscy wracajcie, dla każdego jest miejsce w ojczyźnie. Powstały Państwowy Urząd Repatriacji, urząd Głównego Pełnomocnika ds. Repatriacji, urzędy pełnomocników ds. ewakuacji ludności polskiej z terenów Związku Sowieckiego, powołano misje repatriacyjne, które wysyłano do innych krajów. Polacy znajdujący się w krajach zachodnich stawali przed wielkim dylematem. Wracać do kraju, który nie był ani suwerenny, ani demokratyczny, czy też wybrać emigrację. Stali przed trudnym wyborem, ale przynajmniej mogli sami decydować.

Jeśli chodzi o dawną ludność kresową, to sprawa była dodatkowo skomplikowana, bo ci, którzy wyszli z armią gen. Andersa, nie mieli dokąd wracać. W latach 1944–1945 lubelski PKWN, a potem rząd w Warszawie, zawarł wiele układów z władzami Związku Sowieckiego o repatriacji Polaków zza Bugu. Objęto nimi tych Polaków i Żydów, którzy znajdowali się w głębi ZSRR, i tych, którzy mieszkali na Kresach Wschodnich.

B.P. — *Czy można zbilansować te powojenne powroty?*

J.W. — W latach 1944–1948 ze Związku Sowieckiego przyjechało do Polski ponad 1,5 mln przedwojennych obywateli polskich. Repatriacją nie objęto wszystkich, w ZSRR pozostały znaczne skupiska ludności polskiej. Według oficjalnych danych,

w 1959 r. mieszkało tam nadal około 1,4 mln Polaków, z czego ponad pół miliona na Białorusi i ćwierć miliona na Litwie. Z Niemiec wróciła ogromna część robotników przymusowych wywiezionych tam w latach wojny. Liczbę tych, którzy powrócili, szacuje się na 1,6 mln osób. Z innych krajów europejskich, w tym Wielkiej Brytanii, przyjechało blisko 300 tys. osób. Kilka tysięcy powróciło z krajów pozaeuropejskich.

S.C. – W 1945 r. w Niemczech było około miliona Polaków, rok później pozostało ich niespełna pół miliona. W 1949 r. na terenie zachodnich Niemiec pozostawało łącznie ponad 100 tys. Polaków. Do opieki nad tak wielką rzeszą rodaków rząd polski na uchodźstwie powołał Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech, który, jak wiele na to wskazuje, dysponował dość pokaźnymi sumami pieniędzy. Powstało tam także Zjednoczenie Polskie, któremu przewodzili deklarujący się wówczas jako „niezłomni” Klaudiusz Hrabyk i Witold Olszewski. I choć w późniejszym okresie obaj wrócili do kraju, to zaraz po wojnie opowiadali się za pozostaniem na wygnaniu i kontynuowaniem walki z reżimem. Do najbardziej spektakularnych powrotów należał niewątpliwie przyjazd urzędującego premiera rządu na uchodźstwie Hugona Hankego we wrześniu 1955 r. Po latach okazało się, że był on agentem wywiadu PRL o pseudonimie „Ważny”. Poza Hankem, do kraju wrócił także inny z emigracyjnych premierów – Stanisław Cat-Mackiewicz.

J.W. – Toczyła się wielka dyskusja – wracać czy nie wracać. Dla robotników przymusowych sytuacja była o tyle prosta, że większość tych ludzi pochodziła z Kieleckiego, Poznańskiego, Łódzkiego, oni mieli dokąd wracać. Dla żołnierzy armii Andersa czy dla cywilów w Afryce repatriacja do Polski oznaczała przybycie do kraju, którego w ogóle nie znali, bo Kresy pozostały po stronie sowieckiej. Władze komunistyczne działały bardzo skutecznie i w sposób przemyślany. W obozach dla uchodźców pojawiali się oficerowie repatriacyjni, którzy najpierw starali się pozyskać przychyłność władz angielskich. Apele o powrót drukowano w angielskojęzycznej prasie. Skutek był marny, wracali tylko ci, których część rodziny była już w Polsce.

Mówiąc o migracjach okresu powojennego, można wprowadzić pewną periodyzację. Pierwsze powojenne lata to okres dużych ruchów migracyjnych, tak zwana repatriacja ze Wschodu, repatriacja z Zachodu. Wtedy na polskiej granicy chętnie przepuszczano powracających. Zmiana nastąpiła około 1948 r., granice zostały zamknięte i nikogo już nie zachęcano do powrotu. Polaków pozostających na emigracji przedstawiano jako zdrajców, zaczęły się represje wobec tych, którzy wrócili wcześniej. Efekt był taki, iż w 1950 r. powróciło do Polski tylko 3 tys. osób. W połowie lat pięćdziesiątych władze znowu zaczęły nawoływać emigrantów politycznych do powrotu.

B.P. – *Polacy zaczęli też opuszczać «Polskę Ludową».*

J.W. – Statystyki emigracji z Polski wyraźnie wskazują, że wyjazdy te były związane z przesileniami politycznymi. W pierwszych latach po wojnie wyjazdów było sporo, między innymi z racji łączenia rodzin. W latach 1948–1954 liczba emigrantów spadła do kilku tysięcy osób rocznie, więc można powiedzieć, że to było zjawisko mar-

ginalne. Po Październiku 1956 r. obserwujemy nasilenie się fali wyjazdów. W latach 1956–1957 rocznie wyjeżdżało blisko 150 tys. osób. Potem następuje znaczny spadek i następna fala wyjazdów pojawia się w latach 1968–1969, a kolejna na początku rządów Gierka, w związku z liberalizacją polityki wyjazdowej, w końcu wielka fala emigracji związana była z kryzysem lat 1980–1981. Emigrantami w okresie powojennym byli nie tylko Polacy, ale i Żydzi oraz Niemcy, którzy przede wszystkim zostali wysiedleni w latach czterdziestych. Spore ich grupy zostały na Śląsku, Pomorzu i w województwie łódzkim. Ich sytuacja często była skomplikowana, byli związani małżeństwami mieszanymi. Odrębny był problem ludności polsko-niemieckiego pogranicza językowo-kulturowego, zwłaszcza na Opolszczyźnie, Mazurach i Kaszubach. Po 1956 r. i później w decyzjach o wyjeździe do Niemiec dominującą rolę odgrywał częściej czynnik ekonomiczny niż ideologiczny. Niemcy Zachodnie były krajem dobrze prosperującym. Odbывała się też akcja łączenia rodzin, na którą nalegał rząd w Bonn. Z Polski wyjechały tysiące Żydów, którzy przeżyli wojnę na Wschodzie. Wyjeżdżali głównie po powstaniu państwa Izrael i pod wpływem nastrojów antysemickich w Polsce. Kolejna ich grupa wyjeżdża w latach 1956–1957, część z nich stanowili ludzie aparatu partyjnego i służb specjalnych, którzy stracili pracę w wyniku destalinizacji.

B.P. — *Jak środowiska polonijne na Zachodzie przyjmowały PRL-owskich emigrantów?*

S.C. — Zależało to od tego, jaką pozycję zajmowali w PRL. Przykładem — delikatnie mówiąc — niechęci emigracji niepodległościowej do „współpracowników reżimu” może być sprawa Czesława Miłosza. Jego przyjazd do Paryża wywołał wiele kontrowersji, a jeden z najwybitniejszych polskich sowietologów emigracyjnych, a wcześniej oficer polskiego wywiadu kpt. Jerzy Niezbrzycki (pseudonim Ryszard Wraga) oskarżył go o agenturalność. Niemal jedynym obrońcą poety był Giedroyc.

B.P. — *Środowiska starej emigracji musiały jakoś uporać się z tym, że z kraju wyjeżdżają ludzie, i siłą rzeczy musiały otoczyć przyjezdnych opieką.*

S.C. — Najlepiej przyjmowano żołnierzy Armii Krajowej i ludzi podziemia, czyli dawnych towarzyszy broni. Starano się im pomóc, choć rząd emigracyjny sam borykał się z trudnościami finansowymi. Nie miało większego znaczenia, czy ktoś był przed wojną znanym politykiem, posłem czy senatorem. Każdy musiał radzić sobie na własną rękę. W Londynie wielu zasilalo tak zwane „srebrne brygady” — pracowników czyszczących po nocach srebro w angielskich zakładach jubilerskich.

B.P. — *Jak zmieniał się stosunek władz PRL do Polonii w późniejszym okresie?*

S.C. — Przełom w polityce PRL wobec emigracji i Polonii nastąpił w 1955 r. Wtedy uznano, że nie można w nieskończoność potępiać wszystkich Polaków żyjących w świecie zachodnim i zakładać, iż są oni wrogami Polski Ludowej. Postanowiono więc w większym stopniu wpłynąć na pogłębianie różnic wewnątrz środowisk emi-

gracyjnych i polonijnych. Aby skłonić Polaków do współpracy z PRL, umiejętnie wykorzystywano przeróżne sentymenty – tęsknotę za krajem, za bliskimi, chęć odwiedzenia grobów itd. Inicjatorem tej zmiany był Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego, który w 1955 r. powołał Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem „Polonia” (od 1959 r. Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”). Idea utworzenia Towarzystwa najprawdopodobniej narodziła się w Moskwie, gdyż pojawia się ona po raz pierwszy w dyskusji partyjnej w marcu 1955 r., zaraz po powrocie z Moskwy delegacji Komitetu ds. Bezpieczeństwa (między innymi odpowiedzialnych za sprawy emigracji Jana Ptasieńskiego i Antoniego Alstera). Przez cały okres PRL formalną kontrolę nad Towarzystwem sprawował Wydział Zagraniczny KC PZPR. Wśród wyznaczonych przez KBP celów Towarzystwa „Polonia” było między innymi pogłębianie sprzeczności w reakcyjnych ośrodkach emigracyjnych, kompromitowanie przywódców, udzielanie poparcia i pomocy grupom, które są zainteresowane współpracą z krajem lub chcą do niego wrócić. Wspieranie Polonii przybierało czasem dość groteskowe formy. W 1955 r. Wydział Zagraniczny KC PZPR zaproponował wysyłanie Polakom w USA paczek żywnościowych. Ustalono nawet specjalną normę. Na paczkę składać się miały: jedna sucha kielbasa, suszone grzyby, jedna czekolada ze specjalnym opakowaniem (najlepiej z widokiem Warszawy), dwie paczki papierosów („Belweder” i „Wawel”).

J.W. – „Powrotowa” akcja propagandowa PRL napotkała niespodziewaną przeszkodę. Za pośrednictwem Radia Wolna Europa i BBC środowiska emigracyjne rozpoczęły akcję poszukiwania i śledzenia losów Polaków na Wschodzie. Pytano władze PRL – co dzieje się z Polakami, którzy nie zdążyli się repatriować w pierwszych latach powojennych? Podawano informacje o Polakach nadal przebywających w sowieckich łagrach. Ta akcja ujawniła prawdziwe intencje władz i zmusiła je do działania w sprawie Polaków w Związku Radzieckim. Pierwsze transporty Polaków uwolnionych z łagrów przybyły jeszcze przed przełomem październikowym. Po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę władze sowieckie i polskie podpisały deklarację o wznowieniu repatriacji, która potem stała się pełnoprawną umową międzynarodową. W czasie drugiej fali repatriacji powróciło do Polski około 250 tys. osób. Tak więc powojenna „repatriacja” Polaków ze Wschodu miała dwie fale, pierwszą w latach 1944–1948, drugą w latach 1956–1959.

S.C. – W rozumieniu komunistów repatriacja miała dotyczyć wyłącznie mieszkańców Kresów Wschodnich, nie zaś polskich zesłańców z Kazachstanu i Syberii. W 1955 r. Radio Wolna Europa rozpoczęło emisję audycji poświęconych Polakom na Wschodzie, także zesłańcom. Nieprzypadkowo akcja RWE rozpoczęła się po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Sowietami a RFN. Właśnie na podstawie umowy Konrada Adenauera z Nikitą Chruszczowem do Niemiec powróciło około 9 tys. zesłańców niemieckich, którzy niezwłocznie poinformowali pracowników Sekcji Polskiej RWE o losie więzionych Polaków. Niemal w tym samym czasie z sowieckiego łagru zbiegł młody Polak – Henryk Ufnal – któremu udało się przedostać przez zie-

loną granicę do Iranu, a stamtąd do Europy. Dla zespołu Jana Nowaka Ufnal był niezastąpionym źródłem informacji o Polakach w Sowietach. Dzięki niemu dowiedziano się między innymi o losie komendanta krakowskiego Okręgu AK płk. Przemysławą Nakoniecznikoff-Klukowskiego. Wydaje się, że akcja „Free Europe” była dla komunistów prawdziwym ciosem. Począwszy od lipca 1955 r., niemal codziennie na antenie RWE wyczytywano z nazwiska Polaków przetrzymywanych w konkretnych łagrach sowieckich. W ciągu zaledwie kilku miesięcy RWE nadała na ten temat prawie 50 programów o łącznym czasie antenowym 630 minut.

J.W. — O skuteczności tej akcji świadczy to, że w Październiku 1956 r., kiedy przez kraj przetaczała się fala wieców i manifestacji, bardzo często pojawiały się na nich hasła upominające się o Polaków w Rosji.

S.C. — RWE prowadziło w tej sprawie bardzo zaawansowane studia. Była to przede wszystkim zasługa pracownika Wydziału Studiów i Analiz RWE Kazimierza Zamorskiego, który przeprowadzał wywiady z powracającymi z łagrów Niemcami oraz opracowywał zebrany materiał w formie obszernych raportów. Dzięki jego pracy na początku lat sześćdziesiątych ustalono, że w różnych republikach sowieckich znajduje się około 1 380 tys. Polaków, z czego 53 tys. w Kazachstanie, 118 tys. w Sowieckiej Republice Rosyjskiej, co w oczywisty sposób zaprzeczало oficjalnemu stanowisku władz PRL, które utrzymywały, iż wraz z zakończeniem w 1959 r. drugiej repatriacji na terenie ZSRR nie pozostał już ani jeden Polak.

B.P. — *Po okresie powojennego kokietowania, później konfrontacji, stosunki Polonii z krajem musiały jednak jakoś się ułożyć. Tu i tam często były dzieci tych samych rodziców.*

J.W. — Po 1956 r., a szczególnie po 1970 r., mimo licznych kontrowersji Polacy w Stanach Zjednoczonych i innych krajach Zachodu włączali się w akcje charytatywne na rzecz kraju. Na przykład fundacja charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej gromadziła duże fundusze, które za pośrednictwem Kościoła katolickiego były transferowane do Polski w formie choćby pomocy medycznej. Przy okazji trzeba powiedzieć, że Kościół i jego misje katolickie miały ogromne zasługi zarówno dla emigracji, jak i w łączności między Polakami w kraju i za granicą.

W akcji charytatywnej Polonii amerykańskiej uczestniczyli znani polonijni przedsiębiorcy. Między nimi był Edward Piszek, którego majątek w latach siedemdziesiątych szacowano na pół miliarda dolarów. Byli i inni, jak chociażby Czesław Sawko z Chicago. Pomoc nasiliła się w 1980 r., kiedy przyjechał do Polski Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej (był pierwszym prezesem, który się na to zdecydował). Zbierano pieniądze między innymi dzięki specjalnym programom telewizyjnym, tak zwanym teletonom. Środki te szły przede wszystkim na lekarstwa.

S.C. — Musimy jednak pamiętać, że za tymi działaniami charytatywnymi stały często służby specjalne PRL. Powrócę w tym miejscu do lat siedemdziesiątych. Otóż niedługo po dojściu do władzy Edwarda Gierka przyjęto nowy plan pracy z Polonią

opracowany pod kierownictwem Wincentego Kraški. Plan zakładał między innymi pozyskanie do współpracy z PRL polonijnych biznesmenów, naukowców i duchownych. Współpraca miała polegać na wymianie myśli naukowej, organizowaniu pomocy charytatywnej, a nawet tworzeniu podstaw inwestowania w kraju. W dziedzinie naukowej szczególna rola przypadła Komitetowi Badania Polonii przy PAN oraz Instytutowi Polonijnemu na Uniwersytecie Jagiellońskim, które przy współpracy z Towarzystwem „Polonia” i nowojorską Fundacją Kościuszkowską wspólnie decydowały o wymianie stypendialnej pomiędzy PRL a Stanami Zjednoczonymi. Jeśli zaś chodzi o przyciąganie do PRL polonijnego kapitału, to postać Piszka jest tu dobrym przykładem. We współpracy ze Zjednoczeniem Gospodarki Rybnej chciał wybudować zakład przetwórstwa ryb. Trzeba przyznać, że władze PRL doceniły go w wyjątkowy sposób. W 1976 r. na wniosek Towarzystwa „Polonia” i odpowiednich czynników partyjnych MON zorganizowało mu specjalną strefę powietrzną, umożliwiającą przelot prywatnym samolotem. W trzydziestą rocznicę istnienia PRL Gierek odznaczył go odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, a Uniwersytet Jagielloński uhonorował tytułem doktora honoris causa. W tej sprawie nie chodziło tylko o inwestycje w kraju. Za pieniądze Piszka w 1972 r. sfinansowano książkę *Poland*, której wydawcą było polskie seminarium duchowne z Orchard Lake. Proszę sobie wyobrazić, że na okładce wydanej w USA i propagowanej wśród Polonii książki widnieje między innymi fotografia z obchodów rocznicy Manifestu Lipcowego PKWN! Publikacja ta dała początek wielkiej ofensywie PRL w środowisku polonijnym w Stanach Zjednoczonych. Odpowiednią rolę odgrywały przedstawicielstwa „Orbisu”, PKO i LOT-u, których zadaniem miała być zmiana nastawienia polonusów do PRL.

J.W. — W Polsce zastanawiano się, jak spacyfikować antykomunistyczne nastroje Polonii amerykańskiej. Pamiętajmy, że wielu Polaków amerykańskich nie wyobrażało sobie wejścia do gmachu konsulatu PRL, nawet pójście na występy „Mazowsza” lub do biura PKO było źle widziane. Jednak wielu decydowało się na nawiązanie kontaktów z władzami komunistycznymi. Oceniając postawę Piszka, pamiętać trzeba, iż zrobił on jednak bardzo dużo w dziedzinie charytatywnej, włączając się w akcję zwalczania gruźlicy w Polsce. To on namówił swego przyjaciela, sławnego pisarza Jamesa Mitchenera, aby odłożył inne plany literackie i napisał książkę o Polsce. Sponsorował też wiele innych wartościowych inicjatyw, między innymi tłumaczenie *Trylogii* na język angielski. Jednak jest faktem, że spór o to, jak ustosunkować się do władz w kraju, trwał do ostatnich dni PRL.

STO KILOMETRÓW TECZEK

O archiwum IPN z Bernadettą Gronek i Leszkiem Postołowiczem
rozmawiają Krzysztof Persak i Barbara Polak

B.P. — *Archiwum IPN ma przejąć sto kilometrów akt. Co już zostało przejęte?*

B.G. — Mamy już prawie 35 kilometrów przejętych materiałów, większość z nich pochodzi z archiwów Urzędu Ochrony Państwa, Wojskowych Służb Informacyjnych, z archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, także z policji. Z archiwum MSWiA przejęliśmy 100 proc. akt. Jeśli chodzi o UOP, wygląda to różnie w zależności od oddziału i delegatury. Trzeba przede wszystkim wydzielić karty czy dokumenty, które podlegają przekazaniu do Instytutu, od tych, które temu nie podlegają. Odnosi się to przede wszystkim do kartotek. Na kartach bowiem znajdują się także zapisy dotyczące tego, co się działo po roku 1989, a czego nie możemy przejąć. Na potrzeby IPN trzeba zanonimizować dane po 1990 r. Poza tym na przykład Kraków nie ma jeszcze pomieszczeń archiwalnych, materiały krakowskie są tymczasowo przechowywane w Rzeszowie.

B.P. — *Czy pracownicy IPN uczestniczą w selekcji materiału, czy zdają się państwo na pracę tych instytucji, z których przejmują się zbiory?*

B.G. — Zgodnie z porozumieniem z UOP materiały jeszcze nie przekazane zostały wydzielone w odrębnych pomieszczeniach, zaplombowanych pieczęciami UOP i naszymi. Każde wejście do tych pomieszczeń odbywa się w obecności naszych pracowników, więc mamy nad tymi materiałami kontrolę.

L.P. — Nasi pracownicy nie mogą mieć jednak wglądu w materiały wytworzone po maju 1990 r.

K.P. — *Czy w całości zostały przejęte dokumenty z centrali UOP?*

L.P. — Z centrali przejęliśmy około 90 proc. materiałów i nieco mniej niż połowę kartotek.

B.G. — Te 90 proc. dotyczy Warszawy, są bowiem takie delegatury UOP, które przekazały całość materiałów.

L.P. — Ale są i takie, które przekazały zaledwie 10–20 proc. swoich zasobów. Najczęściej dotyczy to kartotek, a nie materiałów typowo archiwalnych.

K.P. — *Jak jest szacowana objętość tego materiału, który mamy przejąć z UOP?*

L.P. – Około 10 kilometrów.

K.P. – *Archiwum MSWiA jest już przejęte w całości. Czy to oznacza, że to archiwum przestaje istnieć?*

B.G. – Archiwum MSWiA gromadziło także dokumenty wytwarzane po roku 1990, poza tym było również normalnym archiwum zakładowym i obecnie pozostało jako wydział w gabinecie dyrektora generalnego.

K.P. – *Z jakich archiwów poza UOP i MSW przejmujemy jeszcze materiały?*

B.G. – Z policji, Straży Granicznej, sądów, prokuratur. Z archiwum Wojskowej Służby Informacji przejęliśmy już 98 proc. akt. Chciałabym jednak zaznaczyć, że nie są to materiały wytworzone przez WSI, lecz zgromadzone w ich archiwum. Powinniśmy też przejąć materiały z archiwów państwowych. Ustawa daje nam, a właściwie prezesowi Instytutu, bardzo duże możliwości zwracania się do różnych instytucji, które mogą posiadać dokumenty interesujące Instytut, czyli na przykład akta osób prześladowanych z powodów politycznych.

K.P. – *Myszę, że wydzielenie materiałów dotyczących osób represjonowanych z powodów politycznych może być bardzo trudne.*

B.G. – Zgodnie z ustawą prezesi sądów oraz szefowie prokuratur mają obowiązek wydzielenia materiałów, które muszą przekazać do IPN. W praktyce, mimo zapisu ustawy mówiącego o sześćdziesięciodniowym terminie ich przekazania. Dlatego delegowaliśmy tam naszych pracowników, którzy pomagali w odnajdowaniu i wydzielaniu tych materiałów. Staraliśmy się robić to bardzo dokładnie. Zdarzyć się może sytuacja, że wytypowaliśmy więcej dokumentów, bo wydawało nam się, że w jakiejś sprawie jest motyw polityczny, a później przy analizie materiałów okazało się, że to przestępstwo pospolite. Te akta zostaną zwrócone.

B.P. – *A z drugiej strony przejmowane zbiory mogą być niepełne, bo wcześniej już zostały uszczuplone.*

B.G. – Tego nie wykluczam. Wiadomo, że w archiwach sądów czy prokuratur odbywało się normalne brakowanie (czyli niszczenie) dokumentów. W zeszłym roku zwróciliśmy się do Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych o wstrzymanie brakowania. Wcześniej akta te nie zostały poddane dokładnemu przeglądowi. Brakowane były na przykład akta kategorii B, które powinny mieć kategorię A, czyli być chronione wieczyście. Ponieważ archiwa sądów i prokuratur podlegają nadzorowi Archiwów Państwowych, to one wydają zgodę na brakowanie.

K.P. – *Co jeszcze będziemy przejmować?*

B.G. – Akta paszportowe, które stanowią prawie 50 proc. tego, co mamy do przejęcia. Pojawiały się głosy, że to nie są materiały, które miały cokolwiek wspólnego ze Służbą Bezpieczeństwa. To nie jest prawda, w każdym wojewódzkim wydziale spraw wewnętrznych wydziały paszportowe podlegały Służbie Bezpieczeństwa (SB). Akta paszportowe są jeszcze w archiwach policji, przy czym był to depozyt Archiwum

MSWiA. Z archiwum policji będziemy też przejmować akta normatywne (na przykład rozporządzenia czy instrukcje) i akta osobowe funkcjonariuszy – do 1954 r. wszystkich, a od 1954 r. tych, którzy chociaż jeden dzień przepracowali w pionie Służby Bezpieczeństwa.

K.P. — *Co przejmujemy i co mamy przejąć z Archiwów Państwowych?*

B.G. — Wszystkie materiały dotyczące represji z motywów politycznych. Na przykład akta Wojskowych Sądów Rejonowych, prokuratur wojskowych. Parę tygodni temu orzeczeniem Naczelnego Sądu Administracyjnego podciągnięto pod pion służby także wydziały czwarte – to był ten pion prokuratury, który prowadził sprawy polityczne.

K.P. — *W Sejmie zostaliśmy zaatakowani za to, że przejęliśmy dokumenty, których rzekomo nie powinniśmy przejmować.*

B.G. — W Sejmie była mowa o aktach Urzędu do spraw Wyznań. Nie przejęliśmy żadnych akt tego urzędu. W kilku przypadkach przejęliśmy materiały z wydziałów do spraw wyznań, które znajdowały się w archiwach zakładowych urzędów wojewódzkich. Zgodnie z ustawą materiały wydziałów do spraw wyznań powinny być przekazane do IPN z tego powodu, że dotyczą represji z motywów politycznych: inwigilacji Kościołów i innych związków wyznaniowych.

L.P. — Powiada się, że to są akta administracyjne, ale w tych wydziałach były też materiały typowo operacyjne dotyczące spraw Kościoła.

K.P. — *Bywa, że jesteśmy krytykowani za powolny tryb przejmowania i udostępniania dokumentów.*

B.G. — Przejmowanie dokumentów zaczęliśmy we wrześniu ubiegłego roku. W Warszawie trochę wcześniej, ale przejmowaliśmy dokumenty jawne. Nie mając odpowiednich zabezpieczeń, nie mogliśmy przejmować dokumentów kłauzulowych, to znaczy dotąd nie odtajnionych. Dopiero od września 2001 r. w całej Polsce (oprócz Krakowa) możemy przejmować wszystkie materiały.

K.P. — *Jaki jest przewidywany termin zakończenia tej akcji?*

B.G. — Naszą współpracę z Naczelną Dyрекcją Archiwów Państwowych w zakresie przekazywania materiałów reguluje niedawno podpisana umowa. Nasze kontakty z Archiwami Państwowymi na szczeblu lokalnym są dobre. Ich materiały są już w większości zewidencjonowane na tyle, żeby można je było przejąć. Porozumienie dotyczy przejmowania w pierwszej kolejności całych zespołów, więc nie trzeba będzie wydzielać materiału i tworzyć dodatkowych pomocy ewidencyjnych. Spakowanie będzie trwało kilka miesięcy. Podobnie jest z aktami policyjnymi. Na przykład w Warszawie jest prawie 19 kilometrów akt, które wcześniej trzeba opisać. One leżą w metalowych halach, ale nie ma do nich ewidencji. Każdą teczkę trzeba wyciągnąć, opisać, związać.

K.P. — *Kiedy można się spodziewać zakończenia przejmowania dokumentów i kartotek służb specjalnych?*

L.P. – Do końca roku. Brak kartotek utrudnia nam pracę, a szczególnie prowadzenie kwerend przy realizacji wniosków dla osób pokrzywdzonych. Alfabetyczna kartoteka jest w istocie kluczem do pozostałych materiałów archiwalnych. W jej przejmowaniu doszliśmy już do końca litery K. Jest też kwestia usunięcia z naszych zbiorów informacji o wydarzeniach, które miały miejsce po 1990 r.

B.G. – Musimy też ustalić, czy karta inwentarzowa idzie w całości do IPN, czy należy ją skserować.

B.P. – *Jaki jest stan opracowania przejmowanych archiwaliów?*

B.G. – W większości dysponujemy tylko spisami zdawczo-odbiorczymi, które sami zrobiliśmy. Tak jest w przypadku materiałów przejmowanych z sądów i prokuratur, które nawet nie mają paginacji. Akta operacyjne, które przejęliśmy po byłej SB, w większości są opracowane, tak samo akta osobowe, najgorzej jest z aktami administracyjnymi i paszportowymi.

K.P. – *W archiwach sądów i prokuratury podstawową pomocą ewidencyjną jest repertorium. Czy otrzymujemy również repertoria, czy też robimy z nich kopie?*

B.G. – Jeśli jakieś sądy lub prokuratury przekazały nam skorowidze czy repertoria w postaci oryginałów, to oryginały zwrócimy.

K.P. – *Ilu jest pracowników BUiAD, w centrali i w oddziałach?*

B.G. – 150 osób w centrali i około 400 osób w oddziałach. Nie ma podziału na archiwistów i niearchiwistów. Na stanowiskach jako archiwiści czy młodsi archiwiści pracują także sekretarki, ponieważ wszyscy pracownicy BUiAD muszą mieć poświadczenie bezpieczeństwa.

B.P. – *Jak wiele czasu potrzeba, by ten zespół opracował cały zbiór archiwalny IPN?*

L.P. – To jest praca przynajmniej na dziesięć lat.

B.P. – *Prace bieżące nad przejmowaniem archiwów trwają równolegle z procesem udostępniania dokumentów, co jest dość trudne. Część dokumentów trzeba wydawać, a jednocześnie się je przejmuje i opracowuje. Jak w tej sytuacji wygląda możliwość korzystania ze zbiorów archiwalnych?*

B.G. – Korzystać z nich może właściwie każdy, kto złoży u nas wniosek, że chciałby się zapoznać z takimi czy innymi materiałami.

B.P. – *Jaka towarzyszy temu procedura?*

B.G. – Jest tworzony projekt regulaminu udostępniania materiałów archiwalnych z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej. Latem ubiegłego roku, po wewnętrznych konsultacjach został przekazany on do kancelarii Prezesa Rady Ministrów, bo tego rodzaju dokument musi być wydany w drodze rozporządzenia Rady Ministrów. Nie mamy żadnej informacji, kiedy to rozporządzenie wyjdzie. Wiem, że zostało przekazane do konsultacji do różnych ministerstw, kilka dni temu otrzymała go Naczelną Dyrekcja Archiwów Państwowych. Mimo to udostępniamy akta. Procedura udostępniania jest

taka jak w Archiwach Państwowych. Musi być wniosek osoby zainteresowanej dostępem do akt. Można skorzystać z inwentarzy, wpisać od razu sygnatury, które interesują daną osobę. W przypadku braku odpowiednich pomocy ewidencyjnych pracownicy BUIAD oraz OBUiAD są zobowiązani do przeprowadzenia kwerendy w naszych materiałach i przygotowania ich. Potem sporządza się notatkę, jakie są to materiały, kto się ubiega o wgląd w nie, czy te materiały mają klauzulę tajności, czy są materiałami jawnymi. Jeśli nie ma żadnych zastrzeżeń, to po prostu są udostępniane.

K.P. — *Tutaj trzeba rozróżnić dwa rodzaje udostępniania. Chodzi o udostępnianie pokrzywdzonym i badaczom. Zatrzymajmy się przy udostępnianiu tak zwanych teczek pokrzywdzonym. Co to są teczki i czy one naprawdę istnieją?*

L.P. — Nie ma żadnych teczek pokrzywdzonych. Na wniosek pokrzywdzonego my jako Biuro tworzymy taką teczkę ze wszystkich materiałów dotyczących danej osoby. Dokumenty z kilku miejsc łączymy i tworzymy jedną czy kilka teczek i w formie kserokopii udostępniamy osobom pokrzywdzonym. Tylko nieliczni tak naprawdę mieli jakieś teczki, na przykład osoby rozpracowywane czy takie, wobec których prowadzono sprawy operacyjne. W większości przypadków to my tworzymy tak zwane teczki. Swoje teczki mieli tajni współpracownicy. Inaczej było na przykład w Stasi, tam praktycznie każda osoba miała teczkę, w której były wszystkie materiały zebrane na daną osobę od tajnych współpracowników, z meldunków. Jeśli w jakimś meldunku pojawiło się na przykład dziesięć nazwisk, z oryginału tworzone dziesięć kopii i wkładano je do teczek poszczególnych osób. W Polsce każdy pracownik operacyjny sam gromadził materiały o danej osobie. Podobnie było z tak zwanymi obiektami. Zakładano teczkę „na dany obiekt”, gdzie gromadzono wszystkie materiały na temat interesującej organizacji czy instytucji.

K.P. — *Jeśli jakaś osoba była na przykład pracownikiem wyższej uczelni, należała do jakiejś organizacji podziemnej i jednocześnie działała w duszpasterstwie, to informacje na jej temat będą w różnych miejscach?*

B.G. — Tak. I właśnie dlatego problem polega na tym, żeby to wszystko sprawdzić, zebrać i utworzyć „teczkę” dotyczącą danego pokrzywdzonego.

K.P. — *Wszystkie takie nitki zbiegają się w jednym miejscu, czyli w kartotece?*

L.P. — Powinny, ale w kartotece nie ma kart tak zwanych osób przechodzących. Może być olbrzymia „sprawa obiektowa”, na przykład na Uniwersytet Warszawski, i w tej sprawie zarejestrowano, powiedzmy, dziesięć osób, a przecież w takiej sprawie informacje były o kilkudziesięciu czy kilkuset osobach. Więc jeżeli chcemy sporządzić teczkę pokrzywdzonemu, to należałoby przeprowadzić dokładną kwerendę tych materiałów i gdy nazwisko osoby pokrzywdzonej w nich się pojawia, trzeba zrobić kserokopię i pokazać ją tej osobie. Mogą to być donosy tajnych współpracowników czy informacje oficera obiektowego. Trzeba też pamiętać, że kartoteka na przełomie

1989 i 1990 r. została mocno uszczuplona, częściowo zniszczona, więc nie można znaleźć materiałów dla wielu osób, bo choć te osoby były zarejestrowane i dokumenty zachowały się, to karty zostały zniszczone. Po prostu nie można praktycznie powiązać osób z materiałami.

K.P. — *Czy można coś powiedzieć na temat skali tych zniszczeń?*

L.P. — Kartoteki niszczone głównie w wojewódzkich urzędach spraw wewnętrznych (WUSW), szczególnie w byłym WUSW w Gdańsku, mniej w centrali. Trudno określić, ile kart zostało zniszczonych. Możemy tylko powiedzieć o kartach, które miały być zniszczone, zostały wycofane z kartoteki operacyjnej Służby Bezpieczeństwa i zachowały się w workach przygotowanych do zniszczenia. Po 1990 r. utworzono z nich tak zwaną kartotekę odtworzeniową. To była wyodrębniona kartoteka z kartoteki operacyjnej.

K.P. — *Ile kart liczy kartoteka ogólnoinformacyjna, a ile odtworzeniowa?*

L.P. — W kartotece ogólnoinformacyjnej jest około trzech milionów kart, w kartotece odtworzeniowej około pół miliona. Kartoteka została założona w 1944 r. i rosła aż do 1990 r.

K.P. — *Kto to jest pokrzywdzony?*

B.G. — Według ustawy pokrzywdzona jest każda osoba, o której organa bezpieczeństwa państwa zbierały informacje na podstawie celowo gromadzonych danych w sposób tajny. Jednocześnie pokrzywdzonym nie jest osoba, która została pracownikiem, funkcjonariuszem lub współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa, nawet jeśli wcześniej była represjonowana.

K.P. — *Interesuje mnie sprawa, której ustawodawca chyba nie przewidywał: co się dzieje w sytuacji odwrotnej, jeśli ktoś najpierw był pracownikiem czy współpracownikiem organów bezpieczeństwa, a potem stał się opozycjonistą. Czy ci ludzie są objęci mianem pokrzywdzonych w myśl ustawy? I co państwo robią, jeśli ktoś taki się zgłosi?*

B.G. — Wyślemy sprawę do biura prawnego z prośbą o opinię. Do tej pory nikt taki nie zgłosił się do nas.

K.P. — *Najkrócej więc — pokrzywdzonym był ten, kto był rozpracowywany przez organa bezpieczeństwa.*

B.G. — Tak, ale — chciałabym to mocno podkreślić — przez organa bezpieczeństwa państwa. Zgłasza się do nas mnóstwo ludzi, którzy czują się pokrzywdzeni, bo: nie awansowali w pracy, coś im się nie powiodło w karierze zawodowej, w życiu prywatnym. My szukamy i nie znajdujemy żadnej informacji. Rozmawiamy z tymi osobami i wtedy się okazuje, że oczekiwany awans dostał ktoś, kto był w partii, albo inna pani została kierowniczką, bo miała lepsze układy z dyrektorem, a poza tym donosiła na innych. Pytamy: komu donosiła? No, kadrom, dyrektorowi. My nie przejmujemy tezek osobowych ludzi z zakładów pracy, więc jeżeli ktoś miał problemy w pracy dla-

tęgo, że inna osoba należała do partii i utrudniała życie innym, to my nie znajdziemy takich materiałów.

B.P. — *Chociaż, jak życie poucza, takie osobiste konflikty znajdują się potem w materiałach służb, bo na przykład kadrowiec był ich współpracownikiem.*

B.G. — Tak, dlatego do każdego wniosku, który do nas wpływa, prowadzimy kwerendę, nawet jeśli już na wstępie wydaje nam się, że niczego nie znajdziemy. To jest nasz obowiązek.

B.P. — *Ile osób, które złożyły wniosek po przeprowadzonej kwerendzie, dowiedziało się, że nie ma dotyczących ich dokumentów?*

B.G. — Do tej pory przygotowaliśmy dokumenty dla 261 osób. Trudno mi powiedzieć, dla ilu osób nie znaleźliśmy żadnych informacji, ale jest ich znacznie więcej niż tych, które dostały swoje „teczki”. Wnioski tych osób są odkładane na później, ponieważ myślimy, że w miarę przejmowania kolejnych materiałów znajdą się o nich informacje. Tymczasem zgodnie z zarządzeniem prezesa IPN przygotowuje się dla nich zaświadczenia o tym, że nie są pokrzywdzonymi w myśl ustawy.

K.P. — *Jaka jest procedura udostępniania teczek?*

B.G. — Zgodnie z zapisami ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej osoba zainteresowana musi osobiście złożyć u nas wniosek. Ten wniosek jest rejestrowany, analizowany, sporządza się notatkę. Jednocześnie przygotowuje się zapytanie do wydziału lub referatu ewidencji o przeprowadzenie kwerendy w kartotece i we wszelkich innych pomocach ewidencyjnych. Informacje z ewidencji trafiają do Wydziału Udostępniania. Jeśli znajdują się jakieś materiały dotyczące danej osoby, to cała jednostka archiwalna jest przekazywana z magazynu do Wydziału Udostępniania, by zainteresowana osoba mogła się z nimi zapoznać. Sporządzane są kserokopie, na których anonimizuje się (anonimizacja w praktyce oznacza zacernianie) dane innych pokrzywdzonych osób i osób trzecich. Tworzymy teczkę, osoba jest informowana, że materiały są dla niej przygotowane, podajemy numer telefonu i prosimy o kontakt z nami. Uzgadniamy termin spotkania, bo nasza czytelnia ma tylko osiem miejsc. Następnie można złożyć wniosek o kopie dokumentów, o ujawnienie danych funkcjonariuszy, tajnych współpracowników oraz tych wszystkich donosicieli.

B.P. — *Chcę zapytać o ludzi, z którymi państwo mieli ten pierwszy kontakt. Czy większość zadowala się tym, co dostaje, czy usiłują dociekać dalej?*

B.G. — Jest bardzo różnie. Są osoby, którym wystarczy to, co dostają, i są takie, które po przejrzeniu, powiedzmy, jednej z kilkunastu przygotowanych teczek stwierdzają, iż jest to dla nich tak szokujące, że nie chcą więcej tego oglądać. Bywają też osoby bardzo niezadowolone, bo uważają, że powinno być w ich teczkach mnóstwo dokumentów, gdyż były na przykład tak wybitnymi działaczami opozycji.

L.P. — Ludzie są rozczarowani, gdy informujemy, że nie znaleziono żadnych dokumentów. Mówią — one muszą być, bo byłem śledzony, represjonowany...

B.P. — *Interesują mnie ci, którzy mają teczki i chcą poznać prawdę do końca.*

B.G. — Są tacy, którzy chcą wiedzieć jak najwięcej, upewniają się, czy czegoś nie zabrakło, proszą o nazwiska tajnych współpracowników i funkcjonariuszy. Jeśli mamy materiały, to udostępniamy im nazwiska funkcjonariuszy, wraz z funkcją.

L.P. — Gorzej jest z identyfikacją tajnych współpracowników. Są podane pseudonimy i bywa, że na podstawie posiadanych materiałów archiwalnych nie jesteśmy w stanie ustalić, kto za tym pseudonimem się kryje. Często osoba, która czyta materiały o sobie, jest w stanie określić, kto był donosicielem.

B.P. — *Czy wykorzystuje się tę wiedzę pokrzywdzonych?*

L.P. — Nie, nie możemy z tego korzystać, to nie należy do zadań IPN.

B.G. — Pokrzywdzony ma jednak prawo składać różne wnioski, oświadczenia, a my mamy obowiązek dołączenia ich do jego akt.

K.P. — *Gdyby w późniejszym okresie znalazły się jakieś dokumenty interesujące pokrzywdzonego, czy będzie on o tym zawiadomiony?*

L.P. — Tak. Wydajemy zaświadczenie, że nie ma materiałów na określony dzień. Pewność będziemy mieli, gdy przejrzymy wszystkie materiały, wszystkie kartoteki, a następnie je opracujemy. Ale to będzie trwało lata.

K.P. — *Jak długo trwa przygotowywanie materiałów dla pokrzywdzonego?*

B.G. — Jeśli osoba pokrzywdzona pisze, że była aresztowana, był wyrok, proces itd., to są dla nas informacje, gdzie przede wszystkim mamy szukać. Szukamy wtedy na przykład w aktach Wojskowych Sądów Rejonowych. To jest stosunkowo proste, bo WSR-y są jawne. Natomiast jeśli te informacje we wniosku są bardzo lakoniczne, a na podstawie kartoteki czy innych materiałów ewidencyjnych okaże się, że materiałów jest bardzo dużo i są rozrzucone po całej Polsce, to gromadzenie ich trwa kilka miesięcy.

K.P. — *Czyli bardzo dużo zależy od tego, jakie informacje o samym sobie poda wnioskodawca.*

B.G. — Niektórzy ludzie mówią: „pytania, które są we wniosku, są bardziej szczegółowe niż te, które zadawano mi podczas przesłuchania czy śledztwa”. Nikt nie musi wypełniać dokładnie wszystkich punktów, które są we wniosku. Dla nas to jest po prostu ułatwienie. Im więcej informacji ktoś nam poda, tym szybciej będziemy mogli coś znaleźć.

K.P. — *W materiałach udostępnianych pokrzywdzonym wszystkie nazwiska poza ich własnym są zamazywane.*

B.G. — Jeśli dotyczy to oryginałów, to oczywiście nic nie jest anonimizowane. W kopiach oprócz nazwiska osoby pokrzywdzonej anonimizowane są dane dotyczące wszystkich innych osób trzecich, tajnych współpracowników i funkcjonariuszy.

B.P. — *Osoby trzecie, kto to właściwie jest?*

B.G. — Wszystkie inne osoby, które występują w tych dokumentach. Na przykład jest notatka z podsłuchu rozmowy telefonicznej. Są w niej dane, kto ją sporządził, kto rozmawiał. Jeśli osoba pokrzywdzona rozmawiała z koleżanką, z dyrektorem, ale też z osobą, która była również aresztowana i przesłuchiwana, to zarówno nazwiska dyrektora, koleżanki, jak i tej ostatniej osoby są anonimizowane.

K.P. — *Chcę zapytać o dokumenty, które wcześniej były dostępne bez żadnych ograniczeń, na przykład akta sądowe. Czy anonimizacja dotyczy też takich dokumentów, które przed wejściem w życie ustawy o IPN były pokrzywdzonym udostępniane w ramach na przykład procesów rehabilitacyjnych?*

B.G. — Zgodnie z ustawą o IPN, jeśli są na przykład akta sprawy aresztowania pana i razem z panem aresztowanych jest dziesięć innych osób, to mimo że pan zna ich nazwiska, powinniśmy je anonimizować. Takie są zapisy naszej ustawy. Jeśli są to akta jawne, które przejęliśmy z archiwum sądu, to nie robimy tego. Musielibyśmy bowiem skserować kilka tomów, a naprawdę nie jesteśmy aż tak bogatą instytucją, żeby pozwolić sobie na kserowanie na przykład w kilkunastu egzemplarzach, bo w sprawie było tyle osób. Nie dotyczy to oczywiście akt operacyjnych.

L.P. — W tym zapisie ustawodawca myślał o aktach tajnych i operacyjnych.

B.P. — *Są jeszcze funkcjonariusze, którzy zgłaszają się po swoje dokumenty. Proszę opisać tę grupę, z jakich powodów się zgłaszają i co się im udostępnia.*

B.G. — Zgodnie z ustawą przejmujemy także akta osobowe tych, którzy pracowali w pionie Służby Bezpieczeństwa. Mamy teczki ich akt personalnych ze wszystkimi zaświadczeniami, życiorysami, opiniami o służbie, o zarobkach. Przejęliśmy więc na siebie także obowiązek wydawania wszelkich potrzebnych funkcjonariuszom zaświadczeń o zatrudnieniu, o zarobkach. Zgłaszają się, bo te dokumenty są im konieczne do załatwiania spraw emerytalnych, rentowych.

L.P. — Mamy obowiązek wydawania odpisów różnego rodzaju świadectw, ukończenia kursów.

B.P. — *Czyli przychodzą tutaj jak do biura kadr po świadectwo pracy?*

B.G. — Wypełniają ten sam wniosek jak osoba pokrzywdzona, inne jego części.

B.P. — *Czy też tak długo czekają, czy łatwiej jest skompletować im dane?*

B.G. — Jest to prostsze, choć część tych akt jest już spakowana, ale jeszcze do nas nie przeszły. Niemniej jest to łatwiejsze.

B.P. — *To swoisty paradoks, że pokrzywdzony musi czekać znacznie dłużej.*

K.P. — *Jakie są zasady udostępniania akt badaczom?*

B.G. — Dostają oni dokumenty niezanonimizowane, pod warunkiem że są to materiały jawne i niepotrzebne jest poświadczenie bezpieczeństwa. Nie trzeba komple-

tować dla nich teczek. Jeśli interesuje ich określony temat, a materiały do niego mogą znajdować się w stu teczkach, to dostają ich sto.

K.P. — *Badacze otrzymują dokumenty w oryginałach?*

B.G. — Materiały jawne — tak.

K.P. — *Kiedy zaczęło się udostępnianie dokumentów badaczom, przede wszystkim historykom, i ilu skorzystało?*

B.G. — W listopadzie 2000 r. Mieliśmy już wtedy materiały byłej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, w miarę szybko były też udostępniane materiały z archiwum MSWiA. Przejęte materiały są udostępniane na bieżąco. Najbardziej interesują badaczy materiały z UOP. Zgodnie z uchwałą Kolegium IPN są one przejmowane w dwu etapach. Najpierw zapakowano i opieczetowano pudła zawierające jednostki archiwalne. Potem otwierano pudła i sprawdzano zawartość poszczególnych teczek, poszczególnych jednostek. Udostępnione mogą być tylko te materiały, które przejdą ten drugi etap. Materiały z UOP zaczęliśmy przejmować we wrześniu 2001 r., więc ten proces musi się dopiero rozkręcić. Rozpakowywanie odbywa się komisyjnie, a często przedstawiciele UOP jest za mało. Dlatego wiele przejętych materiałów jest zapakowanych i nie możemy ich od razu otworzyć. Ponadto spisy zdawczo-odbiorcze dostajemy w formie papierowej. Do 11 marca teczki akt osobowych, których mamy około czterdziestu tysięcy, były objęte klauzulą tajności i spisy także miały tę klauzulę, więc nie mogliśmy, nie mając odpowiednich zabezpieczeń komputerowych, wprowadzać ich do naszych baz danych. Szukanie odbywało się „na piechotę”. Tak jest właściwie ze wszystkimi dokumentami. Oczywiście tworzymy swoje bazy danych, na przykład dla repatriantów. Teraz będziemy próbowali tworzyć bazy do akt osobowych. Niemniej to dopiero jest początek.

K.P. — *Więc to, że przejęliśmy 90 proc. akt służb specjalnych, wcale nie oznacza, że możemy do nich zajrzeć. Ile mamy już odpakowanych akt?*

L.P. — W różnych oddziałach jest różnie. Oddział w Rzeszowie ma już wszystkie otwarte. Są też oddziały, które z powodów lokalowych dopiero teraz zaczęły otwieranie pudeł. Dodatkowym utrudnieniem w pracy oddziałów jest to, że funkcjonariusze z delegatur UOP stawiają się do wspólnej pracy o wiele rzadziej. Kolejność otwierania pudeł uzależniamy więc od aktualnych potrzeb, nie w porządku przejmowania ich z UOP.

K.P. — *Czy jakaś część zasobów służb specjalnych została przekazana w formie elektronicznej bądź w wersji mikrofilmowej?*

L.P. — Tak, przejęliśmy większość mikrofilmów. Jesteśmy w trakcie przejmowania części elektronicznej, ale nie możemy z tych materiałów korzystać, bo jeszcze nie mamy odpowiednich zabezpieczeń. W najbliższym czasie ma być u nas zainstalowana specjalna kabina zabezpieczająca przed elektronicznym „ulotem danych”, dopiero w niej będziemy mogli korzystać z materiałów w wersji elektronicznej.

K.P. — *Czy będziemy mieli techniczne warunki udostępniania dokumentów na mikrofilmach?*

B.G. — Tak.

K.P. — *Czy jakieś części zasobu archiwalnego nie będą udostępniane?*

B.G. — Tak. Dotyczy to tak zwanego zbioru zastrzeżonego. Są to materiały, które na przykład Urząd Ochrony Państwa czy minister obrony narodowej zakwalifikowali jako materiały nie udostępniane z tego powodu, że zawierają informacje ważne dla bezpieczeństwa państwa.

K.P. — *Czy takie wnioski były składane przez odpowiednich ministrów?*

B.G. — Tak.

B.P. — *Wyobrażam sobie, że państwo uczestniczą w tych naradach i stanowią grono opiniujące.*

B.G. — Tak.

B.P. — *Jakie mogą być te uzasadnienia?*

B.G. — Na przykład takie, że zawierają akta osobowe byłych funkcjonariuszy SB, którzy nadal są funkcjonariuszami UOP.

K.P. — *Czy zbiór zastrzeżony jest duży?*

L.P. — To jest znikomy procent. Badacze nie powinni więc z tego powodu mieć utrudnionej pracy.

K.P. — *Czy oprócz zbioru zastrzeżonego, który jest poza zasięgiem badaczy, pokrzywdzonych i wszystkich zainteresowanych, jeszcze jakieś materiały zostaną tajne?*

L.P. — Tak, będą to materiały zakwalifikowane jako tajne po przeglądzie, nawet jeśli wcześniej nie trafiły do zbioru zastrzeżonego.

B.G. — Przeklasyfikowano wszystkie materiały przejmowane przez nas z WSI, większość z nich jest obecnie jawna. Tylko niewielki procent nadal posiada klauzulę niejawności. Teoretycznie wszystkie materiały z UOP powinny być jawne, ale nadal są chronione na przykład akta personalne osób, które były współpracownikami po 1989 r. Przed udostępnieniem każda z tych jednostek zostanie przejrzana. Jeśli gdzieś będą informacje nadal podlegające ochronie, oryginał strony czy dokumentu zostanie wyjęty, zrobimy kserokopię i zaczernimy tylko te informacje, które podlegają ochronie.

B.P. — *Jakie są zasady przyznawania poświadczenia bezpieczeństwa?*

B.G. — Ankiety składane są do naszego biura ochrony, a samo postępowanie prowadzi UOP. On decyduje o wydaniu lub niewydaniu certyfikatu.

B.P. — *Czy byli właściciele tych archiwów, na przykład UOP, mają ułatwiony dostęp do archiwum IPN, czy obowiązują ich takie same procedury jak wszystkie pozostałe osoby?*

B.G. — I tak, i nie. Tak samo muszą skierować do nas wnioski o udostępnienie materiałów, ale mając spisy zdawczo-odbiorcze, mogą nam podać dodatkowe informacje — że materiały zostały przekazane w dniu takim i takim, numer taki i taki, po-

zycja ta i ta. Wtedy odpada konieczność prowadzenia kwerendy. Nie trwa to miesiąc, ale trzy dni.

K.P. — *Powróćmy jeszcze do dokumentów, które przez byłych właścicieli były opracowane w specyficzny sposób. Czy jest już plan opracowania tych zbiorów według standardowych wzorów stosowanych w archiwistyce?*

B.G. — Tak.

B.P. — *Udostępnianie akt naukowcom i pokrzywdzonym to nie wszystkie prace prowadzone przez BUiAD.*

B.G. — Nasze Biuro nie zajmuje się tylko teczkami dla osób pokrzywdzonych czy dla naukowców. To są oczywiście ważne rzeczy, ale wykonujemy wiele kwerend na przykład dla osób ubiegających się o świadczenia pieniężne z Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie, które proszą o potwierdzenie wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Jest takich osób kilkadziesiąt tysięcy. Interesują je przede wszystkim materiały repatriacyjne, ankiety, w których podawano swoje dane osobowe oraz kiedy, gdzie dana osoba została wywieziona i co robiła. Część tych materiałów przejęliśmy z MSWiA, bardzo wiele miała była Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, przy czym materiały te nie były opracowane. Zaczęliśmy robić bazy danych. Są osoby, które zgłaszają się po informacje w sprawach wywłaszczeniowych, te sprawy przejęliśmy z byłego Archiwum MSWiA. Jest ich bardzo dużo. Prowadzimy również kwerendy dotyczące poświadczenia działalności na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego na potrzeby rehabilitacyjne i kombatanckie. Prowadzimy je nie tylko w naszym zasobie, ale mamy także obowiązek podejmowania ich wszędzie, gdzie możemy natrafić na jakiekolwiek informacje o takiej działalności. Zwracamy się do UOP, do policji, do archiwów państwowych, Urzędu do spraw Kombatantów. Wydział i Referaty Udostępniania zrealizowały już kilkadziesiąt tysięcy kwerend dla UOP i Rzecznika Interesu Publicznego.

L.P. — Jesteśmy w trudnej sytuacji, nie na wszystkie pytania, które kieruje do nas Rzecznik Interesu Publicznego, możemy szybko odpowiedzieć, ponieważ nie mamy wszystkich kartotek, musimy się zwracać do UOP. To wszystko nie wynika z naszej opieszałości czy złej woli. Współpraca jest dobra, nasi pracownicy wspólnie z pracownikami biura rzecznika sprawdzają już przejęte kartoteki. Wcześniej nasze magazyny należały do MSW, później MSWiA i policji, ale nie były to magazyny archiwalne. Właśnie zakończyliśmy ich adaptację. Prace adaptacyjne i znaczna odległość od siedziby na Towarowej stanowią kolejne utrudnienie.

B.P. — *Trudności lokalowe, przede wszystkim dotyczące pomieszczeń magazynowych, to jeden z najpoważniejszych problemów IPN.*

L.P. — To odnosi się do wszystkich naszych oddziałów. Kraków do tej pory nie ma magazynu. Sąsiadujący z siedzibą IPN na Towarowej w Warszawie budynek byłby magazynem podręcznym na kartoteki i kilka kilometrów najważniejszych akt. Ułatwione byłoby wtedy prowadzenie kwerend na potrzeby udostępniania. Nie by-

łoby problemu z udostępnianiem badaczowi całości materiału, który teraz przywozi się partiami.

B.P. — *Często słyszy się od historyków, że luki w materiale nie pozwalają na odtworzenie wydarzeń, bo nie mamy dostępu do archiwów na terenie byłego ZSRR. Mam nadzieję, że IPN nie czyni utrudnień zagranicznym historykom.*

B.G. — Od dawna udostępniamy materiały dotyczące wojny i okupacji. Była Główna Komisja udostępniała takie materiały na bieżąco i mnóstwo badaczy z zagranicy z tych materiałów korzysta. Nie stwarzamy też żadnych problemów w udostępnianiu materiałów przejmowanych teraz. Zgłaszają się do nas ambasady i organa ścigania w sprawie przeprowadzenia przez nas kwerend.

K.P. — *Skąd rekrutują się zatrudnieni w IPN archiwiści?*

B.G. — Większość z nich to są ludzie młodzi, absolwenci historii i archiwistyki, Podyplomowego Studium Informacji, Archiwistyki i Księgarstwa, czyli technicy archiwiszczy. Bardzo popieram ich starania o to, by dalej się kształcić na studiach zaocznych i wieczorowych. Niektórzy kontynuują studia, w tym na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, który w Polsce ma najlepszą archiwistykę. Pamiętać należy, że w BUiAD jest bardzo wyraźny podział na wydziały. Chodzi o to, żeby nie było takich osób, które mają pełną wiedzę na temat wszystkiego, co się u nas znajduje. To jest podporządkowane względem bezpieczeństwa, bo dysponujemy tak zwanymi materiałami wrażliwymi. Wydział ewidencji i informacji ma u siebie wszystkie kartoteki i pomoce ewidencyjne, jego pracownicy nie mają do czynienia z aktami.

K.P. — *To jest rzeczywiście wielka praca, czy państwo nie czują się nią przytłoczeni?*

B.G. — Jest jej bardzo dużo, a trzeba jeszcze pamiętać, że z pracujących w centrali 150 osób, 30 pracuje poza stałym miejscem pracy — w różnych komendach policji, przygotowując materiały w sądach, prokuraturach. Poza tym trzeba oddelegowywać ludzi w teren, angażować ich w przyjmowanie przywożonych dokumentów, otwieranie pudeł itd. Bardzo wiele prac trzeba wykonywać równolegle.

K.P. — *Czy odczuwają państwo jakąś ulgę w związku z tym, że 11 marca 2002 r. część materiałów odtajniła się z mocy prawa?*

B.G. — Zniknie między innymi problem przygotowywania decyzji o odtajnieniu dla prezesa IPN.

K.P. — *Ustawa mówi, że klauzule tajności wygasają po pięćdziesięciu latach, więc dokumenty wytworzone przed 1952 r. powinny być jawne, bez żadnych wyjątków.*

B.G. — Teoretycznie tak.

B.P. — *Przy okazji pracy nad tymi bardzo starymi już dokumentami archiwiści narażeni są na zagrożenia wynikające z ich stanu, warunków przechowywania. Czy to jest rzeczywisty problem?*

B.G. – Tak, to jest problem. Wiele dokumentów jest zagrzybionych, wiemy to z przeprowadzonych już ekspertyz. Niektóre, jest ich sporo, powinny być chronione w specjalnym pomieszczeniu, do którego można wchodzić tylko w maskach i ochraniaczach. W perspektywie planujemy zakup próżniowej komory dezynfekcyjnej, która pozwoli odkazić te materiały. Grzyby te są groźne i już pojawiają się przypadki zachorowań.

K.P. – *Czy są możliwości odtwarzania zniszczonych dokumentów nie tylko z powodu złych warunków ich magazynowania, ale i dlatego, że są podarte lub przepuszczone przez niszczarke?*

B.G. – Zniszczonych dokumentów mamy bardzo dużo, znajdują się wśród nich cenne materiały, chociażby na potrzeby lustracji. Jest szansa na ich odtworzenie, ale to jest bardzo długi proces.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 4 (15), kwiecień 2002

PRZEWODNIA SIŁA NARODU

O Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
z Łukaszem Kamińskim

B.P. — *Jaki był rodowód Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej?*

Ł.K. — Jeśli mówić o genezie, to oczywiście należałoby sięgnąć najpierw do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, której bezpośrednią sukcesorką była Komunistyczna Partia Polski, z której z kolei wywodziła się cała praktycznie elita kierownicza Polskiej Partii Robotniczej istniejącej od 1942 r., następnie, od 1948 r., PZPR. W związku z likwidacją kierownictwa KPP w 1938 r. ta elita składała się raczej z działaczy średniego, okręgowego szczebla. Tylko takich ludzi miał Stalin do dyspozycji w momencie tworzenia PPR.

B.P. — *Co, w kontekście opowieści o partii robotniczej, znaczy określenie elita? Jak można ją scharakteryzować?*

Ł.K. — Nie ma jednej charakterystyki, bo aż do 1989 r. zachodzą tutaj pewne zmiany. Jeśli chodzi o elitę PPR z drugiej połowy lat czterdziestych, to właśnie jedną z cech wyróżniających jest rodowód KPP-owski, przewaga osób z niższym wykształceniem, podstawowym, ewentualnie średnim; zaledwie kilka osób miało wykształcenie wyższe.

B.P. — *W potocznym rozumieniu tego słowa jest to raczej zaprzeczenie elity.*

Ł.K. — Tak, to jest określenie zwyczajowe, lepiej powiedzieć: grupa kierownicza. Pod względem wieku przeważnie byli to ludzie czterdziesto- i pięćdziesięcioletni.

B.P. — *Jaki był udział kobiet w tym gremium?*

Ł.K. — W ścisłym kierownictwie PPR praktycznie (poza Wandą Wasilewską) nie było kobiet, podobnie w całych dziejach PZPR w elitach tej partii prawie nie było kobiet. Dopiero w 1981 r. włączono do Biura Politycznego Zofię Grzyb, jedyną kobietę, która dostała zaszczytu uczestniczenia w życiu kierownictwa partii, przy czym było to czysto propagandowe posunięcie.

B.P. — *Czy to się da jakoś wytłumaczyć, bo w partii-matce, czyli w sowieckiej partii komunistycznej (WKP(b), potem KPZR), kobiet nie było tak mało. Były to często stare rewolucjonistki, potem zasiadające we władzach, a ZSRR chlubił się nimi.*

Ł.K. – Generalnie kobiety znacznie rzadziej wstępowały do partii. To była zdecydowanie partia męska. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych kilka kobiet zajmowało stanowiska sekretarzy w komitetach wojewódzkich, na przykład Maria Kamińska w Poznaniu, ale to jednak były wyjątki. Wielokrotnie, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, podejmowano próby zmiany tej sytuacji, pojawiały się takie pomysły, żeby procent kobiet w partii był stały, ale ciągle ich brakowało.

B.P. – *Powróćmy do elity kierowniczej.*

Ł.K. – Ten stan rzeczy niewiele się zmienia po 1948 r., dochodzi do rozład personalnych, ale nie wpływają one na obraz elity. Jeśli chodzi o pochodzenie społeczne, to znaczna część członków Komitetu Centralnego (podobnie jest zresztą w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego), paradoksalnie, miała pochodzenie drobnomieszczańskie, według ówczesnej terminologii burżuazyjne. Przez długie lata w kierownictwie partii praktycznie nie było osób o pochodzeniu chłopskim. To samo dotyczy tak zwanych elit lokalnych, dopiero po 1956 r. bardzo powoli zmieniał się ten stan.

B.P. – *Czyli w gruncie rzeczy była to partia drobnych urzędników.*

Ł.K. – W miarę upływu czasu w aparacie partyjnym największą reprezentację mają przedstawiciele inteligencji urzędniczej różnych zawodów, przede wszystkim z administracji państwowej. Działacze partyjni tworzą etatowy aparat partyjny, a jego pracownicy zajmują potem funkcje wybieralne w samej partii. Najlepiej widać to w 1981 r., kiedy wybory do różnych instancji były chyba jedyny raz w miarę wolne i demokratyczne. Można podać przykład z województwa wrocławskiego – 75 proc. delegatów na konferencję wojewódzką PZPR stanowiła inteligencja urzędnicza z aparatu, robotnicy byli w zdecydowanej mniejszości. A więc określenie „robotnicza” w nazwie partii nie było do końca prawdziwe.

B.P. – *Mam wrażenie, że do podważenia jest cała nazwa.*

Ł.K. – Tak. Partia nie była tak naprawdę ani w pełni polska, ani zjednoczona, ani robotnicza, a na dodatek właściwie to wcale nie była partia. Robotnicy stanowili około połowy szeregowych członków, a na stanowiskach wybieralnych zawsze byli w zdecydowanej mniejszości. Co pewien czas w specjalnych akcjach poprawiano skład społeczny, żeby bardziej odpowiadał głoszonej ideologii, a nawet usiłowano przyciągać do partii chłopów. Najmniej było przedstawicieli tych grup w latach osiemdziesiątych, kiedy robotnicy najliczniej i najszybciej opuszczali szeregi partyjne.

B.P. – *Czy była jakaś charakterystyczna lub stała dla tej partii struktura wiekowa?*

Ł.K. – Polska Partia Robotnicza w latach 1945–1948 (w porównaniu z późniejszymi okresami) była partią ludzi stosunkowo młodych. Działaczami średniego szczebla z nowego naboru zostawali ludzie w okolicach trzydziestki. Do połowy lat siedemdziesiątych obserwujemy naturalny proces starzenia się kadr, co wiązało się ze stosunkowo niewielką wymianą kadrową na szczeblach kierowniczych. Kolejna fala przychodziła do partii w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, wtedy zaczynają awansować działacze

z pokolenia ZMP, następuje jej odmłodzenie. W latach osiemdziesiątych do partii wchodzi pokolenia ZSMP i SZSP, czyli pokolenie Aleksandra Kwaśniewskiego, co nie zmienia jednak radykalnie struktury wiekowej, bo wtedy mało kto garnie się do partii.

Trudniejsza jest analiza tak zwanych dołów partyjnych. W latach pięćdziesiątych udało się przyciągnąć do partii sporo młodzieży, choć wtedy właśnie prowadzono bardzo ostrożną politykę naboru. Poza tym trwała kolejna fala czystek, szeregi partyjne topniały. Masowy napływ ludzi do partii rozpoczął się pod koniec lat sześćdziesiątych, a w latach siedemdziesiątych liczebność partii zwiększyła się dwukrotnie, szeregi partyjne odmładniały. Nie oznacza to, że wzrosła popularność PZPR w społeczeństwie, po prostu komitety partyjne dostały limity, o ile mają zwiększyć liczbę członków.

B.P. — *Jak praktycznie wyglądał ten nabór?*

Ł.K. — Wylawiano osoby bardziej aktywne, działaczy ZSMP, prowadzono z nimi rozmowy przygotowawcze, oferowano różne korzyści, w tym możliwość awansu zawodowego. Sądząc po efektach, była to skuteczna metoda. Wtedy już nie ukrywano, że przynależność do partii jest warunkiem zdobycia jakiegoś stanowiska.

B.P. — *To zapewne łączy się również z tym, że coraz mniej był poziom ideowości w partii.*

Ł.K. — Oczywiście. Wykruszało się pokolenie KPP, zaczęło brakować ludzi, którzy naprawdę byliby prześlągnięci ideologią marksistowską. Bałbym się jednak takiego jednoznacznego twierdzenia, że z upływem czasu partia się deideologizowała. Właśnie druga połowa lat siedemdziesiątych, co jest może zaskakujące, to okres bardzo intensywnej pracy ideologicznej. Wydział pracy oświatowo-wychowawczej KC PZPR osiąga szczyt swojej aktywności, podobny poziom uzyskano tylko w latach pięćdziesiątych. Wydaje się bardzo dużo materiałów instruktażowych, organizuje się tysiące szkoleń dla członków partii różnego szczebla. Być może ta ideologia była już bardziej zwulgaryzowana i uproszczona, ale nie można powiedzieć, że partia się zdeideologizowała w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych. Z pewnością natomiast ideologia nie była obecna w codziennym życiu i codziennej pracy członków partii.

Warto się zastanowić, czy słowo partia jest dobrym określeniem dla PZPR. Tak naprawdę była to struktura administracyjna, która zarządzała państwem — od szczytów władzy po najdrobniejszy zakład pracy i gminę. Ośrodkiem władzy zawsze był bardziej komitet zakładowy PZPR niż dyrekcja zakładu, bardziej komitet gminny niż urząd gminny.

Głównym instrumentem utrzymywania władzy i kontroli nad całym aparatem państwa pozostawał system nomenklatury. Ostatni wykaz stanowisk nomenklaturowych opracowano w czerwcu 1989 r. Jeszcze wtedy partia uważała, że decyduje o obsadzie stanowisk.

B.P. — *Co oznacza pojęcie nomenklatura?*

Ł.K. — Jest to system kontroli przez partię kadr administracji państwowej, gospodarczej, wojska i aparatu bezpieczeństwa polegający na dobieraniu i zatwierdza-

niu ludzi na konkretne stanowiska, również na odwoływaniu tych, którzy się nie sprawdzali z różnych przyczyn, przeważnie ideologicznych. System nomenklatury oficjalnie, według wytycznych KC w różnych okresach, obejmował od pięćdziesięciu do ponad stu tysięcy osób zajmujących czołowe stanowiska kierownicze. Faktycznie ten system dotyczył przynajmniej kilkuset tysięcy stanowisk, ponieważ komitety niższego szczebla aż do szczebla zakładowego podejmowały własne uchwały o systemie nomenklatury kadr w przedsiębiorstwie. Były na przykład fabryki, gdzie systemem nomenklatury kadr objęto majstrów. Pozwalało to kontrolować całą kadrę kierowniczą. Kierowników w Polsce Ludowej zawsze było bardzo dużo.

B.P. — *Takiej kadrze nie tylko dano satysfakcję uczestniczenia we władzy, ale również zapewniono jej materialne korzyści potwierdzające uprzywilejowaną pozycję społeczną.*

Ł.K. — Tak, to się zaczyna w latach pięćdziesiątych, nasila w latach sześćdziesiątych, a szczyt przypada na lata siedemdziesiąte, kiedy różne formy gratyfikacji nomenklatury przyjmują rozmiary już bardzo bulwersujące dla społeczeństwa. Miały one postać przede wszystkim różnych dodatków (oczywiście z pieniędzy niepartyjnych) do zasadniczej pensji. Na przykład zasłużonym, którzy odchodzili na emeryturę, przyznawano renty specjalne, były ich tysiące rocznie. Ta dodatkowa emerytura często przewyższała zasadniczą. Były też gratyfikacje pośrednie. Komitet wojewódzki był jednym z dysponentów talonów na rozmaite dobra, w latach siedemdziesiątych przede wszystkim na samochody, a wcześniej na przykład na pralki czy telewizory. Komitety wojewódzkie bez najmniejszego problemu znajdowały mieszkania dla członków nomenklatury. Gdy budowano nowe osiedla, z góry przeznaczano całe bloki do dyspozycji komitetu wojewódzkiego, nie tylko zresztą dla aparatu partyjnego. Często w ten sposób nagradzano inne osoby z administracji państwowej, które po prostu były posłuszne.

Państwo kontrolowano nie tylko przez kadry. Komitety partyjne różnych szczebli były organami zarządzającymi. To one podejmowały istotne decyzje dotyczące zakładów pracy na poziomie zarówno lokalnym, jak i centralnym. Komitet zakładowy dyskutował nad planami produkcyjnymi danego przedsiębiorstwa, nad zmianą profilu produkcji. Angażował się w sprawy, którymi w normalnym państwie zajmuje się zarząd czy dyrekcja. Podobnie komitety gminne, miejsko-gminne, miejskie, decydowały o tym, gdzie mają być budowane drogi, gdzie ma powstać nowa szkoła, jak przeprowadzić akcję siewną. Na posiedzeniach Biura Politycznego rozstrzygano wszystkie problemy — czasami dyskutowano nad rzeczami trywialnymi, na przykład czy statkowi nadać imię Wincentego Pstrowskiego. W latach pięćdziesiątych Biuro Polityczne wyznaczyło nawet ze swoich członków specjalną trzyosobową komisję, która przyznawała paszporty. Członkowie Biura Politycznego, czyli *de facto* najwyższego organu państwa, decydowali o tym, czy ktoś może wyjechać za granicę. To był okres, kiedy w skali roku wyjeżdżało po dwa, trzy tysiące osób. Obrady komitetów różnych szczebli ciągnęły się

do późna w nocy, dlatego w latach pięćdziesiątych podjęto specjalną uchwałę nakazującą kończenie obrad Biura Politycznego przed północą. Motywowano to pogarszającym się, na skutek intensywnej pracy, stanem zdrowia towarzyszy.

B.P. — *Partia decydowała więc o wszystkim, ale czy w Biurze Politycznym byli ludzie, którzy mieli elementarne pojęcie o sprawach, o których decydowali?*

Ł.K. — Biuro posiłkowało się przeważnie ekspertami, bo jego członkowie często nie byli w stanie pojąć materiału stanowiącego podstawę dyskusji. Dobrze to widać, gdy przegląda się protokoły z posiedzeń Biura Politycznego — protokół liczy trzy, cztery strony maszynopisu, a do tego jest pięćset stron załączników, różnych tabel, gdzie są dane ekonomiczne. Jest jasne, że bez pomocy ekspertów tego się nie dało rozstrzygnąć. Przykładem takiego działacza partyjnego, który usiłował sam wszystko zrozumieć i policzyć, był Władysław Gomułka. Wielokrotnie łapał swoich współpracowników na tym, że zaniżali koszty, usiłując przekonać go do jakiegoś projektu. W 1969 r. wybuchła afera w związku z budową nowego wozu bojowego piechoty. Gomułka odkrył, że został oszukany na 6 mld złotych. Zwołał specjalne zebranie i zaatakował współpracowników. Generalnie jednak podejmowano decyzje sugerowane przez ekspertów. Wyjątkiem są lata pięćdziesiąte, kiedy członkowie Biura Politycznego uważali się za onnipotentnych, decydowali na przykład o wystroju wnętrz sklepów na placu Konstytucji czy ornamentach na poszczególnych budynkach w tym rejonie.

B.P. — *Tak dało się funkcjonować w okresach stabilności politycznej i społecznej. Partia jednak musiała sobie radzić również w okresach niepokojów.*

Ł.K. — Wiemy, jak w sytuacjach kryzysowych zachowywały się szczyty władzy partyjnej. Zatrzymajmy się więc nad tym, co w takich momentach działo się w tak zwanych dołach partyjnych. Były to rzeczy ciekawe i zaskakujące, zwłaszcza w czasie tych największych kryzysów, w latach 1956, 1970 i 1980–1981. W pewnym sensie dochodziło wtedy wręcz do buntu dołów partyjnych przeciw aparatowi i wyższym instancjom. Na przykład w 1956 r. wiele organizacji partyjnych przyjmuje rezolucje, w których nie tylko żądano wycofania się z Polski wojsk radzieckich, ale także zwrotu przez Związek Radziecki Wilna i Lwowa. Skutek jest taki, że na początku 1957 r. partia w pewnym stopniu była sparaliżowana, zwłaszcza na tych najniższych szczeblach — zakładu, gminy. Ludzie występowali z partii, odmawiali wykonywania zaleceń kierownictwa, zachowywali się tak, jakby partia przestała istnieć. Nikt nie przychodził na zebrania partyjne, nie było kandydatów na pierwszego sekretarza POP. W grudniu 1970 r. doły partyjne żądały ukarania winnych masakry na Wybrzeżu. Mówiono, że partia nie może tolerować w swoich szeregach ludzi, którzy mają buty unurzane w robotniczej krwi. Członkowie partii byli rozczarowani, że poza odsunięciem kilku osób od stanowisk niewiele się zmieniło, że nikt nie stanął przed sądem. Pojawiały się nawet hasła, żeby do udziału we władzy dopuścić opozycję, skoro partia nie radzi

sobie z problemami ekonomicznymi. W latach 1980–1981 w partii pojawił się silny ruch reformatorski. Struktury partii zaczęły się demokratyzować – zmienił się sposób wybierania różnych instancji partyjnych, rozliczano miniony okres, nie tylko wyrzucając z partii kilkadziesiąt osób, ale stawiając je przed sądem, domagano się także głębokiego zreformowania systemu partii. Bardzo poważnie dyskutowano nad zmianą systemu politycznego. To jest ta druga twarz PZPR. Zdarzało się w jej historii, że doły partyjne sprawiały duże kłopoty partyjnym elitom.

B.P. — *Zdarzały się więc momenty, w których partia musiała przeprowadzić czystki.*

Ł.K. — Czystki były stałym mechanizmem wewnętrznego funkcjonowania partii. Zaczęły się jeszcze w Polskiej Partii Robotniczej, w 1943 r., czego przykładem nie do końca wyjaśniona do dziś rozgrywka, w której uczestniczyli między innymi bracia Bolesław i Zygmunt Mołojcowie.

B.P. — *Jakim kluczem posługiwano się w tych czystkach?*

Ł.K. — To też zależy od okresu. W 1948 r. przede wszystkim sprawdzano przeszłość członków partii, szukano ich związków i uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym II Rzeczypospolitej, na przykład w Związku Strzeleckim, BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem). Szukano tych, którzy ukrywali swoją przeszłość wojenną — folksdojczów, kolaborantów, — a oni dość chętnie do partii się garnęli. W pewnym momencie za powód wykluczenia przyjęto fakt ukrycia przynależności do AK. Później usuwano zwolenników Gomułki. Czystka objęła aparat wyższego i średniego szczebla. Trwała do 1950 r. — najpierw usuwano ludzi ze stanowisk partyjnych, a później w ogóle z partii. W latach pięćdziesiątych trwała permanentna czystka i permanentna kontrola. Komisje Kontroli Partyjnej różnego szczebla, od centralnej, przez wojewódzkie, powiatowe, dzielnicowe nieustannie szukały informacji o członkach partii, przede wszystkim o ich przeszłości. Oczywiście usuwano ludzi, którzy aktualnie dopuścili się jakichś przewinień — na przykład zarzut klerykalizmu stawiano temu, kto chodził do kościoła czy ochrzcił dziecko. Przede wszystkim jednak szukano błędów w przeszłości. Włączano w tę akcję aparat bezpieczeństwa. Porównywano ankiety personalne, czy nie ma w nich jakichś różnic, które należałoby wyjaśnić. Poszukiwania dotyczą przede wszystkim okresu międzywojennego i wojny.

B.P. — *Ile osób objęły czystki?*

Ł.K. — Ponieważ była to czystka permanentna, dość trudno to ustalić. Myślę, że od powstania PZPR w 1948 r. objęła ona setki tysięcy osób. Warto wspomnieć, że czystka odbywała się również w Polskiej Partii Socjalistycznej, która „przygotowywała” się do zjednoczenia z PPR. W jej wyniku liczebność partii w 1948 r. zmniejszyła się prawie o połowę. W latach pięćdziesiątych oczyszczano partię z elementów wrogich ideologicznie, wystarczało niewłaściwe pochodzenie społeczne — drobnomieszczańskie, drobnoburżazyjne lub kułackie.

Największa czystka nastąpiła na przełomie lat 1957–1958, gdy Gomułka rzucił hasło walki z rewizjonizmem. Słynne było jego powiedzenie, że rewizjonizm to jest gruźlica, a dogmatyzm to jedynie grypa. Wtedy z partii wyrzucono ponad 15 proc. jej członków. W latach sześćdziesiątych, poza 1968 r., nie było masowych czystek. Wtedy usuwano przede wszystkim osoby pochodzenia żydowskiego oraz sympatyzujące z opozycją lub rodziców studentów biorących udział w wydarzeniach marcowych. Weryfikację członków przeprowadzano przy okazji wymiany legitymacji partyjnych. Wtedy usuwano osoby nieprzydatne partii z różnych powodów, także na przykład zaangażowane w działalność kryminalną. Szukano ludzi niepewnych i nie do końca partii oddanych.

W latach siedemdziesiątych partia ponownie starała się przyciągnąć jak najwięcej osób. Podczas wymiany legitymacji przymykano oko na znacznie więcej spraw niż w latach sześćdziesiątych. Ostatnia wielka czystka w partii miała miejsce na początku stanu wojennego – wyrzucano wszystkich, którzy zaangażowali się w „Solidarność”; wiele osób opuściło partię dobrowolnie. Poprzednie czystki, z wyjątkiem związanej z osobą Gomułki, dotyczyły przede wszystkim członków i działaczy niskiego szczebla. Ta czystka rozpoczęła się z kolei od członków KC i sięgnęła do samego dołu, do szeregowych członków partii. Objęto nią kilkaset tysięcy osób.

**B.P. — *PZPR chciała być i była partią masową. Można się wprowadzić za-
stanawiać, czy 2 proc. społeczeństwa to już «masowość». Tak czy inaczej
liczba członków była ważna. W takim razie wydaje się, że permanentne
czystki są dużą niekonsekwencją.***

Ł.K. — Na tym polegał kolejny paradoks działania partii w całej jej historii. Partia nie tylko w tym wypadku wahała się między dwiema skrajnymi postawami. Przykładem jest okres kolektywizacji w latach pięćdziesiątych – najpierw naciskano, żeby za wszelką cenę kolektywizować, potem, na przykład po sprawie gryfickiej, napominano, żeby nie działać siłowo. A gdy w wyniku tego poluzowania polityki kolektywizacyjnej spadała liczba spółdzielni, rozpoczęto kolejne naciski. Podobnie było z kwestią członkostwa w partii. Zwłaszcza po 1956 r. partia starała się być masowa. Ideałem byłoby, gdyby objęła całe dorosłe społeczeństwo, co zresztą nie udało się w żadnym państwie komunistycznym. W Polsce odsetek członków partii zawsze był najniższy. Co jakiś czas podejmowano więc akcje naboru do partii, poprawiania jej składu społecznego; gdy brakowało robotników, padały polecenia, żeby ich zdobyć. Po pewnym czasie okazywało się, że to są fikcyjni członkowie, nie zaangażowani w działalność partii, i padało hasło o weryfikacji kadr. Miotano się między tymi dwiema strategiami. To była reguła, po każdej fazie masowego naboru następowała faza czystek.

B.P. — *Porozmawiajmy o aparacie partyjnym.*

Ł.K. — Najważniejszy był aparat partyjny między szczeblem gminy a szczeblem województwa.

B.P. — *Najważniejszy, bo to oni wykonywali najczarniejszą robotę.*

L.K. — W latach pięćdziesiątych oni rzeczywiście ciężko pracowali, kiedy organizowano w gminie, powiecie czy zakładzie mnóstwo akcji, nad którymi trzeba było zaplanować. W tym okresie partia starała się wszystko kontrolować. Pokazują to dokumenty i relacje. Ludzie w terenie pracowali bardzo ciężko, czasami po szesnastu godzin dziennie. Trzeba było pilnować, żeby robotnicy przekraczali normy, a przynajmniej wykonywali plan, trzeba było zakładać spółdzielnie produkcyjne, walczyć z Kościołem, łapać kułaków, walczyć z sabotażystami, zbierać podpisy pod apelem sztokholmskim (wystosowanym w 1950 r. przez prokomunistyczny ruch pokoju apelem o przeciwstawienie się groźbie wojny). W tym okresie praca partyjna była niewdzięczna, tym bardziej że na średnich i niższych szczeblach nie łączyła się z jakimiś szczególnymi profitami. Cechą charakterystyczną okresu 1949–1955 jest ogromna rotacja kadr w aparacie partyjnym. W niektórych województwach na szczeblu sekretarzy komitetu powiatowego rocznie wymieniano połowę funkcjonariuszy. Nie wytrzymywali tych obciążeń zawodowych, a poza tym cały czas trwała czystka — nagle odkrywano, że jakiś towarzysz ma, z punktu widzenia partii, nie najlepszą przeszłość. Ponadto ludzi wciąż przerzucano z odcinka na odcinek, z województwa do województwa, zwłaszcza tych, którzy się wykazali jakąś operatywnością. Ludzie musieli być skuteczni w swych działaniach w bardzo wielu dziedzinach i na bardzo wielu frontach.

B.P. — *No proszę, a 1956 r. wykazał, że tak ogromny wysiłek poszedł na marne.*

L.K. — Po 1956 r. aparat zdecydowanie stabilizuje się i normalizuje, struktury twardnieją, a ludzie wiedzą, jak się mają zachować. Działacze partyjni nie kontrolują już wszystkiego, można powiedzieć, że teraz już spokojnie zarządzają. Tak naprawdę ta sytuacja się zmienia dopiero po stanie wojennym. Obserwujemy zjawisko dziedziczenia członkostwa w aparacie partyjnym, koneksje rodzinne są jedną z najistotniejszych rekomendacji. Chętnie zatrudnia się dzieci działaczy partyjnych czy członków aparatu partyjnego.

B.P. — *Pomówmy o wykształceniu aparatu partyjnego.*

L.K. — W latach pięćdziesiątych sytuacja jest wprost przerażająca. Poziom wykształcenia działaczy szczebla lokalnego ociera się niemalże o analfabetyzm. Na przykład w województwie łódzkim do 1955 r. wśród członków aparatu 70 proc. nie miało pełnego wykształcenia podstawowego, nikły procent miał wykształcenie średnie, pojedyncze osoby niepełne wyższe. Ci, którzy przetrwali lata pięćdziesiąte i stabilizowali swoją pozycję, mieli możliwość zdobycia lepszego wykształcenia. W latach osiemdziesiątych spory odsetek działaczy ma już wykształcenie wyższe. Nie wynika to tylko z wymiany kadry. Organizowano różne kursy dokształcające, które pozwalały w uproszczonym trybie kończyć szkołę podstawową, średnią. Na zaocznych czy wieczorowych studiach wyższych członków partii traktowano w szczególnie sposób. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych do aparatu wchodziły też osoby, które wykształ-

cenie uzyskały normalnym trybem. W tym czasie nastąpił rozrost struktur pomocniczych partii. W latach sześćdziesiątych w komitetach wojewódzkich, czasem nawet powiatowych, powstawały specjalne stołówki, byli kierowcy, tworzone specjalne domy czasowe, drukarnie. Pod koniec lat osiemdziesiątych aparat partyjny i obsługujące go instytucje zatrudniają dziesiątki tysięcy osób. Powstała potężna armia urzędników. W samym KC w szczytowym okresie pracowało ponad dwa tysiące osób.

B.P. — *W jaki sposób partia podporządkowywała sobie poszczególne resorty?*

Ł.K. — Trzeba wrócić do nomenklatury i kadr. Tam właśnie znajdowały się stanowiska kierownicze wszystkich resortów, w tym najważniejszych. Szczególną wagę przywiązywano do kontroli aparatu bezpieczeństwa. Jedyny raz w historii partii po 1948 r. aparat bezpieczeństwa nie tylko się usamodzielniał, co więcej, podjął próbę kontroli samej partii. Powstał wówczas słynny X Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

B.P. — *Kto to wymyślił?*

Ł.K. — Trudno powiedzieć. Wciąż aktualne jest pytanie o inspirację z zewnątrz. Trudno podejrzewać o to Stanisława Radkiewicza, bo nie ma żadnych śladów wskazujących, że chciał przejąć władzę. Być może był to niechciany efekt tego, że sama partia, o czym mówiliśmy przy okazji czystek, potrzebowała pomocy aparatu bezpieczeństwa. Jeśli zbiera się informacje o zwykłych członkach, to dlaczego nie zbierać informacji o członkach komitetu miejskiego czy centralnego, dlaczego i tam nie szukać wrogów? Paru zresztą znaleziono. W 1950 r. wrogiem okazał się na przykład minister administracji publicznej — Władysław Wolski. Zajmował się między innymi stosunkami państwo-Kościół. Został potępiony, wykluczony z Komitetu Centralnego, potem z partii w ogóle. Nie jest do końca jasne, jakie było tło tej sprawy, dlaczego Bolesław Bierut zdecydował się na ten ruch. Na Bieruta zresztą również zbierano materiały. Myślę, że ściśle kierownictwo partyjne do pewnego stopnia zdawało sobie sprawę, że skoro zbiera się materiały na Gomułkę, to znaczy, iż zbiera się je też na innych. Te sprawy wypłynęły po 1954 r., po audycjach Józefa Światły w Radiu Wolna Europa. Wtedy zredukowano aparat bezpieczeństwa, zlikwidowano X Departament, oddzielono Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Radkiewicza odstawiono na boczny tor, dano mu stanowisko ministra do spraw państwowych gospodarstw rolnych. Na czele Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego nie stał już funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa. Do kierownictwa resortu wysłał się aparatczyków partyjnych po to, żeby nie wymknął się on spod kontroli PZPR. Później wielokrotnie ten manewr powtarzano, dosyłało nowych ludzi, żeby sprawdzać, co się tam dzieje, szybko mianowano ich generałami czy pułkownikami, dawano im odpowiednie stanowiska. Dlatego między innymi pojawił się zakaz werbowania członków PZPR na agentów, częściowo zresztą omijany. Partia zadbała, żeby aparat bezpieczeństwa się nie usamodzielniał i nie przejął kontroli nad samą partią.

B.P. — *Czy w budynku KC była jakaś komórka służby bezpieczeństwa?*

L.K. — Przede wszystkim byli oficerowie ochrony. Od lat pięćdziesiątych nie prowadzono już kontroli zachowań, rozmów. Aparat bezpieczeństwa bał się partii. Często pytano o zgodę, czy można postawić zarzut, aresztować, nawet w sytuacjach oczywistych, gdy ktoś z członków aparatu średniego czy wyższego szczebla dopuścił się wykroczeń natury moralnej, obyczajowej albo wręcz przestępstw kryminalnych. Bezpieczeństwo już nigdy nie poważało się podnieść na partię ręki w żadnym sensie, a partia miała nad nim dość ścisłą kontrolę. Aparat kierowniczy bezpieczeństwa był też częściowo włączany w funkcjonowanie samej partii. To była reguła, że w Komitecie Powiatowym czy Komitecie wojewódzkim członkiem egzekutywy zostawał lokalny szef Urzędu Bezpieczeństwa, a później Służby Bezpieczeństwa. Do aparatu bezpieczeństwa kierowano wyróżniających się towarzyszy również na szeregowie stanowiska. Z kolei do aparatu partyjnego wprowadzano wyróżniających się i inteligentnych członków aparatu bezpieczeństwa. Te dwa światy stopniowo zaczęły się przenikać. Dzieci działaczy partyjnych szły do pracy w SB, dzieci funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa — do partii. Podobnie kontrolowano wojsko. O ile aparatem bezpieczeństwa zajmowała się specjalna struktura, czyli wydział administracyjny w KC PZPR, o tyle od lat pięćdziesiątych nie było wyznaczonej struktury KC, która zajmowałaby się wojskiem. Tę funkcję pełnił Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Za jego pośrednictwem, formalnie od 1948 r., sprawowano pełną kontrolę nad wojskiem, przedtem rolę tę nieformalnie odgrywały struktury partyjne. Podobnie kontrolowano wszystkie ważniejsze struktury państwowe, wyznaczano im cele i plany działania. Starano się również kontrolować wszelkie organizacje społeczne, w tym partie sojusznice, czyli Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. O składzie ich władz przeważnie, poza krótkimi okresami odwilży po 1956 czy 1980 r., decydowało Biuro Polityczne. PZPR decydowała też o finansach innych partii, wyznaczano limity członków. Podobnie było z różnymi organizacjami społecznymi czy społeczno-politycznymi. Na przykład PAX był objęty limitem członków. Oficjalnie w wykazach nomenklaturowych często nie było niektórych stanowisk, na przykład w Związku Harcerstwa Polskiego, w Polskim Czerwonym Krzyżu i organizacjach społecznych, ale praktycznie znajdowały się one w nomenklaturze odpowiednich komitetów partyjnych.

Partia starała się także kontrolować Kościół poprzez regulacje prawne dotyczące obsady stanowisk kościelnych, począwszy od proboszczów, na biskupach skończywszy. W 1976 r. Wydział Nauki i Oświaty KC PZPR podjął decyzję o wysyłaniu osób zaufanych do struktur opozycyjnych, żeby je rozbijać lub wspierać w nich osoby chwiejne, które następnie można byłoby pozyskać dla partii. Podobną akcję podjęto w 1980 r. We wrześniu, październiku wydawało się, że partia będzie w stanie kontrolować nowy ruch związkowy. Kierowano do niego wielu starych czy zasłużonych działaczy, zachęcano własnych członków, żeby wchodzili do „Solidarności” i obejmowali stanowiska kierownicze. Ten plan oczywiście zupełnie się nie udał. Wręcz przeciwnie,

można powiedzieć, że to „Solidarność” w jakimś stopniu zaczęła kontrolować partię. Bardzo wielu członków weszło do „Solidarności”. Istotą tego systemu i partii jest to, że usiłowała kontrolować wszystko, od stonki ziemniaczanej aż po struktury formalnie od niej całkowicie niezależne czy nawet jej wrogie.

B.P. — *Może czas pomówić o zdrajcach partii?*

Ł.K. — Tacy ludzie byli i na dodatek byli najlepszymi rzecznikami opozycji, byli najbardziej wiarygodni. Można powiedzieć, że dawali świadectwo, bo wiedzieli, jak ta partia funkcjonuje. Istniała i druga strona medalu, mianowicie jednym z bardziej ulubionych chwytów propagandowych partii było wypominanie ludziom, że kiedyś do niej należeli, co miało ich kompromitować w oczach opozycji i społeczeństwa. Czyniono zarzut z tego, co dla samego aparatu było chlubą — że budował socjalizm.

B.P. — *Pomówmy o kontaktach z bratnimi partiami.*

Ł.K. — Te kontakty miały dwa kierunki — Moskwa i pozostałe partie komunistyczne. W latach pięćdziesiątych stopień zależności od Moskwy jest bardzo ścisły. Po bezpośrednich konsultacjach z Moskwą lub za pośrednictwem Kominformu były podejmowane najważniejsze decyzje, na przykład o kolektywizacji wsi, likwidacji partii socjalistycznych i socjaldemokratycznych. Do 1955 r. ten bezpośredni kontakt z Moskwą polegał na osobistym przyjmowaniu instrukcji w czasie moskiewskich wizyt Bolesława Bieruta, przyjmowaniu depesz i rozmowach telefonicznych. Tą drogą szły do Moskwy zapytania i przychodziły wytyczne, było to zatem dyrektywne kierowanie poczynaniami PZPR przez KPZR. Istotną rolę w tych kontaktach odgrywali także ambasadorzy. Jednym z przykładów takiego funkcjonowania partii komunistycznej jest wezwanie do Moskwy w lipcu 1950 r., po wybuchu wojny koreańskiej, reprezentantów wszystkich partii bloku. Na tym spotkaniu dowiedzieli się, że należy zmienić plany gospodarcze, bo rozpoczyna się okres intensywnych zbrojeń. Każdy dostał gotowe wytyczne, co ma wykonać, jaką podjąć produkcję, o ile zwiększyć armię.

Po 1956 r. bezpośredni wpływ Moskwy i jej codzienna kontrola państw bloku znacznie osłabły. Moskwa nabiera zaufania do polskich towarzyszy. Późniejsze ingerencje Moskwy dotyczyły przede wszystkim momentów kryzysowych — przyjazd delegacji radzieckiej w czasie VIII Plenum w 1956 r., list w sprawie odwołania Gomułki w grudniu 1970 r., próby bardzo intensywnego wpływania na kierownictwo PZPR w czasie kryzysu 1980–1981. Ale to nie są bezpośrednie dyrektywy. Oczywiście, w ramach RWPG, w ramach Układu Warszawskiego przychodzą ogólne wytyczne dotyczące kwestii uzbrojenia, wydobycia surowców strategicznych itd., ale one wskazują pewne cele, które należy zrealizować. Naturalnie, przez cały czas (nie mamy jednak na ten temat jednoznacznych źródeł) Moskwa prowadzi zakulisową kontrolę. Zawsze w kierownictwie znajdowała się grupa ludzi, których nazywano ludźmi Moskwy. Zajmowali one twarde, pryncypialne stanowisko. Byli zapraszani do ambasady, gdzie prowadzono z nimi rozmowy, sugerowano pewne rozwiązania.

Najściślejsze kontakty partyjne w obrębie bloku dotyczyły partii sąsiedzkich, w NRD i w Czechosłowacji. Stosunki na szczeblu kierowniczym ograniczały się do oficjalnych wizyt i rozmów oraz koordynacji współpracy gospodarczej. Intensyfikowały się w okresach kryzysów, szczególnie kryzysu 1980–1981 i stanu wojennego. Ścisłsza współpraca odbywała się na lokalnym, przygranicznym terytorium. Były to wizyty i wyjazdy, współpraca gospodarcza. Towarzysze z bratnich partii bardzo starali się pomóc w okresie stanu wojennego, moralnie i materialnie. SED pomagała w tworzeniu związków zawodowych, organizując szkolenia związkowe. Te pozytywne z punktu widzenia partii kontakty zawsze miały drugi, głębszy wymiar. W momentach kryzysowych wykorzystywano je do kontroli i szukania informacji o tym, co się dzieje u sąsiadów. W 1980 r. pojawił się cały cykl informacji o SED pochodzących od Stanisława Cioska, sekretarza w Jeleniej Górze. Jako przykład z drugiej strony można wskazać kryzys związany z Praską Wiosną 1968 r., kiedy jednym z głównych źródeł informacji dla polskiego kierownictwa partyjnego, poza wywiadem, SB itd., były informacje Władysława Kruczka, I sekretarza w Rzeszowie, który miał kontakty na Słowacji i kilka razy w tygodniu słał raporty o tym, co się dzieje u jego sąsiadów, co myślał członkowie partii, jakie są ważne wydarzenia, nastroje społeczne.

W 1987 r. zaczyna się zacieśnianie stosunków ze Związkiem Radzieckim. Praktycznie każda jednostka terytorialna w Polsce, każda gmina i miasto, zakład pracy, szukały w Związku Radzieckim partnera. Wcześniej kontakty tego typu na ogół były fikcją. Sądzono, że to może ożywić gospodarkę kraju, a skończyło się na kilku wycieczkach. Niezależnie od tego partia prowadziła stałą współpracę międzynarodową, podejmowała decyzje, nawet w kwestii współpracy między instytucjami naukowymi – w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych komitet uczelniany podejmował decyzję, czy dana osoba może pojechać na konferencję czy na jakiś staż. Podobnie bywało na szczeblu centralnym. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych w międzynarodowym stowarzyszeniu ekonomistów chciano wybrać czterech prezesów honorowych. Wśród nich znalazł się znany polski ekonomista, członek KOR Edward Lipiński. Był problem, co zrobić z tym fantem, czy protestować, czy ambasador polski w Londynie ma złożyć jakieś oświadczenie. MSZ poradził się partii. Partia podjęła decyzję, żeby nic nie robić, bo drugim z tej czwórki był Chaczaturow, ekonomista radziecki, a kierownictwu radzieckiemu bardzo zależało, żeby on został współprzewodniczącym. Lipiński otrzymał tę funkcję. W latach siedemdziesiątych, kiedy międzynarodowa unia psychiatrów wykluczyła ze swych szeregów psychiatrów radzieckich w związku ze stosowaniem przez nich psychiatrii do walki politycznej, też nie wiedziano, co robić; w końcu polska psychiatria została w tych strukturach. Podobne problemy dotyczyły olimpiad, w zasadzie wszystkiego, co było związane ze stosunkami międzynarodowymi.

B.P. – *A kontakty partii z krajami trzeciego świata? Skąd na przykład czerpano pieniądze na finansowanie studiów przedstawicieli tych krajów?*

L.K. — Oczywiście z budżetu państwa, co zresztą skrzętnie ukrywano. Studentów zagranicznych finansowano z budżetu ministerstwa nauki i szkolnictwa wyższego. Z tego powodu partia miewała poważne kłopoty, bo nie kontrolowała naboru odbywającego się w krajach, z których pochodzili studenci. Czasami dochodziło do sytuacji paradoksalnych, działacze partyjni pisali w swych sprawozdaniach, że na przykład wśród Palestyńczyków istnieje cztery czy pięć frakcji, które ze sobą walczą, co stanowi zagrożenie dla państwa. Albo odkrywano wśród studentów wrogów komunizmu. Jeden z komitetów uczelnianych zaalarmował KC w latach siedemdziesiątych, że jakiś student chwali się publicznie, iż jego ojciec jest w specjalnej jednostce policyjnej do walki z komunizmem. Wspieranie studentów było stosunkowo niedrogie. Największe koszty Polska ponosiła w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych w związku ze wspieraniem krajów arabskich. O tym też decydowało Biuro Polityczne, określając skalę tej pomocy. Była to przede wszystkim pomoc żywnościowa, militarna, medyczna, technologiczna. Pomoc kierowano również do Wietnamu. Często przybierała ona formę fikcyjnej sprzedaży, a potem stopniowego umarzania zadłużenia. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, w związku z generalnie złą sytuacją gospodarczą, zaczęto przywiązywać wagę do odzyskania niespłaconych powinności.

B.P. — *Czy partia reprezentowała rzeczywiście polski interes narodowy?*

L.K. — Nie można powiedzieć, że była to partia antypolska w takim sensie, że walczyła z polskością, niemniej bardzo często szkodziła polskiemu społeczeństwu, chociażby w sprawach kultury narodowej, gospodarki.

B.P. — *Czy można powiedzieć, że partia broniła polskiej racji stanu?*

L.K. — Tak twierdzą na przykład zwolennicy gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ja miałbym poważne wątpliwości. Ważny jest 1956 r., wtedy właśnie wydawało się, że Gomułka uchronił Polskę przed interwencją. Choć trudno powiedzieć, czy to była zasługa partii, czy osobiście Gomułka, który przekonał Moskwę, że zmiany zachodzące w Polsce nie są groźne dla Związku Radzieckiego. Na pewno w latach czterdziestych, tak uważało wówczas społeczeństwo i tak można na to dzisiaj spojrzeć obiektywnie, partia zdradziła Polskę, stając po stronie Moskwy i zaprowadzając sowiecki porządek w Polsce, wtedy zdradziła polski interes narodowy. Oczywiście można postawić kontrargument, że gdyby tego nie zrobiła, moglibyśmy zostać siedemnastą republiką ZSRR. Postawiłbym takie pytanie, jak dalece ta partia w trakcie swego istnienia się spolszczyła. Starając się ogarnąć jak największą część społeczeństwa, sama stawała się odzwierciedleniem jego poziomu intelektualnego i poglądów. Dlatego co pewien czas trzeba było ją oczyścić. Weźmy przykład z lat sześćdziesiątych, kiedy przygotowywano obchody milenijne, wówczas wielu członków partii jawnie opowiedziało się za Kościołem. Nie była to więc partia antypolska, ale nie była też i polska, właśnie przez tę swoją zależność od Moskwy i przez to, że realizowała nie do końca polski interes narodowy. Jeśli chodzi o ziemie zachodnie — to tak, ale jeśli chodzi o ziemie wschodnie, to nie.

B.P. — *Maszerowała w końcu pod sztandarem internacjonalizmu.*

Ł.K. — Chociaż trzeba wspomnieć, że partia legitymizowała swoją władzę właśnie przez odwoływanie się do wartości narodowych. Było to jednak przeważnie czysto propagandowym chwytem.

B.P. — *Kolejny członek tej nazwy — zjednoczona.*

Ł.K. — Konflikty wewnętrzne w partii zaczęły się już w KPP, gdzie byli zwolennicy tak zwanej większości i mniejszości, i towarzyszyły dalszym jej dziejom. Niemniej na wstępie należy zaznaczyć, że poza wyjątkowymi okresami partia bardzo dbała o to, żeby ich nie ujawniać. Ten rodzaj zdyscyplinowania pozostał do dziś w SLD. Konflikty istnieją, ale są dyskretnie ukrywane. Pierwszy kryzys zaczyna się w 1944 r., kiedy dochodzi do konfliktu między krajowcami a tymi, którzy przybyli z Moskwy. Po stronie tych drugich stał Bolesław Bierut, chociaż większość czasu spędził w kraju. Bierut wysłał telegram do Stalina i żąda odsunięcia Gomułki, argumentując, że jest niebezpieczny, za bardzo nacjonalistyczny. Stalin wycisza krytykę Bieruta i kryzys zostaje zażegnany bez żadnych konsekwencji. Wiosną 1945 r., kiedy partia obejmuje faktyczną władzę już na całym terytorium Polski, pojawia się problem tak zwanych sekciarzy. Byli to działacze niższego szczebla KPP, którzy masowo garnęli się do PPR i inaczej niż kierownictwo wyobrażali sobie to, co miało się w Polsce wydarzyć. Kierownictwo było wtedy na etapie tworzenia rządu jedności narodowej, przyciągania ludzi, na przykład Stanisława Mikołajczyka, różnych grup społecznych, uzyskania neutralności Kościoła. „Sekciarze” wyobrażali sobie umocnienie władzy inaczej. Pojawiły się komórki PPR, które wzywały do tego, żeby się przyłączyć do Związku Radzieckiego, stworzyć polską republikę radziecką, uważały, że czas się rozprawić z Kościołem, z reakcją, dosłownie i fizycznie. Ten ruch bardzo szybko wytłumiono, został on potępiony przez Gomułkę na jednym z plenów KC w maju 1945 r. Nie wyrzucano z partii, ale dano im wyraźnie do zrozumienia, że mają się wstrzymać z deklaracjami tego typu. Nie to, żeby one były całkowicie sprzeczne z docelowymi zamiarami partii, ale na danym etapie uznano je za całkowicie nieadekwatne. Kolejny poważny kryzys nastąpił w 1948 r., czyli sprawa Władysława Gomułki, odsunięcie jego i związanej z nim grupy ludzi. To jest w pewnym sensie odnowienie się konfliktu krajowców i przybyszów z Moskwy.

B.P. — *Czym się naraził Gomułka?*

Ł.K. — Przede wszystkim bez wiedzy Moskwy został w 1943 r. sekretarzem generalnym. Nie jest prawdą, choć budowano taką legendę, że Gomułka był lepszy od innych komunistów. Był tak samo jak Bierut odpowiedzialny za zbrodnie lat 1944–1948. Podejmowali takie same decyzje, podejmowali je wspólnie. Na jego odsunięciu zaważyły dwie sprawy — niechęć większości współtowarzyszy ze ścisłego kierownictwa PPR i brak akceptacji Moskwy, której naraził się dodatkowo, odmawiając szerokich kompetencji Kominformowi czy próbując na wiosnę 1948 r. mediacji między Titą a Stalinem, który nie życzył sobie tego. Kiedy więc w lipcu 1948 r. Bierut pojechał z wnioskiem do Stalina o zatwierdzenie decyzji o usunięciu Gomułki, bez

kłopotu uzyskał na to zgodę. Trudno mówić, żeby to była frakcyjność w takim sensie, że ścierają się dwie frakcje, które mają różny program. Oczywiście Gomułka spierał się o wizję przyszłości, chciał innego trybu zjednoczenia z PPS, ale to była jego osobista wizja pewnego sposobu rządzenia. Usunięto wraz z nim wielu jego współpracowników, z których część, jak Marian Spychalski, również znalazła się w więzieniu. Usunięcie Gomułka i czystka, która miała miejsce w 1948 r., doprowadziły do tego, że w latach pięćdziesiątych partia, a w każdym razie struktura aparatu, była najbardziej jednolita w całej jej historii. Decyzje Biura Politycznego były błyskawicznie przekazywane i przynajmniej próbowano je realizować na samym dole. Czasem w niższym aparacie dochodziło do prób oporu, na przykład w wiosce sekretarz POP nie zawsze był zwolennikiem założenia spółdzielni produkcyjnej. Ale po 1948 r. partia uzyskała wyjątkową w swoich dziejach jednolitość. Jest to oczywiście związane z ogólną sytuacją, z terrorem, atmosferą zagrożenia. Każdy członek partii mógł się czuć zagrożony, że jeśli okaże się nieprawomyślny, to mu się coś stanie, będzie represjonowany. Członkowie aparatu wręcz dążyli do prawomyślności, starali się dobrze odczytywać linię partii. Przykład z 1949 r. – kiedy zorganizowano kampanię potępiającą Laszlo Rajka, po jego procesie na Węgrzech, pewien towarzysz ze szczebla powiatowego podczas wizyty reprezentanta komitetu wojewódzkiego powiedział: „towarzyszu, ale wy mi dajcie instrukcje, bo ja nie wiem, czy ja się nie stanę takim Rajkiem”. Ludzie chcieli być jak najwierniejsi wytycznym, a one nie były jasne i często się zmieniały. Następny kryzys był związany ze śmiercią Stalina. Miał on charakter długofalowy, może nie bezpośrednio, ale jednak łączył się z przemianami i kryzysem w Związku Radzieckim, związanym z walką o władzę. W 1954 r. pozycja Bieruta wyraźnie osłabła. Zrezygnował z części stanowisk państwowych, nawiązując tym do obowiązującego wówczas w Związku Radzieckim wzorca kolektywnego kierowania. Już jesienią 1955 r., a zwłaszcza po XX Zjeździe KPZR, w PZPR utworzyły się dwie frakcje, które przeszły do historii pod nazwami: puławianie i natolińczycy, Żydy i chamy, rewizjoniści i dogmatycy. Ta pierwsza nazwa bierze się od miejsc ich spotkań w Warszawie – na ulicy Puławskiej i w pałacyku w Natolinie. Tworzyli je ludzie o takiej samej przeszłości, tak samo unurzani w system stalinowski i gorliwi w jego realizowaniu, odpowiedzialni za zbrodnie tego okresu. Różnili się pomysłem, jak wyjść z trudnej sytuacji ekonomicznej i stopniowo pogarszającej się sytuacji politycznej 1956 r. Natolińczycy stworzyli koncepcję pewnej poprawy sytuacji ekonomicznej, podwyżki płac, bez istotnych zmian w funkcjonowaniu systemu, ewentualnie próby rozliczenia poprzez obwinienie osób pochodzenia żydowskiego o to, co się stało we wcześniejszych latach. Puławianie byli zwolennikami umiarkowanych zmian personalnych, ale przede wszystkim zmiany roli partii, pewnego wycofania się partii z kontroli całego państwa, reform, przesunięcia akcentów w polityce gospodarczej z przemysłu ciężkiego na lekki. Ten kryzys wre jakby podskórnie w partii. Istniały osoby, które lawirowały między dwiema frakcjami, istniało też tak zwane centrum.

B.P. — *Skądinąd roztropna taktyka, bo przecież nie wiadomo było, kto wygra.*

Ł.K. — Ten spór społeczeństwo mogło dostrzec dopiero w lipcu 1956 r., kiedy na VII Plenum padały różne oceny tego, co się wydarzyło w Poznaniu. Jedna grupa twierdziła, że był to wynik imperialistycznego spisku i prowokacji, druga doszukiwała się jakichś błędów, chociażby w polityce gospodarczej. Mniej więcej w tym okresie pojawił się samotny gracz, czyli Władysław Gomułka, któremu oficjalnie już zwrócono legitymację partyjną. Jego siła nie polegała na tym, że miał jakieś szczególne wpływy w partii, ale na tym, że stał się symbolem społecznym. Każda z frakcji usiłowała go pozyskać.

B.P. — *Na tę popularność wpłynął fakt jego uwięzienia?*

Ł.K. — Oczywiście. Stał się bohaterem narodowym w tym samym momencie, w którym został przez swych kolegów potępiony, zanim jeszcze został uwięziony. Dla wszystkich stało się jasne, że Gomułka to był ten prawdziwy Polak w kierownictwie, że sprzeciwiał się kołchozom, że chciał się uniezależnić od Związku Radzieckiego. To wszystko nie jest prawdą, ale tak go oceniało społeczeństwo. Można powiedzieć, że po śmierci to samo spotkało Bieruta — tylko dlatego, że umarł w Moskwie. Na jakiś czas stał się w pewnym sensie bohaterem narodowym, sądzono, że na pewno Rosjanie go zamordowali, a skoro to zrobili, to znaczy, że to był prawdziwy Polak, który działał w polskim interesie. Sam fakt represjonowania przez Moskwę czy przez własną partię wystarczał, żeby dużo zyskać w społeczeństwie. Te dwie frakcje zaczęły podchody wokół Gomułki, który się bardzo wahał, właściwie do samego końca, do której się przyłączyć. Jesienią było już całkowicie jasne, że to on musi się oprzeć na kimś, żeby dojść do władzy, a nie odwrotnie. W październiku zdecydował się stanąć po stronie puławian, czyli zwolenników reform. Jednocześnie z objęciem przez niego funkcji I sekretarza nastąpiło odsunięcie części osób utożsamianych z frakcją natolińską. Konstanty Rokossowski wypadł z Biura Politycznego, ale to nie jest absolutnie tak, że jedna frakcja objęła władzę i wyeliminowała drugą. Gomułka prowadził rozgrywki. Z tego okresu pochodzi słynne powiedzenie: tak czy owak Zenon Nowak (był jedną z głównych postaci kojarzonych z natolińczykami i pozostał we władzach partii). Na skutek umiejętnej propagandy puławian natolińczycy stają się symbolami wszelkiego zła, zwolennikami interwencji radzieckiej itd. Jeśli chodzi o sekretarzy wojewódzkich, to mało który z natolińczyków utrzymał się na stanowisku. Te nazwy miały już tylko znaczenie historyczne. Puławianie byli z partii stopniowo rugowani lub sami odchodzili — tu można podać nazwiska Romana Zambrowskiego, Władysława Matwina, Władysława Bienkowskiego. Natolińczycy też musieli pójść na pewne ustępstwa, bo nie cały ich program został zrealizowany.

Na początku lat sześćdziesiątych pojawia się kolejna grupa, bardzo skrajna i w związku z tym bardzo nieliczna, ale posiadająca pewne wpływy w aparacie partyjnym i aparacie bezpieczeństwa — Komunistyczna Partia Polski Kazimierza Mijała. Dzięki

ambasadzie Albanii (Mijał uciekł do Albanii) dysponowała ona pewnymi środkami propagandowymi. Przemycano drukowane w Albanii ulotki, ostro atakujące „pana” Gomułkę – nie uważanego za towarzysza.

B.P. – *Co na to polscy komuniści?*

L.K. – Tę grupę spotykały takie same represje jak ówczesną opozycję – były procesy sądowe, ujawnieni członkowie KPP byli usuwani z aparatu i z partii. Prowadzili swoją podskórną działalność aż do 1981 r., ożywiając się w momentach kryzysu. Ich ulotki pojawiały się w różnych miejscach kraju w grudniu 1970 r. i wzywały między innymi do prawdziwej rewolucji. Pojawia się też w KPP grupa prochińska, zwłaszcza po 1966 r., po rewolucji kulturalnej i po powrocie do władzy Mao. Ambasada chińska uprawiała w Polsce propagandę, której obiektem i odbiorcą była też część PZPR. Partia polska bardzo pilnie śledziła, kto chodzi do ambasady chińskiej, kto się spotyka, kolportuje literaturę. W marcu 1968 r. i w grudniu 1970 r. KPP ma nadzieję przejąć władzę, są to nadzieje całkowicie złudne, bo nigdy nie miała ona istotnych wpływów w aparacie, jedynie pojedyncze, sympatyzujące z nią osoby, zwłaszcza z kręgów starych komunistów. Kolejny okres aktywności KPP to lata 1980–1981, kiedy usiłowała ona przeniknąć do struktur półjawnych, ale stan wojenny tę aktywność rozbił. Resztki tego środowiska istnieją pod różnymi nazwami do dziś, ale nie mają żadnego znaczenia.

W latach sześćdziesiątych pojawiła się tak zwana grupa partyzantów związanych z Mieczysławem Moczałem. To grupa, która dążyła do wymiany kadrowej, pokoleniowej, do objęcia wyższych stanowisk, otwarcie propagowała nacjonalizm. Kolejny kryzys pojawił się w 1968 r., kiedy dokonano antysemickiej czystki w PZPR. Przy okazji usunięto z niej ostatnich zwolenników reform, „liberałów” partyjnych. Na znak protestu z funkcji przewodniczącego Rady Państwa zrezygnował wtedy Edward Ochab. Marzec właściwie nie rozwiązał żadnych problemów w partii, to się dokonało dopiero w grudniu 1970 r. Grupa przeciwników Gomułki przy wsparciu Moskwy wykorzystwała sytuację do odsunięcia go i jego zwolenników z różnych szczebli. Typowa frakcyjność pojawia się po 1980 r., chociaż wcześniej w partii też były pewne rozgrywki. Wiemy na przykład, że Stanisław Kania grał przeciw Edwardowi Gierkowi, który z kolei oskarżał Kanię o to, że to on wywołał strajki w sierpniu 1980 r. Na początku lat osiemdziesiątych pojawia się wiele pomniejszych grup w partii. Przede wszystkim grupa Kani, którą potem przejmuje Wojciech Jaruzelski, czyli grupa zwolenników umiarkowanych przemian, reformy systemu. Jest też grupa tak zwanego betonu partyjnego – Stefan Olszowski, Andrzej Żabiński, wśród działaczy niższego szczebla jest nim na przykład grupa związana z Forum Katowickim. Poza tym pojawiają się tak zwane struktury poziome w partii, czyli ugrupowania zwolenników bardzo głębokich reform w partii, jej demokratyzacji, ale także demokratyzacji państwa. Odbywa się jedyna w dziejach tej partii dyskusja ideowa, kiedy przynajmniej część członków partii (pamiętać należy, że wtedy bardzo wielu ludzi odchodzi od partii) szalenie przejmuje się tematami ideologicznymi, ludzie dyskutują, spierają się, krytykują.

B.P. – *Ten czas był właśnie dlatego niezwykle, że poruszył nie tylko wszystkie grupy społeczne, ale nawet «przewodnią siłę».*

L.K. – W 1981 r. przygotowywano się do wyborów. Były one wyjątkowo, jak na tę partię, demokratyczne, wolne. Pojawiło się bardzo wielu kandydatów, duży wybór, prawdziwe głosowania, tajne liczenie głosów. Oczywiście frakcje starały się przyciągnąć ludzi, ale w tych wyborach do władz trafiło bardzo wielu ludzi z nimi nie związanych. W końcu zwyciężca, choć nie było to pełne zwycięstwo, okazała się frakcja Kani, czyli umiarkowanych reformatorów. Później Kanię z różnych przyczyn, ale przede wszystkim dlatego, że był za miękki, zastąpił Jaruzelski, który przejął jego zwolenników. Z badań ankietowych przeprowadzonych wśród członków aparatu w październiku 1981 r., kiedy Jaruzelski został już I sekretarzem, wynika, że nastawienie aparatu było bardzo negatywne. Jaruzelski miał w jego szeregach dużo więcej przeciwników niż zwolenników, ale to się bardzo szybko zmienia, bo już 13 grudnia Jaruzelski staje się bohaterem dla tych, którzy z ówczesnym systemem byli na trwale związani. Wtedy, w sytuacji zagrożenia, słabną spory w kierownictwie. Wychodząc ze stanu wojennego, Jaruzelski prowadzi politykę cięcia po skrzydłach. Odsuwa z jednej strony jednego z największych reformatorów Hieronima Kubiaka, ale z drugiej strony Olszowskiego. Wokół siebie zebrał centrum, czyli ludzi, którym tak naprawdę było wszystko jedno, nie mieli wyraźnej wizji, czyli typowych aparatczyków, na nich się oparł. To jest koniec frakcji partyjnych. Jaką szansą na pojawienie się frakcji był rok 1989, wówczas w aparacie wyłoniła się bardzo silna grupa ludzi przeciwnych jakimkolwiek porozumieniom z opozycją, ale wtedy już było za późno, poza tym nie było alternatywy personalnej dla Jaruzelskiego.

Po raz kolejny potwierdza to nieprawdę zawartą w określeniu partii jako zjednoczonej. Tak naprawdę w partii najwięcej było koterii towarzyskich, rodzinnych, które nie walczyły o ideały, ale o zakres swoich wpływów, chciały kontrolować jak najwięcej stanowisk, walczyły o władzę i pieniądze. Tak było zarówno na szczeblu centralnym, jak i na szczeblu województwa. Kolejny aspekt tego braku zjednoczenia to od początku do końca obecna w niej wielka różnica między szeregowymi członkami partii a kierownictwem. Nie zawsze jedni z drugimi się utożsamiali, zawsze były tarcia między inteligencją partyjną a robotnikami, dochodziło do spięć. Aparat partyjny, wbrew całej ideologii, żywił do zwykłego robotnika pogardę.

Jeszcze raz podkreślę, że większość partyjnych sporów czy nawet frakcyjność tej partii była na ogół ukrywana i, poza przypadkami oczywistego sprzeniewierzenia się partii jako takiej, ludzie, którzy mieli inne zdanie niż pozostali, nie byli represjonowani, spokojnie odchodzili na emerytury, zostawali ambasadorami, pracowali w placówkach handlu zagranicznego.

B.P. – *Pomówmy też o koryfeuszach, lokomotywach ciągnących tę partię i o tych, którymi partia mogła się chlubić, którzy na przykład w kontaktach międzynarodowych mogli być ambasadorami PZPR.*

Ł.K. – W latach pięćdziesiątych prawie cała, bez wyjątków, elita kulturalna znajdowała się pod mniejszym lub większym wpływem PZPR. Jerzy Andrzejewski pisze wtedy słynną pracę *Partia i twórczość pisarza*. Naprawdę trudno wymienić osoby, które w tym okresie stanęły z boku, nie mówiąc już o oporze. Później, praktycznie po 1966 r., po usunięciu Leszka Kołakowskiego, a wraz z nim pewnej grupy ludzi, a zwłaszcza po 1968 r., trudno podać jakieś nazwiska członków partii, którzy cieszyliby się autorytetem w społeczeństwie. Krótko mówiąc, nie było wybitnych postaci, którymi można by się było chlubić przed społecznością międzynarodową i przed własnym społeczeństwem.

Pozostaje wobec tego kwestia ideologów, którzy wpływali na kształt partii. PZPR, mimo że była partią bardzo zideologizowaną, nie lubiła ideologów, czyli ludzi, którzy tę partię chcieli rozwijać. Potrzebowała ludzi, którzy ją popierali i powtarzali slogany o marksizmie-leninizmie. Dlatego bardzo szybko Kołakowski z pupila partii stał się rewizjonistą, bo jako przekonany marksista za bardzo przejmował się ideologią. Podobnie Adam Schaff, który po 1968 r. na jakiś czas zostaje wykluczony z PZPR, a przecież był w tę partię bardzo zaangażowany. Wrócił w latach osiemdziesiątych, ale nie odzyskał swojej pozycji partyjnego intelektualisty. Pozostali niczego w sensie intelektualnym nawet nie próbowali wnosić do partii. Partia sama się w tej dziedzinie ograniczała. Najbardziej interesowały ją szkolenia na wieczorowych uniwersytetach marksizmu-leninizmu. Wkuwano na pamięć klasyków i propagandowe broszurki, ale nikt tam nawet nie próbował myśleć o ideologii czy, nie daj Boże, wprowadzać ją w życie. Poza okresami kryzysów w partii nie prowadziło się dyskusji, debat ideologicznych, nawet w obrębie aparatu. W 1982 r. zawiązała się dyskusja nad deklaracją ideową *O co walczymy, dokąd zmierzamy*, ale ze względu na warunki, w jakich się toczyła, w atmosferze masowego opuszczania szeregów partyjnych i czystki, to była pseudodebata, a poza tym na debatę było już za późno. Paradoksalnie, partia była bardzo słaba ideologicznie. Znacznie żywsze dyskusje w latach siedemdziesiątych toczyły się w łonie opozycji demokratycznej, która zastanawiała się, jak działać, jaki program realizować.

APARAT BEZPIECZEŃSTWA

Z Krzysztofem Lesiakowskim i Grzegorzem Majchrakiem

B.P. — *To, że państwo dysponuje służbami specjalnymi, jest sprawą normalną. Przykładem pozytywnym sprawnie działającego systemu wewnętrznego bezpieczeństwa jest Szwajcaria, gdzie służby policyjne są bardzo silne, ale nie stwarzają poczucia zagrożenia i nie utrudniają życia zwykłych ludzi. Jak system bezpieczeństwa działał w II Rzeczypospolitej i co takiego się stało po wojnie, w państwie komunistycznym, że służby stały się groźne dla obywateli?*

K.L. — System bezpieczeństwa wewnętrznego II RP jest nieporównywalny z systemem bezpieczeństwa (a raczej przemocy) funkcjonującym w PRL. Przed wojną ochroną bezpieczeństwa i porządku publicznego zajmowała się Policja Państwowa. Jej podstawowe kierunki działania to służba ogólnoporządkowa, walka z przestępczością kryminalną oraz ochrona państwa. Zadania „defensywne” policji realizowane przez referaty polityczne urzędów śledczych polegały na zwalczaniu przestępstw politycznych. Stąd w sferze zainteresowań operacyjnych policji była działalność ugrupowań zagrażających państwu, komunistów czy ugrupowań radykalnie narodowych. Ochroną bezpieczeństwa państwa zajmowała się „dwójka” — czyli wywiad i kontrwywiad wojskowy (Oddział II Sztabu Głównego WP). Nie należy też pomijać działalności Korpusu Ochrony Pogranicza. Ogólnie można powiedzieć, że II RP nie miała aparatu, który można wprost porównać z urzędami bezpieczeństwa. Warto też dodać, że różnice między służbami II RP a PRL znakomicie pokazuje porównanie liczebności służb. Przed wojną liczba funkcjonariuszy policji wynosiła około 15 tys., po wojnie zaś, mimo mniejszej liczby obywateli, liczba funkcjonariuszy UB i MO przekraczała 70 tys.

G.M. — Na przykład w 1953 r. oprócz około 32 tys. funkcjonariuszy resortu bezpieczeństwa publicznego (w tym niespełna 7,5 tys. w samym MBP) resortowi podlegało też około 48 tys. funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, 41 tys. żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, 32 tys. żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza, 10 tys. funkcjonariuszy Straży Więziennej i 32 tys. pracowników Straży Przemysłowej. Razem około 195 tys. osób, a w odwodzie pozostawało około 125 tys. członków Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

Podstawowa różnica polegała jednak na tym, że w powojennej Polsce ten resort był pozbawiony jakiejkolwiek kontroli społecznej. Nie podlegał *de facto* kontroli Sejmu. Przez 45 lat wpływ na jego działalność miała tylko wąska grupa osób ze ścisłego kierownictwa początkowo PPR, a później PZPR. Krótko mówiąc, rolą aparatu bezpieczeństwa, nazywanego „mieczem rewolucji” czy „zbrojnym ramieniem partii”, było zapewnienie panowania w kraju.

B.P. — *Powstaje struktura złożona z setek tysięcy ludzi, których zadaniem jest nie tyle ochrona bezpieczeństwa obywateli, co doprowadzenie do tego, aby ci obywatele nie zagrażali władzy. Czy na tym polega państwo policyjne?*

K.L. — Najkrócej ujmując, jest to państwo, w którym nie tyle sam system prawny, ale praktyka funkcjonowania aparatu państwowego pozbawia obywateli ochrony przed działalnością organów bezpieczeństwa publicznego, które mogą w sposób praktycznie niekontrolowany stosować różne formy represji. W państwie policyjnym ważna jest nie tylko liczebność (zawsze jest duża) policji, ale także zakres działań. Policja nie tylko ochrania państwo, kontroluje obywateli, ale i kreuje określone wydarzenia. Przykłady można znaleźć tak w latach bezpośrednio powojennych, jak i w okresie stanu wojennego.

G.M. — Kolejna różnica w stosunku do państwa demokratycznego dotyczyła usytuowania więziennictwa. Od października 1944 r. było ono podporządkowane aparatowi bezpieczeństwa. Osoba aresztowana do odbycia kary wymierzonej przez sąd pozostawała w rękach aparatu bezpieczeństwa. Bezpieka była praktycznie niezależna od prokuratury i sądów. Co ciekawe, po raz pierwszy więzienia i ośrodki pracy podległe resortowi skontrolowano, z udziałem prokuratorów, na przełomie lat 1953–1954. Wzorem radzieckim resort bezpieczeństwa miał też własne wojska, czyli KBW.

K.L. — W państwach demokratycznych tajne służby również prowadzą zakulisowe działania operacyjne na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa. Cele tych działań są jednak wyraźnie zdefiniowane. W okresie stalinowskim w Polsce aparatowi bezpieczeństwa nie chodziło już tylko o ochronę państwa i pokonanie rzeczywistego przeciwnika, lecz o wykreowanie i zwalczanie wroga nie przejawiającego oznak postawy opozycyjnej wobec systemu. Mielśmy wtedy do czynienia z tak zwanym wrogiem obiektywnym i zbrodnią logicznie możliwą. W tej sytuacji nie może już być wątpliwości, komu służyła безпеka państwa policyjnego — zdecydowanie nie obywatelom. Na pewno księdzu w parafii nie był potrzebny Departament IV MSW, a uczniowi czy studentowi, któremu nie podobała się oficjalna organizacja młodzieżowa — V Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

B.P. — *W latach czterdziestych aparat bezpieczeństwa miał okazję, żeby kontrolować także samą partię.*

G.M. — Raczej służyć jednym przywódcom partii w walce z innymi jej przywódcami. Jesienią 1954 r. w ślad za KPZR i „walką z beriowszczyzną” zaczęto co prawda głosić

też, że aparat bezpieczeństwa „stał ponad partią”, co doprowadziło do łamania przezeń „praworządności socjalistycznej”, ale były to tylko słowa nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Owszem, w pierwszych miesiącach po wojnie zdarzały się na szczeblu lokalnym – tam, gdzie UB był mocny, partia zaś szczególnie słaba – że funkcjonariusze resortu próbowali wykazać swoją nadrzędność. Spotykało się to jednak natychmiast ze zdecydowaną reakcją PPR i MBP. To partia delegowała ludzi do aparatu bezpieczeństwa i wydawała też wytyczne (na przykład co do struktury bezpieczeństwa czy kierunku działania). To w końcu partia podejmowała najważniejsze decyzje personalne dotyczące aparatu bezpieczeństwa. Należy pamiętać o wzajemnym przenikaniu się tych instytucji. Z jednej strony był bardzo wysoki odsetek członków partii w aparacie, często rzędu 80 proc. Z drugiej zaś, szczególnie w pierwszym okresie istnienia PPR, to właśnie funkcjonariusze MO i UB stanowili kilkanaście procent członków partii.

K.L. – Jeśli chodzi o zależność aparatu bezpieczeństwa od partii – należy powiedzieć, że jest to jedna z kwestii, które muszą być bardzo poważnie przeanalizowane. Na razie niektórzy historycy skłonni są twierdzić, że do 1956 r. miały miejsce wydarcia, które wskazują, iż aparat wyrastał ponad partię, a potem takie sytuacje już rzekomo nie występowały. Należy się tej ocenie uważnie przyjrzeć. Czy fakt, że zlikwidowano Departament X MBP, pozwalał aparatowi kierownictwu partii być pewnym swojej kontroli nad bezpieczeństwem? W 1957 r. podczas narad kierownictwa MSW faktycznie funkcjonariusze przyznawali, że w przeszłości były „wypaczenia”, ale teraz – zapewniali – tych wynaturzeń z podległością wobec partii już nie będzie. Trzeba jednak pamiętać, że rozliczeniowy klimat 1956 r. powodował, iż nie mogli oni przecież wypowiadać się inaczej. O nowym duchu w relacjach partia–bezpieka świadczy taki fakt – w instrukcjach operacyjnych zalecano, żeby działacze partyjnych nie angażować jako agentury, co najwyżej jako kontakt obywatelski i tylko na takiej zasadzie zdobywać potrzebne informacje. Mimo to nie jestem pewien, czy po 1956 r. rzeczywiście naczelną ambicją SB było wyłącznie realizowanie wskazań PZPR. Najlepszym dowodem na potwierdzenie tych wątpliwości będzie nieufność pierwszego sekretarza Władysława Gomułki wobec MSW. Myślę też, że w latach 1964–1968 kierownictwo MSW było zdolne podjąć niektóre działania bez akceptacji kierownictwa partii.

B.P. – *Interesująca jest jeszcze jedna kwestia – kto tak naprawdę kreował bieżące i długofalowe kierunki działalności aparatu bezpieczeństwa, czy minister spraw wewnętrznych, właściwy sekretarz KC PZPR czy też sam pierwszy sekretarz?*

K.L. – Z materiałów archiwalnych wynika, że aparat bezpieczeństwa przysyłał odpowiednim komórkom partyjnym różne informacje – o sytuacji w zakładach produkcyjnych, w środowisku młodzieżowym i inne. Ale czy to się odbywało w ten sposób, że aparat bezpieczeństwa informował o ewentualnym zagrożeniu, a odpowiedni sekretarz, Biuro Polityczne, czy nawet pierwszy sekretarz, podejmował decyzje o przeciwdziałaniu? Przecież aparat bezpieczeństwa, informując, że w danym środowisku

jest tak wielu przeciwników i rozmaitych zagrożeń, mógł się spodziewać określonej reakcji partyjnej centrali i przyzwolenia na już planowane przez aparat posunięcia. Czy w tej sytuacji można z całą pewnością powiedzieć, że aparat bezpieczeństwa nie podejmował działań operacyjnych bez zezwolenia kierownictwa partyjnego? Należy też pamiętać, że minister Władysław Wicha w listopadzie 1957 r. mówił, iż „naszym zadaniem jest walka z wrogiem, jeśli nawet posiada on i legitymację partyjną”.

B.P. — *W Związku Radzieckim cały czas toczyła się bardzo ostra gra między partią a KGB. Zarówno funkcjonariusze służb, jak i ich protegowani we władzach Związku Radzieckiego trzymali najważniejsze resorty. KGB nie było tylko policją polityczną.*

G.M. — W Polsce główne kierunki działania wyznaczała partia. Bezpieka miała oczywiście możliwość wpływania na te decyzje poprzez informacje, które dostarczała. Nie demonizowałbym jednak wpływów aparatu bezpieczeństwa. Symptomatyczne, że żadnemu z ministrów stojących na czele tego resortu nie udało się sięgnąć po stanowisko pierwszego sekretarza KC PZPR, choć o takie ambicje oskarżano przede wszystkim Mieczysława Moczara, a później Mirosława Milewskiego. Udało się to natomiast Stanisławowi Kani, który co prawda nie był bezpieczniakiem, ale nadzorował ten resort z ramienia Komitetu Centralnego.

K.L. — Nie jestem pewien, czy ktoś, kto przez lata związany jest z tajną policją, kieruje jej centralnymi strukturami, może osiągnąć jeszcze jeden, ten najważniejszy szczebel w karierze politycznej. Taki funkcjonariusz był zbyt niebezpieczny dla pozostałych uczestników życia politycznego. Z reguły w chwili sprawowania urzędu szefa resortu bezpieczeństwa nie wchodził on do ścisłego kierownictwa partyjnego, jakim było Biuro Polityczne, z wyjątkiem Stanisława Radkiewicza i Stanisława Kowalczyka. Władzę mógł więc zdobyć tylko w drodze przewrotu pałacowego. Tak się jednak składało, że brak przewrotów jest jedną z cech państwa totalitarnego. Stąd ministrowi kierującemu bezpieczeństwem raczej nie można było wróżyć dalszych awansów. Nie zmienia to jednak oceny, że aparat bezpieczeństwa zainteresowany był poszerzaniem obszaru swojego panowania nawet kosztem partii.

G.M. — Przykład Związku Radzieckiego pokazuje, że jest to jednak możliwe. Sekretarzem generalnym KC KPZR został tam były szef KGB Jurij Andropow (skądinąd nie był „rasowym bezpieczniakiem”, gdyż do aparatu bezpieczeństwa przyszedł z zewnątrz).

K.L. — Tak naprawdę o relacjach między centralnymi władzami partyjnymi a centralą MSW wiemy niewiele. Jeszcze mniej wiadomo o tym, co działo się w województwie czy nawet powiecie. W zasadzie wiedza ogranicza się do stwierdzenia faktu, że komendant MO był członkiem egzekutywy lokalnego komitetu partii. Z protokołów posiedzeń komitetów wojewódzkich czy powiatowych partii wiadomo, że ludzie ci nie byli na forum partyjnym zbyt aktywni, ale ich rola w ustalaniu lokalnych porządków była bardzo duża.

G.M. – To zależało od tego, kto zajmował stanowisko sekretarza PPR czy PZPR, komendanta UB czy SB. Jego rola nie wynikała wprost z zajmowanego stanowiska, lecz z układów personalnych w lokalnym i centralnym aparacie władzy.

B.P. – *Proszę o naszkicowanie genezy służb bezpieczeństwa w PRL.*

G.M. – Załączki aparatu utworzono przy sztabie Gwardii Ludowej jeszcze w czasie drugiej wojny światowej. Powstały wtedy dwa oddziały – wywiadu i kontrwywiadu. W skład kontrwywiadu wszedł między innymi wydział bezpieczeństwa. Zasadnicze decyzje dotyczące struktury i funkcjonowania resortu zapadały w Moskwie, polscy komuniści skwapliwie korzystali z „rad” Stalina. Skład osobowy organów bezpieczeństwa tworzyli: osoby specjalnie szkolone w ZSRR (głównie tak zwani kujbyszewiacy, czyli absolwenci szkoły NKWD w Kujbyszewie), żołnierze Armii Polskiej w ZSRR, żołnierze GL i AL. Była to jedyna służba państwowa tworzona od podstaw. Jak stwierdzał w maju 1945 r. podczas obrad KC PPR Stanisław Radkiewicz (1944 kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN, 1945–1954 minister bezpieczeństwa publicznego), „spraw bezpieczeństwa nie mogliśmy wypuszczać z rąk”.

K.L. – W 1944 r. oczywiście nie było mowy o tym, żeby wykorzystać aparat policyjny II RP. Przedwojenna wojskowa „dwójka” czy policyjna „defa” to był wróg, teraz szczególnie intensywnie zwalczany. Na początku aparat bezpieczeństwa miał być podporządkowany Radom Narodowym. Szybko okazało się, że ta koncepcja to niewypał. Rady nie wszędzie istniały, a poza tym w nich mógł również „zagnieździć się” wróg. Już we wrześniu 1944 r. wydziały bezpieczeństwa Rad Narodowych zostały wyodrębnione i podporządkowane Resortowi Bezpieczeństwa PKWN. Dekretem z 7 października 1944 r. również MO podporządkowano resortowi kierowanemu przez Stanisława Radkiewicza.

G.M. – Był to najbardziej hermetyczny resort, niedostępny dla – jak to określali komuniści – „reakcji”. Epizodem było powierzenie od kwietnia do lipca 1946 r. stanowiska jednego z wiceministrów członkowi sojuszniczej PPS Henrykowi Wachowiczowi.

K.L. – To był moment, kiedy PPS stała się potrzebna w grze z PSL. Kariera Wachowicza bardzo szybko się skończyła, również w PPS. W lutym 1948 r. został usunięty z kierownictwa łódzkiej organizacji partii socjalistycznej.

B.P. – *Kim byli ludzie aparatu? Co stanowiło podstawę naboru – ich akces i zgoda, możliwość sprawdzenia ich? Jak to było?*

G.M. – Zasadnicze wymogi stawiane kandydatom do pracy w aparacie bezpieczeństwa to poglądy polityczne oraz pochodzenie społeczne (klasowe). Wynikiem tego było, że znaczna część funkcjonariuszy nie miała nie tylko doświadczenia fachowego, ale też politycznego. Głównie byli to ludzie młodzi, często bardzo młodzi. Wywodzili się ze wsi i małych miasteczek, najczęściej byli bardzo słabo wykształceni.

B.P. – *Czy na wsi wtedy można było znaleźć ludzi o odpowiednich poglądach politycznych?*

K.L. – Część oddziałów milicji faktycznie tworzyli ludzie wywodzący się z Armii Ludowej. Trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu to był ich świadomy, polityczny wybór. Do milicji często maszerowali razem ze swoim dowódcą. Tutaj najlepszym przykładem jest Grzegorz Korczyński (właściwie Stefan Kilanowicz) – dowódca lubelskiego Obwodu AL. Z udziałem swoich niedawnych partyzantów już z końcem lipca 1944 r. zaczął tworzyć Komendę Wojewódzką MO w Lublinie. Zanim więc postawimy pytanie o służbę w MO, najpierw trzeba zapytać, dlaczego na wsi znaleźli się chętni do służby w Gwardii Ludowej czy w Armii Ludowej? Obraz polskiego społeczeństwa byłby nieprawdziwy, gdybyśmy powiedzieli, że w 1944 r. stanowił je antykomunistyczny monolit. Jest faktem, że wpływy komunistów były skromne. Liczbę członków PPR w tak zwanej Polsce lubelskiej pod koniec 1944 r. ocenia się tylko na około 20 tys. Jesli chodzi o służbę w milicji – nabór do tej formacji nie był prowadzony pod przymusem. Kto nie chciał, nie musiał być funkcjonariuszem.

G.M. – Ja bym oddzielał jednak służbę w milicji, przynajmniej w pierwszych miesiącach, od służby w UB. Często oddziały milicji były wręcz tworzone przez oddziały podziemia. Oczywiście później milicję „oczyszczano” z ludzi niepewnych, w tym z członków zbrojnego podziemia czy sympatyków PSL. Służba w resorcie bezpieczeństwa łączyła się z awansem społecznym, lepszymi zarobkami i wyżywieniem.

K.L. – Możliwości szybkiego awansu oczywiście były, ale nie dla wszystkich i nie tak ekspresowo. Również kwestie materialne nie przedstawiały się tak jednoznacznie. Zachowały się dokumenty, w których milicja przedstawiała swoje kłopoty materialne tuż po zakończeniu wojny. Na przykład milicja łódzka w 1945 r. narzekała, że funkcjonariusze chodzą w marnym obuwiu, w podartych ubraniach. Na początku chodziło o zaspokojenie elementarnych potrzeb, uzyskanie sukna na ubranie, lepszy przydział żywności. Mieszkania – to jest sprawa późniejsza.

G.M. – Jest jeszcze jedna rzecz – praca w aparacie bezpieczeństwa dawała ogromną władzę. Szef powiatowego urzędu bezpieczeństwa był panem życia i śmierci na swoim terenie. Posiadanie władzy było perspektywą, która przyciągała ludzi do aparatu. Tak było do samego końca Polski Ludowej.

K.L. – Niemniej w dokumentach kadrowych resortu ciągle jest mowa o wakacjach, o braku odpowiednich kadr. W szczególności brakowało kadr z wyższym wykształceniem, mimo zbudowanego systemu zachęt materialnych w postaci atrakcyjnych zarobków czy wspomnianego już mieszkania. Należy przy tym oddzielić aparat bezpieczeństwa od milicji. W mojej ocenie braki kadrowe w UB, czy później SB, były większe niż w MO.

G.M. – W 1950 r. w centrali nie było obsadzonych około 40 proc. etatów, a w terenie około 25 proc. Był jeszcze jeden problem – ogromna płynność tych kadr.

B.P. – *Płynność jest dla mnie zrozumiała, natomiast wakaty nie. Bo przecież te służby działały i były skuteczne, czy wobec tego planowano ich jeszcze większą aktywność?*

G.M. – W resorcie oprócz etatów oficerskich i podoficerskich były też etaty cywilne. Z powodu braku danych można jedynie spekulować, że większe były problemy z obsadą mniej atrakcyjnych etatów cywilnych, na przykład w jednostkach resortowej cenzury korespondencji. Praca była bardzo ciężka, w pierwszych latach często po kilkanaście godzin. Nie wszyscy wytrzymywali takie tempo. Plagą był brak dyscypliny, pijaństwo i kradzieże. Do października 1949 r. z resortu „odeszło” około 90 tys. osób.

K.L. – Natrafiłem na dokument o sytuacji panującej w Biurze „T” odpowiadającym za sprawę techniki operacyjnej. Funkcjonariusz, który zajmował się podrabianiem różnych dokumentów, na przykład paszportów zagranicznych, musiał być fachowcem wysokiej klasy. A takich w MSW brakowało. Niski poziom wykształcenia funkcjonariuszy bezpośrednio po wojnie nie dziwi, ale w latach sześćdziesiątych w aparacie było wcale niemało ludzi, którzy mieli ukończoną tylko szkołę podstawową. Pewien funkcjonariusz ze ścisłego kierownictwa MSW w jednym z dokumentów, tak zwanej obiektywce, miał wpisane w rubryce wykształcenie: wyższe, a zawód wyuczony – szcztokarz. Kierownictwo resortu naciskało, żeby kadra się dokształcała, w resorcie rozbudowano system dokształcania kadr. Jego szczytem było powołanie w 1971 r. Akademii Spraw Wewnętrznych, ale funkcjonariusze z różnych względów nie chcieli się uczyć, najczęściej uzasadniali swoją niechęć nawałem roboty operacyjnej. To był stały problem.

B.P. – *Warto zatem opisać strukturę organizacyjną bezpieki w powojennej Polsce.*

K.L. – Centrala to MBP, podzielona na departamenty, wydziały i sekcje, na poziomie wojewódzkim były wojewódzkie urzędy bezpieczeństwa publicznego, na szczeblu powiatowym – powiatowe urzędy bezpieczeństwa (było ich 268), a w gminach funkcjonariusze bezpieczeństwa działali w ramach posterunków Milicji Obywatelskiej. Obok wspomnianych komórek istniały jeszcze miejskie urzędy bezpieczeństwa publicznego, na przykład w Łodzi na czele wojewódzkiego i powiatowego urzędu stał kierownik, w 1946 r. nazwę zmieniono na szefa danego urzędu.

G.M. – Jesienią 1944 r. MBP podporządkowano MO, Wojska Wewnętrzne (później KBW) i więzienia (wraz z obozami), od lutego 1946 r. ORMO, a od stycznia 1949 r. WOP. W okresie pełnego rozwoju oprócz wywiadu i kontrwywiadu w gestii MBP znajdowały się także policja porządkowa, więziennictwo, wojska wewnętrzne i graniczne, ochrona obiektów państwowych, zakładów przemysłowych i komunikacji, a nawet zagłuszanie audycji radiowych nadawanych z zagranicy w języku polskim. Oprócz perlustracji (cenzury) korespondencji resort bezpieczeństwa zajmował się też cenzurą prewencyjną wszelkich wydawnictw. Dopiero pod koniec 1945 r. kontrolę publikacji przejął Główny Urząd Kontroli Prasy przy Radzie Ministrów. Jeśli chodzi o centralę, w ramach Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN funkcjonowały początkowo dwa wydziały: kontrwywiad i zaopatrzenie techniczne. Z kontrwywiadu, czyli Departamentu I MBP, wyłaniały się kolejne jednostki operacyjne, na przykład pion do walki z bandytyzmem. Jeżeli mówimy zatem o Departamencie I, to był on czymś innym w 1944 r. w porównaniu na przykład z 1947 r.

B.P. — *Czy możemy dzisiaj mówić już bardziej konkretnie o tej strukturze, choćby określić zadania poszczególnych departamentów?*

G.M. — W latach czterdziestych, co jest zrozumiałe, w organizacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zachodziły liczne zmiany. Natomiast od połowy lat pięćdziesiątych, gdy funkcjonowało już Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, struktura centrali resortu była w miarę stabilna. Dopiero ostatni PRL-owski minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak na początku lat osiemdziesiątych przeprowadził gruntowną reorganizację resortu.

K.L. — Z pierwszego okresu warto zapamiętać Departament III — walka z podziemiem, Departament V — nadzorowanie legalnych organizacji i partii politycznych, organizacji młodzieżowych, Kościoła katolickiego, innych kościołów i organizacji wyznaniowych, środowisk inteligenckich itd., Departament X — kontrola kadr PZPR oraz Departament Śledczy.

B.P. — *Jak można uzasadnić te ciągłe reorganizacje?*

G.M. — Wynikały one ze zmieniających się priorytetów działalności oraz bieżących, doraźnych potrzeb. Przykładowo w 1962 r. w związku z intensyfikacją walki z Kościołem katolickim został utworzony Departament IV. Z kolei po wydarzeniach czerwcowych w 1976 r. został utworzony Departament III „A” MSW, który zajmował się „ochroną” gospodarki narodowej.

K.L. — Warto dodać, że kalka organizacyjna z centrali była przenoszona w teren, departamentom w urzędach wojewódzkich odpowiadały wydziały, a w powiatach sekcje. Niektóre urzędy bezpieczeństwa miały jednak swoją specyfikę. W Łodzi utworzono w 1951 r. wydział włókienniczy istniejący równolegle z wydziałem IV odpowiadającym za ochronę gospodarki oraz referatami ochrony lub referatami wojskowymi w najważniejszych zakładach pracy.

B.P. — *W pierwszym okresie działania aparatu, choćby z racji poziomu intelektualnego funkcjonariuszy, w jego pracy dominowało prawo pięści. Już niebawem jednak resort był w stanie podjąć wyrafinowane gry operacyjne w poszczególnych środowiskach czy grupach społecznych, na przykład w grze z WiN. To musiało być bardziej finyzyjne, nawet w sensie intelektualnym.*

G.M. — Jeżeli mówimy o grze z WiN czy z Ukraińcami, to należy pamiętać, że polska bezpieka skorzystała z wzorców radzieckich. W walce ze zbrojnym podziemiem UB był jednym z kilku uczestników. Zwalczanie podziemia w pierwszych miesiącach władzy ludowej wzięły na siebie wojska NKWD, a od 1945 r. KBW, którego kadre dowódczą stanowili początkowo „ludzie radzieccy”. Notabene dyrektorem departamentu kadr w latach 1944–1954 był Mikołaj Orechwa, Białorusin, żołnierz Armii Radzieckiej. Według relacji Józefa Światły (wicedyrektora Departamentu X MBP, który w grudniu 1953 r. uciekł na Zachód) Orechwa odznaczany z okazji pięćdziesiątych urodzin przez ministra Radkiewicza miał powiedzieć: „służę Sowieckiemu Sojuzowi”.

K.L. – Aparat nie byłby taki groźny, gdyby odwoływał się tylko do przemocy. Dobrze zaplanowana i precyzyjnie przeprowadzona operacja mogła przynieść efekty tam, gdzie przemoc nic by nie dała. W swojej pracy funkcjonariusze korzystali więc z różnych fachowych porad wewnętrznych, ale i zewnętrznych. Od 1945 r. rozwijano przecież szkolnictwo resortowe. I nie chodzi tutaj tylko o szkoły w Łodzi, Legionowie czy Szczytnie, ale również szkoły przygotowujące kadry na przykład dla WOP. Warto byłoby przeanalizować ich strukturę organizacyjną oraz programy. Bez wątpienia znajdziemy tam zagadnienia prawne, z zakresu psychologii i inne. Z jednej strony aparat bezpieczeństwa cierpiał więc na braki kadrowe, ale z drugiej strony wyraźnie widać, że dzięki środkom technicznym, ustaleniom rozmaitych dziedzin nauki, pomocy ekspertów – funkcjonariusze mogli się opierać nie tylko na terrorze.

B.P. – *Ubeków bano się również dlatego, że posługiwali się prowokacją.*

K.L. – Pytanie to pojawiło się w kontekście rewolty 1968 r. – jak dalece aparat bezpieczeństwa inspirował niektóre wydarzenia? Czy безпеka była tylko strażakiem tłumiącym bunt młodzieży? Przeciwny jestem takiemu myśleniu, że za każdym wydarzeniem musiała stać SB. Ale jest wiele informacji, nie tylko z Marca '68, na przykład ze stanu wojennego, które wymagają zbadania, czy nie była to tak zwana kombinacja operacyjna, czyli szeroko rozumiana prowokacja. Na przykład oficer KW MO w Piotrkowie Trybunalskim pisał wprost, że dzięki pracy operacyjnej udało się pewnego księdza z dużym autorytetem w środowisku opozycji zachęcić do działania w kierunku wyznaczonym przez SB. Przy czym ksiądz ten zachował przekonanie, że działa wyłącznie z własnej inicjatywy. Inny przykład – w wyniku przeprowadzonych „działań specjalnych” (anonimy, ulotki, telefony), jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, bezpieka udało się zdeintegrować niektóre struktury NSZZ „Solidarność”. Wytworzenie atmosfery nieufności i podejrzliwości o współpracę z SB wśród działaczy ogniw zakładowych i ponadzakładowych „Solidarności” wydatnie osłabiało pracę tych ogniw. Zastanawia mnie też, dlaczego 13 grudnia 1981 r. SB i ZOMO, które w siedzibie ZR NSZZ „Solidarność” w Łodzi pojawiły się pierwszy raz już o godzinie 5 rano, nie zabrały sprzętu poligraficznego czy aparatury nagłaśniającej. Po opuszczeniu budynku przez funkcjonariuszy do siedziby ZR przyszło wielu działaczy łódzkiej „Solidarności”; między innymi drukowano odezwę potępiającą wprowadzenie stanu wojennego i wzywano do strajku generalnego. Przed budynkiem gromadzili się mieszkańcy miasta. Dlaczego z interwencją, która przerwała tę działalność, czekano aż do godziny 13?

G.M. – W okresie istnienia „Solidarności” SB wykonała ogromną pracę, przygotowała między innymi obsadę związków w poszczególnych zakładach pracy po wprowadzeniu stanu wojennego. Być może to jedna z najważniejszych zasług Lecha Wałęsy, że nie zdecydował się firmować swoim nazwiskiem „nowej”, w pełni kontrolowanej przez władze „Solidarności”, którą zamierzano utworzyć po wprowadzeniu stanu wojennego. Jednym z większych sukcesów bezpieki było nagranie posiedzenia pre-

zydium Komisji Krajowej i przewodniczących regionów NSZZ „Solidarność” 3 grudnia w Radomiu. Odpowiednio spreparowane nagranie było później wykorzystywane jako uzasadnienie tezy o konieczności wprowadzenia stanu wojennego. Nottabene bardzo ciekawa historia wiąże się z ostatnią Komisją Krajową NSZZ „Solidarność” (11–12 grudnia 1981 r.). Otóż podczas jej obrad padł postulat amnestii narodowej, w tym również dla funkcjonariuszy SB.

B.P. — Czyja to była koncepcja?

G.M. — Seweryna Jaworskiego. Uzasadniał swój pomysł tym, że wielu z nich chciałoby stać po stronie „Solidarności”, ale boi się odpowiedzialności za wcześniej popełnione czyny. Wniosek ten nie został poddany pod głosowanie jako sprzeczny z uchwałami Pierwszego Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność”. Niemniej jednak funkcjonariusze MSW współpracowali z „Solidarnością”, chociażby Adam Hodysz w Gdańsku. Niezbadanym, a bardzo ciekawym zjawiskiem była próba utworzenia związku zawodowego wśród funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Podczas ostatniego posiedzenia KK NSZZ „Solidarność” to właśnie z tego kręgu dotarły sygnały o pierwszych ruchach milicji w ramach, jak się później okazało, akcji wprowadzenia stanu wojennego. Kolejna sprawa — pacyfikacja Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie na początku grudnia 1981 r. Otóż tej szkoły nie pacyfikowało warszawskie ZOMO, jego funkcjonariusze mieli odmówić pacyfikacji, ściągnięto więc oddziały spoza Warszawy. Nic nie wiadomo, ażeby wśród internowanych znaleźli się żołnierze, byli natomiast wśród nich funkcjonariusze MO (około 30).

K.L. — Z tej inicjatywy można wyciągnąć wniosek, że niektórzy milicjanci nie chcieli, by kojarzyć ich z SB — jesteśmy normalną służbą kryminalną, nie mamy nic wspólnego z działalnością polityczną.

B.P. — Jeżeli taka była intencja, to tłumaczyłabym to na dobre. Dotąd władza i służba bezpieczeństwa czuły się bezkarne. Gdy ludzie dysponują siłą, nie mają potrzeby usprawiedliwiania swych działań przed społeczeństwem.

G.M. — Pod koniec 1956 r. w ramach reorganizacji resortu przeprowadzono integrację SB i MO — w komendach wojewódzkich MO utworzono pion SB podlegający zastępcy komendanta ds. Służby Bezpieczeństwa. Społeczeństwo nie miało możliwości rozróżnienia funkcjonariuszy MO i SB, stąd działalność bezpieki w świadomości społecznej obciążała konto milicji. Poza tym przez cały okres PRL funkcjonariusze MO byli gorzej wynagradzani i traktowani. Powodowało to antagonizmy między funkcjonariuszami MO i SB. Powstanie „Solidarności” stało się impulsem do powstania ruchu reformatorskiego w milicji. Próby tworzenia związku zawodowego funkcjonariuszy MO były podejmowane od wiosny 1981 r. Powołano komitet założycielski na szczeblu krajowym, a w jego działalność, według danych przywódców, zaangażowało się ponad 30 tys. milicjantów. Niestety, ruch ten został stłumiony na jesieni 1981 r. przez MSW i KG MO, a ze służby zwolniono ponad 100 funkcjonariuszy działających w komitetach

założycielskich. W relacjach ze stanu wojennego są opisy sytuacji, w których funkcjonariusze milicji wręcz sprzyjają działaczom opozycji, na przykład podczas kontroli samochodu przysmykają oko na nielegalny ładunek, bibułę przewożoną w bagażniku.

K.L. — Przestrzegalbym przed takim myśleniem, że milicja była szlachetniejszą formacją sił bezpieczeństwa, przecież — szczególnie w terenie — ona wykonywała niektóre zadania na rzecz SB. Nigdy w okresie PRL jej rola nie ograniczała się tylko i wyłącznie do ochrony porządku publicznego. Nie jest jeszcze do końca poznany podział kompetencji między oficerami operacyjnymi SB i MO. Nikt nie kwestionuje, że milicja zajmowała się porządkiem publicznym, sprawami ruchu drogowego i wyłapywaniem złodziei, ale zajmowała się też opozycją polityczną.

G.M. — Jestem jak najdalej od stwierdzenia, że bezpieka była zła, a milicja dobra. Przyjrzyjmy się na przykład kwestii ochrony gospodarki. To właśnie SB informowała o nieudolności i niegospodarności, a często wręcz rozkradaniu przedsiębiorstw przez kadrę kierowniczą. Dostarczała również informacji o nieprawidłowościach w handlu zagranicznym. Wywiad pozyskiwał technologie zagraniczne.

B.P. — *Chciałabym prosić o opisanie kontaktów UB i SB ze Związkiem Radzieckim.*

G.M. — Aparat bezpieczeństwa był nie tylko budowany według wzorca radzieckiego, jako jego kalka. Jedyna różnica w stosunku do wzoru radzieckiego polegała na tym, że aparat w Polsce nie posiadał uprawnień sądowych. Jednak na podstawie Małego Kodeksu Karnego od 1946 r. resort zaczął bezpośrednio uczestniczyć w postępowaniu sądowym — oficerowie operacyjni i śledczy przejęli zadania sędziów śledczych. W jego budowie uczestniczyli oficerowie radzieckich służb specjalnych, a większość kadry kierowniczej polskiej bezpieki została wyszkolona w szkole oficerskiej NKWD w Kujbyszewie. Oficjalny doradca NKWD rozpoczął działalność w marcu 1945 r., został nim Iwan Sierow. Jednak większość doradców funkcjonowała już od 1944 r. Działali oni nie tylko na szczeblu ministra czy wiceministrów, ale również na szczeblu dyrektorów departamentów i wydziałów. Byli także obecni w terenie, funkcjonowali przy szefach urzędów wojewódzkich i powiatowych. „Starszemu doradcy” podlegały własne siły zbrojne (64 dywizja piechoty wojsk wewnętrznych NKWD, do 1947 r.). Ten aparat początkowo liczył około 350 osób, później był systematycznie zmniejszany. Doradcy mieli własną sieć agenturalną, zdarzało się, że przyjmowali najlepszych agentów polskiej bezpieki. Sowieci udzielali wskazówek i brali udział w naradach. Wpływali na kierunki działań resortu (na przykład włączenie resortu w sprawę Laszlo Rajka, udział obserwatorów MBP w procesie Rudolfa Slanskiego). Podstawowe kierunki działania resortu, a także obsada najważniejszych stanowisk, były konsultowane w Moskwie. Po 1956 r. znikają doradcy na szczeblu centrali (w terenie kilka lat wcześniej), ale działa misja KGB. Jej funkcjonariusze do końca lat osiemdziesiątych zachowują swobodny dostęp do akt i gabinetów polskiego MSW. Zasadnicza zmiana po 1956 r. polega na tym, że polski minister spraw wewnętrznych

zaczyna się spotykać z rosyjskim ministrem spraw wewnętrznych. Nie są to jednak równoprawni partnerzy.

K.L. — Pytań bez odpowiedzi dotyczących powiązań polskiego aparatu z sowieckimi służbami jest wiele. Gdy pytałem byłych funkcjonariuszy UB, kim byli sowieccy doradcy w WUBP Łódź, otrzymywałem odpowiedź, że nie wszyscy oni byli „rasowymi” bezpieczniakami, mogli to być również żołnierze jednostek wojskowych, których oddelegowano do nowych zadań. Nie ulega jednak wątpliwości, że Związek Sowiecki wziął ten resort pod swoją szczególną kuratelę. Wiadomo przecież, że nowe państwo polskie powstało w atmosferze zbrojnego oporu i opozycji politycznej, a nie w klimacie przyzwolenia. Bezpieka była wtedy najważniejszym jądrem systemu i najsprawniejszym organem nowej władzy. Kadry częściowo wyszkolono w ZSRR, częściowo dobrano spośród działaczy przedwojennej KPP i KPZU, byli to więc ludzie lojalni wobec strony sowieckiej. Natomiast wymienieni doradcy sowieccy znaleźli się w strukturach polskiego MBP formalnie na prośbę strony polskiej. W styczniu 1945 r. (przed rozpoczęciem ofensywy zimowej) kierownictwo PPR postanowiło „prosić przyjaciół o przekazanie do dyspozycji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego 50 pracowników”. Niezwykle interesującą sprawą jest kwestia zależności polskiego MSW od strony sowieckiej po 1956 r. O ile dokumentów dotyczących tego problemu z czasów przed Październikiem jest bardzo mało, o tyle jeśli chodzi o okres późniejszy, jest jeszcze gorzej. Oczywiście jest wiele fragmentarycznych informacji świadczących o tym, że strona polska uznawała prymat służb sowieckich. W latach sześćdziesiątych minister Mieczysław Moczar przy różnych kwestiach (nie zawsze o dużym znaczeniu) zachęcał do sięgnięcia po „doświadczenia” ZSRR.

G.M. — Przez cały okres PRL dobre kontakty ze stroną radziecką po linii partyjnej czy organów bezpieczeństwa stwarzały szansę awansu, kariery. Stąd „wielki brat” nie miał problemów z dostępem do tajemnic polskiej bezpieki. Niezależnie od dobrych kontaktów służbowych i towarzyskich w resorcie działała także sowiecka agentura. Z oczywistych powodów nie mamy na ten temat bliższych danych.

K.L. — Znalazłem tylko jeden taki dokument, który pokazuje przełożenie kontaktów z doradcą sowieckim na kwestie personalne. Dotyczy on spraw z 1948 r. Bardziej jednak istotne jest, czy możemy mówić o polsko–sowieckiej kooperacji, czy tylko sowieckiej kontroli nad UB i SB.

G.M. — Pomoc dla polskiego MSW miała bardziej charakter logistyczny niż informacyjny. Przykładowo w stanie wojennym sojusznicy (nie tylko Sowieci, ale też Czesi i Niemcy) dostarczali do Polski gazy łzawiące, pałki i inne wyposażenie niezbędne do pacyfikacji niepokornego społeczeństwa. Ponadto Związek Radziecki przekazał także żywność, w tym papierosy i alkohol, dla polskiego MSW.

K.L. — Do doświadczeń sąsiadów odwoływano się podczas resortowych narad i szkoleń. Technika operacyjna — podglądowa, podsłuchowa — w dużym stopniu pochodziła z NRD.

B.P. — *Czy istnieją jakieś ślady tego, że polskie służby bezpieczeństwa broniły się przed ingerencją z zewnątrz?*

G.M. — Nie znamy skali tego zjawiska, ale znane są relacje i dokumenty mówiące o obronie polskiej ludności przez służby, na przykład polską milicję, przed rabunkami i gwałtami ze strony Armii Czerwonej. To również jest kolejny temat badawczy, który należałoby podjąć.

B.P. — *Moje kolejne pytanie dotyczy ewentualnych przejawów niesubordynacji.*

K.L. — Działalność zajmujących się tym: Biura do spraw Funkcjonariuszy, Departamentu Kadr czy Głównego Inspektoratu MSW nie jest zbadana. Niewątpliwie jednak można mówić o różnych rodzajach tej niesubordynacji. Po wojnie mogła to być współpraca z organizacjami podziemnymi, niedbałe wykonywanie obowiązków służbowych czy pijaństwo, przestępstwa z wykorzystaniem broni służbowej, tak zwane religianctwo i inne. W 1955 r. ukarano aż 9349 funkcjonariuszy MO, a ze służby wydalonو 2111, w tym 230 za pobicie obywateli i niedozwolone metody śledztwa.

G.M. — Nie sądzę jednak, żeby liczba przypadków niesubordynacji mogła ważyć na naszej ogólnej ocenie funkcjonowania aparatu bezpieczeństwa. Często zresztą „niesubordynowani” funkcjonariusze po prostu nie nadążali za woltami kierownictwa partii czy resortu.

B.P. — *Zastanówmy się teraz nad formalną stroną działalności aparatu bezpieczeństwa oraz jego poszczególnych komórek.*

G.M. — W tej kwestii pozwolę sobie przytoczyć ministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlachcica, który w 1971 r. powiedział: „nie będzie w Polsce demokracji dla wrogów demokracji” (oczywiście socjalistycznej). Prawo w PRL było traktowane instrumentalnie.

K.L. — Pozaprawne działania resortu trzeba bardzo silnie akcentować. Należy oczywiście pamiętać, że nie wszyscy jego ludzie działali z równą szkodą dla Polski. Nawet po zmianach 1956 r., kiedy o każdym wszczętym śledztwie należało powiadomić prokuraturę oraz uzyskać sankcję prokuratorską na każdy areszt, funkcjonariusze niechętnie stosowali się do tych przepisów. Zresztą w lutym 1957 r. minister Władysław Wicha zalecał, aby kierownicy organów SB i MO nie przejmowali się zbyt nio stanowiskiem prokuratury terenowej. W spornych sprawach zalecał interwencję, za pośrednictwem kierownictwa MSW, w Prokuraturze Generalnej. W ocenie szefa tego resortu praworządność to nie tylko przestrzeganie prawa przez organy państwowe, lecz również walka z przestępczością. A niewyciągnięcie właściwych sankcji karanych wobec przestępcy jest również naruszeniem praworządności. Zależność aparat bezpieczeństwa-prokuratura, a w zasadzie brak pełnej kontroli prokuratorskiej nad poczynaniami bezpieki, jest więc kolejną cechą państwa policyjnego.

G.M. — Jeśli chodzi o łamanie prawa przez polską bezpiekę, to warto przypomnieć, że pion prokuratorski IPN prowadzi wiele śledztw w tej sprawie. Jedno z nich doty-

czy działalności Departamentu IV MSW, który zajmował się dezintegracją środowisk kościelnych. Podstawowa trudność polega na tym, że starano się nie zostawiać na papierze żadnych śladów tej działalności. Pion ten nie tylko oczerniał niewygodnych księży, ale zajmował się też niszczeniem mienia, pobiciami i porywaniem ludzi. Znany jest raport nadzwyczajnej komisji sejmowej, która badała działalność MSW w latach osiemdziesiątych (tak zwanej komisji Rokity, od nazwiska jej przewodniczącego Jana Marii Rokity). Przebadła ona 122 przypadki zgonów z lat 1981–1989, co do których istniało przypuszczenie, że są one wynikiem działań funkcjonariuszy MSW. Na 115 spraw, w których komisja ta sformułowała wnioski, w 88 wniosła o wszczęcie, wznowienie lub podjęcie postępowania karnego. Generalna teza raportu komisji z 1991 r. brzmiała następująco: „rzeczywiste usytuowanie ustrojowe MSW w strukturze organów państwa stworzyło system nieodpowiedzialności funkcjonariuszy MSW za popełnione przestępstwa”. Zaryzykuję stwierdzenie, że gdyby kierowca księdza Jerzego Popiełuszki nie uciekł, do dzisiaj snulibyśmy tylko przypuszczenia na temat roli funkcjonariuszy MSW w zabójstwie księdza. Uruchomiono by całą maszynę w celu zapewnienia bezkarności sprawcom, jak to miało miejsce chociażby w przypadku zabójstwa Grzegorza Przemyka, gdy winą za śmierć chłopaka pobitego na posterunku milicji na warszawskiej Starówce obarczono pracowników warszawskiego pogotowia. MSW w takich przypadkach uruchamiało wręcz całą maszynę mającą na celu zrzucenie odpowiedzialności poza resort, włącznie z doborem „odpowiednich” prokuratorów.

K.L. — Aparat bardzo pilnował, żeby jego ludzie nie stanęli przed sądem. Nie zmienia tej oceny fakt, że urządzono jednak kilka procesów (w tym wiceministra Romana Romkowskiego, dyrektora Departamentu X Anatola Fejgina, dyrektora Departamentu Śledczego Józefa Różańskiego). Zwolnionym w 1956 r. funkcjonariuszom, a wśród nich było wielu takich, którzy przekroczyli prawo, nie działa się żadna krzywda. Resort zadbał o pracę dla nich i ich spokój.

G.M. — W latach czterdziestych i pięćdziesiątych, gdy bicie było metodą powszechnie stosowaną, w resorcie zdarzały się przypadki karania za to. Dotyczyły one jednak szeregowych funkcjonariuszy i nie odstraszały od stosowania tej metody. Im wyżej, tym ta odpowiedzialność była mniejsza. Dopiero na przełomie 1953 i 1954 r. nastąpiło pewne przesilenie. W lutym 1954 r. zwolniono dyrektora Departamentu Śledczego MBP Józefa Różańskiego, który stał się jednym z głównych kozłów ofiarnych.

K.L. — Nawet podczas narad z udziałem ministra Radkiewicza, a więc w okresie stalinizmu, przywoływano przykłady absurdalnych powodów aresztowań. W marcu 1951 r. aresztowano na przykład byłego jeńca wojennego za list do żony, w którym wyrażał lęk o nią, bo w obozie słyszał o bombardowaniu Warszawy przez bolszewików. Tego człowieka zwolniono dopiero po umorzeniu śledztwa przez Prokuraturę Generalną. Po 1956 r., kiedy przez krótki okres aparat był w pewnym oszołomieniu, wśród funkcjonariuszy wystąpiły poważne problemy z przestrzeganiem prawa innej niż dotychczas natury, nasiliło się z kolei zjawisko swoistego urządzania się.

G.M. – W pierwszych latach po wojnie funkcjonariusze resortu byli ludźmi na do-robku. Nagminne zatem było łamanie prawa dla uzyskania korzyści. Przykładem może być chociażby nielegalne zdobywanie mieszkań. Otóż zdarzało się, że mieszkanie, z którego wyrzucano rodzinę tak zwanych reakcjonistów, zajmował (oczywiście nielegalnie) funkcjonariusz UB. Bardzo często ginęło też mienie osób aresztowanych. Przede wszystkim kryminalne były jednak metody stosowane przez funkcjonariuszy wobec wroga. Dotyczy to nie tylko lat czterdziestych czy pięćdziesiątych. Trwa w chwili obecnej proces funkcjonariuszki SB z Częstochowy, która znęcała się nad przesłuchiwanymi działaczkami „Solidarności” w stanie wojennym. W jej obronie stanęli koledzy z SB, twierdząc, że jej postępowanie było normalną praktyką. To ilustruje, jak ludzie resortu do końca traktowali prawo. Przypominają się słowa Radkiewicza z grudnia 1953 r.: „Nie widzieliśmy w aresztowanym wrogu człowieka. Myśmmy uważali, że jeśli to jest wróg, to zgodne z rewolucyjną nienawiścią i bezwzględnością możemy zrobić z nim co chcemy”.

B.P. – *Do tej pory nie poruszyliśmy wątku agentury.*

G.M. – W PRL panowało przekonanie o wszechmocy i wszechwiedzy aparatu bezpieczeństwa. W latach 1944–1956 liczbę zwerbowanych można określić szacunkowo na kilkaset tysięcy osób. Również w okresie działalności „Solidarności”, w latach osiemdziesiątych, znacznie rozbudowano agenturę. Agentura uczestniczyła w tworzeniu komisji zakładowych „Solidarności” w 1980 r., kontrolowała kanały przerzutowe po 13 grudnia 1981 r. Z drugiej strony sama bezpieka była infiltrowana, na przykład przez podziemie zbrojne czy PSL.

K.L. – W Łodzi znana jest sprawa funkcjonariusza Czesława Stachury, który miał dostęp do wielu tajnych dokumentów WUBP. W 1946 r. ujawnił on te informacje podziemi, za co został skazany na karę śmierci. Zdecydowanie jednak nie można poprzestać na stwierdzeniu, że obie walczące strony miały własną agenturę.

G.M. – Dla mnie problem agentury jest szalenie trudny i niejednoznaczny. Podziwiam ludzi, którzy tak jednoznacznie potępiają byłych agentów. Znam przypadki, gdy na przykład żona „bezinteresownie” donosiła na męża, i taki donos mógł wyrządzić więcej szkody niż praca dziesięciu agentów.

K.L. – Z materiałów archiwalnych wynika, że agentura to były oczy tego aparatu. Inne źródła zbierania informacji (kontrola korespondencji, podsłuch) miały dużo mniejsze możliwości. Odrębną kwestią jest jakość tej agentury. Kierownictwo resortu wiele razy nawoływało więc do lepszej pracy z siecią agenturalną, do oczyszczenia jej z niepewnych jednostek itd. W okresie powojennym stawiano na agenturę masową, co najczęściej nie dawało dobrych wyników operacyjnych. Po 1956 r. precyzyjniej określano już zadania dla agentury, pilnowano, aby była ona nastawiona na określone sprawy. Agent (właściwie tajny współpracownik) nie miał być już szperaczem zdany na przypadek. Jest jednak wysoce prawdopodobne, że praktyka odbiegała od teorii. Liczba tajnych współpracowników była jednym z ważniejszych kryteriów oceny pracy oficerów operacyjnych, co mogło prowadzić do sztucznego zawyżania statystyk.

G.M. — Było kilka momentów, kiedy oczyszczano i zmniejszano sieć agentów, chociaż generalnie przez cały okres PRL istniała bardzo wyraźna tendencja do jej rozbudowy. Ale nie mogło być inaczej, skoro agentura i praca śledcza były głównymi metodami działania polskiej bezpieki. Z chwilą gdy odpadła możliwość bicia i wymuszania w ten sposób zeznań, tym ważniejsza stała się działalność agentury.

B.P. — *Czy można stworzyć portret psychologiczny agenta?*

G.M. — Agenci byli werbowani w trojaki sposób. Po pierwsze na podstawie materiałów kompromitujących, po drugie drogą grania na „uczuciach patriotycznych”, i po trzecie za pieniądze. Na naradach podkreślano, żeby nie stosować form przymusu przy werbowaniu. Zalecano przede wszystkim werbowanie ideowców. W praktyce powojennej zdarzało się jednak, że podpis zgody na współpracę wymuszano pistoletem przystawionym do głowy.

K.L. — W grę wchodziło wiele tak zwanych kombinacji operacyjnych, które realizowano, aby pozyskać tajnego współpracownika. W okresie stalinowskim miały miejsce chociażby „tajne zdjęcia”. Niczego nie spodziewającego się człowieka nagle aresztowano i poddawano swoistej obróbce. Metody były różne. Na szczęście nie wszyscy — mimo presji — podjęli współpracę.

G.M. — Jedną ze skuteczniejszych metod było pozyskiwanie ludzi przy okazji wyjazdów zagranicznych. W biurach paszportowych były specjalne komórki, których pracownicy werbowali ludzi przy okazji wyjazdu. Bardzo często stosowano szantaż jako metodę werbunku.

K.L. — Po 1956 r. zalecano, żeby tajni współpracownicy, którzy zostali zwerbowani za pieniądze, pracowali teraz jako niepłatna, ideowa agentura, żeby temu swoistemu handlowemu kontraktowi, którym był werbunek za pieniądze, nadać ideowe oblicze. Znakomita większość tajnych współpracowników pracowała jednak za pieniądze lub inne dobra materialne. Ci zwerbowani na podstawie materiałów kompromitujących przy najbliższej okazji starali się z tego wycofać.

G.M. — Były środowiska, jak się wydaje, bardziej podatne na werbunek, wynika to chociażby ze wspomnień. Takim środowiskiem byli dziennikarze, natomiast podobno trudno było pozyskać działaczy „Solidarności” podstawowego szczebla. Po odwilży 1956 r., po zmianach, często kosmetycznych, dokonanych w resorcie (w 1954 r. zlikwidowano MBP, a jego funkcje przejął początkowo Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego oraz MSW, a od 1956 r. samodzielnie MSW) następuje jakaś forma oczyszczenia tego resortu. Od tego momentu łatwiej też pozyskać agentów, szczególnie wywiadowi czy kontrwywiadowi. Nie zapominajmy, że Polska stanowiła obiekt zainteresowania dla wywiadu niemieckiego czy dość agresywnie tu działającego wywiadu francuskiego. Więc ci, którzy współpracowali, mogli mówić sobie, że służą Polsce.

K.L. — Większą wagę przywiązywano do sposobu podejścia do kandydata na tajnego współpracownika. Dbano o kamuflaż i o tak zwaną legendę. Rzadko wprost

wzywano na milicję, częściej proponowano spotkanie w kawiarni lub nawiązywano kontakt przy okazji załatwiania jakiejś sprawy w dziale kadr w zakładzie pracy.

G.M. — Sposobów podejścia kandydata na agenta było wiele. Przytoczę relację jednego z bardziej znanych polskich ekonomistów, współautora programu na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Otóż funkcjonariusze SB wezwali go na przesłuchanie, na którym... zaproponowano mu napisanie ekspertyzy ekonomicznej na potrzeby MSW. Niewinna kusząca propozycja, nieprawdaż? Autor relacji odmówił, ale ile osób skusiło się na podobne propozycje?

K.L. — Istotne jest też i to, że bardzo niechętnie wypuszczano z rąk aparatu tych, którzy podpisali zobowiązanie o współpracy. Zdarzały się takie sytuacje, że do oficerów prowadzących zgłaszali się agenci i niemal z płaczem prosili o zaniechanie dalszej współpracy. Tylko w wyjątkowych sytuacjach, przykładowo gdy funkcjonariusze nie byli pewni swojej przyszłości, udawało się tę współpracę zerwać. W innych okolicznościach było to dużo trudniejsze. Zdecydowanie trzeba jednak podkreślić, że wiedza o stopniu infiltracji społeczeństwa polskiego przez agenturę jest wyjątkowo skromna i nie chodzi tu tylko o liczby tajnych współpracowników pracujących w określonym środowisku. Niewiele wiemy chociażby o lokalach kontaktowych, ile ich było, czy organy kwaterunkowe o nich wiedziały, itd. Trzeba bowiem wiedzieć, że nawet te lokale, które były zdekonspirowane w tym sensie, iż były znane okolicznym mieszkańcom, też stanowiły rodzaj presji wywieranej na otoczenie. Fakt, że wiadomo było, iż z okien jakiegoś mieszkania fotografowano na przykład ludzi wchodzących i wychodzących z kościoła po Mszach św. za Ojczyznę, zapewne wpływał na uczestników tych nabożeństw. Takie działanie potęgowało uczucie zagrożenia i przekonanie o wszechobecności służb.

G.M. — Dla mnie ciekawym, a prawie zupełnie niezbadanym zagadnieniem są zadania stawiane agentom. Oczywiście, aby się tego dowiedzieć, trzeba poznać teczkę konkretnego współpracownika UB/SB.

K.L. — Mogła być też i inna zagrywka — kompromitacja — stwarzanie wokół niezłomnego człowieka atmosfery, że on jest donosicielem.

B.P. — *Osobiście uważam, że im dłużej trwał PRL, tym więcej — nawet jeśli mówimy tylko o marginesie społeczeństwa — pojawiało się postaw cynicznych. Cynizmem i dowodem wielkiej demoralizacji nazywam postawę człowieka, który nie dostrzega, że donoszenie na sąsiada, członka rodziny, współpracownika czy współobywatela jest jego własnym upadkiem. Z taką wiedzą i z taką konstatacją musimy się jakoś, jako społeczeństwo, uporać. Ale to, jak myślę, nie jest temat dla historyków, tylko dla etyków czy moralistów.*

KAROL WOJTYŁA W DOKUMENTACH BEZPIEKI

Z Markiem Lasotą

B.P. — *Na czym polegała społeczna, kulturalna i historyczna specyfika Kościoła krakowskiego, w którym wyrósł Karol Wojtyła jako duchowny?*

M.L. — Kościół krakowski, zwłaszcza w latach wojennych i pierwszych powojennych, trzeba przede wszystkim kojarzyć z księciem kardynałem Adamem Stefanem Sapiehą. Była to postać wielkiego formatu — „Ksiązę Niezłomny” — faktyczny *interrex* w okresie wojny i okupacji. Jak silna to była osobowość, jak ogromnie wpływała i jak liczyli się z nią wszyscy, łącznie z okupantem, niech świadczy wspomniana przez George’a Weigla anegdota mówiąca o spotkaniu z generalnym gubernatorem, Hansem Frankiem. Po przybyciu do Krakowa Frank zabiegał ponoć o spotkanie z arcybiskupem Sapiehą. W końcu Sapieha zgodził się przyjąć go w pałacu na Franciszkańskiej na okolicznościowym obiedzie. Kiedy usiedli przy stole, kamerdyner arcybiskupa podał czarny chleb, marmoladę z buraków i kawę zbożową. Frank osłupiał. Sapieha spokojnie wyjaśnił, że podejmuje go tym, czym żywią się wszyscy w okupowanej Polsce, ponieważ jako biskup nie chce i nie może narażać kogośkolwiek ze swoich podwładnych na niebezpieczeństwo, polecając nielegalne zdobycie innych potraw. Bez względu na to, czy jest to wydarzenie prawdziwe, trzeba uznać, że Adam Sapieha był legendą jeszcze za życia.

B.P. — *Nawiasem mówiąc, Frank był człowiekiem głęboko wierzącym, mamy wiele relacji o tym świadczących, tak było na przykład w Częstochowie, dokąd odbył pielgrzymkę wraz ze swoją rodziną. Jasna Góra wywarła na nim tak wielkie wrażenie, że złożył obietnicę ówczesnemu przeorowi, że Niemcy nie zniszczą sanktuarium.*

M.L. — Osobowość księcia Sapiehy wywarła ogromny wpływ na cały krakowski Kościół. W tej atmosferze zaczyna wyrastać Karol Wojtyła. Przypomnijmy kilka faktów. Otóż mimo okupacji przez jakiś czas działało w Krakowie seminarium duchowne. Po likwidacji Uniwersytetu Jagiellońskiego władze niemieckie zakazały wszelkiej działalności edukacyjnej na wyższym szczeblu, w przypadku seminarium metropolitalnego usiłowały sprowadzić jego rolę do poziomu szkoły zawodowej, przygotowującej do wykonywania podstawowych czynności duszpasterskich. Nie było mowy o pracy naukowej. Wszystko odbywało się pod ścisłą kontrolą gestapo.

Po aresztowaniu i rozstrzelaniu kilku kleryków, abp Adam Sapieha zdecydował o podjęciu konspiracyjnej działalności Seminarium Archidiecezji Krakowskiej. Jego siedzibą stał się pałac arcybiskupi na ulicy Franciszkańskiej, w którym kilka pokoi przeznaczono na miejsca pracy i jednocześnie mieszkanie dla kleryków. Był wśród nich Karol Wojtyła.

Wydaje się, że Wojtyła dotkliwie odczuwał grozę okupacji niemieckiej. Opuszczenie rodzinnych Wadowic, przerwane studia, śmierć ojca, ciężka praca robotnika w Solvayu, brak możliwości spełnienia artystycznego powodowały, że szukał on oparcia i autorytetu. Był to także okres intensywnego poszukiwania własnej drogi życiowej, okres wyboru pomiędzy sztuką a nauką. Kolejna anegdotyczna historia – w swoim pędzie do wiedzy zaczyna interesować się chemią. W Solvayu jednym z kierowników był uczony – chemik z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wojtyła zadawał mu wiele pytań związanych z chemią na rozmaitych przypadkowych karteczkach, łącznie z filtrami do kawy. Profesor był bardzo zaskoczony, że jakiś zwykły robotnik zadaje mu tak wyrafinowane i hermetyczne pytania.

B.P. – *To ciekawe, bo jest to kolejna postać w historii Kościoła powszechnego, która ma potrzebę zgłębnienia materii fizycznej świata.*

M.L. – Młody Wojtyła próbował znaleźć dla siebie jakiś azyl, chronił się w nauce, chronił się w sztuce słowa, w Teatrze Rapsodycznym. Uciekał pod skrzydła Jana Tyranowskiego, do grupy modlitewnej, włączając się w żywy różaniec.

B.P. – *Przed czym uciekał?*

M.L. – Przed rzeczywistością wojenną. Było mu trudno się w niej odnaleźć. Momentem zwrotnym była śmierć ojca i jej okoliczności – po powrocie z fabryki znalazł martwego ojca. Doznał głębokiego wstrząsu. 20 lutego 1944 r., będąc już klerykiem, mieszkając w pałacu arcybiskupim, wracał na piechotę z Solvayu. Na ulicy Konopnickiej w Krakowie został potrącony przez ciężarówkę niemiecką, tak nieszczęśliwie, że leżał nieprzytomny na poboczu ulicy; kierowca tej ciężarówki w ogóle go nie zauważył albo zauważył i zlekceważył. Dostrzegła go przechodząca kobieta i pospieszyła z pomocą. Okazało się, że mężczyzna jest nieprzytomny, zakrwawiony, ranny w głowę, próbowała go więc cucić. W tym czasie przejeżdżał niemiecki oficer, zatrzymał się, powiedział tej kobiecie, żeby wodą z kałuży obmyła rannemu twarz. Ujrzawszy, że ranny żyje, zatrzymał inną ciężarówkę, która zawiozła go do szpitala na ulicy Kopernika. W ten sposób niemiecki oficer uratował Karolowi Wojtyłe życie.

B.P. – *Wróćmy do sytuacji Kościoła krakowskiego.*

M.L. – Z chwilą zakończenia wojny abp Sapieha był człowiekiem niemal osiemdziesięcioletnim. W związku z nieobecnością prymasa Augusta Hłonda w kraju Sapieha wykonywał jego obowiązki głowy Kościoła w Polsce. Próbował uporządkować sytuację w Kościele krakowskim. Szukał też swojego następcy. W 1946 r. został kardynałem i w tym samym roku wysłał, skracając pobyt w krakowskim seminarium,

Karola Wojtyłę na studia do Rzymu. Było to tuż po święceniach kapłańskich, udzielonych w niezwykleym czasie i okolicznościach – w prywatnej kaplicy kardynała, 1 listopada, w uroczystość Wszystkich Świętych. Nazajutrz po święceniach ks. Karol Wojtyła odprawił Mszę św. prymicyjną w krypcie św. Leonarda na Wawelu, a więc w miejscu zupełnie nadzwyczajnym. Sapieha spieszył się, bo chciał, by Wojtyła jak najszybciej jechał na studia, żeby, jak wspominają biografowie, „uczyć się Rzymu”. Wyjechał razem z młodym klerykiem, Stanisławem Starowieyskim, arystokratą ze znanej krakowskiej rodziny. Niektórzy twierdzą, że to w Starowieyskim, z racji jego urodzenia, Sapieha upatrywał przyszłego arcybiskupa krakowskiego. Być może wyobrażał sobie, że Starowieyski zostanie arcybiskupem, a Wojtyła jego biskupem pomocniczym, dlatego od początku pozwolił im współpracować. Ks. Karol Wojtyła na studiach narzucił ponoć szalone tempo nauki i poznawania Rzymu, Starowieyski za nim nie nadążał. Matka Starowieyskiego, Zofia Starowieyska-Morstinowa, pisała w tym czasie listy do kardynała Sapiehy z prośbą, by on coś zrobił, bo ten Wojtyła zameczy biednego Stasia, zmuszając go do nader intensywnych studiów. Te listy zachowały się. Nie to jednak pokrzyżowało ewentualne plany Sapiehy. Władze komunistyczne w Polsce nie dały Starowieyskiemu paszportu konsularnego na powrót do Polski. Sapieha interweniował u rozmaitych ówczesnych decydentów – to jest, przypomnę, rok 1948 – ale niczego nie wskórał. Starowieyski w końcu jako ksiądz pojechał do Ameryki Południowej, gdzie został, bodajże, duszpasterzem środowisk polonijnych. Do kraju wrócił Wojtyła.

B.P. – *Z jakim багаżem?*

M.L. – Wrócił 15 czerwca 1948 r. z obronionym na Angelicum doktoratem z teologii i z cennym doświadczeniem duszpasterskim. W czasie studiów, latem 1947 r., odbył podróż do Francji i do krajów Beneluksu. W „Tygodniku Powszechnym” opublikowano odnaleziony niedawno w archiwum Jerzego Turowicza artykuł ks. Wojtyły, napisany po powrocie do Polski, poświęcony Kościołowi w Holandii. Podczas studiów w Rzymie zetknął się także z księdzem Josephem Cardijn, późniejszym kardynałem, który był twórcą JOC (*Jeunesse Ouvrière Chrétienne* – Chrześcijańska Młodzież Robotnicza). Był również ojcem nowej formy duszpasterstwa robotników, polegającej na bezpośrednim uczestnictwie księży w ich życiu. W tym czasie była to wręcz rewolucyjna koncepcja.

B.P. – *Podobną zasadę przyjęli Bracia Mniejsi.*

M.L. – Właśnie, idea księży-robotników ma swoje odległe źródła. Wojtyła był nią bardzo zainteresowany. To doświadczenie okazało się nieocenione w jego pracy w Krakowie, zwłaszcza w Nowej Hucie, gdzie mieliśmy do czynienia z zupełnie nowym zjawiskiem, z próbą budowania komunistycznego społeczeństwa wielkoprzemysłowego, wykorzenionego z ziemi i rodzinnych więzi.

B.P. – *Do tej pory Jan Paweł II jest wrażliwy na problemy społeczne i potrafi odczytywać potrzeby nowych czasów.*

M.L. — Karol Wojtyła dobrze to wszystko czuł, był sam przecież przez kilka lat robotnikiem. Miał też świadomość, w jakich realiach zaczyna funkcjonować polski Kościół.

B.P. — *Nie miał wątpliwości co do powrotu do kraju?*

M.L. — Nie ma na ten temat żadnych informacji. Wracał zdecydowanie, ale raczej chciał kontynuować działalność naukową. Kiedy wrócił, Sapieha wykonał kolejne, zaskakujące posunięcie. Po tych rzymskich wakacjach i wielkich doświadczeniach posłał go do Niegowici, „zabitej deskami” wioski. Ale jak się okazuje, to nie był przypadek. Ktoś, kto nie znał Niegowici, gdzie proboszczem był wówczas stary kapłan, ksiądz prałat Kazimierz Guzała, znakomity wychowawca młodych księży, mógł odebrać to jako lekcję pokory albo wręcz zesłanie. Teraz dojeżdża się tam drogą asfaltową, wtedy trudno było dotrzeć nawet furmanką. Tymczasem wiadomo było, że jeżeli Sapieha wysłał kogoś do Niegowici do Guzały, to tylko dlatego, że ceni go i chce dać mu możliwie najlepsze przygotowanie do pracy kapłańskiej. W tym posunięciu jest pewien klucz do zrozumienia zamiarów Sapiehy wobec Wojtyły. Sapieha zaczął interesować się nim bardzo wcześniej, chyba wtedy, gdy Karol Wojtyła zdecydował się na kapłaństwo, kiedy mieszkał w pałacu arcybiskupim. Ponoć wielokrotnie wówczas ze sobą rozmawiali i Sapieha dostrzegł w nim kogoś, w kogo warto inwestować.

B.P. — *Przyspieszony tryb formalizowania kapłaństwa zdaje się to potwierdzać, tak samo jak studia w Rzymie i pobyt w Niegowici.*

M.L. — Ksiądz Guzała był w diecezji krakowskiej wychowawcą młodych kleryków. Miał znakomite pomysły. W krótkim czasie umiał nauczyć „rzemiosła” parafialnego.

Po kilku miesiącach, także nieprzypadkowo, Sapieha przeniósł Karola Wojtyłę do parafii św. Floriana w Krakowie. To była jedna ze śródmiejskich parafii, w której większość mieszkańców stanowili przedwojenni urzędnicy, naukowcy, inteligencja krakowska, a więc miała dość szczególny charakter. W tej parafii proboszczem był ks. prałat Tadeusz Kurowski, wybitna postać Kościoła krakowskiego, bardzo wpływowa. Był przez pewien czas kanclerzem kurii krakowskiej, prawą ręką Sapiehy. Warto dodać, że w tym samym czasie co Karol Wojtyła wikarym był tam również dzisiejszy arcybiskup Lwowa Marian Jaworski. Ci, którzy byli tam wikarymi, odgrywali potem nieraz bardzo ważną rolę w Kościele, to nie byli ludzie przypadkowi.

W czasie wikariatu ks. Karola Wojtyły w parafii św. Floriana pojawia się być może pierwszy „ubecki” donos na niego. Wiązał się on z działalnością kółka ministrantów, które w oczach bezpieki miało być zakamuflowaną kontynuacją działania przedwojennego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Donos zawierał informacje, że do tego kółka należy około stu chłopców oraz że spotykają się co tydzień. Wyraźnie zaznaczono w nim, że opiekę nad kołem sprawuje nowy wikary, ksiądz Wojdyła, tak zostało zapisane to nazwisko. Jest to interesujące, ponieważ na liście nazwisk, która znajduje się na początku donosu, kilka z nich jest podkreślonych dla zaznaczenia, że pojawiają się po raz pierwszy, między innymi podkreślone jest nazwisko: Wojdyła.

B.P. — *Umiera księżę Adam kardynał Sapieha. Co dzieje się dalej w Kościele krakowskim?*

M.L. — Dla Kościoła krakowskiego to jest koniec pewnej epoki, bardzo znaczącej i długiej. Jest rok 1951. Należało powołać nowego ordynariusza. Władze kościelne proponują rezydującego w Lubaczowie arcybiskupa lwowskiego Eugeniusza Baziaka. Władze państwa nie zgadzają się. Kraków przez dziesięć lat jest pozbawiony metropolity, swojego ordynariusza. Abp Baziak jest jedynie administratorem apostolskim w Krakowie. Z punktu widzenia władzy kościelnej jest ordynariuszem. Z prawnego punktu widzenia ordynariuszem nie był, z uwagi na umowy, które były wówczas zawarte między Kościołem w Polsce a komunistami, ponieważ nigdy nie uzyskał formalnej akceptacji ze strony władz państwowych.

B.P. — *Co dzieje się z Karolem Wojtyłą po śmierci kardynała Sapiehy?*

M.L. — Zadają to pytanie wszyscy, którzy badają jego życiorys. Zadałem je niedawno jednemu z duchownych, dość dobrze znającemu wszystkie okoliczności tych wydarzeń. Czy Sapieha sporządził jakiś testament, przekazujący jego wolę w stosunku do cenionych przez niego kapłanów? Ponoć nie ma takiego dokumentu. Być może zostało to przekazane ustnie episkopatowi lub komuś z najbliższego otoczenia. W każdym razie abp Baziak, objawszy obowiązki administratora, zaczął porządkować sprawy personalne w archidiecezji. Eliminował sytuacje, w których ktoś robił kilka rzeczy jednocześnie, co miało miejsce za kardynała Sapiehy, a wynikało jeszcze z uwarunkowań wojennych. Także ks. Wojtyła polecił wybrać pomiędzy pracą kapłańską w parafii a pracą naukową. W parafii św. Floriana ks. Karol Wojtyła bardzo aktywnie pracował ze środowiskami inteligencji, zwłaszcza z prawnikami i lekarzami. Prowadził rekolekcje, rozmaite spotkania formacyjne, a z drugiej strony był pracownikiem naukowym na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Archiwum Państwowym w Krakowie znajduje się jegoteczka osobowa, zawierająca odręcznie napisany życiorys, podanie o przyjęcie do pracy w charakterze asystenta i inne tego typu dokumenty. Musiał nostryfikować swój doktorat z Angelicum w Rzymie, a następnie przygotować rozprawę habilitacyjną. Stając przed alternatywą — duszpasterstwo parafialne albo praca naukowa, Wojtyła wybiera to drugie.

B.P. — *Wyobrażam sobie, że konieczność dokonania wyboru była trudnym doświadczeniem. Na osobowość Karola Wojtyły składa się intelektualista z jednej, a praktyk i duszpasterz z drugiej strony.*

M.L. — W tym momencie stykamy się z kolejną zaskakującą zbieżnością faktów. To wszystko dzieje się w roku 1951, a więc w czasie apogeum ataku na Kościół. W więzieniach bezpieki w czasach stalinowskich przebywało ogółem około tysiąca duchownych, księży diecezjalnych, zakonnych, braci i sióstr zakonnych. Sytuacja jest dramatyczna. Nie uniknął aresztowania sam abp Eugeniusz Baziak. Znowu chciałoby się dostrzec jakieś zrządzenie Opatrzności, bo przecież zabranie Karola Wojtyły z parafii, będącej obiektem zainteresowania bezpieki, uchroniło go być może przed

represjami. Rzecz ciekawa, Wojtyła odchodząc z parafii św. Floriana, osiadł na ulicy Kanoniczej, w domu zamieszkiwanym przez osobistości duchowieństwa krakowskiego. Abp Baziak zezwala mu kontynuować duszpasterstwo akademickie, ale poleca uzgadniać wszystkie związane z tym prace. Gdyby chodziło tylko i wyłącznie o stworzenie ochronnego parasola, to abp Baziak zabroniłby księdzu działania w duszpasterstwie młodej inteligencji krakowskiej. A przecież on nadal pracował, spotykał się z grupami młodzieży akademickiej, z których wyłoniło się sławetne „środowisko” kierowane przez Wujka Karola, jak nazywali go studenci.

W grudniu 1952 r. funkcjonariusze UB przeprowadzili rewizje i aresztowania w kurii arcybiskupiej w Krakowie. W podziemiach kurii UB odkopało skrzynie z dokumentami, złotem i pieniędzmi pochodzącymi z płynących w czasie wojny darów, z rozmaitymi pamiątkami rodzinnymi Sapiehów i innych rodów arystokratycznych, zdeponowanymi tam w dniach wojny. Znalezione i zabrano całą dokumentację kandydacką, która w czasie wojny, po wykradzeniu jej Niemcom, została oddana na przechowanie kardynałowi Sapieże. Aresztowano kilkunastu księży i świeckich pracowników kurii. W procesie krakowskim, który toczył się w styczniu 1953 r., a w którym głównym oskarżonym był ks. Józef Lelito, najważniejszym zarzutem był udział w organizacji zbrojnej. Zapadły wyroki długoletniego pozbawienia wolności i trzy wyroki śmierci, które nie zostały wykonane.

B.P. — Czy *znaleziono broń*?

M.L. — Sprawa kurii krakowskiej była sfigowana. Podczas rewizji znaleziono pewną kwotę dolarów, złote monety itd. Były to pieniądze, które Sapieha w czasie wojny otrzymywał od biskupów i środowisk polonijnych ze Stanów Zjednoczonych, a zakopanie było wtedy jedyną możliwością ich przechowywania. Stworzono z tego zarzut, że były to środki przeznaczone na działalność szpiegowską, na prowadzenie walki zbrojnej z państwem ludowym itd. Ksiądz Józef Lelito był rzeczywiście uczestnikiem powojennego ruchu oporu, co w dużej mierze ułatwiło konstrukcję prowokacji i oskarżenia. W konsekwencji oznaczało to także groźbę rozbicia Kościoła krakowskiego, ponieważ i abp Baziak, i jego biskup pomocniczy Rospond otrzymali nakaz opuszczenia Krakowa i zostali internowani w Tarnowie.

Trzeba było w tej sytuacji ustanowić wikariusza kapitulnego, a więc osobę pełniącą obowiązki nieobecnego ordynariusza. Został nim bp Franciszek Jop. Sytuacja w krakowskim Kościele stawała się dość trudna. Problemem była nie tylko sprawa biskupów, którym uniemożliwiono wykonywanie obowiązków. Doszło przy okazji do niemałego zamętu wśród duchowieństwa kurialnego i w całej diecezji, bo nie wiadomo było w końcu, kogo słuchać: czy wikariusza kapitulnego, który w pewnym sensie został narzucony, czy arcybiskupa, który przebywa w Tarnowie. Karol Wojtyła znalazł się z boku tych wszystkich wydarzeń. Nostryfikował doktorat, później się habilitował, do czasu, kiedy istniał Wydział Teologiczny, pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim, po jego likwidacji — od października 1954 r. — był wykładowcą trzech

działających w Krakowie diecezjalnych seminariów duchownych: krakowskiego, śląskiego i częstochowskiego.

B.P. — *A jednocześnie został wykładowcą na KUL.*

M.L. — Praca naukowa absorbuje go całkowicie, choć z drugiej strony w doniesieniach bezpieki pojawiają się informacje o tym, że na różnych spotkaniach bardzo krytycznie wypowiada się o ówczesnej rzeczywistości polskiej, o cenzurze, kaleczeniu słowa, zniewalaniu naukowców itd., więc nie jest wobec tych wydarzeń obojętny. W notatce, pochodzącej ze stycznia 1956 r. (sporządzonej przez pracownika Wydziału do spraw Wyznań przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie na podstawie rozmowy z księdzem doktorem Wojtyłą), zawarte jest pytanie o stosunek do księży-patriotów. Ks. Wojtyła odpowiedział, że on się tymi sprawami w ogóle nie interesuje i nie może się na ten temat wypowiadać. Jest w tej notatce także stwierdzenie, że Wojtyła jest gorliwym wykonawcą ekskomunikacji papieskiej z 1955 r. obejmującej pismo „Dziś i jutro” oraz książkę *Zagadnienia istotne* Bolesława Piaseckiego. Wojtyła miał powiedzieć, że on nie czytuje tego pisma, bo jest obłożone interdyktem papieskim. Na końcu notatki jest stwierdzenie, że „ślubowania na wierność PRL nie składał”. To jest dokument sporządzony, przypominę, w styczniu 1956 r., a więc dwa lata przed jego nominacją na biskupa pomocniczego.

B.P. — *Dochodzimy już do czasów biskupstwa Karola Wojtyły.*

M.L. — Jest koniec lat pięćdziesiątych. Z jednej strony w Kościele krakowskim bardzo wpływowe było w tym czasie środowisko duchownych, którzy jeszcze z nadania abp. Sapiehy byli kanonikami, ważnymi urzędnikami w kurii arcybiskupiej. Porządkowanie spraw przez abp. Eugeniusza Baziaka polegało między innymi na tym, że wprowadza on w ten układ zmiany pod wpływem docierających ze świata rozmaitych nowinek, które zapowiadają nieodległe zwołanie Soboru. Z wielu dokumentów, także tych sporządzonych na użytek SB, wynika, że Karol Wojtyła znajduje się w grupie duchowieństwa, która się tymi nowinkami interesuje.

B.P. — *W 1958 r. Karol Wojtyła zostaje biskupem. To już nie jest boczny tor. Staje się hierarchą Kościoła. Co na to bezpieka?*

M.L. — Od tego momentu, od lipca 1958 r. mamy znacznie więcej informacji bezpieki na jego temat. *Ř propos* jego powołania na funkcję biskupa — jest taka kolejna anegdota, wspomniana tylko w jednej biografii, dotycząca okoliczności tej nominacji, a właściwie wydarzeń, które rozegrały się wtedy w pałacu prymasowskim w Warszawie. Karol Wojtyła przebywał ze „środowiskiem” na Mazurach, na spływie kajakowym, dokąd dotarło wezwanie do pałacu prymasowskiego. Przyjechał niezwłocznie. Kard. Stefan Wyszyński był poirytowany tą sytuacją, gdyż dostał pismo z Watykanu informujące go o powołaniu mało znanego księdza Wojtyły na biskupa pomocniczego w Krakowie.

B.P. — *A na dodatek trudnego do uchwycenia, bo pływa po jeziorach.*

M.L. — Prymas był zobowiązany do poinformowania o nominacji i do odebrania zgody nominata na przyjęcie funkcji. Wyszyński ponoć przyjął Karola Wojtyłę z cha-

rakterystycznym dla siebie chłodem i powiedział mniej więcej coś takiego: „Przyszło pismo w sprawie księdza. Tutaj obok jest moja kaplica, więc jak ksiądz chce, to niech ksiądz tam idzie, ale ja daję księdzu tylko piętnaście minut, nie mam więcej czasu i Pan Bóg też nie ma więcej czasu dla księdza”. Wojtyła rzeczowo spytał: „Gdzie mam podpisać?”. Ta pewność siebie zbiła z tropu prymasa. Kiedy Karol Wojtyła podpisał dokument, prymas Wyszyński próbował jakoś podtrzymać kontakt i zapytał: „Co ksiądz teraz będzie robił?”. Wojtyła spokojnie odpowiedział: „Wracam na Mazury”. Być może jest to kolejna legenda, ale oddaje ona klimat towarzyszący powołaniu krakowskiego biskupa pomocniczego. Nie ulega wątpliwości, że ta nominacja w środowisku krakowskim została uznana za kontrowersyjną. Młody, jak na panujące wówczas obyczaje, trzydziestosiedmioletni ksiądz zostaje biskupem. Dzisiaj biskup czterdziestoletni nie jest niczym niezwykłym. W tamtych czasach to był szok. Poza tym jako naukowiec Karol Wojtyła był znany jedynie wąskiemu gronu studentów i współpracowników.

B.P. — *No, ale mieszkał w pałacu biskupim.*

M.L. — Jest taki dokument, kolejne doniesienie agenturalne, zawierające opis posiedzenia kapituły katedralnej, na której zaatakowany przez kanoników abp Baziak wyjaśnia motywy swojej decyzji o powołaniu nowego sufragana. Baziak tłumaczył się, że chciał „mieć biskupa do roboty, a nie do ozdoby, że ksiądz Wojtyła jest wykształcony w nowoczesnych kierunkach społecznych, zna komunizm i jemu ktoś taki jest potrzebny, zwłaszcza ze względu na Nową Hutę”. Wrzawa na posiedzeniu kapituły krakowskiej zakończyła się uchwaleniem składki na samochód dla nowego biskupa. Szacownemu gremium trudno jednak było pogodzić się z tym, że nominatem nie jest żaden czcigodny prałat, infulat czy inny dostojnik diecezjalny.

B.P. — *Kim była ta postać, która pisała raporty, i jak się tam dostała?*

M.L. — Agentem, zresztą nie jedynym, był duchowny, co więcej, na bardzo znaczącym stanowisku. Nie tylko w kurii krakowskiej, ale i w urzędach Episkopatu. Pisał bardzo obszerne doniesienia.

B.P. — *Wkładał w to duszę?*

M.L. — W dużej mierze tak, choć jest to dziwne, bo do współpracy został zmuszony. Nie chcę tego przesądzać, chociaż mam wiedzę o okolicznościach, w jakich został zwerbowany. Informuje o tym kilkudziesięciu notatka funkcjonariusza UB. Tajny współpracownik wykonywał swoje „obowiązki” przez kilkanaście lat.

B.P. — *Czy został zdekonspirowany przez Kościół?*

M.L. — Tego nie wiem. Mamy świadomość istnienia agentów w łonie Kościoła, choćby „Ptaśińskiej”, która była przez pewien czas w najbliższym otoczeniu prymasa Wyszyńskiego. Znany jest pseudonim tego tajnego współpracownika bezpieki, a właściwie dwa pseudonimy, którymi się posługiwał: „Żagielowski” i „Torano”. Nie był jedynym, ale chyba najwartościowszym z punktu widzenia operacyjnego. Swoje analizy i obserwacje pisał bardzo szczegółowo, obszernie i bardzo rzetelnie. Zapoznając się z tymi materiałami, zastanawiałem się, czy jest możliwe, że biskupi

podjęli swego rodzaju grę operacyjną, że był to agent w pewnym sensie prowadzony przez biskupów.

B.P. — *Czy to jest tylko pana domniemanie, czy są jakieś dowody, które by o tym świadczyły?*

M.L. — Są takie fragmenty, które być może nic nie znaczą, ale mogą skłaniać ku takiemu domniemaniu. To jednak wymaga bardzo wnikliwych badań, na razie nie można udzielić żadnej jednoznacznie brzmiącej odpowiedzi. Pomocne byłyby materiały zawarte w teczce pracy agenta oraz kurialne akta personalne, ale w archiwum kurii metropolitalnej obowiązuje zasada, że dopiero po pięćdziesięciu latach od śmierci osoby można udostępnić jej akta. Czy hierarchia kościelna ma świadomość, kto to był? Nie wiem. W świetle tych dokumentów, które posiada IPN, jego tożsamość jest oczywista.

B.P. — *Czy jego działalność narobiła dużo szkód?*

M.L. — Trudno to jednoznacznie ocenić. Jego donosy nie zawierały na przykład informacji, na podstawie których można by kogoś oskarżyć i skazać. To był raczej opis środowiska, opis niektórych wydarzeń. Niewątpliwie takie dane służyły bezpiece do prowadzenia gier i operacyjnych kombinacji. W pewnym okresie mogły one dotyczyć zarówno abp. Karola Wojtyły, jak i prymasa Wyszyńskiego.

B.P. — *Mówiliśmy o atmosferze towarzyszącej nominacji na biskupa dla Karola Wojtyły.*

M.L. — Tak. Środowisko było mało przychylne, tak to określmy. Obawiano się o to, jak ze swoich zadań wywiąże się tak młody, niedoświadczony i nieznany duchowny. Z dokumentów wynika, że wpływowo środowiska duchowieństwa krakowskiego były, jak już powiedziano, zaskoczone, chociaż argumentacja abp. Baziaka była mocna w obliczu nabrzmiewających problemów z budową kościoła w Nowej Hucie. Wydaje się, że wzniesienie tej świątyni stawalo się coraz mniej prawdopodobne. Stanowisko władz partyjnych w Krakowie, choć wiadomo, że one wykonywały w tej sytuacji polecenia centrali, było nieprzejdane. Nowa Huta to miało być socjalistyczne miasto, bardzo ważne pod względem propagandowym i ideologicznym. Decyzje władz były o tyle zaskakujące, że przecież w 1956 r. wydano zezwolenie na budowę kościoła, ze wskazaniem jego lokalizacji. Jednak odwilż minęła i stanowisko władz zaczęło się usztywniać. Abp Baziak był naciskany przez prymasa i episkopat, obawiający się, że sprawa kościoła w Nowej Hucie toczy się zbyt wolno i w zbyt trudnym do przewidzenia kierunku, że odwleka się możliwość prowadzenia duszpasterstwa w robotniczym środowisku. A dlaczego to było takie ważne dla episkopatu? Byłoby zbyt dużym uproszczeniem, gdyby stwierdzić, że to była światopoglądowa walka o dusze w socjalistycznym mieście.

To, co się działo w Nowej Hucie od początku budowy kombinatu, woła o pomstę do nieba. Zatrważający był stopień demoralizacji tej społeczności. Dość powiedzieć, że prostytutka, ukryta i jawna, sięgała tam kilkudziesięciu procent, a alkoholizm był niemal powszechny.

B.P. — *To patologie związane z wielką budową i przemieszczeniem ludności. Typowe zjawisko socjologiczne.*

M.L. — Oczywiście jest, że w tej sytuacji Kościół nie mógł zostać obojętny. Owszem, istniały parafie wiejskie na obrzeżach budującej się Nowej Huty, ale one nie mogły odegrać nowej roli. Trzeba było stworzyć z tej już kilkudziesięcioletniej społeczności parafię, która będzie normalnie funkcjonować i co więcej (tu wróć do doświadczeń Karola Wojtyły z Francji), która będzie wymagała nowych form pracy duszpasterskiej. Taka argumentacja abp. Baziaka, że jemu jest potrzebny biskup do Nowej Huty, jest bardzo przekonująca. Dodajmy, że Karol Wojtyła jako naukowiec zajmował się etyką, ale także socjologią, to właściwie był pierwszy obiekt jego zainteresowań. Był specjalistą i dlatego abp Baziak na niego liczył. Kiedy zawiodła strona organizacyjna i techniczna całego przedsięwzięcia związanego z budową świątyni, trzeba było zacząć robić to inaczej. Potrzebny był fachowiec, który, jeśli nie uda się zbudować fizycznie kościoła, będzie potrafił zbudować go w sensie duchowym. To była bardzo przekonująca argumentacja, ale powiedzmy sobie szczerze, nie bardzo zrozumiała dla niektórych duchownych otaczających abp. Baziaka.

B.P. — *W kwietniu 1960 r. rozpoczynają się w Nowej Hucie rozruchy związane z walką o krzyż.*

M.L. — Ludzie ustawili krzyż na placu budowy, zaczęło się organizować życie parafialne wokół tego krzyża i nagle nadeszła wiadomość, że na tym miejscu będzie zbudowana szkoła „tysiąclatka”. Przysłani przez władze robotnicy usiłowali ten krzyż wyrwać. Doszło do starć, do użycia broni, aresztowano przynajmniej kilkadziesiąt osób. Wszystko to działo się w kompletnie zdemoralizowanym środowisku. Oprócz faktycznych obrońców krzyża zaczęli pojawiać się także zwyczajni chuligani, przychodzący po to, by pobić się z milicjantami. Była to sytuacja bardzo dramatyczna.

I wtedy bp Karol Wojtyła podjął zaskakujące dla niektórych kurialistów decyzje. Abp Baziak był już poważnie chory i faktycznie Karol Wojtyła przejął rządy w diecezji. W sprawie Nowej Huty prowadził korespondencję z władzami państwowymi, z ówczesnym przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie Zbigniewem Skolickim. Taktyka biskupa była spójna. O spowodowanie zająć w Nowej Hucie oskarżył przedsiębiorstwo, które miało budować szkołę. Skierował przeciw niemu pozew do sądu. Władysław Gomułka doprowadziło to do wściekłości.

B.P. — *Dlaczego? Przecież to nie było podniesienie ręki na partię, ustrój czy choćby doktrynę.*

M.L. — Gomułka nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, być może liczył na to, że ze strony Kościoła posypią się oskarżenia pod adresem władzy, MO, a wtedy można by wykorzystać je do kolejnej akcji przeciwko polskiemu duchowieństwu. Dwa tygodnie po rozruchach, 15 maja odbywały się uroczystości z okazji Dni Hutnika połączone z obchodami dziesięciolecia Nowej Huty. Gomułka wygłosił przemówienie, w którym groził represjami duchowieństwu jako inspiratorowi zająć. Niektórzy

duchowni wpadli w panikę, obarczając równocześnie bp. Wojtyłę odpowiedzialnością za ewentualne fatalne następstwa wydarzeń nowohuckich. Karol Wojtyła wyszedł z tej batalii zwycięsko, mimo że był w niej niemal osamotniony. Jako biskup pomocniczy z niespełna dwuletnim stażem, stanął wobec problemu Nowej Huty. Był świadom tego, że przyglądają mu się kurialiści i inni biskupi w Polsce, ciekawi, jak on sobie z tymi trudnościami poradzi. Rozegrał tę sytuację perfekcyjnie. Spotkał się ze Skolickim, dwukrotnie. Zawarł z nim kompromis, sam zresztą wystąpił w tej sprawie z pismem. Zgodził się, by kościół stanął w innym miejscu. Skolicki to przyjął, postawił warunki: będzie zgoda na kościół w Nowej Hucie pod warunkiem zmiany lokalizacji i ustanowienia proboszczem tej parafii kogoś z księży-patriotów. Bp Karol Wojtyła zaakceptował i to. Lokalizacja była kwestią drugorzędą, gdyż nowe miejsce znajdowało się zaledwie o kilkaset metrów dalej. Biskup Wojtyła znalazł także proboszcza, o jakiego chodziło władzom.

B.P. — *Kolejne posunięcie, które wytrąciło przeciwnikowi broń z ręki. Kto to był?*

M.L. — To był członek Caritasu, ks. Józef Gorzelany. Był proboszczem jednej z większych parafii pod Krakowem. Ówczesny kierownik Wydziału do spraw Wyznań WRN w Krakowie Leon Król napisał czternastostronicową analizę, w której pokazał możliwe warianty rozwoju sytuacji po wypadkach w Nowej Hucie. W konkluzji zawarte jest stwierdzenie, że zgoda na budowę świątyni będzie chwilowym i pozornym zwycięstwem kościelnej hierarchii, a w ostatecznym efekcie władze osiągną swoje zasadnicze cele. Stało się dokładnie odwrotnie. We wspomnianym dokumencie jest opisana rozmowa ks. Gorzelanego z bp. Wojtyłą. Wojtyła wezwał go do siebie, wiedząc, że jest on uczestnikiem ruchu księży-patriotów. Gorzelany przyszedł na spotkanie z przeświadczeniem, że czeka go kolejna reprimenda ze strony biskupa, a tymczasem usłyszał, że Wojtyła proponuje mu objęcie nowohuckiej parafii. Zaskoczony, podejrzewał, że jest wpłatywany w jakąś grę, której sensu wówczas jeszcze nie rozumiał.

B.P. — *Zgodził się?*

M.L. — Wiedział oczywiście, że jest to niezwykle trudne zadanie, że po rozruchach w kwietniu 1960 r. wciąż wrze w nowohuckiej społeczności, że władze zablokowały środki pieniężne — około 2 mln ówczesnych złotych — zgromadzone na budowę kościoła. Wiedział też, jaki jest stosunek władz komunistycznych do sprawy nowohuckiego kościoła. Po kilku rozmowach bp Wojtyła przekonał go. Znowu sytuacja była niezwykła. Ksiądz, który deklaruje lojalność wobec komunistycznych władz, staje się wkrótce bohaterem walczącym przeciwko tej władzy. Zbudował ten kościół. Stanął u boku Karola Wojtyły i podjął wyzwanie. Być może dlatego, że Wojtyła nie zamierzał go rugać, jak to wielokrotnie wcześniej czynili inni duchowni, tylko powiedział: mam dla ciebie zadanie, będziesz proboszczem. We wspomnianym dokumencie pisanym przez urzędnika Wydziału do spraw Wyznań rysuje się obraz pewnej walki wewnętrznej toczzonej przez ks. Gorzelanego. Musiał on dokładnie zrelacjonować przebieg roz-

mów z biskupem i własne związane z tym refleksje i rozterki. Potem jednak nastąpiła w nim przemiana, zgodził się na objęcie probostwa i dążył do budowy kościoła z neofickim niemal zapałem. Komuniści znowu wpadli we wściekłość, gdyż sądzili, że ich pomysł na obsadzenie probostwa przez księdza „caritasowca” uniemożliwi budowę świątyni. Całą swoją frustrację obrócili przeciwko niemu, bo był w ich oczach zdrajcą. Ks. Gorzelany wykazał się niezwykle hartem – wybudował kościół, doprowadził do jego konsekracji w 1977 r. przez kard. Karola Wojtyłę i był jego proboszczem jeszcze przez wiele lat. Teraz jest już człowiekiem bardzo wiekowym. Wszystkie okoliczności powstawania parafii i budowy świątyni opisał w swojej książce autobiograficznej.

B.P. — *Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, ile heroizmu potrzeba było, aby zbudować kościół, z jak ogromnymi kłopotami, przede wszystkim natury administracyjnej i politycznej, było to związane.*

M.L. — Historia nowohuckiego kościoła pokazuje także niezwykle umiejętności Karola Wojtyły. Znowu dała znać o sobie idea księdza Cardijna, twórcy duszpasterstwa robotniczego. Dążenie do tego, aby duszpasterz bezpośrednio uczestniczył w życiu środowiska wielkoprzemysłowego, wyrażała się także tym, że metropolita krakowski Karol Wojtyła sprawował wszystkie pasterki i wszystkie rezurekcje wielkanocne w Nowej Hucie. Pod gołym niebem. Na placu budowy, w środku zimy, modliło się kilka tysięcy ludzi, robotników z Huty im. Lenina i ich rodzin. I oto z rozpasanego, demoralizowanego, przesiąkniętego alkoholem i patologiami środowiska przemienia się ono w społeczność najbardziej bojową i zintegrowaną w całej Małopolsce, z najsilniejszą „Solidarnością”. Ten ruch koncentrował się wokół kolejno wywalczonych nowohuckich parafii. To był owoc tego dzieła. Nie mniej burzliwa była historia parafii w Nowej Hucie–Mistrzejowicach.

B.P. — *Archidiecezja krakowska była dość trudna i zróżnicowana. Kraków ze starą inteligencją, Nowa Huta ze swoimi problemami, wierne Podhale, na które Karol Wojtyła zawsze mógł liczyć.*

M.L. — Podobnie jak na Wadowice czy Kalwarię Zebrzydowską. W tej sytuacji Wojtyła szczególnie podkreślał dwa kierunki swoich zainteresowań — młodzież, co widać od początku jego pobytu w Krakowie, i robotników.

B.P. — *Łącznie jak władza ludowa.*

M.L. — Tak właśnie. I to ma bardzo daleko idące konsekwencje. Jego zainteresowanie pracą z grupami młodej inteligencji zaczęło się w parafii św. Floriana, gdzie prowadził formację lekarzy i prawników. Ta działalność trwała nawet wtedy, gdy już został biskupem sufraganiem, a potem metropolitą krakowskim. Dostrzegła to bezpieka. W 1962 r. powstał kolejny dokument — doniesienie agenturalne opisuje spotkanie Karola Wojtyły z grupami młodzieżowymi z kręgów inteligenckich. Tajny współpracownik pisał, że wieczorami odbywają się w mieszkaniu bp. Wojtyły spotkania, połączone z wieczorkami towarzyskimi, że bywają tam inni duchowni, duszpasterze akademicki, że bp Wojtyła często prowadzi rozmaite konferencje dla tych grup.

Takie informacje pojawiają się dość często, aż wreszcie padło stwierdzenie, które jest bardzo znamienne dla całej sprawy. Agent pisał, iż w Krakowie mówi się, że biskup Wojtyła organizuje grupy młodzieżowe po to, aby stworzyć polityczne środowisko krakowskie, które z czasem w wyborach do Sejmu mogłoby reprezentować środowisko katolickie. Czyli niedwuznacznie sugerował, że Wojtyła tworzy partię polityczną. To kompletne nieporozumienie, ale pokazuje, jak władze komunistyczne postrzegały duszpasterstwo akademickie.

B.P. — *Właściwie na jedno wychodzi, czy to partia polityczna, czy duszpasterstwo, w każdej sytuacji było to dla nich zagrożenie.*

M.L. — Służba Bezpieczeństwa zaczęła się wobec tego bacznie tym spotkaniom przyglądać. Trzeba pamiętać, że najbardziej znanym w Krakowie miejscem, gdzie odbywają się takie spotkania, są krużganki klasztoru oo. Dominikanów. W jednej z analiz, sporządzonych przez Służbę Bezpieczeństwa w 1965 r., mówiącej o sytuacji w zgromadzeniach zakonnych Krakowa, dominikanom poświęcono bardzo dużo miejsca. Są tam też informacje o działaniach abp. Karola Wojtyły: o przywożeniu z zagranicy pieniędzy „dla akademików”, o nakładaniu na proboszczów dodatkowych zobowiązań na rzecz duszpasterstwa akademickiego, o przeznaczaniu na wsparcie tego duszpasterstwa także własnych, osobistych funduszy. To zaangażowanie Wojtyły w duszpasterstwo akademickie w Krakowie było rzeczą powszechnie znaną, ale SB patrzyła na to jak na bardzo poważne zagrożenie, bo to było organizowanie się młodzieży i angażowanie w nie znaczące środki finansowe.

To jeden aspekt. Drugi sięga poza kwestie współpracy arcybiskupa z akademickimi duszpasterstwami. W dokumentach SB zaczynają pojawiać się sugestie, że na tym tle rodzi się konflikt między kard. Wyszyńskim a kard. Wojtyłą. Znacznie upraszczając — władze zakładały, że prymas dawał priorytet Kościołowi masowemu, a metropolita krakowski większe znaczenie nadawał kształtowaniu elit. Dlatego, z punktu widzenia interesów komunistów, nie wolno było dopuścić do połączenia wysiłków obydwu hierarchów. Służba Bezpieczeństwa przystąpiła do rozgrywki. Coraz częściej zaczęły krążyć wieści o rzekomym konflikcie między Wojtyłą a Wyszyńskim. Mało tego, w tych dokumentach pojawiały się informacje, że Wojtyła dąży do usunięcia Wyszyńskiego ze stanowiska po to, by zająć jego miejsce. Wprost jest to powiedziane w donosie opisującym reakcje na nominację kardynalską Karola Wojtyły.

B.P. — *Jakież to nowe rewelacje z życia polskiego Kościoła ujawnia ten dokument?*

M.L. — Przede wszystkim jego autor podkreślał, że włączenie abp. Karola Wojtyły do kolegium kardynalskiego było kompletnym zaskoczeniem dla całego Krakowa. Wiadomość o konsystorzu, na którym Wojtyła miał otrzymać kapelusz kardynalski, nazwał szokiem. Opisywał reakcje zaskoczonego duchowieństwa, jakoby mało przychylne. Być może rzeczywiście niektórym starszym, zasłużonym duchownym trudno było oswoić się z myślą, że młody, bo zaledwie czterdziestosiedmioletni, arcybiskup

tak szybko wyniesiony został do godności kardynalskiej. Wspominano przy tym księcia Sapiechę, który na swoją nominację musiał czekać niemal do końca życia. Choć było wielce prawdopodobne, że prędzej czy później Karol Wojtyła, który w 1963 r. stał się metropolitą, arcybiskupem krakowskim, taką nominację otrzyma, gdyż od 1946 r., zgodnie z wolą Stolicy Apostolskiej, w Krakowie ordynariuszem był kardynał. Trudno więc uznać, że decyzja papieża Pawła VI była szokująca. W komentarzach zawartych we wspomnianym wcześniej doniesieniu uznano, że to jest polityczna gra Watykanu, służąca jednemu celowi, to jest usunięciu prymasa Wyszyńskiego. Władze PRL zakładały, że Watykan wie o wrogim wobec nich nastawieniu kard. Wyszyńskiego, uniemożliwiającym zawarcie korzystnego dla komunistów porozumienia. Watykan zaś widzi konieczność poprawnego ułożenia stosunków z obozem sowieckim. Po usunięciu Wyszyńskiego Wojtyła, jako jedyny oprócz niego kardynał w polskim episkopacie, zostałby prymasem i dzięki temu możliwe byłoby zawarcie porozumienia z rządem w Polsce. Rzecz jasna, że takie niedoinformowanie nie było zawarte tylko w dokumentach SB. Docierała ona przecież do innych biskupów i samego prymasa Wyszyńskiego. Mogło to wpływać i zapewne wpływało na atmosferę panującą w episkopacie, a była to oczywiście kolejna próba dezintegrowania polskich biskupów. Trudno na podstawie dotąd rozpoznanych materiałów SB zbudować pełną mapę gry operacyjnej, którą bezpieka prowadziła wobec prymasa Wyszyńskiego i kard. Wojtyły, ale dokumenty poświęcone Wyszyńskiemu i dokumenty poświęcone Wojtyłie zaczynają się uzupełniać i potwierdzać przyjmowane założenia. Nie było to przypadkowe. Realizowano zalecenie Stalina, sformułowane tuż po wojnie, kiedy rozważano kwestię metody rozprawienia się z Kościołem w Polsce. Stalin był świadom tego, że to nie jest tak proste jak w innych opanowanych przez niego krajach. Zalecał taktykę dzielenia Kościoła, w każdej możliwej sytuacji i na każdym tle. Takie salami, od którego odkrawa się cienkie plasterki. Po to choćby powstało środowisko księży-patriotów. W ramach takiej strategii próbowano także budować mur między obydwojema hierarchiami.

B.P. — *Czy w tych dokumentach jest jakiś ślad napięcia między kardynałem a prymasem?*

M.L. — Tak. Są takie informacje w analizach dotyczących zakonów. Wynika z nich, że prymas Wyszyński miał często do abp. Wojtyły pretensje o to, że pewne sprawy związane z zakonami rozwiązuje sam, bezpośrednio zwracając się do odpowiednich centralnych struktur zakonnych, a nie załatwia ich drogą służbową, za pośrednictwem Wydziału Spraw Zakonnych przy Sekretariacie Prymasa Polski. W tych dokumentach dość często pojawia się taka informacja, że Wyszyński miał za złe Wojtyłie, iż ten działał zbyt samodzielnie, bez konsultacji z nim. Był to element gry operacyjnej, którą SB prowadziła po to, by poróżnić prymasa Wyszyńskiego z zakonami.

Natomiast nie ma we wspomnieniach, opracowaniach biografów, relacjach ludzi uczestniczących w tych wydarzeniach znaczących świadectw jakichś istotnych kon-

fliktów pomiędzy prymasem i metropolitą krakowskim. Wręcz przeciwnie. Podkreśla się, że zwłaszcza poza granicami Polski, na sesjach Vaticanum II, występowali razem. Karol Wojtyła miał na Soborze znacznie większe możliwości komunikowania się, dlatego choćby, że z łatwością posługiwał się kilkoma językami. Stefan Wyszyński znał oczywiście łacinę, włoski i francuski, ale na ogół korzystał z pomocy tłumacza. Nie przeszkadzało im to w podejmowaniu wspólnych inicjatyw i działań na soborowym forum, to zaś także świadczy o zaufaniu. Tworzenie wokół nich atmosfery wzajemnego konfliktu było więc, być może, prowadzoną przez aparat władzy grą.

B.P. — *Czy wśród komunistycznych notabli, w elitach władzy byli tacy, którzy traktowali Karola Wojtyłę jako potencjalnego partnera, czy próbowano go kłopotować, a w końcu i wykorzystywać?*

M.L. — To bardzo ważne pytanie. Zanim odpowiem na nie bezpośrednio, przypomnę, że Kraków swoją specyfikę zachował również w okresie PRL. Władza komunistyczna, chcąc w Krakowie rządzić nie tylko za pomocą terroru, musiała zaakceptować jego realia. Na początku biskupiego urzędowania Karol Wojtyła wykonał kilka niekonwencjonalnych gestów, które postawiły władze krakowskie w niełatwej sytuacji. W 1962 r. przeprowadzano w Krakowie akcję laicyzacji przedszkoli prowadzonych przez zakonnice. W dziewięciu z nich znajdowały się kaplice z Najświętszym Sakramentem. Bp Karol Wojtyła zgodził się na wyprowadzenie *Sanctissimum* z tych kaplic, sporządzając jednocześnie memoriał skierowany do władz w Warszawie, w którym zawarł oskarżenia o łamanie praworządności. Ogłosił także list pasterski zawierający informację o likwidacji klasztornych przedszkoli i apelujący o pomoc dla sióstr. Niemal w tym samym czasie władze zażądały przekazania jednego z budynków Wyższego Seminarium Duchownego dla Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Prowadzona w tej sprawie urzędowa korespondencja nie przyniosła żadnych rozwiązań. W tej sytuacji bp Wojtyła prosił o spotkanie z ówczesnym I sekretarzem KW PZPR w Krakowie Lucjanem Motyką. Wydarzenie niezmiernie rzadkie – biskup przychodzący do siedziby PZPR i spotykający się z I sekretarzem. Spotkanie doprowadziło do kompromisu, w wyniku którego połowę budynku przejęła WSP, a reszta została w dyspozycji seminarium. Bp. Wojtyła pozostało tylko uzasadnić swoją decyzję przed krakowskim duchowieństwem. Posłużył się statystyką, z której wynikało, że na jednego studenta WSP przypada kilkadziesiąt razy mniej miejsca niż na jednego seminarzystę. Zatem, powodowany wyłącznie troską o warunki nauki studentów, postanowił zgodzić się oddać część budynku seminarium duchownego. Zachwyt ówczesnych władz sformułowany w dokumentach był szczerzy i autentyczny.

Jest taka analiza sporządzona po pierwszych dwóch latach sprawowania przez Karola Wojtyłę urzędu arcybiskupa, która zawiera liczne komplementy pod adresem metropolity. Postrzegany jest jako człowiek o wielkiej kulturze, podejmujący każdy temat, rozumiejący rozmaite uwarunkowania i potrzeby. Oczywiście, czasem zmienia się obraz Karola Wojtyły, wygenerowany przez krakowskie władze. Można bowiem

zakładać, że jego pozorna uległość była owocem kalkulacji. Wiedział, że uporem wiele nie osiągnie. Ale miał także świadomość, że aparat komunistyczny może tę pozorną ustepliwość wykorzystywać i próbować zwrócić przeciw niemu część duchownych, sugerując brak skuteczności w walce o interesy Kościoła. Wojtyła na początku swojej posługi arcybiskupiej miał świadomość, że dla części duchowieństwa jest on ciągle postacią trudną do zaakceptowania.

B.P. — *Skąd brała się ta świadomość, jakie fakty o tym mówiły?*

M.L. — Za dowód niech posłuży opis sytuacji, który pochodzi z kolejnego dokumentu opartego na informacjach tajnego współpracownika SB. Młody biskup Wojtyła zwołał kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1959 r. spotkanie dziekanów i prowadził dla nich konferencję o nowych formach duszpasterstwa. Wspomnił o sugestii prymasa, by nadchodzącym, organizowanym przez władze hucznym balom sylwestrowym przeciwstawić odprowadzanie o północy Mszę św. kończącą stary i rozpoczynającą nowy rok. Omówił problematykę misji w parafiach i napomknął o propozycji papieża, by tegoroczny post wigilijny przełożyć z czwartku na środę. Wywołało to ponoć niemal bunt zgromadzonych duchownych. Nawet sporządzający raport tajny współpracownik konstatował, że oni go w ogóle nie zrozumieli. Nie dlatego, że mówił niezrozumiałym językiem, ale dlatego, że mówił o sprawach nie mieszczących się w głowie księży ukształtowanych przed wojną, w zupełnie innych warunkach społecznych. Nowe koncepcje pracy duszpasterskiej, nieśmiało jeszcze propozycje reformy liturgicznej, które są zwiastunami ruchu soborowego, były dla części konserwatywnego krakowskiego duchowieństwa niemal heretyckie. Oni naprawdę tego nie rozumieli. Bariera pokoleniowa była bardzo wysoka, a Karol Wojtyła miał tego świadomość. Dokonując zmian kadrowych w kurii krakowskiej, budował swoje środowisko, co do którego mógł mieć nadzieję, że w przyszłości będzie konsekwentnie wprowadzało zmiany soborowe. W takiej sytuacji musiał popaść w drobne konflikty z częścią duchownych, która czuła się odsuwana na boczny tor. Takie były realia i koszty przygotowania soborowych reform, także w Kościele polskim tamtych czasów.

B.P. — *Powróćmy do stosunku władz do metropolity krakowskiego.*

M.L. — Należy zauważyć, to wynika także z urzędowej korespondencji, którą prowadził na przykład z przewodniczącym Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, że odczuwa się w tych stosunkach wzajemny szacunek. Z pism Wojtyły widać niejednokrotnie pewne dobroduszne poczucie wyższości, ale na pewno nie lekceważenie. Natomiast przedstawiciele władz państwowych traktowali go z wyraźną estymą. W czasie krakowskiej batalii o procesję Bożego Ciała Aleksander Merker, jeden z dyrektorów w Urzędzie ds. Wyznań, miał powiedzieć do emisariuszy Wojtyły, że procesja powinna iść z Wawelu na Rynek, bo kardynała należy inaczej traktować niż biskupa czy arcybiskupa. To było w 1968 r. Ten nieukrywany respekt dla kard. Karola Wojtyły wynikał poniekąd z tego, że władze były świadome wspomnianej wcześniej specyfiki Krakowa. Uniwersytecki i artystyczny charakter miasta powodował, że nie

sposób było nie okazywać szacunku księdzu profesorowi, kardynałowi metropolie na dodatek. Tu nikt nigdy nie pozwoliłby sobie na opinię, którą kiedyś podobno wygłosił Stanisław Kania, że Wojtyła to człowiek nadęty pychą. Może w centrali PZPR budził jakieś odruchy niechęci, ale w Krakowie nikt oficjalnie czegoś takiego by nie powiedział. W zbiorze archiwaliów krakowskiego Wydziału do spraw Wyznań znajduje się dokument pochodzący z listopada 1972 r., relacjonujący spotkanie Wojtyły z przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej. Przebieg tego spotkania, nawet w relacji urzędowej, daje wiele do myślenia. Zostało ono zainicjowane przez kard. Karola Wojtyłę i miało być poświęcone powoływaniu kleryków do wojska. Przewodniczący WRN próbował wykorzystać je do swoich potrzeb i sprowadzić rozmowę na inne tematy, ale kard. Wojtyła stanowczo się temu sprzeciwił, ponieważ to nie zostało wcześniej z nim uzgodnione. Po prostu potraktował ich z dystansem, wyznaczając sztywne granice, których nie pozwalał przekraczać. Jeżeli korespondował, to wyłącznie albo z I sekretarzem, albo z przewodniczącym WRN. Na niższym poziomie kontakty prowadzili urzędnicy kurialni. To budziło szacunek, choć można w dokumentach dostrzec, że opinia o nich stopniowo się zmieniała. Kard. Karol Wojtyła stawał się dla władzy komunistycznej coraz większym problemem, być może w którymś momencie większym niż prymas Stefan Wyszyński.

B.P. — *Dostrzeżono w nim być może wielką wewnętrzną siłę. Co o okresie kardynalskim mówią akta, które pan oglądał?*

M.L. — Nie mam jeszcze dobrego rozeznania w aktach związanych z późniejszym okresem. Jeżeli chodzi o okres kardynalski, to przytoczyłem opinie formułowane tuż po nominacji. Czy są jakieś materiały operacyjne dotyczące już papieża Jana Pawła II? Przywołam informację prasową sprzed kilku miesięcy, mówiącą o tym, że zeznający na procesie jednego z generałów SB świadek, były funkcjonariusz SB, miał powiedzieć, że po 16 października 1978 r. skierowano z MSW do Krakowa polecenie przekazania wszystkich materiałów operacyjnych związanych z Karolem Wojtyłą do centrali. Jak się należy domyślać, do dalszego wykorzystania operacyjnego. Należy jednak pamiętać, że zmieniła się zdecydowanie przestrzeń, w której przyszło działać służbom. Wydaje się nieprawdopodobne, by po konklawe nie zaczęto badać tych materiałów pod kątem ewentualnego wykorzystania ich do celów operacyjnych. Ja nie napotkałem dotąd żadnych dokumentów związanych z okresem po 1978 r.

B.P. — *Nawet ich nie znając, możemy mieć pewność, że służby bardzo intensywnie inwigilowały środowisko związane z Janem Pawłem II.*

M.L. — Z pewnością, zwłaszcza że zachowały się bardzo dokładne sprawozdania z kazań wygłaszanych przez Karola Wojtyłę. One były cały czas słuchane i analizowane. Bez wątpienia było tak również podczas jego wizyt papieskich w Polsce. Zawsze funkcjonowała plotka o agencie wysoko ulokowanym w strukturze Stolicy Apostolskiej. Czy była prawdziwa? Być może odpowiedź znajduje się w naszych archiwaliach, w archiwach STASI lub w Moskwie.

B.P. – *Czy natrafił pan na ślady jakichś prowokacji wobec Karola Wojtyły?*

M.L. – Była próba, chyba skuteczna, ulokowania pod koniec lat siedemdziesiątych agenta, jako cywilnego pracownika kurii krakowskiej, związanego, mimo niemłodego już wieku, z rodzącym się Studenckim Komitetem Solidarności. Czy planowano jednak jakieś prowokacje wobec samego Ojca Świętego? Katowicki Oddział IPN zorganizował promocję kolejnego tomu leksykonu represjonowanego duchowieństwa, podczas której prof. Andrzej Witkowski z lubelskiego Oddziału IPN wygłosił referat o represjach wobec duchowieństwa. Wspomnił również o prowokacji, której celem było wywołanie skandalu obyczajowego dotyczącego papieża. Chodziło o korespondencję kard. Karola Wojtyły z jedną z mieszkanek Krakowa, korespondencję rzekomo kompromitującą, którą miano odnaleźć w mieszkaniu ks. Andrzeja Bordeckiego, asystenta kościelnego „Tygodnika Powszechnego”.

To wszystko są jednak na razie bardzo wątpliwe poszlaki, nie pozwalające na robienie jakichkolwiek uogólnień. Mogę jedynie w miarę odpowiedzialnie wypowiadać się na temat zawartości zbiorów archiwalnych, dotyczących lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Jest to zresztą bardzo interesujący materiał, uzupełniający często naszą stosunkowo skromną wiedzę o życiu Karola Wojtyły w tamtych latach.

B.P. – *A przy tym zapowiadający to, co stało się później.*

M.L. – Życie Karola Wojtyły zaczyna jawić się jako logiczny ciąg zdarzeń, których znaczenie jest także odzwierciedlone w dokumentach wyprodukowanych przez aparat bezpieczeństwa. Te dokumenty wskazują także na fakty, stanowiące nieraz źródło późniejszych wydarzeń prowadzących do upadku systemu komunistycznego. To, co dla biografów wydawało się dotychczas mało istotne lub przez nich nierozpoznane, nabiera w świetle dokumentów bezpieki nowego, nieraz zasadniczego znaczenia. Ot, taki swoisty paradoks.

WOJNA I POLITYKA

Z Waldemarem Grabowskim

B.P. — *Jakie były nastroje i realia życia społeczeństwa polskiego w czasie ponadpiętnastoletniej wojny?*

W.G. — To jest dość trudne do opisanie, bo jest to zagadnienie bardziej z dziedziny socjologii niż historii. Istnieją fragmentaryczne badania opisujące funkcjonowanie społeczeństwa, na przykład życie mieszkańców wsi, straty ludności wiejskiej i represje okupanta w stosunku do niej. Oczywiście były prowadzone badania historyczne i ukazały się publikacje na temat ludności poszczególnych miast, na przykład *Okupowanej Warszawy dzień powszedni* prof. Tomasza Szaroty i podobne publikacje dotyczące innych miejscowości, ale są to badania wycinkowe.

B.P. — *Ale i na tej podstawie można opisać, w jak różnych warunkach przeżywano wojnę i okupację.*

W.G. — Te warunki były różne na trzech podstawowych obszarach II Rzeczypospolitej podzielonych przez okupantów. Po pierwsze były ziemie zachodnie włączone do III Rzeszy. Dążono do niemieczenia tych ziem, wysiedlano ludność polską, masowo wpisywano na niemiecką listę narodowościową, likwidowano polskie szkoły i polskie życie społeczne. Z drugiej strony mamy ziemie włączone do Związku Sowieckiego, gdzie przeprowadzano deportacje i rუსyfikację ludności. Najlepsze stosunkowo warunki dla Polaków panowały na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Celem polityki niemieckiej było tu stworzenie wielkiego obozu pracy. Te lepsze warunki wynikały z pragmatyki okupanta i chęci uzyskania jak największych korzyści dla gospodarki niemieckiej. Trzeba było zatem stworzyć ludziom w miarę znośne — przynajmniej w porównaniu z ziemiami wcielonymi do Rzeszy — warunki nie tylko w sferze bytowej, ale również społecznej. Dlatego mogło funkcjonować podstawowe i zawodowe szkolnictwo polskie. A jeśli uwzględnić jeszcze działanie tajnego szkolnictwa polskiego, to możemy powiedzieć, że oświata pod okupacją niemiecką w miarę nieźle funkcjonowała. Polacy pracowali w urzędach, co stwarzało możliwości przetrwania, a także umożliwiało śledzenie poczynąń okupanta. Ponieważ Niemcy mieli coraz większe problemy z zaopatrzeniem w żywność, byli również zainteresowani tym, by wieś funkcjonowała i produkowała jak najwięcej. Nałożono na nią wysokie kontyngenty.

B.P. — *Czy to zróżnicowanie warunków bytowania znajduje odzwierciedlenie w zróżnicowanym poparciu dla struktur wojskowych Polski Walczącej i ich aktywności?*

W.G. — Oczywiście, te stosunkowo najlepsze warunki życia codziennego owocowały tym, że najsilniejsze struktury konspiracji wojskowej i cywilnej były właśnie w Generalnym Gubernatorstwie. Na obszarze ziem wschodnich do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. nie stworzono komendy okupacji sowieckiej Związku Walki Zbrojnej. Kolejne próby jej zorganizowania były rozbijane aresztowaniami. Struktury ZWZ powstały także na terenach włączonych do III Rzeszy.

B.P. — *Na wschodzie istniały oddziały partyzanckie.*

W.G. — O oddziałach partyzanckich możemy mówić w odniesieniu do lat 1939–1940. Były one kontynuacją kampanii polskiej 1939 r. Działy na terenach wschodnich nawet do czerwca 1941 r., jak np. oddział dowodzony przez ppłk. Józefa Dąbrowskiego („Tyka”) czy por. Jana Skroba („Puszczyk”). Ale takie oddziały istniały także na Kielecczyźnie. To tu właśnie do 30 kwietnia 1940 r. dowodził „oddziałem wydzielonym” w WP mjr Henryk Dobrzański („Hubal”). Pomimo śmierci dowódcy oddział istniał nadal. Dopiero po kapitulacji Francji został rozwiązany 25 czerwca. W tym czasie ZWZ był organizacją kadrową. Na poszczególnych szczeblach struktury organizacyjnej tworzone dowództwa i przygotowywano kadre po to, by później można je było szybko rozbudowywać. Trzeba rozróżnić sytuację, jaka istniała do maja 1940 r. Od 1939 r. wydawało się, że dość szybko nastąpi interwencja aliantów — Francji i Anglii — i Niemcy zostaną pokonane. Takie przekonanie wyrażała przynajmniej część kadry oficerskiej w kraju i ośrodki polskie we Francji. Stąd wziął się pomysł, że w kraju właściwie potrzebna jest tylko konspiracja wojskowa, przygotowująca wystąpienie zbrojne w momencie otwartego konfliktu aliantów z Niemcami. Do początku 1940 r. nie widziano konieczności tworzenia konspiracji cywilnej. Rząd przebywający w Paryżu planował powołanie sieci mężów zaufania w poszczególnych większych ośrodkach, takich jak Poznań, Warszawa, Kraków. Miały to być osoby przekazujące informacje o tym, co się dzieje na danym terenie. Nie planowano tworzenia bardziej rozbudowanych struktur. Jeżeli mówimy o konspiracji cywilnej i przedstawicielu rządu w okupowanym kraju, to przypomnijmy dekret z 1942 r. o tymczasowej organizacji władz w kraju, stanowiący, że Delegat Rządu, którego mianowano w grudniu 1940 r. i już funkcjonował, wystąpi jawnie i jego praca zacznie się na dobre w momencie powstania powszechnego. Nie było w tym dekreście mowy o jakichś konkretnych strukturach organizacyjnych. Dopiero Polityczny Komitet Porozumiewawczy wspólnie z Delegatem Rządu przygotował poprawki do tego dekretu, które zostały zaakceptowane przez rząd, co doprowadziło w efekcie do stworzenia aparatu tajnej administracji w kraju.

Wracając do konspiracji wojskowej, należy zaznaczyć, że największe osiągnięcia Związków Walki Zbrojnej i następnie Armia Krajowa odnotowały w Generalnym Gubernatorstwie, które miało być przyszłą bazą powstania powszechnego. Z ziem za-

chodnich do powstania planowano włączyć Śląsk i Łódź, natomiast jeśli chodzi o tereny wschodnie, sytuacja była bardzo skomplikowana ze względu na słabość konspiracji. Mimo polepszenia się warunków jej działania po zajęciu tych terenów w 1941 r. przez Niemców, pomimo jej znacznej rozbudowy, wciąż była słabsza. Dodatkowo rozwój sił zbrojnych utrudniały konflikty narodowościowe. Konspiracja musiała zajmować się też ochroną ludności polskiej tam, gdzie były poważne problemy narodowościowe: na Wołyniu, w województwie łwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim. Na inną skalę, ale podobne konflikty występowały w województwie wileńskim i nowogródzkim. Najmniej dawały one o sobie znać na Polesiu, ale tam konspiracja była w ogóle najsłabsza, bo niewiele było tam ludności polskiej. Do tego należy dodać nasilające się, zwłaszcza po zerwaniu stosunków między rządami sowieckim i polskim, walki między partyzantką polską i sowiecką. Tamtejsze siły polskiej konspiracji nie były zatem w stanie przeprowadzić powszechnego powstania, a to uniemożliwiało ich włączenie do bazy powstania. Zresztą nawet w GG były takie problemy, jak kwestia Lwowa, gdzie planowano skierować oddziały z czysto polskich terenów. Zdawano sobie jednak sprawę, że wówczas może być za późno, że konflikt polsko-ukraiński, który wtedy może wybuchnąć na tych ziemiach, doprowadzi do częściowej zagłady ludności polskiej, do częściowego wypędzenia i przymusowej ewakuacji na zachód. Z Wilnem sprawa była jeszcze bardziej skomplikowana z uwagi na odległość od bazy powstania. Potwierdzeniem względnej słabości polskiej konspiracji na tych terenach jest efekt operacji „Ostra Brama”. Struktury AK Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego podjęły próbę opanowania Wilna i poniosły porażkę. Podobnie było we Lwowie. Obydwa miasta zostały zajęte przez oddziały Armii Czerwonej przy pewnej współpracy AK.

Idea powstania powszechnego była aktualna od samego początku tworzenia ZWZ i nigdy nie upadła. Musiała jednak ulec zmianie pod wpływem wydarzeń zarówno międzynarodowych, jak też następujących na Kresach Wschodnich.

B.P. — Powstanie ogłoszono w Warszawie.

W.G. — Zaszły pewne zmiany w założeniach przeprowadzenia powstania powszechnego. Jeżeli chodzi o nastawienie do powstania i struktury konspiracyjnej, trzeba podkreślić, że do czerwca 1940 r. komenda główna ZWZ znajdowała się nie w kraju, lecz w Paryżu. Dopiero klęska Francji spowodowała, że generał Stefan Rowecki został komendantem głównym ZWZ-AK z siedzibą w Warszawie. Po klęsce Francji nastąpiła pewna zmiana orientacji, uznano, że trzeba nastawić się na długi okres okupacji. Wtedy wstrzymano przyjmowanie nowych członków. ZWZ pozostał organizacją kadrową, która utrzymywała kontakt z najróżniejszymi organizacjami konspiracyjnymi (później będzie prowadzona akcja scaleniowa, praktycznie aż do Powstania Warszawskiego). W latach 1940–1941 dowództwo ZWZ utrzymywało kontakty z różnymi organizacjami, z pewną rezerwą w tych kontaktach. Nie rozbudowywało tej organizacji, bo już wtedy było wiadomo, że okupacja potrwa kilka lat. Idea powstania była cały czas aktualna, ale nikt sobie nie wyobrażał, że wybuchnie ono w 1941 czy 1942 r. Planowano, że na-

stąpi to w momencie załamania się Niemców. Nawiązywano tym samym do wydarzeń, które rozegrały się w 1918 r. – najpierw Niemcy zostali pobici na zachodzie. Na terenach wschodnich rozwiązanie uzależniano od tego, jak będzie tam wyglądała sytuacja militarna. Wyobrażano sobie, że tak jak w czasie pierwszej wojny światowej Związek Sowiecki zostanie pokonany, nie będzie w stanie pójść na zachód, a siły niemieckie na froncie wschodnim będą stanowiły niejako zaporę dla Sowietów. Przygotowywano także polską osłonę od wschodu – „Wachlarz”. Na plany powstania miały wpływ polityka mocarstw i wydarzenia międzynarodowe: wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, podpisanie układu Sikorski-Majski, formowanie armii gen. Władysława Andersa w Związku Sowieckim. W tym okresie wydawało się, że nawet w przypadku pokonania Niemców przez Sowietów sytuacja nie będzie taka groźna. Mielśmy armię u ich boku, która wkroczyłaby do Polski. A może nawet Sowietci zechcieliby zatrzymać się na naszej granicy, a wszedłby tylko Anders. Oczywiście te plany ulegały zmianie, bo armię Andersa wyprowadzono do Iranu, później ujawniono zbrodnię katyńską i nastąpiło zerwanie stosunków polsko-sowieckich. Zaczął się dramat. W momencie zerwania stosunków i późniejszych próbach ponownego ich nawiązania perspektywa wyglądała tak – na ziemię polskie wkroczy armia państwa, które nie utrzymuje z nami stosunków dyplomatycznych, nie uznaje naszego rządu, a na swoim terytorium ma Polaków, których inspirował do tworzenia struktur partyjnych i społecznych nie uznających legalnego rządu polskiego przebywającego w Londynie.

B.P. – *W kraju powstała PPR.*

W.G. – Zaczęły się rozmowy z innymi organizacjami konspiracyjnymi na temat tworzenia wspólnego, szerszego frontu społecznego, który akceptowałby idee lansowane przez Moskwę. Trzeba powiedzieć, że z tym problemem ani rząd polski, ani władze konspiracji krajowej nie potrafiły sobie poradzić. Oczywiście wpływ na to miała polityka aliantów zachodnich, którzy kierując się własnymi celami wojennymi, utrzymywali bardzo dobre stosunki ze Stalinem, a także sytuacja wojenna. Do czerwca 1944 r. Rosja brała na siebie największy ciężar, jeżeli chodzi o prowadzenie wojny na terenie Europy. Pozostali alianci mieli fronty wojenne w różnych częściach świata, w Afryce, na Pacyfiku i tam musieli walczyć z Niemcami, Włochami i Japonią. Cały czas istniało także niebezpieczeństwo, że dojdzie do porozumienia niemiecko-sowieckiego mimo toczącej się wojny. W związku z tym alianci zachodni udzielali wszechstronnej pomocy Rosji, zainteresowani tym, żeby jak najwięcej strat Niemcy ponieśli na froncie wschodnim. Władze polskie okazały się właściwie bezradne w tej sytuacji. Teoretycznie mogły one zaakceptować ustalenia konferencji w Teheranie z listopada-grudnia 1943 r., gdzie przywódcy koalicji antyniemieckiej przyjęli wniosek Rosji, że wschodnia granica Polski zostanie przesunięta na zachód. Podstawą jej wyznaczenia miała być linia Curzona. Spierano się jeszcze na przykład o Lwów, ponieważ nie było wiadomo, po której stronie granicy się znajdzie. Generalnie alianci w końcu 1943 r. zgodzili się z tym, że granice Polski z 1939 r. będą zmienione. Zaraz po Teheranie zaczęły się na-

ciski Anglików na rząd polski, aby przyjął on linię Curzona za podstawę wytyczenia granicy wschodniej. Reakcja na to była zdecydowana – ani rząd w Londynie, ani władze konspiracji krajowej nie zgodziły się na to, żeby linię Curzona uznać za ostateczną granicę. Ich stanowisko wynikało z prostego rozumowania – wojna wybuchła w 1939 r. w Polsce, od początku walczyliśmy z Niemcami i wojna nie może skończyć się utratą połowy terytorium II Rzeczypospolitej.

B.P. – *Jaka była geneza linii Curzona?*

W.G. – Kwestia ta wiąże się z ustaleniem wschodniej granicy Polski po pierwszej wojnie światowej. Jej przebieg został tymczasowo przyjęty 8 grudnia 1919 r. przez Radę Najwyższą Sprzymierzonych. W lipcu 1920 r., kiedy wojska bolszewickie zbliżały się do Warszawy, podobną propozycję przedstawił na konferencji w Spa brytyjski minister spraw zagranicznych George Nathaniel Curzon. Propozycja jednak stała się bezprzedmiotowa po „cudzie nad Wisłą”. Granica polsko-sowiecka została ostatecznie wyznaczona w traktacie ryskim z 18 marca 1921 r. Do idei linii Curzona powrócili Rosjanie w okresie drugiej wojny światowej. Znalazło to wyraz w ustaleniach konferencji w Teheranie i następnie w Jalcie (4–11 lutego 1945 r.).

B.P. – *Wróćmy do okresu zerwania stosunków polsko-sowieckich.*

W.G. – Polacy starali się za pośrednictwem Anglików i Amerykanów doprowadzić do porozumienia z Rosją Sowiecką, ale Rosjanie nie byli zainteresowani. Powstał Związek Patriotów Polskich w Moskwie, a w kraju Krajowa Rada Narodowa. Jeszcze trzeba wspomnieć o śmierci gen. Władysława Sikorskiego, z którym i Anglicy, i Rosjanie podjęli pewne ustalenia czy zobowiązania. Zabrakło osoby, która te rozmowy prowadziła. W 1943 r. Rosjanie byli nastawieni na realizację swojego planu. Starali się jak najbardziej zminimalizować znaczenie rządu polskiego w Londynie, praktycznie otwarcie dążyli już do utworzenia komitetu narodowego, który występowałby w imieniu narodu polskiego. To im się powiodło. W końcu 1943 r. kierownictwo konspiracji krajowej zmieniło plany powstania powszechnego. Nie ma już mowy o powstaniu powszechnym, zaczyna się realizacja planu „Burza”. Miał on polegać na podjęciu wystąpień zbrojnych Armii Krajowej w momencie, kiedy wojska niemieckie będą się wycofywały z danego terenu. Ważną zmianą była decyzja o prowadzeniu tych działań nierównocześnie na terenie całego kraju. Dowództwo główne Armii Krajowej upoważniło komendantów okręgów do uruchamiania „Burzy” w odpowiednim momencie. Realizacja „Burzy” zaczęła się na terenach wschodnich. Trzeba przypomnieć, że w styczniu 1944 r. Armia Czerwona przez granicę polską z 1939 r. wkroczyła na teren II Rzeczypospolitej. Podczas „Burzy” przynajmniej częściowo ujawniała się tajna administracja polska, czyli okręgowi i powiatowi delegaci rządu, zarządy i burmistrzowie miast, wójtowie. Wydarzenia przebiegały według jednego schematu. Pierwsze dni „Burzy” – to zgoda czołowych oddziałów radzieckich na funkcjonowanie polskiej administracji i ujawnienie oddziałów Armii Krajowej. Sytuacja taka trwała przeważnie kilka dni. Następnie wkraczały siły bezpieczeństwa Armii Czerwonej i NKWD

i zaczynało się rozbieranie żołnierzy AK, przymusowe wcielanie ich do armii gen. Zygmunta Berlinga. Ujawniona polska administracja, a w każdym razie czołowi jej działacze, przeważnie była aresztowana. Władzę w miastach obejmowali komendanci sowieccy. Tak ta sytuacja wyglądała na wschodzie do linii Bugu, po jego przekroczeniu było trochę inaczej, bo przybywał jeszcze jeden członek w grze politycznej: władze mianowane przez PKWN. 27 lipca 1944 r. PKWN zawarł oficjalną umowę z władzami sowieckimi o przekazaniu ziem wschodnich Związкови Sowieckiemu. Na zachód od Bugu PKWN zaczął tworzyć własną administrację, ale równocześnie oddał sprawę sądownictwa na zaplecze frontu w ręce sowieckie.

B.P. — *Chcę sobie to jakoś wyobrazić. Przecież jednak istnieją polskie, legalne władze, Polskie Państwo Podziemne i jego struktury cywilne. Jak to jest, że przedstawiciele PKWN mogą przejąć władzę?*

W.G. — W dalszym ciągu w ten sam sposób: przez aresztowania wśród przedstawicieli administracji montowanej przez Delegaturę Rządu, choć na początku próbowano z nimi rozmawiać. Można zakładać, że to były rozmowy, które umożliwiały w pierwszym momencie podjęcie jawnej działalności przez administrację Delegatury. Służyły jednak także temu, żeby ujawniły się struktury zależne od Delegatury. Delegat powiatowy powoływał burmistrza miasta powiatowego, zaczynały działać różne instytucje, w wielu wypadkach ujawniła się policja, czyli Państwowy Korpus Bezpieczeństwa. Taka sytuacja trwała kilka dni. Nowe władze miały już wtedy doskonale rozeznanie oraz informacje od konspiracji komunistycznej i sowieckich oddziałów partyzanckich działających na terenach polskich, które w dużej mierze zajmowały się rozpracowywaniem polskiej konspiracji. W takiej sytuacji i Sowiet, i PKWN mieli jasny obraz, kto jest związany z konspiracją, jak wtedy mówiono, londyńską. Po kilku dniach przystępowano do aresztowania najważniejszych jej przedstawicieli.

B.P. — *Ale było wiele takich incydentów. Wiadomości musiały docierać do innych miejsc, nie wszyscy wobec tego musieli dać się zaaresztować.*

W.G. — To właśnie jest problem, przed którym stanęły naczelne władze konspiracji w kraju. W 1944 r. władze krajowe nabierają coraz większego znaczenia, bo rząd w Londynie wyczerpał swoje możliwości działania. Nie jest w stanie poprawić sytuacji w Polsce. Przede wszystkim nie jest w stanie doprowadzić do ułożenia stosunków z ZSRR. Premier Stanisław Mikołajczyk udał się do Moskwy, rozmawiał ze Stalinem, to się działo w przeddzień i w trakcie Powstania Warszawskiego. Przebieg tych rozmów ukazał, że nie było możliwości nawiązania poprawnych stosunków rządu w Londynie ze Stalinem. Coraz większe znaczenie miały władze krajowe, chociaż i one nie bardzo widziały wyjście z tej sytuacji. W Wilnie, Lwowie, Białymstoku, Lublinie, gdzie delegaci się ujawnili, PKWN ogłosił, że jest jedyną legalną władzą w kraju. Delegaci zostali aresztowani i wywiezieni w głąb Rosji. Władze krajowe widziały tylko jedno wyjście — wywołanie powstania w Warszawie, opanowanie miasta przed wkroczeniem Rosjan i wystąpienie oficjalnie w roli gospodarzy terenu. Pamiętajmy o tym, że

Delegat Rządu był wówczas w randze wicepremiera i jako wicepremier mógł wystąpić i powitać sojuszniczne oddziały w stolicy Polski, która ma swoje legalne władze.

Z perspektywy lat różnie to można oceniać. Można powiedzieć, że ta koncepcja nie miała realnych szans powodzenia, ale pozostaje pytanie, co innego wówczas można było zrobić. Przywódcom konspiracji nie wydawało się możliwe zostawienie Warszawy bez pomocy z zewnątrz. Wydawało się, że pomijając wszystko inne, jest to tak ważny ośrodek polityczny i istotny ze względów strategicznych węzeł komunikacyjny, że Rosjanie nie zatrzymają się przed Warszawą i będą chcieli przynajmniej przekroczyć Wisłę. Takie zresztą były też plany rosyjskie. Rosjanie mieli zamiar opanować choćby przyczółki na lewym brzegu Wisły. W rzeczywistości zatrzymali się.

24 lipca 1944 r. z Warszawy ewakuowały się administracyjne władze niemieckie. Ludzie widzieli pewne objawy paniki. 25 lipca zapadła decyzja, że w Warszawie będzie powstanie, jeszcze bez ustalenia daty wybuchu. Niemcy nie zamierzali jednak oddać Warszawy bez walki. 26 lipca część administracji niemieckiej wróciła do miasta. Mniej więcej w tym samym czasie przez Warszawę przechodziła na wschód doborowa dywizja pancerna Waffen SS „Hermann Goering”. Odwoły niemieckie zostały wysłane celem wzmocnienia obrony na prawym brzegu Wisły, dlatego Rosjanie z marszu nie zdobyli Pragi. Doszło do bitwy, jej odgłosy były słyszalne w Warszawie przez kilka dni. Już po wybuchu powstania, 3 i 4 sierpnia, bitwa wygasła. Front zamarł na pół roku, choć jeszcze we wrześniu została zdobyta Praga, a ograniczony desant Polaków z I Armii wylądował za Wisłą.

Pomysł opanowania Warszawy przez Armię Krajową, wystąpienie władz Delegatury i Rady Jedności Narodowej, która powstała w styczniu 1944 r., grupujące największe konspiracyjne organizacje i partie polityczne, w tych warunkach nie mógł być zrealizowany. Rosjanie nie doszli do miasta, Warszawa musiała walczyć dalej. W tym czasie wciąż trwały rozmowy z rządem w Londynie za pośrednictwem radiostacji na temat warunków, jakie można postawić Rosjanom na najwyższym szczeblu, żeby jakoś ułożyć stosunki. To też się nie udało. Już było wiadomo, że oni są zdecydowani na prowadzenie własnej polityki, nie oglądając się ani na rząd w Londynie, ani na próby mediacji ze strony Anglików. I w tym momencie zaczęło się rozpadać – wydawałoby się – dość trwale porozumienie organizacji konspiracyjnych, które przed powstaniem twierdziły, że PPR jest obcą agenturą prowadzącą do zguby Polski. Po pierwszym zrywie i paru dniach walki okazało się, że Rosjanie się zatrzymali, nie ma pomocy z zewnątrz. Komendant Główny wezwał inne okręgi AK do przyścia na pomoc Warszawie, co było pomysłem nie bardzo wówczas realnym. Planowano też wywołać powstanie w innych miastach: na przykład jest taki rozkaz do komendanta okręgu krakowskiego z żądaniem wywołania powstania w Krakowie, a „w najgorszym przypadku w Tarnowie”, co oczywiście w tamtejszych realiach było nie do przeprowadzenia. Tym bardziej że po wybuchu powstania w Warszawie, w Krakowie

Niemcy przeprowadzili masowe łapanki, aresztowania i część konspiracji krakowskiej została rozbita. Zarówno Rosjanie, jak i Niemcy zwalczali oddziały AK idące na pomoc walczącej Warszawie.

Wracając do głównego wątku, warto dodać, że w drugiej połowie sierpnia część organizacji konspiracyjnych widząc, że nie ma możliwości dogadania się Londynu z Rosjanami, postanowiła przejść na drugą stronę. Organizacje, które akceptowały PKWN, zaczęły się porozumiewać.

B.P. — *Kto wszedł w takie porozumienia?*

W.G. — Stosunkowo drobne organizacje, marginalne: z konspiracji zbrojnej Korpus Bezpieczeństwa, Polska Armia Ludowa. Istniejąca od lutego 1944 r. Centralizacja Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych zawarła porozumienie z PPR i Armią Ludową oraz uznała PKWN. Zmiana orientacji politycznej przez kierownictwo Korpusu Bezpieczeństwa spowodowała spore perturbacje w funkcjonowaniu struktur konspiracyjnych Polskiego Państwa Podziemnego. Wszak Korpus Bezpieczeństwa stanowił podstawę tworzenia Wojskowego Korpusu Służby Bezpieczeństwa, formacji mającej zapewnić porządek na tak zwanych ziemiach postulowanych. Natomiast od maja 1944 r. toczyły się rozmowy na temat wprowadzenia przedstawiciela Centralnego Komitetu Ludowego do RJN. Nie przyniosły one pozytywnych rezultatów ze względu na upieranie się przez CKL, aby do RJN weszła także PPR.

Po dwóch miesiącach walk powstanie upadło. Nie spełniło ono swojego podstawowego celu — władzom krajowym związanym z rządem w Londynie nie udało się doprowadzić do rozmów z dowódcami radzieckimi i wówczas nastąpiło rozbitcie tego obozu. Już wtedy znaczna część terytorium Polski była zajęta przez Armię Czerwoną, funkcjonowała administracja Polski „lubelskiej” i chociaż organizacje związane z rządem w Londynie nie uznawały tego, to jednak jedyną realną siłę miał rząd lubelski. O sile tej decydowały Armia Czerwona i wspierające ją oddziały I Armii. Po ofensywie styczniowej w 1945 r. i zajęciu całej Polski organizacje konspiracyjne tworzące RJN zaczęły szukać drogi wyjścia. Na platformie RJN nie można było rozmawiać ani z PKWN, ani z Sowietami. W marcu 1945 r. podstępnie aresztowano przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. RJN odnowiła wprawdzie swój skład, ale jej główni przedstawiciele znaleźli się wśród tej szesnastki aresztowanych. Pozostali na wolności działacze Stronnictwa Ludowego, Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy zdecydowali o tym, że będą starali się działać legalnie. Decyzja o wyjściu z konspiracji była związana z zapowiadanymi wyborami do sejmu. Trzeba było nawiązać rozmowy z PKWN, a więc doszło do dekompozycji obozu niepodległościowego. Wystąpienie SL z porozumienia doprowadziło 1 lipca 1945 r. do rozwiązania RJN i Delegatury Rządu. Przynajmniej część działaczy tych organizacji zamierzała działać we wspólnym porozumieniu i planowała utworzyć ośrodek kierowniczy, który miałby koordynować działalność niepodległościową i utrzymywać łączność z rządem w Londynie. W lipcu alianci cofnęli uznanie dla rządu polskiego. Od tej pory uzna-

wała go tylko część społeczeństwa i kilka państw, które nie miały realnej możliwości tworzenia polityki międzynarodowej. To raczej były gesty sympatii i solidarności, o wymiarze symbolicznym. Oznaczało to faktyczny koniec konspiracji krajowej, która narodziła się w 1939 r., choć jeszcze przynajmniej do 1947 r. próbowano kontynuować w kraju działalność sieci przedstawicieli rządu polskiego w Londynie.

B.P. — *W tym punkcie warto podsumować konsekwencje zarówno decyzji dowódców konspiracji polskiej, podjętych w obliczu sytuacji w kraju, jak i sytuacji międzynarodowej. Polska zalicza się do obozu zwycięskiego, do zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej. Ponieśliśmy jednak tak dotkliwe straty, że to zwycięstwo jest nie tylko gorzkie, ale i niezmiernie tragiczne. Zwycięstwo było tylko w sferze moralnej. Poniesione straty wojenne i kolejne pięćdziesiąt lat życia narodu w PRL były jedną z najdotkliwszych konsekwencji drugiej wojny światowej. Jak to się stało, że PPR — kontynuatorka tradycji KPP, czyli marginesu politycznego w II Rzeczypospolitej — odniosła zwycięstwo? Imperialna strategia Stalina i jego parcie na zachód nie tłumaczy uszyszkiego do końca.*

W.G. — Trzeba podkreślić, że od 1939 r. konspirację cywilną, podobnie jak rząd polski, najpierw w Paryżu, a następnie w Londynie, tworzyły partie opozycyjne w stosunku do rządu Polski sprzed września 1939 r. Siłą rzeczy te partie, a największe z nich SL, PPS i SN (mniejszymi wpływami cieszyło się SP), nabierały znaczenia — co prawda w specyficznych warunkach okupacji — w polityce państwowej. Ich działacze i przywódcy przygotowywali już w okresie wojny plany życia powojennego. Funkcjonowała bardzo rozbudowana prasa podziemna, która z jednej strony informowała społeczeństwo o tym, co się dzieje, a z drugiej strony propagowała pewne idee. Ten proces zyskiwania na znaczeniu ruchów i organizacji lewicowych zachodził nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie, na przykład we Francji rządy po 1944 r. musiały uznawać wpływy lewicowe, socjalistyczne czy komunistyczne. To samo działo się w Polsce, szczególnie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Wtedy władze w Moskwie były zainteresowane tym, żeby działalność konspiracyjna w krajach europejskich podbitych przez Niemców była jak najsilniejsza. Tworzyły się partie komunistyczne, u nas PPR, które wciągały w orbitę swoich wpływów poszczególne grupy społeczne i dążyły do nawiązania ściślejszej współpracy z innymi organizacjami. Hasła lewicowe zyskiwały popularność przede wszystkim w społeczeństwie wiejskim. Oczekiwano poprawy warunków życia i reformy rolnej innej niż ta, którą przeprowadzono przed wojną. Władze rządu w Londynie starały się brać pod uwagę te postulaty. Przygotowano projekt reformy rolnej, rozwiązania prawne dotyczące funkcjonowania pracowników najemnych, dekret o związkach zawodowych, o izbach pracy. Działania te były daleko posunięte. W dwóch numerach Dziennika Ustaw, które zostały opublikowane w okresie Powstania Warszawskiego, zamieszczono część aktów prawnych. Upadek powstania spowodował, że nie mogły być zrealizowane.

Natomiast wprowadzono w życie projekty PKWN na terenach między Bugiem a Wisłą, a od 1945 r. w całym kraju. Znalazły się wśród nich reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu, co podobało się sporej części polskiego społeczeństwa. Argumentacja, że drogą nacjonalizacji przemysłu najprędzej dojdziemy do odbudowy gospodarki kraju, trafiała na podatny grunt. Poza tym ludzie dążyli do normalności i odbudowy swojej najbliższej okolicy, zakładów pracy. Znaczna część społeczeństwa, nie zgadzając się z linią polityczną czy ideologiczną reprezentowaną przez PKWN, przystąpiła do odbudowy, rzeczy podstawowej i naturalnej po zakończeniu wojny. I choć to zapewne wszystkiego nie tłumaczy, to musimy pamiętać o tym, że oddziały rosyjskie zostały wycofane z Polski dopiero niedawno.

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 8–9 (19–20), sierpień-wrzesień 2002

O POWSTANIU WARSZAWSKIM

Z Januszem Marszałcem

B.P. — *Wojna trwała ponad pięć lat. W chwili jej wybuchu nikomu nie przychodziło do głowy, że będzie trwała tak długo. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się idea powstania?*

J.M. — Rzeczywiście wszyscy mieli nadzieję, że wojna będzie krótka. Oczekiwanie to wyrażało nawet ówczesne popularne powiedzenie — „im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”. Czekano na ofensywę wojsk alianckich wiosną 1940 r., ale jednocześnie planowano wystąpienie zbrojne, wedle założenia, że sukces militarny w walce z Niemcami nie może się obejść bez udziału sił krajowych. Młodzież i całe społeczeństwo były przygotowane do czynnego udziału w tej walce, co jest konsekwencją prowadzonej w okresie dwudziestolecia niepodległej Polski skutecznej i autentycznej edukacji patriotycznej. Wiązała się ona ściśle z kultem czynu zbrojnego i powstań narodowych, co musiało zaważyć na decyzjach polityków i wyborach setek tysięcy ludzi. Koncepcja powstania zrodziła się tuż po klęsce wrześniowej. Pierwsze prace zostały podjęte w listopadzie 1939 r. w komendzie ZWZ we Francji. Na początku 1940 r. rozpoczęły się prace sztabowe w komendzie ZWZ okupacji niemieckiej. Pierwszy kompleksowy plan powstania był gotów na początku 1941 r. W lutym tego roku przesłano go do Londynu, jako meldunek operacyjny nr 54. Starano się w nim uwzględnić złożoną sytuację polityczno-operacyjną w kraju. W warunkach dwóch okupacji, później wobec odwracających się sojuszy, nie było to proste. Wiele podstawowych założeń musiało być siłą rzeczy opartych na zwykłych spekulacjach. Dlatego też koncepcja zrywu ewoluuje w ciągu lat od powstania powszechnego do „wzmózonej akcji dywersyjnej”, jaką miała być „Burza”. W istocie okazała się ona ciągiem powstań strefowych, w których wzięło udział blisko 100 tys. żołnierzy-ochotników.

B.P. — *Jakie czynniki zdeterminowały koncepcję powstania?*

J.M. — Oprócz wielu spraw techniczno-operacyjnych, związanych na przykład ze specyfiką poszczególnych rejonów kraju (w tym obecności mniejszości narodowych), wymienilibym przede wszystkim czynniki polityczne. Obecność drugiego okupanta powodowała spore komplikacje. Starano się je przewidzieć, dlatego zakładano kilka wariantów, łącznie z takim, który sprawdził się w 1944 r. To znaczy,

że zaatakowani przez Niemców Sowietci biją swoich dotychczasowych sojuszników i wchodzi na polskie terytorium. Już w 1940 r. zdawano sobie sprawę z tego, że jest to jeden z najgorszych wariantów dla Polski, wedle schematu: „jak wejdą, to już nie wyjdą”. Wojna z Sowietami nie wchodziła jednak w grę. Taki też był wybór gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, który w momencie, kiedy sowiecka ofensywa ruszyła, rozwiązał AK.

B.P. — *Plan «Burza» był również decyzją polityczną.*

J.M. — Oczywiście. Aspekt militarny był drugoplanowy. To była próba znalezienia wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Jak wiemy, ta manifestacja sprawności i siły Państwa Podziemnego ujawniła Sowietom struktury konspiracyjne, a w efekcie zakończyła się rozbiciem AK i Delegatury.

B.P. — *Czy na tym etapie przygotowywania planów na przyszłość politycy byli już świadomi bezpowrotnej utraty Kresów Wschodnich?*

J.M. — Nie. Cały czas liczyli na Zachód, nie znali ustaleń z Teheranu. Gdyby istniała pewność, że Kresy zostaną stracone, to nie zrobiono by „Burzy” na Wschodzie, raczej likwidowano by struktury i uciekano na zachód. A przecież kierujący państwem politycy to nie byli chłopcy z podchorążówki, tylko dorośli ludzie, którzy na polityce zjedli zęby. Kazimierz Pużak „Bazyli”, szef Rady Jedności Narodowej, więzień twierdzy szlisselburskiej, znał życie i Rosjan, po Sowietach spodziewał się najgorszego. To jest problem, o który potknęło się szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

B.P. — *A co działo się po «Burzy»? Czy koncepcja walki powstańczej mimo to była forsowana przez polskie dowództwo? Intencje Sowietów były już wtedy oczywiste!*

J.M. — Intencje Sowietów znane były już przed rozpoczęciem walk. Przykład Wołynia i Wileńszczyzny pokazał, że przypuszczenia, iż Sowietci będą chcieli zlikwidować AK i Delegaturę, są jak najbardziej uzasadnione.

Co działo się po Powstaniu Warszawskim? Walka trwała, choć mniej intensywna. Oddziały AK otrzymały rozkaz ograniczenia aktywności bojowej do dywersji i niezbędnej ochrony ludności, tak aby nie wywoływać represji okupanta.

B.P. — *Wróćmy do nastrojów społecznych na początku wojny w kraju. Wiemy już, że ludzie byli zdeterminowani i gotowi do wystąpienia. Czy ta zgoda społeczna na walkę — i chyba również poniesienie ofiary — przekładała się na możliwości?*

J.M. — Na razie mówimy wyłącznie o stanie ducha coraz większej grupy społeczności, która była zaangażowana w konspirację: w szczytowym momencie około 350 tys., a może nawet 450 tys. zaprzysiężonych żołnierzy AK, tysiące cywilów i ludzi im pomagających to nie byle co. A dodać do tego należy formacje i osoby poza Polskim Państwem Podziemnym. Jest to znaczna liczba tych, którzy, wybierając drogę konspiracji, musieli brać pod uwagę konsekwencje swojej decyzji, do utraty życia włącznie.

Zanim jednak energia tych ludzi została wykorzystana w Polskim Państwie Podziemnym, upłynęło dużo czasu. W 1939 r. struktury konspiracji były słabe, zatomi-zowane. Mnogość inicjatyw była niebywała. W podręcznikach wyczytamy, że Państwo Podziemne powstało we wrześniu 1939 r. Tymczasem wtedy nikt w kraju tego nie zauważał. Był co prawda „oddział wydzielony” Wojska Polskiego mjr. „Hubala”, a na Czerwonym Bagnie partyzanci ppłk. Jerzego Dąmbrowskiego „Łupaszk”, były też inne oddziały i zakonspirowane grupy dywersji pozafrontowej, które próbowały wykonywać zadania przewidziane dla nich jeszcze przed wojną. Wreszcie powstało tysiące różnych grup konspiracyjnych reprezentujących środowiska społeczne, poli-tyczne, zawodowe i grupy koleżeńskie.

B.P. — *Wraz z upływem czasu trzeba było ogarnąć te poszczególne ini-cjatywy, stworzyć strukturę wojskową o wspólnym dowództwie i zręby państwa funkcjonującego pod okupacją.*

J.M. — Po 1940 r. była już pewność, że wojna potrwa dłużej, ale nie wiadomo, jak długo. Było jasne, że trzeba głęboko wejść w konspirację, przede wszystkim przygo-tować i racjonalizować system przygotowań do powstania: rozbudować struktury, gromadzić broń, szkolić żołnierzy, ale też przygotować całe zaplecze walki — stwo-rzyć sądownictwo, formacje zajmujące się ochroną mienia i porządku publicznego, przepisy prawne na okres przełomu. Powiedziała Pani o konieczności budowy pań-stwa. Tak, ludzie w kraju mieli świadomość, że coś się skończyło, ale coś trwa. Był legalnie funkcjonujący rząd, był prezydent Rzeczypospolitej. Idea państwa nie legła w gruzach mimo skompromitowania ekipy sanacyjnej. Pojawiło się pytanie, kto po-wiąże te wszystkie struktury. Z mandatu legalnych polskich władz zajmował się tym ZWZ, później AK. Akcja scaleniowa była rozciągnięta w czasie, zaczęła się na począt-ku okupacji i trwała do 1944 r. włącznie. Niestety, problemy ze scaleniem dotyczy-ły nawet Batalionów Chłopskich, a więc formacji zbrojnej „Rocha” — podziemnego ruchu ludowego — jednego z filarów Państwa Podziemnego. Ostatecznie umowa scaleniowa nigdy nie została w pełni zrealizowana. Jeszcze więcej problemów było z „wojskówką” Stronnictwa Narodowego (mimo podpisania umowy scaleniowej część działaczy ogłosiła secesję, tworząc Narodowe Siły Zbrojne). Udało się w końcu zbudować ponadpartyjną, kilkusettyśieczną armię podziemnego państwa. Poza nią i poza całym Państwem Podziemnym była agentura moskiewska, czyli PPR–AL oraz „Grupa Szańca” — Narodowe Siły Zbrojne. Ci ostatni budowali Cywilną Służbę Narodu, struk-turę administracyjną konkurencyjną wobec Delegatury Rządu na Kraj.

B.P. — *Jak władze Państwa Podziemnego reagowały na tę konkurencję?*

J.M. — W przypadku komunistów należy mówić o zaciętych wrogach idei pań-stwowej (zresztą to nic nowego, gdyż II Rzeczpospolita również nie była przez nich uznawana). Rozmowy z władzami Polski Podziemnej skończyły się fiaskiem, ponie-waż komuniści nie chcieli uznać rządu w Londynie za polski rząd, nie zgodzili się też złożyć deklaracji, że ich partia nie jest ekspozyturą Kominternu. W obozie narodo-

wym zgadzano się w sprawach podstawowych, ale próby scalenia rozбивały się między innymi o ambicje polityków i wizję państwa. Jak więc władze Polski Podziemnej reagowały na konkurentów i wrogów? Proponowały porozumienie z gwarancją autonomii, ale jednocześnie cały czas je monitorowały (w przypadku komunistów należy mówić o rozpracowaniu agenturalnym). Do mitów należy też zaliczyć likwidację komunistów za poglądy. Natomiast bardzo często było tak, że rozstrzelani bandyci mieli jednocześnie powiązania z komunistami bądź sami nimi byli. Nie uniknięto zaś akcji odwetowych na komunistycznych oddziałach partyzanckich. Jest to element wojny partyzanckiej między AK a Sowietami (tymi z Wielkiej Ziemi, czyli z obszaru pozostającego za linią frontu sowieckiego, i krajowymi komunistami narodowości polskiej, żydowskiej, białoruskiej). Do starć, najczęściej sprowokowanych przez komunistów, dochodziło na Lubelszczyźnie i w innych rejonach Polski.

B.P. — *Niezależnie od tego, jak bardzo wyświechtane jest powiedzenie, że Polskie Państwo Podziemne było fenomenem, to fenomenem rzeczywiście było. Jego niezwykłość polegała między innymi na tym, że próbowało dać ludziom żyjącym w okupowanym kraju pewne minimalne poczucie normalności. Rząd i prezydent na uchodźstwie są podmiotami prawa międzynarodowego, ale w codziennym życiu ludzi w kraju są bytami nierealnymi. Polskie Państwo Podziemne społeczeństwu udręczonemu działaniami wojennymi, biedą, poczuciem coraz odleglejszej perspektywy odzyskania wolności usiłowało nadać kształt i sposób obywatelskiego funkcjonowania. To była akcja kształcenia, wychowywania, opieka społeczna i działalność kulturalna. Państwo działające w konspiracji starało się posługiwać wszystkimi atrybutami administratora kraju, który był okupowany. A na dodatek było to państwo bez granic i możliwości ich strzeżenia.*

J.M. — Tak, rząd polski, choć odległy, miał rangę konstytucyjną. I to jest oczywiście dla wszystkich sił politycznych w kraju, również dla jego mieszkańców. Nie był to żaden „komitet narodowy”, lecz uznawany przez świat rząd, kontynuator państwa sprzed 1 września 1939 r. Delegat Rządu — Jan Stanisław Jankowski „Soból” — stał się reprezentantem rządu w kraju, w 1944 r. otrzymał nawet prerogatywy wicepremiera rządu polskiego dla kraju, a Delegatura Rządu stała się Krajową Radą Ministrów. Jednocześnie ukonstytuowała się ostatecznie Rada Jedności Narodowej, która odgrywała rolę podziemnego parlamentu. Przywódcy tego państwa kryli się za pseudonimami, a mimo to jego autorytet był powszechnie uznawany. Państwo Podziemne to nie tylko struktura, ale przede wszystkim ludzka sieć, wchodząca w różne zależności. Ci ludzie mieli świadomość, że budują nową, „swoją” Polskę. Tak głębokiego utożsamienia się z państwem nie było jeszcze w naszych dziejach. Należy dodać, że Państwo Podziemne miało charakter samoograniczający, to znaczy, że jego funkcje ograniczały się do najważniejszych spraw: samoobrony, wymierzania sprawiedliwości, wychowania, edukacji itp.

B.P. – Czy nazwa «Polskie Państwo Podziemne» była stosowana już w czasie wojny?

J.M. – Pojęcie „Polskiego Państwa Podziemnego” pojawiło się po raz pierwszy 24 grudnia 1943 r. na łamach londyńskiej „Polski Walczącej”. Do powszechnego obiegu wprowadził je emisariusz z Polski, Jan Karski-Kozielewski. W Polsce użył go po raz pierwszy „Biuletyn Informacyjny” 13 stycznia 1944 r. W gruncie rzeczy termin ten nie przyjął się, używany był w okresie okupacji sporadycznie. Częściej mówiło się i pisało o „Polsce Podziemnej” czy o „Polsce Walczącej”. Wszystkie te określenia zawsze oznaczały wysiłek wojskowo-organizacyjny Armii Krajowej, Delegatury Rządu na Kraj i formacji z nimi scalonych i współpracujących.

B.P. – Interesująca jest też kwestia obywatelstwa Polskiego Państwa Podziemnego.

J.M. – Państwo Podziemne obecne było na całym terytorium II Rzeczypospolitej, nawet w gettach czy obozie oświęcimskim (konspiracją kierował tam rtm. Witold Pilecki), ale wychodziło również poza jego obszar. Ekspozytury wywiadu AK funkcjonowały w Berlinie, w przemysłowych rejonach Niemiec, na Węgrzech; Litwa Kowieńska tworzyła Inspektorat E Okręgu Wileńskiego AK. Obywatelstwo tego państwa miało wymiar moralny. Jan Szczepański pisał, że było ono „państwem ze współczynnikami humanistycznym”, państwem „tych, którzy chcieli być jego obywatelami”. Tomasz Strzembosz podkreśla, że obywatelami Państwa Podziemnego byli jedynie ci, którzy je uznawali, poddawali się jego decyzjom, współdziałali z nim, uważali jego instytucje za legalne, choć niejawne, instytucje państwowe. Jednym słowem, nie wszyscy „obywatele państwa polskiego” byli „obywatelami państwa podziemnego”. Byli wszak tacy, którzy – z różnych przyczyn – państwa tego nie uznawali lub uznawali tylko niektóre jego instytucje. Na przykład Konwent Organizacji Niepodległościowych i Obóz Polski Walczącej – dwie nieduże formacje sanacyjne – były w opozycji do Delegatury Rządu, natomiast uznawały rząd w Londynie.

Obywatelstwo Państwa Podziemnego rozciągało się również na przedstawicieli mniejszości narodowych, ale pod warunkiem że nie sprzeniewierzyli się idei państwowej i utożsamiali się z nią w czasie okupacji. Obywatelami byli więc Żydzi, utrzymujący przez różne organizacje konspiracyjne z gett kontakty z AK i Delegaturą, i część Białorusinów, zarówno walczący w oddziałach AK na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie, jak i wierni Polsce bez zdobywania się na wielkie, bohaterskie czyny. Z Ukraińcami sprawa jest bardziej oczywista, gdyż opowiedzieli się oni za własnym państwem. Wybory były jednak indywidualne. Do oddziałów akowskich wstępowali na przykład Łemkowie, co prawda, nie było ich wielu.

Podsumowując, chciałbym podkreślić, że istotą obywatelstwa Państwa Podziemnego było zobowiązanie do bycia porządnym Polakiem. Wpojenie twardych zasad, co jest dobre, a co złe (i piętnowanie postaw nagannych), było jednym z naczelných zadań Polski Walczącej. I to się udało!

B.P. — *Myślę, że nawet na poziomie przekupek z bazaru istnieje elementarna świadomość tego, co jest przyzwoite, a co nie. Przyzwoity człowiek nie pokaże się z gadzinówką, nie pójdzie do kina. Istnieje przecież coś takiego jak presja środowiskowa.*

J.M. — Mimo to nawet wśród elit społecznych nie wszyscy zachowywali się przyzwoicie. Widać to na przykładzie tych znanych osób Polski przedwojennej, choćby Adolfa Dymyzy „Dodka”. Grywał on w niemieckich przedstawieniach, urządził libacje z Niemcami, za co został napiętnowany karą infamii. Jego nazwisko ogłoszono w prasie podziemnej, podobnie jak setki innych. Bywały też kary chłosty, nawet publicznej! Za kontakty z Niemcami kobietom golili się głowy. Szantażyści — szmalcownicy, konfidentci gestapo i zwykli bandyci — byli likwidowani przez AK i Delegaturę. Takie działania były bardzo ważne, bo pokazywały, że państwo żyje i reaguje na łamanie zasad życia obywatelskiego. Wykładnią okupacyjnej moralności stały się dwa zbiory zasad postępowania: Kodeks moralności obywatelskiej i Kodeks Polaka. To właśnie dzięki tym kolportowanym konspiracyjnie wydawnictwom, jak również dzięki pracy podziemnego sądownictwa, nie nastąpiło w Polsce — jak w innych krajach okupowanych — drastyczne roznicy przekonania tego, co jest dobre, a co złe, co polecane, a co naganne.

B.P. — *Stan wojny, zagrożenia, agresji i okupacji wyzwala w ludziach zachowania niemoralne, bo uruchamiają się najpierwotniejsze instynkty przetrwania za wszelką cenę.*

J.M. — Tym bardziej że okupantowi niemieckiemu nie zależało tak naprawdę na ściganiu przestępczości polskiej. Dlatego bandytyzm stał się prawdziwą plagą wsi. W Warszawie na jedną akcję zbrojną podziemia przypadało kilka akcji typowo bandyckich. Dzisiaj trudno nawet odróżnić jedne od drugich, zwłaszcza że czasami kamuflowano prawdziwy charakter akcji, nadając im cechy napadu bandyckiego. Oddzielna kwestia to bandytyzm rewolucyjny stosowany przez oddziały komunistyczne, przede wszystkim przez oddziały sowieckie, które nie związane z lokalnym środowiskiem przemocą zdobywały sobie zaopatrzenie. To samo dotyczy również wyobcowanej w terenie partyzantki żydowskiej, która, aby przetrwać, zabierała chłopom żywność.

B.P. — *Przejdźmy teraz do Powstania Warszawskiego. Czy moment decyzji o jego rozpoczęciu był optymalny?*

J.M. — Zacznę od tego, że moim zdaniem, na taką decyzję nigdy nie ma odpowiedniego momentu, zwłaszcza w konstelacji politycznej, jaka wówczas była. Nawet gdyby dowództwo wybrało moment od strony wojskowej idealny (na przykład czołgi sowieckie wjeżdżają na Pragę), jestem pewny, że Stalin nie zawahałby się wstrzymać ofensywę czy zlikwidować ujawniające się struktury Państwa Podziemnego. Mamy przecież przykłady Wileńszczyzny, Wołynia, Lwowa, gdzie moment rozpoczęcia akcji pod względem militarnym był bardziej korzystny niż w Warszawie, a mimo to jej finał okazał się tragiczny.

Jeśli chodzi o aspekt czysto wojskowy, to oczywiście można się spierać co do szczegółów. Czy na przykład nie byłby lepszy wariant nocnego uderzenia, czy należało rozpocząć atak w momencie załamania się nastrojów Niemców i ewakuacji z Warszawy urzędów jeszcze w lipcu. Trudno przewidzieć, jaki byłby wynik tych decyzji, nie sądzę jednak, aby diametralnie przeważał o polskim sukcesie. Sukces był możliwy tylko po włączeniu się do walki sojusznika. W Warszawie w 1944 r. wierzono, że interes wojskowy stoi nad interesem politycznym. Podsumowując, uważam za płk. Janem Rzepeckim, szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, że decyzja o powstaniu należy do kategorii tych, których nie sposób nie podjąć.

B.P. — *Czy Niemcy wiedzieli o planowanym powstaniu?*

J.M. — Wiedzieli, że AK przygotowuje się do wystąpienia. Pojedyncze informacje napływały od konfidentów, ale nie zostało to do końca przemielone przez niemiecką maszynę wywiadowczą. Niemcy byli więc przygotowani (alarm bojowy dla garnizonu ogłosili o 16.30), ale myślę, że nie liczyli się z tak gwałtownym i zmasowanym uderzeniem. Gdyby w krótkim czasie po wybuchu powstania nadeszła pomoc z zewnątrz, siły policyjne, którym daleko było do Wehrmachtu, z pewnością nie wytrzymałyby w długiej obronie.

B.P. — *Jak na wiadomość o Powstaniu Warszawskim zareagowało społeczeństwo?*

J.M. — Euforia, wywieszaniem biało-czerwonych flag, spontaniczną pomocą w budowie barykad, ofiarnością. Nastroje takie panowały też w innych miejscach, gdzie rozpoczęła się „Burza”. Są wzruszające relacje ludzi, dla których wejście polskiego wojska było najszczęśliwszym momentem życia. Społeczeństwo to również powstańcy. Dla nich powstanie było bardzo często najważniejszym momentem życia, nie tylko dlatego, że byli młodzi i silni, ale dlatego, że byli razem, służyli wielkiej sprawie i „coś” od nich zależało. Później, w miarę przedłużania się powstania, wzrosło zmęczenie i nastroje opadły. Wtedy pojawiły się przekleństwa pod adresem dowódców i żołnierzy, a w końcu nawet próby rozbierania barykad przez zdeterminowane kobiety, które za wszelką cenę chciały ocalić swoje dzieci i siebie. Tak było na Starym Mieście, gdzie wojsko musiało strzelać do cywilów. To, co przeszło do legendy, to lud Warszawy zjednoczony z wojskiem w walce z wrogiem. I to, mimo różnych ekstremalnych zachowań i sytuacji, jest podstawowy rys Powstania Warszawskiego.

B.P. — *Skąd zatem taka mocna krytyka powstania po wielu latach, nawet w już demokratycznym państwie?*

J.M. — Oczywiście nie mówimy tutaj o komunistach, którzy sprawę powstania dorażnie rozgrywali dla swoich celów. Skąd ten żal i sprzeciw wobec tej decyzji u bardzo wielu ludzi, a nawet u uczestników powstania? Przy tak wielkich ofiarach ludzkich i ruinach, które pozostały po Warszawie, takie opinie musiały się pojawić. Podobnie było po innych zrywach narodowych. Jest to więc kontynuacja starego sporu między „realistami” a tymi, którzy gotowi byli do ofiary życia. Nazywa się ich „romantykami”.

Określenie to jakoś nie bardzo pasuje mi do gremium, które podejmowało decyzję o godzinie „W”. Podjęli decyzję trudną, jak się okazało, tragiczną w skutkach, ale na pewno przemyślaną. Jeśli romantyzm jest próbą ratowania suwerenności, to czym powinien być realizm? Dobrowolnym rozbrojeniem się i załadowaniem do wagonów sowieckich jadących wprost na wschód? Dzisiaj z perspektywy wielu lat widać, że Antoni Gołubiew czy Stefan Kisielewski, krytykując decyzję o powstaniu, nie zauważyli pozytywnych skutków tego zrywu. Wtedy, gdy te słowa wypowiadali, czuło się jeszcze swąd spalenizny i pustkę po tysiącach ludzi. Nie wyczuwało się z kolei upadku komunizmu. Skutki pozytywne inkubowały się przez kilkadziesiąt lat. Jeśli chodzi o współczesne, obiegowe sądy o powstaniu wypowiedziane przez powojenną generację, to są one często utrzymane w tonie krytyki tej decyzji. Wiąże się to chyba między innymi ze zmianą tradycyjnego wzorca patriotyzmu.

B.P. — *Często 1 sierpnia jestem w Warszawie. W ostatnich latach można już ogłosić publicznie apel o to, by na chwilę zatrzymał się ruch uliczny, ludzie i samochody. To bardzo gorzkie, ale jeśli tę chwilę zadumy poświęca powstaniu 20 proc. ludzi w centrum Warszawy, to wszystko. Pomijam siłę komunistycznej propagandy, bo tę bym tutaj raczej zbagatelizowała. Czy to nie jest tak, że ofiara, którą poniosła ta generacja, nie tylko w powstaniu, wpłynęła na postawy ideowe powojennego społeczeństwa także w ten sposób, że po prostu zabrakło tych najdzielniejszych, najwierniejszych i prawych jako ojców, mężów, dziadków?*

J.M. — To bardzo ważne pytanie o kondycję naszego społeczeństwa na progu XXI stulecia. Ma Pani rację, że śmierć najlepszych z całego pokolenia musiała rzutować na całą społeczność. Antoni Gołubiew mówił, że źle skalkulowana manifestacja polskiego dążenia do suwerenności pozbawiła kraj najżywszego ośrodka niezależnej inteligencji, co położyło się cieniem na rozwoju bieżącej sytuacji politycznej. Pamiętajmy jednak, że inteligencja krakowska przetrwała, a mimo to nie zaważyła w jakimś decydującym stopniu w walce z sowietyzacją. Rany po Warszawie pozostały, tylko że nie wiemy, jak je opisać. Jest to zadanie dla socjologów, być może niewykonalne.

B.P. — *Co by było, gdyby powstania nie było?*

J.M. — Cały czas poruszamy się w sferze hipotez i przypuszczeń. Z tematem powstania zawsze było tak, że prowokował do stawiania historycznych pasjansów. Przede wszystkim mogły się zdarzyć poważne represje ze strony Niemców za to, że warszawiacy zlekceważyli ich rozkaz wzywający do stawienia się 100 tys. mężczyzn do robót fortyfikacyjnych. Ale to tylko pierwsze przypuszczenie z całego rzędu następnych. Warszawa mogłaby się stać silnym punktem niemieckiego oporu, bez mała Festung Warschau. I co wtedy, warszawiacy wyprowadziliby się do Konstancina i Milanówka? Może nie zginęłoby tylu ludzi, ale skutki walk ulicznych mogły być opłakane. Dalej: założmy, że Sowietci nacierają, nie ma decyzji o powstaniu, a kilka plutonów AL przechwytuje ratusz i triumfalnie wita czerwonoarmistów wyzwających miasto.

Wtedy opinia międzynarodowa otrzymałaby dowód na to, że AK stoi z bronią u nogi, że państwo polskie nie dysponuje żadną siłą, bo nie potrafiło w momencie decydującej walki wspomóc sojuszników.

Jeszcze groźniejszy mógłby być niekontrolowany wybuch, może spowodowany przez PPR czy w ogóle komunistów, bo radiostacja „Kościuszko” systematycznie nawoływała warszawiaków do zrywu. Jeśli przez pięć lat przygotowuje się młodzież, to nie można liczyć, że będzie beczynnie czekała na wyzwolenie miasta przez regularne wojska. Założmy, że nie ma decyzji o wybuchu powstania, że żołnierze AK są karni i nie podrywają się przy wejściu Sowietów. Rosjanie nigdy nie pogodziliby się z istnieniem pięćdziesięciotysięcznego garnizonu na swoich tyłach. Z pewnością podjęliby próby rozbicia go, aresztowania dowódców, później żołnierzy. W takiej sytuacji łatwo mogłoby dojść do antysowieckiego powstania.

B.P. — *Nasze losy narodowe są zdeteminowane przez romantyzm, co niejednokrotnie nam się zarzuca, bo to cecha szalenie niepraktyczna. Na zryw zdobyli się też Francuzi i Czesi, a tych ostatnich zwłaszcza nie można podejrzewać o nadmiar fantazji.*

J.M. — To rzeczywiście jest kwestia temperamentu narodowego i akceptacji filozofii oporu i walki. Jeszcze raz podkreślę, że „romantyczna” (jak chcą niektórzy) koncepcja uprawiania polityki nie musiała być z góry skazana na niepowodzenie. Ofiary i straty należą do kalkulacji politycznej i zdawali sobie z tego sprawę nie tylko z natury gwałtowni Polacy, ale też Czesi i Francuzi.

B.P. — *Jakie jeszcze są konsekwencje Powstania Warszawskiego?*

J.M. — Widzę to tak. Powstanie należy rozpatrywać w dwóch wymiarach. Po pierwsze jako fakt jednostkowy, którego konsekwencje były widoczne gołym okiem natychmiast po kapitulacji. Po drugie trzeba sobie uświadomić, że powstanie „żyło” przez lata jako przedmiot sporu politycznego w PRL, a konsekwencje ujawniały się stopniowo przez całe półwiecze. Doraźne były skutki demograficzne. Z powierzchni ziemi znika całe miasto, z dziewięćsettyśięcznej społeczności stolicy państwa tworzy się zbiorowisko ludzi bezdomnych. Jest około 150 tys. zabitych wśród ludności cywilnej, około 18 tys. młodych żołnierzy, którzy zginęli z bronią w rękę, tysiące okaleczonych na całe życie. Do tego dochodzi zniszczenie miasta, domów, dobytku, zabytków, archiwów. To automatycznie rzutuje na kondycję psychiczną zbiorowości. Tragedie w sensie jednostkowym, rodzinnym są niepoliczalne. Poza tym pamiętajmy, że ci ludzie mieli świadomość zmarnowania ich wysiłku, bo co prawda Sowieci zdobyli miasto, ale kraj znalazł się pod sowieckim butem. Po takich stratach miasto powinno być społecznością zdruzgotanych, załamanych i apatycznych ludzi. Warszawiacy jednak się podnieśli, chwycili się nadziei, którą przywiózł im z Londynu Mikołajczyk.

Skutkiem powstania jest też rozbitcie Warszawskiego Okręgu AK i struktur dowodzenia na szczątki KG AK. Żołnierze poszli do niewoli na czele z gen. „Borem” lub

rozproszyli się po Polsce. Druga KG odtworzyła struktury dowodzenia, ale na dobrą sprawę nigdy się już nie udało powiązać porwanych sieci. To też była wielka katastrofa, bo ludzie w terenie czekali na instrukcje. To, co się pojawia w meldunkach, czy to z zajętych przez Sowieców Kresów Wschodnich, czy z innych terenów, to żądanie wytycznych. Ich brak powodował obniżenie autorytetu władz Polski Podziemnej. Dowódcy mieli świadomość porażki i wiedzieli, że doprowadzili do klęski. Kolejną konsekwencją było zachwianie zaufania w stosunku do sojuszników. Bardzo czytelnie od tej pory byli odbierani Sowieci, bo ich bezczynność za Wisłą postrzegano jako wyrok na miasto.

Historycy mówią, że Powstanie Warszawskie wystudziło nastroje społeczne, dzięki czemu w 1956 r. nie doszło do takiej tragedii jak w Budapeszcie, czyli antysowieckiego powstania, które wykrwawiloby naród. I coś w tym jest, że w kolejnych polskich miesiącach 1956, 1970, 1980 i 1981 widać pewien umiar. Pamięć klęski Powstania Warszawskiego była silna wśród Polaków.

B.P. — *Powiedzmy jeszcze o konsekwencjach międzynarodowych.*

J.M. — Hans von Kranhals, niemiecki historyk, we wstępie do swojej książki o powstaniu napisał: „To właśnie tutaj, nie gdzie indziej, rozpoczęła się zimna wojna”. Zachód otrzymał czytelny sygnał, że Stalin prowadzi nieczystą grę, bo jak można inaczej interpretować zakaz lądowania alianckich samolotów po sowieckiej stronie, na prawym brzegu Wisły? Interesy i dążenia Stalina stają się oczywiste, a taki kubek zimnej wody jest ważny, szczególnie dla społeczeństwa amerykańskiego, któremu brakowało należytego dystansu w ocenie Sowieców. Powstanie stało się katalizatorem nowej antysowieckiej polityki. Rozpoczął ją twórca amerykańskiej „polityki powstrzymywania”, George Kennan, zastępca Williama Harrimana, amerykańskiego ambasadora, w Moskwie w czasie wojny. Jego program przestawił całą politykę amerykańską na antysowietyzm.

Na ciekawą rzecz wrócił uwagę Jan Nowak-Jeziorański. Otóż twierdzi on, że za stopowanie ofensywy sowieckiej na Wiśle w sierpniu 1944 r. pomogło Zachodowi, bo gdyby rozpędzona sowiecka machina wojenna parła dalej na zachód, to duża część Niemiec znalazłaby się pod sowiecką dominacją. W takiej sytuacji trudno byłoby mówić o równowadze sił w Europie. Poza tym większy sukces Armii Czerwonej stworzyłby dodatkowe korzyści dla komunistów we Francji i we Włoszech, którzy po wojnie mieli szanse na zdobycie większości parlamentarnej. Poza tym mówi się, że Powstanie Warszawskie ocaliło Polskę przed wejściem w skład Związku Sowieckiego. Determinacja Polaków w walce z Niemcami miała skłonić Stalina do zaniechania planów włączenia Polski do Sowieców. To kolejna hipoteza, którą można rozszerzyć na inne kraje Europy Środkowowschodniej, ale mnie wydaje się ona zbyt śmiała.

B.P. — *Czy możliwy był inny przebieg powstania w sytuacji, kiedy Rosjanie stali po tamtej stronie Wisły, a Zachód zachował się tak, jak się zachował? Czy można zarzucić jakieś konkretne błędy przywódcom?*

J.M. — Trudno jest wyobrazić sobie inny scenariusz zdarzeń. Przy lepszym uzbrojeniu, lepszej łączności można było wytrwać dzień, tydzień, miesiąc dłużej. Tylko po co? Można też było zdobyć jedną ulicę więcej, ale w tych realiach politycznych nie sposób było dokonać czegoś większego. Zdarzały się też jednostkowe decyzje natury wojskowej, które są dzisiaj krytykowane jako błędne. Myślę chociażby o wyniszczających próbach połączenia Starówki z Żoliborzem czy uporczywej obrony cmentarzy na Woli przez „Radosława”. Nie były to jednak decyzje, które mogłyby zaważyć na losach powstania.

B.P. — *Któryś z angielskich generałów powiedział, bodaj w 1946 r., że Powstanie Warszawskie mimo wszystkich pozorów klęski nie jest grobem narodu, tylko jego kolebką, czyli początkiem.*

J.M. — Taka świadomość była obecna wśród uczestników powstania i nie tylko właściwie od początku, bo to było takie specyficznie polskie. W jednym z pierwszych opracowań o tym wydarzeniu, *Bój Warszawy*, wydrukowanym w lipcu 1945 r., jest takie znamienne zdanie: „Bój Warszawy był bitwą o Polskę, bitwą pozornie przegraną, ale odegra on swą rolę w ostatecznym zwycięstwie”. To standardowa formuła, którą wypowiada się po każdej klęsce. Dzisiaj, po wielu latach, możemy powiedzieć, że zapowiedź ta się sprawdziła.

B.P. — *Byłam w stanie wojennym świadkiem tego, jak chłopcy biegali po Warszawie, szybko i dyskretnie starali się rozwieszać ulotki, hasła, a różne starsze panie chwytały ich w objęcia, wykrzykując głośno: «chłopcy, powstańcy kochani!». Młodzi konspiratorzy uciekali z tych objęć czym prędzej. W stanie wojennym poszukiwano analogii właśnie do Powstania Warszawskiego.*

J.M. — Wykorzystywano wtedy również symbole graficzne w ulotkach, znaczkach, podziemnej filatelistyce. Powstanie Warszawskie, utożsamiane z Armią Krajową i Polską Walczącą, w całym okresie PRL było przedmiotem sporu politycznego z komunistami, którzy starali się zohydzić ideę walki niepodległościowej. Powtarzali oni w pierwszych powojennych latach niesamowite brednie o powstaniu. Potem ta krytyka była słabsza i bardziej zakamuflowana. Im mocniej powstanie było przez nich opływane, tym większą świętością stawało się dla narodu.

B.P. — *Cały ruch niepodległościowy i antykomunistyczny okresu PRL nie tylko karmił się wspomnieniem Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Młodsze pokolenie, któremu nie dane było w nim uczestniczyć, chciało je powtórzyć, bo jednak nie uznało go za klęskę, lecz za bohaterstwo.*

J.M. — Gdy w latach siedemdziesiątych w Trójmieście tworzone załączki konspiracji niepodległościowej i opozycji, Tadeusz Szczudłowski mówił: róbmy Szare Szeregi, a nie wolne związki zawodowe. Mit AK i powstania był pokarmem duchowym, który dawał siłę. W jednym z esbeckich meldunków z głębokiej prowincji wyczytałem,

że na wiadukcie w Smętowie w latach sześćdziesiątych wymalowano napis: „Armia Krajowa – Katyń Pomścimy”. W 1969 r. w Pucku powstaje antykomunistyczna organizacja młodzieżowa o nazwie „7. Kompania Armii Krajowej”. Chłopcy gromadzili broń, uszyli sztandar i zaraz potem wpadli w ręce SB. Przykłady takich inicjatyw nawiązujących do legendy AK można mnożyć. Tradycja powstańcza i akowska jest też punktem odniesienia dla antykomunistycznego ruchu niepodległościowego. ROPCio uczynił Testament Polski Walczącej z lipca 1945 r. jednym ze swoich dokumentów programowych. To pokazuje, że gdyby nie Powstanie Warszawskie, Armia Krajowa, Polskie Państwo Podziemne, nie byłoby zwycięstwa „Solidarności”.

B.P. — *Literatura dotycząca powstania jest ogromna. Czy da się dziś powiedzieć coś nowego o Powstaniu Warszawskim?*

J.M. — Mam nadzieję, że powstanie zainteresuje historyków w większym stopniu jako fenomen społeczny. Ta sfera jest bardzo zaniedbana. Brakuje solidnej analizy nastrojów, postaw ludności itp. Pamiętajmy, że oprócz działań militarnych w mieście toczyło się w miarę normalne życie.

B.P. — *Ludzie się kochają, rodzą się dzieci, gotuje się jakieś jedzenie, ceruje skarpety, ludzie umierają naturalną śmiercią.*

J.M. — Miron Białoszewski znakomicie ilustruje to w swym *Pamiętniku z Powstania Warszawskiego*, pisząc, że powstania narodowe znane z podręczników były takie niezwykle, a tymczasem kiedy sam był w powstaniu, to było tak zwyczajnie, prawie banalnie. To było zetknięcie mitu z codziennością.

B.P. — *To rzeczywiście niezwykle przejmująca lektura świadka historii. Bo powstanie to czyszczenie broni i strzelanie, ale również życie biologiczne, uczuciowe, jakieś interesy.*

J.M. — Takie informacje są nawet społecznie ważne, bo humanizują legendę. Dlatego tak cenna jest każda solidna, wspomnieniowa książka, która pokazuje życie takim, jakie było. Dla mnie jedną z takich książek, obok Białoszewskiego, są wspomnienia Jana Kurdwanowskiego. Ten żołnierz jednego ze zgrupowań powstańczych tak jak dekownik Białoszewski pisał o strachu, czasami o beznadziei.

B.P. — *Moja mama kierowała harcerską służbą dziecku; dzieci się gubiły, zostawały bez rodziców. Poza tym nie należy zapominać, że właśnie dzieci, i te malutkie, i trochę większe, często widziały powstanie jako coś przerażającego, apogeum wojny. Być może wielu współczesnych krytyków powstania to są właśnie te dzieci, porażone widokiem krwi, śmiercią, zagładą miasta, okrucieństwem, waleniem się całego świata.*

J.M. — Wydaje się, że młodzi ludzie, a nawet dzieci, lepiej poradzili sobie z pamięcią o wojnie, strachem niż starsi. Trzeba pamiętać, że powstańcza Warszawa to był kawałek wolnego kraju, gdzie realizowały się marzenia o walce z wrogiem. Kolejne zagadnienie: co stało się z tymi młodymi chłopakami, bohaterami dwóch miesięcy powstania, w PRL? Czy byli potem tacy jak w 1944? To wielkie wyzwanie badawcze dla

historyków, jak dalece ta generacja pozostała wierna ideałom, a jak dalece zatraciła się pod rządami komunistów w PRL.

B.P. — *Nie nam osądzać tych ludzi, niemniej bardzo wielu z nich do końca życia dawało świadectwo wierności młodzieńczym ideałom, dla których zdrada, interes osobisty, nieliczenie się z dobrem innych czy wreszcie cynizm stanowiły obszary nie do przekroczenia.*

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 8–9 (19–20), sierpień-wrzesień 2002

KULTURA W PRL

Z Jerzym Eislerem i Ryszardem Terleckim

B.P. — W 1944 r. nowa władza miała na głowie ważniejsze rzeczy niż kultura narodowa. A jednak była w tej szczególnej sytuacji, że musiała o nią dbać, choćby nawet tylko dla celów propagandowych. Musiała się jakoś odnieść do kultury przedwojennej, poszukać ciągłości ze spuścizną narodową. Kultura jest taką dziedziczą życia narodu, która, podobnie jak wiara, jest gwarancją przejścia przez najgorsze nawet doświadczenia.

J.E. — Zacząć trzeba od tego, że punkt startu był bardzo niski. Wprawdzie w czasie okupacji niemieckiej toczyło się podziemne życie kulturalne, ale było ono tajne, jak wszystkie inne działania Polskiego Państwa Podziemnego, i z natury rzeczy ograniczone do stosunkowo wąskiego kręgu ludzi. Dlatego w Polsce lubelskiej wystarczyło puścić muzykę Chopina w Polskim Radiu, żeby było to odbierane jako coś niezwykłego. Nawiasem mówiąc, radia można było legalnie słuchać w praktyce tylko z ulicznych gigantofonów (posiadanie radioodbiorników bez specjalnych zezwoleń do czerwca 1945 r. było zabronione i zagrożone karą śmierci). Podobnie było z odbudowywanym powoli teatrem, kinem czy stopniowo rodzącym się życiem literackim. Niezależnie od rzeczywistego poziomu artystycznego wszystko było wspaniałe lub co najmniej poruszające, bo po prostu było polskie, nasze, rodzime. Możliwy stawał się kontakt z największymi dziełami kultury narodowej po ponad pięciu okupacyjnych latach. Dzisiaj nikomu nie przychodzi do głowy, że wydawanie dzieł Adama Mickiewicza czy Henryka Sienkiewicza mogłoby być działalnością propagandową, ale w latach czterdziestych i jeszcze nawet na początku pięćdziesiątych tak właśnie było. W ten sposób władza przekonywała społeczeństwo: „my też jesteśmy dobrymi Polakami, takimi samymi jak wy, uznajemy taki sam kanon lektur”. A jednak nie był on zupełnie taki sam, nawet jeśli byli to ci sami autorzy; ich twórczości nie prezentowano w całości.

Poza tym, po wojnie na przykład granie *Mazurka Dąbrowskiego* czy wywieszenie biało-czerwonej flagi było symbolem działań patriotycznych, ale też kulturowych — jesteśmy w Polsce, jesteśmy Polakami, mamy własne narodowe korzenie. Trzeba także pamiętać, że tuż po wojnie środowiska artystyczne czekały na możliwość normalnego funkcjonowania. Czas płynął bowiem nieubłaganie; okupacja spowodowała,

że bezpowrotnie zmarnowanych zostało prawie sześć lat. Co to znaczyło w praktyce? Aktorzy, którzy chcieli pozostać wierni Polsce, przez kilka lat okupacji nie mieli gdzie występować, a ci, którzy zdecydowali się „grać dla Niemców”, po wojnie mieli z tego tytułu kłopoty. Panował więc zupełnie naturalny wielki głód występów, wystawiania, prezentowania. Nie chciałbym nikogo obrazić, ale tuż po wojnie nie trzeba było tworzyć wielkich kreacji, by zbierać entuzjastyczne recenzje i wielkie oklaski. W praktyce każdy pokazywany film był wydarzeniem, ponieważ przyzwoci Polacy w czasie okupacji nie chodzili do kina. Myślę, że od tej strony organizatorzy powojennego życia kulturalnego mieli ułatwioną sytuację. Poważnym utrudnieniem były natomiast powojenne warunki ekonomiczne: brakowało sal kinowych, teatralnych, sprzętu oświetleniowego i nagłaśniającego, materiałów poligraficznych, papieru – praktycznie wszystkiego. Porównałbym to do sytuacji z końca lat siedemdziesiątych, gdy pojawiły się książki drugiego obiegu. Często były one ledwie czytelne, ale sam fakt ich wydania był tak ważnym wydarzeniem, że ludzie „katowali się” drukiem i spędzali nad nimi noce, żeby móc je pożyczać dalej. Jak jest bardzo źle, to wystarczy, żeby było odrobinę lepiej, żeby już były zachwyty. Taki był początek kultury w Polsce Ludowej.

B.P. – *Warto powiedzieć i o tym, że państwo, które starało się być normalne, musiało dopuścić działania tworzące kulturę. Aby ominąć spontaniczność w tej dziedzinie, władze komunistyczne zaczęły realizować tak zwaną politykę kulturalną, co samo w sobie stanowi zaprzeczenie twórczości.*

R.T. – W pierwszych powojennych latach władza rzeczywiście nie miała głowy do kultury, miała inne smartwienia. Poza tym, ze względów czysto politycznych, musiała odnieść się do szoku, jaki przeżyła znaczna część społeczeństwa po wejściu Sowietów, szczególnie na zabranej Polsce połowie jej wcześniejszego terytorium. Wieści o palonych bibliotekach, niszczonej dworach, rabowanych zbiorach itd., docierające stamtąd, ale także z terenów tak zwanej Polski lubelskiej, były straszne. Trzeba było jakoś przekonać społeczeństwo, że to tylko wojenny zamęt, że przeminął bezpowrotnie, a teraz kultura znajdzie się pod troskliwą opieką państwa.

Ponadto przesunęły się granice Polski. Tym sposobem przepadła ogromna część spuścizny narodowej, w tym wielkie centra kulturalne – Lwów i Wilno, a wraz z nimi część historii, której – wydawało się – nie sposób zapomnieć ani oderwać od narodu. A z drugiej strony trzeba było rywalizować z kulturą zastaną na ziemiach zachodnich, trzeba było się z nią zmierzyć. Osadnicy, którzy tam przyjeżdżali, napotykali nie tylko wyższy standard życia, ale także zupełnie inną architekturę, sztukę sakralną czy użytkową.

B.P. – *Można to nazwać szokiem cywilizacyjnym.*

R.T. – To był jeden z najtrudniejszych zakrętów naszej historii. Z jednej strony coś stracono, jeszcze wtedy ludzono się, że nie bezpowrotnie, a z drugiej strony coś zyskano, ale obcego, nieoswojonego i jakby troszkę lepszego, szczególnie pod względem kultury materialnej. Kolonizowanie tych terenów było trudnym zadaniem.

B.P. — *Mówi pan o trudzie obiektywnym czy propagandowym?*

R.T. — On był i obiektywny, i także trochę narzucony. Władza natychmiast zaczęła zachęcać uczonych, ale nie tylko ich, również twórców kultury, żeby tę zdobycz historycznie i moralnie uzasadnić, a stratę pomóc zapomnieć.

B.P. — *Kogo personalnie, w kręgach ówczesnej władzy, stać było na głębszą refleksję nad rolą i miejscem kultury?*

J.E. — Na pewno Jerzego Borejszę. Był on nie tylko szefem „Czytelnika” i menedżerem, ale także człowiekiem, który uważał, że twórców, pisarzy, artystów warto „dopieścić”, że trzeba „zalecać się” do nich, poświęcić im więcej uwagi. Zdarzało mu się nawet jeździć za granicę i namawiać pisarzy do powrotu, a także (i to wcale nie-rzadko!) prowadzić z pisarzami w Polsce finezyjną grę. Nie straszył, nie groził — od tego byli inni — ale cierpliwie przekonywał: „Nie musi pan iść z nami czy za nami — mówił — proszę tylko, żeby pan pisał, a my będziemy to wydawać”. Im głośniejsze było nazwisko twórcy, tym obiecywał mu większy zakres swobody. To, co było wykluczone dla młodego, debiutującego literata, było dopuszczalne dla Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Dąbrowskiej, Zofii Nałkowskiej czy Juliana Tuwima. Takie nazwiska na swój sposób ozdabiały i nobilitowały tę nową władzę, czyniąc ją jeszcze bardziej polską. Dawało to do ręki argumenty i pozwalało mówić o ciągłości polskiej kultury.

Jeżeli wydawano pisarzy przedwojennych (oczywiście tylko niektórych!), to oznaczało to, że przez te lata nic się właściwie nie zmieniło albo zmieniło się bardzo niewiele, i to na pewno na lepsze.

Człowiekiem, którego w obozie władzy stać było na głębszą refleksję i „specjalne” podejście do twórców, był też z pewnością wywodzący się ze środowiska przedwojennych komunistów Karol Kuryluk — późniejszy minister kultury i sztuki oraz ambasador w Austrii w latach sześćdziesiątych.

Pamiętajmy, że część osób odpowiedzialnych wtedy za kulturę miała za sobą studia uniwersyteckie. Byli to ludzie wykształceni, czytani, znający obce języki i dobrze czujący się w świecie nauki, kultury i sztuki. Często patrzemy na komunistów przez pryzmat prymitywnego aparaczyka, owego przysłowiowego towarzysza Szmaciaka. Oczywiście tacy też byli, a nawet dominowali. Ale obok nich znaleźli się inni, którzy nie byli od bicia, straszenia czy wygłaszania prymitywnych przemówień pseudoideologicznych, tylko od „kuszenia” uczonych, artystów, pisarzy, niektórych, zwłaszcza starszych dziennikarzy. Tadeusz Konwicki opowiadał, jak to Borejsza wysłał go do Warszawy. Młodego, będącego na początku drogi literackiej, dwudziestoletniego pisarza ulokowano między dyplomatami w hotelu Bristol i obwieziono po mieście wielką, luksusową limuzyną Borejszy. Wtedy już inwestowano w młodych. Pojawia się pytanie, na które nie można chyba udzielić jednoznacznej odpowiedzi: jak dalece ludzie w rodzaju Borejszy, Kuryluka i jeszcze kilku innych — byli w swoim działaniu niezależni? Przecież władza miała na głowie w tym pierwszym okresie naprawdę ważniejsze problemy: chociażby pełne partyzantów lasy, nieuregulowaną kwestię granic,

Polskie Stronnictwo Ludowe, zagospodarowywanie ziem zachodnich i północnych itd. W tej sytuacji twórcom można było zostawić większą swobodę działania.

Z czasem – myślę, że ten proces zaczął się w 1947 r. i nasilił się w roku następnym – ten margines wolności władze zaczęły systematycznie ograniczać. Nie wystarczyło już nie być „przeciw”, trzeba było się opowiadać „za”, choć jeszcze we wrześniu 1946 r. na zjeździe w Łodzi literaci bronili prawa do wyboru metody twórczej i przeciwstawiali się zaostrażaniu cenzury. Należy dodać, że podobne procesy – prędzej czy później – można było zauważyć w praktyce we wszystkich rodzajach twórczości artystycznej. W takim klimacie w sierpniu 1948 r. zorganizowano we Wrocławiu Światowy Kongres Intellektualistów w Obronie Pokoju – imprezę propagandową w prawdziwie sowieckim stylu. Z kolei w początku 1949 r. odbył się w Szczecinie zjazd pisarzy, w czasie którego oficjalnie proklamowano socrealizm w literaturze. Zaczynała się era brutalnie narzuconego twórcom realizmu socjalistycznego i zarazem definitywnie skończył się czas eksperymentowania...

Z naszego pola widzenia nie może jednak zniknąć jeszcze jedna kwestia: zakrojona na bardzo szeroką skalę akcja likwidacji w Polsce analfabetyzmu, która zawsze jest ukazywana jako wielkie osiągnięcie powojennej Polski. Owszem, uczono ludzi czytać i pisać, ale uczono ich – dopowiedzmy – posługując się określonymi książkami. W niebyt odchodziła praktycznie cała emigracyjna literatura polska, podobnie jak wiele tekstów napisanych w kraju. Z księgarń zniknęły całe nakłady; z bibliotek metodycznie wycofywano i przeznaczano na przymiał te nieliczne książki wydane przed 1939 r., które niejednokrotnie cudem ocalały w czasie wojny. Do 1948 r. funkcjonowały prywatne wydawnictwa, prywatne firmy płytowe, prywatne księgarnie. Mimo że od samego początku Polski Ludowej funkcjonowała cenzura, w latach 1945–1947 rynek wydawniczy był zróżnicowany. Począwszy od 1948 r., nie było już mowy o żadnych odcieniach czy kolorach. Skończyły się wszystkie wcześniejsze dysputy ideologiczne, w tym słynny spór, który toczył się w Krakowie między katolikami a marksistami – spór między redakcją „Tygodnika Powszechnego” a środowiskiem „Kuźnicy”.

R.T. – Do 1947 r. była jeszcze rywalizacja z PSL, które co prawda nie miało pieniędzy i zorganizowanych elit, było natomiast partią oporu narodowego. Zaraz po wojnie rozkwitła spontaniczna działalność kulturalna pod patronatem PSL. Szczególnie było to widać na prowincji: uniwersytety ludowe, zespoły, wystawy, teatry amatorskie, chóry, dziesiątki rozmaitych inicjatyw kulturalnych. To wszystko skończyło się w 1948 r. Kultura została upaństwowiona, nie było już mowy o prywatnych, samorządowych czy społecznych przedsięwzięciach.

J.E. – Po 1948 r. Polskę zalała fala bezwartościowego „śmiecia” w postaci sowieckiej literatury socrealistycznej. Usiłowano przekonywać, że nasz sąsiad ma ogromne dokonania w tej dziedzinie, przy czym nie chodziło tu o wielką klasykę rosyjską (Puszkina, Czechowa, Dostojewskiego, Tolstoj itd.), ale o tandetną tak zwaną literaturę zaangażowaną. Drukowano ją w wielkich nakładach i nikt nie śmiał tych dzieł krytykować.

B.P. — *Skąd pochodzi pojęcie «socrealizm» i jaka jest jego historia?*

J.E. — W krajach totalitarnych zawsze twórcami wszelkich wielkich idei i dokonań są dyktatorzy. Zaslugę twórcy należy zatem przypisać Józefowi Stalinowi. Jego „piękną ideę” wdrażał i propagował Andriej Żdanow. To on był głównym orędownikiem angażowania się twórców w dzieło realizmu socjalistycznego. Dlatego po 1956 r. bardzo chętnie mówiono o błędach żdanowszczyzny. I tak jak Ławrientij Beria miał być odpowiedzialny za niemal wszystkie zbrodnie stalinowskiego aparatu bezpieczeństwa, tak Żdanow — choć przecież zmarł w 1948 r. — był tym, na którego bardzo chętnie zrzucano całą odpowiedzialność za wszystko to, co działo się w tamtych latach w nauce i kulturze. Nie możemy jednak zapominać, że w Polsce na przełomie lat 1948–1949 pojawili się nasi rodzimi ideolodzy socrealizmu. Najprościej byłoby wskazać Włodzimierza Sokorskiego, który był ministrem kultury i sztuki w tym najgorszym okresie. Należy tu jeszcze przywołać i Leona Kruczkowskiego, i Jerzego Putramenta, i Adama Schaffa, i Stefana Żółkiewskiego, a także wielu pisarzy, którzy później zerwali z komunizmem, wystąpili lub zostali wyrzuceni z PZPR i w następnych latach współpracowali z opozycją: Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza i Mariana Brandysów, Tadeusza Konwickiego, Igora Newerlego, Juliana Strykowski, Adama Ważyka czy Wiktora Woroszyńskiego. To jest bardzo długa lista. W przypadku Polski na pewno łatwiej jest wymieniać tych, którzy na tę drogę nie wkroczyli. Zwykle przy takich okazjach wspomina się Zbigniewa Herberta, Leopolda Tyrmand, Jerzego Zawieyskiego, którzy znaleźli się na marginesie życia umysłowego, i prawdę powiedziawszy, niewiele więcej. Nawet Stanisław Lem — do czego po latach samokrytycznie się przyznawał — w książce *Mgławica Andromedy* poczynił bardzo wiele ustępstw na rzecz Wielkiego Brata — wychwalając sowiecką naukę i technikę.

B.P. — *Tworzenie listy ludzi przyzwoitych i nieprzyzwoitych nie jest naszym celem, ale warto mieć świadomość motywów i mechanizmów ustępstw twórców wobec władzy.*

J.E. — Moim zdaniem największym nadużyciem, które popełniano w Polsce w następnych latach, było nazywanie stalinowcami tych, którzy rozstali się z partią i z komunizmem, a potem związali się z opozycją i „Solidarnością”. Jednocześnie z pola widzenia niknęli Bohdan Czeszko, Roman Bratny, Jerzy Putrament i cała masa pisarzy, którzy byli stalinowcami, pozostali z partią i w partii, i byli do końca z tą formacją bardzo mocno związani. Tymczasem i dziś jeszcze wypomina się partyjną przeszłość i grzechy młodości Woroszyłskiemu, Konwickiemu, Jackowi Bocheńskiemu i innym.

B.P. — *W jakimś sensie podzielam taką potrzebę, zwłaszcza w przypadku twórców, którymi w tamtym okresie władza się podpierała, a którzy potem niejednokrotnie kreowali się sami lub których kreowano na autorytety moralne. W pewnym momencie nie stanęli oni twarzą w twarz ze swoimi czytelnikami, jak zrobił to na przykład właśnie Wiktor Woroszyński, by powiedzieć: tak byłem w tym, byłem winny, ale teraz jestem z wami, zro-*

zumcie mnie. Grzebanie w brudach, chcemy tego czy nie, leży w ludzkiej naturze; jeżeli samemu się ich nie upierze, to takie są właśnie efekty.

R.T. — I jeszcze jedno. Należy pamiętać o tych wszystkich, którzy nowej rzeczywistości nie zaakceptowali. Żeby przeżyć stalinizm i socrealizm w życiu publicznym, trzeba było z nim współpracować, w ciągu tych siedmiu czy ośmiu lat nie dało się inaczej. Ale byli przecież tacy, którzy zamilkli — w muzyce, teatrze, literaturze, w malarstwie. Zniknęli. Dziesięć lat w życiu czterdziestolatka to jest dużo — jeśli ktoś zajął się leśnictwem, konserwacją mebli czy księgowością w biurze — to nawet gdy udało mu się znów pojawić po 1956 r., i tak zmarnował najlepsze lata. My dziś potrafimy wymienić tych, którzy zachowali się niezłomnie, którzy wytrzymali tę presję, ale powinniśmy pamiętać też o tych, których niezłomność poszła jeszcze dalej — zamilkli, bo nie podjęli nawet próby kompromisu. Jak się to wówczas mówiło: wybrali wewnętrzną emigrację.

B.P. — *Myszę, że to jest wielki dramat twórcy. I myślę również, że ten dramat został pogłębiony przez to, co nazywa się polityką kulturalną. Potencjał twórczy można realizować, również będąc księgowym. PRL zrobił z twórczością coś takiego, co jest dla mnie rzeczą zatrważającą — wyniósł ją do rangi zawodu. Stworzył na przykład związki twórcze, których masowość jest co najmniej zastanawiająca. Nie znam żadnej innej rzeczywistości, poza rzeczywistością państw komunistycznych, w której tak zwanych twórców były tak ogromne rzesze. Wśród nich, posiadających legitymacje twórcy, było przynajmniej 80 proc. — najlapidarniej mówiąc — miernot. Ranga twórcy i apanaże, jakie z tym się wiązały, spowodowały, że ci, którzy byli poza nimi, rzeczywistość nigdy już nie mogli się przebić.*

R.T. — Poza tym znaleźli się w pułapce. Romantycy, gdy po Powstaniu Listopadowym nie mogli pisać w kraju, wyjechali na emigrację. W PRL granice zatrzęsły się na dziesięć lat, a przez następną dekadę uchylały się tylko dla starannie wybranych.

J.E. — Określenie „zatrzęsły się” jest bardzo ważne i — moim zdaniem — doskonale oddaje istotę sprawy. Pamiętajmy, że Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Marian Hemar wyjechali i tworzyli bez cenzury na obczyźnie, byli emigracją jeszcze wojenną. Oni — podobnie jak na przykład Jerzy Giedroyc i ludzie z kręgu „Kultury” — pozostali po wojnie za granicą. Można było jeszcze — mniej czy bardziej legalnie — wyjechać z Polski, powiedzmy do 1947 r., ale od pewnego momentu takiej możliwości już nie było. Wtedy właśnie — jak to trafnie ujął Ryszard Terlecki — „drzwi się zatrzęsły”. Oczywiście można było pisać „do szuflady”, ale po pierwsze, w państwach dyktatorskich — jak to obrazowo określił Paweł Jasienica — nikt nie mógł być „panem swojej szuflady” i dlatego jakże często pojawiała się autocenzura, a po drugie — wiemy to dzisiaj — wówczas dość powszechnie uważano, iż ta nowa sytuacja będzie trwała wiecznie. Żeby zaś zostać wielkim poetą czy pisarzem, naprawdę nie wystarczyło pisać „do szuflady”, trzeba było przede wszystkim wydawać swoje utwory, mieć

czytelników i pozostawać z nimi w żywym kontakcie, cieszyć się uznaniem krytyki, wreszcie otrzymywać prestiżowe nagrody.

Co zatem wydawano i czytano w PRL? Przede wszystkim oba te pojęcia należy wyraźnie rozróżnić. Przecież nie wszystko, co oficjalnie wydawano, było powszechnie czytane (wystarczy przypomnieć tak zwaną literaturę społeczno-polityczną), a z drugiej strony stosunkowo często czytano to, co publikowano w sztucznie ograniczanych nakładach (na przykład literatura sensacyjna, romanse, kryminały, ale też współczesna poezja, literatura iberoamerykańska, niektóre opracowania z zakresu historii najnowszej, memuarystyka itd.). Żeby lepiej zilustrować tę dziwną sytuację, przypomnę pewien znamienny żart sprzed lat. W księgarni pod sufit wypełnionej książkami rozgląda się z zainteresowaniem facet, który w pewnej chwili z zakłopotaniem pyta sprzedawcę: „A może ma pan coś do poczytania?”. Trzeba bowiem przypomnieć, że w odróżnieniu na przykład od sklepów mięsnych, w których nierzadko były tylko przysłowiowe nagie haki, w księgarniach zawsze było pełno książek. Rzecz w tym, że zwykle nie tych, które ludzie chcieli czytać. Powstała wtedy bowiem masa złych literacko i/lub nieuczciwych intelektualnie książek. Brakowało tych, których w peerelewskich księgarniach po prostu być nie mogło. Mam na myśli dzieła, które napisali George Orwell, Arthur Koestler czy Aleksander Sołżenicyn, literaturę łagrową, napisane na zachodzie książki dotyczące najnowszej historii Polski itd.

W czasach Polski Ludowej żartowano gorzko, że aby zostać członkiem Związku Literatów Polskich, trzeba było wydać dwie książki albo... dwóch kolegów. Ten ponury żart nie wziął się przecież z niczego. Mieliśmy wówczas pisarzy, których dorobek artystyczny był w praktyce żaden, a którzy byli doskonale notowani na salonach ówczesnej władzy. Pojęcie grafomanii – w odniesieniu do takich ludzi jak Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski czy Mieczysław Róg-Świostek – jest jak najbardziej na miejscu. A przecież ich książki były wydawane w dużych nakładach, były nagradzane i pokazywane jako „osiągnięcia naszej socjalistycznej kultury”.

R.T. – Było jeszcze jedno zjawisko, bardzo ciekawe, które wymuszało na władzy dokooptowanie rozmaitych miernot do grona literatów. Już w połowie lat pięćdziesiątych, a z pewnością w latach sześćdziesiątych, Związek Literatów Polskich stał się, można bez przesady tak powiedzieć, namiastką parlamentu. Zjazdy, wybory do władz ZLP, zebrania organizacji lokalnych – wzbudzały zainteresowanie społeczeństwa, były komentowane, omawiane. Plotki na ich temat krążyły w życiu publicznym, swoim rozgłosem znacznie przerastając rangę wydarzeń. W czasach, gdy nie było parlamentu, nie było normalnego sejmu, a wybory odbywały się na niby – środowisko literackie zdołało stworzyć substytut demokracji. Ekscytowano się, i to wcale nie tylko w gronie pisarzy, tym, kto został, a kto nie został delegatem na zjazd, kogo wybrano do zarządu, kogo z „czerwonych” wycięto podczas wyborów.

B.P. – *Gdybyśmy zatrzymali się tylko na twórcach słowa, to sprawa jest dość prosta. Taka twórczość wymaga wydawania, nakładów itd. Podobnie*

ze sztuką filmową, której autorzy nie mogli sobie pozwolić na eksperymenty artystyczne z powodu zależności od mecenatu państwowego, ale są obszary twórczości, którym rygory socrealizmu trudniej było narzucić. Myślę o sztukach plastycznych, muzyce. W PRL środowiska plastyków miały się po prostu świetnie. Przynależność do związku twórczego dawała możliwość zdobywania farb i innych materiałów. Oczywiście wymóg socrealizmu odbił się jakimś piętnem na salach wystawowych, ale ludzie malowali też inaczej, a dorobek trzymali w domu.

R.T. – Muzyka też się nie obroniła. Ulubioną przez wszystkie totalitarystyczne formy pacyfikowania kultury była „pieśń masowa”, często w rytmie marsza, najpierw upajająca tłumy rewolucyjnym entuzjazmem, nieco później zagrzewająca do niewolniczej pracy. Pieśń masową jako zadanie dla twórcy wynaleźli bolszewicy, udoskonaliłi hitlerowcy, upowszechnili stalinowcy. W Polsce po 1956 r. śpiewano ją na pochodach i akademiach, ale ponieważ Gomułka gustował w „zespołach pieśni i tańca” w rodzaju „Mazowsza” i „Śląska”, stopniowo zniknęła z repertuaru radia i telewizji. Za Gierka unikano przypominania czasów Gomułki, w zamian próbowano wywołać nostalgię za latami Bieruta, a stalinowską pieśń masową chętnie wykonywano w nowych aranżacjach. Jaruzelski, który wielu osobom nasuwał skojarzenia z Pinochetem, przywrócił nie tylko obozy odosobnienia, ale także marsze w telewizji. Mnie – pozwolę sobie na osobiste wspomnienie – pieśń masowa kojarzyła się jednoznacznie: w grudniu 1970 r. na Montelupich budzono więźniów wiązaną takich pieśni, nadawanych z głośnika umieszczonego nad drzwiami celi.

J.E. – W 1950 r. w konkursie na pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, zniszczony jesienią 1989 r., główną nagrodą miał być zachodni sportowy samochód (choć ostatecznie skończyło się „tylko” na škodzie). Porównując do dzisiejszych standardów to tak, jakby nagradzać zwycięzcę – czy ja wiem – helikopterem? Inny przykład: Leopold Staff na urodziny dostał od premiera Józefa Cyrankiewicza w pełni umeblowane mieszkanie w Alei Róż. A mówimy przecież o zrujnowanej Warszawie z początku lat pięćdziesiątych, kiedy po kilka rodzin mieszkało w jednym mieszkaniu. Takich przykładów można by podać więcej. Mówi się, że jest to wulgaryzowanie problemu, sprowadzanie wszystkiego do pieniędzy – były przecież jakieś ideały, zapał i fascynacja nowym itd. Nie neguję tego, choć oczywiście trudno ustalić, która z tych rzeczy u kogo przeważała. Czy jest zresztą coś piękniejszego dla twórcy niż robić to, co się lubi i uważa za ważne i potrzebne, a jeszcze dodatkowo dostawać za to imponujące honoraria?

Badacz tej epoki Dariusz Jarosz odszukał dokument z 1959 r. zawierający uwagi kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR Andrzeja Werblana dotyczące zarobków literatów za 1958 r. Zirytowany utyskiwaniami pisarzy na to, że ciągle źle im się powodzi, na podstawie ustaleń Najwyższej Izby Kontroli zestawił wykaz rocznych i miesięcznych zarobków niektórych twórców, przy czym w wyliczeniach tych nie uwzględnił dochodów z tytułu honorariów za artykuły prasowe oraz ze „stałych za-

jęć poza dziedziną sztuki” (na przykład pracy na uczelniach). A zatem w przypadku wielu literatów rzeczywiste dochody były jeszcze wyższe. Jest to wręcz szokujący dokument. Okazuje się bowiem, że w czasie, kiedy średnia miesięczna płaca w przemyśle wynosiła około 1700 złotych, na przykład Jarosław Iwaszkiewicz zarabiał ponad 35 tys. miesięcznie, Janusz Messner i Jerzy Jurandot po ponad 25 tys., a Roman Bratny – prawie 13 tys. złotych. Jeszcze wyższe dochody osiągnęli spadkobiercy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – ponad 20 tys., Tadeusza Boya-Żeleńskiego – blisko 33 tys. oraz Juliana Tuwima – ponad 53 tys. Myślę, że te kwoty z powodzeniem można w skali jeden do jednego porównywać z dzisiejszą wartością złotych. Aspekt materialny z pewnością więc też był ważny. Ale był jeszcze trzeci czynnik.

Myślę tutaj o strachu czy może raczej o strachach. A zatem lęk przed milczeniem: jeżeli nie będę pisał i moje teksty nie będą drukowane, nie będę miał szansy literacko zaistnieć i znajdę się w historycznym niebycie. Były oczywiście i inne strachy, że trzeba pisać tak, żeby to było cenzuralne, strach przed utratą tej dobrej sytuacji materialnej. Jak mnie wyrzucą ze związku, to skończą się wczasy w Oborach, wyjazdy, sympozja, konferencje, stypendia zagraniczne. Kto w Polsce w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych mógł sobie na to pozwolić? A kto chciał sobie na to pozwolić? Wreszcie ten strach może najbardziej dotkliwy, do którego ludzie najmniej chętnie się przyznają – strach przed bólem, przed więzieniem, przed fizycznym unicestwieniem. Mamy przykłady pisarzy (Paweł Jasienica), o których nie można powiedzieć, że zostali zamordowani, ale wokół których stworzono tak obrzydliwy klimat insynuacji i pomówień, że przyczynił się on do ich przedwczesnej śmierci. Każdemu człowiekowi trudno żyłoby się w klimacie donosicielstwa, inwigilacji, szkalowania w mediach. Artystom, z racji ich wrażliwości, bronić się przed tym wszystkim było zapewne jeszcze trudniej. Wszystko to można też odnieść do innej ofiary Marca 1968: Jerzego Zawieyskiego, choć w tym przypadku nie możemy wykluczyć, że pisarz został zamordowany. Władza komunistyczna potrafiła bowiem obsypywać twórców dobrami i zaszczytami, jak może żadna inna. Wszelako potrafiła też ich tak skrzywdzić i niszczyć, jak żadna inna.

B.P. – *Kraków jest szczególnym miastem (choć myślę, że wśród mniejszych miast prowincjonalnych można by znaleźć podobne), gdzie zniszczenia wojenne były nikłe, a wojna nie odmieniła istotnie wizerunku społecznego. Czy można powiedzieć, że powojenna kultura rozwijała się inaczej, niż to wynika z obrazu ogólnego? Na razie jeszcze mówimy o tym najgorszym okresie, o stalinizmie. Czy bycie artystą w Krakowie w jakkolwiek sposób różniło się od bycia nim w Warszawie?*

R.T. – Przede wszystkim twórcy w Krakowie mieli mniejsze możliwości współpracy z władzą. Poza tym trzeba pamiętać, że na życie kulturalne Krakowa ogromny wpływ wywarli warszawiacy, w tym twórcy i inteligencja, którzy przyjechali po Powstaniu Warszawskim i zostali przynajmniej na parę lat. Na pewno w Krakowie

wszystkiego było mniej niż w Warszawie — możliwości, apanaży, posad. Równocześnie było nieco więcej spokoju. Kraków nie miał takich doświadczeń, jak Powstanie Warszawskie, których władza nie lubiła, a o których pamięć stanowiła dla niej wciąż aktualne zobowiązanie.

B.P. — *Myślę o czymś innym, co może niełatwo opisać. Społeczeństwo Warszawy ocierało się o zgrozę i ohydę zniszczeń wojennych. Obcowało się na co dzień z czymś, co nie tylko jest ruiną, jest śladem po tym, co zostało bezwzględnie zniszczone. Wyobrażam sobie, że w mieście, które ocaliło swoje zabytki, instytucje, świątynie, od setek lat wyznaczające rytm polskiej kultury, były w społeczeństwie inne nastroje.*

R.T. — Pewnie tak, chociaż i przed Krakowem stało niezwykle wyzwanie, gdy wymyślono, że będzie on małym, starym miasteczkiem, przy którym wyrośnie Nowa Huta, wielka i nowoczesna aglomeracja.

J.E. — Zadałbym jeszcze dalsze pytanie. Czy to, że w niektórych domach na ścianach nadal wisały mniej lub bardziej cenne płótna, przynajmniej w jakimś stopniu nie chroniło przed nowym, które mógł symbolizować obraz „podaj cegłę”? W Warszawie rzeczywiście panowała ohyda ruin, a w Krakowie była porcelana, książki, obrazy, dywany. Takie piękno codziennego dnia.

B.P. — *A w Warszawie jedynie obrazy wisiły w urzędach publicznych, przedstawiały facetów z czerwonymi sztafardami, w sportowych gatkach i podkoszulkach. Czy można jakoś podsumować zniszczenia, które w polskiej kulturze zostały po okresie stalinowskim?*

J.E. — Wbrew pozorom nie zniszczono tak wiele. W Warszawie powstał Pałac Kultury i Nauki, MDM, Muranów i kilka nowych dzielnic na obrzeżach. Ale w tym samym czasie założono całe nowe miasta: Tychy czy Nową Hutę. Poza architekturą, która z natury rzeczy jest trwała, jestem zdania, że socrealizm — jeśli chodzi o estetykę — nie zniszczył aż tak wiele. Bardzo szybko okazało się, że malarze potrafią malować nie tylko sportowców i robotników. Że pisarze potrafią pisać nie tylko o wydobywaniu węgla i przodujących brygadach robotniczych. Że filmowcy potrafią mówić mimo cenzury i wszystkich ograniczeń o sprawach naprawdę ważnych, dotyczących historii narodu i społeczeństwa, a nie tylko o wydumanych problemach w tak zwanych produkcyjniakach. Myślę, że w sferze mentalności te zmiany nie okazały się na szczęście zbyt trwałe i głębokie. Pozostały natomiast ślady: książki w bibliotekach, do których można sięgnąć po zapis tamtych lat, pozostały obrazy i rzeźby, które — jak widzieliśmy w filmie Andrzeja Wajdy — leżą gdzieś w muzealnych magazynach i tylko okazjonalnie są eksponowane. Socrealizm tym się charakteryzował, że nie zakorzenił się zbyt głęboko, ale był za to powszechny.

B.P. — *Ja jednak myślę, że tych pozostałości jest więcej. Proszę nie zapominać, że odbiorcami kultury są ludzie w różnym wieku i rodowodzie. Powojenne pokolenie było wychowywane w estetyce socrealizmu, atakują-*

cej wzrok i słuch. Stąd bierze się najpierw moda na estetykę meblościanki, a następnie gładkie łyknięcie kultury masowej.

R.T. – Dotąd mówiliśmy głównie o kulturze elity, ale jest też oczywiście kultura mas, które nie czytają książek albo czytają ich bardzo niewiele, raczej czytają prasę. Prasa była najsłabszym ogniwem w tej mozaice masowych działań kulturalnych, które tworzył PRL. Polska powojenna była na szarym końcu w Europie pod względem liczby tytułów prasy. W PRL wychodziło mniej gazet niż w Rumunii. Jeżeli mówimy, że w 1956 r. coś się radykalnie zmieniło, to mówimy o kulturze elit. Następna dekada czy następne piętnaście lat tak daleko nie odbiegły od tego, co było w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych.

A równocześnie stało się coś strasznego w kulturze polskiej po 1956 r. i w latach sześćdziesiątych. Większość społeczeństwa zdecydowanie odwróciła się od przeszłości. Pojawiła się zaszczepiona przez komunistów pogarda dla tego, co było pamiątką po minionych pokoleniach, co należało do historii narodu. Ludzie bez żadnej refleksji, bez żadnego żalu rozstali się z dorobkiem pokoleń, na przykład z meblami...

B.P. – ***...które po prostu wyrzucano na śmietnik.***

R.T. – Wtedy w nielicznych antykwariatach można było za grosze kupić stare książki, stare pocztówki, monety, broń. To wszystko traktowano jak niepotrzebne śmieci.

Jednak w historii PRL dwukrotnie doszło do rewolucji kulturalnej, niezależnej od systemu, od reżimu, Sowietów. To były rewolucje cywilizacyjne. Najpierw, na początku lat sześćdziesiątych telewizja stała się nośnikiem kultury. Nie książka, nie gazeta, nie radio, nie teatr ani kino, lecz telewizja. To był moment przełomu. Nie wiem, czy byłby możliwy socrealizm w telewizji, szczególnie na początku, gdy władza jeszcze nie umiała zagospodarować tego nowego medium. W końcu lat siedemdziesiątych oglądałem telewizję na Kubie. Pokazywano bieżące wiadomości i programy polityczno-publicystyczne, a ponadto głównie przedwojenne amerykańskie filmy, czasem nawet nieme, którymi zapełniano kilka godzin programu. Filmy socrealistyczne, produkowane w państwach komunistycznych, były czymś bardzo rzadkim, a sowieckich produkcji nie nadawano, bo poza Sowietami nikt na świecie nie był w stanie tego oglądać.

J.E. – Władze komunistyczne dość długo nie doceniały propagandowych możliwości telewizji. Na pewno nie doceniał ich Władysław Gomułka i może właśnie dlatego lata sześćdziesiąte to były złote lata Teatru Telewizji, Kabaretu Starszych Panów, wielu znakomitych programów satyrycznych, Jana Kociniaka i Jana Kobuszewskiego czy Jacka Fedorowicza i Bogumiła Kobieli. Zapomina się też często o telewizyjnym uniwersytecie dla nauczycieli i o tym, że w telewizji odbywały się pasjonujące dyskusje na wiele ważnych tematów. A wszystko to działo się w okresie funkcjonowania cenzury i dyrektyw płynących z Biura Prasy KC! Gwoli prawdy trzeba tu przypomnieć, że w znacznym stopniu działo się tak za sprawą tego samego Włodzimierza Sokorskiego, który w okresie stalinowskim jako minister kultury i sztuki doglądał dzieł socrealistycznych, a w latach 1956–1972 był liberalnym – jak na standardy realnego socjalizmu – pre-

zesem Komitetu do spraw Radia i Telewizji. W latach sześćdziesiątych telewizja była naprawdę dobrej jakości, również pod względem zagranicznych zakupów. Co prawda filmów zachodnich nabywano niewiele, ale kupowano zwykle rzeczy najlepsze.

Podobnie było z zakupami filmów do kin. Oczywiście nie wszystko z amerykańskiej produkcji filmowej można było pokazać w PRL z powodów cenzuralnych (politycznych!), były też niekiedy obrazy po prostu zbyt drogie, jak na standardy gomułkowskiego „siermiężnego socjalizmu”, ale dwadzieścia amerykańskich filmów pokazywanych w Polsce w skali roku było zwykle najciekawszymi dokonaniem tamtejszej kinematografii. Może brzmi to trochę jak pochwała polityki kulturalnej epoki Gomułki, ale — pamiętajmy — za Gierka zaczęła się już komercjalizacja telewizji i repertuaru kinowego. W tym czasie klasa zachodnich filmów sprowadzanych do Polski znacznie się pogorszyła. I mimo że trudno mi to powiedzieć, to pod tym względem okres Gomułki był najlepszy. Chociaż Gomułka był dogmatykiem i doktrynerem, choć zwalczał intelektualistów, to aż do czasu powstania drugiego obiegu właśnie w latach sześćdziesiątych kultura miała się w Polsce relatywnie najlepiej. Nie było już tego okropnego gorsetu socrealizmu, ale też nie było jeszcze tego propagandowego skretynienia lat siedemdziesiątych.

R.T. — A jednocześnie nastąpił gigantyczny przyrost oglądalności telewizji. W 1960 r. było 400 tys. odbiorników, a po dziesięciu latach już dziesięciokrotnie więcej. Początkowo chodziło się do sąsiadów, a na wsi do klubokawiarni, jednak na początku lat siedemdziesiątych telewizja stała się ogólnodostępna. Wtedy właśnie dostrzeżono jej znaczenie propagandowe. Reżim zrozumiał, że tak powszechne medium trzeba jakoś wykorzystać.

B.P. — *Ja z pewnym uporem powrócę do społecznej roli kultury. Naturalnie, twórcy należą do elity, ale zadaniem twórców, i nie jest to wymysł państwa socjalistycznego i komunistów, jest rola koryfeusza. Zarzuca się Polakom (a jest to zarzut, by tak powiedzieć, wewnętrzny i zewnętrzny), że jesteśmy narodem niekulturalnym, narodem, który ma małą wiedzę o kulturze światowej i jest mało nią przesiąknięty, również nie szanującym swojej własnej spuścizny kulturalnej.*

R.T. — Skąd się nauczyć zachowania przy stole, gdy w stołówce pracowniczej czy w barze mlecznym trzeba jeść aluminiową łyżką?

B.P. — *Cóż z tego, że filmowano Lalę, czy Pana Wołodyjowskiego, skoro w szkole przekonywano, że tamte czasy i tamci ludzie byli po prostu beznadziejni. Nie wiadomo, po co Polacy walczyli, o co walczyli, a dopiero socjalistyczne czasy są wypełnione treścią i formą. Kultura obyczaju, dobre wychowanie były ośmieszane, a w najlepszym razie egzotyczne.*

J.E. — Ma pani rację mówiąc, że to, co się nazywa kulturą użytkową, kulturą społeczną, powszechną, zostało straszliwie zrujnowane.

R.T. — Dodajmy do tego zniszczenie krajobrazu.

J.E. — Na przykład nie musimy mieć żadnych kompleksów, jeśli chodzi o poziom starych, dobrych polskich uczelni. Niezależnie od ekonomicznej miserii na pewno w wielu dziedzinach nie ustępują najlepszym uniwersytetom na świecie. Ale jeśli zejdziemy na niższy poziom, przestaje być tak dobrze. Pojawia się wówczas statystyka mówiąca o tym, że przeciętny obywatel czyta w Polsce pół książki rocznie. Jednocześnie przypominamy sobie powszechne schamienie i zdziczenie obyczajów, braki w elementarnej kulturze, dziwne gusta, nad którymi boją się socjologowie (na przykład fenomen disco polo albo fascynacje tandetną literaturą czy najgorszym kinem).

R.T. — Są jeszcze dwa obszary przestrzeni kulturowej spustoszone przez komunizm. Mówiliśmy o wystroju wnętrz, o wyglądzie sklepu, mieszkania, biura, jadłodajni. Trzeba pamiętać o tym, jak zniszczona została turystyka. Polacy na dziesięciolecia zostali zamknięci w granicach PRL, a później w granicach obozu komunistycznego. Ksenofobia, strach przed obcym, poczucie skrzępowania wobec innej kultury — to jest spuścizna tamtych czasów. Zjawisko kulturowe, które pojawiło się na świecie w latach pięćdziesiątych, a które następnie rozwinęło się na ogromną skalę — podróżowanie, poznawanie świata, zwiedzanie, podziwianie zabytków, galerii, muzeów, krajobrazów, okazów przyrodniczych — było nieznane Polakom. Mogli wprowadzić pojechać do Bułgarii, ale tam była ta sama cywilizacyjna zapaść, tylko w trochę innej oprawie. Skutki tego są do dziś odczuwalne.

Druga dziedzina wielkich zniszczeń w szeroko rozumianej kulturze to sport, który stał się polem ideologicznej rywalizacji między Wschodem a Zachodem. Przynajmniej na Wschodzie przestał być rozrywką, przyjemnością, rodzajem samorealizacji. Sport jako rekreacja został wyeliminowany, ponieważ okazał się politycznie podejrzany, a dyscypliny takie jak tenis, jazda konna czy żeglarstwo uznano za przeżytki kapitalizmu.

B.P. — *W drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstaje zorganizowana, co nie znaczy, że uznawana, opozycja polityczna. Towarzyszy temu również ożywienie mikrośrodków opozycyjnych w dziedzinie animowania ruchu o charakterze kulturalnym. To trwa już do końca komunizmu. Ważną rolę mecenasa czy patrona w tej dziedzinie odgrywał Kościół, ale nie tylko. W Warszawie taką rolę przyjęło na siebie małżeństwo Walendowskich, organizując w swoim mieszkaniu dyskusje intelektualistów i artystów.*

R.T. — Opozycja lat siedemdziesiątych tworzyła całą bogatą infrastrukturę oporu przeciwko zakłamanej i ocenzonej kulturze schyłkowego PRL. Opozycyjne przedsięwzięcia kulturalne i edukacyjne pełniły podwójną funkcję. Po pierwsze, dawały poczucie uczestnictwa tym wszystkim, którym nie starczało determinacji do zaangażowania się w działania ściśle polityczne, którzy nie mieli predyspozycji do pracy w konspiracji (a tego wymagała na przykład podziemna poligrafia), którzy woleli balansować na krawędzi między strefą jeszcze dozwolonej krytyki a już zakazanej niezgody. Po drugie, stanowiły dla opozycji politycznej naturalne zaplecze, teren

poszukiwania i pozyskiwania nowych zwolenników, a także „rozmiękczenia” reżimowych elit. Jednak niezależna kultura tego okresu, mimo jej dynamicznego rozwoju, wciąż była zjawiskiem marginalnym. Natomiast zupełnie inny był jej zasięg w latach osiemdziesiątych, a to za sprawą Kościoła, który opozycyjnym inicjatywom otworzył drzwi świątyń, plebanii, domów katechetycznych, ośrodków duszpasterskich. Niezależna kultura stała się konkurencyjna wobec oficjalnej nie tylko pod względem poziomu, ale i liczby odbiorców.

Opisując dzieje polskiej kultury, zamkniętej w klatce PRL-u, warto pamiętać o zmianach na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Właśnie wówczas muzyka stała się nowym sposobem komunikowania się młodych ludzi. To muzyka otworzyła Polskę na świat, pomimo że granice pozostały zamknięte. Ponieważ ta muzyka, w Polsce początkowo nazywana big-beatem, pochodziła z angielskiego obszaru językowego, nagle nabrała sensu nauka angielskiego, wcześniej całkowicie nieprzydatnego. Pojawił się też po raz pierwszy drugi obieg wydawniczy – były to wydawnictwa fonograficzne, popularne „pocztówki dźwiękowe”, zastępujące prawdziwe płyty i upowszechniające zachodnie nowości muzyki rozrywkowej. Komuniści początkowo nie rozumieli zjawiska buntu pokoleniowego na Zachodzie, sądzili, że będzie on sprzyjać lewicowym partiom i poglądom. Fachowcy od inżynierii dusz usiłowali interpretować młodzieżową kontestację na Zachodzie jako objaw rozczarowania kapitalizmem i parlamentarną demokracją. Dlatego do Polski mogły wówczas przyjechać najbardziej „zbuntowane” zespoły muzyczne, jak The Rolling Stones czy The Animals, dlatego w prasie pojawiły się życiwe reportaże o amerykańskich hippisach, a telewizja pokazała kilka filmów z udziałem długowłosych muzyków. Reżim zaczął się niepokoić dopiero zachowaniem polskiej młodzieży na koncertach zachodnich (a także rodzimych) zespołów. Podjęto więc próbę zaadaptowania tej muzyki do ideologicznych potrzeb: zespoły rockowe zaczęły eksploatować rodzimy folklor, zespół No To Co przebrał się w stroje z Cepelii, inni stylizowali się na rosyjskich czy ukraińskich wieśniaków. Taka sytuacja bardzo szybko doprowadziła do powstania muzycznego „undergroundu”, przemilczanego przez oficjalną krytykę, ale zwalczanego przez milicję. Rewolucja obyczajowa, którą zapoczątkowała muzyczna rewolta, przyniosła radykalne zmiany w modzie, w zachowaniu, w stylu bycia.

B.P. — *Rozpoczyna się zatem pewien proces. Pojawia się wiele zmian, które układają się w kierunkowy wektor. To jednocześnie jest ten czas, kiedy do kraju na znacznie większą skalę zaczynają docierać wydawnictwa paryskiej «Kultury» i innych oficyn wydających w języku polskim na Zachodzie. Nie chcę popadać w przesadę, twierdząc, że Giedroyc trafił pod strzechy. Warto i temu poświęcić trochę czasu, bo to jest wyzwanie dla rodzimych twórców. Tą samą drogą, czyli przez przemysł z Zachodu, zaczyna docierać prasa. System jest bombardowany, drobną być może, ale amunicją z zewnątrz.*

R.T. – Trudno jest przecenić wpływ emigracyjnej literatury czy myśli politycznej, ale krąg odbiorców przemycanych wydawnictw – choć opiniotwórczy – był nadal niesłyszanie wąski. Znacznie większy wpływ na zmiany w świadomości społecznej, szczególnie młodzieży, miały płyty przywożone z Zachodu.

J.E. – Do tego Radio Luksemburg i Radio Wolna Europa.

B.P. – *Również to, co dociera do nas ze Wschodu, jest już nieco innej jakości. Nie wiem, jak dalece kulturotwórczy może być balet klasyczny, niemniej sam fakt, że można go oglądać, że zaczynają do nas docierać wielkie produkcje kina sowieckiego, Bułat Okudźawa, Włodzimierz Wysocki. Ci ostatni spowodowali to, że wbrew patriotycznemu obowiązкови nienauczenia się rosyjskiego, przynajmniej garstka ludzi otworzyła się na ten język jako nośnik pewnej kultury. Przestano nam pokazywać filmy rewolucyjnego typu Z iskry rozgorzeje płomień.*

J.E. – Takie fascynacje są charakterystyczne naprawdę dla wąskich elit, podczas gdy przedtem mówiliśmy o kulturze masowej. Ale takie elitarne mody obejmowały również inne dziedziny: chyba nigdzie na świecie nie było takiej fascynacji literaturą iberoamerykańską, jak w Polsce. To jest porównywalne chyba jedynie z kultem Williama Whartona w Polsce w latach dziewięćdziesiątych.

Obserwowane pod koniec lat sześćdziesiątych i w następnej dekadzie zmiany obyczajowe były w znacznym stopniu konsekwencją zmiany generacyjnej. Do końca nie zdajemy sobie bowiem sprawy z tego, jak były one powszechne. Wystarczy przypomnieć, że będące tyleż wyrazem mody, co jednym z przejawów pokoleniowego buntu długie włosy nosili zarówno uczniowie, jak i studenci oraz młodzi robotnicy.

R.T. – Nawet można powiedzieć, że walczyli o prawo do ich noszenia. To był zdecydowanie element buntu.

J.E. – Z czasem pojawiła się też – znów importowana z Zachodu – moda na nośnienie brody i wąsów. I także to, choć dzisiaj może brzmieć to niezupełnie poważnie, było formą sprzeciwu. Nie lekceważyłbym jednak tego wszystkiego. W państwie rządzone po dyktatorsku te odmienności w wyglądzie, sposobie ubierania się, mówienia itd. powoli powodowały wyłom w monolocie, bo przecież wszystko miało być z góry zaprojektowane...

B.P. – *...jak fason mundurków Chińczyków, nie rozróżniający nawet ludzkiej płci.*

J.E. – Indywidualizm nie był pożądaną cechą. Choć z drugiej strony, gdy wszyscy, lub przynajmniej bardzo wielu, chcą wyglądać podobnie, to co to za indywidualizm. Pojawia się coś w rodzaju „indywidualizmu wielu”. Na to nakłada się jeszcze jedna sprawa. Otóż pokolenie dorastające w latach sześćdziesiątych, pierwsze urodzone i wychowane w powojennej Polsce, dzięki sprowadzanym filmom po raz pierwszy choćby bardzo wyrwykowo i powierzchownie poznawało jakieś fragmenty życia

w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej. Młodzi Polacy zobaczyli, jak tam żyją i wyglądają ich rówieśnicy.

B.P. — *Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt czy konsekwencje polityki kulturalnej PRL. Do niedawna jeszcze 50 proc. polskiego społeczeństwa stanowili mieszkańcy wsi. My sobie tutaj rozmawiamy o tym, co się działo w mieście, co natomiast się działo na wsi? Pan zaczął od tego, że w 1948 r. zlikwidowano wszelkie przejawy niezależnego życia społecznego na wsi, wynikające z tradycji. Telewizja dotarła na wieś znacznie później niż do miasta i przez długie lata stanowiła jedyną możliwość kontaktu z kulturą. Dzieci wiejskie, gdy przyjeżdżały na wycieczki do miasta, chodziły do ogrodu zoologicznego albo do cyrku. Wieś pod względem życia kulturalnego była absolutnie jałową ziemią. Pomijam tutaj Cepelię czy zespoły folklorystyczne, bo one z kulturą miały tyle wspólnego, co praca Stanisława Tyma jako «kaowca» na statku w filmie «Rejs».*

R.T. — Cepelia to też był ważny produkt systemu, bo kulturę ludową trzeba było odsakralizować, pozbawić wątków patriotycznych, narodowych. Trzeba było wyprodukować sztuczną kulturę ludową, aby zastąpić nią tę prawdziwą, mocno przesiąkniętą wiarą i duchem wolności. A możliwości komunistów były tym większe, w im większym zacofaniu cywilizacyjnym pogrążona była polska wieś. Byłem latem 1969 r. pod Łodzią we wsi, która — *nomen omen* — nazywała się Prawda, a z której trzeba było przejść parę kilometrów do sąsiedniej wsi, żeby w telewizji zobaczyć lądowanie człowieka na Księżycu. Problemem był nie tylko brak odbiornika telewizyjnego — we wsi Prawda nie było elektryczności.

Ale w tym właśnie czasie pojawiło się nowe zjawisko. Otóż Kościół, który też rozwijał i doskonalił rozmaite formy duszpasterstwa, znalazł nowe narzędzia społecznego oddziaływania. Powstały oazy, sakrosong, rozwinął się ruch pielgrzymkowy. Narodził się wielki ruch społeczny wokół Kościoła, który objął także wieś i małe miasteczka.

Minęło kilkanaście lat i znów zdarzyło się coś niezwykłego. Mówiliśmy wcześniej, że pierwsza rewolucja kulturalna nastąpiła wtedy, gdy w Polsce upowszechniła się telewizja. Ale za nią przyszła druga — w połowie lat osiemdziesiątych — z którą nie wiemy, jak by sobie komunizm poradził: powszechny dostęp do ksero, komputerów, skanerów, anten satelitarnych. Wyobraźmy sobie, że w latach KOR-u działałyby na przykład kserografy czy komputery. A przecież w PRL na zamontowanie pierwszych anten satelitarnych trzeba było mieć pozwolenie z bezpieki.

J.E. — Zimna wojna przyspieszyła rozwój środków związanych z przekazywaniem informacji. W latach osiemdziesiątych można było już sobie wyobrazić, że w chwili po tym, jak w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego minister Jerzy Urban będzie mówił o garstce chuliganów w Nowej Hucie czy w Gdańsku, którzy zakłócali porządek publiczny, będzie można w którejś z zagranicznych telewizji zobaczyć wielotysięczne tłumy z biało-czerwonymi flagami i transparentami, obrzucane przez ZOMO

granatami łzawiącymi. Jest oczywiste, że z czymś takim komunistom byłoby bardzo trudno sobie poradzić.

R.T. — Już wideo było czymś niezwykłym, bo społeczeństwo zaczęło uniezależniać się od telewizji.

B.P. — *A z podróży na Zachód przywoziło się już nie tylko książki, ale przede wszystkim kasety wideo, które mają tę swoistość, że łatwiej od książek można je kopiować.*

R.T. — Wcześniej pojawiły się magnetofony i możliwość powielania taśm. Może przesadzam, ale kto wie, czy dla obalenia systemu większych zasług od „Biuletynu KOR” nie mieli Zenon Laskowik czy Jan Pietrzak, którzy nauczyli młodzież śmiać się z totalitarnej władzy. Ich piosenek, przegrywanych na taśmach, słuchały setki tysięcy młodych ludzi, podczas gdy początkowo „bibułę” czytała kilkunastotysięczna garstka.

B.P. — *A jak wiadomo, śmiech też może być bronią, co na sam koniec historii PRL bardzo dobrze pokazały działania Pomarańczowej Alternatywy.*

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 10 (21), październik 2002

O KARACH ŚMIERCI W LATACH 1944–1956

Z Krzysztofem Szwagrzykiem i Janem Żarynem

B.P. — *To, co się działo w polskim sądownictwie po roku 1944 jest jakimś zatrważającym ewenementem w historii prawa. Każą tak myśleć zarówno tryb orzekania kar, jak i liczba wydanych wyroków śmierci. A były to czasy pokoju.*

J.Ż. — W pani pytaniu jest bardzo wiele wątków, które można by rozwijać. Faktem jest, że w okresie powojennym, począwszy od 1944 r., na ziemiach polskich mamy do czynienia z prawem rewolucyjnym. Sam PKWN, jak słusznie pisał Tadeusz Żenczykowski, powstał między innymi z doświadczenia 1920 r. Dokonano jednocześnie zamachu stanu wobec legalnych, choć podziemnych, władz Polskiego Państwa Podziemnego, który był realizowany przez obce mocarstwo. To ostatnie miało być wzorcem i nauczycielem dla komunistów zawdzięczających Moskwie swoje wyniesienie do władzy. Przypomnę, że zamordowani w Katyniu, Twerze i w Charkowie oraz w wielu innych zapewne miejscach oficerowie polscy według prawa sowieckiego zostali najpierw osądzeni i skazani — na karę śmierci. Tylko że zgodnie z notatką z 5 marca 1940 r. wysłaną przez Berię do Stalina, oskarżeni nigdy nie dowiedzieli się o tym, że był jakiś sąd, nie poznali nigdy zarzutów, a o wyroku usłyszeli, gdy stali nad dołem katyńskim. To prawo oraz instytucje sądowe, wówczas powołane, w tym dekrety z lat 1944–1945, o których będziemy jeszcze mówili, miały pomóc w rozprawieniu się ze społeczeństwem, którego elity należało zniszczyć, a resztę zastraszyć i zniechęcić do oporu, w imię wybranych celów. Taka jest mniej więcej definicja zadań orzecznictwa sądowego, skierowanych głównie do sędziów wojskowych.

B.P. — *Jest to proste odniesienie do rewolucji, przede wszystkim francuskiej.*

J.Ż. — Nie ma prostych odniesień, ale coś w tym jest. Musiano zmierzyć się z problemem ciągłości prawnej i instytucjonalnej, z II Rzeczypospolitą. Nie znaczy to, że zupełnie zerwano z jej dziedzictwem. Próbowano z jednej strony rozumieć po lenińsku prawo jako narzędzie rewolucji, a nie jako instrument do mierzenia sprawiedliwości, a z drugiej strony starano się, w imię legitymizacji władzy, kontynuować pewne przedwojenne rozwiązania, nie tylko w sferze ceremoniału. Na przykład do

przedwojennego Kodeksu Karnego Wojska Polskiego z 1932 r. dopisano kolejne artykuły, zmieniające faktycznie sens całości. Jakobini podczas rewolucji francuskiej mieli w pewnym sensie podobny dylemat. Była to formacja rewolucyjna, która zamierzała ustanowić nowego człowieka, nowy typ państwa i stworzyć nowy katalog wartości (w świątyniach miał być obecny Rozum), chciała się widzieć jako jedyny depozytariusz postępowej tradycji francuskiej. Z rewolucyjnej historii Francji nie zamierzano wyrzucić Monteskiusza, mimo że był urzędnikiem królewskim i dzięki temu szlachcicem (*noblesse de robe*). W systemie prawnym początków PRL jest zatem zawarta wewnętrzna sprzeczność.

B.P. — *Z tego, co pan mówi, w sposób jasny wynika, że w instytucjonalnym wymiarze sprawiedliwości kara śmierci była narzędziem służącym władzy.*

J.Ż. — Była formą represji sądowej, którą umieszczam w jednym szeregu z innymi: działaniami NKWD, UB czy KBW, które posługując się właściwymi dla siebie narzędziami zbrodni (w tym organizowanie zasadzek, prowokacji, stosowanie tortur i mordów, aresztowania i zakładanie obozów), dążyły do tego samego celu.

K.S. — Szukanie analogii pomiędzy ustawodawstwem komunistycznym, specjalnym, powojennym, a jakimkolwiek ustawodawstwem Polski przedwrześniowej czy też okresu po 1956 r. wydaje mi się zupełnie bezcelowe. Dlaczego? Dlatego że czasów, o których mówimy, nie da się porównać z żadnym innym okresem. Zgadzam się z twierdzeniem, że komuniści wykazywali wyjątkową dbałość — przynajmniej w tym początkowym okresie — o zachowanie pewnych elementów, które by ich uwiarygodniały w oczach społeczeństwa. Nie chodzi tutaj tylko o nieco sztuczne naśladowanie przedwojennego ceremoniału związanego z funkcjonowaniem państwa, na przykład sposobu, w jaki przez pewien czas organizowano defilady wojskowe, czy też okoliczności zaprzysiężenia Bolesława Bieruta na prezydenta Polski w 1947 r. Znacznie istotniejszy był bowiem, skądinąd doskonale wprowadzony w życie, zabieg polegający na stopniowej modyfikacji przedwojennego prawa w kierunku korzystnym dla nowej władzy. Czyniono usilne starania, aby sędzia orzekający w ludowym już sądzie był postrzegany jako kontynuator przedwojennego polskiego wymiaru sprawiedliwości. Zwróćmy uwagę na pewien bardzo interesujący i wymowny zarazem szczegół działań, o których mówię; jeszcze w 1947 r. podczas głośnego procesu krakowskiego Franciszka Niepokólczyckiego i innych sędziowie wojskowi zasiadali za stołem z krucyfiksem.

J.Ż. — To bardzo ważny element. Biorąc pod uwagę, że tego typu procesy były bardzo nagłośnione, a zdjęcia z nich znalazły się w wielu polskich i nie tylko zresztą polskich gazetach — można powiedzieć, że komuniści uzyskiwali pożądany skutek propagandowy. Nie wszystkich stać było intelektualnie, by wątpić w praworządność państwa, skoro wszystkie atrybuty sądownictwa skutecznie przysyłały bolszewicką treść. Oczywiście im dalej od wojny, tym ta dbałość o zachowanie pozorów ciągłości

państwa jest coraz mniej widoczna. Po 1948 r. nie ma już zorganizowanego, mocnego podziemia antykomunistycznego. Zostało przez komunistów skutecznie rozbite. Nie ma legalnych partii opozycyjnych. Przyszedł czas na rozprawę z Kościołem. Władze posiadały już skuteczniejsze i atrakcyjniejsze dla części społeczeństwa argumenty legitymizujące ich władzę, na przykład awans społeczny.

B.P. — *Mówi się często o tym, że prawodawstwo polskie tego okresu zostało skażone nawet nie ideą, ale tym, że pracownikami wymiaru sprawiedliwości byli ludzie niekompetentni, że prokuratorzy, sędziowie nie mieli wykształcenia prawniczego, że byli z szybkich nominacji.*

K.S. — Przytoczyła pani dość powszechną opinię o komunistycznych kadrach tak zwanego wymiaru sprawiedliwości, opinię niestety nie do końca prawdziwą. Jest to jeden z mitów, dość popularny w środowiskach kombatanckich. Chciałbym zwrócić uwagę tylko na jeden aspekt tego zagadnienia — okoliczności uchwalenia przez komunistów w krótkim czasie (lata 1944–1946) najważniejszych i najsurowszych zarazem aktów prawnych służących następnie do walki z rzeczywistym czy też urojonym przeciwnikiem politycznym w kraju. Wspomnijmy tylko niektóre z nich: *Dekret PKWN z 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowskohitlerowskich zbrodniarzy...*, *Kodeks Karny Wojska Polskiego z 23 września 1944 r.*, *Dekret o ochronie Państwa z 30 października 1944 r.*, *Dekret z 16 listopada 1945 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa*, zmodyfikowany 13 czerwca 1946 r. czy *Dekret z 22 stycznia 1946 r. o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszycyzację życia państwowego*. Kodyfikacji prawa, szczególnie tam, gdzie w grę wchodziło dostosowanie przedwojennych uregulowań do potrzeb nowej władzy, ze zrozumiałych względów nie mogli przeprowadzić ludzie prości, niewykształceni. Warto może przypomnieć także o dekreście z 22 lutego 1946 r. mówiącym o rejestracji i przymusowym zatrudnieniu we władzach wymiaru sprawiedliwości osób mających kwalifikacje do objęcia stanowiska sędziowskiego. Dekret ten nakazywał byłym pracownikom zarejestrowanie się w najbliższym sądzie grodzkim w ciągu miesiąca od daty opublikowania dekretu. Niezastosowanie się do poleceń zawartych w dekreście było zagrożone karą roku więzienia.

B.P. — *Czy byli sędziowie rzeczywiście usłuchali?*

J.Ż. — Tak. Do 1948 r. sądownictwo powszechne było obsługiwane w dużej mierze przez sędziów przedwojennych. Również specjalny sąd karny, który był powołany do realizacji tak zwanej sierpniówki, czyli dekretu z 31 sierpnia 1944 r. Ze swoją wiedzą i doświadczeniem bardzo dobrze odgrywali nadane im role. Na przykład proces bpa Karola M. Spletta ze stycznia 1946 r. był prowadzony wzorowo, jedynie wysoki wyrok — 12 lat pozbawienia wolności — budził w niektórych kręgach, głównie kościelnych, mocny sprzeciw. Wiele dekretów i rozporządzeń, w tym odnoszących się do sądownictwa wojskowego, tworzyły przedwojenne kadry prawników. A w sądownictwie wojskowym też pracowali ludzie kompetentni, chociaż w nieco innym sensie: Sowietci i spraw-

dzeni Polacy, sprawdzeni w tym rewolucyjnym znaczeniu. Ważnym momentem dla rozważań o karach śmierci orzeczonych przez sądownictwo powojenne jest utworzenie w styczniu 1946 r. Wojskowych Sądów Rejonowych, które przejęły kompetencje nie tylko dotychczasowych sądów wojskowych ustanowionych na różnych szczeblach dowodzenia (dywizyjne, korpusowe). Miały one także prawo sądenia ludności cywilnej w sprawach politycznych, w tym z oskarżenia o szpiegostwo. Definicja tego ostatniego pojęcia będzie się zmieniać wraz ze zmieniającą się definicją wroga. Ironizując nieco: w 1945 r. nie było jeszcze szpiegów Watykanu, czyli biskupów członków Episkopatu Polski, pojawili się oni dopiero w 1950 r. W taki prostacki, ale skuteczny sposób udało się przesunąć prawo do sądenia wrogów politycznych spod kompetencji sądownictwa powszechnego na rzecz sprawdzonych rewolucjonistów, wychowanych na prawie sowieckim, lub sędziów, których było można sprawniej zdyscyplinować.

K.S. — W 1945 r. komuniści mieli już w swoich rękach najważniejsze akty prawne gwarantujące im skuteczne sprawowanie władzy oraz możliwość skutecznej rozprawy z przeciwnikiem politycznym, domniemanym czy rzeczywistym. Okazało się jednak, że mimo posiadania tak skutecznych narzędzi represji karnej nowa władza nie była do końca usatysfakcjonowana sposobami, a może przede wszystkim skutkami działania wymiaru sprawiedliwości. W styczniu 1946 r. zdecydowano o konieczności powołania Wojskowych Sądów Rejonowych. Istniejące w latach 1946–1955 w siedemnastu miastach wojewódzkich sądy te sprawowały swoją władzę nie tylko wobec żołnierzy, funkcjonariuszy UB, MO i służby więziennej, ale także w stosunku do osób cywilnych, oskarżonych o popełnienie przestępstw przewidzianych w art. 85–88 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego oraz rozdziału 1 dekrety o *przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa*. Wyposażone w wiele niezwykle represyjnych przepisów prawnych stosowanych przez dyspozycyjnych sędziów w mundurach — w krótkim czasie WSR-y stały się skutecznym orężem walki w umacnianiu nowej władzy. W ciągu dziesięciu lat istnienia orzekły między innymi około 3,5 tys. kar śmierci, w większości wykonanych. Pracowali w nich sędziowie może nie tyle ideowi, ile dyspozycyjni i posłuszni ogólnym nakazom. Problemem drugorzędnym, który mógłby stanowić przedmiot odrębnej dyskusji, była przyczyna ich dyspozycyjności. Umieszczeni w trybach wojskowego, ściśle zhierarchizowanego układu podległości, działali w ramach narzuconych im zasad, których być może nawet niekiedy nie akceptowali. Wystarczyło bowiem na stanowiskach kierowniczych w poszczególnych sądach, nie tylko zresztą wojskowych, postawić odpowiednio dobranych i ideologicznie sprawdzonych ludzi, aby mieć pewność, że na danym terenie polityka karna będzie przebiegała zgodnie z oczekiwaniami partii i rządu.

Ze zrozumiałych względów aż do przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych komuniści zmuszeni byli opierać się na przedwojennych sędziach, prokuratorach i adwokatach. Nie dysponowali bowiem jeszcze wówczas własną kadrą, wykształconą już w nowym duchu ideologicznym. Jeśli prześledzić kariery poszczególnych sędziów

i prokuratorów z lat 1944–1948, to okazało się, że sądownictwo i prokuraturę wojskową w Polsce tego okresu w przytłaczającej większości tworzyli i reprezentowali przedwojenni polscy sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, absolwenci renomowanych polskich uczelni, głównie Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego. Do pomocy przydzielono im oficerów sowieckich o polskich nazwiskach, o polskich korzeniach. Ci z kolei byli ludźmi ukształtowanymi w sowieckim systemie politycznym, zupełnie wynarodowionymi, często bardzo nieporadnie posługującymi się językiem polskim, by wspomnieć tylko Aleksandra Michniewicza, Jana Mastalerza, Aleksandra Tarnowskiego, Wilhelma Świątkowskiego, Aleksandra Tomaszewskiego, Mariana Osowskiego. Struktura podległości wojskowej ułatwiała rygorystyczne egzekwowanie od sędziów orzekania w sposób oczekiwany i zalecany przez partyjnych decydentów.

J.Ż. — A jednocześnie istnieje od października 1944 r. tworzące się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, które *de facto* przejęło także funkcje przedwojennego sędziego śledczego, czyli wzięło w swoje ręce przygotowanie śledztwa aż do etapu sformułowania aktu oskarżenia. To oficer MBP decydował faktycznie o czasie pozostania aresztanta w więzieniu śledczym. Istniała wprawdzie prokuratura, która w praktyce operacyjnej podlegała zapotrzebowaniom oficerów śledczych. I w ten sposób funkcjonuje druga struktura opadowana od początku przez partię komunistyczną — MBP, w którym współczynnik upartyjnienia wynosił ponad 90 proc. (na początku zastępcą Stanisława Radkiewicza był polityk koncesjonowanej PPS, ale bardzo szybko został stamtąd usunięty).

B.P. — *Można zatem mówić o zsovietyzowaniu wymiaru sprawiedliwości?*

J.Ż. — Wojskowego na pewno tak. Od momentu aresztowania po wyrok, wszystko było w całości kontrolowane przez PPR i później przez PZPR. Taki mechanizm tworzył terror. Najlepszym dowodem potwierdzającym to zdanie jest lektura protokołów Biura Politycznego KC PPR i PZPR, w których odnajdziemy decyzje podejmowane w sprawie konkretnych procesów sądowych. Decydowano, który z prokuratorów ma prowadzić przed sądem sprawę na przykład Kazimierza Pużaka i towarzyszy, kiedy ma się rozpocząć proces na przykład Adama Doboszyńskiego, czy zatwierdzić wyrok śmierci, czy Bierut ma skorzystać z prawa łaski, co znajdowało się w jego kompetencjach jako głowy państwa, a nie członka Biura Politycznego. Wydaje mi się, że pełna kontrola partii nad sądownictwem powszechnym nastąpiła dopiero od 1949 r.

B.P. — *Instytucjonalne przymuszanie do wykonywania zawodu w sytuacji niezgody moralnej powinno budzić głęboki sprzeciw prawników przedwojennych. Czy są znane przypadki, że sędziowie, którzy zostali zmuszeni do wykonywania zawodu, odchodzili z tej pracy, uciekali, odmawiali wykonywania zawodu?*

K.S. — Znane są oczywiście przykłady zachowań świadczących o konfliktach moralnych u niektórych sędziów, prokuratorów. Wspomnijmy dwa takie przypadki samobójstw prokuratorów wojskowych: mjr. Antoniego Trelli w 1947 r. i pplk. Henryka Podlaskiego w 1956 r. Oba przypadki trudno byłoby jednak uznać za formę oporu wobec wykonywanej pracy. Raczej za dramatyczny epilog wewnętrznych przemysłów. Nieznane mi są przypadki dezercji lub odmów wykonywania zawodu. Pamiętajmy, że w powojennych realiach straszliwie zniszczonego kraju bycie prawnikiem oznaczało przynależność do elity. W ślad za tym nie szły co prawda ogromne pieniądze, wille, samochody, był to jednak zawód pozwalający na utrzymanie pewnego, dość wysokiego standardu życia. Nie chciałbym jednak teraz specjalnie rozwijać tego wątku.

B.P. — *Dlaczego?*

K.S. — Mówienie o tym teraz może tworzyć wrażenie, że dokonujemy próby wytłumaczenia całego komunistycznego środowiska sędziowsko-prokuratorowskiego. Doszukiwać się wśród nich ofiar systemu. Pokazanie pojedynczych przykładów ludzi w mundurach, decydujących się na jakiś krok sprzeciwu, w żadnym razie nie może rzutować na negatywny wizerunek tego środowiska. Myślę, że najpierw powinniśmy powiedzieć znacznie więcej na temat roli, jaką odegrali ci ludzie. Być może pokusić się nawet o pewną próbę oceny ich poczyną. Wydaje mi się, że dopiero potem będzie właściwy czas na rozwinięcie przerwane go wątku. Wspomnieliśmy, że mówienie o tym, iż stalinowscy sędziowie byli niewykształceni, ale za to ideowi, jest nieprawdą.

B.P. — *Kto zatem wydawał wyroki śmierci?*

K.S. — Blisko 70 proc. wyroków śmierci wydanych w powojennej Polsce zapadło do 1948 r. W tym czasie ogromna większość sędziów i prokuratorów wojskowych, nie tylko wojskowych, to przedwojenni absolwenci wspomnianych już przeze mnie polskich uczelni. Badając strukturę tych kadr, zauważyłem wcale niemałą liczbę ludzi, którzy okres okupacji spędzili w szeregach Armii Krajowej. Wśród nich znajdują się również tacy, których sumienie obciążone jest orzeczeniem kilkunastu, czasami nawet kilkudziesięciu wyroków śmierci, między innymi Mieczysław Widaj, Wiktor Leszek, Władysław Garnowski, Jan Hryckowian, Jerzy Tramer, Tadeusz Lercel, Wilhelm Bigda, Zygmunt Bukowiński. Dotychczas odnalazłem również siedmiu absolwentów wydziału prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Poza pojedynczymi przypadkami nie potrafiłbym dziś wskazać ludzi, którzy orzekali przed 1948 r., i nie byli przedwojennymi absolwentami polskich uczelni. Pomijam tutaj oficerów delegowanych do Polski z armii radzieckiej. Sytuacja zmieniła się w 1948 r. gdy „władza ludowa” zaczęła tworzyć nowy model kształcenia kadr prawniczych, chcąc w szybkim czasie wykształcić własne, pozbawione „burżuazyjnych naleciałości”.

B.P. — *Ale przecież są ci dyspozycyjni, wykształceni prawnicy.*

K.S. — To jest pewien paradoks. Sędziowie, prokuratorzy, którzy odgrywali tak ogromnie ważną rolę dla partii, wydają ogromną liczbę wyroków śmierci, jednocześnie przez swoich zwierzchników, aparat polityczny i aparat bezpieczeństwa trakto-

wani byli w niezwykle podejrzliwy sposób. Od początku gromadzono materiały na ich temat, badano bardzo dokładnie ich przeszłość. I ciagle im nie ufano...

B.P. — *Bo przeszłość dla aparatu bezpieczeństwa w ogóle jest czymś paskudnym.*

K.S. — Poprzez swoją „sanacyjną przeszłość”, jak to często określano, sędziowie ci byli w pewien sposób zakładnikami własnego życiorysu, własnej historii.

B.P. — *Bardziej chyba zawodu niż życiorysu.*

K.S. — Te związki są często trudne do rozdzielenia. Mogło im się wydawać, że orzekając surowe wyroki zgodnie z zasadami ludowej praworządności, oddalają od siebie widmo podejrzeń o nielojalność, która mogła oznaczać utratę stanowiska i więzienie. Dlatego mogli — nie twierdząc, że zawsze tak było — starać się przez cały czas wyjątkowo gorliwie pracować, aby dobrze wypaść w ocenach swoich przełożonych. Czas płynął jednak nieubłaganie i tego, co komuniści akceptowali zaraz po wojnie, po 1948 r. nie musieli już tolerować. Po likwidacji podziemia zbrojnego i politycznego przyszedł czas na kolejne działania wzmacniające świeżo wprowadzony model ustrojowy, w tym i na decyzje dotyczące kadr „aparatu sprawiedliwości”. Starych prawników zastępowali ludzie najczęściej bardzo młodzi, niewykształceni, absolwenci kilku- i kilkunastomiesięcznych kursów prawniczych, między innymi Szkoły Ministerstwa Sprawiedliwości im. Teodora Duracza czy Oficerskiej Szkoły Prawniczej.

B.P. — *Kto się tam dostawał?*

K.S. — Chciano, żeby byli to ludzie głównie o pochodzeniu robotniczym i aktywności partyjni koniecznie popierani przez młodzieżowe organizacje polityczne albo PPR. Chodziło o to, aby tego młodego człowieka, przyszłego prawnika całkowicie związać z nowym ustrojem. I to się nowej władzy ludowej udało. Ci ludzie bowiem zawdzięczali władzy ludowej wszystko. Nagle odnosili w życiu sukces niemożliwy do spełnienia w innych warunkach politycznych. Często było tak, że po szkole powszechnej albo po szkole zawodowej zostawali oficerami. Proszę sobie wyobrazić młodego, dwudziestojednoletniego, dwudziestodwuletniego człowieka, świeżo po awansie na pierwszy stopień oficerski, z głową nabitą frazesami o rzekomym zagrożeniu wewnętrznym, o zaostrej walce klasowej i konieczności wykazywania pryncypialnej postawy w walce z wrogiem... Z dnia na dzień ten człowiek stawał się kimś bardzo ważnym, decydującym o czymś życiu lub śmierci.

J.Ż. — Do 1948 r. sędzią mógł być teoretycznie tylko przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, który miał między innymi doświadczenie sędziowskie lub wyższe wykształcenie bądź tytuł profesorski. To było obwarowane szczegółowymi przepisami, sięgającymi okresu II Rzeczypospolitej i teoretycznie obowiązującymi po wojnie, jak *Prawo o ustroju sądów wojskowych* z 1936 r. Cóż z tego, skoro już w 1944 r. w prawie o prokuraturze i sądach wojskowych podważono tę zasadę, stwierdzając nieprecyzyjnie, że „sędzią wojskowym może być oficer, który posiada wykształcenie prawnicze”. Gdy powstała szkoła Duracza i inne, zajmujące się przyspieszonym szkoleniem przy-

szłych sędziów, regulacja prawna znów się zmieniła, dostosowując literę prawa do praktycznych potrzeb. Również regulamin przyjmowania do tej szkoły był specyficzny; przyjmowano nawet osoby, które nie miały matury. I to oczywiście spowodowało, że jakość tego sądownictwa była coraz niższa. I jeszcze jedna sprawa – prawdą jest, że do 1948 r. zapadło przed sądami wojskowymi, nie tylko WSR, bez mała trzy czwarte z ogólnej liczby 5 tys. wyroków śmierci wydanych w latach 1944–1945. W latach pięćdziesiątych wyroków śmierci jest zdecydowanie mniej, ale bardzo często stosowane są wyroki 15 lat pozbawienia wolności. Z punktu widzenia potrzeb rewolucyjnego państwa skuteczność sądów jest zatem porównywalna. Zdecydowanie więcej jest rozpraw, które odbywają się z naruszeniem podstawowych proceduralnych czynności. Przykładem jest sprawa Franciszka B., oskarżonego w jednym z wielu procesów dotyczących tak zwanej V Komendy WiN-u, kontrolowanej od początku przez MBP (tak zwana operacja „Cezary”). Prowadzącym sprawę był dwudziestokilkuletni wówczas Stefan Michnik. Z punktu widzenia proceduralnego rozprawę prowadzono fatalnie. Sądu nie interesował w ogóle fakt prowokacji dokonanej przez UB. Mimo że oskarżony cierpiał na zaburzenia psychiczne wywołane metodami śledztwa (siedział w areszcie WUBP w Rzeszowie), nie została powołana żadna komisja lekarska, która miałaby zbadać zasadność sądenia tego człowieka. I wydano wyrok śmierci. Dodatkowo tragedia Franciszka B. polegała na tym – co z całego dostępnego materiału wynikało niezbicie – że oskarżony wszedł do siatki konspiracyjnej dzięki usilnym namowom prowokatora podstawionego przez resort bezpieczeństwa i cała jego działalność „szpiegowska” była kontrolowana przez ten resort. Suwerenny sędzia musiałby to odkryć. Sposób przeprowadzenia tej sprawy wynikał z jednej strony z pełnej dyspozycyjności sędziego podlanej sosem rewolucyjnego zaciętrzewienia, a z drugiej strony z pojawienia się w sądownictwie wojskowym oficerów, którzy uwierzyli w słuszność zawołania: „nie matura, lecz chęć szczerą...”. Jednak nie zmniejsza to odpowiedzialności młodego sędziego za zniszczenie życia konkretnemu człowiekowi. Szczęściem w nieszczęściu było uchylene tego wyroku przez wyższe instancje, wbrew sugestiom przewodniczącego składu sędziowskiego WSR.

Inny przykład (to jedna z ostatnich spraw przed WSR, w której zapadł wyrok śmierci). Oskarżony o szpiegostwo Sz. utrzymywał, że nie jest obywatelem państwa polskiego, lecz obywatelem Stanów Zjednoczonych, i prosił o możliwość kontaktu z ambasadą. Faktycznie w ogóle nie wzięto pod uwagę tej informacji, gdyż, rzecz jasna, sąd nie zamierzał zwracać się do ambasady USA o jej potwierdzenie. Na marginesie warto dodać, że w tym wypadku krąg współwinnych jego śmierci był dużo szerszy. Oskarżony trafił bowiem na obserwację psychiatryczną, gdzie prowadzący go lekarze wystawili opinię o podsądnym. Znalazła się w niej informacja o (prawdziwej lub rzekomej) symulacji choroby, co pozwoliło sądowi skazać Sz. na śmierć. Wyrok wykonano w 1955 r.

Przed 1948 r. z punktu widzenia czysto formalnego większość spraw była prowadzona na dobrym poziomie. Na tym zresztą – jeśli dobrze rozumiem prof. Witolda

Kuleszę – polega trudność w rozliczaniu tego aparatu sądowego ze zbrodni, bo niewątpliwie były to zbrodnie sądowe. Oskarżeni działali na rzecz niepodległości państwa polskiego. Sędzia w składanej przysiędze zobowiązywał się natomiast, że będzie bronić Polski Ludowej i jej zdobyczy socjalistycznych. Dzisiaj powoływanie się na tę przysięgę ma pomóc w udowodnieniu czyjejs niewinności. Ale ja nie widzę różnicy między na przykład Mieczysławem Widajem a wspomnianym Michnikiem. Mieczysław Widaj był przedstawicielem tego środowiska, o którym mówił Krzysztof Szwagrzyk – akowiec i wykształcony przedwojenny prawnik, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie – po wojnie w sposób obrzydliwy stosował prawo, skazując patriotów polskich na karę śmierci.

K.S. – Dodajmy może jeszcze w tym miejscu, że aż do 1949 r. rota przysięgi kończyła się słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”. Szczególnie groteskowo brzmiało to w ustach w większości przecież niewierzących prawników.

Cechą charakterystyczną pierwszych lat tak zwanej władzy ludowej jest stały wzrost liczby wykrywanych „wrogów ustroju”. Dokumenty, które posiadamy, świadczą o tym, że sądownictwo wojskowe w tamtych latach można – wydaje mi się, że zasadnie – porównać do kombinatów, gdzie najważniejsza jest liczba wyprodukowanych towarów, w tym przypadku liczba skazanych. Wspomnijmy o licznych sesjach wyjazdowych odbywających się często publicznie, w środku wsi. Znamy przypadki sędziów, którzy jednego dnia uczestniczyli w trzech procesach. Fakt ten nie mógł pozostać bez wpływu na ich kondycję fizyczną, a co ważniejsze, psychiczną. Jeżeli dodamy do tego konieczność uczestniczenia przez kadrę „wymiaru sprawiedliwości” we wszelkiego rodzaju szkoleniach, nasiadówkach, prasówkach, czynach społecznych itd., jawi nam się obraz tego środowiska odbiegający od powszechnie utartych stereotypów.

B.P. – *Poświęćmy trochę miejsca obrońcom. Jaka była rola obrońców wojskowych w Polsce?*

K.S. – Mówiąc krótko – żadna. O wpisaniu na listę obrońców wojskowych decydowały władze w Warszawie i władze wojskowe. Taka osoba musiała rozumieć nową rolę obrońcy w Polsce. Jeśli prześledzimy życiorysy tych ludzi, widać, jak wielu z nich należało do przedwojennych kręgów lewicowych. Ci, którzy byli adwokatami po 1948 r., często wcześniej byli sędziami i prokuratorami wojskowymi. Przykłady: Jerzy Tramer, Wacław Pietroni, Florian Kirschke, Aleksander Warecki, Józef Warecki, Tadeusz Lercel, Wilhelm Bigda, Włodzimierz Ostapowicz, Stefan Kałużny, Władysław Łukasik, Edward Kotkowski, Wacław Bohatyrewicz, Stanisław Holtscher, Tytus Bohaczek, Stanisław Mercik, Eugeniusz Pinkosz, Julian Nytko, Władysław Patryniowicz, Roman Rawicz, Robert Ritkis, Władysław Nitka, Zygmunt Skoczek, Bolesław Kardasz, Bolesław Głodek, Roman Milewski, Eugeniusz Krzewski, Marian Krupski, Marek Szauber, Leon Kaczyński, Wacław Lange, Jerzy Tinne, Albin Znamirowski i wielu, wielu innych. Ci ludzie doskonale wiedzieli, jaka jest rola obrońcy wojskowego. Kiedy pytamy ludzi skazanych w tamtych latach, jak wspominają obrońców, najczęściej wzruszają ramionami, na ogół nie

mogą ich sobie przypomnieć. Jeśli pamiętają, to odpowiedź na pytanie o rolę adwokata w stalinowskim procesie najczęściej brzmi – albo spał, albo nic nie mówił, a na koniec prosił o łagodny wyrok. Ale byli również i tacy, którzy w swoich wystąpieniach zamiast bronić, oskarżali swojego klienta. Nieżyjący już największy znawca wojskowego wymiaru sprawiedliwości, prof. Jerzy Poksiński, w swojej książce *My sędziowie nie od Boga...* przedstawił nam niezwykle ciekawy dokument zawierający protokół narady partyjnej aktywu partyjnego Najwyższego Sądu Wojskowego z listopada 1956 r. Major Widaj zapytany o opinię, powiedział, że on i jego koledzy wierzyli, że są na pierwszej linii walki z wrogiem politycznym, do dzisiaj w to wierzą (był 1956 r.). W umysłach tych ludzi niewiele się zmieniło. Teraz toczą się, wprawdzie pojedyncze, procesy przeciwko sędziom i prokuratorom wojskowym. Miałem możliwość przysłuchiwania się takiemu procesowi. Sędzia wojskowy okresu stalinowskiego mówił podobnie jak wszyscy inni, którzy występują przed sądami III RP. Żaden z nich nie ma sobie absolutnie nic do zarzucenia. Każdy twierdził, że był profesjonalistą i to wysokiej klasy, orzekał zgodnie z ówczesnym prawem, a wyroki przez niego wydane są prawomocne do dziś.

We Wrocławiu mieliśmy sędziego o nazwisku Tadeusz Piasecki. Uczestniczył w wielu procesach politycznych, w których skazywał członków dolnośląskich organizacji niepodległościowych, w tym księdza rzymskokatolickiego. Dlaczego o nim mówię? Dlatego, że zawsze, kiedy zapadały wyroki śmierci, składał *votum separatum* na piśmie. W opinii o skazanym sporządzonym do NSW sędziowie wypowiadali się, czy są za karą śmierci, czy nie.

B.P. – Czym było «votum separatum»?

K.S. – W tym przypadku pisemnym wyrażeniem sprzeciwu, własnego zdania. To oznacza, że nawet w takich specyficznych warunkach, w jakich przyszło mu pracować, gdy chodziło o życie ludzkie, sędzia miał możliwość wyrażenia własnego sprzeciwu.

B.P. – Dlaczego tak niewielu z niego skorzystało?

K.S. – W moim przekonaniu ogromna liczba tych ludzi, którzy pracowali w sądownictwie i prokuraturze, była ludźmi słabego charakteru, żadnymi władzy i awansów, jakie władza ludowa ofiarowywała im za dyspozycyjność. Dzisiaj sędziowie i prokuratorzy wojskowi często piszą odwołania od decyzji pozbawiających ich uprawnień kombatanckich. Uważają, że nie mogą odpowiadać za spełnianie swoich obowiązków w ramach służby. Absolutnie się z tym nie zgadzam. Nie mówiąc już o tym, że każdy z nich miał możliwość, wprawdzie niewielką, zachować człowieczeństwo, nawet w tamtych strukturach i tamtych czasach.

B.P. – Uważa się, że aby być sędzią lub prokuratorem, trzeba mieć określone predyspozycje.

K.S. – Okazuje się, że ostatni z tych ludzi przestał pracować w wymiarze sprawiedliwości już w III Rzeczypospolitej na początku lat dziewięćdziesiątych. Myślę, że nie ma sensu podawać teraz konkretnych przykładów. Począwszy od stalinizmu przez stan wojenny ci ludzie tworzyli wymiar sprawiedliwości.

J.Ż. – Wróć jeszcze do kadry adwokackiej. Po 1956 r. w jej składzie znalazło się wielu ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy poprzednio sprawowali inne funkcje w aparacie sprawiedliwości. W latach sześćdziesiątych Służba Bezpieczeństwa inwigilowała ich i zaczęła zdejmować z różnych ważnych stanowisk, w tym w adwokatyrach. Cała ta akcja została wpisana w antysemickie wyczyny grupy moczarskiej w PZPR, co spowodowało, że niedysyjni oprawcy sami stali się ofiarami i zapomniano im winy sprzed 1956 r.

K.S. – Jeszcze o odpowiedzialności karnej pracowników aparatu sądowego. Trzeba wiedzieć, że kilku przynajmniej sędziów, prokuratorów wojskowych sądy wojskowe w latach 1944–1956 skazały na różne kary, w tym na karę śmierci. W systemie ścisłej podległości wojskowej, gdy ludzie dowiadawali się, że jakiś inny sędzia został skazany i otrzymał wyrok, to albo ich to dodatkowo mobilizowało do bardziej wydajnej pracy, albo łamało. W okresie tym aresztowano i następnie skazano: prokuratora Czesława Szpadrowskiego, byłego szefa WSR w Krakowie, ppłk. Antoniego Łukasika, ale także sędziów: Atanazego Zduna, Włodzimierza Łabatego, Witolda Kłobukowskiego czy Tadeusza Lercela – sędziego, akowca, który w swojej karierze wydał ponad czterdzieści wyroków śmierci, aresztowanego w 1949 r. i skazanego.

B.P. – *Za co był skazany i jaki otrzymał wyrok?*

K.S. – W 1947 r., kiedy był sędzią we Wrocławiu, toczyły się procesy przeciwko członkom lokalnej organizacji podziemnej Inspektorat Afryka. Dowódca tej organizacji w tym czasie ukrywał się w mieszkaniu Lercela. Za to dostał wyrok 5 lat pozbawienia wolności, z których odsiedział chyba trzy lata.

B.P. – *To rzeczywiście ciężki zarzut.*

K.S. – Sądono go za znajomości z AK. Razem działali na Lwowszczyźnie. Kiedy sędzia wychodził z domu, zostawiał akta sprawy Inspektoratu Afryka na stole. To niezwykła sytuacja, myślę, że jedyna w skali całego kraju, kiedy dowódca organizacji czyta w mieszkaniu sędziego akta sprawy, w której, gdyby został schwytany, byłby głównym oskarżonym.

Zarzuty wobec sędziów skazywanych w tym okresie były różnego rodzaju – współpraca z podziemiem, sprawy typowo kryminalne, na przykład szabrownictwo. Pułkownik Łukasik był skazany za to, że negatywnie wypowiadał się o osobach narodowości żydowskiej w sądownictwie, prokuraturze wojskowej.

B.P. – *Zapewne były to procesy pokazowe dla całego środowiska prawniczego.*

K.S. – Może nie w dosłownym sensie, ale tak. Tego typu wydarzenia stanowiły treść szkoleń i partyjnych narad w środowisku.

B.P. – *Czy można podsumować liczbę wyroków śmierci wydanych do 1955 r.?*

K.S. – Do niedawna jeszcze podawano konkretne liczby ludzi skazanych na karę śmierci. To jest jednak, jak się okazało, ogromnie złożona sprawa, podobnie jak próba

określenia, ilu mieliśmy więźniów politycznych w Polsce. Dotąd mówiono, że w Polsce skazano na karę śmierci 2,5 tys. osób. Prof. Poksiński uważał, że na karę śmierci skazano 4,5 tys. osób z tego 70 proc. wyroków zostało wykonanych. Z kolei na podstawie dokumentacji, która do 1989 r. była przechowywana w Głównym Zarządzie Więziennictwa w Warszawie, wiadomo, że skazano 400–800 osób. Najnowsze wyniki badań historyków IPN określają tę liczbę na poziomie około 5 tys.

B.P. — *To znaczne rozbieżności...*

K.S. — Okazuje się, że na razie nie da się powiedzieć, ile orzeczono wyroków śmierci i ile ich wykonano w Polsce, bez względu na to, czy mówimy o procesach politycznych, czy o kryminalnych. Odpowiedzi poznamy dopiero wtedy, kiedy będziemy potrafili zanalizować działalność poszczególnych struktur sądownictwa w Polsce, nie tylko wojskowego. Proszę zwrócić uwagę na to, jak bardzo rozbudowany był to system — mamy sądownictwo wojskowe, w tym sądy armii, korpusów, dywizji, mamy Wojskowe Sądy Rejonowe, wojskowe sądy okręgowe. Jest sądownictwo powszechne — sąd apelacyjny, okręgowe, wojewódzkie. Sądy okręgowe również wydawały wyroki śmierci. Istniały jeszcze Specjalne Sądy Karne oraz tak zwane wydziały do spraw doraźnych sądów okręgowych. W 1946 r., jak widać, funkcjonował po prostu kombinat do wydawania wyroków śmierci. Na Białostocczyźnie sędziowie jeździli od wioski do wioski, wyrok zapadał na miejscu, a rozstrzelanie odbywało się za stołową, na oczach zgromadzonej wcześniej ludności. Wydawałoby się, że są to obrazy wzięte z czasów rewolucji 1917 r. w Rosji Sowieckiej, tymczasem mówimy o Polsce powojennej.

Gdy powstał IPN, ze względu na specjalną rolę WSR zaczęliśmy naszą pracę od tych właśnie sądów. Dopóki nie zbadamy orzecznictwa sądów powszechnych, dopóty nie będziemy mogli z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że w Polsce wydano 5 tys., a nie na przykład 7 tys. wyroków śmierci. Na obecnym etapie badań uznajemy, że była to liczba nie mniejsza niż 5 tys., traktując to bardziej jak punkt wyjścia niż próbę bilansu całościowego.

J.Ż. — Jeśli chodzi o liczenie ofiar, to pamiętajmy, że nie ma faktycznie różnicy między morderstwem w śledztwie, skrytym morderstwem w więzieniu po wyroku, na przykład wobec płk. Wacława Lipińskiego we Wronkach, a wyrokiem orzeczonym w „procesie kiblowym”, zakończonym (zdarzało się, że przed upłynięciem terminu odwoławczego) strzałem w tył głowy na schodkach więzienia mokotowskiego. Zwłoki Stanisława Kasznicy, Franciszka Krawczykowskiego, Lecha Neymana i wielu, wielu innych grzebano potajemnie pod murem cmentarza na warszawskim Służewie czy też na Bródnie, gdzie odkryto pochówki pod zainstalowanymi w tym miejscu publicznymi szaletami. Z obliczeń prowadzonych w latach 1989–1990 na podstawie zachowanych statystyk wynika, że karę śmierci wykonano po procesach sądowych wobec około 2,5 tys. skazanych. Ofiary policzono metodą trochę odwrotną od tej, którą myśmy przyjęli, rozpoczynając badania nad WSR. Wtedy posługiwano się statystyką, którą wykonywały na bieżąco instytucje sądowo-prokuratorskie, sąd wojskowy, a także

kancelaria prezydenta, gdyż miał on prawo ulaskawienia. To były summaryczne dane, które dodawano w odpowiedni sposób. Z innych badań wynika ponadto, że w różnego typu więzieniach, w tym w obozach pracy w Polsce, zmarło lub zginęło po wojnie do 1956 r. w sumie ponad 20 tys. osób. Oczywiście osobną kategorię stanowią ofiary NKWD wywożone w głąb Rosji od 1944 r.

B.P. — Jak można je zweryfikować?

J.Ż. — Metodą oddolną, rozpoczynając od spraw sądowych, to znaczy należy rozpatrywać wszystkie sprawy sądowe po kolei i w ten sposób orzekać, ile osób zostało w ogóle skazanych na karę śmierci, ile spośród tych wyroków wykonano, ile orzeczono kar z powodów politycznych, ile z kryminalnych. Są też skazani na karę śmierci Ukraińcy czy członkowie autentycznego podziemia hitlerowskiego. Nie mówiliśmy o tym, ale wtedy również orzecznictwo wobec kryminalistów było dużo surowsze niż w normalnych warunkach, czyli w praworządnym państwie.

Przy okazji badania akt WSR wychodzą bardzo interesujące materiały pokazujące zachowania skazanych w czasie ciężkiego śledztwa, konfrontację z ówczesnym sądownictwem. Oni często próbowali ratować swoje życie, podejmując już na poziomie śledztwa grę z oficerami śledczymi z MBP. Jedna i druga strona próbowała się dowiedzieć o strukturze i działaniu danej organizacji czy środowiska. Strona śledcza chciała dowiedzieć się jak najwięcej o tym środowisku, człowiek poddawany śledztwu chciał się zorientować, ile śledczy wie i rozumie, ile można powiedzieć bez dekonspirowania swych przyjaciół, bez innych skutków ubocznych. Tak toczyła się owa gra między śledczymi, którzy się pastwią, a maltretowanymi ludźmi, którzy próbują nie tracić kontroli nad rzeczywistością, nad tym, co mówią. Jednocześnie bardzo rzadko się zdarzało, żeby w ogóle aresztowani odmawiali zeznań, by ignorowali fakt, że stoją przed obliczem „prawa”. Widać w tym nie tylko sposób na ratowanie życia, ale także wiarę, że gdzieś między śledczym a szafotem, na tej ciernistej drodze, jest jakaś sprawiedliwość.

Akta spraw z lat 1946–1955 rozpatrywanych przez WSR zawierają masę ciekawych informacji historycznych na temat działalności AK w czasie wojny, funkcjonowania NSZ, struktur, konkretnych ludzi. Jest to także kopalnia wiadomości na temat systemu represji w PRL — od momentu aresztowania, przeprowadzenia rewizji po wyrok skazujący i — w wypadku kary pozbawienia wolności — akta więzienne, dokumenty zwolnienia i czasami ewentualnej dalszej inwigilacji.

B.P. — *Działalność wymiaru sprawiedliwości okresu stalinowskiego była podporządkowana podwójnej pragmatyce. Bez wątplenia chodziło o wyeliminowanie wroga, ale był to także sposób tworzenia atmosfery terroru wobec społeczeństwa. Wiele procesów było nagłaśnianych i dlatego też zapadły te bardzo wysokie i często zupełnie nieadekwatne do przewinień wyroki. Po zapadnięciu wyroku śmierci skazany miał jeszcze szansę na ulaskawienie, choć w niektórych sprawach wyrok wykonywano natychmiast, ale były też takie, w których więźniowie czekali na egzekucję mie-*

siącami. Czy to zróżnicowanie charakteryzowało jakieś szczególne okresy w działalności sądów?

K.S. — Na pewno liczba wyroków wykonanych w stosunku do orzeczonych inaczej wyglądała w 1945 r., inaczej w 1947 czy 1951 r. Spokojnie jednak możemy przyjąć, na to są dokumenty, że około 60 proc. wyroków orzeczonych zostało w Polsce wykonanych. Profesor Poksiński twierdził, że jest to 70 proc. Myślę, że nieco mniej, ale z pewnością jednak powyżej 50 proc.

B.P. — Zapada wyrok śmierci. Co dzieje się dalej ze skazanym, gdy wyrok nie jest wykonany natychmiast?

K.S. — Bywało, że ludzie spędzali dwa lata w celi śmierci, na ogół jednak to był okres 90–120 dni. Wtedy zapadała decyzja o skorzystaniu lub nie z prawa łaski przysługującego prezydentowi i Radzie Państwa.

B.P. — Gdzie przebywali ludzie czekający na akt łaski?

K.S. — Na Mokotowie, w Warszawie, ludzie z wyrokiem śmierci przebywali w zbiorowej celi śmierci. We Wrocławiu po wyroku umieszczano ich w izolatkach, gdzie nie dało się wyprostować ręk, była to cela o wymiarach półtora metra na cztery kroki, z przytwierdzoną do ściany pryczą, rozkładaną na noc, zakratowanym oknem, stołkiem, taboretą, wiaderem, czyli tak zwanym kibelem, i stałe palącą się żarówką. Straż więzienna musiała czuwać, by skazany nie popełnił samobójstwa.

Z relacji czekających na decyzję o ulaskawieniu dowiadujemy się o ich przeżyciach — czas płynął tak, że nie wiedzieli, kiedy jest noc, kiedy jest dzień, każde skrzypnięcie butów na korytarzu oznaczało dodatkowe drżenie i bicie serca. Czy to już egzekucja, czy może jeszcze spacer albo wizyta kławisza w celach porządkowych? Myślę, że nikt, kto nie przeszedł tego rodzaju udręki, nie jest nawet w stanie sobie wyobrazić przeżyć człowieka skazanego na karę śmierci, który przez kilkadziesiąt dni przebywa w takiej atmosferze. W przypadku ulaskawienia, więzień był przenoszony do celi zbiorowej, najczęściej również do innego więzienia. Jeśli nie było ulaskawienia, rozpoczynała się procedura związana z egzekucją. Z reguły pozwalano więźniom na napisanie, chociaż nie w każdym przypadku, listu pożegnalnego. W 1995 r. otwierałem zalakowane koperty, gdzie były listy pożegnalne osób skazanych na śmierć, napisane w latach czterdziestych, dodajmy, listy nigdy nie wysłane.

B.P. — Na kim spoczywał obowiązek wysłania listu?

K.S. — Na prokuratorze wojskowym. Te listy były w jego aktach podręcznych w tej samej przegródce co protokół wykonania kary śmierci.

B.P. — Najtrudniejsze pytanie w tej rozmowie — jak wyglądała egzekucja?

K.S. — Przepisy mówiły o dwóch rodzajach wykonania egzekucji — przez rozstrzelanie i przez powieszenie w stosunku do osób skazanych przez sądy powszechne. W przypadku powieszenia przepisy mówiły, że jeżeli były jakieś wątpliwości co do tego, czy śmierć nastąpiła, kat powinien podejść, pociągnąć ciało, wykonać gwałtowny

zwrot w celu przerwania kręgów szyjnych. Chodziło o pewność. Jeżeli chodzi o rozstrzelanie, bywało różnie. Zachował się dokument z 1946 r., pismo naczelnego prokuratora sądu wojskowego płk. Henryka Holdera, który stwierdza: „dochodzą mnie informacje o nieprzepisowym wykonaniu egzekucji, strzałem w kark, gdzieś na stopniach piwnicy, itd.” Holder był osobą bardzo dobrze poinformowaną. Dla nas jest to bardzo wiarygodny dokument potwierdzający, że przez wiele lat po wojnie egzekucje wykonywano w sposób sowiecki, katyński, strzałem w tył głowy, gdzieś na schodach, gdzieś w piwnicy. Nie było więc całego ceremoniału, który komuniści sami przecieży stworzyli. Jeżeli była wątpliwość, czy człowiek żyje, przepisy mówiły, że na dowódcy plutonu egzekucyjnego spoczywał obowiązek dobicia strzałem w skroń. Mamy w naszych dokumentach makabryczne opisy egzekucji, między innymi relacje ks. Jana Skiby, więziennego kapelana we Wrocławiu. Niestety, jest ich bardzo niewiele.

B.P. — *Dlaczego?*

K.S. — Dlatego, że żaden prokurator, klawisz, naczelnik więzienia, lekarz asystujący przy egzekucji z oczywistych powodów nie będzie wspominał, jak uczestniczył przy egzekucji; mógł to uczynić tylko ksiądz. Ksiądz Skiba już nie żyje. Jest też relacja ks. Mariana Prusaka w sprawie Danuty Siedzikówny „Inki”.

J.Ż. — Zachowała się jeszcze relacja ks. Hieronima Lewandowskiego na temat wykonywania wyroków śmierci przez niejakiego Młynarka, szefa aresztu w Poznaniu. Tenże wyprowadzał więźnia poza obręb miasta w asyście prokuratora, strażników i kapłana, i tam w lesie, na przykład rozmawiając z nim, nagle strzelał prosto w twarz.

Chciałbym jeszcze wrócić do celi śmierci. Atmosferę w celi śmierci charakteryzowało powstrzymywanie się skazanych od emocji, od gestów zdradzających słabość; obowiązywała pełna mobilizacja i męstwo. Co pomagało w utrzymaniu się w „pionie”?

Charakterystyczna cecha przeżyć w celi śmierci to wzrost religijności. Na ten temat już wiele powiedziano, są związane z tym wiersze, istnieją wspomnienia o utajonym przebiegu Bożego Narodzenia czy świąt Wielkanocnych w celi więziennej. To podtrzymywało ducha, trwanie w wewnętrznej wolności. Posiadamy relację Hieronima Wysockiego, który do dziś jest przekonany, że właśnie wówczas w celi śmierci objawiła mu się Matka Boska, i roztoczyła nad nim opiekę w tych trudnych miesiącach. Proszę sobie wyobrazić 90 dni oczekiwania, kiedy nie można dokonać żadnych zmian w życiu. Albo wszystko przegrane, albo nie. Wzrost religijności, szukanie opieki u Stwórcy pomaga przeżyć ten trudny okres. Pan Hieronim opowiadał mi o spotkaniu z Matką Boską; po czterdziestu latach pamiętał każdą sekundę i szczegół tego wydarzenia. Następnie przeżył śmierć pozorowaną. Był młodym człowiekiem i nie znał procedur wykonywania kary śmierci, bo w końcu na ogół tylko raz uczestniczył w takim wydarzeniu. Przyszli po niego, jeden przedstawił się, że jest prokuratorem, powiedzieli, że zostanie wykonany na nim wyrok kary śmierci, zawiązali mu oczy, wyprowadzili. Znieśli go po schodach, postawili — to była dla niego taka minuta

życia na krawędzi – potem wrócili z nim do celi, zdjęli opaskę i powiedzieli, że dzisiaj egzekucji nie będzie. Nie załamał się.

B.P. – *To był rodzaj zabawy?*

J.Ż. – Tak, to był rodzaj zabawy. Opowiadał mi, że przeżył to w miarę spokojnie, bo Matka Boska powiedziała mu, iż będzie uratowany. Został ułaskawiony, żyje do dziś. Opowiadam o tych dwóch sprawach, o potrzebie kontaktu z Bogiem i mobilizacji moralnej ludzi z celi śmierci, bo istnieją na ten temat różne przekazy, w tym krzywdzące wspomnienia ludzi.

Takie przypadki jak opisane przez ks. Lewandowskiego czy Hieronima Wysockiego zdarzały się, ale nie przeczytamy o nich w dokumentach z teczek więźnia, gdzie w biurokratycznym porządku są umieszczone informacje bardzo lakoniczne: że nie skorzystano z prawa łaski, że plutonem egzekucyjnym dowodził ten i ten, i że w obecności prokuratora, kapłana, lekarza i naczelnika więzienia został wykonany wyrok przez rozstrzelanie.

Lektura listów, które znajdują się w aktach, również jest wstrząsająca. Znana jest między innymi korespondencja Łukasza Cieplińskiego, przekazana rodzinie w formie grypsu. Píše do żony i swego małego dziecka, że będzie zabity za ojczyznę. Jest świadom, że do rodziny może dotrzeć inna wersja wypadków i nie dość, że zginie dla ojczyzny, to zostanie pośmiertnie pohańbiony. W aktach WSR kryje się wiele tragedii, między innymi czytamy ostatnie listy kierowane do rodzin, które nigdy nie trafiły do adresatów. Żona, matka, dziecko – najbliższym nie dano poznać prawdy o człowieku, którego kochali. Również przedśmiertny list wspomnianego przeze mnie skazanego za szpiegostwo Sz., jednego z ostatnich skazanych na karę śmierci przez WSR w Warszawie, nie dotarł do rodziny, pozostał w zalakowanej kopercie. Sz. skazano za szpiegostwo na rzecz Niemców. Było to straszne oskarżenie, biorąc pod uwagę powojenny czas. Píše do swej matki, aby pamiętała, że niezależnie od tego, co będą o nim mówić, on służył swojej ojczyźnie, tak jak umiał.

B.P. – *Ponowię swoje pytanie o ułaskawienia. Czy na ułaskawienie wpływały kaprysy polityka, nacisk na niego czy jakieś inne okoliczności?*

K.S. – Prostej odpowiedzi na takie pytanie nie ma. Posłużmy się przykładem. W latach czterdziestych mieliśmy procesy czterech kolejnych zarządów głównych WiN, w których zapadały wyroki śmierci. Dziś raczej się domyślamy, niż wiemy, dlaczego wobec jednych stosowano prawo łaski, a innym odmawiano tego prawa. Twierdzę, że ułaskawienie było ściśle związane z aktualną potrzebą polityczną.

B.P. – *I propagandową.*

K.S. – Tak, istotne było także to, czy jakiś proces można było wykorzystać propagandowo, czy też nie.

J.Ż. – Po wyroku skład sędziowski, który wyrok orzekał, miał zadanie napisać, najczęściej odręcznie, jaka jest opinia sądu na temat ewentualnego ułaskawienia. W niektórych przypadkach w tych notatkach znajduje się pewna logiczna wskazów-

ka co do intencji ówczesnego wymiaru „niesprawiedliwości”. Jeśli ktoś był dowódcą, to powinno się wobec niego utrzymać wyrok śmierci, ponieważ nie dość, że działał niezgodnie z prawem, niszczył państwo ludowe, to jeszcze wychowywał w nienawiści do ludowego państwa podwładnych. Istniała zatem pewna teoretyczna podbudowa ideologiczna danej decyzji. Podobnie było na przykład w dodatkowych opiniach, kierowanych przez skład sędziowski lub prokuraturę i MBP, na prośbę prezydenta, gdy on sam nie był do końca przekonany. W praktyce jednak wszelkie teoretyczne czy też rewolucyjne uzasadnienia, dla których jedni mieli stracić życie, a inni je zachować, upadały w konfrontacji z ostatecznym werdyktem Bieruta.

B.P. — *Pewnie zacząć należy od tego, że często prośby o ułaskawienie nie docierały do adresatów.*

J.Ż. — To jest osobny problem. Ale była taka sprawa Mirosława Ostromeckiego, który został skazany na karę śmierci i bardzo długo nie wiedział o tym, że prezydent skorzystał z prawa łaski. W jego opisie ten czas oczekiwania trwał bardzo długo, a w konfrontacji z dokumentami widać, że przetrzymywano tę informację, ponieważ Ostromecki był potrzebny jako świadek do kolejnych procesów, więc chciano go dodatkowo rozmiękczyć. Faktem jest, że pod wpływem listu — interwencji kardynała Adama Sapiehy — Bierut zamienił dość szybko karę śmierci na 15 lat pozbawienia wolności. Widocznie uznał, a był to rok 1947, że warto skorzystać z prawa łaski i zyskać w osobie kardynała wdzięcznego dłużnika. Rozumowanie Bieruta, który decydował o wielu aspektach życia publicznego, mogło mieć bardzo różnorodne podłoże. Czasem wygrywał pragmatyzm, na przykład w przypadku pewnej kobiety, która miała być skazana na karę śmierci, w początkach 1946 r. Bierut wówczas uznał, że niewskazane jest, by jedną z pierwszych osób skazanych na karę śmierci przez WSR była kobieta. Warto może podkreślić, że z punktu widzenia samych skazanych na karę śmierci logika władz była bardzo czytelna — przywódców zabijano, ułaskawiano szeregowych żołnierzy, to miało być regułą. Ale to jest bardzo subiektywne odczucie. Oni oczywiście mają prawo do własnej pamięci i przekonania, ale rzeczywistość była znacznie bardziej skomplikowana. Bierut mógł korzystać z prawa łaski, ale jednocześnie był dysponentem bardzo wielu innych projektów politycznych, do których łaska pasowała lub nie. Było to też wykorzystywane do celów propagandowych. Otrzymywał masę listów od członków rodzin skazanych, wśród których, czemu trudno się oczywiście dziwić, przeważają listy zatytułowane „Wielki Ojciec” — od żon, dzieci, rodziców. Praworządność komunistyczna — czyli wewnętrzna sprzeczność — pomagała Bierutowi w budowaniu swojego obrazu „małego Stalina” i „sprawiedliwego gospodarza” w Polsce.

K.S. — Aby jeszcze bardziej skomplikować ten problem, musimy wspomnieć o kancelarii prawnej Bieruta, gdzie sztab ludzi przygotowywał dla niego korespondencję, robiąc między innymi różne zakreslenia w tekście, krótkie wypisy...

B.P. — *W takich sytuacjach ważna jest nawet odpowiednia kolejność podsuwanych dokumentów.*

K.S. – W kancelarii pracowali zwyczajni ludzie, mający z takimi wyrokami do czynienia na co dzień. Wystarczyło podkreślić jedno zdanie, które nie było najważniejsze, albo pominąć to najważniejsze. Warto o tym pamiętać.

J.Ż. – Pamiętamy też, że w państwie totalitarnym ważną rolę odgrywał czasem przypadek. Znam zapis z posiedzenia Biura Politycznego, gdzie omawiano kwestię wyroków śmierci. To są bardzo dramatyczne zapisy, pokazujące obrzydliwość tych ludzi, na przykład wobec bardzo znanej postaci orzeczone, że jeżeli okaże się, iż jest on dyspozycyjny przy innych procesach, to można skorzystać z prawa łaski, jeżeli zaś nie, to należy przerwać jego życie – bezużyteczne z punktu widzenia władz. Wiemy, że w tym wypadku z prawa łaski skorzystano. Szukanie jednoznacznego i stałego porządku jest daremne.

K.S. – Czasami sędziowie motywowali konieczność wykonania wyroku śmierci również rzekomym nasileniem działalności antykomunistycznej na danym terenie. To oznaczało, że w celu prewencji ogólnej należałoby zastosować straszak w postaci egzekucji. Tak więc nie konkretny czyn człowieka decydował o jego ukaraniu, w każdym razie nie tylko czyn. Powiedzmy również o spotkaniach szefów WSR z pierwszymi sekretarzami komitetów wojewódzkich. To jest rzecz, o której się raczej nie mówi. Wydaje mi się, że rozpatrując działalność sądownictwa wojskowego, prokuratury wojskowej w Polsce, wydawanych przez nie wyroków śmierci czy spraw politycznych, musimy brać pod uwagę zależności tych organów od partii. Inaczej nie bardzo będzie wiadomo, o czym mówimy. Te organy nie powstały same dla siebie, ale po to, żeby zapewnić możliwość realizacji dyktatury proletariatu. One tę dyktaturę realizowały. Nie ma możliwości, aby ktoś był szefem czy zastępcą szefa sądu wojskowego, jeżeli wcześniej nie było zgody organizacji partyjnej. Wcześniej mógł być nawet akowcem, nie musiał być partyjny, ale musiał realizować politykę zgodną z oczekiwaniami partii.

J.Ż. – Odpowiedni przepis prawny w 1946 r. uchylił zobowiązanie, że sędziowie nie mogą być członkami partii, utrzymujące się od czasów II Rzeczypospolitej, co legalizowało jedynie stan faktyczny.

K.S. – W książce *Zbrodnie w majestacie prawa* w kilku miejscach prezentuję pisma z wydziału kadr Komitetu Wojewódzkiego i z Komitetu Centralnego. Są to zgody wydziałów kadr poszczególnych KW lub KC PZPR na obsadzenie kierowniczych stanowisk w sądach i prokuraturach. Brak zgody powodował, że ktoś nie mógł objąć takiego stanowiska.

Chciałbym raz jeszcze powrócić do kierowniczych stanowisk w sądownictwie i prokuraturze. Wystarczyło mieć pełną kontrolę nad szefami w poszczególnych sądach po to, żeby mieć całkowitą pewność co do tego, że polityka karna będzie realizowana zgodnie z oczekiwaniami partii. Dzisiaj ktoś może powiedzieć – no dobrze, było sądownictwo wojskowe i ono robiło to, co do sądów należało. To jest nieprawda, ono realizowało politykę partii. Dzisiaj, kiedy mówimy o sędziach i prokuratorach wojskowych, nie zwalniając oczywiście ich od jednostkowej odpowiedzialności, po-

winniśmy pamiętać jednocześnie o odpowiedzialności ludzi, którzy pełniąc funkcje partyjne, byli ich zwierzchnikami czy wręcz zleceniodawcami.

B.P. — *To właśnie nazywa się sprawstwem kierowniczym.*

K.S. — Szkoda, że nie wszyscy tak myślą.

J.Ż. — Mam jedną uwagę do tego, co mówiłeś wcześniej, bo nie bardzo się z tobą zgadzam. Słusznie powiedziałeś, że okres 1944–1956 należy wyizolować z całego kontekstu PRL. Ale każde bodaj stwierdzenie syntetyzujące epokę ma swoje daleko idące odstępstwa od reguły. Przykładem potwierdzającym jest choćby historia WSR, które zostały w 1955 r. rozwiązane, sprawy w toku przerzucono do sądów powszechnych, jeśli dotyczyły osób cywilnych, natomiast do sądów wojskowych skierowano sprawy obejmujące „mundurowych”. Z perspektywy więźnia względna „odwilż” rozpoczęła się już w 1954 r.; poprawiła się jakość pożywienia, więcej paczek dochodziło do adresata, służba więzienna przestawała pełnić funkcje kolejnego ogniwa terroru. Od 1955 r., a szczególnie po amnestii z 1956 r., ludzie zaczęli wracać do domu. Rozpoczął się proces rozliczania za „błędy i wypaczenia” — tak eufemistycznie nazywano zbrodnie. Z drugiej strony, co widziałem na przykładach kilkunastu spraw, w sądownictwie i w całym systemie penitencjarnym nastąpiła kontynuacja epoki stalinowskiej po 1956 r. Nieprawdą jest, że wszyscy więźniowie polityczni wyszli w 1956 r. Oni wychodzili także w następnych latach — w 1957, a nawet jesienią 1958 r.; ponadto dziesiątki osób pozostało w więzieniach, przede wszystkim ci, którzy byli oskarżeni i skazani na początku lat pięćdziesiątych za szpiegostwo. Adam Boryczko, działacz niepodległościowy i emisariusz władz polskich na uchodźstwie, skazany w 1954 r. na dożywocie, wyszedł na wolność w 1969 r. Działo się tak dlatego, że w orzecznictwie po 1956 r. niektóre czyny nadal były traktowane jako czyny zbrodnicze, na szkodę państwa polskiego.

Dруга kwestia, dużo bardziej skomplikowana, ale trzeba by się nią zająć historycznie — to pytanie, w jakiej mierze i z jakich przyczyn w latach sześćdziesiątych próbowano podtrzymywać wyroki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych wobec ludzi, którzy starali się bądź o zatarcie wyroku, bądź o jego unieważnienie. Znam kilka takich przypadków, w których okazuje się, że sąd w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych podtrzymywał wyroki z lat czterdziestych i uwiarygodniał je w ten sposób, przykładem jest sprawa Bolesława H. i innych. Sąd dawał wiarę dokumentom okresu stalinowskiego, a nie zeznaniom świadków i człowieka próbującego się — jego zdaniem — oczyścić z zarzutów, do których się przyznał pod wpływem tortur. Może to być traktowane jako pewnego rodzaju odstępstwo od reguły, bo bardzo wiele osób w 1957 r. zostało zrehabilitowanych w ramach odwilży popaździernikowej, ale nie jest do końca jasne, które sprawy zostały wyłączone z określenia „błędy i wypaczenia”. Najtrudniej, jak się wydaje, było oczyścić się z zarzutów z dekretu sierpniowego z 1944 r. Trzeba jednak pamiętać, że szczególnie od 1949 r. oskarżenia z dekretu sierpniowego, na przykład dotyczące kolaboracji z Niemcami czy też rzekomego zabójstwa Żyda w czasie wojny, służyły skompromitowaniu struktur i ludzi polskiego

państwa podziemnego czy NSZ (NZW); czasem (jak w przypadku rotmistrza Witolda Pileckiego czy działacza Organizacji Polskiej Edwarda Kemnitza) oskarżenie z tego dekretu było wkomponowane w inne zarzuty, a podsądny był skazywany za całokształt swojej „zbrodniczej działalności”, czyli faktycznie za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, jak określa to ustawa o kombatanтах z 1991 r. W aktach byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu znalazłem ponad 100 spraw z dekretu z 31 sierpnia 1944 r., w których skazano działaczy niepodległościowych, w tym żołnierzy AK, NSZ i BCh. Wydaje mi się, że po 1956 r. istniała pewna kategoria czynów, która – mimo niewiarygodności sądów okresu stalinowskiego – nie mieściła się w formule błędów i wypaczeń tego systemu. Oczywiście nie są to sprawy łatwe; po wojnie sądzono także osoby, które naprawdę donosiły na gestapo na ludzi przechowujących Żydów, czy też na samych ściganych; sądzono aktorów kolaborujących z teatrami niemieckimi i dziennikarzy piszących do „gadzinówek”. Jednakże nie można powiedzieć, że w 1956 r. zamknął się definitywnie pewien typ „sądownictwa rewolucyjnego”. Przetrwał on nie tylko na poziomie skutków, ale także w biografiach sędziowskich. Ponadto po 1956 r. SB bardzo często inwigilowała byłych skazanych na karę śmierci, a także innych więźniów okresu stalinowskiego. Przykładowo, już pod koniec 1956 r. założono sprawę operacyjną na „figuranta” Wiesława Chrzanowskiego, oskarżanego (*sic!*) przez SB o kontakty z prymasem Polski i wrogi stosunek do ustroju socjalistycznego, w tym kontestowanie ustawy o przerywaniu ciąży.

K.S. – Mówiąc o tym, że przełom 1955–1956 jest pewną cezurą, myślę tylko i wyłącznie o skali represji. Masz rację, ludzie, którzy wcześniej pracowali w sądownictwie, potem stali się adwokatami, sędziami, prokuratorami. Jednym słowem, działali w tym samym państwie, a zmiany miały charakter kosmetyczny.

O tym, jak trudno nam dziś zerwać z balastem nawyków z poprzedniego ustroju, niech świadczą wyroki z lat dziewięćdziesiątych unieważniające procesy sprzed półwiecza. Myślę o takich sytuacjach, kiedy sąd orzekając, że ktoś działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, zaraz potem cytuje, w nawiasach albo bez, słowo w słowo fragmenty wyroku stalinowskiego sądu, typu „zastrzelił funkcjonariusza urzędu bezpieczeństwa”. Znam osoby, które płakały po odczytaniu czegoś takiego. Pytały: co z tym zrobić? Jak to pokazać dziecku czy wnukowi? Cóż to za unieważnienie, jeżeli piszą, że mój mąż „ukradł”, „zastrzelił”, „uciekł”?

W naszej rozmowie uciekł nam jeden bardzo ważny wątek. Nie powiedzieliśmy o miejscach spoczynku, pochówku ofiar terroru komunistycznego.

B.P. – *Myślę, że jest to dobry temat na osobny numer «Biuletynu».*

Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej, nr 11 (22), listopad 2002

TAJEMNICZA PANNA S.

O Niezależnym Samorządnym Związku Zawodowym „Solidarność”
ze Sławomirem Cenckiewiczem i Grzegorzem Majchrzakiem

B.P. — *«Solidarność» to związek zawodowy, ruch społeczny i symbol niezwykłego okresu w dziejach PRL. W wielu wspomnieniach używa się określenia: jak wybuchła «Solidarność», choć jest to nieprecyzyjne, bo już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych pojawiły się środowiska opozycji demokratycznej, KOR, ROPCiO, o charakterze półjawym. To rodziła chrześni «Solidarność». Ale nie tylko. Wielu ludzi zaangażowanych w «Solidarność» chciało w niej widzieć kontynuację wysiłków niepodległościowych.*

G.M. — O ile jeszcze w lipcu strajkujący śpiewali *Międzynarodówkę*, o tyle w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej sięgnęli po *Boże coś Polskę*, nawiązywano też do polskiej tradycji romantyczno-powstańczej. Z kolei po wprowadzeniu stanu wojennego sięgnięto do tradycji Polskiego Państwa Podziemnego, a wśród działaczy legalnej „Solidarności” przewinęli się również uczestnicy powojennego podziemia zbrojnego.

S.C. — Jeśli już mówimy o hasłach, to trzeba wspomnieć, że na stoczniowej bramie numer dwa obok obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i portretu Ojca Świętego zawisło też hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Wracając do genezy „Solidarności” — nie powinniśmy wyłącznie wskazywać na środowiska — umownie mówiąc — warszawskie. Nie zapominajmy, że w całej dekadzie lat siedemdziesiątych w Trójmieście funkcjonuje kilka znaczących kręgów opozycyjnych — duszpasterstwo akademickie ojców dominikanów, Ruch Młodej Polski, Wolne Związki Zawodowe, punkt konsultacyjny ROPCiO, który prowadził Tadeusz Szczudłowski. Był również „niezłomny” ks. Hilary Jastak z parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni. Nie były to wprawdzie środowiska zbyt liczne, jednak już sam fakt powstania kilku — dodajmy, konkurencyjnych wobec siebie — grup, odwołujących się do zgoła różnej spuścizny ideowej, świadczy o bogactwie trójmiejskiej opozycji. Wszystkie te środowiska miały wobec *Sierpnia*’80 różne oczekiwania — jedni proponowali program większych praw robotniczych, ideę wolnych związków zawodowych, inni hasło budowy przyczółków niepodległości. Wracając natomiast do pytania o korzenie opozycji — tej przedsierpniowej — to nie upatrywałbym ich na przykład w działalności podziemia

zbrojnego po 1945 r. Uważam, że akurat w tej kwestii mamy ostatnio do czynienia ze swego rodzaju mitologizacją dziejów. Przynajmniej w Trójmieście – a podejrzewam, że nie jest to zjawisko odosobnione – środowiska opozycyjne odwoływały się raczej do tradycji robotniczych, socjalistycznych, czasem również syndykalistycznych i antyklerykalnych. Opozycja młodszego pokolenia – duszpasterstwo akademickie czy Ruch Młodej Polski – w pewnym stopniu fascynowała się myślą narodową, endecką, w jej „starym”, jeszcze przedwojennym (chodzi o pierwszą wojnę światową) sensie politycznym i narodowym. Na mapie trójmiejskiej opozycji jest może jeden wątek – Tadeusz Szczudłowski, który od zawsze widział w sobie spadkobiercę Polski Walczącej i Szarych Szeregów. W dyskusji o postawach społecznych mieszkańców Wybrzeża musimy wziąć również pod uwagę pewną pomorską specyfikę. Poza epizodem żołnierzy majora „Łupaszk” z lat czterdziestych, praktycznie do 1968 r., a powiedziałbym, że nawet do grudnia 1970 roku, Gdańsk nie był jakąś „zbuntowaną prowincją”. Są wprawdzie środowiska poakowskie, kresowe, są Ukraińcy i Ormianie, przeciwko którym prowadzi się działania operacyjne, lecz nie stanowią oni jednej siły, o wspólnych celach i ideach. Cezurą w tym względzie jest niewątpliwie grudzień 1970 r., przede wszystkim dlatego, że wywołał na Wybrzeżu wielki wstrząs i stał się z miejsca elementem zbiorowej pamięci mieszkańców Pomorza Gdańskiego.

G.M. — Zgoda, w przypadku Wybrzeża na pewno najważniejszy był grudzień 1970 r., ale z kolei w Wielkopolsce ważniejszy był chyba jednak czerwiec 1956 r. Inna sprawa, że pamięć o wydarzeniach z grudnia 1970 r. wpłynęła na postawę zarówno strajkujących, jak też władz i Kościoła katolickiego. Z kolei marzec 1968 i grudzień 1970 r. nauczyły, że robotnicy i intelektualiści walczący osobno nie mają żadnych szans w starciu z władzą. Ważne jest też to, o czym w ogóle nie mówiliśmy, czyli dojście do władzy Edwarda Gierka. W tym momencie opozycja zyskała większą swobodę działania. Oczywiście nie wynikało to z dobrej woli I sekretarza, a z uwarunkowań międzynarodowych (w epoce otwarcia na świat władze nie mogły sobie pozwolić na zbyt drastyczne działania wobec opozycji). Druga połowa lat siedemdziesiątych to wręcz rozkwit opozycji w PRL. Choć oczywiście z drugiej strony nie było to tak, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nic się nie działo. Otóż działały niewielkie grupy opozycyjne (głównie młodzieżowe), choć na znacznie mniejszą skalę.

B.P. — *Żeby przypieczętować fakt narodzin «Solidarności», warto powiedzieć o lecie 1980 r. Wiele kolejnych wydarzeń, zrazu nie powiązanych ze sobą, w końcu owocuje powstaniem wielkiego narodowego frontu skierowanego przeciwko władzy. Zwróciłabym jeszcze uwagę na czerwiec 1976 r., który – wydawałoby się – powinien być nauczka dla władzy. Nie można ludziom, którzy już mają kłopoty bytowe i jakieś punkty porównawcze z innymi krajami, bezkarnie podnosić cen mięsa. Co spowodowało tę decyzję o podwyżce cen od 1 lipca – czy był to rodzaj prowokacji, czy też rządzący nie uświadamiali sobie, że jest to podpalenie lontu?*

G.M. — Lektura dokumentów władz wskazuje na to, że podejmując w 1980 r. (czy to w Biurze Politycznym, czy później na posiedzeniu prezydium rządu) decyzje o podwyżce z dniem 1 lipca cen „niektórych gatunków wędlin i mięsa”, nie zadawano sobie sprawy z tego, co ta decyzja może przynieść. Choć z drugiej strony rządzący stali pod ścianą, sytuacja gospodarcza kraju była na tyle zła, że wydawało się, iż jest to działanie konieczne.

S.C. — Dla naszej dyskusji jest to o tyle ważne, że wtedy, po wydarzeniach radomskich, powstaje zorganizowana opozycja w Warszawie, która ma koncepcję nawiązywania kontaktów z trenerem i próbuje skoordynować działania opozycyjne mimo istniejących już wówczas różnic.

G.M. — Kolejna rzecz, otóż robotnicy dostają sygnał, że w razie kłopotów z władzami mogą liczyć na jakąś pomoc.

B.P. — *Myszę, że poczucie jedności narodowej w całym okresie «Solidarności» trwało bardzo krótko, oczywiście najsilniejsza była ona od sierpnia do marca 1981 r. włącznie. To była jedność mentalna i uczuciowa. Potem, nierzadko inne były oczekiwania członków i sympatyków «Solidarności» i inna taktyka prowadzenia związku realizowana przez przywódców.*

G.M. — Cofnąłbym się jeszcze do lipca, choć za datę narodzin „Solidarności” przyjmuje się 14 sierpnia, czyli początek strajku w Stoczni Gdańskiej. Pierwsze strajki odbyły się 1 lipca w Mielcu, gdzie zastrajkowało 270 osób, w Poznaniu 220. Miały mniejsze i większe natężenie, z kumulacją w połowie lipca, kiedy to właściwie trwał strajk generalny w Lublinie. Mechanizm był taki — strajki pacyfikowano, dając podwyżki. Natomiast gdy pracę rozpoczynał zakład, któremu dano podwyżki, za chwilę strajkował inny zakład albo wręcz inny wydział tego samego zakładu. Ale to nie było jednak tak, że w lipcu strajkujący myśleli tylko o pieniądzach. Wysuwano również postulaty „polityczne”, między innymi żądano dodatków rodzinnych na tym samym poziomie co dla funkcjonariuszy MSW, zmian w radach zakładowych, zaopatrzenia rynku porównywalnego z Górnym Śląskiem czy wolnych sobót.

To właśnie w szczytowym okresie strajków lubelskich, 18 lipca, miało dojść do utworzenia międzyzakładowego komitetu strajkowego. Jednakże dzięki „czujności” lubelskiej SB udało się nie dopuścić do spotkania przedstawicieli komitetów zakładowych. Strajki, które wybuchły na początku lipca, trwały właściwie nieprzerwanie do 14 sierpnia. Natomiast strajk w stoczni był zaplanowany i zorganizowany przez osoby działające w opozycji.

S.C. — Jeśli popatrzymy na negocjacje ze strajkującymi w sierpniu w Szczecinie i Gdańsku, zauważymy różnice. Jedni domagają się swobód politycznych, inni natomiast zostają wprowadzeni w kanał rewindykacji robotniczych. Przed laty trafnie zwracał na to uwagę Jerzy Holzer w swojej książce o „Solidarności”. Być może obecnie należy to interpretować przez pryzmat wpływów szczecińskiej SB w tamtejszym Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym. Tego na razie nie wiemy.

Chcę jednak powrócić do kwestii wygłaszania strajków lipcowych za pomocą oferty podwyżki. Taką strategię przyjęto właśnie w sierpniu w Szczecinie. Ten strajk odbywał się przecież już w zupełnie innych okolicznościach niż strajki lipcowe, a mimo to w Szczecinie wciąż dyskutowano o reformie branżowych związków zawodowych i podwyżkach płac. W Gdańsku natomiast mamy zupełnie nową jakość. Wątki socjalne przeplatają się z postulatami politycznymi (wolne i niezależne związki zawodowe), a nawet religijnymi. Było to zasługą opozycji przedsierpniowej, której przedstawiciele znaleźli się w stoczni. Pewnie dlatego w okresie od sierpnia do października 1980 r. wysiłki SB zmierzały przede wszystkim do „odklejenia ekstremy” z Wolnych Związków Zawodowych, Komitetu Obrony Robotników, Ruchu Młodej Polski i Konfederacji Polski Niepodległej do MKS, MKZ i rodzącej się „Solidarności”.

G.M. – Doświadczenie lipca miało jednak swoje znaczenie, bo okazuje się, że można zastrajkować, można coś wywalczyć. Jeśli mówisz o porozumieniach szczecińskich, nie zapominajmy, że 16 sierpnia w Gdańsku było praktycznie po herbacie. Komitet strajkowy ogłosił już jego zakończenie. Wracając do Szczudłowskiego – był jednym z tych ludzi, którzy ten strajk uratowali. Ważną rolę odegrało też kilka „słabych” kobiet, w tym zmarła niedawno Alina Pieńkowska. Powstaje międzyzakładowy komitet strajkowy, który dwa dni później przekazuje wojewodzie gdańskiemu 21 postulatów, ze słynnym pierwszym postulatem, czyli żądaniem utworzenia niezależnych od partii związków zawodowych.

B.P. – *Fala zaczęła wzbierać, rozpoczął się pewien proces, który miał swoją dynamikę – gdzieś w tle trwała praca wydawnicza i przyspieszona akcja uświadamiająca, w Gdańsku pojawiali się emisariusze z głębi kraju. Za Gdańskiem stała cała Polska. To zaowocowało porozumieniami sierpniowymi.*

S.C. – A z drugiej strony nie można również pominąć kwestii rywalizacji w obozie władzy – w tym wypadku Stanisława Kani z Edwardem Gierkiem. Z materiałów STASI, które opublikowali niedawno pracownicy IPN z Wrocławia wynikać może między innymi to, że strajk w Stoczni Gdańskiej stał się elementem rozgrywki Kani i Jaruzelskiego z Gierkiem. Według tych materiałów, grupa Kani miała do pewnego stopnia inicjować akcję strajkową, choć później sytuacja wymknęła się spod kontroli. (*Drogi do niepodległości 1944–1956/1980–1989. Nieznane źródła do dziejów najnowszych Polski*. Wstęp, wybór, opracowanie T. Balbus, Ł. Kamiński, W. Sawicki, K. Szwarzgryk, pod red. W. Wrześcińskiego, Wrocław 2001).

B.P. – *Mamy o tyle ciężkie zadanie, że siłą rzeczy, w świetle istniejących dokumentów, musimy zadawać pytania o zasadność mitu «Solidarności»: jako ruchu w pełni spontanicznego, budowanego zawsze przez szlachetnych ludzi o czystych intencjach. To co mamy czytelnikom do powiedzenia, nie jest piękną patriotyczną opowieścią o tym, jak to dzielni Polacy zrobili wyłom w murze twierdzy komunizmu.*

S.C. – Wiemy także, w dużej mierze dzięki Andrzejowi Paczkowskiemu, że pierwszy wariant wprowadzenia stanu wojennego opracowano w lipcu 1980 r. Mamy zatem zarówno wątek prowokacji, inicjowania strajków, jak i zamiar ich natychmiastowej pacyfikacji. Profesor również wiąże to z walką na szczytach i projektem odsunięcia Gierka. Niewątpliwie trzeba o tym pamiętać, prowadząc badania, co wcale nie musi oznaczać, że to partia stworzyła „Solidarność”.

G.M. – Wydaje się, że strajki i powstanie „Solidarności” były po prostu nieuniknione. Inna sprawa to postawa władz. Gierk mimo trwających w kraju strajków wyjeżdża na urlop na Krym.

S.C. – Akurat ta okoliczność może potwierdzać tezę „spiskową” – ktoś mógłby powiedzieć, że chciano wykorzystać tę sytuację do dokonania zmian personalnych.

B.P. – *Mówi się, że powstanie «Solidarności» było nieuniknione w historii państwa, które buduje realny socjalizm.*

S.C. – Ale pytanie, czy to właśnie wtedy było nieuniknione... Obecnie mamy do czynienia z jakimś determinizmem historycznym – mówimy często że „Solidarność” musiała powstać, bo wcześniej wybrano kard. Karola Wojtyłę na papieża. A dzięki papieżowi i „Solidarności” runął mur berliński. Inni znów mówią, że stan wojenny otworzył drogę do „okrągłego stołu” itd.

B.P. – *A dzięki «okrągłemu stołowi» mamy to, co mamy. Ale powróćmy może do tych najważniejszych etapów w działalności i funkcjonowaniu związku. Pierwsza «Solidarność» do stanu wojennego była czymś zupełnie innym niż ta druga, po stanie wojennym. Warto pewnie wyznaczyć te najważniejsze przełomy w życiu «Solidarności», podpisanie porozumień strajkowych, rejestracja, prowokacja bydgoska i stan wojenny, jeszcze I Krajowy Zjazd.*

G.M. – Bardzo ważnym momentem był 17 września, kiedy to przedstawiciele ponad 30 komitetów założycielskich podjęli decyzję o tym, jaką „Solidarność” ma mieć strukturę. Zrezygnowano z pomysłu tworzenia struktur branżowych. Wygrała koncepcja powołania jednego ogólnokrajowego związku z podziałem na regiony.

B.P. – *To owocuje poczuciem zjednoczenia Polaków, ten brak centrali w Warszawie.*

S.C. – Istniał też spór o to, czy związek ma być kierowany kolegią, czy jednoosobowo przez przewodniczącego. Wygrywa w jakimś sensie koncepcja pośrednia – jest przewodniczący i kolegium w postaci Komisji Krajowej. Wydaje się, że był to wariant optymalny, zważywszy na to, jakiego partnera miała „Solidarność” po drugiej stronie.

G.M. – Pytanie, czy silna władza centralna, czy też silne regiony, właściwie było stawiane do samego końca legalnej działalności „Solidarności”. Ten problem występował szczególnie w momentach kryzysowych, na przykład po ugodzie warszawskiej, która zakończyła kryzys bydgoski. Tu jeszcze trzeba powiedzieć, że „Solidarność” to

był wybuch patriotyzmu, ale w żadnym wypadku nie szowinizmu narodowego. To był patriotyzm nie tylko w skali kraju, ale także patriotyzm lokalny. Znajdował on odbicie w strukturze „Solidarności”. W partii była bardzo silna centrala. „Solidarność” w znacznej mierze nie była sterowana przez centralę, centrala miała moim zdaniem ograniczony wpływ na działanie poszczególnych regionów.

S.C. – Była to jednocześnie szansa i początek klęski „Solidarności”. Do partii politycznej zazwyczaj wstępują osoby rekomendowane przez członków, podlegające jakiejś procedurze weryfikacyjnej. „Solidarność” natomiast była ruchem społecznego protestu, ruchem z natury rzeczy masowym, w którym nikt nikogo nie pytał o przeszłość i legitymację. Pojawia się zatem wiele czyhających pułapek i niebezpieczeństw, z których przeciwnik umiejętnie korzystał.

G.M. – Wspólnym mianownikiem było na pewno dążenie do demokratyzacji, ja widzę to jako siłę związku. Łatwiej jest rozpracować organizację, która jest scentralizowana, pluralizm wewnętrzny był wobec tego siłą.

S.C. – Nie twierdząc wcale, że alternatywą dla masowości „Solidarności” była centralizacja i elitarność. Chodzi o coś zupełnie innego, mianowicie o minimum przezorności. Przychodzą mi na myśl charakterystyki, sporządzane jeszcze w latach siedemdziesiątych przez gdańską SB, o niektórych działaczach opozycji. Szczególnie opinia wyrażona o Mirosławie Rybickim, który kierował tak zwaną grupą techniczną w RMP. Esbecy piszą między innymi, że Rybicki, mimo młodego wieku, jest dobrym konspiratorem, zdającym sobie sprawę z tego, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Oszczędny w słowach, maksymalnie skraca rozmowy przez telefon, posługuje się grypsem, dobrze konspiruje swoją działalność, do pracy konspiracyjnej stara się wprowadzić wyłącznie osoby sprawdzone. Podobnie piszą o nim także w Sierpniu '80. Być może stąd brał się strach bezpieki przed opanowaniem przez RMP struktur administracyjnych MKZ i „Solidarności”. Podobne opinie wyrażono o Bogdanie Borusewiczu. Odnoszę jednak wrażenie, że przynajmniej po 31 sierpnia 1980 r. należały one do rzadkości. Większość działaczy „Solidarności” nie przyjmowała do wiadomości, że po drugiej strony barykady jest ekipa dysponująca trzydziestoparoletnią tradycją walki w wszelkimi przejawami niezależności, i to na różnych odcinkach – wewnętrznym, emigracyjnym i kościelnym. Podam przykład – organizacja I Krajowego Zjazdu „Solidarności”. Spotkanie grubo ponad tysiąca delegatów i gości; obrady w „Oliwii”, rozmowy, ustalanie strategii zjazdowej i publiczne pranie brudów w budynkach uniwersyteckich, Naczelnej Organizacji Technicznej i pokojach hotelowych. Wszystko wcześniej odpowiednio zabezpieczone przez SB – połączenia telefoniczne, kamery, podsłuchy, kontrola poczty. Mało tego, wśród delegatów i gości znajduje się wielu tajnych współpracowników SB. Czy w tej sytuacji możemy w ogóle mówić o wypracowaniu przez związek jakiejś wizji przyszłych stosunków z władzą? Być może podświadomie rozumiał to Lech Wałęsa, który na pytanie o program „Solidarności” powiedział na zjeździe, że to życie napisze scenariusz przyszłości.

G.M. — Moim zdaniem to, że władza wie, co mówi „Solidarność”, jeszcze nie oznacza, że jest w stanie to wykorzystać. Doświadczenie KOR dowodziło, że taka otwartość jest wskazana.

S.C. — Ona też była reglamentowana. Jacek Kuroń co prawda prowadził rozmowy przez telefon, wiedząc, że są one kontrolowane, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że przez telefon nie wszystko można mówić.

G.M. — Nie zapominaj, że kamery i podsłuchy można też wykorzystać do swoich celów.

S.C. — Z niezdarności i politycznej naiwności nie należy robić cnoty. Na okoliczność 13 grudnia 1981 r. związek nie tylko nie był przygotowany, ale nie wykazał się choćby minimalną wyobraźnią. Odwołam się tu do zeszłorocznego wystąpienia Łukasza Kamińskiego na sesji o stanie wojennym. Mówił między innymi o tym, że tylko w dwóch regionach „Solidarność” zabezpieczyła swoje wkłady bankowe.

G.M. — Wyobraźmy sobie taką sytuację — wiemy, że na ostatnie posiedzenie Komisji Krajowej, według danych MSW, dotarł sygnał (przekazany zresztą przez byłego funkcjonariusza SB, będącego działaczem „Solidarności”), a raczej dokładna informacja o tym, że Wyższa Szkoła Oficerska w Szczytnie rozpoczęła działania związane z wprowadzeniem stanu wojennego. Wyobraźmy sobie, że ta informacja zostaje wykorzystana przez przywódców związku. Co się wówczas dzieje? Według mnie mamy wtedy wariant numer 3 przewidywany przez władze od marca 1981 r.: władze trafiają na znaczny opór społeczny, w kraju leje się krew i wkraczają sąsiedzi. Były próby tworzenia „zapasowych” władz „Solidarności”, ale przy tak głębokiej, jak mówisz, infiltracji związku, dużo lepsze było chyba jednak tworzenie ich od podstaw w stanie wojennym.

Jest jeszcze jedna istotna rzecz, upojenie przywódców „Solidarności” siłą. Na pewno była to celowa gra ze strony władz. I co najważniejsze — gra udana.

B.P. — *Było takie powszechne odczucie — jest nas wielu i wreszcie coś od nas zależy. Wszyscy to czuli. Tym kapitałem naturalnie bardzo chętnie obracali przywódcy i eksperci «Solidarności». Marzec 1981 r. dlatego był taką ważną datą, bo oznaczał przełom — ludzie byli już bardzo zmęczeni, bali się strajku generalnego, ale jednocześnie gotowi byli iść. To był ostatni zryw. Napięcie społeczeństwa sięgnęło wtedy zenitu.*

S.C. — Nie wiemy, kto stał za prowokacją bydgoską. Profesor Paczkowski twierdzi, że był to poligon doświadczalny, sposób przetestowania „Solidarności” i społeczeństwa.

G.M. — Nie wykluczałbym nawet, że pobicie działaczy „Solidarności” w Bydgoszcy miało wręcz służyć wprowadzeniu stanu wojennego pod osłoną wojsk radzieckich. Cofnęło się, ponieważ społeczeństwo nie było „gotowe”. Jerzy Urban skomentował to następująco: gdyby nie postawa społeczeństwa, nie trzeba by wprowadzić stanu wojennego.

B.P. — *W każdym razie po odwołaniu strajku generalnego ludzie odechnęli z ulgą.*

G.M. — Nie wszyscy. Jak wynika z dokumentów związku, zarówno w „dołach”, jak też wśród przywódców „Solidarności” zdania były podzielone. Niektórzy odebrali ugodę warszawską wręcz jako kapitulację. Powiedzmy o jeszcze jednej ważnej sprawie: właściwie przez cały okres legalnej „Solidarności” istniało, w różnym co prawda natężeniu, poczucie zagrożenia.

S.C. — Stawiam tezę, że w poczuciu większości członków związku „Solidarność” była zdobyczą, której nikt i nic nie było w stanie odebrać. To przekonanie pękło jak bańka mydlana 13 grudnia 1981 r. Była to w gruncie rzeczy wirtualna siła dziesięciu milionów ludzi przekonanych, że dyktuje władzy warunki, że posiada broń w postaci strajku generalnego, choć z ostatnim różnie przecież bywało.

G.M. — To nie był już marzec 1981 r., czyli szczyt mobilizacji społeczeństwa po sierpniu 1980 r., kiedy obok siebie do strajku stawał członek związku i członek PZPR. Kiedy wspólne listy do Biura Politycznego słały zakładowa „Solidarność” i organizacja partyjna.

B.P. — *Mamy za sobą etap strajkowy, który wyłonił związek, wstępuje do niego dziesięć milionów ludzi. Co na to władza? Przecież zaczyna się straszny problem, niezależnie od tego, w jakim stopniu strajki mogły być prowokowane. Fakt jest taki — dziesięć milionów dorosłych obywateli mówi władzy — nie!*

S.C. — Rzeczywiście władza tak to odbiera. Jednak zaskoczenie musiało ustąpić miejsca logistyce. Mam tu na myśli przygotowywanie w MSW koncepcji uchwycenia przyczółków w „Solidarności”, rozbicia jej spójności, wreszcie unicestwienia. Sprawę obiektywną mającą na celu rozpracowanie kierownictwa „Solidarności” w Gdańsku założono dopiero 11 listopada 1980 r. Jednak daleki byłbym od wyciągania z tego wniosku, że skoro MSW założyło sprawę ponad dwa miesiące po podpisaniu porozumień sierpniowych i miesiąc po rejestracji związku, to musiało się znaleźć w jakiejś dramatycznej defensywie. Przecież do 11 listopada prowadziło — z różnym skutkiem — wiele innych operacji, jak chociażby akcje o kryptonimie „Arka”, która zakładała neutralizację nastrojów w Stoczni Gdańskiej, „Gracze” — obejmującą wszystkie środowiska opozycyjne, czy też „Młodzieżowcy” — dotyczącą wyłącznie środowiska RMP. Wszystkie te operacje były ze sobą powiązane jedną nicią. Mieści się to w specyfice służb specjalnych, które nie znoszą zaskoczenia, potrzebują czasu, przygotowania do nowych zadań. Z materiałów dotyczących pierwszego okresu „Solidarności”, powiedzmy do grudnia 1980 r., wynika, że SB zależało przede wszystkim na odcięciu od wpływu na MKZ liderów opozycji przedsierpniowej.

G.M. — Choć działania w celu „odcinania ekstremy” były prowadzone od samego początku istnienia „Solidarności”, to jednak pierwsze dni i miesiące istnienia związku świadczą o bezradności władzy. To, że tak naprawdę w listopadzie zaczęto rozpracowywać „Solidarność”, potwierdza tę tezę.

S.C. – Będę się upierał, że ten nieszczęsny 11 listopada 1980 r. jest datą w dużej mierze umowną. Okres od sierpnia do listopada wykorzystano w MSW na przeprowadzenie pierwszych analiz stanu zagrożeń, utworzenie grup operacyjnych, ustalenie zakresu kompetencji pomiędzy poszczególnymi komendami wojewódzkimi MO, zebranie *dossier* na temat działaczy „Solidarności” itd.

G.M. – Ale chyba nie zakwestionujesz tego, że władza była w defensywie. Wszystkie działania władz w pierwszym okresie miały na celu minimalizowanie negatywnych dla nich skutków porozumień sierpniowych. Pierwsze tygodnie to głównie utrudnianie tworzenia nowych niezależnych związków. O tym się nie pamięta – do połowy września przez kraj przechodzi trzecia potężna fala strajkowa, mniejsza niż w sierpniu, ale strajkuje blisko 350 tys. osób. Jednocześnie władza próbuje wzmocnić kontrolowane przez siebie związki branżowe. Popiera też tworzenie innych tak zwanych niezależnych związków, oczywiście nie mających nic wspólnego z „Solidarnością”. Ale to wszystko nie przynosi pożądanego efektu.

B.P. – *Czy da się powiedzieć, jaki sztab ludzi uruchomiono, ilu agentów było w związku?*

S.C. – Wiadomo, że ciężar pracy operacyjnej spoczął wówczas na KW MO w Gdańsku, a dokładniej na Wydziale III. Niemniej jednak z materiałów przejętych przez IPN wynika jednoznacznie, że każdy z departamentów i wydziałów MSW został w sprawę rozpracowania „Solidarności” wciągnięty. Musiał to być zatem całkiem poważny sztab ludzi. Jeśli natomiast chodzi o agenturę w szeregach związkowych, to zapewne w każdym regionie wyglądało to inaczej. W Gdańsku, bezpośrednio po podpisaniu porozumień sierpniowych, w samym MKZ (zapewne nie chodzi tu o samo dziewiętnastoposobowe prezydium) znalazło się pięciu TW, a ogólna liczba współpracowników SB w gremiach kierowniczych „Solidarności” (na przykład w komisjach zakładowych) wynosiła 41. Później oczywiście dane te ulegały ciągłym zmianom – współpracowników było coraz więcej, w tym znany mi członek Komisji Krajowej.

G.M. – Pamiętać należy, że praktycznie wszystkie wydziały były w to zaangażowane, w mniejszym czy większym stopniu, na przykład wydział przestępczości gospodarczej. Wykorzystywano wszystkie środki i możliwości. Ale pamiętajmy, że kiedy powstaje „Solidarność”, wtedy w działalność związkową, opozycyjną, wkracza wielu nowych, najczęściej nieznanymi bezpiece ludzi.

B.P. – *Czy da się powiedzieć, ilu tajnych współpracowników udało się zwerbować w okresie powstania i działania «Solidarności»?*

S.C. – Dysponujemy na przykład bardzo ciekawym zestawieniem procentowym MSW z 25 lutego 1981 r. na temat werbunku tajnych współpracowników. Paradoksalnie wynika z niego, że widoczny wcześniej spadek pozyskań TW zahamowano właśnie w 1980 r. Powstanie „Solidarności” wpłynęło zatem na wzrost pozyskań (o 6,3 proc. w stosunku do roku 1979). Wzrosła też oczywiście liczba prowadzonych spraw operacyjnych (o ponad 30 proc.), niemniej jednak rok 1980 był swoistym

przełomem w kwestii werbowania TW. Owoce wzmożonej działalności agenturalnej widać w przededniu zjazdu „Solidarności”. Ktoś może powiedzieć, że ogólna liczba TW na zjeździe (71) to zbyt mało, by prowadzić poważne zadania operacyjne. Ale jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że w delegacji gdańskiej na drugą turę zjazdu było 14 TW, którzy przekazali łącznie 197 informacji, to robi to już większe wrażenie. Myślę jednakże, że zasadnicze „podreperowanie” statystyk TW – swego rodzaju *boom* – nastąpiło dopiero po 13 grudnia 1981 r.

G.M. – Skoro już mówimy o zjeździe i agenturze. Otóż jednym z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych dokumentów podczas jego pierwszej tury (we wrześniu 1981 r.) było *Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Zostało ono uchwalone bez „pomocy” tajnych współpracowników SB. MSW było wręcz zaskoczone. Świadczy to o tym, że wpływ tajnych służb na to, co się działo na zjeździe, był mocno ograniczony.

S.C. – Być może, chociaż jeden z głównych celów operacji „Sejmik” został osiągnięty – wybór Wałęsy na przewodniczącego związku i powstrzymanie „Ekstremy”. W ogóle stoimy – jako badacze dziejów PRL – przed fundamentalnym pytaniem: co, mimo penetracji wszystkich środowisk opozycyjnych przez SB, począwszy od lat czterdziestych do 1989 r., udało się osiągnąć. Innymi słowy chodzi o jakieś zbilansowanie działań opozycjonistów i wysiłków bezpieki, stwierdzenie, jak dalece wpływ agentury wypaczył posunięcia opozycji. Dopiero wtedy będziemy mogli odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

G.M. – W takim razie spójrzmy na efekty działań MSW. Nie widziałem dokumentów, ale wydaje się, że władza nie była zainteresowana tym, żeby związek przyjął strukturę regionalną. Wobec czego decyzja z 17 września 1980 r. to porażka władz i samych tajnych służb. Również konieczność sięgnięcia po stan wojenny jest, moim zdaniem, porażką władz. Gdyby w pełni udała się gra z „Solidarnością”, która była prowadzona do 13 grudnia, nie trzeba by było wprowadzać stanu wojennego. Odklejono by ekstremę, przejęto kontrolę nad związkiem. I byłoby po kłopotach. Koncepcja socjalistycznej „Solidarności” rozważana była jeszcze po 13 grudnia. Przygotowano obsady „Solidarności” z dużym udziałem współpracowników SB. Powołano nawet (21 grudnia 1981 r.) w tym celu specjalną grupę operacyjną w centrali MSW (i analogiczne grupy na szczeblu województw). Jednak ostatecznie z tej koncepcji zrezygnowano.

S.C. – Nie mogę się z tym zgodzić, ponieważ celem wszelkich działań władz było tak naprawdę zniszczenie „Solidarności”. Nie chodziło zatem o to, czy, tylko kiedy. Natomiast powstawanie tezy, że stan wojenny był wielką przegraną władz, wydaje mi się nieporozumieniem.

Sprawność, z jaką wprowadzono stan wojenny, i znikomy opór, jaki napotkały władze po 13 grudnia, mogą to potwierdzić. Po delegalizacji „Solidarności” w październiku 1982 r. powołano nowe związki. To wszystko sprawiło, że kontynuowanie operacji „Renesans”, która zakładała powstanie nowej „Solidarności”, straciło sens.

Rzecz jasna, że ludzie „Solidarności”, którzy mieli tworzyć tę nową organizację, w dalszym ciągu wykorzystywano w działaniach dezintegrujących podziemie. Do tego dochodzi całkiem pokaźna liczba działaczy aresztowanych i internowanych 13 grudnia 1981 r., którzy w warunkach stanu wojennego podjęli współpracę z SB. Znam statystyki SB dla Bydgoszczy, Torunia, Elbląga i Gdańska. Są one przerażające.

G.M. — I znowu pytanie — delegalizacja „Solidarności” nastąpiła dopiero w październiku 1982 r., co oznacza, że decyzję o niej podjęto dopiero jakiś czas po wprowadzeniu stanu wojennego. Moim zdaniem kluczowe było tutaj zachowanie Wałęsy. Są to dokumenty mówiące o tym, że były plany wykorzystania Wałęsy. Zapewne chodziło o to, żeby znaleźć kogoś wiarygodnego, kto stanie na czele tego kontrolowanego przez władzę związku, ale to się nie udało.

B.P. — *Dyskusja panów podsuwa mi pytanie — czy «Solidarność» była utopią?*

G.M. — Dla mnie wyróżnikiem „Solidarności” był solidaryzm, dążenie do demokracji, pluralizm. To chyba nie jest utopia.

S.C. — Krystyna Kersten napisała kiedyś, że „Solidarność” w latach 1980–1981, czerpiąc niejako wzorce z obozu władzy, który mógł fascynować swoją masowością, pozostającą zawartością szeregow i jednolitością, chciała się stać swego rodzaju „opozycją totalną”, nie znoszącą jakiegolwiek alternatywy. Tak było w okresie „karnawału” szesnastu miesięcy, kiedy z przymrużeniem oka spoglądano na KOR, KPN czy Kluby Służby Niepodległości. Sytuacja ta nie zmieniła się nawet po 13 grudnia, kiedy na podziemnej scenie pojawiły kolejne organizacje: Solidarność Walcząca, Polska Partia Niepodległościowa, grupa „Antyk” czy Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”. Być może również przez pryzmat owego „totalizmu” należy postrzegać rodzące się w związku koncepcje „porozumienia narodowego” w trójkącie: władza, Kościół i „Solidarność”. W jakimś sensie koncepcję tę realizowano przy „okrągłym stole”. Z drugiej strony, ludzi „Solidarności” zbliżała do ludzi władzy „płaska” wizja stosunków społeczno-gospodarczych. Dyrektorów zakładów pracy z nadania partii mieli zastąpić związkowcy z „Solidarności”, a stosunki pracownicze miały się stać domeną samorządu robotniczego. Tę prostą, a zarazem fałszywą wizję zweryfikowała brutalnie rzeczywistość po 1989 r.

G.M. — Moim zdaniem przyjmujesz punkt widzenia władzy, gdy mówisz, że „Solidarność” chciała zastąpić partyjnych dyrektorów swoimi. Niezupełnie było tak, bo chodziło o wpływ na obsadzanie dyrektorów, a nie o to, aby „Solidarność” desygnowała dyrektorów.

S.C. — Dotykamy w tym miejscu trudnej kwestii utopii socjalnej, w którą wierzyli ludzie „Solidarności”. W samym związku piętnowało ją niewiele. Przykładem może być rzecznik prasowy regionu małopolskiego, zapomniany już dziś, przedwcześnie zmarły Mirosław Dzielski. Łączył on katolicyzm z wizją liberalnego porządku gospodarczego. Był to jeden z niewiele solidarnościowych wizjonerów przyszłości.

A poszukiwanie konkretnych recept programowych nie było zbyt popularne w „Solidarności” w całej dekadzie lat osiemdziesiątych.

G.M. — Ja jednak pozostanę przy stanowisku, że „Solidarność” nie chciała władzy. Ta kwestia przewija się podczas obrad czołówki związku. Liderzy „S” wiedzą, że absolutnie nie są przygotowani do przejmowania władzy. Trudno natomiast dziwić się, że blisko dziesięciomilionowy związek uważa się za drugą czy trzecią siłę w kraju. Inna kwestia, co działałoby się ze związkiem, gdyby nie stan wojenny. Ryszard Bugaj (jeden z czołowych doradców „S”) powiedział, że związek nie był w stanie spełnić nadziei, jakie w nim pokładało społeczeństwo. Na przykład po likwidacji strajku w Wyższej Szkole Pożarniczej w Warszawie mazowiecka „S” miała problemy z mobilizacją ludzi na manifestację przeciwko tej demonstracji siły władzy. Zgodziłbym się ze stwierdzeniem Bugaja, że stan wojenny zniszczył „Solidarność”, ale uratował (przynajmniej na kilka lat) jej mit. Gdy się spojrzy na obrady ostatniej Komisji Krajowej, to stwierdzi się dramatyczne szukanie dla siebie jakiegoś miejsca. Co nie dziwi w sytuacji, gdy związek od kilku miesięcy nie jest praktycznie w stanie zrealizować swych najważniejszych postulatów, a sytuacja w kraju i warunki życia znacznie się pogarszają. Mówiliśmy o marszach głodowych, otóż one miały być zamiast strajków, miały skanalizować niezadowolenie społeczne. Wbrew propagandzie władzy przywódcy związku starali się gasić strajki, a nie je podsycać.

B.P. — *Powiedzmy wobec tego, co zawdzięczamy „Solidarności” z okresu 1980–1981.*

G.M. — Na przykład to, że Polska miała na arenie międzynarodowej swoje pięć minut. I to dwukrotnie, w latach 1980–1981 oraz po 1989 r.

S.C. — Moim zdaniem przede wszystkim pozostało niezapomniane poczucie jedności, swobody artykułowania poglądów (również w druku), wreszcie narodowego uniesienia. „Solidarność” była rzeczywistością polityczną, a jednocześnie religijną.

G.M. — Pamięta się dziś o tym, że Kościół był wsparciem dla „Solidarności”, szczególnie po 13 grudnia 1981 r. Zapomina się natomiast o tym, co zyskał dzięki związkowi. Kościół chwilowo przestał być głównym przeciwnikiem dla władz. Nie stał się co prawda prawdziwym partnerem, ale poczyniono na jego korzyść wiele ustępstw. Po prostu zamierzono go wykorzystać do wpływania na związek. Było to możliwe, gdyż cele Kościoła w pewnym przynajmniej zakresie były zbieżne z celami władz: nie był na przykład zainteresowany podsycaniem nastrojów. Wraz z rozbiciem „Solidarności” przystąpiono ponownie do ofensywy przeciw Kościołowi. Dla mnie jednak największą wartością była ta ogromna mobilizacja społeczna. O takiej mobilizacji społeczeństwa dzisiaj możemy tylko marzyć. Ludzie odwrócili się od życia publicznego. Oczywiście w znacznym stopniu tę społeczną aktywność zniszczył stan wojenny. Tym, co natomiast przetrwało również w dalszej działalności „Solidarności”, była świadomość, że można coś zdziałać pokojowymi metodami.

B.P. — *Jednym z powodów dumy Polaków była świadomość doraźnych osiągnięć zdobytych metodami pokojowymi, ale władza dysponowała siłą*

i nie cofała się przed jej użyciem. Pamiętam, że w pierwszym okresie funkcjonowania ruchu była odczuwalna huśtawka nastrojów społecznych, bano się własnej odwagi i euforii, gdy władza ustąpiła.

G.M. — Chwilowo ustąpiła. Poza sierpniem te ustępstwa władzy są bardzo niewielkie. Nie udaje się uzyskać dostępu do radia i telewizji, zrealizować wielu postulatów związanych z praworządnością, wywalczyć wolnych wyborów do rad narodowych. Rzecz, o której nie mówiliśmy, to radykalizacja związku. W czasie słynnej blokady ronda w Warszawie pojawiła się kwestia, którą mają jechać manifestanci: czy koło siedziby KC, czy też raczej dalej od Białego Domu, trasą wyznaczoną przez władze. Nie usłuchano „ekstremistów” — Michnika i Bujaka, którzy namawiali do zmiany trasy. Z kolei w ostatnich tygodniach istnienia legalnej „Solidarności” powstała koncepcja (autorstwa Kuronia) rządu tymczasowego, żądania wolnych wyborów nie tylko do rad narodowych, ale też do Sejmu. W niektórych zakładach pracy pojawia się nawet żądanie usunięcia partii z ich terenu. Jak widać, pada pewna tama. Nie mówiliśmy o tym, ale „Solidarność”, jak stwierdziła Jadwiga Staniszkis, była taką samoograniczającą się rewolucją. Były tematy tabu, których starano się nie ruszać, na przykład usiłowanie nie drażnić Związku Radzieckiego. Wypowiedzi antyradzieckich, jak słynne zdanie Andrzeja Rozpłochowskiego o kremłowskich kurantach, było naprawdę bardzo niewiele. Nie obchodzono rocznicy „cudu nad Wisłą”, żeby nie drażnić sąsiadów. Starano się też nie ingerować w sprawy PZPR, omijano SB, milicję i wojsko. Nie poparto struktur poziomych w PZPR, choć jeden z ich przywódców, Zbigniew Iwanow, był członkiem „S”. Na nazbyt duże wsparcie nie mogli też liczyć twórcy niezależnych związków zawodowych w Milicji Obywatelskiej. Może był to błąd „Solidarności”. Z drugiej strony aktywność w tych obszarach być może przyspieszyłaby siłą pacyfikację „Solidarności”.

NOTY O ROZMÓWCACH

Tomasz Bereza — ur. w 1971 r., dr, historyk, zajmuje się dziejami wsi i ruchu ludowego w XX wieku oraz historią regionalną Rzeszowszczyzny. Od 2000 r. pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Rzeszowie. Autor kilkunastu publikacji naukowych i popularnonaukowych, redaktor *Skazani na karę śmierci przez WSR w Rzeszowie*, (2002) i *Lwowskie pod okupacją sowiecką (1939–1941)*, (2005); współautor *W cieniu «Linii Mołotowa». Ochrona granicy ZSRR z III Rzeszą między Wiszną a Sołokiją w latach 1939–1941*, (2002).

Sławomir Cenckiewicz — ur. w 1971 r., doktor nauk humanistycznych, w latach 2003–2005 pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego, w IPN od 2001 r.; w 2006 r. przewodniczący Komisji ds. Likwidacji WSI; od lutego 2007 r. naczelnik OBEP IPN w Gdańsku. Specjalizuje się w dziejach polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej i opozycji antykomunistycznej w PRL. Stypendysta Free Speech Foundation w Chicago. Opublikował m.in.: *Oczami bezpieki. Szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL* (2004), *Tadeusz Katelbach (1897–1977). Biografia polityczna* (2005).

Antoni Dudek — ur. w 1966 r., dr hab., historyk i politolog, absolwent UJ, od 1989 r. pracuje w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Autor m.in. *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, (1990); *Walki uliczne w PRL 1956–1989*, (1999). *Ślady Peerelu*, (2000); *Komuniści i Kościół w Polsce 1945–1989*, (2003); *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*, (2004); *Historia polityczna Polski 1989–2005*, (2007). Od 2000 r. w IPN, od lutego 2006 r. doradca prezesa IPN.

Jerzy Eisler — ur. w 1952 r., prof. dr hab., od 2000 r. w IPN, dyrektor OBEP IPN w Warszawie, pracownik naukowy IH PAN. Znaczący badacz najnowszych dziejów Francji oraz historii politycznej PRL. Autor m.in.: *Kolaboracja we Francji 1940–1944*, (1989), *Marzec 1968. Genezą — przebieg — konsekwencje*, (1991); *List 34*, (1993); *Grudzień 1970. Genezą — przebieg — konsekwencje*, (2001), *Polski rok 1968. Genezą — przebieg — konsekwencje*, (2006).

Waldemar Grabowski — ur. w 1957 r., historyk, dr, absolwent UJ, w latach 1981–2001 pracownik Muzeum Narodowego w Krakowie, od 2001 r. w Biurze Edukacji Publicznej IPN. Autor monografii *Delegatura Rządu RP na Kraj 1940–1945*, (1995) i *Polska tajna administracja cywilna 1940–1945*, (2003) oraz redaktor m.in. *Działalność informacyjna Polskiego Państwa Podziemnego*, (2003).

Bernadetta Gronek — ur. w 1967 r., absolwentka historii w KUL. Od 1991 r. pracownik Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, od 1997 r. Archiwum MSWiA, naczelnik wydziału „A” MSWiA. W IPN od 2000 r.; do marca 2006 zastępca dyrektora i dyrektor Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, redaktor 1. tomu *Z archiwum IPN* (2005).

Igor Hałagida — ur. w 1971 r., dr nauk humanistycznych, zajmuje się stosunkami polsko-ukraińskimi w XX w. i dziejami mniejszości ukraińskiej w Polsce po 1944 r. W OBEP IPN w Gdańsku od 2001 r. Autor kilkunastu publikacji naukowych i popularnonaukowych, m.in. współautor wyboru źródeł *Ukraińcy w Polsce 1944–1989 (dokumenty i materiały)*, (1999) i autor *Ukraińcy na zachodnich i północnych ziemiach Polski 1947–1957*, (2003) oraz *Prowokacja «Zenona»*, (2005).

Radosław Ignatiew — ur. w 1962 r., absolwent Wydziału Prawa UW Filia w Białymstoku. Od 1989 r. pracował kolejno w: Prokuraturze Rejonowej w Sokółce i Prokuraturze Wojewódzkiej w Białymstoku, w latach 1994–2000 w Wydziale Śledczym Prokuratury Wojewódzkiej w Białymstoku. Od 2000 r. prokurator w białostockim oddziale IPN, do września 2003 r. naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku. Prowadził śledztwo jedwabieńskie.

Stanisław Jankowiak — ur. w 1958 r., dr hab., adiunkt w IH UAM w Poznaniu. W IPN od 2000 r., do stycznia 2007 r. naczelnik OBEP IPN w Poznaniu. Zajmuje się najnowszą historią Polski, a zwłaszcza losami Niemców w Polsce po II wojnie światowej. Autor książek *Wielkopolska w okresie stalinizmu 1948–1956*, (1995); *Wysiedlenie i emigracja ludności niemieckiej w polityce władz polskich w latach 1945–1970*, (2005); redaktor albumu *Zranione miasto. Poznań w czerwcu 1956*, (2003); oraz m.in.: *Poznański Czerwiec 1956*, (2002); *Stan wojenny w Wielkopolsce*, (2004); autor podręcznika historii do pierwszej klasy gimnazjum *Razem przez historię* i licznych tekstów popularyzatorskich.

Łukasz Kamiński — ur. w 1973 r., dr nauk historycznych, specjalizuje się w najnowszej historii Polski. W IPN od 2000 r., od lutego 2006 r. zastępca dyrektora BEP IPN. Autor wielu książek, m.in.: *Strajki robotnicze w Polsce 1945–1948*, (1999);

Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948, (2000); współautor *A Handbook of the Communist Security Apparatus in East Central Europe 1944/1945–1989*, (2005); redaktor i współredaktor m.in.: *Młodzież w oporze społecznym 1944–1989*, (2002); *Wokół Praskiej Wiosny. Polska i Czechosłowacja w 1968*, (2004); *Biuletyny i dzienniki Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego 1949–1950*, (2004).

Witold Kulesza — ur. w 1950 r., prof. dr hab., w latach 2000–2006 r. wiceprezes IPN–KŚZpNP, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, specjalista w zakresie prawa karnego. Kilkanaście lat współpracował (społecznie) z Okręgową Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi; w latach 1994–1998 był jej przewodniczącym. Współtwórca projektu ustawy o IPN, współredaktor książki *Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce 1944–1956*, (2001).

Marek Lasota — ur. w 1960 r., absolwent UJ, polonista, studiował historię Kościoła w Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Od 2000 r. pracownik OBEP IPN Kraków. Autor wielu publikacji prasowych poświęconych Karolowi Wojtyłce oraz głośnej książki *Donos na Wojtyłę*, (2005), a także redaktor tomu *Nowa Huta — miasto walki i pracy*, (2002) i współautor *Kościół zraniony. Sprawa ks. Lełity i proces Kurii krakowskiej*, (2003).

Krzysztof Lesiakowski — ur. w 1965 r., dr nauk humanistycznych, zajmuje się historią polityczną Polski po 1945 r., w tym dziejami aparatu przemocy. W latach 2000–2006 pracownik OBEP IPN w Łodzi. Autor książek: *Mieczysław Moczar «Mietek»*, (1998), *Opozycja i opór społeczny w Łodzi 1956–1981* (2003), współautor *Jarocin w obiektywie bezpieki* (2004).

Krzysztof Madej — ur. w 1974 r., historyk, absolwent Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, w latach 2001–2006 pracownik BEP IPN. Autor *Spółdzielczość mieszkaniowa. Władze wobec niezależnej inicjatywy społecznej w latach 1961–1965*, (2003) oraz współredaktor *Księga świadectw. Skazani na karę śmierci w czasach stalinowskich i ich losy*, (2003) i *Świadectwa stanu wojennego*, (2006); od 2006 r. pracownik NIK.

Grzegorz Majchrzak — ur. w 1969 r., historyk i archiwista, w latach 1990–2000 pracował w Centralnym Archiwum MSW i Archiwum MSWiA, od 2000 r. pracownik BEP IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności”. Zajmuje się badaniem działalności aparatu represji i przejawów oporu społecznego w PRL oraz dziejami NSZZ „Solidarność”. Współautor i autor m.in.: *Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983*, (2001); *Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1953–1954. Taktyka, strategia, metody*, (2004) oraz *Z dziejów «Tygodnika Solidarność»*.

Rozpracowanie «Tygodnika Solidarność» przez Służbę Bezpieczeństwa (2007); *Operacja «Poeta». Służba Bezpieczeństwa na tropach Czesława Miłosza* (2007).

Janusz Marszałec — ur. w 1968 r., dr, historyk, od 2000 r. do lutego 2007 r. naczelnik, a następnie pracownik OBEP IPN w Gdańsku. Zajmuje się dziejami Polskiego Państwa Podziemnego, GL-AL., losami akowców po 1956 r. i problematyką Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim. Autor *Ochrona porządku i bezpieczeństwa publicznego w Powstaniu Warszawskim*, (1999); współautor *To nie na darmo... Grudzień '70 w Gdańsku i Gdyni*, (2006) oraz autor i współautor filmów „Pamiętajcie Grudzień”, (2005) i „Epitafium 169. Rzecz o Adamie Dedio «Adrianie»”, (2007).

Krzysztof Persak — ur. w 1968 r., dr nauk historycznych, od 2000 r. pracownik BEP IPN, autor m.in.: *Odrodzenie harcerstwa w 1956 roku*, (1996); *Sprawa Henryka Hollanda*, (2006); współautor *A Handbook of the Communist Security Apparatus in East Central Europe 1944/1945–1989*, (2005), współredaktor *Wokół Jedwabnego*, (2002).

Paweł Piotrowski — ur. w 1963 r., od 2001 r. pracownik OBEP we Wrocławiu, doktorant w IH Uniwersytetu Wrocławskiego; zajmuje się dziejami wojskowości w Polsce po II wojnie światowej i funkcjonowaniem aparatu represji w państwach Europy Wschodniej. Współautor opracowania dokumentów *Opozycja demokratyczna w Polsce 1976–1980*, (2002); autor książki *Śląski Okręg Wojskowy 1945–1956*, (2003); redaktor II tomu serii *Aparat Bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza* (2006) oraz współredaktor *Zbrodnia lubińska 1982. Dokumenty* (2007).

Leszek Próchniak — ur. w 1976 r., historyk, od 2000 r. pracownik OBEP IPN w Łodzi; zajmuje się problematyką polityki władz komunistycznych wobec chłopów w okresie stalinowskim oraz dziejami opozycji demokratycznej i „Solidarności”. Opublikował książkę *Kolektywizacja rolnictwa w regionie łódzkim 1948–1956*, (2003) i współredaktor *Władze komunistyczne wobec Kościoła katolickiego w Łódzkiem 1945–1967*, (2005); i *Łódź w latach 1956–1957*, (2006).

Leszek Postołowicz — ur. w 1955 r., historyk, absolwent filii UW w Białymstoku. W latach 1981–1992 pracował w Archiwum Państwowym w Białymstoku, a od 1992 r. do września 2001 r. w Urzędzie Ochrony Państwa. Następnie, do kwietnia 2006 r., zastępca dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN.

Piotr Semków — ur. w 1964 r., dr nauk humanistycznych. Specjalizuje się w historii politycznej Pomorza Gdańskiego w XX wieku. Od 2001 r. pracownik OBEP IPN w Gdańsku. Autor m.in.: *Polityka Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej na tere-*

nie byłego Wolnego Miasta Gdańska w latach 1939–1945, (2001); *Dzieje Sopotu w latach 1939–1945*, (2003); *Informacja Marynarki Wojennej w latach 1945–1957*, (2006); redaktor książki *Propaganda w PRL – wybrane problemy*, (2004).

Krzysztof Szwagrzyk — ur. w 1964 r., historyk, dr hab. nauk humanistycznych, zajmuje się komunistycznym aparatem represji, głównie działalnością sądownictwa i prokuratury. Od 2000 r. w IPN, obecnie naczelnik OBEP IPN we Wrocławiu. Autor m.in. *Winni? — Niewinni?*, (1999); *Zbrodnie w majestacie prawa. Straceni na Dolnym Śląsku 1945–1956*, (2002); *Jarosław. Ośrodek Pracy Więźniów. Więzienie (1950–1965)*, (2006); *Prawnicy czasu bezprawia. Sędziowie i prokuratorzy wojskowi w Polsce 1944–1956*, (2005); redaktor I tomu serii *Aparat Bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza* (2005).

Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki — ur. w 1960 r., dr nauk humanistycznych. Specjalizuje się w historii oporu społecznego po 1945 r. W IPN od 2001 r., pracownik Delegatury IPN w Kielcach. Autor kilkudziesięciu publikacji o charakterze naukowym i popularnonaukowym oraz, m.in., *Komendant Zagończyk. Z dziejów zbrojnego podziemia antykomunistycznego*, (2000) i *Podziemie poakowskie na Kielecczyźnie w latach 1945–1948*, (2003).

Ryszard Terlecki — ur. w 1949 r., prof. dr hab., absolwent UJ, pracownik IH PAN, prorektor Wyższej Szkoły Filozoficzno-Pedagogicznej Ignatianum. W IPN od 2000 r., od 2006 do listopada 2007 r. dyrektor Oddziału IPN w Krakowie. Historyk i publicysta, uczestnik antykomunistycznej opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zajmuje się historią Polski po 1945 r. oraz historią nauki i oświaty w XIX i XX wieku. Autor m.in.: *Oświata dorosłych i popularyzacja nauki w Galicji w okresie autonomii*, (1990); *Dyktatura zdrady. Polska w 1947 r.*, (1991); *Uniwersytet Latający i Towarzystwo Kursów Naukowych w latach 1977–1981*, (2000); *Aparat bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii*, (2005); Poseł na Sejm RP VI kadencji.

Janusz Wróbel — ur. w 1950 r., dr nauk humanistycznych. Badacz przemian demograficznych w latach II wojny światowej, dziejów mniejszości narodowych na ziemiach polskich oraz emigracji polskiej w krajach pozaeuropejskich. Od 2000 r. pracownik OBEP IPN w Łodzi. Autor m.in.: *Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942–1950*, (2003), współredaktor *Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi*, (2004); *Władze komunistyczne wobec Kościoła katolickiego w Łódzkiem*, (2005) i *Łódź w latach 1956–1957*, (2006).

Jan Żaryn — ur. w 1958 r., dr hab., profesor UKSW, historyk, publicysta. Od 2000 r. w IPN, od stycznia 2006 r. dyrektor BEP IPN. Specjalizuje się w dziejach naj-

nowszych, a szczególnie w historii Kościoła w Polsce XX wieku, obozu narodowego, dziejach politycznych emigracji po 1945 r. Autor licznych syntez i monografii z historii najnowszej, m.in. *Kościół a władza w Polsce (1945–1950)*, (1997); *Stolica Apostolska wobec Polski i Polaków w latach 1944–1958*, (1999); *Kościół w Polsce w latach przełomu (1953–1958)*, (2000); *Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce (1944–1989)*, (2003); *Kościół w PRL*, (2004).

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY	3
OD AUTORA	5
O SPRAWIEDLIWEJ RZECZYPOSPOLITEJ	7
USTALAM WSZYSTKIE OKOLICZNOŚCI	15
WRÓG NUMER JEDEN	23
PRZODUJĄCA KLASA	36
ŻOŁNIERZE, OFICEROWIE, GENERAŁOWIE	50
W UŚCISKU WIELKIEGO BRATA	63
PRZESZŁOŚĆ NALEŻY DO HISTORYKÓW	73
TO JEST SPRAWA CZŁOWIECZEŃSTWA	81
PEERELOWSKIE MŁODZIEŻY CHOWANIE	92
„SOCJALIZMU BĘDZIEMY BRONIĆ JAK NIEPODLEGŁOŚCI”	101
CENA WYGRANEJ	116
MIEDZY MODERNIZACJĄ A MARNOTRAWSTWEM	129
O EMIGRACJI I POŁONII	141
STO KILOMETRÓW TECZEK	157
PRZEWODNIA SIŁA NARODU	171
APARAT BEZPIECZEŃSTWA	190
KAROL WOJTYŁA W DOKUMENTACH BEZPIEKI	207
WOJNA I POLITYKA	225
O POWSTANIU WARSZAWSKIM	235
KULTURA W PRL	248
O KARACH ŚMIERCI W LATACH 1944–1956	265
TAJEMNICZA PANNA S.	285
NOTY O ROZMÓWCACH	298